



Dwie królowe





JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI / Dwie królowe

JÓZEF IGNACY

CYKL POWIEŚCI HISTORYCZNYCH
OBEJMUJĄCYCH

Dzieje Polski

Redaguje Komitet
pod przewodnictwem
prof. dra CZESŁAWA HERNASA

XX



KRASZEWSKI

Dwie królowe

(Bona i Elżbieta)
Powieść historyczna

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1984

Komitet Redakcyjny

Prof. dr CZESŁAW HERNAS
Prof. dr STANISŁAW BURKOT
Dr MARIA GRABOWSKA
Dr HELENA KAPEŁUŚ

Przedśłowie napisał
SZYMON KOBYLINSKI

Przygotowała do druku,
posłowiem i przypisami opatrzyła
EWA WARZENICA-ZALEWSKA

Ilustracje wybrała i objaśniła
JOLANTA WYLEŻYŃSKA

Opracowanie graficzne
TADEUSZ PIETRZYK

ISBN 83-205-3572-7

Copyright by Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1984

Wyd. IV. Nakład 40 000 + 310 egz.
Pap. druk. mat. kl. IV, 70 g, A-1
Oddano do składania 18 IV 1983 r.
Podpisano do druku w listopadzie 1984 r.
Druk ukończono w grudniu 1984 r.
Ark. druk. 25 + 2 ark. ilustr.
Ark. wyd. 23 + 2 ark. ilustr.
Zakłady Graficzne w Toruniu
Toruń ul. Katarzyny 4
Zam. druk. nr 546. T-84
Cena zł 410.—

Wnuczka Henryka Sienkiewicza, Maria Kornilowiczówna, przytoczyła pośród swoich wspominków anegdotkę rodzinną, jak to kiedyś bliscy, widząc pisarza, wychodzącego po iluś godzinach z gabinetu z pobladłą twarzą, podkrążonymi oczami i zroszonym czołem, pytali, czemu przypisać ten stan. Sienkiewicz odrzekł: „Pracowałem nad lekkością stylu...” A pewien polonista, dla odmiany, opisał mi któryś rękopis Józefa Ignacego Kraszewskiego: „Na pierwszej karcie jest zdanie: »Był pogodny wieczór«, Kraszewski zdanie to przekreślił, napisał pod nim: »Był dżdżysty poranek« i dalej szło siedemset pięćdziesiąt stron bez jakiegokolwiek poprawki...”

Nie wypadającą prawdą u wstępu książki tegoż autora przytaczać wyszydzaającej literata dykteryjki, traktuję ją jednak jako usprawiedliwienie własnej słabości. Otóż — o ile w chwilach skrajnego zmęczenia, w każdej chorobie, wśród stresów itd. — zawsze, nieodmiennie sięgam po Sienkiewicza i potrafiłbym stawiać do quizów z, powiedzmy, *Trylogii*, o tyle poza *Starą baśnią* nie umiałem zmóc ani jednej książki Kraszewskiego. Przyznaję się bez bicia. Może to wynika z maksymy Mariana Żałuckiego: „Autor ma męczyć się tak długo, żeby czytelnik już nie musiał”, może z jakichś innych przyczyn, dość, że jestem pełen podziwu i czołobitnego uznania dla tych, którzy swobodnie poruszają się po tekstach Kraszewskiego, niczym nie zrażeni i umiejący — co najważniejsze! — wydobyć z nich korzyści dla siebie oraz zadowolenie. Jest tu bowiem czymś na kształt ułomności moja zmniejszona szansa na doznanie frajdy czytelniczej, zwłaszcza iż Kraszewski napisał tak wiele!

Jeśli zaś, mimo świadomości, że nie umiał przeczytać użyczonej mi powieści o dwu królowych, Wydawnictwo wspaniałomyślnie podrzymało zamówienie na coś w rodzaju przedmowy, to pozwalam sobie na dokonanie czegoś w rodzaju uniku. Otóż pomnę, z przyczyn wyłuszczonych wyżej, analizę powieści, natomiast skorzystam z okazji przypatrzenia się raz jeszcze królowej Bonie. Nie wiem, jaką pojawi się ona Czytelnikowi pod piórem Kraszewskiego, a używając zwrotu „raz jeszcze”, mam na myśli nasze powszechne doświadczenia w tej mierze, czy też, jak się u nas mawia od 1980 roku, „w tym temacie”.

W najpopularniejszym odbiorze, prócz powiedzonka, iż „królowa Bona umarła” i — biorąc wężej — prócz *Paziów króla Zygmunta Domańskiego*, poznaliśmy monarchinię w przepysznym kostiumowo i aktorsko serialu telewizyjnym. Zwłaszcza ostatni, agonalny odcinek cyklu, tym różny od poprzednich, że zagrał w nim pełniej dramat władczyni, a mniej było spisu wydarzeń polityczno-dworskich; ten odcinek najsilniej zapadł w pamięć. I tu, w tych scenach, tak wstrząsajaco ukazanych kunsztem Aleksandry Ślaskiej, napotkałem ów dreszcz zgrozy i podziwu zarazem, jaki od dzieciństwa wywoływał we mnie widok obrazu Jana Matejki *Otrucie królowej Bony*. Grozy wobec samego faktu, tak obcego naszym obyczajom

i dziejom, a tak pono powszechnego w ojczyźnie Lukrecji Borgii, podziwu zaś wobec królowej.

Tak, podziw, to jest właściwe określenie. Gest monarchini, jakim sięga po puchar podawany przez Papacodę, jest gestem najboleśniejszej, najokrutniejszej świadomości ludzkiej — świadomości beznadziei tych marzeń, które się rozmięły z warunkami.

Jest w dziele Matejki ów straszliwy ciężar wiedzy o własnym bezwładzie, ciężar znany samemu artyście, który — jak każdy wielki twórca — nie ukazywał nam niczego innego prócz autoportretu, prócz wizerunku własnych aspiracji i ich klęsk. Trucizna, zanim została wypita dosłownie, zanim palce starej kobiety dotknęły kielicha, sączyła się latami, dziesiątkami lat i to doświadczenie staje teraz przed oczami Bony. Oczami patrzącymi ciężko obok truciciela, obok własnej ręki, w przeszłość, w całe zbiegłe życie, czyli w pustkę.

Albowiem tragedia zawiera się w tym, że pustką zwiemy tu tak gęsto czynami i emocjami wypełnione panowanie, tak zawzięte i zajadłe urządzanie wszelkich sytuacji o kontynentalnym wymiarze. Ileż bo energii, wiedzy i stanowczości zainwestowała Bona w te bez mała czterdzieści lat dźwigania korony, a jak daremnymi okazały się jej zabiegi! Już to, że porzekadło „królowa Bona umarła” świadczy, iż podawano sobie tę wieść tak skwapliwie i tak często, że aż z owego paplania powstał synonim oczywistości i notoryczności, już to samo mówi nam o natężeniu niechęci wobec Włoszki w Polsce.

Już w *Paziach króla Zygmunta*, gdzie nie wypada sługom ukazywać wstrętu wobec najjaśniejszej pani i wyładowują swoje fobie na włoskich faworytach Bony, już w samym tonie książki Domańskiej trwa ten wielowiekowy uraz: że oto przyjechała jakaś obca i rządziła nami niby baba pomiotłem!

I ten niechętny, okresami i miejscami wręcz wrogi stosunek do królowej, posądzanej — pośród zawieruchy plotek o niej — aż o metodyczne trucicielstwo, ta swoista kampania odrazy trwała, a może nawet trwa do dziś, czterysta lat z okładem, prawie pół millennium! Dopiero w ostatnim stuleciu zaczęli zjawiać się badacze forsujący pochlebniejsze sądy o Bonie Sforzy, podkreślający sens i wartość jej koncepcji, tak politycznych, jak i społecznych. Tym więc sposobem, gdy emocjonalny nurt każe wciąż widzieć w niej antypatycznego babsztyla, co się szarogęsił nad Wisłą wedle swoich importowanych wymysłów, wedle całej umysłowej „włoszczyzny”, gdy ów odruchowy nurt jest powszechnie wciąż górą, dołem płyną odmienne, rozumowe argumenty uczonych. Tak oto, ukazany właśnie trybem, napotykamy modelowy niejako, wzorcowy, klasyczny, rzekłbym, stan rzeczy rodzimych, gdy stają przeciw sobie: koncepcja władzy wraz z jej rzeczowymi posunięciami oraz reakcja oddolna na nie. A dzieje się to, zważmy, w okresie odczuwanym wciąż jako Złoty Wiek Polski, jako czas jej najwyższej potęgi, majestatyczności, wspaniałości kontynentalnej. Czy widząc szerzej, dalej, w tak zwanej makroskali, królowa miała za sobą słusność, miała rację? Na ogół tak, zwłaszcza że pilnowała czujnie

tego, co miało się istotnie — zaniedbane po jej śmierci — stać zawłazką przyszłych klęsk państwowych, pilnowała prestiżu i godności władzy. Ot, weźmy taki rozruch szlachecki z 1537 roku, gdy dojrzała już, wielce świadoma władczyni po dziewiętnastu latach rządów w naszym kraju (a więc z pełnym rozeznanieniem sytuacji), reaguje ostro na ową „kokoszą wojnę”. Masa szlachecka, czując nie bez racji nacisk władzy pracującej ku zwiększeniu swoich wpływów w kraju, buntuje się i stawia 36 postulatów, podpierając je po prostu szablami. Magnaci i dwór nadali właśnie wydarzeniom pogardliwe miano kokoszej, w skali domowego kurnika, wojny wewnętrznej. A szło podwładnym o kilka spraw, przemieszanych zresztą nieco chaotycznie — słuszość obok pobożnych życzeń, trafność obok chciejstwa. Szło mianowicie o uporządkowanie praw, o przydanie królestwu skutecznych doradców spośród poselskiej braci, o zmniejszenie żądań kościelnych, a wreszcie o ograniczenie zapędów samej Bony w jej skupywaniu ziemi dla — nazwijmy to — skarbu państwa. Taka choćby akcja królowej, którą nazwano pomiara włóczną wrzynała się dość brutalnie w przyjęte tu stare obyczaje agrarne naszego rolniczego, patriarchalnego kraju.

Podobnych posunięć obserwowano i krytykowano mnóstwo, nie dbając o ich rzeczowy, materialny wynik, natomiast wzdygając się na pomijanie tutejszych nawyków. Cieszono się złośliwie, jeśli coś z tych manewrów poniosło porażkę (i porażki te powodowano w miarę możliwości jak najchętniej!), mimo uszczerbku, jaki klęska przynosiła ogólnym interesom Wawelu, a więc rodzimej władzy. Bona szarpała się zatem z niesłychanie rozległym frontem przeciwności. Od udręczonego nowomodnie chłopą pośród normalizowanych włók ziemi, przez burzącą się i obrażoną szlachtę oraz spory odłam magnaterii, aż do królewskiego małżonka, też raz po raz ranionego w ambicji apodyktycznością żony, oraz do syna, jawnie z czasem postępującego wbrew jej radom, chęciom i poglądom. Tak w państwowej, jak rodzinnej skali, czego historia z Barbarą Radziwiłłówną ilustracją typową.

Królowa pojmowała bystro strukturę państwowości, ale nie rozumiała emocji obywateli swego kraju. Postępowała racjonalnie, postępując zarazem wbrew godności poddanych. Myliła się nie w celach może, ale na pewno w środkach działania.

I dlatego właśnie, po owych czterdziestu prawie latach władzy uszła pod presją ogólnej niechęci do swego Bari, do kraju młodości, dlatego w jej oczach (namalowanych tak mądrze przez Matejkę i wcielonych w spojrzenie Aleksandry Śląskiej) zjawiała się straszna, bolesna rezygnacja, rezygnacja zrozumienia i podsumowania życia.

Bojownicza prestiż tronu, zajadła twórczyni potęgi materialnej dworu i tym samym władzy państwowej, dalekowzroczna monarchini pośród doraźnych spraw jej przeciwników, niejako komputer na zachwaszczoną (ale jakże barwną i jakże bujną) grzędę polskiej, oto co przegrała nad Wisłą.

I dlatego z rezygnacją wzięła puchar z rąk signora Papacody.

Szymon Kobyliński

Drogi cieniu
ALEKSANDRA HRABIEGO PRZEŹDZIECKIEGO,
którego poszukiwania opowiadaniu temu dostarczyły treści,
poświęca je
Autor.

Drezno, 27 stycznia 1884.

Wieczór jesienny ciepły był jeszcze, ale w powietrzu czuć się dawała ta woń, która każdą porę roku odznacza. Lekki wietrzyk od Wisły i łąk a pól, od dalszych lasów i zarośli przynosił wyziewy liści więdnących, usychających traw, kielkujących zbóż zasianych, które żywo wśród pożółkłych ścierni się zieleniły, i mgły niewidocznej jesieni. Niebo złociło się, rumieniło, barwiło sinymi i lilowymi obłokami, spod których blady, zielonawy lazur północy przeglądał. Z dali żaden głos nie dochodził, nie widać było na błoniach ruchu i życia. Jak mrówki przesuwają się tylko gdzieś tam trudne do rozpoznania postacie na płowych ścieżkach i gościńcach, które pola i łąki krzywymi przerzynały paskami. Cisza wieczoru i jesieni kołysała świat boży do spoczynku...

W otwartym oknie krakowskiego zamku, na pierwszym piętrze, siedziało przepiękne dziewczę. Odblask wieczornego światła cudownie lice jej łagodnym swym blaskiem oblewał. Siedziała, jakby za wzór służyć miała do obrazu Luiniemu², Bellinowi³, jednemu z tych mistrzów włoskich, którzy ostatnie ideały niewieście, jakby żegnając się z nimi, na płótno przenieśli. Twarzyczka dziwnie regularnych rysów, świeża acz blada, przypominała też kameę ręką mistrza na kamieniu drogim wyrzeźbioną. Smutek i tęsknota poetyczny wyraz nadawały temu obliczu madonny.

Patrzała przez okno na dalekie błonia, lecz pewnie nie widziała nic oprócz tego, co się na tle ciemnym jej duszy malowało. Przechodziły po nim jakieś cienie przeszłości czy nadziei. Nieruchome oczy czarne pływały jakby we łzie, która napęlniała powiekę i upaść z niej nie mogła, tak jak tęsknica jej z duszy się na świat wydobyć.

Była to piękność niezwykajna. Klasycznego wdzięku rysy murmurów, śmiały, ale łagodnymi razem liniami wyrzeźbione, otaczał bujny włos, spleciony w części i na ramiona w puklach puszczonej, tej barwy osobliwej, którą weneccy upodobali malarze. Ciemne brwi, czarne oczy odbijały dziwnie od warkoczów złocistych, jaskrawych nawet, tak barwa ich była silną. Małeńkie usteczka, ściśnięte teraz, boleśnym się zamknęły uśmiechem i zdawały się wyrzucać zawód losowi i światu, przeznaczeniu i ludziom.

Jakby stężała tym bólem, siedziała nieporuszona, ręce spuściwszy na kolana. Wypadła z nich dawno robota, haft kolorowy na jedwabiu, leżała razem z kłębuszkiem u nóg jej we wgłębieniu okna, które w grubym murze siedziało, oprawne jakby w ramę, maleńką wykutą w nim izdebką.

Strój dziewczęcia był smakowny bardzo i wytworny. Suknia z ciężkiej jedwabnej tkaniny, mieniąca się zielono i płowo, cała była naszywana wstęgami, jedwabnymi sznury, kokardami i paciorkami szklanymi. Odpowiadał jej bogato ozdobny pas wysadzany z torebką, a trzewiczek, którego koniec spod sukni wystawał, także był do całego stroju dobrany.

Komnatka oknem tym słabo oświecona, niezbyt przestronna, sklepiona wdzięcznie w górze, malowana i złocona, pomimo półmroku, jaki w niej panował, miała w sobie coś młodego i wesołego, jakby na szczęśliwe gniazdko przeznaczoną była. Smutna twarz na jej tle wydawała się dziwnie.

Wszystko, co w tym wieku XVI, lubującym się w wytworności, woni, kolorach, przepychu, nagromadzić było można, aby jak cacko przyozdobić mieszkanie pieszczoszki-dziewczęcia, złożyło się na ubranie pokćiku.

Posadzkę marmurową, której tylko u progu domyślać się było można, okrywał wschodni kobierzec przedziwnej harmonii farb, najśmielej pożenionych z sobą, marmurowy komin zdobiły dwie kariatydy niewieście, uśmiechające się mimo ciężaru gżemsu, który dźwigały. Opasywały je wieńce kwiatów i liści z wielkim kunsztem rzucone. Ponad nimi wisiało weneckie zwierciadło w ramach, jak brylanty połyskujących, z ozdób szklanych, a na gżemsie stały cudne fraszki ze szkła, majoliki, złota i srebra wyrzeźbione. W jednym z naczyn wiadł bukiet kwiatów jesiennych.

Przy jednej ze ścian stały siedzenia z drzewa misternie rzeźbione, po których biegały jakby nici złociste. Stół, okryty lekkim kobiercem, cały prawie zarzucony był też fraszkami, które kształtami swymi pociągały oczy. Stały na nim skrzyneczki sadzone na hebanie kością słoniową, bursztynem i złotem, puszki form wykwinnych, na których pokrywach unosiły się posążki, kubki przeróżnych wielkości i postaci. Razem z rzuconą niedbale na nie chustą jedwabną, składały także obrazek wdzięczny i bogaty.

Na jednym z krzeseł widać było od niechcienia ciśniętą piękną

cytrę, również wysadzaną kunsztownie, ze wstęgą niebieską. U kolumny w przyciemnionym kąciu, półotwarte drzwi, które przysłaniała ciężka przed nimi zawieszona draperia, pozwalały dojrzeć w drugiej izdebce łóżko o rzeźbionych słupkach, o jedwabnych płotkach, nad którego pokryciem unosiły się piór bukiety.

Wszystko tu miało wyraz miękkości, rozpieszczenia, rozkochania się w życiu, rozmarzenia w rozkoszy. Smutne dziewczę wśród tych zbytków i cacek raziło jak sprzeczność niezrozumiała. Wczoraj jeszcze wszystko tu być musiało śpiewem, szczęściem, weselem, zapomnieniem smutków życia — a dziś?

Dziś z opuszczonymi bezwładnie białymi rączkami, na których palcach połyskiwały pierścienie kosztowne, siedziało dziewczę, jak ptaszek w klatce, zadumane, skamieniałe.

Wieczór z wolna tracił jaskrawe blaski zachodu, barwy oddalenia szarzały i mgła jakaś, jak półprzejrzysta zasłona, zdawała się je od patrzącej oddzielać.

Jedna po drugiej niknęły barwy, zacierały się kształty, zlewały przedmioty — dal ginęła już w półmrokach. Tylko na rzece odbijał się jeszcze gorący blask słonecznych promieni i gdzieś gdzieś małe szybki domostw połyskiwały jak oczy diawotworów. Lecz dziewczę lub nic, albo mało co widzieć się zdawało.

Nagle czy chłód wieczorny owiał ją, czy myśl jakaś wstrząsnęła całą istotą — zadrżała, zachnęła się, rękę przyłożyła do czoła i westchnienie z piersi w świat poleciało niesłuchane, stracone. Dziewczę tak było w sobie i w tęsknicy swej pogrążone, iż nie słyszało nawet, z cicha wprawdzie, ale coraz wyraźniej dających się słyszeć kroków, które z drugiej komnaty ku drzwiom się zbliżyły. Z szelestu szat domyślać się było można kobiety.

Powoli szła, szukając oczyma i nie znajdując smutnej mieszkanki tego wesołego kąta. Stała w drzwiach, ciekawie wypatrując za nią, i teraz można ją już całą widzieć było.

Była to pani lat średnich, na której licu nieco zmięklým i rozlanym znać było szczątki nadzwyczajnej piękności. Wszystko, czego wiek nie mógł zepsuć i nadwężyć, świadczyło o niej. Włos niegdyś jasny, oczy dziwnej barwy nieoznaczonej a jeszcze osobliwszego wyrazu, rzymski nosek, nieco wypełniony już podbródek, czyniły razem wziętą fizjognomię tę podobną do jakiejś żony cesarza ze starej rzymskiej monety⁴.

I wyraz też godził się z tym charakterem. Namiętny był, despotyczny, jakby pragnący i wyzywający do walki. Nic łagodnego, niewieściego, dobrego w tej chwili nie rozjaśniło tego profilu pełnego dumy i namiętności. Głowa w bogatych klejnotach i zawiciu⁵, wyniosła szyja biała, popiersie pełne i kształtne jeszcze, godziły się z figurą majestatyczną i pańską.

Strój, pomimo wieku, bo młodą już nie była, wytworny a nade wszystko bogaty i wspaniały okazywał, że do najwyższego społecznego kręgu należeć musiała. Suknię czarną, dobrze barwą obrachowaną, aby świeżość płci podnosiła, aksamit, atłasy, koronki, jedwabne wstęgi i szycia ubierały bogato. Na piersiach miała złoty łańcuch misternej, delikatnej roboty, wyrób weneckich lub genueńskich złotników,⁶ podobne ozdoby widać było u pasa, a białe, pulchne ręce tak okrywały pierścienie kosztowne, iż niektórych palców końce zaledwie widać było.

W tej chwili namarszczone groźnie brwi, zaciśnięte wargi blade, wzrok zaostrzony niepokojem, nadawały przybliżającej się pani wyraz, który mógł przerazić słabą istotę. Lecz nadchodząca nie zdawała się przybywać tu dla wywarcia tego gniewu, który niosła w sercu, szła ostrożnie, nie chcąc przstraszyć. Stała w progu, jakby potrzebowała się namyslać, czy wniknąć miała.

Wpatrzyła się w dziewczę zadumane, ręką uchyliwszy ciężką zasłonę u drzwi, i stała, stała długo, nim w końcu umyślnie poruszyła portierę, aby dać znać o sobie. Dziewczę porwało się przestraszone, potrzebując chwili do opamiętania, gdzie było. Zatopione w myślach straciło poczucie i pamięć rzeczywistości.

Wchodząca pani, która od progu powolnym ku niej przybliżała się krokiem, nadała twarzy, przed chwilą gniewnej i zaspionej, wyraz nienaturalny, wymuszony, dobroci i łagodności. Lecz, pomimo wysiłku, tak nie przystawał on i niezwyčajnym był licu nawykłemu do swobodnego wyrażania gwałtownych namiętności i wybuchów woli żelaznej, że jak gość przelotny, mający zniknąć rychło, zdał się pożyczanym i fałszywym.

Dziewczę zobaczyło nadchodzącą i, jakby zawstydzoną, na uczynku schwytnym, drobnymi kroczkami pospieszyło zniżyć z dwóch wschodków, które wgłębienie okna od pokoju oddzielały. Stała naprzeciw tej, która tu widocznie panią była.

Z politowaniem przysunęła się niewiasta starsza do dziewczęcia i nie mówiąc nic jeszcze, ręką białą pogłaskała ją po twarzyczce, która zwisała na piersi smutnie.

Oczyrna rzuciła po izdebce; tuż u stołu, jakby nagotowane dla niej, stało krzesło wielkie, jedyne, jakie się tu znajdowało. Przybyła rzuciła się na nie, oparła twarz na rękę i przed chwilą łagodne rysy znowy posępnym gniewem ściemniały.

Dziewczę stało, zwrócone ku niej.

— Płakałaś, Dżemma! Widzę to po twoich ślicznych oczach! — odezwała się po włosku, ale w jej ustach nawet ta mowa muzyczna nie brzmiała harmonijnie; szorstko, ostro leciały spod warg drżących wyrazy. — Dziecko jesteś!... Wiesz już? Tak! Wszyscy wiedzą! Nie mogłam zapobiec! Tak! Ale biada temu, co ze mną rozpocznie wojnę; ja nigdy nie uznam się zwyciężoną i nie złożę oręża. Ja zawsze na swoim postawić muszę. Żenią go więc z Austriaczką!

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Teraz, Dżemma, ty mi jesteś najpotrzebniejszą, teraz zdołdziesz trwale, na zawsze serce jego. Biada tej istocie, która tu mimo woli mojej się wciska, aby mi syna odebrała! Nigdy, nigdy! — zawołała, zapominając się i tupając nogą.

W czasie, gdy to mówiła, więcej sama do siebie niż do słuchającego pokornie z oczyma spuszczonego dziewczęcia, ręce jej były w ruchu nieustannym, twarz mieniła się i wykrzywiała, brwi ściągały, usta momentami karykaturalnej maski przybierały charakter. Straszna jakaś burza wrzeć musiała w żywo falujących piersiach.

— Słuchaj, Dżemma! — rzekła podnosząc się nieco. — Nie czas płakać, nie powinnaś mi być smutną, musisz być piękniejszą niż kiedykolwiek; musisz to serce jego, które miałaś, któregoś nie straciła, nie tylko zachować, ale je okuć w kajdany! Ja na ciebie rachuję, tyś moim orężem, ale w zamian ci dam...

Tu wstrzymała się nieco i dodała:

— Obsypię cię złotem, dam ci najświetniejsze obok tronu stanowisko... Wybierzesz je sama! Zrobię cię księżną, panią ziem szerokich...

Dżemma sobie obiema rękami oczy zakryła.

— A, królowo, pani — odezwała się głosem słabym — ja nie, nie, niczego nie żądam oprócz serca jego. — I lzy polały się z jej oczów.

Uśmiezek przesunął się po bladych ustach królowej, położyła palec na wargach.

— Cichoż! Nie płacz! Pracować potrzeba, wyteżyc wszelkie siły, aby zwyciężyć. Nie masz się obawiać czego. Powinnaś mnie znać. Jesteś przy mnie prawie od dzieciństwa... patrzałaś na to, ilem tu walczyć musiała, a zwyciężyliż mnie kiedy oni? Wszyscy ci sędziwi, poważni senatorowie, całe to mądre duchowieństwo, krzykliwa ich szlachta, mówcy, intryganci, wysilali się na to, aby wpływ mój osłabić, aby mi go odebrać, a mimo to rosł on z każdym dniem. Nigdy mocniej nie czułam się panią, nigdy nią nie byłam tak...

Tu przerwała sobie królowa.

— Powiesz mi, że to małżeństwo przeprowadzili przeciwko mej woli. Tak, ożenieniu zapobiec całkiem nie było podobna, kraj cały się go domagał. I ja nie chcę, aby zmarł bezpotomnym, ale na to czas wielki jeszcze. Teraz mi go żona odebrać nie powinna, bo panować z nim, jak panowałam z ojcem, potrzebuję. Dopuszczałam Austriaczkę — mówiła ciszej po komnacie wodząc oczyma niedowierzającymi — dlatego, że ten wątły kwiatek prędko tu zwiędnąć musi... dlatego, że każda inna mogłaby zwycięsko wyjść z tej próby, jaka ją czeka; ona zaś paść musi!

Wstała z siedzenia.

— Dżemma, pociesz się! — poczęła żywiej. — Wiozą mu tę żonę, ale to jedzie ofiara przeznaczona na zgubę. Z zarodem śmierci tu przybędzie... On, on nigdy mężem jej rzeczywistym nie zostanie...

Dla dziewczęcia, słuchającego chciwie, wszystko to były rzeczy mało zrozumiałe, nie rozwikłane, lecz nawykła wierzyć w słowa tej, która przysła ją pocieszać, uczuła w sobie odradzające się męstwo. Twarzyczka jej blada poczęła z lekka się zarumieniać, piękne czarne oczy śmielej podniosły, duch znowu wstąpił w znękaną.

Milcząc schyliła się do ręki królowej i złożyła na niej pocałunek, za który pogłaskanie zapłaciło.

— Nie dręcz się, nie smuć — mówiła pani, starając się głosić nadać łagodność, choć gniew brzmiał w nim jeszcze. — Nic

nie szkodzi piękności nad troski, a ty, ty szczęśliwa nie masz się troskać o co! On ciebie jedną kochał i kocha od czasu, jak się ta miłość zrodziła. To dziecko moje, dla mnie on nie ma tajemnic! Dżemmo, trzeba przetrwać tę burzę, która będzie może gwałtowną, ale krótką! Powtarzam ci, nie byłabym nigdy zezwoliła na to małżeństwo, gdybym pewną nie była, że je rychło śmierć rozerwie.

Mimowolnie wzdrygnęło się dziewczę słuchając.

— Nie bój się! — odparła, śmiejąc się, królowa. — Nie potrzebuje jej tu zabijać nikt, śmierć ona sama z sobą przynosi.

Oczy dziewczęcia domagały się odkrycia tej zagadki, ale brwi królowej zbiegły się groźnie i dodała:

— To moja tajemnica!

Palec przyłożyła do ust.

— Bądź wesołą..., gość ten przemknie się jako cień, a ja nie dopuszczę, aby on ciebie dla niej na chwilę opuścił... Będzie żoną i królową, ale ani jego serca, ani panowania nie dotknie... To ofiara...! Cóżem winna, że nam ją narzucono?

Dżemma chwytiała słowo każde, ale się odezwać nie śmiała. Mrok wieczora poczynął coraz większe ciemności rozpościerać w tych mało oknami rozjaśnionych komnatach. Królowa silnie klasnęła w dłonie raz i drugi i zza zasłony od sypialni ukazała się główka niewieścia.

— Światła! — zawołała pani i prędko złożywszy pocałunek na czole Dżemmy, czekała tylko natychmiast zjawiających się świec, aby szybko za nimi wyjść z mieszkania Włoszki.

Mając ją już opuścić, szepnęła jeszcze na ucho:

— Dżemmo, bądź piękną i wesołą... Smutnej twarzy on nie lubi. Udawaj, że nie wiesz nic... Śpiewaj mu i uśmiechaj się do niego. Tyś panią i tyś serca jego królową.

To mówiąc wyszła poważnym krokiem, a pozostała w miejscu Dżemma oczy sobie zakryła i trzymała tak ręce przytulone do twarzy, aż póki służąca powracająca ze światłem z zadumy ją nie rozbudziła.

Dwie młode służebne królowej czekały na nią ze świecami w ciężkich srebrnych lichtarzach, a drugie dwie, jednako ubrane wszystkie, iść miały za panią niosąc wachlarz, rękawiczki, chustkę i okrycie. Wolnym krokiem postępowała pani przechodząc naprzód izby, które dwór jej żeński mieściły, mniej daleko wytworne niż pokoje Dżemmy, potem kurytarzy część i galeryj zamkowych, z których widok był na podwórca wewnętrzne.

Baczne oko królowej rozpoznawało tu wśród koni, służby, kołebek i orszaków osób, które się na zamku znajdowały, barwę każdego dworu i zaprzęgi panów. Na przemiany ruchoma i wrażliwa twarz jej dumna to się rozjaśniała, to chmurzyła.

Byli to jej sprzymierzeńcy i nieprzyjaciele, bo wyższe klasy społeczeństwa dzieliły się wówczas na dwa obozy nieprzyjacielskie, walczące ze sobą jawnie, które choć się czasem ocierać musiały o siebie, przedednąć się nie mogły. Na czele jednego z nich stała królowa Bona, która sama wszystkim rządzić chciała i wymagała, aby się jej Polska poddała a legła u stóp pani, aby mogła czynić z nią, co jej się żywnie podobało — drugiemu zdawał się przewodniczyć król Zygmunt Stary, ale w tej dobie życia dziwnie zobojętniały, z góry spoglądający na wszystko, co się działo na świecie, nie miał ani siły, ni ochoty do wojny.

Z majestatyczną powagą, z rodzajem filozoficznej ironii patrzył on, uśmiechając się, na igraszki losu, na gniewy aż do wściekłości posuwające się żony, na opór, który jej dostojni mężowie senatu stawili, na zwycięstwa kolejne swoich przyjaciół i zauszników Bony. Coś z milczącego, zimnego, wytrzymalego charakteru ojcowskiego miał w sobie Zygmunt i w wielu razach go przypominał, przewyższając tylko wielkim majestatem, dostojnością, o którą dbał, i ociężałością, jaką lata ostatnie ściągnęły.

Przyjaciele, zausznicy, sprzymierzeńcy, ulubieńcy Bony brali z każdym dniem górę, a król nie zdawał się oceniać nawet klęski, jaką ponosił.

W jednej tylko sprawie małżeństwa syna z powinowatą blisko Elżbietą, wnuczką Władysława czeskiego, bardzo dawno umówionym, któremu Bona uparcie się sprzeciwiała, król właśnie ener-

giczniejszym objawem woli zwyciężył. Małżeństwo zostało postanowione. Bona się oprzeć temu nie mogła, ale poprzysięgła zawczasu zemstę i prześladowanie tej, która mimo jej woli miała przybyć, odebrać serce syna, może męża, i dzielić, jeśli nie wydrzeć, jej panowanie.

Przechodząc kurytarze, królowa rzucała oczyma roztargnionymi, z wyrazem gniewu na ludzi, których pomijała. Wszyscy oni niemal, znając tę twarz pani, starali się przesuwając nie postrzeżeni — Bona była rozdasana i gniewna. W tych chwilach rozdrażnienia wiedzano, jak najmniejsza rzecz do szaleństwa mogła przyprowadzić panią, która namiętności swych ani ukrywać, ni hamować się nie starała.

W komnatach, które zarówno do izb króla i królowej prowadziły, gdzie się wielu oczekujących na posłuchania gromadziło, gdzie spoczywali dworzanie pana i pani, komornicy królewscy, dwór duchownych przybywających na zamek, niedaleko od tych podwoi, którymi Bona wniknąć miała na pokoje swoje, stał, jakby umyślnie na przesmyku postawiony, mężczyzna w cudackim ubraniu, z nie mniej oryginalną fizjognomią, na którego patrząc z dala, dworzanie chichotali, ukazując go sobie. Wystrojony ów średnich lat mężczyzna wcale się na to zważać nie zdawał.

Za panowania Zygmunta w Polsce, jak nigdy, namnożyło się było strojów tak rozmaitych, tak dziwacznych, z różnych stron świata pochwyconych, iż narodowej sukni, jak świadczą współcześni pisarze, prawie oznaczyć nie było podobna. Staroświecka, prosta opończa jedna ją zastępowała. Wśród tej mnogości ubrań włoskich, tureckich, francuskich, niemieckich, czeskich⁷, wiele różniły dziwactwem, ale właśnie przez to tych, co je nosili, pociągały. Zwracały oczy na nich, czego by w inny sposób nie dostąpili.

Stojący u drzwi mężczyzna, Petrek Dudycz, na teraz komornik królewski, choć komory pańskiej wcale nie patrzył, wyglądał nader osobliwie. Niemłody, przystroił się kuso, nader barwnie, niby z włoska, bez smaku, a jego sucha, długa, koścista figura w obcisłej odzieży, jeszcze się chudsza i przeciąglejsza wydawała. Na obnażonej szyi opalonej, którą żyły oplatały, siedziała głowa niewielka, z włosami rzadkimi, starannie utrefionymi i twarzą pocieszną a brzydką.

Krągła, płaska, oprócz mocno wystających policzków, z ocz-

kami małymi, twarz ta się odznaczała nosem ledwie dostrzeżonym, siedzącym na niej jak spore zaczerwienione ziarno bobu, i niezmiernie od niego oddalonymi ustami, szeroko od ucha od ucha rozciągniętymi. Przestrzeń stosunkowo wielką pomiędzy noskiem a gębą chciał zająć wąsik, wymęczony, ale nieobfity i nastrzępiony. Brzydki był okrutnie Dudycz, a bardzo mu się pięknym być chciało, co dowodził ów ubiór z włoska, wykwintny, kosztowny, krojem wymuszonym, czyniący go jakąś maskarą.

Dudycz, niegdy ubogie chłopię wątpliwego szlacheckiego pochodzenia, służył na dworze owego sławnego podskarbiego Kościeleckiego, po którym Boner wziął żupy. Kościelecki ten nieszczęśliwy rozmiłował się w Szlżaczce^o owej, którą ze sobą dawniej przywiózł Zygmunt, matce Janusza z książąt litewskich, i poślubił ją, mimo że kochanką królewską była. Nie przebaczyli mu tego bracia, zerwawszy z nim, i także go od nich i od panów a szlachty spotykały despekta, że zagryzłszy się, zmarł biedny.

Przy tym wielkiego męstwa, najpiękniejszych duszy przymiotów mężu, który serce tylko miał miękkie, Dudycz spędził długie lata, a że do żup był przez niego przeznaczonym, z soli się dorobił majątku i stał się człowiekiem dostatnim.

Śmiali się z niego ludzie, bo i zająkliwym był, i śmiesznie wyglądał, ale kaletę miał nabitą, więc mu się pod czas i kłaniał niejeden.

Jakim sposobem Dudycz dostał się na dwór pański i komornikiem go mianowano, o tym on tylko wiedział jeden.

Na zamek się dostawszy, umiał tak się z ludźmi odchodzić, że choć królowi służył, choć księzca Maciejowskiego^o w rękę całował, nie mniej nisko kłaniał się Gamratowi, a na pokoje królowej miał wstęp dozwolony. Nikt go tak dalece nie kochał, ale też nikt nie wzdragał się i nie odpychał.

Dudycz miał pewnie lat przeszło czterdzieści, był dotąd niezonatym i teraz dopiero zamysłał wstąpić w święty stan małżeński. Serce miał miękkie i wielką miłością zapalał dla — nie do uwierzenia — najpiękniejszej z dziewcząt dworu królowej Bony, dla tej uwielbianej, opiewanej Dżemmy (Gemma) Pagliari, na której cześć poeci składali ody, a po cichu mówiono, że młody król Zygmunt August od dawna śmiertelnie w niej był rozkochany.

Zuchwalstwem by to było nie darowanym Dudyczowi, gdyby

Dżemma nie była ubogą, ubogą jak myszka kościelna, a on nie patrzył już na pana. Wiedzano, że pan komornik kilka wsi posiadał w Krakowskiem, a oprócz tego na groszu mu nie zbywało.

Dziewczę patrzeć na niego nie chciało, mówiło, że wstręt w niej wzbudzał nie do wyrażenia, ale królowa Bona, opiekunka Dżemmy, zajmująca się jej losem, wiedziała dobrze o tym, iż Dudycz wdychał do pięknej Neapolitanki, uśmiechała się czasem złośliwie i nie wypędzała go, nie zrażała. Owszem, zdawać się mogło czasami, że do wytrwania zachęcała, że mu jakieś czyniła nadzieje. Dudycz był jej widocznie na coś potrzebnym.

Ci, co na zamku krakowskim i na dworze królewskim stosunki mieli a wiedzieli, co się tam działo, utrzymywali, że królowa zarówno miłostkom syna pobłażała, nie tylko na nie patrzyła przez szpary, ale nieznacznie do nich dopomagała i ułatwiała je tajemnie.

Dżemma była u niej w wielkich łaskach, a od niejakiemu czasu mianowicie pieśczołką i ulubienicą. Królewicz ze swej strony, matka od siebie obdarzali śliczną dziewczeczkę, obsypywali wszystkim, czego tylko zapragnąć mogła. Jak się u królowej starej godziło protegowanie Dudycza i sprzyjanie miłości syna, dla wielu było zagadką.

Jak dziś, tak niemal co dzień Petrek Dudycz szukał wszelkich zręczności pokazania się i przypomnienia Bonie, pochwycenia od niej słówka, rozkazu, skinienia, na których budował nadzieje.

Stał i teraz na przesmyku, spodziewając się, że wracająca królowa obdarzy go choć uśmiechem, ale nadchodząca pani niosła na twarzy zachmurzonej jak noc, w brwiach zmarszczonych, tylko gniewu i złości zapowiedź.

Spojrzała na stojącego u drzwi długiego Dudycza i zatrzymawszy się na okamgnienie, skinęła mu, aby wszedł za nią. Komornik posłuszny wcisnął się we drzwi razem z idącymi za królową dziewczętami. Bona dała im znak, aby szły dalej, a sama podniosła oczy na Dudycza, który pochyłony czekać się zdawał rozkazów.

Przez chwilę namyślała się królowa. Myśl jakąś musiała rozważać jeszcze. Dudycz nie mówił po włosku, ale ze szkół i życia wyniósł trochę łaciny, a królowa doskonale, wprawnie i wytwornie mówiła tym językiem.

— Cóż, Dudycz? — zapytała. — Masz tam dużo do roboty przy starym panu?

Petrek się uśmiechnął.

— Nic a nic — rzekł, jaskając się, powoli — moja służba stać kilka godzin w antykamerze, aby gawiedź się śmiać miała z kogo. Nikt nigdy nie raczył mnie użyć do niczego. Marszałek oczy odwraca.

— Bo jest ich tam dosyć przy moim panu — dodała Bona żywo, chcąc skrócić rozmowę. — Powinieneś szukać innej służby... Młody król się żeni, wiesz? — dodała ze złośliwym przekąsem. — Wiesz? Służby więcej albo dla siebie lub dla żony potrzebować będzie. Życzę ci, abyś się tam zapisać starał.

Dudycz skłonił się posłusznie.

— Byleby mnie przyjęto — zamruczał.

— O to się postaramy — dokończyła Bona, już zwracając się, jakby w głąb pokojów swych pilno jej było — ale Dudycz ma pamiętać, że gdziekolwiek jest i będzie, przede wszystkim moim ma być sługą.

I ręką wskazawszy na siebie, Bona oddaliła się krokiem nieco przyspieszonym.

Dudycz krótką chwilę pozostał zadumany w progu, sam jeden, otworzył potem drzwi i powrócił do antykamery, w której cichy gwar dworzan i komorników panował. Na ławach pod oknami, w półmroku, niektórzy grali w warcaby i szachy, inni, śmiejąc się stłumionymi głosami, coś sobie rozpowiadali. Siedzieli jedni, przechadzali się drudzy, a niektórzy śmielsi, przez drzwi otwarte i tylko kurtyną z kobierca oddzielone od antykamery zaglądali do dalszych pokojów, w których głębi dopiero król stary swych gości przyjmował.

Dudyczowi wśród tego towarzystwa, dla którego się czuł obcym, było też nieswojo. Nikt, spotykając się z nim, nie okazywał ochoty do rozmowy, żaden z dworzan nie zbliżył się do niego. Dlaczego tego wieczora dłużej chciał tu pozostać, sam może nie wiedział. Spodziewał się li jakim przypadkiem, choć przesuwając się z dala, widzieć Dżemnę?

Po krótkim namyśle Dudycz, ostrożnie się przesuwając, tak aby nikogo z zebranych tu kupkami nie potracił, doszedł do kurtyny, podniósł ją i cicho stąpając, wsunął na puste pokoje.

Szeregiem stały one otworem, mało co oświecone, nie było w nich prawie nikogo. Przesuwały się pacholęta, niosące do króla

dzbanki srebrne na misach złocistych, służba zamkowa i jakieś postacie do rozpoznania trudne.

Z ostatniej komnaty dość oddalonej, w której król zasiadał, zaledwie niekiedy głosy tu dochodziły. Ciszą i mrokiem obleczone stały puste izby te, dosyć wspaniałych rozmiarów, ale jak na królewskie, dość przybrane skromnie.

Ławy okryte poduszkami i kobiercami stały ciężkie, krzesła, na których poręczach rzeźbionych gdzieniegdzie połyskiwało złocenie, na ścianach obrazy ciemne, na innych malowania spłowiałe, od sklepień wiszące świeczniki z nie pozapalonymi żółtymi świecami — nie widać było nic więcej.

Dudycz, wszedłszy tu, zwolnił kroku, mógł spocząć na ławach pustych i rozmyślać bez przeszkody. Nikt mu tu ani śmiechem, ni rozmową nie wadził. Posunął się, przeszedłszy pierwszą komnatę, do drugiej, w której więcej cokolwiek światła było. Oprócz kilku świec przy ścianach przez okno na podwórce wychodzące wpadł blask pochodni, których kilka nie zgaszonych palili woźnice i pachołkowie pańscy.

Petrek miał już się w kącie i opatrywał miejsce, gdy zwróciwszy w głąb oczy, zobaczył naprzeciw siedzącego na ławie, rozpostartego wygodnie, z nogą na nogę założoną, starca. Należać on musiał do dworu, a nie był ani wysokim urzędnikiem, ani pospolitym posługaczem. Sam wiek jego podeszły świadczył, że tu jakieś odrębne stanowisko zajmował.

Dudycz, zobaczywszy starca, zatrzymał się z pewną obawą i poszanowaniem razem. Postać była niepowszednia. Blask od okna bijący oświetlał ją ostro, wydatnymi czyniąc rysy, którym starość nie odjęła życia, jakie w nich drgało.

Twarz była długa, czoło wysokie, wypięte, usta ironiczny, łagodny uśmiech trzymał, jakby obojętnością zamknięte na wszystko, co oczy przeszywające chwytaly. Marszczki niezliczone, fałdy i zapadliny, jakby siecią poszarpaną okrywały policzki aż do czoła, które było wygładzone i lśniące... Tam na sklepieniu, gdzie królowa myślała, panowała pogoda.

Rodzaj litościwej wzgardy wybitny charakter nadawał pięknej tej głowie filozofa. Nie w rysach, ale w ich znaczeniu było coś sokratycznego¹⁹.

Widać było, że człowiek ten wiele cierpieć, wiele przeżyć, a

wszystko już lekceważyć musiał. Salomonowe *vanitas vanitatum*¹¹ mówiło z każdej z tych uśmiechających się marszczek. Lecz gniewu w tym śmiechu nie było.

Ubiór wcale się na królewskie nie nadawał pokoje. Miał na sobie suknię długą na kształt opończy, z kapturkiem, pod którą innego domyślać się było można stroju.

Rękę jedną suchą, pomarszczoną, żylastą trzymał opartą na rodzaju kija, który sam tylko tłumaczył, kim był ten starzec, spoczywający tu na ławie, jak gdyby był u siebie w domu. Do kija tego pstrego przyczepionych było kilka lisich ogonów i dzwonek, którym serca wyjęto, aby brzękiem nieustannym nie dokuczały.

Starcem tym był ów sławny królewski trefniś, Stańczyk, który już trzem królom, trzem braciom rzucał w oczy prawdę gorzką,¹² sarkazmem nielitościwym i gryzącym.

Kto on był, ów Stańczyk, którego szanowali wszyscy, bał się każdy — starzec, co innego życia nie pożądał i spoczynku nie zapragnął, o tym już nawet pamięć się zatarła. Mówiono go szlachcicem i miał powagę swego stanu, podanie głosiło niegdyś żołnierzem, który życie ledwie uniósł z Bukowiny za Olbrachta,¹³ a potem, jak się wyrzekł szczytu¹⁴ i nazwiska, jak spadł czy podniósł się aż do trefnisia na dworze, gadki chodziły różne. On sam o sobie nie mówił nigdy. A znał całą Polskę, wszystkie rody, ludzi, związki, charaktery, jakby żywą był kroniką.

Naprawdę nie trefnisia on tu miał urząd i obowiązki; bawił rzadko, chociaż boleśnie często,¹⁵ odzywał się mało. Błądził po zamku i uśmiechał się sam do siebie. Gdy kto mu rzucił pytanie, jeżeli na nie odpowiedzieć raczył, to po długim namyśle i kilku krótkimi słowami, jak ostrze noża włoskiego, wbijającymi się w pierś i pozostającymi w pamięci na zawsze.

Nie dziw, że Dudycz niewymowny, bojaźliwy, znalazłszy się oko w oko wobec tej potęgi, której się lękał, nie wiedział, co ma począć — cofnąć się po cichu czy pokłonić, odejść spieszenie czy się zbliżyć.

Stańczyk już miał wlepione w niego oczy. Karykaturalna ta postać bawiła go, usta zamknięte nieznacznie się ściągnęły.

— Siadaj, Petrek — odezwał się stary, wskazując na ławę.
— Cóżes się ty tak dziś wystroił jakby w swaty lub na wesele?

A po nocy tu u nas wszystkie koty czarne i moja stara opończa warta twojego nowego sajanika ¹⁶.

Dudycz nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz nie śmiejąc się sprzeciwiać, zajął miejsce na ławie w przyzwoitym od trefnisia oddaleniu.

Stańczyk za nim powiódł głową.

— Słuchaj no — rzekł — tyś się to do bab tak przystroił? Czy one jeszcze nie dojadły ci dosyć?

Powstał Dudycz i głową potrząsnął.

— Jam ich znać nie miał czasu.

— A teraz osolony, bezpieczny — rzekł Stańczyk — myślisz na drugie pół wieku puścić się gonionego! Hej, taniec to niebezpieczny!

Spuściwszy głowę słuchał nauki Petrek, nie ważył się ust otworzyć.

— Powiał wiatr żeniący — zamruczał Stańczyk — młodemu królowi dają panią. Zaprawdę czas, aby miał jedną, nakosztowawszy się ich tyłu...

Drgnął Dudycz niecierpliwie i poruszenie to ławie zapewne a Stańczykowi się czuć dało.

— Fraucymer starej pani odetchnie — mówił — gdy królowę przywiozą, a piękna Dżemma oczy śliczne wypłaczę.

Na wspomnienie swej bogini, bo tak ją Dudycz nazywał, żywo się znowu poruszył dworzanin.

— Dżemma? — powtórzył głosem dziwnym, w którym więcej coś brzmiało niż pytanie obojętne.

Stańczyk popatrzył nań złośliwie.

— Włoszkę chciałbyś sobie wziąć — przerwał trefniś — ale dla nas, Polaków, powiadam ci, wszelka włoszczyzna niezdrowa. Zjeść ją można, smakuje czasami, strawić trudno.

Mówił nie spuszczając oczu z Dudycza, a twarz śmiała mu się smutnie tą mieszaniną bólu i ironii, która jest zwątpienia ludzkiego cechą.

Niekiedy zjawia się ona w fizjognomiach filozofów, czasem na licu szalonych. Schodzą się w niej mądrość i obląkanie.

Dudycz wahał się ust otworzyć, wstyd mu było przed tym szydercą do słabości swej się przyznać.

Stańczyk, który zgadywał, czego wiedzieć nie mógł, czytał w biednym Petru jak w otwartej książce.

— Po co ci się kręcić i wisieć przy dworze? — począł z cicha. — Dorobiłeś się z soli chleba, możesz mieć do woli jednego i drugiego... a służyć ci się chce! Nałóg do jarzma! Kark świerzbi, gdy go co nie gniecie! Jechałbyś rzepę siać i Boga chwalić!

Dudycz się czuł dotkniętym.

— Cóż to ja? Dworum niewart? Prostak taki? — zamruczał.

— Hej! — zawołał stary. — Może ten dwór niewart i ciebie!

Ramiona mu się poruszyły, odwrócił głowę. Petrek pod nosem sobie coś mruczał nadąsany.

— A wy czemu przy dworze wisicie? — dało się słyszeć w końcu. — Hm!

Trefniś twarz skierował ku mówiącemu, wyciągnął ogromną rękę swą i ciężko rzucił ją na ramię Dudyczowi.

— Prawdę mówisz — rzekł — i jam tu na nic. Stary król o-głuchł, więc nie słyszy, co Stańczyk prawi, młody słuchać nie ma czasu, królowe tylko trefnisiów lubią... ano, mnie już tu niedługo i nie mam dokąd, a ty...

Rozmowa przerwana została. W sąsiedniej komnacie króla sły-chać było ruch i podniesione żywiej głosy, jakby goście, którzy tam byli, zabierali się do wyjścia. Dudycz zmieszany, nie chcąc, aby go tu z trefnisiem razem na jednej ławie widziano, wstał żywo i nie pożegnawszy starego, pospieszył ku drzwiom bocznym, uchodząc.

Stańczyk pozostał zadumany, obie ręce sparłszy na ławie, zgar-biony, z głową spuszczoną; nie podniósł nawet oczów, gdy głośnie otwarły się drzwi komnat pańskich i na jasnym tle ich ukazały się poważne postacie senatorów niewielu, żegnających starego pana.

Przodem szedł podkanclerzy Maciejowski.

Na zamku krakowskim, który podówczas ciągle jeszcze re-staurowano i przyozdabiano, ku czemu też z Włoch mnogich ściągano kamieniarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, co kolonię włoską, już i tak liczną, z każdym dniem powiększało — na zamku nie było izb tak wiele, aby nawet najpotrzebniejszych królowi senatorów pod bokiem jego umieścić.

Znaczną część komnat zajmowały kobiety, służba, dwór starej królowej, która dla siebie ludzi wielu potrzebowała, a w miarę jak wpływ jej rosł, około Zygmunta stawało się puściej coraz, przy Bonie ludniej.

Ci nawet, których król nieustannie radzić się i posiłkować nimi musiał, na mieście szukali kwater u dostatniejszych kupców. I najwierniejszego a najniezbędniejszego doradcę pańskiego, biskupa płockiego Maciejowskiego los ten spotkał, że na zamku gościem był tylko, choć tu kancelarie się jego mieściły. Może też dostojny mąż ów rad był temu, że choć przez chwilę jedną dnia swobodniej, szpiegów, oczu i uszu niechętnych nie lękając się, mógł odetchnąć a z przyjaciół swymi się naradzić i spocząć.

Smutne zaprawdę było położenie tych niewielu doradców króla starego, którzy przy nim stojąc, resztę jego dostojenstwa ratując, całemu wojsku licznemu, nie przebijającemu w środkach, zauszniaków Bony czoło stawić musieli. Coraz trudniejszą walka się stawała, a rycerzy do nich brakło. Szeregi zacnych mężów się przerzedzały. Król z każdym dniem starzał i stawał się słabszym. Dawna energia uparta Jagiellonów, żelazny opór ojca miękkie złamane chorobą i umiejętnymi napaściami Bony, która znała dobrze małżonka i nie wahała się, dla postawienia na swoim, uciekać do ostatecznych środków.

Naprzeciw Maciejowskiego, ze spokojem, męstwem i powagą wiodącego bój ten z królową, stał ów osławiony, z małego wyrosły Gamrat¹⁷, dzisiaj przeciwko kościelnym prawom i obyczajom razem zasiadający na dwóch najwyższych stolicach biskupich: Gniezna i Krakowa. Kto był ten Gamrat, do którego się Sulimowie niechętnie dawniej przyznawali,¹⁸ o którym prawiono jak o Ciołku

(a był jego wychowawcą i domownikiem), że w kurpiach z Podgórza, pieszo o kijku do szkół krakowskich przywędrował?¹⁹

Człowiek-zagadka był niezawodnie wielce zdolnym i równie przewrotnym, odważnym, zuchwałym dorobkiewiczem. Ciołek, co z syna karczmarza doszedł za łaską Aleksandra najwyższych w Kościele dostojęstw²⁰, był mu wzorem, królowa Bona narzędziem, jak on jej sługą i powiernikiem. Pomimo króla, który go nie lubił, pomimo wszystkich zacnych i pocziwych, co się nim brzydzili, mimo niesławy, jaką był okryty, Gamrat dobił się, czego tylko pragnął, i był wraz z Boną panem niemal Polski tej, której słabnący Zygmunt zwał się królem.

Okolo biskupiego pałacu, przy Gamracie gromadziło się, co służyło Włoszce, przy Maciejowskim i Tarnowskim hetmanie²¹, co wiernym pozostało królowi.

Kamienica, którą w rynku zajmował Maciejowski, gdy do willi swej nad Prądnikiem uciec dla spoczynku nie mógł, wprowadzie na zewnątrz od innych się nie różniła wielce ani od nich była piękniejszą, ale wszedłszy wewnątrz, łatwo się poznawało mieszkanie człowieka, który wykwintnego nabył smaku długim za granicą, szczególnie we Włoszech, pobytem.

Stosunki ówczesne dwu krajów były tak ściśle, jakby ich wielkie nie dzieliły przestrzenie. Małżeństwo królewskie z Boną ze Sforzów ożywiło je, lecz ono też było skutkiem bardzo dawnych i nieustannych Polski z Włochami związków.

Dość jest przerzucić spisy ówczesnych dostojników Kościoła, profesorów akademii, lekarzy naszych, panów, wodzów, aby się przekonać, iż mało który z nich nie uczył się we Włoszech, nie wywiózł z nich idei, nauki, smaku, kierunku przyszłego życia.

Nie było miesiąca w roku, ażeby ktoś z Krakowa nie został wysłany do Rzymu lub stamtąd nie wrócił. Roilo się młodzieżą naszą w Padwie i Bononii²². Uczyli się tam i katedry zajmowali Polacy, jak ów Struś, najślawniejszy z lekarzy w Polsce, który dla niej katedrę medycyny porzucił.

Podkanclerzy Maciejowski, liczny, dla samych spraw, które się w jego kancelarii gromadziły, dwór młodzieży utrzymywać musiał. Stąd mieli wyjść ci, co później zasłynęli na najwyższych dostojęstwach, tu się młodzież kształciła do praktycznego życia.

Oprócz niej do Maciejowskiego się garnęło wszystko, co z bo-

leścią patrzyło na rządy Bony, faworytów, Gamrata, cudzoziemców bez miłości kraju, wyzyskujących go. Tu, jeżeli radzić nie było można, zabołec otwarcie było wolno.

A bolano tym więcej, że przyszłość nie obiecywała się jaśniejszą, bo młody król Zygmunt August, którego teraz żenić miano, był więcej wychowancem królowej niż króla, Włochów niż Polaków, fraucymeru Bony niż rycerzy spod Obertyna.²³

Liczny szereg izb na pierwszym piętrze składał biskupa Samuela mieszkanie, gdy na dole dwór i służba się ścisłała jako tako, jak śledzie w beczce, niby na obozowisku żyjąc.

Nie było przepychu około biskupa Samuela, bo on sam skarbów nie miał, nie zbierał ich i nie trwonił, ale komnaty się odznaczały poważną wytwornością wielkiego smaku. Włoskiego pęzła, obrazy, włoskie marmury i brązy, flamandzkie opony, rzeźby z drzewa ubierały izby, którym prosty człek nie bardzo się dziwił, bo nie błyszczały nadto, ale znawca miał tu na co patrzeć.

Wieczór nadchodził właśnie i biskup Samuel, powróciwszy od króla, spoczywał u siebie, domowników przywołując i łagodnie im dając rozmaite rozkazy.

Piękną, jak dusza Samuela, była zewnętrzna postać jego, pańska bez dumy, dostojna bez wyniosłości, szlachetna bez wymuszania, miła oczom, choć się o to nie starała. Wiek niewiele ją potrafił nadwerężyć. Rysy oblicza zachowywały się tym spokojem męznym duszy, który daje spokój sumienia i wiara w cel żywota.

Maciejowski widział go przed sobą w służbie Kościołowi i krajowi. Stan kapłański do obojga go namaszczał.

Siedząc przy stole, rozmowę prowadził ze spartym na nim marszałkiem dworu swego, gdy w dalszych pokojach szmer zmusił go przerwać naradę.

Wieczorni przybywali goście, na których tu nigdy nie zbywało. Nie bywało tu tłumów, bo nie było biesiad, zabaw i gwaru, ale też nigdy pustkami komnaty nie stały. W tej chwili przybywał Tarło, biskup przemyski, a tuż za nim szedł żupnik Seweryn Boner, gdy na wschodach świecono Andrzejowi z Górki, kasztelanowi poznańskiemu, wielkorządcy wielkopolskiemu. Wszyscy oni spodziewani byli, pożądanii.

Brakło tylko tego hetmana Tarnowskiego, który doma dla pilnych spraw swych był wstrzymany.

U progu witał Maciejowski przyjaciół swych, do których wkrótce i mniej głośnych, a nie mniej mu wiernych garstka się przyłączyła.

Twarze widać było wesołe, lecz po tej wesołości umiarkowanej, cichej, znać było ludzi, którzy ani boleć krzykliwie, ani się wrzaskliwie bawić nie umieli.

Tarło począł Maciejowskiemu winszować zwycięstwa.

— Przemogliście owe mocy nieczyste — rzekł. — Króla młodego żenicie, a przez to go może spod władzy matki wydobędziecie, oddzielicie od niej. Przebóg! — dodał. — Cóż to za czasy, co za położenie nasze, gdy musimy cieszyć się, żeśmy syna matce wydarli!

— Dałby to Bóg — przerwał pan z Górki, rycerskiego wielce oblicza mąż, który wraz z Tarnowskim laury zdobył pod Ober-tynem — lecz dzieło nie dokonane jeszcze...

— A, i daleko do końca — rzekł Maciejowski siadając sam, gdy drudzy goście zwykle miejsca swoje zajmować zaczęli. — Zda-je się, że w końcu małżeństwo to u kolebki obiecane, ciągle będące na celu, przyjdzie do skutku, mimo oporu Bony, ale co za los czeka tę biedną młodą panią!

Milczenie odpowiedziało na ten smutny wykrzyk, który się wyrwał z piersi biskupa.

— Młodziuchna, nieśmiała, a co gorzej pono wątła i słabowita — rzekł Tarło — jak ona tu sama jedna potrafi temu (tu zniżył głos) potworowi się opierać?

— Przypomnijcie legendy stare — rzekł Maciejowski. — Bóg staje w niewinności obronie, a ma ona siłę, której rozum nie potrafi ocenić. Ileż takich dziewic, potworom na pastwę rzuconych, niewidzialne ręce aniołów osłoniły...

— Co daj Boże! — westchnął Tarło.

— Królom nie widział jeszcze — odezwał się pan Andrzej z Górki, zwracając ku biskupowi. — Jakże jest?

Maciejowski nie odpowiadał długo, jakby mu ciężko było otworzyć usta, smutkiem się okryło oblicze.

— Nie łudźmy się, kasztelanie — rzekł powolnie. — Wprawdzie ja, obcując z nim od dawna codziennie, nie widzę schyłku jego jako drudzy, a mimo to król straszliwie osłabiony, znękany, zobojętniały; niepodobna nie dopatrzyć, nie można zaprzeczyć...

— Miał on zawsze chwilki słabości — odezwał się pan Andrzej — gdy go niewieści pisk i krzyki zmogły, ale w nim owa Kaźmierzowa ojcowska stałość myśli mieszkająca, że się chwilowym ustępstwem z prawej drogi sprowadzić nie dawał.

— I dziś on widzi jasno — rzekł biskup Samuel — ale spokojny jakiś fatalizm starości go ogarnął. Mówi snadź sobie, iż Opatrzność ludzkie sprawy do pewnego wiedzie końca, i choć ulega, niebezpieczeństwa w tym nie widzi.

Maciejowski wstrzymał się chwilę i dodał z uśmiechem:

— Miłość jego dla przewrotnej tej gadziny włoskiej dawno ostygła, zna ją lepiej od nas wszystkich. Na wskroś przegląda każde jej słowo, zamiar i czynność, niekiedy łaje i w oczy ją głupią zowie albo szaloną... Cóż po tym? Gdy przywiedziona do ostateczności stara pocznie krzyczeć, płakać, rzuci się na ziemię, poszarpie suknie na sobie, włosy rozrzuci, bluzgać pocznie i Polskę przeklinać, Zygmunt w końcu woła: „Idź! Idź! Rób, co ci się żywnie podoba!”

W milczeniu słuchano, aż przerwał biskup Tarło.

— Króla mi i pana mojego żal — rzekł — boć w nim wielki mąż był i monarcha wielki.

— Bez wątpienia — powiedział Maciejowski. — Nadszedł wiek; sędziwe lata, choroba uczyniły swoje. Nie tym jest, jakim był w początkach. Widzi jasno, poczynać nie ma siły; ratuje się więc w sumieniu swym tym, com wskazał: wiarą w Opatrzność. A ja bym ją, taką jaka ona jest, rychlej fatalizmem nazwać mógł. Dobrze jest zdanie się na wolę Bożą, bo bez niej nic się nie dzieje, aliści i człowiekowi dana wola w pewnej mierze, której zażyć ma obowiązek.

— *Quid sine viribus ira?* ²⁴ — szepnęła Tarło wzdychając. — Tym też nasza Polska wdzięczniejszą być wam powinna, bracie Samuelu, żeście z panem hetmanem przy małżeństwie młodego króla obstali i przyszłość nim ocalili.

— *Utinam!* ²⁵ — westchnął Maciejowski. — Uczyniono, co było można, ale nie ludźmy się, powtarzam. Stanęliśmy do walki, jeden Bóg wie, przy kim będzie zwycięstwo.

— Przy dobrej sprawie! — zawołał pan Andrzej z Górki.

— Tak, ale my, co walczymy za nią, garstką jesteśmy, a złych, co przeciw stają,śmy i legiony — rzekł gospodarz.

— Jakże Włoszka przyjęła porażkę? — odezwał się pan Sève-ryn Boner, żupnik, mężczyzna rozumnej twarzy, choć niepięknego oblicza kwadratowego i rysów dość pospolitych.

— Złość swą musiała wyrzucić za kurtyną na karlicach i służ-
gach, na tych, co jej służyli a zawiedli, lecz gdy raz uchwała sta-
nęła — mówił Maciejowski — co począć miała? Uśmiechnęła się
ironicznie, wyzywająco, jakby mówiła: „Nie otrąbiajcie zwycię-
stwa, pókiście go niepewni!”

— A cóż pocnie? — spytał Tarło.

— Mój Boże! — mówił Maciejowski. — Spytajcie raczej, cze-
go nie pocnie! Ażali włoskich sztuk nie znacie? Pewna rzecz, że
tam w tym kraju i wszelkiego dobra, i siła złego się nauczyć moż-
na. Krew u nich żywiej płynie, a ludźmi miota. Nie wiecie, co tam
może trucizna, sztylet i straszniejsza nad nie przewrotność? Wszy-
stkiego tego zażyć przeciwko nam mogą, przeciw tej niewinnej
ofierze.

Zamilkł urywając nagle.

— Grzesznym bym był — dodał — gdybym bez dowodów, iż
się to stać może, tak srodze obwinił, lecz patrzyłem, widziałem
i wiem wiele. Dałby Bóg, byśmy pokonali tę potworę, która w her-
bie Sforzów dziecko pożera! *Omen* to jest!

Wzdrygnął się Tarło i rękę podniósł jedną do góry.

— Młody król przecież żonę umiłować musi; godzi się na niego
rachować, że jej przeciwko matce bronić będzie.

Wstał pan Boner potrząsając głową.

— Przeciwko miłości dla żony jest tu miłostek bez miary,
coraz świeższych, a coraz powabniejszych, są dawne ulubienice...
a ona, matka, Boże mi przebac porównanie, jak ona Neronowa
'Agryppina²⁶ nad umysłem syna potęgę ma wielką.

— Tak jest — potwierdził biskup Samuel. — Patrzaliśmy na
wychowanie królewicza, które na to jedynie obrachowanym było,
aby władzę wielką nad umysłem jego osiągnąć.

Domagali się głośno a mocno panowie wszyscy, aby młody
pan wychowanie odebrał męskie, rycerskie, bo choć chwilami po-
kój mamy, nigdy bezpiecznymi od sąsiadów nazwać się nie może-
my. Wojna jest przeznaczeniem naszym, wojna — rzemiosłem. Nie
dała Bona uczynić syna wojownikiem, odebrała i w fraucymerze
zawarła, pieszcząc go, aby zmięknął... Od ojca go trzyma daleko,

od ludzi oddziela, od świata zasłania podwiką²⁷... Czegóż się po nim spodziewać?

Wtem pan Seweryn Boner przerwał.

— Tak ci ostatecznie źle może nie jest, jakby być mogło — rzekł. — Znam ja młodego króla od dziecińczych lat jego. Pan niepospolitych umysłu przymiotów, a i serca wielkiego, szlachetności wielkiej.

— Co po tym, jeśli zniewieściał? — spytał Tarło. — Słabość w mężczyźnie przywarą wielką... Sprężyny nie ma, półzegarze²⁸ nie idzie... Cóż dopiero w panującym, który wolę winien mieć za tysiące!

— No — odezwał się pan Andrzej z Górki — przyszłością się nie trapmy do zbytku, gotówem i ja ze starym królem zostać fatalistą! Bóg się ulituje nad nami. Tymczasem myśleć potrzeba, jako tej młodej pani, która tu przybyć ma, zastęp utworzyć, obrońców zjednać, czuwanie zapewnić.

— Ja — rzekł po małym milczeniu Maciejowski — najwięcej liczę na starego króla. Szczególną bowiem w nim zawsze upatrywałem miłość dla tej narzeczonej syna, a tak bliskiej powinowatej. Krew ci to nasza, wnuczka Władysława czeskiego, i czy temu, czy jej młodości, czy myśli za wcześnie powziętej a długo piastowanej, winna Elżbieta, że ją już dziś Zygmunt jak własne dziecko miłuje. Żadnej ze swych córek, nawet Izabeli ulubionej Bony, nie kochał tak, a Dantyszek²⁹ i Latałski³⁰, co ją widzieli, twierdzą, że miłość ta jest całkiem usprawiedliwioną. Śliczne ma być dziecię, skromne miłe, obyczajów pięknego, wychowane w bojaźni bożej, serca przedziwnego, umysłu rozbudzającego się; a że wcześniej ją naszemu Augustowi przeznaczono, że listy nawet pisywali do siebie, więc w młodym sercu już jest uczucie dla przyszłego męża.

— I ta to gołąbka niewinna — zamruczał, głową potrząsając, Andrzej z Górki — ma paść ofiarą sępów!

— Znajdzie obrońców, w Bogu nadzieja! — dodał Maciejowski.

Czasu tej rozmowy, jak pospolicie u biskupa Samuela wieczorami, gdy widziano światło, ten i ów z przyjaciół jego wchodził. Znaleźli się Bojanowski³¹ rozumny, Lupa Podlódowski³² i kilku innych. Ale na nich nie zważając, bo wszyscy swoi byli, rozprawiano dalej, a nikt się z myślą swą nie ukrywał.

Wtem u drzwi szelest powstał i niektórzy głowy zwrócili ku nim, bo się ktoś śmiałym, posuwistym krokiem zbliżał ku rozmowcom, a był człowiek dla nieznanym wielce oczy ściągający i niepospolitej powierzchowności.

Takiego się najmniej na pokojach biskupa Samuela spodziewać było można, bo tu wszyscy pańsko i bardzo ochędoźnie wyglądali, a przybywający, choć mu na fantazji nie zbywało, bardzo z prosta i zaniedbanie był odziany.

Strojów onego czasu dziwnych nie brakło, a co człek, można było niemal coraz inną modę widzieć na nim, ale po wchodzącym trudno było poznać, do jakiego należał narodu.

Buty miał długie, jakie w Polsce pospolicie noszono, spodem suknię jak sajanik skrojoną, ale wytartą i wyblakłą, choć materia na niej była niegdyś kosztowna i piękna. Wierzchem zaś na niej, wyszarzanym aksamitem okryte miał futerko z popieliczych wieiórek, jakie by ledwie staremu słudze na powszedni dzień przystało. W rękę zaś trzymał kołpaczek futrzany, tak dobrze stary, jak odzież cała. Za paskiem na sajaniku zatknęta była para rękawic wyszywanych, zużyta — u boku ani miecza, ani szabli, tylko pod pachą laskę kutą niósł. Niepozorny ten człek, średnich lat, przed czasem postarzały, głowę miał ogromną, nad którą czoło wypełzłe jak bania sterczało; twarz chuda, długa kończyła się spiczasto. Brzydki był, ale w oczach tyle rozumu miał, a w tej twarzy życia tyle, iż poszanowanie jakieś wzbudzał. A musiał się mieć za niepośledniego sam on, gdyż owi dostojni mężowie, owe bławaty, szaty i łańcuchy, między które poufale tak wchodził, bynajmniej go nie onieśmiewały.

Ci, co na drodze mu stali, ustępowali z ukłonem, z dala będący witali go z uprzejmością wielką, a ksiądz Samuel ręką wcześniej go pozdrawiając, życzliwie się uśmiechał.

Zbliżywszy się do stołu, nowy gość z tą śmiałością, z jaką wszedł, dokoła się pokłonił i stanął.

— Gościem wy u mnie rzadkim a wielce pożądanym, Strusiu miły — odezwał się biskup — bądźcież pozdrowieni!

Struś głowę skłonił nieco.

— Dzięki Bogu, mnie tu nie było potrzeba — rzekł — a gdzie indziej mus iść i konieczność. Doktorowi wszyscy radzi, ano bodaj go nie wołać.

Struś ten był naówczas najzawołanyszim z lekarzy w Krakowie, choć tu na nich nie zbywało, bo i Polaków, co się we Włoszech uczyli, i Włochów, i różnych cudzoziemców siła było można naliczyć.

Struś bodaj innych nauką i byстрыm okiem w rozpoznawaniu chorób ludzkich i temperamentów przechodził. Szanowano go powszechnie z nauki wielkiej, ale i z charakteru nie mniej pięknego. Jako to lekarzom wielu się trafia, codziennie z widokiem śmierci oswojonym i sprawy ludzkie nawykłym widzieć, jak marnymi są, Struś swobodę umysłu i mowy wpośród najdostojniejszych osób zachowywał, a nie korzył się przed nikim. Tak mu było prawdę łatwo powiedzieć królowi, jako parobkowi, a zawsze była zdrowa i jędrna. Nie lękał się też nikogo, gdy jego wszyscy pożądalі.

Ostatnie wyrazy rozmowy toczącej się o królownie Elżbiecie, wchodząc, Struś pochwycić musiał, bo gdy się uciszono, rzekł:

— Nierad bym przerwał *encomium*³⁸ przyszłej pani naszej, a dowiedzieć by mi się było miłym, że też dosyć siły a zdrowia mieć będzie, aby tu i miłości jednych, i nienawiści drugich podołać mogła biedaczka.

— Co do zdrowia jej — zniżając głos rzekł biskup z powściągliwością pewną — różne wieści krążą, daj Boże, nieprawdziwe a złośliwe... Słabowitą być ma a wątłą.

Strusiowi się, słuchając, rozrosłe brwi pod wysokim czołem ogromnie marszczyły.

— Jam coś też zasłyszał — rzekł — i dlatego pytam. Powiadają, że matka jejmości niedobrego jest zdrowia, a i w ojcu pewne przypadłości mogły z niego przejść na dzieci, chociaż to koniecznym prawem nie jest, aby one dziedziczyły je. Trafia się ten spadek często, lecz nie wszędzie, jedne dzieci mija, drugie obarcza.

Maciejowski milczał zamyślony.

— Skąd ja to wiem — rzekł — nie raczcie mnie badać; słyzałem wszakże od tych, co często ostatnimi dniami królową starą widywali, że ma pociechę z tego wielką, acz może przedwczesną, iż u przyszłej królowej o chorobie jakiejś skrytej wie, która jej życia długiego nie obiecuje...

Wszyscy chwilę milczeli, a pan Seweryn Boner po cichu szepnął biskupowi Tarle, obok którego siedział:

— Może zawczasu choroby przepowiadają, aby się jej nie

dziwowano, gdy potem włoskim kunsztem ją w kubku lub woni zadadzą!

Struś dosłyszawszy, smutnie się uśmiechnął.

— Zowiecie to włoskim kunsztem — odezwał się — chociaż on i we Francji, i po równi w innych krajach, pod ten czas zły do wielkiej doskonałości doprowadzony został. Zaprawdę ohyda to i smutek, gdy człowiek rozumu swego i nauki na to zażywa, aby potajemnie i bezkarnie broił. Doszliśmy do tego, że i Lokusta lepiej smażyć nie umiała nad nasze trucicielki.³⁴ Srom wyznać, że i pomiędzy doktory są tacy, którzy nad tym pracują, aby jak najsubtelniejsze trucizny urządzać umieli, które potem nie na wagę złota, ale za ogromne sumy sprzedają...

— Ale są antidota — odparł po chwili biskup — i mówią o kamieniach takich, które nosząc, nigdy otrutym być nie można.

Struś się uśmiechnął.

— Przeszła do nas ta wiara od starożytnych, tak jako o ametyście głoszą, iż upić się nie daje, ale cudny³⁵ to by kamień być musiał, żeby samo nań wejście i noszenie go połknięty jad niszczyło... Baśnie to są.

— A toż prawda — zapytał Boner — że i zapachem zabić można?

— Pędzej niż wejściem na kamień uleczyć — rzekł Struś — lecz smutna to treść rozmowy, rzućmy ją lepiej.

— O wesołą bo trudno — przerwał biskup Samuel.

Po tych słowach rozdzielili się mówiący i każdy z nich pojedynczo z kimś cichą zawiązał gawędę. Wszystkie zaś one mniej więcej jednego się tyczyły przedmiotu — młodego króla i królowej przyszłej, na których wielkie pokładano nadzieje, tak jak Bony i królowania jej coraz się rozwielniającego lękali wszyscy, tym pocieszając tylko, iż ono z żywotem starego pana ustać miało.

Słowo to było w ustach wszystkich, i dosłyszawszy je, biskup Samuel rzekł, że i to niepewna, ażali Bona, która na pozyskanie serca syna pracowała od dzieciństwa jego, nie potrafi go zatrzymać, tysiączne na to mając sposoby.

— Jakie one są — mówił, znowu podniósłszy głos, Maciejowski — wszyscy wiemy, bośmy na nie patrzyli. Młody pan wiele potrzebuje, bo do wykwintnego i zbytowego życia jest nawykły, kocha się we wszystkim, co piękne, a co piękne jest, szacowne być

musi. Stary król nierad na fraszki mu dostarcza i ostrzej by go chciał wziąć, czemu Bona nie przeszkadza, zarazem okazję mając tajemnie ze skarbcza go swego zasilać, co miłość jedna i utrzymuje. Jest w Chęcinach na zamku z czego wszelki zbytek żywić.³⁶ Gorsze drugie — kończył biskup oczy spuściwszy — boć na krewkość wielką młodego króla obrachowane. Ma Bona zawsze przy sobie podostatkiem pięknych dziewcząt, Włoszek i Polek, a przez szpary patrzy na miłości syna.

— Coś bym i ja o tym powiedzieć umiał — szepnął Struś — wczoraj bowiem młody król przez dworzanina mnie swego prosić kazał, abym nie wyjawiając, że to z jego naprawy³⁷ poszło, Włoszce Dzemmië coś radził, gdyż chorą być ma.

— To wiadomo — wtrącił Boner — iż piękna bardzo Włoszka, bo to perła na dworze królowej, od dawna młodemu panu w oko wpadła... a zli ludzie mówią, iż Bona sama tego życzyła i ułatwiała.

— Byliście na zamku u niej? — zapytał ciekawie Andrzej z Górki.

Struś głową potrząsł.

— A jakżebym chorej i królowi odmówić miał? — rzekł. — Dworzanin Merło, co mnie prowadzić miał, tak się starał czas i drogę wybrać, aby nas nie baczone. Nie wiem, czy kto dojrzał mnie po pustych błędzącego kurytarzach, zanim Merło, przodem pobiegłszy, dał mi znak, iż wniknąć mogę. Gdym na próg wstąpił — mówił dalej Struś — w tejże chwili u drugich drzwi opadła kurtyna, i nie mylę się, bom młodego pana uchodzącego poznał. W komnatce tak ochędożnej a przybranej, jakiej nigdy królowny nasze nie miały, bo około tych skromnie jest i ubogo, zastałem ową piękność, u której nóg jeszcze świeżo porzucona lutnia leżała i struny jej nie dograną pieśnią cicho dźwięczały. Ujrawszy mnie, zapłoniła się wielce i stała nieruchoma jak posąg, tak żem czas miał się dobrze przypatrzeć zbliżając powoli. Oczów na mnie długo podnieść nie śmiała.

— Naprawdę bardzo piękna! — odezwał się Boner.

— Ani we Włoszech nawet takich wiele — potwierdził Struś — choć tam niewiasty za młodu słyną pięknnością, tylko że ona nietrwałą jest; gdy naszych jejmości, jak się trafi hoża, to i w pięć-

dziesięciu leciech między dziewczkami stanąć może, gdy Włoszka, do trzydziestu ledwie doszedłszy, już stara.

Ozwałem się do wylekłej pytając, czy chorą była.

Podniosła dopiero oczy śliczne na mnie i cicho rzekła: „Nie mi nie jest”.

Ująłem za rękę i puls badałem, który bardzo pospieszny był i nieregularny. Niepokój duszy we krwi się czuć dawał.

Na pytanie moje ledwie mi odpowiadać chciała, wciąż na drzwi spoglądając, których zasłona drgała, jakby za nią kto stał ukryty.

Chorą ją nie znalazłem, ale zdrową się nazwać nie godziło, bo z takiego niepokoju w całym ciele ludzkim srogie nieporządki powstać mogą i śmierć nawet sprowadzić.

Ani tu moje leki aptekarskie mogły być skuteczne. Rzekłem więc, aby w sobie spokój starała się utrzymać i dobrą myśl, rozrywki szukała, muzyki zaniechała. Ziółko też usypiające i uspokajające przysłać obiecałem.

— Łacno odkryć tej choroby przyczynę — przerwał pan Boner — We dworze już wiedzą wszyscy, bo i stara królowa języka utrzymać nie umie nigdy, że król młody się żeni. Stąd kochanicy troska sroga, bo że była i jest Augustową miłośnicą, o tym na dworze nie wątpi nikt. Królowa stara obsypuje ją łaskami, a przez nią syna przy sobie trzyma i zachować go się spodziewa.

— Niewątpliwa, iż plan taki jest osnuty — przerwał Maciejowski — łacno go i podpatrzyć, i odgadnąć, aliści nie wiem, czy równie będzie lekko przywieść do skutku.

Zamilkli wszyscy.

— Na to królowa stara wcześniej obmyśla sposoby — odezwał się Górka — czasu ma dosyć. Rozsiewają już wieści, że przyszła żona chorobę jakąś wiezie z sobą, nie dla czego innego, tylko aby do niej zrazili. Będzie to dobry powód, aby oddalić Augusta, którego Dżemma pocieszać nie zaniedba.

Westchnął biskup Samuel, ale wtem marszałek dworu otworzył drzwi jadalni i oznajmił, że wieczera podaną była, i jakby dla niej wszedł też, śmiejąc się, brat biskupa — a wszyscy razem, oprócz Strusia, który za chleb wieczorny podziękował, ruszyli do sąsiedniej sali.

Z dawna dwór biskupi krakowski, choć na nim siedział Oleśnicki³⁸ i kardynał Jagiellończyk³⁹, takiego przepychu i świetności nie zaznał, jak pod ten czas za Gamrata.

Stara to i udowodniona prawda jest, iż ten, co od kolebki nawykł do dobrego bytu, do dóbr, mniej do chlubienia się nim jest pochopnym.

O Gamracie mówiono, że w łapciach przyszedł z Podgórza, tak jak o Ciołku, że karczmarza czy szewca synem był, a oba oni bez wielkich zbytków się obejść nie mogli.

Nadworne strażę, liczni komornicy, służba aż do najmniejszego pacholka, jeżeli nie na co dzień, to na uroczystości Gamratowi w takich strojach, zbrojach i przyborach towarzyszyli, że gasili barwą swą i rynsztunkiem najmożniejszych domów pocztę.

Prawda, iż arcybiskupstwo gnieźnieńskie i biskupstwo krakowskie dzierżąc, dwa książęce beneficja, mógł Gamrat starczyć na przepych książęcy i sprostać Tarnowskiemu, Górkom, Zebrzydowskiemu i najmajętniejszym magnatom.

Gdy u innych wspaniałość z wytwornym smakiem połączoną była, Gamrat się szczególnie w tym kochał, co oczy spóśtwa zachwycało i połykiem je pociągało.

Więc od złotych bramowań były barwy,⁴⁰ kapy na konie, złotem świeciły i szkarłatem kolebki, a liczba pocztów dostojności odpowiadała. Dwór jego więcej na świeckiego pana orszak, niż na duchownego drużynę wyglądał, ale i on sam też, mimo najwyższego dostojństwa w hierarchii kościelnej, o kapłańską mniej stał powagę.

Panem przede wszystkim chciał być, przeto i dobroczynnym bywał po pańsku, bo gdy w podróż się puszczał po dobrach swych, szły za nim wozy odzieżą i chlebem dla ubogich naładowane. Sypał tak hojnie, jak mu zbierać łatwo było.

Nie poskapiła natura szczęśliwemu dziecku wyposażenia, dając mu oblicze piękne, choć się ono już w tych leciech jego znacznie było rozlało i zgrubiały rysy, postawę przy tym miał wspaniałą, wzrost i tuszę pańską. Z oczów tryskał rozum i przebiegłość,

jako też umysłu był prędkiego i odgadywał łatwo to nawet, czego się nigdy nie uczył.

Głębokiej nauki Maciejowskich i Tomickich⁴¹ nie miał nigdy, ale dowcip żywy i giętki, słowo łatwe i rodzaj wymowy bujny i kwiecisty, który stał za mądrość.

Z ludźmi, których sobie pozyskał chciał, był tak miłym, a tak się szczerem zdawał, choć nim nie był, że za serce łatwo chwycił.

W środkach wcale nie przebierał, i życiu jego jawnie wiele zarzucić było można, lecz o to nie dbał. Namietności swych poskromić nie umiejąc, gdyby nawet cnotliwego udawał, nikogo by nie oszukał.

Gdy z jednej strony obyczajów jego uniewinnić niepodobna było, miał jednak ten srom jakiś w sobie, że za nie płacić usiłował głośnymi czyny.

Sypał pełną garścią na ubogich, szczególnie tam, gdzie nie tylko lewica, ale tysiące oczów z prawej i lewej strony widzieć to mogło. Młodzieży do nauki pomagał chętnie, grosza na to nie żałując, dla przyjaciół hojnym był, a im głośniejszą sprawę, tym ochotniej robił.

Ale tak samo, jak się z dobrym chwalił, tak złego nie ukrywał, i miłośnica jego z Sobockich Dzierzgowska, a jej rodzina niemal na dworcu arcybiskupim zamieszkiwała. Wizerunek pięknej pani wisiał w pokoju na ścianie, a gdy się arcybiskup w podróż puszczę, szła za nim kolebka tej, którą żoną arcybiskupią publicznie zwano.

Ona się też nie sromała być ulubienicą Gamratową, a ośmielać ją musiało to, że u królowej Bony na pokojach także włońskiego pęzła wizerunek jej widzieli wszyscy i stara pani mówiła o miłości arcybiskupa dla niej, jako o rzeczy godziwej i uprawnionej.

Zzymało się na to duchowieństwo, bo od Pawła z Przemankowa zgorszenia podobnego na stolicy krakowskiej nie widziano.⁴² Rozwiążcie życie wiódł kardynał Jagiellończyk,⁴³ ale osłaniano je przecie, aby w oczy nie biło.

Gamrat się z niego prawie chlubił, a zwano to z przekąsem „włoskim obyczajem”.

Pospolicie, gdy królowa stara na zamku krakowskim mieszkła, Gamrat jej nieustannie bywał potrzebnym. Obejść się bez

niego nie umiała, i do rady, i do wykonania służyć musiał, więc znaczniejszą część dnia spędzał na Wawelu i późno powracał.

Ale rzadki dzień się obszedł potem bez nocnej biesiady, bo biskup i jeść dobrze, i pić lepiej jeszcze lubił, a gdy jadł lub pił, nigdy sam nie siadł do stołu, towarzystwem się otaczając wesołym ludzi, co by go zabawić mogli i dobrej myśli przyczynić.

Przy owych tedy sławnych Gamratowych wieczerzach, które letnich dni nieraz trwały do poranku, brano na zęby wszystkich, co do obozu królowej nie należeli, a słowo grube i żart plugawy nie były nowiną.

Na niczym tym biesiadom nie zbywało, cokolwiek rozbudzić i rozochocić mogło, ani na trefnisiach, ani na muzykantach, ani na pochlebcach dworujących faworytowi, tylko na pomiarkowaniu i skromności.

Niewiastom też z panią Dzierzgowską wstęp nie był wzbronionym, choć duchowni u stołu przeważali liczbą.

Lecz kto z nich u Maciejowskiego bywał, ten u Gamrata nie pozostał, i nawzajem. Gdy zmuszony czasem profesor akademii, prałat jaki u stołu zajął miejsce, przed końcem uczty się wynosił, bo im ona dłużej się ciągnęła, tym swawola była większa.

A taka jest moc nieszczęsna władzy, znaczenia i wszelkiej siły, że choć sam Gamrat w prawie powszechnej był ohydzie, kłaniało mu się możnych ludzi coraz więcej, gościło dostojnych coraz mniej tu spodziewanych.

I najgłośniejszych imion ludzie, jak Opalińscy⁴⁴, jak Kmita⁴⁵, nie uchylali się od arcybiskupa, bo co stało przy królowej, z Gamratem trzymać musiało. Szczególniej w ostatnich latach, gdy król coraz widoczniej starzeć począł, a żona nad nim przewagę coraz większą brała, Gamrat też rosnął i potęgniał. Ani do urzędu, ani do ucha króla dobić się nie było można bez niego. Nie starczył dątek, choć królowa sobie za wszystko płacić kazała — pokłon był niezbędnym. A im kto dłużej kłaniać się nie chciał, tym potem niżej musiał.

Wieczoru tego na dworcu się też gotowano z wieczerzą, gdy biskup powróci, i z otwartych okien kuchni aż na podwórze dolatywała woń zamorskich korzennych przypraw, bez których żadna się pańska kuchnia nie obchodziła. Smakowały one komu czy nie, dla samej swej ceny używać się kazały, aby okazano, że stać

na to było, by imbierem, szafranem, muszkatałą, cynamonem półmiski zaprawne były.

Liczny dwór dosyć niesfornie kręcił się w podwórcu ze śpiewkami na ustach, pobrzękując na cytrach, odprawując gonitwy takie, jakby to nie był księży dwór i duchownego mieszkanie. Zbrojnej też gawiedzi więcej oko spotykało niż sukni kapłańskich, które wielu zrzucało lub tak przykrawywało, że się świeckim nadać mogły.

Synody wprawdzie ostro nakazywały i tonsurę, i sutanny, i bezbronność ⁴⁶, i wyrzeczenie się świecideł, lecz sam pasterz stroił się i nikomu nie ganił tego, kto mu przyjaźnym był.

Kolebka Gamratowa jeszcze nie nadażyła z zamku, gdy Sobocki, którego naonczas na województwo gwałtem siostra forytowała ⁴⁷ wraz z nią zajechał kolebką szkarłatną ze świecidłami mośięznymi przede drzwi główne.

Z jejmością razem (Dzierzgowską) przybywała druga jej towarzysza i pokrewna, Sobocka także. Stryjeczny brat jej, który je przeprowadzał, stał na stopniu kolebki, trzymając się balasów ⁴⁸, na których pokrycie spoczywało... Mężczyzna był tak urodziwy, jak siostra, z której łaski u Gamrata był w zachowaniu, ale już wiekiem i życiem roztyły, ocieężały i na twarzy zbyt rumianej napiętnowany od napojów gorących. Stroił się jednak młodo, dbał o swą piękność i chciał się nią jeszcze chlubić.

Wysiadająca z kolebki Dzierzgowska, ulubienica Gamrata, cała w jedwabiach, łańcuchach, klejnotach, forbotach ⁴⁹ i plecionkach złotych, niewiastą już była przeszło trzydziestoletnią, pięknej kibici, kształtna, silna, rumiana i biała.

Twarz zalotnie uśmiechnięta, z wielkimi oczyma szafirowymi, mówiła równie jak malinowe usta, że jejmość wesołe życie lubiła. Śmiała się wysiadając, gdy ją Sobocki wraz z nadbiegającym marszałkiem dworu na rękę niemal wynieśli z powozu. Tuż za nią szła druga Sobocka, piękna też, ale nie mogąca z siostrą się równać. Mniejsza od niej, pulchna, tylko białym licem i zbyt nastrzępionym odznaczała się strojem. Marszałek arcybiskupi w proggu oznamił, że arcybiskup dotąd z zamku nie powrócił.

— A! — zawołała, śmiejąc się, Dzierzgowska. — Gdyby Bona nie była starą i królową, byłabym zazdrośną. Godzina dobrze druga lub trzecia na całym zegarze ⁵⁰... już by doma dawno spocząć powinien.

Marszałek poruszył ramionami.

— Opóźnienie — rzekł cicho i poufnie — to by jeszcze nie było nic. Wiadomo, że nasz arcybiskup na swej głowie i ramionach tyle dźwiga, iż mu podolać trudno. Nic się nie dzieje bez niego. Gorsza to, że od dwóch dni już chodzi ksiądz arcybiskup jak struty, z troską jakąś, której nic rozproszyć nie może. Jeszczem go takim nie widział nigdy.

Zmarszczyła się pani Dzierzowska.

— Ale cóż mu się stało?! — zawołała nasepiona. — Mielizbyście nie wiedzieć nic?

Rozmawiając tak, weszli do wielkiej sali rzeźbiarskiej oświeconej, w której stół-wspaniałe był nakryty. Na drugim obok stały wyzłacane nalewki⁵¹ i także misy z ręcznikami szytymi bogato, przygotowane dla gości do umywania rąk przed wieczerzą. Służba w kącie gotowa była na skinienie.

— Nie wiecie nic? — zapytała Dzierzowska.

Marszałek pokręcił węża i usta wydał.

— Nie tai nic przede mną — rzekł — ale tym razem nie mogłem się dowiedzieć, co mu jest. Rzecz tym osobliwsza, że wczoraj kładąc się spać, był najlepszej myśli, śmiał się, żartował... Położył się potem, a rano wstał blady, spotniały, zmęczony, do siebie niepodobny tak, żem po pana Strusia lub innego lekarza chciał słać, ale ofukał, że go nie potrzebuje. Przez cały czas, gdy się odziewał, wzdychał zadumany, co nie jest jego obyczajem. Dziś we dnie jeszcze się te chmury nie rozproszyły.

Dzierzowska i Sobocki spoglądali na siebie, badając się wzajem. Marszałek stał nasłuchując, czy kolebki arcybiskupiej, której oczekiwał, turkotu nie posłysz. Ale cicho było dokoła, tylko z podwórca dolatywały śmiechy, śpiewki i gwary.

Upłynęło tak ze ćwierć godziny w oczekiwaniu, gdy w ostatku zatętniało w dali i marszałek naprzeciw pana swojego pospieszył razem z Sobockim, a dwie kobiety same w sali pozostały, zbliżając się tylko nieco ku progowi. Pochodnie mignęły u okien, arcybiskup przybywał.

Po chwili zjawiała się piękna jego postać we drzwiach, ale tak zasepiona, z wyrazem takiej trwogi jakiejś i srogiego niepokoju na twarzy, iż pani Dzierzowska się przelekła.

— Co wam jest? — zapytała żywo.

— Co mi jest? — butnie odparł arcybiskup, zmuszając się do uśmiechu. — A któż wam mówił, że mi się co stało?

— Z twarzy to widać!

— Lica kłamią pod czas jak i usta! — zawołał Gamrat. — Zmęczony człek wydaje się zatroskanym, znużony smutnym.

W chwili, gdy arcybiskup do sali jadalnej wchodził jednymi drzwiami, drugimi z bocznych komnat już na niego oczekujące, zwykle, codzienne towarzystwo cisnęło się tu także. Duchowni strojni, jakby nimi nie byli, świeccy po włosku, po usarsku, po węgiersku,⁵² po niemiecku poubierani, dwa karły, trefniś, wszystko się to razem wtoczyło.

Marszałek, który rozkaz już odebrać musiał, natychmiast misy na stół przynosić kazał, a Gamrat już szedł do nalewek, któremu wodę chłopięta na ręce zlewać poczęły. Za tym i paniom, i innym gościom podstawiano misy i podawano tuwałnie⁵³.

Gwar wesoly rozszedł się po sali oświetlonej i błyszczącej od sreber i szkła weneckiego. Wszyscy jednak, ku arcybiskupowi spoglądając, widzieli zarówno, że nie takim przybywał jak zwykle. Zły ten humor powszechnie przypisywano temu, że i królowa stara, i Gamrat pobici zostali w sprawie małżeństwa młodego króla. Żeniono go pomimo nich — zapowiadały się burze i ciężkie walki.

Gdy Gamrat zajął swe siedzenie, obok którego po obu stronach Dzierzowska i Sobocka się umieściły, a inni też wedle dostojęstwa krzesła zasiedli, zapach polewki rozszedł się po izbie i słysząc było przez czas jakiś tylko brzękanie łyżek i dźwięczenie mis potrącanych nimi.

Arcybiskup, ledwie tknąwszy jedzenia, porzucił je, nalać sobie kazał wina, wypił nie mieszkając i siadł oparłszy się na rękę.

Nawykli przy biesiadach widywać go zawsze rozbudzonym, do wesela powołującym, ochoczym, zdumieni potrącali się łokciami: „Co mu to jest?”

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć, bo takim go nigdy nie widziano, takim on nigdy nie bywał.

Dzierzowska cicho badać go zaczęła. Spojrzał z góry na nią, chciał się łagodnie uśmiechnąć, lecz skrzywił tylko i rzekł:

— Źle się czuję na zdrowiu. Sam nie wiem, co mi jest. Do

melancholii nie miałem nigdy skłonności ani mnie hipochondrykiem kto widział, raczej cholerykiem niekiedy. Przejdzie to wszakże i z wolna się zatrze... Bądźcie wy dobrej myśli, abym ja z niej się cieszył, gdy własnej nie mam.

— Mówicie tak — odparła Dzierzgowska czule — dobre to dla drugich, nie dla mnie, która mam to szczęście dobrze was znać. Strapienie jakieś wam dolega, a ciężkie nad miarę być musi, gdy tak widocznym się stało.

Westchnął Gamrat, nic nie odpowiadając.

Więc i Dzierzgowska, Sobocki i marszałek, i wszyscy ci, którym szło o to wielce, aby wesołym pana widzieli, poczęli szeptać, krzątać się, różne wymyślając sposoby.

Wystąpił tedy włoski lutnista i pobrzaknąwszy o struny, na ławie pod oknem zajął miejsce, śpiewać poczynając pieśń starą, którą arcybiskup lubił, bo mu młode lata w Rzymie przy Ciołku spędzone przypominała. Spojrzał Gamrat ku lutniście, czoło mu tęsknota jakaś oblała... i zasluchiwał się w pieśni.

Nie rozjaśniło mu się oblicze.

Skończył śpiewać lutnista, któremu kubek podał sam Gamrat dziękując, a przy stole cisza panowała. Ci, co zwykle tu rej wodzili, dziś się czuli bezsilni.

Wystąpił z kąta trefniś, którego Pokrzykiem zwano, co znaczy toż jak włoska: *mandragora*, upatrywano bowiem w niezgrabnej jego postaci jakieś z dziwaczną tą rośliną podobieństwo.⁵⁴

Krzywy, na obłączystych nogach, garbaty szpetnie, z głową jak garnek ogromną i niekształtną — Pokrzyk sływał, jeśli nie z dowcipu trefnego, to z cynizmu wielkiego, który też nazwisko mu nadane usprawiedliwiał.

Zbliżywszy się do stołu, Pokrzyk rozpoczął błaznowanie; śmiech obudził w kilku, ale Gamrat nie zdawał się go ani słyszeć, ni rozumieć. Na próżno się wysilał na coraz śmielsze wybryki, wszystkie pozostały bez skutku.

— Co to ci, ojczy nasz dobry? — spytał, niemal pod łokieć mu się wciskając.

— Chciałżeś, abym, jak ty, szalonym był? — zapytał Gamrat.

— Krzta szaleństwa i rozumnym mężom nie szkodzi — odparł Pokrzyk — zwłaszcza przy biesiadzie.

Ano, patrzcie, nie tylkoście wy smutni, ale wszyscy pociemnieli... tak, jak gdy słońce zajdzie, a mrok padnie na ziemię.

Arcybiskup ręką rzucił, a potem nią czoło znużone potarł i od trefnisia się odwrócił.

— Hm! — rzekł Pokrzyk na ucho Dzierzgowskiej — rychlej wy niż ja poradzicie na melancholię, ja ręce umyвам...

I od stołu odstąpił.

Ten i ów z gości, zwłaszcza ci, co więcej w dowcip swój ufali, poczęli się z tym i owym wyrwać głośno, sądząc, że chmurnego i zadumanego rozruszają. Nie pomogło nic.

Wieczera owa, co miała podochocić wszystkich, zesła posępnie, a pod koniec jej czoła się wszystkim pofałdowały i gdy znowu do mycia rąk przyszło, milczenie panowało trwożliwe.

Nawet dla Dzierzgowskiej Gamrat nie miał słówek tych słodkich, którymi ją był zwykł karmić...

Zaraz więc po krótszej niż zwykle biesiadzie poczęli się goście mieć ku wyjściu. Ten i ów żegnał się i znikał, rada nierada Dzierzgowska z siostrą pożegnały Gamrata, który ich nie wstrzymywał, i do kolebki siadły.

Sobocki tylko pozostał, odprawując je, z mocnym postanowieniem wybadania arcybiskupa i wyjścia z tej trwożliwej niepewności, w jaką go niezwyčajne zasępienie jego wprawiało.

Gdy kobiety odjechały, goście się rozeszli, a Gamrat sam został z domownikami i Sobockim, skinął na niego i z komnat pustych przeprowadził za sobą do komórki zacisznej, małej, która do sypialni przytykała.

Ulubione to było jego gniazdko, do którego tylko najpoufalsi przystęp mieli; całe kobiercami wysłane, dokoła miękką, szeroką obwiedzione ławą, zaciszne, wygodne i obcym nieprzystępne.

Arcybiskup zajął tu miejsce na rozłożystym siedzeniu, które tak urządzone było, że na nim położyć się mógł, zeprzeć i jak chciał, umieścić. Sybaryta tylko mógł podobnie wymyśleć.

Obok pod ręką stało zawsze na niskim stoliczku wszystko, czego tylko przy spoczynku pożądać było można. Dzban z wodą zimną, nalewki z winem gotowanym i surowym, łakocie różne i owoce w cukrze kandyzowane.

Sobocki zajął miejsce nie opodal od niego.

— Pietrze — rzekł do niego poufale, gdyż byli z sobą jak

bracia i wzajem tajemnic nie mieli — drugim sobie mów, co wola twa, ano mnie tym nie zbędziesz. Coś cię dotknęło okrutnie, nigdy cię takim nie widział.

— Zaprawdę — westchnął Gamrat — bom nigdy nie był takim!

Zamilkł krzyknę i mówił dalej:

— Niemalóm żył, a tego, co mi się przygodziło dziś nocą, nie doświadczyłem nigdy. Dlatego zbliżanie się godziny nocnej tak mnie trapi i przeraża.

— Nocą? — podchwycił niespokojny Sobocki.

Gamrat skinieniem głowy to potwierdził.

— Idź — rzekł — opatrz drzwi, aby nawet z domowników moich nikt nas nie podsłuchał. Przed tobą mogę, przed nikim innym z tego bym się nie potrafił spowiadać dla sromu. Znasz mnie, że ducha mężnego mam, a zmogło go.

Poszedł natychmiast Sobocki za drzwi na oględziny i prędko, niespokojny powrócił.

Siadł naprzeciw Gamrata, w twarz jego wpatrując się z trwogą.

Arcybiskup milczał czas jakiś, odetchnął potem ciężko i cichym głosem tak opowiadać zaczął:

— Znałeś Kurosza? Wiesz jak bliski był sercu mojemu. Pierwszy to człowiek, który do mnie przystał, gdym maluczkiem był, i został mi wiernym do zgonu.

Płakałem po nim, jak nigdy po nikim jeszcze.

Pomnisz, co to on za życie prowadził i czasu peregrynacji swych za granicą, i powróciwszy do kraju. Tak zuchwałego hulaki a zawadiaki nie wskaże mi nikt drugiego. A życia zażywał pełną... Gdy zmarł, już pewnie nie zostało nic na tej ziemi, czego by nie spróbował, z czym by się nie zmierzył, czego by nie zakosztował, choć zakazanego... A co zakazane, owszem, najlepiej mu smakowało...

Dość powiedzieć: Kuroszem był... bo drugiego takiego, sędzę, nie znajdzie ani u nas, ni w żadnym kraju.

Do dziś dnia go opłakać nie mogę... Ten mi jeden przyjacielem był, choćbym krwi od niego zażądał.

Westchnął Gamrat.

Sobocki słuchał, nie pojmując jeszcze, jaki zmarły Kurosz ze

smutkiem Gamrata mógł mieć związek, gdy ten dalej ciągnąć począł:

— Wczoraj do łoża szedłem jako zwykle wesołej będąc myśli, nie mając powodu do żadnej trwogi ani troski. Z zamku wychawszy, przetrząsałem w głowie wszystkie środki, jakie stara królowa zwierzyła mi, że ich przeciw młodej pani zażyć zamierza.

Położyłem się, rozmyślając o nich, a nie wątpiąc, że wszystko się uszykuje gwoli naszej. Zasnąłem twardo.

Nagle zdało mi się, jakbym oczy otwierał, choć powieki miałem zawarte... W sypialni światło jakieś, jakby od ognia dalekiego łuna odbita, się zjawilo. Na tle jego stał ktoś naprzeciwko mnie, którego mi rozpoznać było trudno.

Tymczasem światło rośło i wkrótce rozjaśniło tak całą komnatę, żem wszystko w niej mógł rozeznaczyć, i tego, który naprzeciwko mnie stał, wpatrując się we mnie, poznałem też... Kurosz był.

Osobliwa rzecz. Pamiętałem we śnie, iż go między żywymi nie ma, a zjawienie się jego wcale mi się nie wydawało dziwnym.

— Miły mój Kurosz — odezwałem się — pozdrawiam cię. Jako tam dzieje się z tobą?

Patrzył na mnie długo z politowaniem jakimś, nim mówić począł.

„Bogu miłosiernemu i przenajświętszej Matce Jego niech będą dzięki — rzekł. — Tam jestem, gdzie się dostać nie spodziewał”.

A gdy milczał zdumiony bardzo, ciągnął dalej:

„Życie moje pomnisz, boś jego świadkiem był. Zbluzgany i obłożony nim zszedłem z tego świata, a jeśli mnie ciężar grzechów nie miał na dno pchnąć piekielne, długa i sroga czekała pokuta.

Tego słowo ludzkie nie wyrazi, jako burzliwym wirem porwana dusza moja z ciała wyszła, przez ciemności straszne lecąc ku pożarnemu morzu płomieni.

Wtem zaszeleściły skrzydła aniołów, pęd się ten powściągnął i jasna biała światłość oblała mnie. Ponad sobą ujrzałem gwiazdami siany płaszcz, który spadał z ramion białej, w jasności wielkiej stojącej dziewicy... Marii. Chwyciłem rąbek jego i natych-

miast pierzchnęło, co mną rzucało. Lekki stałem w powietrzu, a głos z góry dał się słyszeć: «Ten czci mojej był obrońcą!»

Naówczas przyszła mi na myśl przygoda owa w hiszpańskiej ziemi, gdy pijanego a zuchwałego heretyka, który przeciw Matce Bożej bluźgał słowy wszetecznymi, na rękę wyzwał za to i ubiłem go.

Skrucha za grzechy wstąpiła we mnie tak potężna, iż naraz całego przeistoczyła. Czułem, jako opadały grzechów mych sprośne łupieżę i trądy, jakom znowu do dziecinnej powracał niewinności”.

Tak mówił Kurosz, a słowa jego przejmowały mnie zgrozą, trwogą i bólem.

„Słuchaj, Gamracie — dodał — żywota masz jeszcze dwie lecie i kilka miesięcy. Pójdiesz potem rachunek zdać z niego. Jakom cię niegdy miłował, tak cię dziś żałuję. Czas jest kajać się, czas upamiętać, pora pokutować... Pomnij na to, a nie wątp o miłosierdziu bożym”.

To gdy rzekł Kurosz, jakby we mgle się rozpląnął i z oczów mi zniknął. Światło w izbie zagasło, a ja dopiero teraz rzeczywiście powieki podniosłszy, przebudziłem się.

Cóż chcesz, Sobocki, ze snem tym chodzę dzień cały, pozbyć się go nie mogąc. Widzę ciągle przed oczyma, słyszę głos jego.

Sobocki, który z natężoną słuchał uwagą, nie rzekł nic zrazu.

— Cóż o tym sądzić — odezwał się, pomyśliwszy trochę. — Sen to jest, jako drugi: sen mara, Pan Bóg wiara, o czym za dnia człowiek myśli, to mu nocą powraca mimo woli. Za duszę Kurosza mszę by odprawić.

— On jej już nie potrzebuje — odparł Gamrat.

— Albo... albo... — wtrącił Sobocki. — Ja to mam za uludny sen zwykły.

— A ja za widzenie prorocze — przerwał Gamrat. — Dwie lecie i para miesięcy... a potem...

Spuścił głowę.

— Za pół wieku grzechów mało czasu na pokutę!

— A — zawołał Sobocki — nie jesteście więcej grzeszni nad innych, a Pan Bóg tym, co brzemiona wielkie noszą, więcej niż innym przebacza!

Godzina była spóźniona, Gamrat, podumawszy, szepnął, znak dając Sobockiemu, aby się zbliżył:

— Słuchaj, bracie, trwogę mam przed tą nocą, a nikomu się z nią zwierzyć nie chcę. Śpij obok w drugiej izbie, rażniej mi będzie, gdy nie sam pozostanę.

To mówiąc, powstał Gamrat i drzwi do sypialni otworzywszy, klasnął w dłonie na służbę.

Sobocki, mało co odzienia zrzućwszy, pas odpiął i legł na ławie. Jak noc upłynęła, powiedzieć potem nie mógł, nie pamiętał nic. Gdy pozostał sam, było mu jakoś nieochoczo i sen z powiek uciekał, więc ze dzbana wina sobie korzennego spory kubek nalawszy, jednym łykiem go wypróżnił, po czym gdy zasnął, nie zbudził się aż o dniu białym.

Arcybiskup stał nad nim już odziany, ale z twarzą od wczorajszej nie lepszą.

Zapytał go po cichu Sobocki, czy noc spokojnie przeszła, na co nie otrzymał odpowiedzi, ale blade i zachmurzone lice świadczyło, że wczorajsze wrażenie jeszcze się nie zatarło.

Następnego dnia król stary wcześniej się udał na spoczynek, czując znużonym; poufała gromadka domowników około Bony na jej pokojach gwarzyła jeszcze.

Izby te, które Włoszka zajmowała, choć im na wygodach nie zbywało, dziwnie się wydawały ogołoczone i jakby na czas krótki tylko przybrane w to, co było niezbędnym, przepych królewski łączył się z zaniedbaniem jakimś i skąpstwem dziwacznym. Gdyby Bona, co się trafiało często, wyruszyć stąd chciała do Chęcin lub jednego z licznych zamków swych i posiadłości, łatwo było stąd zabrać wszystko i nie zostawić nic nad ściany nagie. Cały sprzęt kosztowniejszy był przenośnym. Pewien nieład i pośpieszne a obojętne urządzenie naprędce było widocznym.

Królowa razem skąpą była, chciwą i o powagę majestatu swego zazdrośną — usposobienie to dawało się poznać w tym, co ją otaczało.

Komnata, w której przyjmowała, dość oszczędnie była oświetloną, służba wieczorem już powszednie szaty przywdziała, a karły i panny, które się posługując pokazywały, niemal ubogo były przyodziane.

Obok królowej przy stole Gamrat, wyrocznia jej, pierwsze miejsce zajmował; reszta mężczyzn, między którymi widać było Opalińskiego, ochmistrza młodego króla, w drugim końcu rozmawiała po cichu. Około arcybiskupa troskliwie chodziła królowa, od dni kilku widząc go, jak nigdy, ponurym i zasepionym.

Nawet po tej sławnej scenie publicznej tak upokarzającej, gdy Gamrata do tego przywiedziono, że wstał dziękować za biskupstwo, którego nie miał otrzymać i musiał zawstydzony sięść, aby Chojęskiemu ustąpić⁵⁵ — nie był tak w sobie zanurzonym i przybitym. Zwykle przynosił z sobą męstwo, uspokajał, rozweselał niecierpliwicą się panią — teraz ona jego musiała ośmieszać, dodając mu odwagi.

Wymówny i wielomówny, jakby się wyczerpał, siedział tego wieczora milczący, blady, drżący za każdym szelestem, a przyczyny Bona dobadać się nie mogła. Była tym widocznie podrażnioną;

wszystko, co się opierało, zawsze gwałtowny jej temperament wszelkimi sposobami podbić, ujarzmić, przełamać usiłował.

Mściwa, chytra, przewrotna, nie miała powściągliwości i panowania nad sobą, gdy szło o pokrycie uczuć. Z trudnością przychodziło jej coś ukryć w sobie... wybuchała, aż do szału się unosząc, choć ją to zdradzało i narażało na szyderstwa nieprzyjaciół.

Tak samo postępowała z mężem, gwałtownością zdobywając wszystko; tak samo — z synem, tak z innymi. Potrzeba było ostateczności, najwyższego niebezpieczeństwa, aby się potrafiła na krótko poskromić. Naówczas milczała, zaciniała usta, próbowała kłamać, ale tak niezręcznie, iż każdy zgadywał, co się w jej duszy działo. Wszystkie środki dobre dla niej były, gdy szło o to, aby na swoim postawić — panowanie nad sobą i cierpliwość ze wszystkich przychodziły najtrudniej.

Gamrata smutek, zmiana humoru nagła mocno ją dotknęły. Znała człowieka, nie mogło to być bez przyczyny. Badała na próżno. Gniew nią miotał już, bo miała przed sobą tajemnicę, a domysły ją przerażały.

— Mów, co ci jest! — nalegała na niego. — Trwożysz mnie. Sądzić muszę, że ukrywasz przede mną większą klęskę niż ta, którąśmy jawnie ponieśli.

Gamrat musiał w końcu usta otworzyć.

— Miłościwa Pani — odezwał się — na tę cześć i poszanowanie, jaką mam dla niej, przysiąc mogę, że chwilowe strapienie, którego przemóc nie zdoławszy, przyniosłem je z sobą, nie tyczy się ani osoby Miłości Waszej, ani żadnej ze spraw ważnych, ale tylko mnie samego.

— Masz więc sprawy, które taisz przede mną? — odparła Bona nie ustępując.

— Dlatego tylko, iż małe są, liche, a uszu Miłości Waszej niewarte — rzekł biskup.

— A przeczże cię tak mocno obchodzą?

— Bom czasami słaby jak dziecko — rzekł Gamrat. — Łaski Miłości Waszej mnie popsuły.

Pomyślała chwilę królowa.

— Wiem już — odezwała się — pewnie Dzierzowska ci czym dokuczyła... Lecz niech mi się nie pokazuje na oczy! Niewdzięczną jest.

Gamrat nie stanął w obronie przyjaciółki, chcąc się w ten sposób zbyć natrętnego nalegania. Usiłował się otrząsnąć z czar-nych myśli, co mu się nie powiodło; w ostatku wygadał się z tym, że przepowiednia krótkiego życia we śnie strwożyła go.

Bona wzięła to do serca.

— Sny są bałamutne — rzekła. — Najczęściej je na odwrót tłumaczyć trzeba... Na to zresztą są astrologowie, aby pewniejszego coś wywróżyli; ale pytać ich nie trzeba, bo człowiek potem trwoży się i ochota mu do wszystkiego odpada... Nie myśl o tym. Ja — dodała zagadując żywo — o co innego musiałam mojego astrologa i doktora badać; chcę wiedzieć, co gwiazdy pro-rokują młodej-królowej. Z Wiednia dostałam horoskop jej, Da Ba-ri pracował już nad nim.

Gdy to mówiła, ciemne jej oczy złośliwą pałały uciechą.

— Niedługo cieszyć się nią będziemy — dodała — słabowita jest i wrażliwa... Narzucili nam ją gwałtem, niech się nie dziwią, że tu jej posłania na różach nie gotujemy. Mój syn się do niej przywiązać nie może, ja dopilnuję tego... Jednego jego mam, nie mogę narażać na to, aby obcując z chorą, sam zdrowie postradał.

— Chora jest? — zapytał Gamrat.

Królowa dziwnie ściągnęła usta.

— Jeżeli chorą nie jest, to nią będzie — dodała cicho — a na to nie potrzeba ani filtrów zadawać,⁵⁶ ani szukać sposobów mądrych. Dziecko wątłe, matka była słabowita... pieścić ją nie będziemy.

Mówiła przerywanymi słowy.

— Nie dopuszczę, aby syn mój żył z nią — powtórzyła do-bitnie na wpół do samej siebie i całej myśli swej nie chcąc wy-powiedzieć. — Król co dzień na siłach upada. Syna muszę być pewną, abym moją władzę utrzymała. Jeżeli kiedy, to teraz, wszy-scy mi potrzebni jesteście... rachuję na was, liczę na Kmity.

Gamrat nieznacznie bardzo głową potrząsnął. Królowa to spo-strzegła.

— Wątpisz o kasztelanie? — zapytała gorączkowo i ciekawie.

— Nie miałem dotąd powodu — odparł arcybiskup. — Nie-wątpliwie trzyma z nami, ale z nim, jak z ogniem, potrzeba obcho-dzić się ostrożnie. Ogień to jest, przy którym i ogrzać się można, i oparzyć. Buta straszna, krew gorąca, życie gotów stawić jednej

chwili za to, co jutro oknem wyrzuci. Wszelki opór go drażni. Któż przewidzi, co jutro mu w tej głowie zaświta... ambicja nie-nasycona.

— Możeż się skarżyć na mnie? — zapytała królowa. — Mimo wszystkich jego wybryków, wbrew królowi, z największą trudnością go doprowadziłam do najwyższego dostojęstwa.

— Tak, a jutro mu Wasza Miłość będziesz musiała fraszki odmówić i dla tej fraszki stanie się nieprzyjacielem. Nic go to kosztować nie będzie.

— Ja tak czarno go nie widzę. — przerwała Bona. — Nie miałam powodu uskarżać się na niego. Oprócz Kmity mamy wielu innych, a tych, których potrzebować będziemy...

Bona cynicznie uderzyła się po kaletce uwieszzonej przy pasie i szepnęła:

— Kupię resztę.

Zdawała się być tak pewną siebie, że Gamrat śmiał jej przeczyć.

— Tych ludzi jak Maciejowski, jak Tarnowski — mówiła dalej — których pozyskać nie można, zostanie garść nieznaczną, ci groźnymi nam być nie mogą. Liczba zawsze przemaga...

— Młody król... — wtrącił Gamrat.

Bona mówić mu nie dała.

— Dotąd jest moim. Czuwam nad tym, trzymam go przy sobie, pieczę, dogadzam... Król stary dla niego surowy, królewscy stronnicy przeciwią się mu, wymagają rzeczy wstrętliwych, chcą go mieć rycerzem i wodzem. Obawia się ich, odstręczony jest i nieufny. Zresztą i on tu także...

Dodała, wskazując na kaletkę.

— Nie dają mu dosyć... Ja go żywię, ja mu pieniędzy daję na fantazje, a potrzebuje wiele, bo charakter ma szlachetny i upodobania pańskie. Od króla wraca zawsze namarszczony i smutny, przychodzi skarżyć się do mnie... Wie, że staram się życie mu osłodzić. Każdy krok jego mi wiadomy, Opaliński o wszystkim donosi, między sługami mam moich, staram się go otoczyć takimi, którzy popsuć nie mogą.

Godzina była spóźniona, Gamrat pośepny i nierozmowny wstał na koniec znużony i całując podaną rękę królowej, wyszedł, aby powrócić do siebie.

Troskliwy o niego Sobocki czekał w przedsionku.

Z wolna światła pogasły na zamku, ucichł ruch i strażę tylko, z wolna przechadzające się, słychać było w mroku przy bramach i murach.

W tej tylko części zamku, którą zajmowała królowa, od czasu do czasu dawały się widzieć przemykające światelka, na przemian ukazujące się w różnych oknach, niknące nagle i wracające po chwili, jakby tu życie nie ustawało.

Niespokojna, niezmordowanie czynna, podejrzliwa, zawsze coś mająca do spełnienia, co się tajemniczo i w ciemnościach dokonywać musiało, zdawała się nie usypiać nigdy, tak jak jej służba spoczynku nigdy nie miała. Wstawano tam, gdy wszyscy się spać kładli, zasypiano na chwilę, gdy inni wstawali, a gorączkowe krzątanie się i niepokój wszędzie otaczały Bonę.

Oprócz znanych ludzi, co ją otaczali i którymi się posługiwała, nie było dnia, ażeby tu nowi, obcy przybywający z różnych stron świata się nie zjawiali. Włosi ze wszystkich prawie państw i miast, Niemcy, cudzoziemcy z Zachodu, a teraz też Turcy i Grecy, z którymi Bona ukrywać się musiała, prowadząc politykę na swą rękę dla Izabeli w Węgrzech.

Pod różnymi pozorami jako kupcy, jako mnichy zbierający jałmużnę na klasztory Wschodu zjawiali się tu wysłańcy z Konstantynopola, szpiegi i ludzie z listami.

Z mnogich majątności, które królowa trzymała w różnych częściach Polski, z jej księstw włoskich, ze wszech krajów świata krzyżowali się tu jej posługacze i pomocnicy.

Najpilniejszy nadzór nie mógł odkryć tych wszystkich nici tajemnych, jakimi ona opłatywała starego króla, oszukiwała najbaczniejszych stróżów, częstokroć wniwecz obracała wszystkie zabiegi przeciwników swoich.

Skąpa i chciwa, tam gdzie było potrzeba, szafowała pieniędzmi i rachowała nade wszystko na nie, rzadko się myląc w rachubie.

Zaledwie noc przeszła i na brzask się zbierało, najczęściej też w części zamku przez Bonę zajmowanej ruch się dał uczuć i ludzie snuć zaczęli.

Królowa, zaledwie zbudzona, przyjmowała jednych w łóżku, drugich, powstawszy z niego, nie tracąc chwili jednej. Z ra-

na i wieczorami ułatwiały się te sprawy, których dzień i światłość nie powinny były oglądać.

Nieodstępna faworyta pani, jak ona nie spoczywająca nigdy, na zawołanie ciągle przy niej, zjawiająca się na skinienie, była wychowana i ułożona przez nią do tej służby, do milczenia, do posłuszeństwa niewolniczego, dziewczyna-Włoszka, którą zwano mniszką Maryną. Przydomek mniszki winna ona była czarnemu, niepozornemu, krojem niemal zakonnym ubraniu i kwefowi, który nosiła, nigdy nie zmieniając tego stroju, i pokornej a skromnej, nic nie mówiącej twarzyczce. Mniszka Maryna nie opuszczała jej ani dniem, ani nocą. Obojętna na wszystko, dla wszystkich, była to nie już sługa, ale martwe jakby narzędzie. Na jej licu wyźółkłym, rysów nieregularnych, które ją starą przed czasem czyniły, nikt nic wyczytać nie mógł. Były jak kamień niezmiennie jedne, bez wyrazu. W oczy nikomu nie patrzyła ani sobie zajrzeć nie dawała. Mówiła rzadko i półsłówkami tylko. Obawiali się jej wszyscy, nikomu się do siebie zbliżyć nie dawała.

Kiedy i gdzie odpoczywała mniszka Maryna, nikt nie wiedział; o północy równie jak nade dniem przychodziła na znak ubrana zawsze jednako, gotowa zawsze do posługi. Bona nie potrzebowała mówić z nią wiele, Maryna rozumiała jej wejście.

Pod rozkazami tej sługi, acz niewidocznie, cały fraucymer królowej czuł się i zostawał. Jedno słowo Maryny często stanowiło o niełasce i wygnaniu, a prosić jej o pobłażanie było próżnym. Nie gniewała się nigdy, to jest nie okazywała nikomu gniewu, lecz mściwą była bez litości i nieprzebieganą dla tych, co się jej narazili.

Do pomniejszych posług stało zawsze u drzwi kilka panien, a w izbie w kącie para karłów. Nocą i dniem ktoś zawsze czuwać musiał w antykamerze, ktoś na posiłki gotów był, bo w godzinach najniezwyczajniejszych królowa wydawała rozkazy, które bez zwłoki spełnione być musiały.

I następnego poranka, nim około komnat starego króla życie się powoli objawiać zaczęło, a stróże, cicho wymiatający kurytarze, drzwi otwarli na krużganki, u królowej paliły się światła, i Bona w krześle ostawionym poduszkami, nogi sparszy na podnóżku, przy stole czytała papiery, które czekały od wczoraj i te, które Maryna rano jej przyniosła.

Cicho przesuwali się już w ciemnościach ludzie do tego dworu należący.

Pierwszym, który nie pytając, otworzył drzwi i wsunął się do izby, był lekarz zwykły Bony, Jan Antonio z Maceraty, Włoch i sługa jej zaprzędany.

Doktorów kilku i astrologów miała przy sobie Bona, Jan Antonio był, jeśli nie najcudowniejszym, to tym, który ją znał najlepiej i najzręczniejszym obchodzić się z nią umiał.

Bona miała w nim zaufanie, chociaż i on, gdy lekarstwo dać musiał królowej, podlegał temu prawu, co inni: sam wprzód zmuszony będąc się go napić, aby nie było trucizną. W obawie o swe życie, posądzała nieprzyjaciół, że na nią czyhali. Nie rzucała też z palca i z piersi kamieni i amuletów, które wedle ówczesnych przekonania antidotami przeciwko truciznom być miały.

Jan Antonio był mężczyzną w sile wieku i czystej krwi Włochem, z tą fizjognomią ruchomą, pełną wyrazu i życia, z tymi gestami dobitnymi rąk, głowy i całej postaci, od których Włochom wstrzymać się tak trudno. Zwano go na dworze pospolicie Macerata⁷⁾, a słynął z niezachwianego dobrego humoru, którego nie mając często, silił się zręcznie z nim popisać. Obracać zwykł był w żarty najgroźniejsze rzeczy, o tyle, o ile Bony wzrok pozwalał... Znał on swą panią tak dobrze, iż z fałdów sukni mógł odgadnąć, w jakim była usposobieniu.

Nim skłoniwszy się w progu, doszedł do stołu, przy którym siedziała pani, Macerata już wiedział, że Bona była podrażnioną i niespokojną. Trzymała w ręku rozłożony półarkusz papieru, którego zgięcia listu się kazały domyślać. Spojrzała, nie rzucając go, na Maceratę.

Nic nie mówiąc ujął podaną mu rękę i chwilę potrzymał. W milczeniu popatrzył na język i skłonił się.

Wyszeptane słowo cichutko miało oznaczyć, że wszystko znalazł w jak najlepszym porządku. Bona milczała. Czekał, stojąc, rozkazów. Rzuciła papier na stół.

— Giovantonio — odezwała się — pilno mi czuwaj nad Dżemą! Jestem o nią niespokojna.

Macerata głowę pochylił.

— Zdrowa jak rybka — rzekł pokazując zęby białe.

— A czyni się chorą! — przerwała Bona.

— Kaprysy rozpieszczonego dziecięcia — rzekł lekarz.

— Którym do czasu dogadzać potrzeba — szybko dodała Bona. Macerata dał do zrozumienia miną, iż doskonale wiedział, o co chodziło.

Królowa palec przyłożyła do ust. Włoch nachylił się ku niej i szeptać coś począł.

Wtem w przedpokoju ledwie dosłyszalny szmer pochwyciło ucho starej pani, wyprostowała się i Maceracie wskazała drugie drzwi do wyjścia, w których za kurtyną blada twarz czujnej Maryny się pokazała. Cichymi krokami wyniósł się, na palcach idąc, Giovantonio.

Maryna podbiegła ku drugiemu wniściui, uchyliła drzwi i w nich ukazał się słusznego wzrostu mnich w czarnych sukniach zakonników świętego Franciszka. Czarny, bujny włos, wieńcem okalający mu wygoloną nieco głowę, wielkie oczy wypukłe, twarz rysów pięknych, ale zbyt grubo wyciosanych, szerokie usta z wargami mięsistymi, rozumnego, ale namiętnego zapowiadały człowieka. Pokory tej i uniżoności, jakimi odznaczali się mnisi tej reguły, wcale w nim widać nie było. Wchodził śmiało i pewien siebie.

Królowa nie ruszyła się na powitanie i nie okazała mu zwykłego dla duchownych, będącego w obowiązku, uszanowania. Ukłonił się kilka razy, zbliżając ku niej, na co ledwie skinieniem głowy odpowiedziała.

Maryna już w drugich drzwiach zasłonie znikła, gdy się do stołu przybliżył.

— *Padre*⁵⁸ *Francesco* — odezwała się Bona — dlaczego tak was dawno na zamku nie było?

I nie dając mu się tłumaczyć, niecierpliwie ciągnęła dalej:

— Wiesz, prosiłam was, abyście mi młodego króla zabawiali. Wiesz, jak go wasze kościelne te kwestie zajmują, jak rad czyta i słucha o nich. Powinniście mu dostarczać ksiąg, starać się go rozrywać waszą rozumną rozmową...

— Miłościwa Pani — odparł ojciec Franciszek Lismanin — nie jestem na dworze zbyt dobrze widzianym przez duchowieństwo polskie, sarkają na mnie, podejrzewają nawet o herezję.

— Co cię to ma obchodzić — zawołała Bona — nie powinieneś się ani lękać ich, ani zważać! Arcybiskup Gamrat obroni was zawsze.

Lismanin głową pokręcił.

— Szanuję Jego Eminencję — rzekł — ale w tych sprawach, gdy o herezję chodzi, obawiam się jej... Któż tu w Polsce inkwizycję⁵⁹ tak surową zaprowadził? Kto dał spalić staruszkę Malcherową⁶⁰, która nie wiedziała sama, co plotła?

Bona poruszyła ramionami.

— Gamrat robi, co mu każe — rzekła. — Młody król właśnie te wasze drażliwe kwestie śledzi i nimi się zajmuje... on przecież was nie zdradzi.

— Tak, ale mury mają uszy — rzekł Lismanin.

— Boisz się, aby i ciebie nie spalono? — rozśmiała się Bona, ruszając ramionami. — Proszę cię, otrząś się z tych dziecinnych postrachów. Bądź dzisiaj u młodego króla, potrzebuje roztargnienia... Przynieś mu jakie książki nowe... Kocha się w nich.

Lismanin słuchał nie odpowiadając.

— Po książki — dodał po chwili — należałoby właściwiejechać za granicę. Tu ich nie dostać, bo duchowieństwo polskie surowo czuwa i nad tym, co z Niemiec idzie i cokolwiek bibliopole⁶¹ przywożą.

— Poślij kogo — szepnęła Bona.

Lismanin ręce złożył.

— Nikomu, nikomu w tej sprawie zawierzyć nie można — rzekł pospiesznie — o gardło idzie. Ja sam musiałbym się chyba ważyć i to nie inaczej, jak polecenie mając królewskie, boby mi celnicy na granicach zabrali, co tylko drukiem pachnie.⁶²

Poruszył ramionami mnich.

— Pojadę, jeśli Wasza Królewska Mość rozkażesz — dodał.

— Nie teraz — szybko i kwaśno przerwała królowa i rzucawszy nań okiem, dokończyła:

— Idź dzisiaj do młodego króla!

Sklonił się mnich. Posłuchanie było skończone, franciszkanin wychodził po cichu. Zasłona ledwie za nim zapadła, gdy pięknej postawy, dorodny mężczyzna, typ prawdziwie polskiej krwi i wielkiego rodu, ukazał się w progu.

Spojrawszy na tę twarz pogodną, jasną, na oczy śmiało spoglądające, na całe oblicze nacechowane odwagą i rycerskim wyrazem, zadziwić się było można, znajdując ją tu o zmroku w komnacie starej królowej. Lepiej się dopiero wpatrzywszy w zwodnicze

te rysy, dostrzec w nich się dawała skryta przebiegłość jakaś i udanie otwartości pokrytej butą szlachecką.

Królowa z przyjemnością wpatrywała się w piękne to męskie oblicze. Nowy gość był ochmistrem młodego króla, Opalińskim.

Przyciągnęła go tu do Bony w części ambicja wielka, która z jej pomocą spodziewała się zaspokoić, po części nieprzyjaźń z Maciejowskimi i Tarnowskim różniąca.

Opaliński jawnie i skrycie służył Bonie, on jej donosił o każdym kroku syna, o każdej myśli, zamiarze, pragnieniu jego. Pomniejsza służba przekupiona pomagała jej do skontrolowania tego, co Opaliński przynosił.

Bona uśmiechnęła mu się wdzięcznie, dając ręką znak, aby się zbliżył. Jako oznakę łaski pulchne palce, okryte pierścieniami, wyciągnęła do pocałowania.

— Nic nowego u nas — odezwał się Opaliński — ale też nic złego. Król zdrow i chmury smutku powoli uchodzą. Staramy się go rozrywać i weselem naszym obudzać w nim myśl dobrą.

— Co robił wczoraj wieczorem? — spytała Bona.

Znakiem tylko jakimś niezrozumiałym, wskazując ręką, odpowiedział Opaliński i dodał prędko:

— Czekamy na wysłańca, który miał nam rzeźbione kamienie zamówione we Florencji i medale przywieźć. Niecierpliwie król ich wygląda, chociaż — rzekł ciszej — nie wiem, czy je będziemy mieli czym opłacić.

Królowej ta wiadomość nie zdała się być przykrą, uśmiezek usta jej przebiegł.

— A, tak — szepnęła — będzie się musiał uciec do matki, bo ojciec skarciłby go tylko surowo. Wie, że na mnie rachować może, choć i mnie bardzo jest ciężko... Moi rządcy i dzierżawcy źle się wypłacają. Pieniądzy nie ma, a rachunków podostatkiem!

Opaliński złożył papier na stole, cichym szeptem go objaśniając. Bona włożyła go za pas sukni... Krótkie posłuchanie się skończyło.

W oknach coraz jaśniejszy dzień przeglądał zza zasłonek, dzwony w katedrze wołały na ranne nabożeństwo, na zamku słychać było rżenie i tętent koni, turkot wozów, wołanie pacholków.

Maryna przyszła niepotrzebne już zabrać światło... a w progu pokazał się pokornie bardzo, do ziemi kłaniający się szlachcic, nie-

pocześnie ubrany starą modą. Rękę, w której trzymał czapkę, tak wyciągnął, że nią prawie zamiótł ziemię.

Gdy podniósł potem wygoloną głowę, nie śmiejąc przystąpić bliżej — twarz się ukazała ogorzała, wąsata, rysów pospolitych, ale energią napiętnowana... Pozdrowił królowę po łacinie. Był to Stanisław Falczewski, rządcą ówczesny Krzemieńca, który królowa trzymała.

Przyjeżdżał z pieniędzmi i raportem. Pierwsze już wczoraj oddał był do skarbcza, drugi miał złożyć ustnie.

Począł więc od utyskiwania. Nigdzie i nigdy trudniej iść nie mogło, jak Falczewskiemu w Krzemieńcu. Wadzili mu tu wszyscy: mieszczenie, Żydzi, sąsiedzi, duchowieństwo... Ponośli same klęski, nie mógł zapobiec stratom, ledwie żyw już, broniąc interesów swej pani, zwłókl się, aby uniewinnić i prosić o pomoc, o listy królewskie, o większą władzę itp.

Całej tej mowy królowa wysłuchiwała spokojnie, nie okazując, aby ją bardzo poruszyła. Spoglądała to na Falczewskiego, który się wysilał na retorykę, to na posadzkę, a gdy nareszcie, wyczerpawszy się, skończył — zaczęła zadawać pytania.

Zdumiewać się było potrzeba tej pamięci, z jaką badała Bona o stan swych krzemienieckich posiadłości, i pan Stanisław nieraz, słuchając, powiódł ręką po czole, bo poty nań biły.

Królowa pamiętała o wszystkim; o mostach, młynach, stawach, o swoich karczmach, o szynkach, o sporach granicznych, o najmniejszych gospodarskich szczegółach.

Falczewski ledwie na wszystko odpowiedzieć umiał i zająknął się nieraz.

Nastąpiły rozkazy i rozporządzenia, którym równie zdumieć się było można, tak rozumne były i obrachowane, aby stan posiadłości polepszyć.

Na różne pojedynczych ludzi prośby i skargi odpowiadała w większej części odmownie. Falczewski nie mógł wyjednać wiele.

Królowa też czasu nie miała na dłuższą z nim naradę, w drugich drzwiach czekały na nią córki, które przychodziły z rannym pozdrowieniem do matki, a godzina się zbliżała, w której Bona zwykle starego króla odwiedzała.

Ciszej, spokojniej było w komnatach, które Zygmunt zajmował. Około Bony wrzało nieustanne życie, tu wszystko obrachowanym się zdawało, aby sędziwemu panu pożądanego nie zakłócić pokoju.

Tam pośpiech widać było wszędzie, tu rozważną powolność. Na swych miejscach z rozpoczynającym się dniem byli dworzanie, urzędnicy, służba i ci, których król pierwszych mógł potrzebować.

Duchowieństwo w większej liczbie razem z świeckimi panami dwór składało.

Cierpiący na bóle w stawach, na łamanie w kościach, znużony długimi życia walkami, król był ocieężałym i zobojętniałym, milczącym i smutnym.

Rzadko bardzo i to na małą chwilę uśmiech blady twarz jego zasępioną ożywiało.

W młodości już miała ona wyraz surowy, który z wiekiem i cierpieniem stał się prawie groźnym, choć natura łagodną była i dobrą.

Nigdy Zygmunt nie miał wymowy Olbrachta ani żywości charakteru kardynała,⁶³ teraz słowo dobywało mu się z ust trudno, krótkie i rzadko weselsze.

Ulegał Bonie, bo sił już w sobie nie czuł do walczenia z nią, a Włoszka aż do szaleństwa się posuwała, jeśli opór znalazła... i padała na ziemię krzycząc, aby na swoim postawić.

Widok też królowej teraz czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział, że nigdy mu nic nie przyniesie dobrego, ale wymówki, wyrzuty, żądania lub narzekania na ludzi, których on znał najlepszymi przyjaciółmi swoimi.

Z obawą też wyglądał przyjscia i szelest jej sukni jeszcze czarniejszą chmurą twarz jego posępną oblekał.

Lecz ile razy mocniej zachorzał, rozbrajała go Bona nadzwyczaj wielką troskliwością o jego zdrowie. Naówczas nocami nie odchodziła od jego łoża, sama mu podawała lekarstwa i pokarmy, żadną siłą od niego oderwać jej nie było można.

Wstał był król późno i z kapelanem odmówił zwykle modlit-

wy, po których przybyli lekarze opatrzyć nogi, dowiedzieć się, jak noc spędził... i przyniesiono ranną polewkę i śniadanie.

Król siedział jeszcze za stołem, na którym naczynia stały z resztkami jadła, gdy Bona, czarno ubrana, z głową zakwefioną ukazała się na progu.

Przyjście jej zawsze było znakiem dla służby i dworu, ażeby się oddalili i nie zjawiali, chyba na zawołanie.

Często rozmowa ta ranna, z początku cicha, stopniami coraz głośniejsza, przeradzała się w tak krzykliwą i gwałtowną, że dworzanie truchleli o pana, bo po każdej potem odboleć musiał i godzinami siedział jak martwy, odrętwiały, milczący.

Poprzedzającego dnia królestwo źle się rozstali z sobą, Bona czyniła mężowi wymówki, podnosiła głos, rzucała się, zaciskała pięści, chwytając się za włosy, król, milczący, patrzył i chwilami mruczał: „Głupia” (*Fatua*). Wyrzuty wszystkie tyczyły się małżeństwa z Elżbietą, którego nie życzyła sobie Bona — król obstał przy swoim. Rozeszli się nie przejednani. Wieczorem króla chwyciły w nogach i stawach boleści, ale zakazał dać o tym znać Bonie; lekarz zwykły, Polak Błoński, go opatrzył.

I tego więc dnia spodziewać się było można burzy, wybuchu, wznowienia walki, chociaż ona już królowę do niczego doprowadzić nie mogła, bo układy ostateczne w Wiedniu zostały zawarte i na przyszłą wiosnę oznaczono termin przybycia młodej pani.

Znając niepokonany upór Bony, król z rezygnacją wyglądał nowej napaści. Siedział ponury, spojrział ku wchodzącej zimno, surowo i nie spieszył jej pozdrowić.

W izbie oprócz króla znajdował się jeden stary jego sługa Lula Skotnicki, który jeszcze czasy szczęśliwsze Barbary Zapolii, pierwszej małżonki Zygmunta pamiętał, i kapelan ksiądz Słomka. Oba oni natychmiast się przez najbliższe drzwi wycofali. Małżeństwo pozostało same.

Stary oczekiwał już zgryźliwego jakiego słowa, gdy powtórnie wejrzawszy na królowę, spostrzegł na jej twarzy znany sobie wymuszony spokój, który wprawdzie nie obiecywał nic dobrego, ale chwilowe zawieszenie broni zapewniał.

Długie pożycie z tą kobietą nauczyło Zygmunta wszystkich jej podstępów wojennych, manewrów strategicznych. Gdy chwilowo

tego, co zamierzała, do skutku przyprowadzić nie mogła, królowa wówczas przybierała tę upokorzoną postawę zwyciężonej, a choć udawanie przychodziło jej ciężko i nikogo właściwie oszukać nie mogło, oznaczało, że wyczekiwać postanowiła.

W tym stanie ciała i ducha, w jakim król się znajdował, i ten chwilowy spoczynek był mu pożądanym. Osłabły rad był spocząć czas jakiś. Nie łudził się wygraną, bo znał nieprzyjaciela, lecz miło mu było nie słyszeć wrzawy i nie znosić nieznośnego krzyku.

Bona, jak gdyby o dniu wczorajszym zapomniała, zbliżyła się, kręcąc głową, sznurując usta i cichym, złagodzonego głosem dopytując małżonka o zdrowie.

Wyciągnięte na podnóżku i okryte futrem nogi świadczyły już same, że był cierpiący. Zygmunt spojrział na nie i wskazał ręką.

— Jak zawsze — rzekł — miałem nocą boleści w kolanach, w stawach, ale mi Błoński dał smarowanie, które ulżyło nieco.

— Dlaczegoż nie dali mi znać o tym? — żywo odparła królowa. — Ja bym była sama dopilnowała i przyprowadziła z sobą Maceratę.

— Nie potrzeba go było — rzekł Zygmunt.

— Wolisz swoich Polaków — zaczęła Bona z przekąsem — choć to są zarozumiałe nieuki! Lecz my wszyscy Włosi straciliśmy pańską łaskę, a jednak powinniśmy byli zasłużyć na nią, bo bez wymówki, wieleśmy tu przynieśli z sobą.

— A, nie przeczę! — odparł król z uśmiechem. — Wdzięčen jestem. Włosi się na mnie skarżyć nie mogą. Służyli mi, alem niewdzięcznym nie był.

Królowa siadła na krześle, sparła się na rękę u stołu, twarz starając uczynić smutną, cierpiącą, jakby zbolała.

Natura jej gwałtowna nie dozwalała długo utrzymać się w mierze, musiała, choć z innego tematu, wznowić żale.

— Kraj ten byłby dotąd na pół barbarzyńskim — odezwała się — gdyby nie nasi budowniczkowie, kamieniarze, artyści. Teraz on inaczej wygląda, dzięki Włochom.

— Włosi też twoi dość stąd pieniędzy wynieśli — rzekł król — bo kazali sobie płacić dobrze.

— Zapracowali na to — odparła królowa.

Zygmunt rękę położył na stole, przebierać zaczął palcami po nim, wpatrzył się w podłogę i milczał. Ból w stawach nowy wy-

cisnął z ust jego syknienie, królowa poruszyła się zaraz, dopytując, czyby nie potrzebował czego.

— Nie, nie, przeszło to już — zamruczał stary.

Bona usiadła, milczenie panowało chwilę.

— Gamrat też chory, czy nie wiem, co mu jest — odezwała się po przestanku. — Na twarzy i humorze się zmienił, posmutniał, jakieś przeczucia krótkiego życia go opanowały.

Zygmunt brwiami poruszył i potrząsł głową.

— Gamrat? — powtórzył. — Ależ niestary wcale jest i życiem się nie zmęczył, chyba nadużyciem...

Królowa się zżymnęła.

— Zawsze te potwarze — odparła. — Zaprawdę nie gorszy jest od innych, ale wielu solą w oku. Naraził się i heretykom, i katolikom, bo nam służył wiernie.

— My też jemu! — zamruczał Zygmunt. — Lepiej się nie obliczać, bo nie wiadomo, kto by został dłużnym.

I jakby znużony już tymi odpowiedziami król na piersi zwiesił głowę. Bona знаła go, że mówić wiele nie lubił. Dała mu spocząć, nim się znowu odezwała.

— Cóżecie postanowili — rzekła — dla syna? Panowie litewscy ciągle się go dopominają, aby jechał do Wilna uczyć się rządu sprawować, ale zawczasu go zaprzęgać nie widzi mi się.

— W tym jesteśmy zgodni — odparł Zygmunt. — Później zobaczymy. Naprzód ożenić go potrzeba i widzieć, jak się to stać doborze. Władzy rozdawać nie myślę. Nie mam jej nadto, abym się nią dzielił. Na każdym kroku opór spotykam.

— Zbytnią powolnością ich rozzuchwaliłeś sam — rzekła Bona. — Miałeś przykład na włoskich książętach wielu, którym miast i patrycjusze z ludem także stawili opór nieraz! Kilka głów spadło... i panowanie się ustaliło.

— Krwi rozlewu nie lubię — rzekł król krótko, poruszając głową znacząco — inny kraj, inny obyczaj. Polska — nie Włochy.

— Widzi mi się, że tu by łatwiej jeszcze pożyć⁶⁴ ich można — wtrąciła Bona — ale dziś za późno: kto zawczasu nie począł, porywać się później nie może.

Nie odpowiedział Zygmunt.

— A, to małżeństwo — wyrwało się, jakby mimo woli starej pani, której oczy się zaskrzyły i usta sfałdowały namiętnie — a,

to małżeństwo! Na próżnom odradzała, próżno błagałam, twoi przyjaciele postanowili mnie na przekór.

— Wiesz, że to z dawna było umówione w Wiedniu. Byli dziećmi, gdyśmy ich zaręczyli — zamruczał król niechętnie. — Dać by już pokój za późnym żalom.

— A, wiem bardzo dobrze — poczęła, ożywiając się, Bona — że to dziś już wszystko próżne. Stało się, co się stać nie było powinno. Dajecie mu żonę, z którą on żyć nie będzie mógł.

Król spojrzął z rodzajem podziwienia.

— Mówiłam wam — to dziecko schorowane, wątłe, które odrazę, nie miłość, wzbudzić może...

Nie chcąc odpowiadać, Zygmunt niemymi ustami poruszał. Zrezygnowany był słuchać wyrzutów i pogróżek, nie podsycając rozmowy o niemiłym przedmiocie.

Wszystko to już słyszał nieraz i nieraz odpowiadać na to był zmuszonym. Zadumany nie zważał nawet na sypiące się z ust Bony słowa i królowa, spojrzawszy na niego, przekonać się mogła, że był myślami gdzie indziej.

Nie wstrzymało ją to od tych narzekania, które, jak wczora, nie przerodziły się wprawdzie w krzykliwe i gniewliwe wyrzuty, ale nie mniej dokuczliwymi były.

Król zdawał się wyglądać i czekać na coś, co by go wybawiło.

Bona w końcu umilkła, widząc niemożność wywołania sporu, od którego stary się bronił milczeniem.

Kilka spraw mniejszej wagi było na porządku dziennym. Zażądała podpisów na przywileje dla swoich miasteczek. Rów miała na Bar przerobić.⁶⁵ Dla swoich przyjaciół chciała tytułów i urzędów. Zygmunt na wszystko przystawał. Małymi tymi ustępstwami rad był pokój okupić. Zgadzał się, poruszeniem głowy tylko okazując, że się nie przeciwi.

Dnia tego nawet czynił zadość żądaniom daleko łatwiej niż zwykle — znużonym był.

Bona otrzymawszy, co chciała, powstała z siedzenia, powtórzyła raz jeszcze, aby kanclerzowi i podkanclerzemu król listy wypisać nakazał, i głową żegnając męża z dala, wyszła.

Na twarzy Zygmunta, gdy zasłona opadła na nią, odmalowało się widocznie uspokojenie. Oddychał swobodniej teraz. Myśl starca

pobiegła w przeszłość i łza zakręciła się w oku. Przypomniawszy sobie tego anioła, Basię swą, pierwszą żonę, z którą pożycie było tak szczęśliwe, którą kraj cały kochał z nim razem, a po za wczesnym zgonie dotąd opłakiwał.

Sam nie wiedząc, ostrożnie dobył król ze stolika w kształcie pugilaresu złożonej książeczki, otworzył ją i wpatrzył się w wizerunek Barbary. Łagodnie, smętnie ona też patrzyła nań z tego obrazka, na którym malarz wyobraził ją młodziuchną, taką jaką tu raz pierwszy przybyła, pokorną, pobożną...

Przez całe też życie nie zmieniła się dobra, półświęta pani, której modlitwom i postom przypisywano powszechnie zwycięstwo pod Orszą "odniesione.

Jak anioł cicho, sypiąc dobrodziejstwa, łagodząc bole, zapominając o sobie, przeszła przez ten świat, nie skarżąc się nigdy i opuszczając go z modlitwą na ustach.

Po Barbarze nie miał męskiego potomka; po cóż go naówczas panowie senatorowie zmusili wziąć drugą żonę? Po co pięknoscią Włoszki i jej bogactwami ujęci posłowie tak mu ją zalecali?

Tak prędko owa dziewica pełna rozumu, nauki, nieporównanego wdzięku postaci zmieniła się w zrzędnicę nieznosną, która i królowi, i królestwu nie dawała pokoju.

Tak, ale ona dała obojgu upragnionego potomka płci męskiej, w którym płynęła krew Jagiellonów i z niego rozrodzić się miała.

Westchnął Zygmunt, zaszeleściło około drzwi, schował prędko pugilares zamknięty, przeszłość szczęśliwa musiała pierzchnąć ustępując rzeczywistości.

W progu pokazał się ten sam Lula Skotnicki, stary, siwiejący już dworzanin królewski, który przed królową ustąpił. Zaglądał on do pana, czy nie potrzebował czego. Zygmunt zwrócił ku niemu łagodnie rozjaśnione oblicze.

— Lula — szepnął — zobacz, czy nie ma księdza Samuela?

— Od dawna w kancelarii czeka — odparł Skotnicki.

— Niech przyjdzie — rzekł Zygmunt.

Dworzanin pośpieszył z rozkazaniem i po chwilce ksiądz Samuel z wiązką papierów i pargaminów stał przed królem, który milcząco witał go poruszeniem głowy.

Zobaczywszy brzemień, które niósł podkanclerzy, uśmiechnął się brwi w górę poruszywszy.

— Jest co podpisywać, Miłościwy Panie — zaśmiał się biskup, który na rogu stołu złożył listy i przywileje. — Poprzednicy Miłości Waszej nie zadawali sobie pracy rękę własną przykładać do listów, dość było pieczęci...

— Ha! — zaśmiał się król. — Trzebaż okazać, że król choć pisać umie!

I wskazał miejsce Maciejowskiemu, który nie spiesząc do pracy, spytał o zdrowie.

— Cierpiałem w nocy — rzekł król — we dnie zawsze bole mi folgę dają. Jesień nadchodzi, jest to pora, w której najwięcej cierpię; trudno, *senectus ipsa est morbus*.⁸⁷

— Pomnijcie, Miłościwy Panie, na dziadka waszego Jagiełłę — rzekł Maciejowski — krew macie i siłę jego, a ten do późniejszej starości zachował moc i zdrowie.

— Tak — odparł Zygmunt — ale żył inaczej. Jam może przeszedł go siłą, bom łamał podkowiny w rękach i gniótł puchary srebrne, ale dziś już i spróchniałego kija bym nie skruszył.

Westchnął stary i zadumał się.

Nie mówili o tym więcej.

— Młodego (król czasem tak zwał syna) nie widzieliście? — zapytał Zygmunt.

— Od wczoraj nie — rzekł Maciejowski.

— Nie wiecie, jak przyjął wiadomość o postanowionym małżeństwie? — dodał stary król.

— Wcześniej przeciwko niemu go starano się usposobić — począł Maciejowski. — Trudno się spodziewać, aby temu wpływowi oparł się o własnej sile. Lecz rzecz to nie nowa. Narzeczoną swą zna z listów, wie, że mu serce zawczasu przeznaczone przyniesie, że jest pobożnie przez matkę wychowaną. Nie daje nic znać po sobie... Miłostki młode zapomnieć się muszą, aleby dobrze było zawczasu im tamę położyć.

Król począł się marszczyć.

— Jak? — spytał krótko.

— Ze dworu królowej oddalić miłośnicę — szepnął cicho Maciejowski.

Zygmunt oburącz głowę objął... Nie mówiąc nic okazywał, jak wielką w tym widział trudność.

— Wydać by ją za mąż wyposażywszy — dodał ksiądz Samuel. — Znajdzie się niejeden, co się o ładną lalkę pokusi...

— Nikomu jej dziś nie dadzą — szepnął Zygmunt — nadto jest potrzebną. Musiałbym o nią rozpocząć wojnę.

— Nie moja rzecz intrygę zwalczać intrygą — mówił dalej, ciągle szepcząc, Maciejowski — stan mój na to nie pozwala, charakter się tym brzydzi. Ktoś inny by to powinien dokonać i uwolnić od niej zawczasu.

Nie odpowiadał król długo, ale myślał zaszępiiony, westchnął razy parę i w końcu zamruczał:

— Naćce się to zdało? Alboż druga w jej miejsce podstawiona się nie znajdzie, gdy jej za narzędzie użyć będzie potrzeba? Jest ich dosyć we fraucymerze, co się chętnie podejmą kusić...

Zamilkł.

Ksiądz Samuel, jakby zwyciężony tym argumentem, milczał także; ale myślał, że popróbować usunąć tę, o której wiadano powszechnie, iż młodemu panu najulubieńszą była, nie szkodziłoby jednak — wstręt miał wszakże do takich się uciekać sposobów, choć w pocziwejszej sprawie. Oręż to był nieprzyjaciół, nie jego.

Zwrócił się ku papierom i przerzucać je zaczął, przysposabiając się do poddania ich królowi, który już do blisko stojącego kałamarza i pióra sięgnął, aby się do podpisywania przysposobić.

Podkanclerzy czytał treść każdego dokumentu, a często nie potrzebował nawet do końca jej dopowiedzieć, bo Zygmunt dawał mu znać, iż rzecz, o którą chodziło, pamiętał.

Dziwnym było, że złamany na ciele i na duchu a często się zapominający w potocznych sprawach, gdzie o ważniejsze chodziło, budził się jakby z uśpienia Zygmunt i całą dawną żywość umysłu odzyskiwał.

Gdy niewieści krzyk i swar mu nie dokuczał, wracała pamięć, rozważa, rozum — starość czuć mu się nie dawała. Lecz teraz były to błyski pogody rzadko trwające długo, każda waśń z Boną, każda przeżyta godzina jej wyrzutów, odbierały mu siły i pogrążały go w tej odrętwiałości, z której potem trudno mu dźwignąć się było. Naówczas wszystko przyjmował obojętnie, zimno, milcząc, zdając się mówić: „Dziej się, co chce! Opatrzność niech rządzi! Stanie się, co jej wola...!”

Tymi nawet słowy, zniechęcony, odpowiadał czasem księdzu Samuelowi, wyrzekając się walki, z której nie spodziewał się wyjść zwycięsko.

Tym bezsilnym chwilom zobojętnienia, z których umiejętnie korzystała Bona, winna ona była wzrost swej władzy stopniowy, i zwątpienie ogarniało przyjaciół króla przewidujących, że wkrótce wszystkim ona jedna zawładnie.

Młody król mieszkał na zamku, choć ten nadzór nieustanny, na jaki go wystawiał pobyt pod bokiem ojca i matki, ciężył dwudziestokilkuletniemu panu.

Litwini domagający się od dawna, nalegający, aby go im dano na Wielkie Księstwo, mieli w nim chętnego, ale milczącego sprzymierzeńca. Więcej swobody pragnął i wyrwać się był rad dawno spod opieki rodziców.

Któż wie? Król byłby zezwolił może, aby się zawczasu wprawił do przyszłych rządów, aby pracował więcej, a mniej się rozrywał, ale królowa opierała się temu potajemnie, wymyślała niebezpieczeństw tysiące, była przeciwną ofierze choć najmniejszej części władzy, którą całą sobie chciała przywłaszczyć.

Zabiegi o to czyniła tak skrycie, iż syn nie domyślał się w niej przeciwnika, widział go w ojcu.

Matka zresztą najczulszą była dla niego, ale chciała, aby wszystko, co miał, otrzymywał z jej ręki, aby jej winien był wszystko.

Zygmunt August, wychowany przez nią, choć miał kilku Polaków przy sobie, choć dwór jego z nich się składał, dzięki wpływowi i staraniom matki, wychował się raczej na książętko-kosmopolitę niż na polskiego tronu następcę.

Nawykły do pieśszcot, elegancji, ogłady włoskiej, do świata wytwornego, choć umysłowo rozwinął się jak najszczęśliwiej, umiał wiele — najmniej był rycerzem tam, gdzie przeważnie królowi nim być przystało.

Przepowiednia owa starego szlachcica, gdy z pierwszej wyprawy królowa strwożona doniesieniami zawróciła go do Krakowa — przepowiednia, iż na wodza i rycerza nie urośnie, w pełni się ziściła.⁶⁸

August lubił księgi, muzykę, sztukę, wszystko piękne i wytworne, żołnierska sprawa była mu jeśli nie wstrętliwą, to obcą. Do łowów nawet, tej ulubionej Jagiellonów zabawy — której tak namiętnie oddawał się Jagiełło, Kazimierz, nawet stary Zygmunt — August nie czuł pociągu żadnego.

Pięknej i pańskiej postawy, oblicza poważnego i za wczesną jakąś tęsknotą łagodną obleczonego, miał w sobie wdzięk arysto-

kratyczny krwi starej panów. Jagiellońska dobroć łączyła się w nim ze Sforzów umysłową bystrością. Władzami ducha przechodził pewnie wszystkich swych poprzedników, lecz energii ich, siły, uporu mu brakło.

Matka zawczasu starała się go zmiekczyć, obezwładnić, aby nim rządzić — powiodło się to jej w zupełności...

Były to zresztą ostatki może lat najszcześliwszych życia Zygmunta Augusta, w których nic na nim nie ciążyło. Nie miał żadnych obowiązków, a matka starała się, aby wszelkie jego pragnienia młodzieńcze zaspokojone zostały.

Przysposabiał się do życia, nie przeczuwając w nim żadnej walki, lecz samo tylko rozszerzenie pragnień i swobodę używania.

Mógł marzyć, bawić się, słuchać lutnistów, uczyć się pieśni, wpatrywać we wdzięczne twarzyczki, które mu się, wyprzedzając, uśmiechały, dobierać przyjaciół, jeżeli oni Bonie nie zdawali się niebezpiecznymi, fantazjom chwilowym dogadzać... Królowa pierwsza zawsze o nich wiedziała, aby z jej pomocą mogło się spełnić, czego pożądał. Życie upływało jakby w jakimś półśnie rozkosznym. Troski dotąd tak jak nie znał. O przyszłej swej żonie słyszał od dawna, pisywali do siebie, miała być piękną, lecz małżeństwo w początku zdawało się tak dalekim, a do miłości sposobność tak bliską.

Bona przez szpary patrzyła na zawiązywane i rozwiązujące się stosunki z pannami swojego dworu. Zawsze w porę znajdował się ktoś, co pomógł do uniknięcia skandalu, do zapewnienia milczenia. Z kolei piękna Dżemma była kochanką młodego króla; najpiękniejsza z dziewcząt, to mało, najwykształceńsza z nich; umysłem, dowcipem, talentami przechodząca o wiele swe współtowarzyszki.

Królowa, od dziecka widząc w niej nadzwyczajne zdolności, zajmowała się nią szczególnie. Miała mistrzów, nauczycielki, wychowywała się tak starannie, może świetniej niż królowne. Z tamtymi obchodzono się dosyć surowo, ta była pieszczoną.

Królowa, która umiała zużytkować wszystko, rachowała na nią, jako na potężne narzędzie, które zawsze użytecznym być mogło.

Nie miała może na myśli syna w początku, potem miłości z piękną Dżemłą przyszły jej w porę i na rękę.

Despotycznej zdawać się mogło, że potrafi, gdy zechce, pokierować nimi, zawiązać, gdy będzie potrzeba, rozwiązać łatwo, gdy się staną zawadą. Myliła się w tym jednakże, nie dosyć znając charakter dziewczęcia, którego podstawę stanowiła duma i rozkłykana wyobraźnia. Była to Włoszka w całym znaczeniu tego wyrazu, z namietnościami gwałtownymi i niepohamowanymi, z pojęciem o miłości idealnym. I piękność, i umysł, i talenta, w jej przekonaniu, powołać ją mogły choćby do tronu, a przynajmniej na jego stopnie.

Płochych miłostek nie rozumiała Dżemma; miłość ze sztyłem w dłoni, z trucizną w czarze, walczącą i gotową na śmierć.

Wykarmiona poezją włoską, pieśniami włoskimi, które o miłości mówiły jako o najważniejszej sprężynie żywota — Dżemma wierzyła w nią i czekała na nią. Przyszła do niej w postaci łagodnego, młodego, rozmarzonego królewicza.

August powoli skradał się do niej, jakby przeczuwał, że raz zawiązany stosunek nie da się łatwo rozwiązać... ale zbliżywszy, poznawszy ją lepiej, znalazł w niej kobietę swoich marzeń. Pierwsze jego miłostki były płache i dziecinne, ta od razu przedstawiała się tragicznie i nęciła tym właśnie.

Bonie się zdawało, że gdy raz nie będzie potrzebną Dżemma, łatwo się jej pozbędzie jak innych, wydając za męża; trzymała na to gotowego, rozmiłowanego, majątnego Dudycza, który był i dostatecznie ślepy, i jak należy zakochany.

Dżemma patrzyła teraz na niego z pogardą, ale wszystko to zmienić się musiało, gdyby stara królowa rozkazała.

Dosyć zawsze pieszczona Dżemma, teraz, gdy miała serce syna odciągnąć od młodziuchnej królowej przyszłej i została na to przeznaczoną, z nadzwyczajną troskliwością pielęgowaną była przez królową. Wbijało ją to w pychę, i utwierdzało w tym przekonaniu, że wielkie i świetne losy czekały na nią w przyszłości.

Nic nie uchodziło oka Bony, która szpiegów swych miała wszędzie, wiedziała więc o każdym kroku syna, o każdym słowie Dżemmy. Dudycz miał być ze dworu starego króla przesadzony do młodego pana, aby i on donosił o nim. To rozporządzenie nim było dosyć niezręczne, lecz Bona nie rozumiała, aby się jej kto mógł sprzeciwić, zresztą Dżemma po królewiczu była dla Dudycza jeszcze aż nadto wielkim skarbem.

Mieszkanie młodego króla łączyło się z bliska korytarzami z izbami królowej i jej fraucymeru. Przejście do Dżemmy było łatwe i nie narażało na spotkanie z nikim obcym.

Zygmunt August żył tu, zawsze w oczekiwaniu jakiejś zmiany, bo mu wysłanie na Litwę obiecywano, jakby na obozowisku; ale do czasu musiał około siebie zgromadzić, co życie znośnym czyniło.

Lubił wszystko piękne, pokoje więc pełne były darów królowej i nabytków różnego rodzaju ciekawych i odznaczających się artystycznym wykończeniem. Zbroje, których nigdy prawie nie wdziewał, zachowane tu starannie, były arcydziełami kunsztu płaterskiego, połączonego ze złotniczym. Szyszaki, napierśniki, złotem nasadzone, tysiącami dukatów opłacano dla niego.

Oprócz tego zbiory pierścieni, gemm⁶⁹, medalów, rzeźb małych stanowiły już mały skarbiec, który młody król namiętnie coraz nowymi nabytkami powiększać się starał. Cokolwiek się tu znajdowało, musiało się czymś niepospolitym odznaczać. Od szyszków rytych i złożonych do mieczów, których rękojeści rzeźbione podziwiać trzeba było jako cacka, do kobierców i pokryć na konie, wszystko prawdziwie królewskim jaśniało przepychem.

Szkatuły pozamykane, szafki zamczyste, skrzynie rzeźbione z drzewa na stołach zamykały te zbiory, którymi król bawić się lubił i chwalić nimi przed poufałymi. W sypialni i komnacie przy niej stoły oprócz tego zarzucone były księgami tak zachowanymi, aby nie każdy mógł je przepatrywać i dowiedzieć się, co królewicz czytywał. Tu nie każdy miał przystęp. Księgi sprowadzane z zagranicy, we wspaniałych acz prostych oprawach ze skóry dżiczej, gromadziły się przy sypialni. Treść ich byłaby zdziwiła ciekawego badacza, tak nadzwyczaj urozmaiconą była.

Począwszy od poezji do rozpraw teologicznych, do historycznych badań, było tam wszystko, co w obecnej chwili świat zajmowało. Pisma surowo zakazane niemieckich reformatorów⁷⁰, rozprawy Melanchtonów⁷¹, Rotterdamusa⁷², Lutra obok namiętnych traktatów politycznych obrońców katolicyzmu. Z zakładek i znaków widać nawet było, że pierwsze z nich pilniej czytowane były.

Obok tego poeci włoscy, łacińscy, księgi o sztuce, opisy krajów, historię państw, nawet rozprawy o czarnoksięstwie znaleźć było można.

Zygmunt czytał wszystko lub przynajmniej przerzucał tak, aby mu nic obcym nie było.

Na dworze mało czuć się dawał ten prąd idei polemicznych, które wiodły z sobą walkę o swobodę sumienia.

Właśnie w tych latach panowała jakaś cisza pozorna. Gamrat ustanowił inkwizycję. Spalono staruszkę Malcherową, wielu duchownym zagrożono... trwoga wywołała milczenie. Lecz pod tą ciszą łatwo się było domyśleć nurtujących potajemnie prądów, które tym były niebezpieczniejsze, im mniej się na oko pochwycić dawały.

Zygmunt Stary pobożnym był, nie będąc zbyt gorliwym; Bona modliła się i obchodziła z duchowieństwem na sposób włoski, posługując się nim i płacąc mu za to, ale wymagając posłuszeństwa. Z Rzymem wołała być dobrze, lecz nie szanowała go zbyt — a gdy tam nie mogła przeprowadzić, co chciała, łajała i zżymała się namiętnie.

Pod takimi wpływy Zygmunt August się wychował, w rzeczach religijnych raczej obojętny i zimny niż gorliwy.

Dopiero ruch reformatorski w Niemczech, który jak fala tłukł o granice Polski i wdierał się tu pod najrozmaitszymi postaciami, obudził w młodym królu zajęcie tą polemiką, która go zabawiła.

Lismanin, któregośmy widzieli u królowej, przebiegły Włoch, siedzący na dwu stołkach a skrycie sprzyjający reformatorom, przychodził, ostrożnie badając stan umysłu króla, oswajając go powoli z gotującym się wielkim przewrotem w Kościele.

Lecz jakkolwiek młody i żywy, król tak był w sobie zamknięty i ostrożny, iż słuchając go, nigdy poznać nie dał po sobie, gdzie się jego sympatie skłaniały.

Tak samo, jak i tą teologią namiętą, zajmował się chętnie muzyką August, słuchając jej z przyjemnością. Na ostatek miał jeszcze upodobanie w pięknych koniach, których nieczęsto dosiadał, ale lubił mieć osobliwe i już naówczas myślał o ich hodowli i stadach.

Takim, jakim był naówczas młody pan, można go było sądzić wielce obiecującym na przyszłość. Nad wiek poważny, dbały o każdy krok, nie rażący żadnym wybrykiem, umysłowo wykształcony, mógł monarchę znakomitego zapowiadać.

Szlachta i panowie polscy może by go innym mieć byli woleli: otwartszym, więcej rycerskiego ducha, mniej ostrożnym Włochem, lecz odmówić mu nie mogli nad wiek dojrzałości i taktu.

Mało się czym zajmował, ale to nie było jego winą — nie pociągano go do pracy. Królowa starała się go od niej odsuwać, stary Zygmunt też nie powoływał.

Były to, bądź co bądź, lata szczęśliwej młodości dla młodego króla... Mógł marzyć, zabawiać się, jak chciał, iść za swoimi skłonnościami i upodobaniami, a jeśli ojciec mu skąpił i był dlań surowym, matka za to płaciła, starając się serce i zaufanie pozyskać.

Dnie upływały swobodnie. Często kilka ich uchodziło, a August nie widział ojca, przychodził do niego na chwilę, niewiele słów zamieniał, i powracał do swoich lub królowej apartamentów.

Bona za to widywała syna nie raz, ale po kilka na dzień razy, zapraszała go do siebie, starała się zabawiać... Z rana przejeżdżał się konno, polował rzadko, jadł z rodzicami lub matką, czytał, przeglądał swe kamienie i medale, przyjmował tych, których królowa dla towarzystwa jego dobierała. Wszyscy oni tym się odznaczali, że nigdy o państwowych sprawach, o polityce nie mówili z Augustem. Mało się też nią zajmował lub przynajmniej nie dawał znać po sobie, że go to pociągało. Ale wzrok miał bystry, a szkołę milczenia przeszedł w dzieciństwie i umiał nosić w sobie największe brzemiona, nie zdradzając ich ciężaru.

Tego dnia królowa zastała go nad księgą, którą szybko złożywszy między inne, na stole nagromadzone, wyszedł na jej spotkanie.

Bony czułość dla niego zawsze się namiętnie objawiała, jakby jego miała jednego. Dla córek, oprócz Izabeli, była surową i nieprzystępną, dla Augusta wyłaną.

Oczyrna, wszedłszy, przebiegła pokój, aby z najmniejszej jakiejś oznaki poznać usposobienie syna... Znalazła go smutnym, więc zapragnęła być wesołą, usiłowała wyciągnąć na słowo jakieś, lecz nic się dowiedzieć nie mogła. Poleciała mu na dworzanina Dudycza, chwalać go jako posłusznego sługę — August przyjął to obojętnie. W chwilę potem, poszeptawszy jeszcze, biegła na powrót do swoich pokojów.

Zaledwie wyszła, czując się już swobodnym, August popra-

wił na sobie włoski strój czarny i cichymi krokami przemknął się korytarzem do Dzemmy.

Siedziała znów, tak jakżeśmy ją widzieli, w oknie małej komnatki swej, i lutnia leżała przy niej, i szycie miała w ręku, choć nie zdawała się nim zajmować. Zwróciła głowę, gdy drzwi się uchyliły, rumieńcem oblała się twarz, wstała spiesząc na spotkanie króla, który rzucił się, obejmując ją i przyciskając do piersi.

W tym niemym uścisku upłynęła chwila... Patrzyli sobie w oczy... Dzemma i on, oboje byli smutni, ale wielkie szczęście czasem się tak czarno ubiera umyślnie... Szeptali z początku tak, że ledwie samą się słyszeć mogli.

Dzemma poszła z wolna, wiedząc go za sobą ku krzesłu, a August obyczajem dawnym na podnóżku u kolan jej usiadł, patrząc w piękne oczy.

— Nieprawdaz, zdrowszą dziś jesteś? — szeptał król. — Uwierzyłaś, że nie masz trwożyć się czego?

— A! — przerwało dziewczę, machinalnie ręką białą sięgając ku leżącej blisko lutni, a drugą poprawiając pukle ciemnych włosów króla — a, nie ma miłości bez trwogi! Każdy skąpiec drży o skarby swoje.

— Bojaźń by szczęście zatrula, gdyby tak zawsze dręczyć nas miała — odparł August. — Drogich chwil szkoda jej dawać na pastwę.

— A chwile te tak krótkie — wstchnęła Dzemma — obliczone, niestety!

Zmarszczył się król i ujął rękę jej w dłoń.

— Nie przewiduj gorszej przyszłości, niż się ona obiecuje — począł mówić. — Niestety, królowie żenić się nawet tak, jak żyć, muszą, nie dla siebie, ale dla poddanych, za to małżeństwa ich serca nie wiążą. Zmusić mnie mogą do podania ręki przed ołtarzem, ale serca mojego nikt nie weźmie gwałtem... to do ciebie należy.

— Na długo?

— Na zawsze! — zawołał August. — Dopóki twoje dla mnie bić będzie, piękna Dzemmo!

Z wolna kołysać się zaczęła piękna jej główka, a uśmiech smętny błakał się po wargach.

— Dzielić się będę musiała z nią — mówiła. — A, nienawidzę tę kobietę!

— To dziecko — rzekł August — zabawiać ją będzie stary król, który podobno kocha bardzo synową, a mnie zasłoni matka, która wie, co mnie szczęśliwym uczynić może i żyje tylko dla mnie.

Gdy to mówił, wejrzenia ich się spotkały, Dżemma zacisnęła usta, Augustowi zdało się, że w oczach jej znalazł wyraz wątpliwości i niedowierzania.

— Dżemma — zawołał — ty jej nie znasz, ty ją sądzisz, jak drudzy! Ona, co czyni, wszystko dla mnie i, jeśli się naraża ludziom, ja tego jestem przyczyną. Od kolebki pamiętam ją zawsze tak czułą, tak dla mnie wylaną. Siostry nawet zaniedbuje.

Włoszka nic nie odpowiadała, lecz wejrzenia jej nie okazywały, aby przekonaną była.

— I ciebie — dodał król — winienem jej! Ona, tak surowa dla drugich, nam zostawuje swobodę, nami się opiekuje... ciebie kocha jak dziecię własne.

Podniósł głowę ku niej, jakby się domagał odpowiedzi. Dżemma jeszcze milczała, westchnęła tylko.

— Daj Boże — odezwała się po przestanku — aby się to nie zmieniło... Widziałam nieraz królowę przechodzącą z miłości do nienawiści tak skoro, tak gwałtownie.

— Nigdy bez przyczyny — począł król — oburza ją niewdzięczność, nie umie przebaczyć zdrady, a my na dworze, wśród ludzi, których łaskami obsypujemy, wystawieni jesteśmy ciągle na niespodziewane ciosy... Bona po królewsku wdzięczną być umie, lecz też i po królewsku karze.

Wzdrygnęła się ze strachu jakiegoś Dżemma.

— My we dwoje — ciągnął król dalej — my się przynajmniej od niej nie mamy czego obawiać, a wszystkośmy jej winni. Przyrzekła mnie bronić od przyszłej małżonki, z którą żyć nie będę zmuszony.

— A stary król? — spytała Dżemma.

— Ojciec nie zdoła nic, gdy królowa się oprze — mówił August. — Zmusi go ustąpić i pozostać obojętnym.

Myślała długo Włoszka, której lice się rozjaśniło nieco.

— Mówią, że was z nią, z nią — poczęła z przyciskiem wy-

mawiając wyraz ostatni — chcą wyprowadzić na Litwę... a ja? a mnie?

August głową potrząsnął.

— Ach nie — odparł — król jest temu przeciwny, matka mnie obronić potrafi. Litwa się od dawna domaga wielkiego księcia, ale polscy senatorowie obawiają się rządów osobnych. Kraje, połączone na pozór, ciągle się rozdwarzają... trzeba unikać wszystkiego, co je rozdziela.

— Co za życie! — ręce podnosząc i zakrywając twarz nim, przerwała Włoszka. — Drzę na myśl jej przybycia, tego wesela, tej niewoli! Widziałam jej portret u królowej, piękna jest i młodsza ode mnie!

— Nie! — gwałtownie zawołał August. — Ani krasy twojej, ani duszy twojej nie ma, dziecko trwożliwe... Matka powiada, że chora i że słabość jej wstręt obudzić musi.

— Ale dlaczego ty mnie zmuszasz — dodał — karmić się tą rozmową okrutną? Po co przewidywać? Na co zawczasu goryczą się poić...? Zaśpiewaj, marzmy!

I głowę złożył na jej kolanach.

— A, nie! To nie jest śpiewu godzina — odezwała się, rzucając lutnię, Włoszka. — Ja nie mogę śpiewać, gdy w duszy mam lzy, ani nakazać sobie pieśni, gdy mi się serce ściska... nie, nie.

Król nie nalegał. W milczeniu ujął jej rękę białą i całując palce po jednemu lubował się tak, marzył, uśmiechał. Dżemma schyliła się nad skroń jego i położyła pocałunek na niej.

Tak byli zatopieni w sobie, że żadne z nich nie dosłyszało, ani postrzegło, jak cichutko podniosła się w drzwiach sypialni zasłona i twarz Bony z oczyma iskrzącymi ukazała.

Królowa patrzyła na nich długo z radością jakąś, ostrożnie opuściła kurtynę i znikła.

Dżemma podniosła się, August wstał, objął ją wpół i poszli razem stanąć w oknie, szepcząc niepochwycionymi wyrazy. Były to przysięgi miłosne.

Coś się zdawało czuwać nad nimi, w kurytarzach nie było najmniejszego ruchu, od komnat dalszych nie dochodził szelest żaden. Zapomnieli się tak długo, długo i wchodząca dopiero karlica rozbudziła ich do życia.

Król natychmiast opuścił komnatę.

W nieszczęśliwą godzinę biedny Petrek Dudycz podniósł oczy i serce swe skłonił ku Włoszce. Zdawało mu się, że dla ubogiej sieroty, która nic oprócz łaski królowej nie miała, jego osoba i majątność były czymś bardzo ponętnym.

Karykaturalnej postaci Dudycz, którego wyszukane stroje czyły brzydszym i śmieszniejszym jeszcze, na wiele rzeczy był ślepym, a im dłużej się tą spóźnioną miłością rozgrzewał, tym mocniejszego nabierał przekonania, że ona mu piękną Dżemnę zjednać musi.

Przystęp do niej, jak do innych panien fraucymeru, wprawdzie napotykał trudności i przeszkody, lecz Petrek wiele ich podarkami i groszem umiał zwyciężać. Skąpy, dopóki z soli fortunę budował, teraz rozkochany, gotów był na największe ofiary.

Nad polskim fraucymerem królowej naówczas zwierzchni miała dozór ochmistrzyni wdowa, niemłoda już jejmość Klara Zamechska. Winna ona była to miejsce jedynie temu, że za młodu obracając się w kołach mieszczan i kupców włoskich w Krakowie, których za Kaźmierza dosyć tu napłynęło, nauczyła się nieźle po włosku.

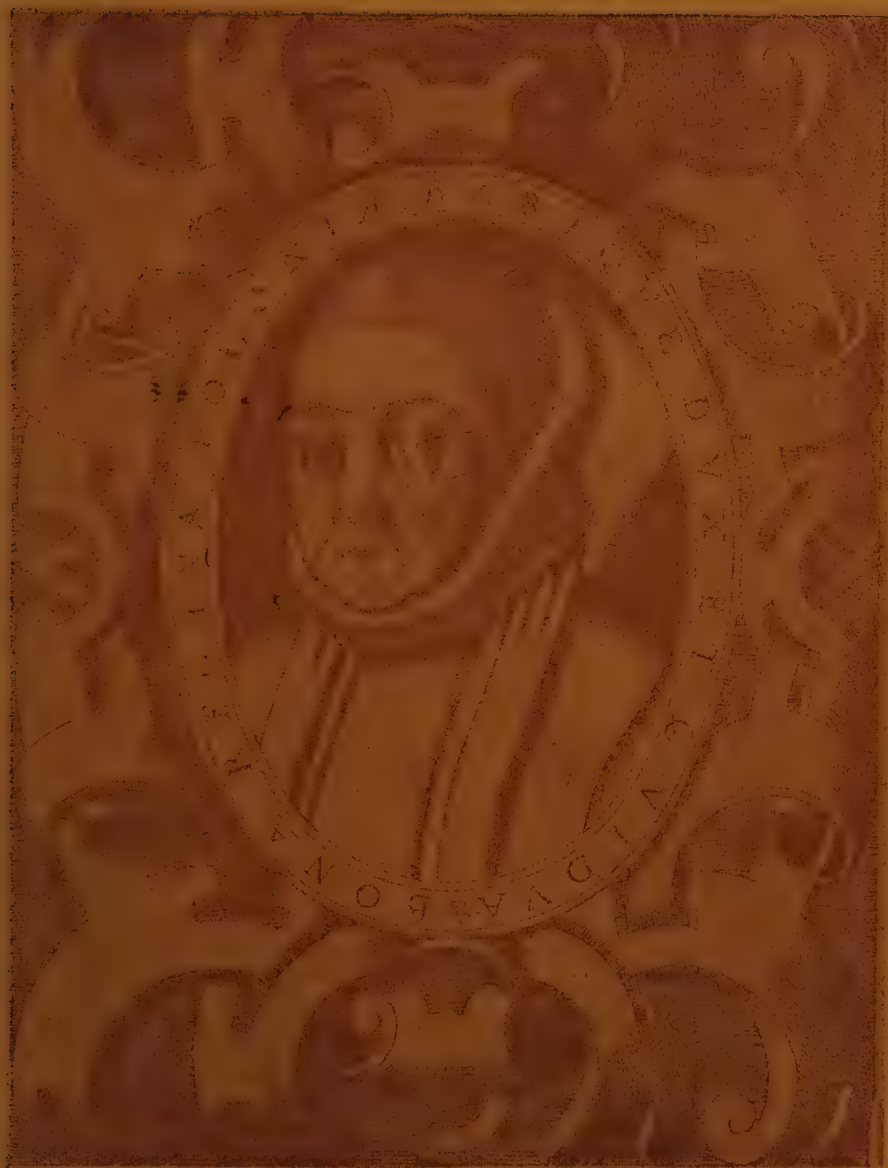
Otyła, ocieżała, ale zdrowa i silna, Zamechska chodziła namarszczona, udając surową, starała się królowej przypodobać — ale ani Bona jej polubić, ani ona królowej pokochać się nie nauczyła.

Obawiała się i nienawidziła. Lecz że obyczaj wymagał ciągłych zapewnień miłości, wierności, poświęcenia, ochmistrzyni miała je ciągle na ustach.

Dudycz, który znał dobrze dwór, nie znalazł sobie lepszego nad nią sprzymierzeńca. Wiedział, że Zamechska chciwą była — począł od obsypywania ją podarkami.

Baba kuta doskonale wiedziała, o co chodziło, śmiała się w duszy z poczwarnego eleganta... ale go nie odtrąciła. W zbliżeniu się do niego nie było niebezpieczeństwa, bo Dudycz miał pewne zachowanie u królowej.

Petrek znalazł wreszcie raz wieczorem zręczność rozmówienia się sam na sam ze starą ochmistrzynią.



1. Bona Sforza.

Miedzioryt Nicolo Nelli (ok. 1530)

SIGISMVNDVS I.



2. Zygmunt Stary.

Miedzioryt anonimowego twórcy z XVI wieku



3. Renesansowe krużganki dziedzińca Zamku na Wawelu



4. Fragment wnętrza kaplicy Zygmuntowskiej, renesansowego mauzoleum wawelskiego, z widocznymi sarkofagami Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta



5. Głowa Zygmunta Augusta.

Fragment pomnika nagrobnego. Król polecił jego wykonanie
rzeźbiarzowi Janowi Marii Padovano w roku 1571



6. Wizerunek młodej dziewczyny w wianku.
Jedna ze słynnych głów wawelskich zdobiących kasetonowy
strop w Sali Poselskiej na Zamku.



7. Niewiasty w strojach renesansowych.

Drzeworyt anonimowego twórcy z XVI wieku



8. Królewski błazen Stańczyk.

Drzeworyt Jana Styfi (1841—1921), wedle obrazu Jana Matejki (1838—1893)

9. Kaplica Zygmuntowska.

Wzniesiona w latach 1519—1533 wedle projektu i pod kierunkiem Bartłomieja Berrecciego





10. Elżbieta Habsburżanka — pierwsza żona Zygmunta Augusta.
Malował Lucas Cranach młodszy (1515–1586)



11. Szczęśliwość rajska — arras wawelski z serii wykonanych w Brukseli na zamówienie Zygmunta Augusta (Fragment: Adam i Bóg Ojciec)



12. Dama z łasicą.

Dzieło Leonarda da Vinci (1452—1519), będące w posiadaniu Polski



13. Zygmunt August.
Malował Lucas Cranach młodszy



14. Zygmunt Stary.

Malował Lucas Cranach młodszy



15. Modlitewnik królowej Bony, na kartach którego — jak głosi legenda — zapisywała imiona i daty narodzin swoich dzieci.

Miniatura toskańska z XV wieku



16. Bona Sforza.
Malował Lucas Cranach młodszy

— Jejmościuniu — rzekł — śmiej się ze mnie, jeśli chcesz; powiesz może, że w starym piecu diabeł pali, ale com ja temu wienien, że mam i serce w piersi. Zakochałem się...


— We mnie? — odparła, biorąc się w boki, Zamechska.

Dudycz począł się śmiać i w rękę ją pocałował.

— W Dżemmie — szepnęła.

Zamechska rękę załamała.

— A toś się wybrał! — rzekła. — Prawda, że późno, ale za to smacznego ci się kaska zachciało. Na całym dworze piękniejszej nie masz.

— Pewnie — odparł z dumą Petrek — bo ja smak mam; ale ta piękność uboga jest, a ja, dzięki Bogu, węzelek sobie przysposobiłem. 

— I dzięki soli — szepnęła Zamechska.

— Sól zdrowa — rzekł Dudycz. — Sądzę, że królowa, pani moja najlaskawsza, nie będzie temu przeciwną.

— A dziewczyna? — spytała ochmistrzyni.

— Kto ją zgadnie? — począł Dudycz. — Raz patrzy tak, jakby się gniewała, czasem jakby się litowała.

— No... a jakby się kochała? — przerwała Zamechska. — He? Dudycz głową potrząsnął.

— Nie — rzekł — ale to by może z czasem przyszło. Ja bym ją złotem obsypał, ja bym... — nie mógł dokończyć, ręce jego wyrażały tylko, że gotów był dla niej poświęcić wszystko.

Stara Zamechska miała czasem poruszenia dobrego serca. Zał się jej zrobiło tego człowieka śmiesznego, brzydkiego, który całe życie pracował na to, aby dla jednej dziewczyny, wyśmiewającej się z niego, patrzącej wysoko, wszystko a może nawet i życie w końcu stracił. Zbliżyła się do siedzącego i położyła mu rękę na ramieniu, litościwie spoglądając na niego.

— Słuchaj, Dudycz — rzekła — chyba oczów nie masz. Żyjesz na dworze, a nie widzisz tego, co wszystkim wiadome... Dżemnę kocha młody król, ona szaleje za nim..., nasza pani na to przespary patrzy. Gdzież tobie się z nim mierzyć!

Petrek słuchał na wpół osłupiały.

— Przecie się z nią nie ożeni! — dodał pomilczawszy.

Ochmistrzyni się rozśmiała.

Dudycz dodał spuszczaając oczy:

— To co? Albo się ludzie z wdowami nie żenia?

Upór był nie do przełamania, Petrek począł dalej ciągnąć rzecz swoją.

— No tak, pracowałem życie całe, uciulałem grosza. Chodziłem w prostej opończy dziurawej długo, a teraz widzicie, jak się stroję. Otóż na to pracowałem, żeby mieć wszystko, jak drudzy. Bławy, aksamity, łańcuchy, woźniki, kolebki i żonę taką, aby mi jej ludzie zazdrościli. Innej nie chcę jak ta, a tę muszę mieć, niechaj będzie, co chce...

I pięścią uderzył się w kolano.

— Cóż z tobą mówić! — odparła ochmistrzyni. — Ja ci nic nie pomogę, ona teraz na ciebie patrzeć nie zechce.

— A potem? — zapytał Dudycz podnosząc oczy.

Śmiała się Zamechska; patrząc na śmiesznie wystrojonego, brzydkiego, niezgrabnego człowieka, razem litość i śmiech ją porwał.

— Mam ja ci to tłumaczyć — rzekła — czegoś się powinien sam być domysleć? Królowej ona teraz potrzebna, aby młodego króla od tej żony, którą dla niego przywieźć mają, odciągała. Młody pan i stara pani nasza obsypują Włoszkę podarkami, ona teraz pierwsze oko w głowie... Cóż ty możesz przeciwko nim?

Dudycz wstał z krzesła i zbliżył się do ucha prawie Zamechskiej.

— Nie takim ja głupi — odparł, zniżając głos i ręką osłaniając usta. — Królowa i młody pan będą ją pieścili, bo im potrzebna, ale stary król także też coś znaczy; ksiądz Samuel, hetman, podskarbi także ręce mają... Oni pewnie się zechcą pozbyć Włoszki... hę?

— A ty myślisz, że oni wszyscy, ile ich jest, naszej starej Włoszce i młodej podolają? — odparła ochmistrzyni.

— Młoda królowa także też coś będzie znaczyła — rzekł Dudycz.

— Więc żonę chcesz wziąć na upartego, gwałtem? A co ci potem będzie z niej? — spytała Zamechska. — Dasz jej radę?

Gburowata, głupowata twarz Dudycza przybrała na chwilę jakiś wyraz dziki i dziwny, błysnęły oczy — i Zamechska zrozumiała, że w tym człowieku, który się układał na dworaka, był drugi ukryty... z wolą żelazną i nielitościwym uporem.

Petrek milcząco spuścił oczy.

— To moja sprawa — rzekł. — Mówilem jejmości: chcę mieć piękną i pokaźną żonę..., jak ją dostanę, to ja sobie ułożę.

— Znalazłbyś przecie łatwiej drugą — przemówiła Zamech-ska.

— Kiedy mi ta w oko wpadła — rzekł Dudycz. — Ja wiem, że niełatwo ją przyjdzie uchodzić, alem na wszystko gotów... na wszystko...

To mówiąc z kieszeni płaszczyka Petrek zaczął coś dobywać starannie obwiniętego w jedwabną chusteczkę. Ochmistrzyni przy-patrywała się tym przygotowaniom z ciekawością.

Powolnie, systematycznie Dudycz rozwinął węzelek i dobył piękny pierścień z okiem, który, milcząc, sam włożył na palec och-mistrzyni. Nie opierała się ternu i podziękowała mu skinieniem gło-wy i uśmiechem. Stara lubiła klejnoty, które wówczas zresztą wszyscy, mężczyźni i kobiety, nosili i cenili daleko więcej niż dzisiaj.

W chustce było jeszcze jedno pudełko, które Dudycz otworzył niemal z poszanowaniem. W nim na dnie atlasowym leżała spinka, w złoto oprawny rubin duży, który sam przez się był cenny, ale wartość kamienia nikła przy cudnej oprawie. Poznać było łatwo w robocie tej rękę włoskiego mistrza, który z miłością i zapalem rzeźbił to arcydzieło. Kamień obejmowały dwie figury kobiet, któ-re się go dźwigać zdawały. Ciała ich, lekkie draperie, wience kwia-tów oplatające dokoła ramę, były z różnobarwnego złota, srebra i emalii.

Zamechska patrzyła zdumiona, a Dudycza twarz uśmiechała się z triumfem.

— Myślicie — rzekł — że tę fraszkę łatwo za psie pieniądze kupić było? — Ho, ho! Wioseczkę by może dostał za to, co mnie ona kosztowała. Królowa by się nie powstydziała jej nosić.

To mówiąc, z wolna zamknął pudełko i wręczył je ochmi-strzyni.

— Znajdźcie sposób oddać to ode mnie pięknej Dżemmie — rzekł. — Ja o nic w zamian nie proszę, nic a nic, nawet o spoj-rzenie. Chcę, żeby przyjęła i nosiła...

— A jak nie przyjmie? — spytała Zamechska.

Rozśmiał się Dudycz.

— Nie byłaby Włoszką — rzekł. — Naprzód jej pokażecie, niech się przypatrzy, potem...

Dudycz wydał się ochmistrzyni nie tak głupim jak wprzód.

— Nawet Bóg zapłać nie żądam — dodał. — Nic, tylko żeby czasem to cacko włożyła. Są klejnoty, które mają czarodziejską siłę...

Stara, która święcie wierzyła w czary, pudełeczko bojaźliwie postawiła na stole.

Petrek się uśmiechnął.

— Będę wam bardzo wdzięczny, gdy jej to oddacie i powiecie tylko, że ode mnie, który jestem i będę jej sługą i niewolnikiem.

Ochmistrzyni milczała, nie miała już co mówić z upartym, który wszystko przewidywał, a niczym zrażać się nie dawał.

Dudycz też, jakby spełnił to, po co się tu wcisnął, pożegnał zaraz Zamechską. Miał już na myśli co innego. Otworzyły mu się oczy. Zamiast protekcji starej królowej, potrzebniejszą mu była daleko pomoc tych ludzi, którzy przy starym królu stali, bo tym Włoszka miała się stać zawadą.

Dudycz miał z niektórymi stosunki, a szczególnie z Bonem, który w sprawach żup solnych jako doświadczonego radził się nieraz. Oprócz tego łączył ich z sobą stosunek inny, wątył wprzód, lecz teraz dla Petrka nabierający wagi.

W milczeniu, niepostrzeżenie prawie reforma Lutra szerzyła się w Polsce. W tej dobie, zwłaszcza na oddalonych krańcach, miała ona charakter wcale różny od tego, jaki przybrała później, gdy jawnie wybuchnęła.

W historii nowych religijnych idei za mało zwracają uwagę na ten period, który pierwsze symptomata prądu reformatorskiego dzieli od stanowczego zerwania z Rzymem.

Można śmiało powiedzieć, że w początkach trzy czwarte tych, którzy chwyтали chciwie idee nowe, jak je u nas zwano, nowinki, nie przypuszczało nigdy, ażeby one do zupełnego rozbratu z papieństwem i katolicyzmem doprowadzić mogły.

Bardzo wielu duchownych, którym ciążyło narzucanie cortegianów⁷³ z Rzymu do beneficjów, rząd poza granicami, nadzwyczajne różnice — bardzo wielu marzycieli, którym religia zdawała się wymagająca oczyszczenia, uproszczenia, uczynienia popularną językiem itp.⁷⁴, bardzo wielu humanizmem doprowadzonych do nie-

wiary⁷⁵ i teizmu⁷⁶ — na koniec ogromny lik ludzi, co nie rozbie-
rając nowości, na wędkę ich pochwyć się dają, cisnęło się do
nowatorów. Nikt jednakże, rozprawiając o tym, dając schronie-
nie apostołom reformy, z kościołem nie zrywał. Wielu ograniczyć
się chciało tym, co nazywano puryfikacją⁷⁷. Żądano wiele, lecz
ograniczyliby się gardłujący i mniejszymi ustępstwami.

Gamrat, który spaleniem Malcherowej i ustanowieniem inkwi-
zycji zatrwożył nowatorów, na kilka lat wstrzymał jawne ukaza-
nie się protestantyzmu... Spiskowano po cichu, wielu na dwu stoł-
kach siedziało — Boner, Decjusz⁷⁸ sprawiali urzęda syndyków przy
kościółkach katolickich⁷⁹, a w domach swych gospodę dawali przy-
bywającym z Niemiec apostołom.

Znaczna część duchowieństwa młodszego, żwawszego umysłem,
a nie mającego nic lub niewiele do stracenia, biegła słuchać pre-
dykantów⁸⁰ i żwawo rozstrząsała zasady przez nich głoszone.

W poufalitych kółkach, szczególnie niemieckiego pochodzenia
mieszczan krakowskich, było modą rozprawiać o bałwochwalczej
szci obrazów, o spowiedzi, o obrzędach, o bezżeństwie księ-
ży itp.

Prąd ducha czasu jest, jak owe burze wielkie, które obalają
gumachy, ale też kurzu tumany podnoszą. Tak samo i wielkie umy-
sły porywają idee, i najpłytsze zawracają. Niejeden idzie wprost
za drugimi przez naśladownictwo, tak samo jak sprawia czapkę
i pas nowym krojem.

Otóż Dudycz, który nagle został elegantem i nosił włoskie
suknie, chcąc się do przyzwoitych ludzi zbliżyć, począł szukać no-
watorów i z nimi nawiązywać stosunki.

Ich propaganda czyniła przystępnymi.

Człowiek majątny, który w swoich dobrach na wsi mógł dać
schronienie jakiemu zbiegowi, pobudować zbór, postarać się o druk
księgi — był pożądaną zdobyczą. Dudycz miał wszystkie te warun-
ki, a w dodatku zdawał się dosyć ograniczonym, tak że nim za-
władnać było można.

Przez któregoś z dworaków, bo tych wielu chadzało na refor-
matorskie koncyliabudy⁸¹, Dudycz się wcisnął pomiędzy spiskują-
cych. W istocie nie można ich było naówczas nazwać inaczej. Kryli
się jeszcze, przysposabiając umysły starego króla, ale nade wszy-
stko Zygmunta Augusta.

Lismanin, którego suknia mnisza długo od podejrzeń broniła, mający wstęp do starej królowej, przez nią się wwiódł do młodego pana, umiał mu podobać, stał się potrzebnym i przygotowywał go do uznania wolności sumienia, jako dopełniającej swobody prawami poręczone narodowi.

Dudyczowi wiadomym było, że w domu Bonera przy Floriańskiej ulicy, za wielkim pierwszym podwórcem na tyłach, w miejscu mniej dostępnym i widocznym, w izbie bardzo przestronnej zbierali się nowej wierze pozyskani uczniowie. Odbywały się tu ciche modlitwy, narady i rozprawy, tu zwykle przybywający z Niemiec stawali gospodą albo się o nią dowiadywali.

U Bonera, który na pozór katolikiem był i miał nawet więźność u księdza Samuela, a unikał rozmów drażliwych — ogniskowały się wszystkie zabiegi protestantów przygotowujących do lepszej, jak sobie obiecywali, przyszłości.

Kamienicę tę znał Dudycz, ale pewna obawa wstrzymywała go dotąd od uczęszczania na nowe nabożeństwa, a w rozprawach chyba jako słuchacz mógł uczestniczyć — i naprawdę niewiele go one obchodziły. Człek praktyczny myślał tylko o tym, jak z każdej sposobności dla siebie skorzystać.

Tym razem nie do zboru, ale do pana Seweryna Bonera zbliżyć się mu było potrzeba. Obrachował, że jako sprzymierzeniec mógł służyć tym, co popierali sprawę młodej królowej. Rozumował po gburowsku, za prosta i szedł prosto też do celu.

Zmierzchało już, gdy znalazł się przy ogromnych wrotach kamienicy, w której kancelarie czynnego Bonera, jego dwór, rodzina, domownicy i skarbiec mieściły. Ruch tu zawsze był wielki, bo Boner miał niezmiernie rozgałęzione stosunki, interesa ogromne i rozliczne, a zajmował stanowisko wyjątkowe. Szlachta go miała za swego, mieszczanie widzieli w nim też brata i wodza, bo z ich stanu wyrosnął. Był to zarazem pan, majątkiem magnatom równy, urzędnik skarbowy mający króla zaufanie, kupiec i handlarz, a jak na owe czasy i bankier, bo przez niego najpierw przesyłały się pieniądze w najdalsze kraje.

Mało który cudzoziemiec zawitał do Krakowa, nie mając do niego listu polecającego, karty na odebranie pieniędzy.

Wszystkim wiadomym było, że ta potęga stała po stronie króla Zygmunta Starego, księdza Samuela i hetmana. Boner nie wo-

jował jawnie z Boną, czynił jej nawet małe przysługi, lecz tak się ująć, jak ona chciała, nie dawał.

Dudycz potrzebował się z nim rozmówić. Wchodził właśnie we wrota, gdy młodego znajomego sobie mieszczanina Krieglera spotkał, który spojrzawszy nań tylko, ujął pod rękę i z sobą poprowadził, nie pytając nawet po co i do kogo idzie.

Dudyczowi zdawało się, że i on pewnie Bonera szuka. Dopiero w połowie podwórza, gdy ciągle jeszcze szli dalej, dowiedział się od Krieglera, który mu to szepnął na ucho, iż właśnie wieczorne miało się odbywać nabożeństwo. Ponieważ na nim spodziewał się zobaczyć Bonera, a przytomnością swą polecić mu i zyskać ufność jego, Dudycz się dał poprowadzić.

Izba przeznaczona na ten zbór tymczasowy znajdowała się w samej głębi drugiego podwórza na pierwszym piętrze, na które po ciemnych wschodach drapać się było potrzeba. Szło z nimi razem osób kilka. Nie sprawdzał nikt, kto wchodził i czy miał tu znajdować się prawo, bo się zdrady nie obawiano. Czujność wielka, uśpiona kilkuletnim pozornym spokojem, ustała.

Weszli do przyciemnionej sali, którą teraz dopiero kilku świecami zaczęło oświecać. W głębi stał okryty kobiercem i białym obrusem stół, a na nim krucyfiks srebrny. Żadnego zresztą obrazu, godła, sprzętu zwykłego miejscom modlitwy widać nie było. Oprawna w skórę Biblia leżała pod krzyżem.

W sali było już osób kilkanaście, które oczekiwać się zdawały — jedne, siedząc na ustawionych we dwa rzędy ławach bez poręczy, drugie, po cichu rozmawiając gromadkami. Twarzy przytomnych trudno było z początku rozpoznać w mroku, ale więcej niż połowa przytomnych tu miała na sobie odróżniające ich od świeckich suknie duchownego kroju. Barwa czarna dla mężczyzn i kobiet była w tej epoce wielce używaną i modną, ona więc sama nie stanowiła różnicy... ale płaszcze, birety, sutanny, a nawet tonsury wskazywały duchowieństwo. W znaczniejszej części byli to ludzie młodzi, a buta i gorączka patrzyła im z twarzy. Oglądali się niespokojnie, zdradzając trochę obawy, nadrabiając zuchwałą miną.

Dudycz, którego Kriegler u drzwi opuścił, został sam, a wszedłszy niemal mimo woli i zbytniej nie mając ciekawości, usiadł sobie na ławie.

Z wolna pusta izba napełniać się zaczęła, a rozproszeni goście zajmować miejsca na ławach. Petrek postrzegł z dala i Seweryna Bonera, i znanego wszystkim Justa Decjusza, i kilku innych przywódców.

Po upływie ćwierć godziny, w sposób bardzo prosty rozpoczęło się owo zapowiedziane nabożeństwo. Zanucono psalmy po niemiecku, nie bardzo głos podnosząc. Czuć było, że się nie chciano zdradzić. Śpiewy szły nie dosyć sforno⁸² i nie potrzwawszy, ustały. Naówczas mężczyzna czarno ubrany, w sukni długiej, kroju duchownych przypominającego, wystąpił za stół przed krucyfiks i mówić rozpoczął. Głos jego w początku był cichy, twarz blada, oczy nieśmiało biegały po słuchaczach, ale wnet rozgrzał się i własnymi słowy, i okazywanym mu jawnie współczuciem. Oczy wszystkich chciwie były zwrócone ku niemu, niektórzy na palcach z dalszych ław do bliższych się przesuwali, aby lepiej słyszeć mogli. Kaznodzieja mówił po niemiecku, Dudyczowi język ten nie był całkiem obcym, lecz rzecz cała dla niego zbyt ponętną nie wydawała się — pozostał więc na swej ławie z dala i z mowy ledwie kilka frazesów mógł pochwycić.

Predykant przybyły z Wittenbergi gwałtownie występował przeciwko despotyzmowi Rzymu — powtarzał wszystko, co przeciw papieżowi naówczas głoszone, starając się je oczernić i wstrętnym uczynić. Mówił o kościele Chrystusowym, o idealnym grobie bieżym, o przyszłej szczęśliwości świata odrodzonego i oczyszczonego z bałwochwalstwa. W końcu jakiś szal proroczy nim owładnął i to, co mówił, stało się prawie niezrozumiałym. Apokalipsa, wyciągi z ksiąg proroczych, zastosowane do czasów nowych, fantastyczne obrazy — ognistymi rysy piętnowały się w umysłach słuchaczy.

Wrażenie było ogromne, a gdy skończywszy, uznojony apostoł zamilkł, cisza zapanowała grobowa i choć inni mówcy zapowiedzeni byli, nikt się odezwać nie śmiał.

Po długich szeptach i naradach zanucono pieśń dziękczynną także po niemiecku i na tym skończył się ów obrzęd wieczorny. Dudycz postrzegł, jak potem kołem otoczono bladego predykanta, który jeszcze będąc pod wpływem natchnienia, jakie mu kazanie jego dyktowało, ocierał czoło i ust prawie otworzyć nie mógł.

Niektórzy z duchownych zbliżyli się ku niemu. W sali po-

skupiały się gromadki. Wszyscy byli pod naciskiem tych wyrazów natchnionych, widocznie napełniały ich one jak najlepszymi dla przyszłości tego kościoła nadziejami.

Petrek patrzył, słuchał, lecz naprawdę pragnął, aby się to wszystko jak najprędzej skończyło i żeby wychodzącego stąd gospodarza przyłapał. Ale ten był tak obłożony, że Dudycz w końcu postanowił się wymknąć i czekać na niego w dziedzińcu.

Tu już ciemno się tak zrobiło, że po chwili przeniósł się do bramy i długo czekać musiał, nim nareszcie spostrzegł idącego Bonera, którego pośpieszył pozdrowić.

Roztargniony podskarbi nie bardzo nań zważał i byłby pominął, gdyby Petrek nie szepnął mu, iż chce z nim mówić na osobności.

Boner, w sile wieku, pańskiego oblicza, postawy pięknej mąż, zmierzył go od stóp do głów oczyma, jakby pytał, co on, biedny człeczyna, z nim *privatim* mieć może do czynienia. Ale snadź przypomniał sobie, iż sam go kilkakroć używał do porady w sprawach żupy i kazał mu iść za sobą do mieszkania.

Wewnątrz kamienica tego bogacza i możnego dygnitarza nie ustępowała najwspanialszym domom książęcym. Zbogaceni mieszczanie lubili okazywać, że razem z fortuną nabyli upodobania pańskie, więc przepych był wszędzie. A że stosunki dozwalały im z zagranicy, z krajów przemysłu i sztuki z łatwością i szybko sprowadzać wszystko — nowości kosztowne, zaledwie się gdzie zjawily, wnet się tu znaleźć musiały.

Przeszedłszy szereg izb tak strojnych, że Dudyczowi jak obraz zaczarowanego jakiegoś pałacu mignęły przed oczyma — Boner wprowadził go do małej komnatki, która do poprzedzających ją izb wspaniałych wcale nie była podobną.

Tu oprócz stołu, kilku krzeseł i ław dokoła, a rzeźbionej szafy, nie było nic. Włoska lampa olejna czekała na gospodarza, stojąc na stoliku zarzuconym kartkami papierów, listów i księgami wąskimi i długimi, zawierającymi rachunki.

Panu Bonerowi jawnie było pilno, wskazał siedzenie Dudyczowi i z obojętnością wielkiego pana, który rad zbyć się natrętnego klienta, rzekł do niego:

— No, Dudycz, cóż ty mi przynosisz ze dworu? Masz co do mnie?

Petrkowi jakoś wytłumaczyć się na razie było ciężko; niewymowny, szukał po głowie, od czego by miał zacząć.

— Ja do Waszej Miłości w mojej własnej sprawie przychodzę — odezwał się nieśmiało.

— Mówże, proszę.

— Chciałbym — dodał Dudycz niezgrabnie — chciałbym się żenić...

— A któż ci broni? — śmiejąc się odparł Boner. — Jesteś pełnoletni od dawna.

Zaczerwienił się Dudycz.

— Ale bo — rzekł — idzie tu o pannę z fraucymeru królowej jejmości.

— I chcesz, aby ci król jegomość był swatem — począł Boner wesoło. — Ale, Dudyczu mój, to ci rychlej zaszkodzi, niż pomoże. Stara pani nasza dąsa się na nas.

— Ja to wiem — począł Petrek widocznie skłopotany tym, jak przystąpić do sprawy — ale właśnie się tak rzeczy składają, że moje ożenienie królowi staremu będzie bardzo na rękę, więc myślałem, że mi do niego pomoże.

— Królowi? Twoje ożenienie? — rozśmiał się Boner, z góry spoglądając na biednego, zafrasowanego petenta. — Nie rozumiem. Mów jasno!

Dudycz zniżył głos i począł nieśmiało:

— Mówią, że młody król na tę samą pannę rzucił okiem i że królowa, aby go od przyszłej małżonki odstręczyć, patrzy na to przez szpary... hm...!

Boner zrozumiał, ale się zmarszczył.

— Mówisz o pięknej Dżemie? — zapytał.

Głową potwierdził Dudycz, a uśmiech politowania prześliznął się po ustach pana podskarbiego.

— Żal mi cię, mój Dudycz — rzekł — ale na miłość, jak na śmierć, lekarstwa nie masz!

Poruszył ramionami i zamilkł.

— Czegóż tedy właściwie chcesz? — odezwał się po dość długiej przerwie, w czasie której Dudycz się jaśniej nie zebrał tłumaczyć. — Król nie ma mocy nad fraucymerem żony; jeżeli Bona sobie tego nie życzy, Włoszka owa także pewnie młodego króla bę-

dzie wołała niż starego dworzanina... W czymże my ci pomóc możemy?

Petrek podniósł oczy.

— A, jeśli staremu panu dokuczy to, że młoda królowa przybywszy, źle będzie przyjęta, bo młody król, gdy się rozkocha, nie zechce do niej przystać? Juści byście się Włoszki pozbyć radzi zawczasu, a ja ją gotów jestem wziąć.

Boner słuchał, ale obojętnie i dumnie.

— Wiesz, Dudycz — rzekł w końcu — rachunek twój niegłupi, to prawda, ale przeciwko nam, to jest przeciwko najjaśniejszemu panu naszemu, może, kto chce, używać broni intryg nikczemych, podstępów i zdrady, on nigdy, nawet w obronie najświętszych praw, tej podłej broni nie użyje. Stara królowa niech czyni, co chce, spodziewamy się ją zwyciężyć w sposób bardzo prosty i jasny, młode małżeństwo usuwając spod jej wpływu. Na ostattek, mój Dudycz, łowisz ryby przed niewodem, wszystko to tylko projekty i domysły.

Przykro było, taką obojętną odpowiedzią zbytemu, z niczym odchodzić Dudyczowi... Siedział jeszcze zadumany. Boner tymczasem z innego tonu, poufalej rozpoczął mówić do niego.

— Żal mi cię, mój stary — rzekł — bo wcale już młodym nie jesteś, że się wazysz na prawdziwe szaleństwo... Po co ci to? Padniesz w każdym razie ofiarą...

— A kiedy komu to miło! — odparł Dudycz. — Dziewczyna mi się haniebnie podobała... Chcę mieć taką piękną, żeby mi jej wszyscy zazdrościli. Na to całe życie pracowałem, abym miał za co szaleć na starość!

Rozśmiał się Boner.

— Znałem takiego — odparł — co widząc człowieka zarzucającego sobie pętlę na szyję, aby się powiesić, stał, patrzył i ani się ruszył, a powiedział potem: „Wolna wola jego, kiedy mu życie obmierzł!” Ja bym ci też to powinien rzec.

Sklonił się Dudycz nic nie zmięszany.

— Wątpię, abyś Włoszkę miał za sobą, jeżeli młodemu panu w oko wpadła — odezwał się podskarbi.

— Teraz pewnie patrzeć na mnie nie będzie, ale poczekawszy — rzekł chłodno Dudycz i na chwilę zamilkł, kończąc potem:

— Poczekawszy, panie podskarbi... jam nie prorok, ale powiem panu, że i król stary, i wszyscy wy będziecie radzi, że ja ją sobie zechcę wziąć. Otóż ja zawczasu się polecam...

To mówiąc skłonił się.

Boner, który go znał i nigdy o nim wielkiego nie miał wyobrażenia, teraz tak był zdumiony i miłością tą, i cierpliwą jej rachubą, i przewidywaniami Dudycza, że stał moment nie wiedząc, co powiedzieć.

— Zwierzyłeś mi się — rzekł w końcu — ja cię za to nie mogę inaczej zawdzięczyć jak dobrą radą: nie rozplatuj zawczasu niepotrzebnie, co w końcu sam może później będziesz musiał porzucić i zaniechać.

Energicznie podniósł głowę Petrek.

— Nigdy w świecie! — odparł stanowczo. — Ja co sobie raz postanowię, panie podskarbi, to muszę dokonać. Mało nie trzydziści lat o chlebie i wodzie pracowałem, żeby się dorobić grosza... no, mogę lat kilka starać się o taką żonę, jaką sobie mieć zapragnąłem.

Skłonił się, mówiąc to, i wziął za beret włoski, który był na krześle położył.

Boner patrzył za odchodzącym w milczeniu. Poruszył ramionami i tak się rozstali.

Wznanej nam pięknej komnatce, z oknem na szerokie błonia za Wisłą, siedziała następnego ranka piękna Dżemma, ale dnia tego wyglądała całkiem inaczej. Twarz miała świeżą, rozwesoioną, odmłodzoną, uśmiechającą się, dumną... promieniała zwycięstwem. W rękę trzymała robótkę, jedwabną chustkę, którą wyszywała we wzory, ale myślała o czym innym, a wzrok jej niekiedy zwracał się na komnatę, w której widać było rzuconą na poręcz krzesła sztukę atlasu różowego cudnej barwy i wiązkę złotych forbotów, przeznaczonych do jej przyozdobienia. Tuż na stoliku leżał przepiękny różaniec z koralów oprawnych misternie w złoto. Były to, jak się łatwo domyślać można, dwa świeżo otrzymane podarki. Ale nie one może tę wesołość na lica wywołały, coś więcej miała w duszy, gdy tak zwycięsko na świat patrzyła. Kiedy niekiedy srebrnym głosem, ale z cicha próbowała włoską jakąś nucić piosenkę, lecz myśli jej przerywały.

Wtem zaszeleściło od strony drzwi, które do sypialni prowadziły, i weszła młoda, piękna, ze śmiałym czarnych oczu wejrzeniem, dziewczyna. Rysy twarzy świadczyły, że Włoszką była i choć młoda, już postradała przedwcześnie tę dziewczczo-dziecięcą świeżość i urok, jakim Dżemma czarowała. Namietny wyraz tłumaczył prędkie rozstanie się z młodością. Pomimo to była i czuła się jeszcze bardzo piękna, a wdzięk stracony zastąpiła pewność siebie i jakaś zuchwałość, która też ma wielką siłę. Szła na palcach, jakby Dżemmę podchwycić na czymś chciała...

Typ to był zupełnie odmienny, a najpospolitszy pod włoskim niebem: bujny włos kruczej czarności, nieco kędzierzawy, oczy jak węgle, brwi bujne, usta koralowe, pełne, owal twarzy wdzięczny, formy bogate i już rozwinięte nieco zanadto może. Biała, bez rumieńców prawie, w twarzyczce miała wypisaną nieustraszoną odwagę, energię i jakby urąganie się światu. Usta i oczy piętnowało usposobienie namietne.

Po chodzie musiała ją Dżemma odgadnąć, rzuciła robotę, podniosła oczy, czekała.

— Pracowita pani z ciebie! — zawołała szydersko przybywa-

jąca, której oczy padły na różowy atlas i koralową koronkę i usta się uśmiechnęły. — Trzebaż było choć te dary pochować.

— Chcę się nimi nacieszyć — odparła Dżemma — a kryć się z nimi nie myślę.

— Szczególniej przede mną! — szydersko i ze śmiechem zawołała czarnooka, która już w białych paluszkach trzymała atlas, a wejrzeniem pożerała złote forboty. — Szczególniej przede mną — powtórzyła — która to wszystko wiem na palcach, bo... bom i ja to przeżyła, odplakała.

Dżemmy brwi się ściągnęły.

— Bianco moja — odezwała się dumnie — nie wiem, czy to, coś ty przeżyła, czeka mnie, ale mi się zdaje, że między tobą a mną jest wielka różnica.

Blade lice Bianki zarumieniło się nieco.

— Sądzis? — pochwyciła. — A, zobaczymy wkrótce, moja droga! Na co ci mam krótkie dni szczęścia zatruwać...

Wypuściła z rąk atlas.

— I ja odbierałam takie podarki, atlas tylko był innej barwy, a różaniec z kamieni...

Rozśmiała się szydersko, lice Dżemmy powlokło się chmurą.

— Zazdrościsz mi — szepnęła.

— Nie, już teraz nie — rzekła Bianka — bo wiem, że te rozkosze nie mogą trwać i że je potem łzami zapłacić potrzeba, a raz płakałam już długo, długo... i ze łzami poszła miłość.

Ręką w powietrzu pokazała, jakby ptaszek uleciał.

— On był naówczas młodszy — poczęła po małym przestanku — a taki namiętny! Zaprzysięgał kochać mnie całe, całe życie, a jam wierzyła w to święcie... Tymczasem Carita dorastała i wypiękniała, a na koniec i tyś, najpiękniejsza z nas, zakwitła. Jam była zawsze pewną, że ten los cię spotka.

Dżemma, słuchając w początku cierpliwie, w końcu rzuciła robotę z ruchem namiętym.

— Nie mów mi tego! — zawołała. — On wie, że z moim sercem, tak jak z waszymi, igrać nie można... Ono raz tylko w życiu może kochać.

— Dżemmo — odezwała się spokojnie Bianka — moje też kochało raz, a teraz się bawi.

— Moje by pękło, gdybym miała być zdradzoną — przerwała Dżemma.

Bianka spojrzała na nią z politowaniem, zbliżyła się do niej z powagą starszej, objęła wpół i lekki pocałunek złożyła na jej czole.

— Siadaj — rzekła — uspokój się, ja jestem niepoczciwa, że cię poję tą goryczą, lecz tak mi żal biednej Dżemmy zawczasu.

Włoszka siadła znowu w oknie jak wprzód i sparła się na rękę zadumana. Tymczasem Bianka kręciła się po komnacie, zaglądając wszędzie, przypatrując się wszystkiemu. Na chwilę rozmowa została przerwana.

Biankę Giorgi miała już rozpocząć ją na nowo, gdy ciężki chód dał się słyszeć u drzwi od kurytarza, uchyliły się one ostrożnie i okrągła, rumiana, rozlana twarz ochmistrzyni Zamechskiej w nich się ukazała.

Dżemma jako Włoszka nie należała do jej wydziału, mało widywała i nie bardzo lubiła. Domyśliła się więc jakiegoś szczególnego powodu tych odwiedzin, które przyjęła dość zimno.

Ochmistrzyni mówiła wprawnie po włosku.

— Tak dawno, dawno nie widziałam pięknej Dżemmy — rzekła wchodząc — iż mijając jej drzwi, nie mogłam się oprzeć pokusie. Pozwolisz się pozdrowić?

Ulubienica młodego króla i starej królowej była teraz tak z pochlebstwy oswojoną i do dworowania sobie przywykłą, że ją to nic nie zdziwiło. Przyjęła wymuszonym uśmiechem ochmistrzynię.

Bianka, której brwi się ściągnęły, bo musiała mieć jakiś wstręt szczególny do Polki, zakreśliła się tylko i wyszła.

Zamechska na pierwszym krześle najbliższym okna usiadła.

— Ślicznie mi wyglądasz dziś, moja królowo — odezwała się do Dżemmy — choć ty zawsze jesteś tak piękna!

— A wy, tak łaskawi — szepnęła kwaśno Włoszka.

Nie wiodło się z rozmową. Ochmistrzyni wspomniała o kilku dnia tego wypadkach, o tym, co królowa rozkazała, co na jutro się gotowało, o pannach wyznaczonych na służbę. Dżemma milczała główką potrząsając.

Tymczasem z wolna, jakby od niechcenia Zamechska poczęła z bocznej dobywać kieszeni pudełeczko, które uwagę Dżemmy zwróciło na siebie.

— Ty, co piękną będąc, lubisz i umiesz cenić wszystko, co piękne — poczęła z wolna ochmistrzyni — powinnaś zobaczyć to cacko... Właściwie zasłałam do ciebie tylko, aby ci je pokazać. Co też ty powiesz na nie?

I z wolna otworzywszy pudełko, Zamechska na kolanach Dżemmy położyła ową spinkę z rubinem, którą Dudycz jej wręczył.

Włoszka nic się pewnie tak nadzwyczaj pięknego nie spodziewała, zwróciła oczy obojętnie, lecz po chwili uchwyciła pudełeczko i wpatrzyła się zachwycona w maleńkie arcydzieło. Klejnot ten chwilę ją rozchmurzył.

— Prześliczna! — zawołała, kładąc na kolanach pudełko.

— A ja się na tym nie znam tak jak wy — odparła ochmistrzyni — ale i mnie się zdawało, że to klejnot godzien królowej.

— I zapewne należy też do najjaśniejszej pani — przerwała Dżemma.

Zamechska głową potrząsnęła.

— A czyjeż to jest? — spytała ciekawie.

Uśmiech jakiś niewytłumaczony dla Włoszki przebiegł po szerokich wargach Zamechskiej.

— To moja tajemnica — rzekła — ale, że u mnie nie ma gdzie nawet schować tak drogiej rzeczy, tymczasem zostawię spinkę u ciebie. Będiesz mogła przypatrzeć się jej i nacieszyć.

Wejrzenia ich spotkały się, podziwienie odmalowało na twarzy Dżemmy. Milczała.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

Namyślała się Zamechska z odpowiedzią dość długo.

— Hm — rzekła — to by mogło znaczyć, że ktoś się w tobie kocha gorąco, szalenie i rad by bóstwo swoje przystroić, ale się lęka przystąpić do niego.

Dżemma natychmiast pochwyciła pudełko, zamknęła je i milcząc położyła na rękach ochmistrzyni.

— Ja podarków nie przyjmuję — rzekła sucho.

— Nawet gdy za nie dziękować nie trzeba? — dodała, uśmiechając się, Zamechska. — Możesz nawet nie pytać, kto ci to przesyła.

— Nie jestem ciekawa — odezwała się Dżemma.

Pudełeczko leżało zamknięte, stara jejmość otworzyła je zno-

wu, wyjęła spinkę i podnosząc ją w palcach przeciwko światłu całą jej piękność starała się ukazać. Z wolna oczy Dżemmy spuszczone zwróciły się na prześliczne cacko i spoczęły na nim długo.

— Bądź co bądź — mówiła Zamechska, składając nazad spinkę na atlasowe posłanie — będę cię prosiła, piękna Dżemmo, abyś spinkę mogła przynajmniej zostawić u ciebie. U mnie tyle się ciękawych dziewcząt kręci, a ja tak zapominam zamykać, otwieram tak często...

Dżemma nie mówiła nic, ale usta się jej skrzywiły dumnie.

— Królewski podarek — szepnęła ochmistrzyni i wstawszy z krzesła położyła pudełko na stole obok różańca.

Oczy Włoszki szły za nią, nie zaprotestowała przeciwko temu. Starej zdawało się, że o ile mogła i umiała, spełniła, co jej zlecono. Nie obiecywała więcej. Klejnot miał w rękach Dżemmy pozostać i czarowna jego siła powoli działać na kobietę, dla której był przeznaczony.

Uśmiechem i poruszeniem głowy pożegnawszy siedzącą, zadumaną Włoszkę, Zamechska z pośpiechem, nie dając jej czasu na odpowiedź, wyniosła się za drzwi.

Zaledwie się one za nią zamknęły, gdy Dżemma wstała ze swego w oknie siedzenia. Zbliżyła się żywo do stolika, pochwyciła pozostawione pudełko, dobyła z niego spinkę i powróciła z nią do okna.

Teraz dopiero mogła się przypatrzyć ze wszelkimi szczegółami temu arcydziełu nie złotnika, ale rzeźbiarza, który małym figurkom taki wdzięk i takie umiał nadać życie. Zapomniała pewnie o pochodzeniu tego tajemniczego podarku, cała była przejęta zachwytem. Spinka wydawała się jej niezrównanej piękności.

Po długim obracaniu jej na wszystkie strony szła już złożyć do pudełka z westchnieniem, gdy w otwartych nagle drzwiach ukazał się powracający z przejażdżki Zygmunt August, w czarnych włoskiego kroju sukniach, w płaszczyku na ramionach... piękny a tak królewsko wyglądający, iż w nim każdy musiał domyślać się pana.

Nim miała czas schować spinkę Dżemma, król młody już ją zobaczył. Był on miłośnikiem wielkim drogich kamieni i wytwornych, kunsztownych robót złotniczych, których później ogromne po nim zostały zbiory.

Widok klejnotu w rękę tej, której on tylko teraz miał prawo przynosić podarki, zdumiał go i zaniepokoił. Postąpił żywo i pochwycił spinę, a uśmiech po ustach mu przeleciał.

— Nieprawdaż? Cudnie piękna! — zawołał. — Znam ją, bo mi przynoszono na sprzedaż, ale była za droga, a ja bez pieniędzy. Więc dobra matka moja kupiła, aby kochaną Dżemmę w nią ustróić.

Włoszka się zarumieniła mocno, lecz nie śmiała, czy obawiała się zaprzeczyć od razu... milczała. August trzymał w rękę spinę i oczy mu się do niej śmiały.

— O, ci Włosi — zawołał — ci Włosi...! Co za kunsztmistrze! Żaden naród w świecie nie pochwali się takimi, jak oni, malarzami, rzeźbiarzami, rękodzielnikami. Ani Francuzi, którzy piękne też robią cacka, ani Hiszpanie, których broń bywa cudną, walczyć z Włochami nie mogą.

Król położył spinę na stole, a oczy zwrócił na Dżemmę, która spragniona wejrzenia tego czekała. Obejrzał się dokoła, przyciągnął ją ku sobie i pocałunek złożył na ustach...

— Czekają na mnie — szepnęła — do widzenia wieczorem...

Aż do progu towarzyszyła mu Włoszka..., jeszcze jedno pocałowanie i sama wróciła do — nie do okna i siedzenia, ale do spinki zaczarowanej. Wzięła ją w ręce. Dziwne myśli płątały się po główce...

— Dla młodego króla spinka była za drogą! — mówiła sobie — a ten ktoś nie znany kupił ją... dla mnie!

Któż to być może? Bogaty więc. Może który z książąt, co na dworze bywali, co ją widywali przy królowej? Ostrogski jaki? Szląskie książątko czy niemieckie?

W myśli przebiegała ich wszystkich, ale obojętnie, szydersko, bo sercem i duszą była z Augustem. Na co jej byli ci wszyscy panowie, ci rozmiłowani książęta! Miała jego jednego, a ten starczył na całe życie... Była pewną jego serca, kochał ją mocno.

Wtem na myśl przyszła jej Bianka i zarumieniła się z gniewu i dumy.

Jak ta dziewczyna śmiała swoje płochy miłości z młodziuchnym królewiczem porównywać do tej miłości wielkiej, poważnej, poprzysiężonej, która ją, Dżemmę, łączyła z królem, która nigdy ustać nie mogła!

Co ją to obchodziło, że go ożenić miano! On nigdy kochać nie mógł ani żyć z żoną. Narzucono mu ją, zadano gwałt — był królem, musiał to uczynić dla korony, dla starego ojca.

W Bonie miała Dżemma taką opiekunkę, matkę, obrończicielkę.

A potrzebaż jej było innego sprzymierzeńca nad własny uśmiech i wejrzenie, nad siłę, jaką miała?

Piosenka wyrwała się z piersi wesoło...

Patrzyła na spinę jednakże i mówiła sobie, ot tak, przez ciekawość pustą: „Kto by to mógł być taki?”

Zgadywała, ale odgadnąć nie mogła.

Potrzeba była spytać Zamechską, która tajemnicy czynić z tego nie potrzebowała.

Zaczęła klejnot układać znowu na jego atlasowym posłaniu, chciała zamknąć, ale się go napatrzeć nie mogła — taki był śliczny.

Wypadałoż go zatrzymać? Trzeba go było oddać?

Nie żądano zań nic a nic... więc dlaczego nie miała zachować podarku. Wejrzenie jej padło razem na piękny różaniec koralowy, który się wydał pospolitym i ubogim. Nie mógł iść w porównanie z rubinem, który miał w sobie coś gorącego jak ludzkie spojrzenie.

Dobrą godzinę przemarzyła Dżemma, sam na sam ze spiną, i tak jakoś z nią się poprzyjaźniła, tak się do niej przywiązała, że się już wydawało niepodobieństwem ją zwrócić.

August król był tak roztargniony, tak mało zazdrośny, że pewnie już ani mógł spytać o pochodzenie podarku tego. Wyobraził sobie, że był ofiarą starej królowej i więcej pewnie się o to nie troszczył. Tylko przy Bonie spinki wziąć i pochwalić się nią nie było można. Oko starej królowej widziało wszystko i wiedzieć musiała wszystko, co się tu działo. Ona by się nie dała zbyć domysłem, spytałaby i doszła, kto przysłał, a może pogniewała się?

Ale czyż królowa sama podarków nie brała?

Wieczorem miał przyjść król jak zwykle, ale przed tą godziną spodziewała się Dżemma Zamechskiej, którą wypytać chciała. Coś jej mówiło, że przyjdzie.

W istocie przed zmrokiem wsunęła się stara z uśmiechem na szerokich wargach.

— A co, królowo moja — rzekła — przypatrzyłaś się tej śliczności?

Dżemma nie tała zachwycenia.

— Prawda! — zawołała. — Cudnie ładne cacko; ale, gdybym nawet miała ochotę je zatrzymać, cóż powiem królowej, królowi? Zwrócą na nie oczy?

Ochmistrzyni się zadumała.

— Mnie się zdaje — rzekła — że byłeś chciała i umiała, król pomyśli, że to dar matki, a królowa, że dar syna... Nie zmuszą cię do tłumaczenia...

Czulej, niż zwykle, Włoszka zbliżyła się do Zamechskiej, wdzięcząc do niej jak dziecię pieszczone.

— Ale wy powiecie mi, od kogo ten dar pochodzi? — szepnęła.

— Siądźmy no — odparła ochmistrzyni. — Ja jestem ociężała, cały dzień na nogach i stać mi trudno. Mam z tobą mówić otwarcie?

Dziewczę głową rzuciło żywo:

— A, proszę cię!

Pochyliła się ku niej Zamechska.

— Miarkujesz, że taki podarek książęcy wielkiej miłości dowodzi. Czy ona tobie miła czy nie, czy za nią zapłacisz lub nie dasz nic, co ci ona szkodzi? Mieć w zapasie miłość mężczyzny, choćby dla przyszłej zemsty... zawsze rzecz dobra. Kochanek może nie podobać się wcale, ale zda się dlatego!

Westchnęła ochmistrzyni.

— Tobie dziś o tym mówić, wiem, że cię oburzy — dodała — ale ja stara, przeżyłam wiele. Wierz ty mi, królów miłość nie trwa długo...

Dżemma się oburzyła.

— Miłość nie równa miłości! — zawołała.

— Tak moja droga, ale i najgorętsze się kończą, a która z nich najżywiej się pali, tym prędzej w popiół obróci... Króla młodego ożeniam.

Włoszka potrząsała głową.

— Przysiągł... nie opuści mnie.

Zamechska zamilkła.

— Powiedz mi tylko, kto przysłał ten podarek? — zapytała Włoszka.

Stara się mocno zakłopotowała.

— Jeżeli, sądząc z niego, będziesz go szukała wysoko — rzek-

ła — to się omylisz srodze. Człowieczek mały, biedny, ale cię kocha okrutnie.

— Mały, biedny?! — powtórzyła Dżemma, i brwi się jej zmarszczyły, a usta dumnie wydeły. — Mały, biedny... i śmiał oczy podnieść na mnie?! — zawołała z cicha, wlepiając wzrok w posadzkę, jakby w niej szukała słowa zagadki.

Ochmistrzyni przestała mówić.

— Któż taki? Kto? — nalegała Dżemma. — Ja trafić nie mogę...

— Bo nie wiem, czyś nawet kiedy na tego biedaka spojrzała, a jednak zawróciłaś mu głowę. Cóż by to było, gdybyś chciała go sobie pozyskać? Naówczas nie spinę, dałby dla ciebie... życie. Mied człowieka tak oddanego sobie... a, Dżemmo, to coś warto!

Włoszka podniosła się z siedzenia z powagą królowej.

— Dla mnie? — odparła dumnie. — Ale zapominasz, że ja mam za sobą królowę, która tu jest wszechmocna, i młodego króla, który jeśli nie ma jeszcze w ręku berła, to jutro je mieć będzie! Na cóż mi inni pomocnicy?

— Jeśli ty nie przewidujesz, aby ci byli potrzebni — odezwiała się Zamechska — cóż ja ci mam mówić?

— Chcę jednak wiedzieć, kto mi spinę przysłał! — nalegała Dżemma.

— Dobrze, z jednym warunkiem — rzekła ochmistrzyni — jeśli mi dasz słowo, że ją bądź co bądź zatrzymasz... On żadnej nie żąda wdzięczności, nie, nie!

— Zgoda — wesoło odpowiedziała dziewczyna. — Co mi tam! Klejnot bardzo ładny, choćby człowiek, co go ofiaruje był brzydki.

— Zgadłaś — odparła, śmiejąc się też, stara. — Juściż musisz wiedzieć o Petrku Dudyczu?

Krzyk wyrwał się z piersi dziewczyny, która załamała ręce.

Ten śmieszny, niezgrabny, wystrojony na pokaz i pośmiewisko stary, gburowaty dworzanin, z którego dwór cały drwił sobie... ten śmiał na nią podnieść oczy?

Gniew i oburzenie nie dało jej mówić. Chciała biec po pudełko, aby je rzucić pod nogi Zamechskiej, która patrzyła na nią cierpliwie.

— Nie gniewajże się! — rzekła. — Słońce i żabom świeci! Śmieszny jest, ale pan całą gębą. Niejeden z tych, co tu paradują

jako magnaci, nie wyrówna mu zamożnością. Możesz z podarku wnosić, że mu o pieniądze nietrudno.

— Ale ja nie chcę znać ani jego, ani bogactw tych! — zawołała Włoszka zrozpaczona. — Nie zniosę, aby się miał zbliżyć do mnie, nie pozwalam, aby na mnie patrzył! Nie, nie...

— Tego trudno mu zabronić — przerwała Zamechska — ale od ciebie on nic nie żąda.

To mówiąc ochmistrzyni, która za pierścień się wyplaciła, wstała nie chcąc dłużej przedłużać rozmowy. Poszeptała coś cicho Dżemmie i wyszła, a spinka została.

Co się później działo z Dżemną, aż do tej godziny uroczystej, gdy ustrojona, z lutnią w ręku przyjęła wchodzącego po cichu młodego króla, ile razy wzdrygnęły się jej białe ramiona na wspomnienie Dudycza, jak sobie obiecywała przy pierwszej zręczności wzrokiem go spiorunować, jak postanowiła zniechęcić i odstręczyć, opowiadać nie będziemy.

Nazajutrz Petrek wiedział już, że podarek przyjęty został, i zatarł ręce wielce szczęśliwy, jakby mu nie szło o nic więcej.

Ochmistrzyni razem, nie kryjąc się przed nim, opowiedziała, jak go przyjęto, jak dziewczę było dumne, nieprzystępne i jak mało mógł się po nim spodziewać.

Wszystko to na Dudyczu zdało się bardzo małe czynić wrażenie. Miał jakieś własne swoje pojęcia, plany i rachuby. Dziękował ochmistrzyni, jakby mu największą wyświadczyła łaskę.

Z jednej strony rachując na zachowanie dobre u starej królowej, z drugiej na pewne stosunki z ludźmi otaczającymi króla, mając obietnicę umieszczenia u boku młodego pana, wahał się teraz do jakiego obozu przystać było najkorzystniej. Sympatii szczególnej nie miał dla nikogo, przede wszystkim kochał siebie.

Iść pod wodzą pana Bonera przeciwko Bonie i młodemu królowi, mogło coś obiecywać, ale Włoszki się obawiał. Z Boną trzymać znaczyło, że musiał długo czekać, nimby Dżemma jej stała się niepotrzebną.

W tej niepewności, jak dawniej tak i teraz pozostał na stanowisku neutralnym: wypatrywać, czekać, a pierwszą zręczność nadającą się zużytkować.

Wiedział, że za kilka miesięcy przybyć miała młoda królowa. Walka rozpocząć się musiała natychmiast po jej przyjeździe, a po-

ciągnąć długo nie mogła, bo Bona powoli działać nie umiała. Król był stary i coraz słabszy. Nie taił przed sobą, że ciernistą miał do przebycia drogę, ale gdy spojrzął z dala na to cudo piękności, które miało być trudów nagrodą, i powiedział sobie: „Będzie moja!” — żadna ofiara nie zdała mu się za wielką.

Wszyscy mieli Dudycza za bardzo ograniczonego człowieka; trudna i niezgrabna, jak on sam, mowa jeszcze mocniej przekonała — żartowano sobie niemal z jego głupoty. On sam nigdy się za bardzo rozumnego nie miał, ale czuł, że teraz jakas gorączka na pół ambicji, pół miłości, nadawała mu siły i rozum, jakich nie miał nigdy.

Patrzał na ludzi i zdawało mu się, że ich na wskroś widział i rozumiał; obmyślał plany i czuł, że nie były najgorsze. Nie odznaczały się one wymysłami zbyt skomplikowanymi, proste były niezmiernie, lecz znajomość pospolitej natury człowieka służyła im za podstawę. To pewne, że kto na słabości ludzkie, miłość własną i próżność, chciwość, pragnienie zemsty itp. rachuje, ten się rzadko myli.

Dudycz też nie był teraz tak głupim, jak go sądzono. Parę razy pokazał się przy dworze starego króla, do którego zawsze jeszcze się liczył, nawijał się na oczy Bonerowi i innym, ale nikt go tu ani potrzebował, ani nawet raczył na niego spojrzeć. Poszedł więc na przesmyku czatować, ażali stara królowa okiem na niego nie rzuci, nie powie mu dobrego słowa. Tu mu się powiodło lepiej.

Bona wiedziała wszystko i zdaje się, że miłość śmiesznego Dudycza dla pięknej Dżemmy nie była dla niej tajemnicą, może więc już teraz rachowała na niego, gdy się Włoszki pozbyć będzie potrzebowała.

Znała syna, przewidywała, że miłostki te ostygnąć i skończyć się muszą. Naówczas Dudycz służyć mógł na to, aby się pozbyła ciężaru. Czy z tego powodu, czy że potrzebowała sług wielu, a odebrać ich chciała przeciwnikom, królowa łaskawą twarz okazała Petrkwowi.

Przechodząc parę dni potem około niego, stanęła.

— Masz tam co do czynienia przy królu? — spytała.

— Tam mnie nie potrzebują — odparł Dudycz.

Bona głową skinęła i poszła, ale upłynęło sporo czasu, a za pytanie to żadnych nie wydało owoców.

Petrek regularnie przychodził na zamek, najdziwaczniej ubrany, jakby śmiechy chciał wyzywać, stawał to tu, to ówdzie w oczekiwaniu rozkazów — nikt mu ich nie dawał. Do wieczora męczył się tak, błędząc po antykamerach, przysiadając na ławach, ofiarując posługi, których nie przyjmowano; najczęściej późno powracał do miasta, kogoś sobie potrzebnego zaprosiwszy na wino.

Unikano Dudycza, bo jego towarzystwo ośmieszało ludzi, co z nim trzymali, lecz ci, co potrzebowali pieniędzy, przypochlebiali mu się. Dudycz, gdy wyrachował, że datek się opłaci, dawał, choć oszczędnie.

Od czasu ofiarowania spinki pięknej Dżemmie, chociaż Włoszka wzgardliwie, ostro, dumnie patrzyła na niego i widocznie unikała — Petrek nie zrażony uparcie się jej nastęczał.

Łajała go czasem — kłaniał się — a nazajutrz miała znowu przed sobą tę niezgrabną postać z małym nosem, szerokimi ustami i chudym wąsem na przestronnym polu. Wielce ją to niecierpliwiło, gniewała się, a w końcu Zamechskiej powiedziała, aby Dudyczowi zakazała tego prześladowania.

Mówić do niego o tym, było to groch rzucać na ścianę — słyszał, ale nie słuchał. Spinka była przyjęta.

Dudycz łamał głowę, co by teraz miał posłać takiego, tak pięknego i ponętnego, ażeby Włoszka na żaden sposób odmówić przyjęcia nie mogła. Wiedział, że drugi podarek trudniej daleko będzie jej narzucić niż pierwszy, a stał przy swoim, że ujmie piękną dziewczynę książęcymi podarkami.

Sam on nie znał się tak dalece na wyrobach kunsztu i nie umiałby być może rozróżnić włoskiej roboty od domowej, ale miał Włocha artystę, którego ujął był sobie. Kazał mu szukać znowu co najprzedziwniejszego klejnotu. Nie zbywało na nich naówczas w Polsce, bo stosunki z Włochami i handel wszelkiego rodzaju wyrobami ożywiły. Z Wenecji i Genui płynęły tak misterne, filigranowe łańcuchy, pasy, naszyjniki, pierścienie. Zwyczaj dawania podarków sprzedaż ich zapewniał — wielu możnych miało takie w klejnotach upodobanie, że nimi całe skrzynie napełniało.

Łatwo więc przyszło Dudyczowi, który na to pieniędzy nie żałował, napatrzeć pas filigranowej roboty, tak piękny, iż się ludzie oglądać go zbiegali. Był bardzo drogi, ale Petrek nie dbał o to; chodziło mu, aby nie miał równego. Z kolei więc z dziesią-

tek uproszonych znawców prowadził, aby pas ocenili i powiedzieli, jak się im wydaje. Wszyscy uznawali go arcydziełem. Dudycz potargował się trochę, zapłacił i zabrał. Łamano sobie głowy, dla kogo, a że niemłody był i niezgrabny, wyśmiewano się z niego.

Jednego ranka Zamechska zobaczyła go wchodzącego znowu. Zaczął od tego, że po przywitaniu złożył jej w ofierze kilka par drogich naówczas, szytych misternie, wonnych i bardzo ozdobnych rękawiczek. Poznała zaraz, że czegoś od niej żądać będzie.

— Wasza Miłość już raz mi okazała łaskę swoją... ja znowu się cisnę pod jej skrzydła...

— A, panie Pietrze — żywo odparła stara — skrzydeł nie mam, a co się raz udało, to drugi już pewno się nie powiedzie!

Dudycz głową potrząsnął i dobył spod płaszczyka pudełko, nie mówiąc słowa, otworzył je i pokazał złocisty pas — istne cud. Zdawał się z cieniuchnych, jak włos, nici upleciony, wydzierzgany, wyhaftowany. Każde kółko, każde ogniwo, każda częstka tyle miała w sobie splotów, zgięć misternych, fantazyjnych linii, że oko się w tym gubiło. Jakiej to pracy i cierpliwości, ile czasu było potrzeba, aby z tych cząsteczek tak ślicznie i starannie wykonanych utworzyć dzieło tak bogate i rozwinięte szeroko!

Zamechska stanęła osłupiała i zamyślona. „Jak ten człowiek ją kocha!” — myślała sobie.

Dudycz uśmiechał się.

— A co? — rzekł. — Albo dar niewart królowej? Niech się nim zabawi, ja nic za niego nie chcę, nic... nawet, żeby na mnie spoglądała; niechaj tylko wie, że mam uparty...

— Ale do czegoż ci to — rzekła zafrasowana Zamechska — kiedy tym sobie serca nie pozyskasz?

— Co Waszej Miłości szkodzi, że się głupi człek durzy? — odparł pokornie Dudycz. — Byle przyjęła, byle się nim opasała, ja więcej nie chcę nic...

— Toć ludzie zobaczą! — zawołała Zamechska.

— Pomyślą, że ją tak król stroi — odparł Dudycz.

— A król?

— Król na to zważać nie będzie.

Ochmistrzyni się wahała jeszcze, gdy Petrek w rękę ją pocałował, pudełko porzucił i poszedł.

Iść z tym darem nie miała stara odwagi.

Dumała i namyślała się długo.

W południe, gdy panny wszystkie były przy królowej, stara ochmistrzyni ostrożnie się wkradła do komnaty Dżemmy, pudełko położyła na stole i wyslizgnęła się nie postrzeżona.

Wkrótce potem piękna Włoszka wróciła do swego mieszkania. Siadła w oknie odpoczywać, była smutna i nierychło, szukając roboty na stole, spostrzegła pudełko.

— Król był i musiał je zostawić! — zawołała klaszcząc w dłonie.

Z niecierpliwością otworzyła i krzyknęła z podziwu i radości. Takiego właśnie coś życzyła sobie — filigranowy ów pas to było jej marzenie!

Ubrała się natychmiast. Tak przypadł jej do pasa, do sukni, do miary, jakby robiony był dla niej. Chciała w nim przyjąć wieczorem Augusta...

Lecz jakież było zdumienie pięknej Dżemmy, gdy August zimno, a nawet trochę gniewnie, oświadczył jej, że nie on ten pas tu położył, że wcale nie wiedział o nim.

Królowa dać go nie mogła, był zanadto kosztowny, a ona zwykle małymi podarkami zbywała nawet najulubieńszych sobie.

Późno już niespokojna pobiegła do Zamechskiej.

Włoszce twarz się paliła z gniewu... może nie żeby ją podarek obraził, ale że musiała go odrzucić, nie przyjmą, a tak szkoda pozbyć się było tej ozdoby, którą przez chwilę miała już za swoją.

Zamechska się zaparła. Nie wiedziała o niczym...

— Może być i najpewniejsza to, że on ci go przysłał — rzekła — nikt inny, ale nie przeze mnie. Użył kogo innego... Ja o tym nic nie wiem, a ty siedź cicho. Schowaj go i nie łam sobie głowy.

Rozprawiwszy się burzliwie z ochmistrzynią, Włoszka z pasem wróciła do siebie. W nocy myślała i przemyślała długo. Bona, która wiedziała o wszystkim prędzej, później i o tym się dowiedzieć musiała. Nie pozostawało nic, tylko jej wyznać prawdę i poddać się rozkazom. Ona miała osądzić winowajcę.

Co dzień prawie rano królowa sama obchodziła mieszkania żeń-

skiego dworu swojego, gdzie nic jej oka nie uchodziło. U Dżemmy siadała czasem odpocząć, chwilę, ta była w łaskach teraz.

Zaledwie królowa zajęła miejsce zwykle, gdy Dżemma u kolan jej uklęknęła. Miała skargę, żal wielki do powierzenia swej pani. Opowiedziała otwarcie o zabiegach Dudycza, o tym zuchwałym narzucaniu podarków, prosiła o karę na przestępcę.

Zimno wysłuchiwała opowiadania Bona i kazała sobie poprzód pokazać klejnoty, na których widok okrzyk zdumienia z ust się jej wyrwał. Umiała doskonale ich wartość ocenić. Potrząsała głową i śmiech szyderski zakończył wykrzykniki i pochwały.

Gniewu nie okazała najmniejszego.

— Schowaj to — rzekła. — Nigdy podarków, zwłaszcza tak pięknych i kosztownych, odrzucać nie należy. Co ci to szkodzi, że stary szaleje za tobą!

— To mi dokucza! To niemal mnie śmieszną czyni! — odezwiała się Dżemma. — Ściga mnie oczyma, chodzi za mną, miłość jego mi uwłacza.

Bona słuchała zimno.

— Chcesz się go pozbyć na czas jakiś?

— A, rada bym na zawsze! — odparła Dżemma.

Dziwnie spojrzała na nią królowa.

— Nie zważaj na niego — dodała. — Tymczasem ja się postaram o to, abyśmy z Krakowa go się pozbyli! Naganić mu nie mogę, że się w tobie kocha... miłość wszelką przebaczyć potrzeba. Szkoda, że tak brzydki i stary!

Łzy stały w oczach Dżemmy.

— A, ja żadnej miłości, nikogo na świecie nie potrzebuję — odezwiała się.

Bona wstała, nie odpowiadając jej na to, przeszła w milczeniu komnaty i zostawiła ją samą.

Wieczorem Dudycz stał na przesmyku, aby się królowej pokłonić i przypomnieć i sądził, że go pominie jak zwykle, gdy Bona zatrzymała się i skinęła, aby się zbliżył.

— Przyjdiesz do mnie jutro rano!

Miałoli to oznaczać łaskę czy, przeciwnie, skarcenie może — nie odgadł Dudycz. Twarz starej Włoszki nie zdawała mu się zbyt gniewną. Łamał sobie głowę domysłami i raniuteńko był w przedpokoju.

Bona siedziała w swym rannym, poduszkami ostawionym krześle ogromnym, z głową zawiniętą czarną chustą koronkową, z nogami wyciągniętymi na wysłanym wysoko podnóżku, w rękach przebiegając papiery, którymi stół przy niej stojący był zarzucony.

Szydersko popatrzyła na strwożonego nieco Dudycza, który na to ranne posłuchanie ustroił się również pretensjonalnie i ówczynie, jak zwykle na pokoje. Strój ten od fizjognomii zestarzałej i brzydkiej odbijał w sposób rażący, czyniąc ją śmieszną.

W chwili, gdy się spodziewał napomnienia może, Petrek usłyszał głos dosyć łagodny.

— U króla nie masz pono co robić — rzekła. — Jest ich tam bez ciebie dosyć; a mnie trzeba pewnego posła. Prosiłam, aby mi cię użyć pozwolono. Pojedziesz z listem.

Tu królowa jakby naumyślnie się wstrzymała. Pojedziesz z listem, mogło oznaczać zarówno kilkomiłową podróż i najdłuższą w świat wędrówkę. Dudyczowi opuścić teraz Kraków było tak okrutnie trudno! Lecz królowej się sprzeciwić, starać wymówić nie było sposobu. Najmniejsza rzecz ją obrażała. Dudycz się skłonił.

— Pojedziesz z listem — powtórzyła po chwili.

I znowu nastąpiło drażniące niepewnością milczenie. Stał biedny, ale jak na żarzących węglach.

Dokąd miał jechać?

— Przygotuj się do podróży — dodała Bona — a potem przyjdź po list. Pojedziesz do Wiśnicza, do Kmity, lub gdziekolwiek on jest, bo i w Przemyślu może przyjdzie go szukać. Musisz mi przywieźć odpowiedź.

To powiedziawszy, królowa wzięła papier inny, a Dudycz wyszedł oddychając wolniej. Podróż do Wiśnicza była małą przejażdżką, a w każdym razie Kmity nie mógł być daleko.

Cały dzień ten Dudycz poświęcił swemu wyborowi w drogę. Nadchodziła zima, czas był do jazdy niezbyt miły ani też wygodny — ale odległość niewielka. O Kmicie, gdzie by on był, naówczas w Krakowie z pewnością się dowiedzieć nie mógł. Mówiono różnie...

Dudycz w każdym innym razie mógł śmiało wycieczkę tę odbyć z jednym konnym sługą, ale jako poseł królowej i jako możny człowiek pragnął przyzwoicie wystąpić. O ile dotąd skąpił i latał stare opończe (które zamknawszy się sam na sam i teraz donaszał), o tyle jako zbogacony ziemianin krakowskiej ziemi, a przyszły mąż pięknej Włoszki, pragnął świetnie się okazać, aby nikt nie wątpił, że do możnych należy. „Jak cię widzą, tak cię piszą” powtarzał sobie.

Zamiast więc jednego pacholika, brał jezdnych pięciu i rodzaj jednostajnej barwy, jednakie rzędy na konie, oręż itp. musiał im obmyśleć. Na rzeczy szedł wóz okryty skórą, w którym mieściło się, co potrzebnym było do podróży i dla wystąpienia na pokojach.

Kmitę znał dotąd Dudycz z tego wielkiego rozgłosu, jaki miało jego imię, z opowiadań, które o nim krążyły, z daleka go widując, gdy w Krakowie przebywał. Chociaż z listem tylko od królowej jechał do niego, przystęp do człowieka takiego, jakim głoszone Kmitę, wcale tak prostą rzeczą, jak się wydawało, nie był.

Kmita już naówczas był jedną z najwybitniejszych, najgłośniejszych osobistości w Polsce, którą jedni wynosili pod niebiosa, drudzy czynili warchołem zuchwałym i niebezpiecznym.

On i hetman Tarnowski, nieprzejednani wrogowie, wiedli z sobą walkę, którą, o ile hetmanowi była obrzydłą i nieznośną, o tyle Kmicie dogadzała, bo go podnosiła.

Można powiedzieć o tym panu, że on pierwszy w nowych dziejach wewnętrznych Polski uosabiał całą butę zuchwałą magnat-szlachcica ze wszystkim, co ona miała w sobie szlachetnego i zgubnego. Nienasyconej ambicji, niezrównanej dumy, wszędzie i zawsze pragnący być pierwszym, Kmita nie wzdragał się sobie do tych stopni, których chciał dosięgnąć, drogę torować mieczem i krwią.

Gdzie nie mógł dojść godziwymi środkami, gotów był dobijać się sposobami najniegodziwszymi. Miał czy nie słusność, kto mu się opierał, zwyciężyć musiał, bodaj to nie wiem, co kosztować miało.

Dla rozgłosu, dla sławy, dla potęgi tak samo ponosił ofiary czyniąc dobrze, pomagając ludziom, zakładając klasztory, wyposażając duchownych. Lecz z drugiej strony, po nadaniach dla kościołów i zakonów, nazajutrz przez chciwość, bo był żądny grosza zawsze, zabierał dziesięciny, zajeżdżał pola, grabił majątki duchownych. Pieniądze jednego dnia rozrzucił z marnotrawnością niezmierną, nazajutrz rabował najcyniczniej.

Czysta, wspańska, bohaterska postać spokojnego hetmana Tarnowskiego, górująca ponad innymi tego czasu, ten ideał wodza i obywatela był dla niego solą w oku. Obok Tarnowskiego postawiony, w istocie musiał się wydawać Kmita przy całej swej potędze magnata, jakim został po śmierci brata, warchołem tylko i awanturnikiem.

Gdyby nawet zmienił obyczaj później i nabrał potrzebnego umiarkowania, wspomnienie wybryków młodszych lat ciążyłoby na nim i prześladowało go. Ale ani temperament wiekiem nie poskromiony, ani nałogi nabyte, ani na ostatek ludzie, którymi się otaczał, nie pozwalali mu się odmienić.

W Przemyskiem drżało, cokolwiek z nim sąsiadowało i teraz, a dwór Kmity, złożony z ludzi po większej części wywołańców⁸³, znano niemal jako szajkę rozbójniczą. Nie było między nimi ani jednego, który by głośnym nie był z kilku popełnionych morderstw — ni jednego, który by opuszczony przez Kmitę nie godził się pod miecz katowski. Protekcja i osłona marszałka dawała im jednak bezpieczeństwo. Rozumie się, że on życie ich trzymając w swym ręku, rozporządzał też nimi, jak chciał, i że na rozkaz jego musieli być na wszystko gotowi. Dla pokazania mocy swojej, Kmita tak samo teraz dawał na dworze schronienie wszystkim, co byli w walce z władzą duchowną i Kościołem. On się opiekował Orzechowskim⁸⁴ ożenionym, on wychowywał Marcina z Opoczna⁸⁵ i Krowickiego⁸⁶. Nie zrywał z katolicyzmem jednakże, liczył się do gorliwych nawet, lecz gdy szło o popis potęgi, gotów był na wszystko. Jemu bezkarnie uchodziło najpoczwarniejsze urąganie się z prawa.

W człowieku tym, jak w wielu jemu podobnych, było dwu lu-

dzi: jeden gładki, okrzesany na cesarskiem niegdyś dworze, postacią piękną i pańską, słodką mową ujmujący — drugi rozpasany, dziki, niepohamowany.

W Krakowie, wpośród magnatów i książąt, otoczony świetnym dworem, który żadnemu innemu nie ustępował, Kmita należał do tych wybranych wychowañców Zachodu, ówczesną Polskę najwytworniejszym dworem europejskim czyniących równą i podobną. To tylko olbrzymia duma mogła go odróżniać od uczniów innych akademij włoskich, od dworzan królów rzymskich i cesarzów, bo miała w sobie coś dzikiego niemal.

Zupełnie innym znowu był Kmita u siebie w domu, w Wiśniczu, na łowach, we dworach swoich w Przemyskiem, gdy go otoczyli owi ośławieni Szczerbowie, Pełkowie, Rozborscy, Kumelscy i Odolińscy. Kmita z nimi zapominał się, zrzucał swe dostojęństwo i rozpasywał w ucztowaniu, które się często krwawo kończyło.

Biesiad tych pamięć pozostała długo. On sam może ich się wstydził, lecz wyrzec się nie umiał. Skąpy, nienasycony w chciwości złota, przy stole, gdy się napił, rozsypywał je, rozdawał ziemie, marnotrawił, co wczoraj wydarł, i w towarzystwie zbójów dziczał a szalał. Następowало potem obrzydzenie ich i samego siebie, lecz kto się raz związał z takimi ludźmi, temu pozbyć się ich, mimo ohydy, trudno. Kmita zresztą ich potrzebował tak, jak oni jego, bo ambicja, współzawodnictwo z Tarnowskim, mnodzy wrogowie, jakich sobie życiem przysporzył, pokoju nie dawały. Musiał się bronić — gwałt jeden wywoływał drugi.

Dudycz, wybierając się do Wiśnicza, myślał o tym wszystkim, co kiedykolwiek słyszał o Kmicie, nie był bez pewnej trwogi tego spotkania się z faworytem i powiernikiem królowej, a byłby daleko mocniej się frasował, gdyby mógł przeczuć, co wioził pod pieczęcią w liście Bony...

Było w nim pozdrowienie, kilka słów niełatwych do zrozumienia i żądanie do marszałka, aby przywożącego list starał się przez czas jakiś zatrzymać u siebie, choćby pod pozorem odpowiedzi.

Królowa, chcąc Dżemnę oswobodzić od natrętnego wielbi-ciała, wyprawiła go, a do instrukcji należało, jeśliby Kmity nie znalazł w Wiśniczu, jechać za nim tam, gdzie się mógł znajdować.

Z ośławionej gromady kmitowczyków Dudycz znał kilku. Peł-

ka, Janko i Piotr Biały gościli u niego niegdyś w pobliżu Wierzbki i był z nimi dosyć dobrze. Na te stosunki z dworem marszałka liczył też Petrek wiele.

Nie dojechał jeszcze do Wiśnicza, gdy na nocleg zaciągnawszy do gospody we wsi Kościelnej, gdy konie zobaczył wierzchowe u złobu, a rozpytywać począł czyje by były, dowiedział się, że w izbie u Żyda w betach leżał ranny właśnie ten Pełka, którego znał dawniej.

Na rękę mu było dowiedzieć się coś od niego, wszedł więc do alkierza, z którego gwałtem wyrzuciwszy rodzinę gospodarza, rozgospodarował się w nim Jacek Pełka. Z poduszek i pierzyn, w które się zaszył sławny rębacz i zbój, ledwie wąsata a wygolona głowa wyglądała i oczy w niej krwią zabiegłe. Nie poznał go zrazu jęczący od ran sługa Kmita, dopiero, gdy mu się Dudycz przypomniał, spojrzał nań łagodniej.

Drugi dzień temu na popasie tu Pełka, zjechawszy się z dwoma ziemianami, gdy o postawienie koni do sporu przyszło, dobywszy szabli, głowę mając zapróżoną, tak się ściał z nimi, że padł na ziemię krwią zlany. Uciekli oni, wiedząc z kim mieli do czynienia, a Pełka musiał, czekając na wóz, położyć się w gośpodzie, ledwie rany poobwiązywawszy.

Zaczął więc rozmowę od opowiadania i wyklinania tych, co się ośmielili napaść odeprzeć i kłął się, że oba dwory popali, a ich powiesza.

Nierychło się Dudycz mógł od niego coś dowiedzieć oznajmując, że z listem od królowej jedzie do Kmita do Wiśnicza.

— Darmo go tam nie szukaj — odparł Pełka. — Wybrali się z Rozborskim nad San ziemian uczyć rozumu. Kupa ich pociągnęła duża i że zwycięsko wyjdą, a na swym postawią, wątpliwości nie ma; ale potem triumfy obchodzić będą i jak ucztować poczną, nierychło się wytrzeźwią, by do Wiśnicza mogli powrócić.

Dudyczowi wcale nie smakowało gonić za tą wyprawą, do której czynnie się mieszać nie chciał, bo z Kmitą idąc, mógł też łatwo za niego oberwać. Wolałby był oczekiwać na marszałka w Wiśniczu, lecz rozkaz królowej był wyraźny.

Wątpić o tym, co Pełka powiadał, nie miał najmniejszej przyczyny; nikt nad niego lepiej wiedzieć i przewidywać nie mógł, gdzie się Kmita obraca.

Trzeba więc było ciągnąć nad San dalej, a choć rad był spełnić polecenie królowej jak najrychlej, iść w ogień nie miał ochoty. Postanowił więc ciągnąć dalej, nie śpiesząc zbyt, opiece Opatrzności się polecając.

Pełka, któremu w betach żydowskich z ranami tęskno było, zmusił go niemal dzień z sobą pozostać i musiał z nim warcabami się zabawiać, i na rybie po żydowsku poprzestać.

Za to dalszą drogę mu tak dobrze wytknął Jacek, iż nie potrzebował już rozpytywać nikogo. Pełka bywał w tych wyprawach przemyskich nieraz, znał drogi, był pewnym, że Kmita innymi się nie uda. Zyskał więc Dudycz zawsze na spotkaniu, a że nazajutrz i wóz po Pełkę nadciągnął, pomógłszy go w nim umieścić, kabłąki przymocowywać i okryć — sam, w imię Boże, ruszył tropem Kmity ku **Sanowi**.

Jechał Dudycz smutny bardzo, choć miał raz pierwszy w życiu tę przyjemność, że po drodze go, dla towarzyszącej pokazanej kawalkaty i wozu, z pewnym poszanowaniem przyjmowano.

Drogi były okropne, pora najprzykrejsza w roku. Przejście z jesieni do zimy, z zimy do wiosny, zwłaszcza w tych latach, gdy zima nieostra ma być i niełatwo się ustala, w naszych krajach nieznośnym się staje. Mróz na przemiany z wilgocią, błoto z grudą, śnieg z deszczem, wichry gwałtowne czas ten najmniej sposobnym do podróży czynią. A że Dudyczowi nie tyle może siebie (zahartowanym był), ile koni paradnych żał było, włókł się więc opieszale.

Zbliżając się ku teatrowi owej wyprawy⁸⁷ na krnąbrnego sąsiada, Dudycz dostał wcześniej języka o Kmicie. Głośnym on był na dalekie przestrzenie, bo się nie obeszło, aby sąsiadom sąsiada, i powinowatym a przyjaciółom nie dostało się, gdy Kmita moc swą chciał okazać. Drżeli więc i dalsi obawiając się, aby mu droga kędy nie padła około nich.

Jak się spodziewać było można, głoszone, iż Kmita a raczej Rozborski, bo marszałek wyprawiał go ze Szczerbą tam, gdzie trzeba było ścisnąć i wieszać a palić, sprawiedliwość już sobie uczynił, że dwu ziemian ubito, nowe granice pozarażywano i kopcami obsypano⁸⁸ i że wkrótce wszystko być miało skończone.

Na ostatek prawie do miejsca krwawych tych zajęć dotarłszy, nazajutrz Dudycz spodziewał się spotkać z Kmitą. Dzielilo go od niego parę mil tylko.

Drugiego dnia, gdy z noclegu ruszył niespodzianie, zerwała się śnieżna zawieja i Petrek tak dobrze pobłądził, że gdy się z południa rozjaśniło, znalazł się w tym samym oddaleniu od Kmity, jak był z rana. Złożyło się więc, że go albo wieczorem chyba w jego własnym dworze w Sanicy znajdzie, lub przybycie do rana odłoży. Tymczasem nocować z końmi nie było gdzie, pod noc więc ciągnąć musiał.

Po drodze już Rozborskiego i Szczerby widome ślady były. Tam, gdzie stał dwór szlachcica sąsiada, około którego przechodził gościniec, natrafił Dudycz na świeże, dymiące jeszcze zgliszcza, a nad samą drogą kilka trupów leżało. Wilcy je nocą poszarpali okrutnie. Widok był przerażający, bo oprócz tego na dwu drzewach trupy wisielców wiatr okręcał. Ze wsi, ze dworu, wszystko, co żyło, w lasy zbiegło, psy tylko wyły w pustkach i opalonych płotach i ścianach.

Dudycz wiedział bardzo dobrze, iż tak srodze pokarany ziemianin innej winy na sobie nie miał, oprócz że własności swej przeciwko silniejszemu panu bronić próbował.

Petrkowi nader było niemiłym zawsze, gdzie się dwu za łby brało, ze swoim przybywać, którego bronił i szczędził — i tu po nim ciarki przeszły myśląc, czy aby ta rzecz była skończona, a do nowych zapasów nie przyjdzie. Lecz do Sanicy bądź co bądź zdążyć na nocleg musiał.

Na noc się zbierało, gdy chłopak powracający z lasu wskazał Dudyczowi wieś dużą i dwór z dala światłami gorejący, w którym Kmita się miał znajdować. Podjechawszy bliżej, okazało się jakby naprędce we dworze rozbite obozowisko, moc wielka wozów, koni, ludzi i spędzonego bydła.

Zaledwie tętent koni Dudyczowych tu posłyszano, czy się napaści lękano, czy odwetu, ruszyło się wszystko z wrzaskiem ogromnym, i może by z bronią w rękę przywitano gościa, gdyby Dudycz jednego ze swoich nie wyprawił przodem z oznajmieniem, że poseł od królowej z listem jechał, nie kto inny.

Uspokoił się tedy upojeni i rozpasani żołnierze Kmity, a Dudyczowi na podwórze wrota otwarto. W nim jednak i dokoła w zabudowaniach, szopach, pod płotami, gdziekolwiek daszek był, taki tu ścisk znalazł, iż ani się było myśleć umieścić.

Dwór cały stał rześisto oświecony, a gwar, śpiewy i brzęka-

nie dzikiej muzyki słyhać z niego było. Z ludzi, którzy naprzeciwno przybywającemu wyszli, ani jednego Dudycz trzeźwym nie znalazł. Wpadłszy w ten wrzątek, niedobrze wiedział, co miał począć, gdy naprzeciwno niemu wyszedł znajomy, cioska⁸⁹ jego Piotr Biały.

Biały był jednym z najzapamiętańszych zbójów u boku Kmity. Małego wzrostu, krępy, z krzywymi nogami, zajadła bestia, który ani swojej, ani cudzej krwi nie żałował; słychał z tego, iż z okrucieństwem łączył dzikie szyderstwo, i zabijając ryczał ze śmiechu. Kto Białemu popadł w ręce, nie mógł się litości spodziewać. Potrzeba było kata, Biały się ofiarował męczyć i uśmiercać.

Wychodzący w przedsień, gdy Dudycz zsiadł z konia, poznał go Biały i krzyknął z podziwu:

— Co, tyś się tu zawieruszył?!

— Królowa mi listy zwierzyła i kazała szukać z nimi marszałka.

Biały się zadumał.

— Toś go znalazł — rzekł — ale chyba dziś do niego nie przystąpisz. My do przyjmowania posłów nie gotowi. Pan nasz odpoczywa, a nie lubi, żeby mu dobrą myśl przerywano.

— Dajcież mi aby posłanie gdzie w cieplej izbie i gdzie konie postawić — odparł Petrek — jam też zmęczony, poczekam chętnie do jutra.

Skinął na niego Biały. Weszli wewnątrz dworu, którego wszystkie izby pełne się być zdawały, a wrzawa w nich i krzyki panowały takie, jakby żaden dygnitarz się nie znajdował, ale rozpojone żołdactwo tylko. Nikt na nowo przybywającego nie spojrział. Przez sień przeprowadził go Biały do ciemnego ganku, a z niego do pustej komory, podobno jedynej, w której nikogo nie było, bo ciasna nie nadała się do ucztowania. Przytykała ona jedną ścianką nie bardzo szczelną do ogromnej izby, w której Kmita ze swymi ulubieńcami już drugi dzień za stołami siedział.

Przez szpary Dudycz nie tylko słyszeć mógł, ale widzieć wszystko, co się działo. Na spoczynek i nocleg kąt był nieosobliwie dobrany, lecz gdy innego nie miał, musiał się Petrek nim zaspokoić. Biały mu tu obiecał przysłać wszystko, czego mógł potrzebować, aby głodnym nie był i położyć się miał na czym. Oprócz tego zapewnił, że o ludziach, służbie i koniach mieć będą staranie. Na koniec rzekł:

— Kto z obcych naszego pana zobaczy takim, jakim on teraz jest, temu on tego póki żyw nie daruje i nie zapomni. Jutro, gdy go widzieć będziecie, strzeżcie się mu dać poznać, żeście cokolwiek tu widzieli lub słyszeli.

To mówiąc, Biały palec podniósł i pogroził Dudyczowi, który i bez tego już był dość nastraszony.

Nocleg wprowadzie miał pod dachem i w dosyć ciepłym kącie, a wkrótce potem przyniesiono mu kawał pieczeni sarniej, misę klusek i spory dzbanek wina, ale to, co go otaczało, nie dawało spokojnie się posilić. Dwór drzeć się zdawał od tego, co się w nim działo. Tuż przez cienką ścianę Kmita dokazywał ze swymi, a Dudycz, który za młodu był nawykły nieraz się znajdować wśród pijanego tłumu robotników z żup w Wieliczce, parobków, woźnic i najdzikszej gawiedzi — choć oswojony z tym, bladł ze strachu, takie wrzaski, śpiewy, kłótnie, krzyki o uszy się jego obijały. Było to istne piekło.

Ostrożnie i z obawą Petrek wyszukał sobie szparę, przez którą by mógł przypatrzeć się temu sabatowi zbójów, i przyłożywszy oko do ściany, już go nie mógł oderwać.

Sala była wielka, a raczej szopa prosta na grubych słupach drewnianych sparta, oświecona pochodniami, których płomień dyminyący czerwonym światłem oblewał biesiadujących u ogromnego stołu zastawionego w pośrodku niej.

Kmity zrazu spostrzec nie mógł. Siedział w końcu, nad stołem biesiadników, na podwyższeniu okrytym suknem szkarłatnym, w krześle na kształt tronu, mając przed sobą stolik osobny bogato zasłany obrusem szytym złotem. Na dwu mniejszych stołach po bokach ustawione były naczynia srebrne i beczułki także, konwie, dzbany i kubki.

Rozparty w krześle swym, na pół leżąc, marszałek okryty dełią futrem podbitą, w kołpaku sobolim z kitą, którego nie zrzucił z głowy, zwrócony był ku biesiadnikom.

Twarz jego piękna, szlachetnych rysów, ale płonąca ogniem, zaczerwieniona, lśniąca od potu, z oczyma jakby łez pełnymi i iskrzącymi się razem namiętnością, miała wyraz niesłychanej dumy i siły. Ręką jedną trzymał się w bok i z góry spoglądał na swych współbiesiadników. Dwóch z wygolonymi głowami wyrostków za podniesieniem, na którym on siedział, stało tuż, goto-

wi do spełnienia rozkazów; stary, chudy, bogato odziany z łańcuchem na szyi marszałek jego dworu za nimi na straży.

Na jedną chwilę nie spoczywał Kmita. Rzucał się na siedzeniu, rękami w powietrzu ciągle coś wskazywał, pił, nalewać dawał kubki i to je rozsyłał współbiesiadnikom, to sam spełniał, a raczej pochłaniał żarłocznie.

Lice mu się paliło, ręce drżały, oczy piorunowe rzucały wejżenia, był jakby w gorączce jakiegoś szalonego wesela i rozpasywania. Dudycz słyszał nieraz o tych uctowaniach Kmity najczęściej krwawo się kończących, lecz nic podobnego nie mógł wyobrazić sobie. To, co widział, przechodziło jego pojęcie.⁹⁹

Strach go ogarniał patrząc, i choć ściana dzieliła od Kmity, obawiał się oczów podnieść ku niemu, zwłaszcza gdy dostrzegł miecz obnażony, który miał tuż pod ręką.

Niżej nieco przy stole zasiadali wodzowie i ulubieńcy Kmity, jego zemsty posługacze, katy i zbóje, dla których nic świętego nie było. Każdy z nich, jak mówił Rozborski, na rodzonego by ojca się rzucił, gdyby mu Kmita go wskazał. Twarze też tych ludzi, oprócz Kumelskiego, powiadały od razu, co zacz oni byli.

Na każdej z nich wycisnęły się długie lata życia tego pomiędzy mieczem kata a zbójstwem, bez nadziei powrotu do spokoju i do pospolitego trybu ludzi. Wiedzieli oni wszyscy, że żaden z nich śmiercią swą w łóżku nie umrze, ale gdzieś padnie w walce albo na dnie wieży zgnije.

Żaden z tych wodzów nie miał domu, w którym by mógł choćby jedną noc bezpiecznie przepędzić. Ci, którym Kmita dawał u siebie schronienie, bez broni stąpić nie mogli i bez straży; ci, co jak Rozborski mieli własne wioski, gośćmi się w nich tylko ukazywali.

Kumelski różnił się od nich powierzchownością mogącą oszukać, choć od innych lepszym nie był. Natura dała mu pozór osobliwy pieszczonemu papinka⁹¹ eleganta, człowieka, co na dworaka grzecznego wyglądał, choć zbój był srogi, a okrutnik od innych sroższy.

W ręce Kumelskiego się popaść, znaczyło dostać się człowiekowi, który męczył dla przyjemności znęcania się i wyciskania krzyków boleści.

Czynił on to z udaną grzecznością, z szyderstwem, z zacię-

tością szatana. Ale kto go widział wystrojonego na dworze Kmity, z rękawiczkami u pasa, z beretem na uchu, we włoskich kosztownych sukniach i łańcuchach, z ustami słodyczą namaszczonymi, wątego na pozór i delikatnego, brał go za stworzenie bezsilne i wyżyte.

Tymczasem żelazną wytrzymałością, tak samo jak okrucieństwem, Kumelski innych przechodził. Był to ulubieniec Kmity, robił z nim marszałek, co chciał, bo ten każdą rolę odegrać potrafił.

Inni, począwszy od Białego, dwaj Szczerbowie, Pełka, Baranowski, Odoliński, Jurko na policzkach, posiekanych krwawymi bliznami, pozapisywane mieli lata swej służby u Kmity.

Za nimi dalej zajmowali miejsca wychowawcy, młodzież, która się pod wodzą tych nauczycieli usposabiała na toż samo życie zbójckie.

To także była okrutna i niezblągana gawiedź na wszystko gotowa, aby dowieść, że już była dojrzałą i że na własną rękę puścić ją było można.

Ogromne, płótnem poobwijane deski, na których leżały pieczone mięsiwa, poobrzynane ze wszystkich stron przez biesiadników, zajmowały stół, zastawiony oprócz tego misami z polewką, kaszą, kluskami, owocami, serem w dużych gomółkach i twarogiem. Dzbany gęste przy każdym prawie z biesiadników stały pod ręką, a oprócz nich Kmita to temu, to drugiemu posyłał od siebie nalanym przedniejszym winem kubek srebrny, często kosztowny, który spełniwszy biesiadnik, śmiejąc się, chował pod ławę i nie powracał już więcej.

Niektórym rozochocony Kmita, dowodząc, jak im wdzięcznym był, posyłał dzbany i misy. Przed jednym nawet stało półmisię pełne złotych pieniędzy.

Skąpy pan, gdy się przy biesiadzie rozraczył, nierzadko tyśiące rozposażał, czego potem żałował. Zbóje umieli z tego upojenia jego korzystać i po całych dniach go strzymywali u stołów.

Kmita, który w towarzystwie dostojniejszym, z cudzoziemcami umiał się znaleźć po pańsku, dobierać słów i okazać, żeć przecie nie darmo dworował przy cesarzu, tu się zdawał lubować w mowie rozpustnej, dzikiej, bezwstydney. Najpospolitsze łajania witał uśmiechem, a gdy się gbury z sobą waśniły i porywały do siebie,

przyklaskiwał im, jątrzył, pokaleczonych dopiero każąc rozrywać; przy stole też co chwila powstawały takie pojedynki słów i groźno sobie pięściami, a na pokrwawionych twarzach nie zbywało.

Dudycz, przyległszy do ściany, z początku ani wyraźnie nic rozeznąć nie mógł, ani w tej wrzawie coś dosłyszeć. W oczach mu się ćmiło i w głowie zawracało.

Gdy hałas zbyt był wielki, naówczas marszałek, stojący za Kmitą, z jego rozkazu podnosił laskę swą białą do góry, a po kilkakroć uderzał nią silnie o ziemię — cisza powoli wracała.

Biały właśnie przystąpił do pana z doniesieniem, ale Kmita nic posłyszeć nie mógł. Nakazano uciszyć się wrzawie.

Dudycz naówczas mógł wyraźnie rozmowę usłyszeć.

— Dworzanin przybył z Krakowa od starej królowej — odezwał się.

Namarszczył się Kmita.

— Aż tu — krzyknął — potrzeba mu było mnie gonić?! Nie mógł to czekać w Wiśniczu?!

— Pono miał takie rozkazy — rzekł Biały.

— Czegóż to stare babsko chce ode mnie? — zapytał pogardliwie marszałek. — Spokojnie chwili usiedzieć jej trudno.

— Coście z tym posłańcem zrobili? Kto on taki? — zapytał Kmita.

— Dworzanin starego pana, Dudycz, stary też.

Marszczył się Kmita.

— Dać go było na folwark gdzie, aby mnie tu nie podpatrywał. Pyski mają rozpuszczone sługi królewskie.

— Schowałem go do kąta, zmęczony jest — dodał Biały — nie macie się, Miłóść Wasza, co troszczyć o to. Rad, że spocznie.

— A list królowej? — kwaśno zapytał, na pół podnosząc się, Kmita.

— Mówił mi, że go do własnych tylko rąk Miłóści Waszej zdać może — odezwał się Biały.

Wiadomość o przybyciu Dudycza, która ochotę przerwała, nie w smak była marszałkowi. Twarz jego przybrała wyraz posępny i prawie gniewny.

Chciał już odchodzić Biały, gdy się zwrócił ku niemu.

— Mówiłeś z tym posłańcem? — spytał. — Nie przywiózł on jakiej wiadomości?

— E, nie tam pewnie nowego nie ma — rzekł Biały — oprócz tego, co nam wiadomo, że małżeństwo młodego pana postanowione i że stara królowa się nim gryzie.

— He! — krzyknął Kmita. — Ona się gryzie? Powiedz lepiej, że zagryzie młodą tę owieczkę, gdy ją tylko szponami swymi dośiąć potrafi. Och, dostać się w ręce Bonie...!

I rozśmiał się dziko.

— Kumelski jej nie zrówna! — dodał, spoglądając ku rozpartemu nie opodał wystrojonemu ulubieńcowi.

Ten skromną przybrał postawę.

Przymusowa cisza trwająca około stołu, gwałtowne to zamknięcie ust wszystkim powiało jakimś chłodem po biesiadnikach i odbiło się nim na Kmicie, któremu ta przerwa dała się czuć dotkliwie.

— Kat by ją porwał, tę starą babę — zawołał — z jej listem i posłańcem! Nie daje mi spocząć tu nawet i zażyć uciechy, jaka mi należy!

Nieuszanowanie, z jakim się odzywał o królowej Kmita, choć był jej sługą i liczył się do zaprzędanych zwolenników, zdumiało bardzo Dudycza. Zdało mu się niepojętym takie lekceważenie tej potęgi — osłupiał.

— Zabawną komedię będziemy mieli na dworze — począł Kmita głośno — dwie królowe! Stara jak szatan zła, jak on zazdrosna, z trzosem nabitym, z Gamratem i całym wojskiem sług i służek z jednej strony; z drugiej stary król zmęczony i młoda dzierlatka, obca tu, nieoswojona... A po której stronie stanie młody król August? Hej, któż to zgadnie!

Śmiał się Kmita.

— Hm — dodał — my żołnierze, a gdzie wojna się toczy, choćby między babami, zawsze się coś upiecze dla wojska...

Gdy to mówił Kmita, wrzawa, która była ustala, w drugim końcu stołu na nowo się powoli wszczynała, a że biesiadnicy wszyscy nietrzeźwi byli, wkrótce rosnąć i wzmaczać się jąła tak, że Dudycz reszty słów Kmity dosłyszeć nie mógł.

Dolatywały go tylko nadzwyczaj zuchwałe wykrzyki przeciwko Bonie i Włochom i wyśmiewanie się ze starego króla, które go zgorszyło wielce.

Cóż to się dziać musiało gdzie indziej, gdy tu na dworze przy-

jaznego Bonie pana, który stronę jej trzymał, jawnie tak sobie pozwalano!

Dudyczowi, przypatrującemu się biesiadnemu stołowi, jeść i pić się odechciało, o spoczynku, którego tak pragnął, zapomniał. Prawda, że o ścianę od tych burzliwych biesiadników sen był trudny.

Krzyki ich, tupanie, bicie kulakami o stoły, szczęk naczyń, padających mis i dzbanów, tłuczonych kubków i szklanic, śpiewy dzikie, śmiechy do ryczenia podobne zlewały się w jeden chór szatański, który uszom Kmity wcale się nie zdawał dolegać. Nie bronił swoim przyjaciółom tak się tu znajdować, jak im się zachciało. Dopiero, gdy do bójki przyszło na dobre, występowali rozjemcy i gwałtem rozrywali pobitych, bo nigdy zawczasu nie zapobieżono porywającym się do siebie.

Noc była późna bardzo, gdy na ostatek stojącemu u szpary Dudyczowi nogi się poczęły uginać, i musiał rzucić się na przygotowane mu posłanie. Była to garść słomy, siana i skóra wytarta niedźwiedzia. Znużony, wylekły legł Petrek, nie zapomniawszy pacierza, gdyż nie bardzo się tu czuł bezpiecznym, i bożej opiece chciał się polecić.

Położył się myśląc, że mimo hałasu ze zmęczenia zasnąć potrafi, ale czy ono nie było jeszcze tak wielkie, czy wrzawa zbyt okrutna, oczu zamknąć nie mógł, kleiły mu się stokroć do snu, ale natychmiast łomot jakiś lub krzyk przerażający budził, a gdy na ostatku drzemać zaczął, dostał jakby gorączki i zdało mu się, że go zbójcy napadają, a on bronić się im musi. Rzucił się i krzyczał też wniebogłosy, ale nikt go, szczęściem, posłyszeć nie mógł.

Przez całą noc do białego dnia trwało to ucztowanie szalone i Kmity głos towarzyszył mu do końca. Z wolna wreszcie uciszać się zaczęło. Petrek zasnął.

Gdy się obudził, zobaczył nad sobą stojącego Białego z palcem na ustach.

— Wstawaj a żywo! — rzekł do niego. — Odziej się, bo przyjdę po ciebie, abym do pana zaprowadził.

Pacholę Dudycza stało już z wodą, ręcznikiem i odzież miało przygotowaną. Zerwał się więc poseł co żywo i nie tracąc czasu, ubierać się począł, w co miał najlepszego.

W sali obok, która wczoraj noc całą trzęsła się od wrzasków,

panowała cisza grobowa. Dudycz zajrzał przez szparę, stała pusta, a na stołach walały się nie zebrane szczątki wieczerzy. Mroczno wyglądała i brudno.

Zaledwie czas miał wdziać na siebie strój włoski, list królowej w jedwabną chustkę zawinąć i włożyć za suknię, gdy Białý wszedł.

Dziś tu i on, i wszystko wyglądało do wczorajszego dnia wcale niepodobnie. We dworze panował spokój, cisza, a nawet pewien porządek.

Białý wyprowadził gościa drugimi drzwiami w podwórze, na którym obóz był rozłożony; nic tu nie widać było rozpasanego, poza wrotami chodziły straż. W pośrodku na drągu wysokim powiewała chorągiew Kmitów ze Śreniawą⁹².

Marszałka mieszkanie było w drugim skrzydle rozległego dworu. Tu u drzwi, oprócz straży zbrojnej, w barwie bogatej stali dworzanie i urzędnicy możnego pana utrzymujący karność. Ci, co wczoraj dokazywali u stołów, dziś tu chodzili wytrzeźwieni jak inni ludzie, ledwie śmiejąc po cichu szeptać do siebie.

Przeszedłszy sieni pełne służby, dostał się Dudycz do antykamery, w której co dostojniejsi byli zebrani dworzanie, poubierani wytwornie, z twarzami bladymi, ale poważnymi i surowymi.

Kazano czekać Dudyczowi, na którego oczy wszystkich się zwróciły. Dopiero, gdy ze drzwi zapuszczonych kobiercem wyszedł jakiś dorodny mężczyzna w sukni księżej, marszałek skinął na Petrka i drzwi mu kazał otworzyć.

W izbie bogato przystrojonej stał za stołem z papierami Kmita — jakby inny człowiek: postawa pańska, duma na czole, powaga wielka — ani go było poznać.

Dudycz się tak zdumiał, iż języka w gębie zapomniał, i dwakroć musiał się odezwać do niego marszałek, nim zebrał się na odpowiedź. Dożył chustę z listem i papier wręczył Kmicie, który z uszanowaniem wielkim wzięwszy go w ręce, spytał tonem łagodnym:

— Jakże się ma Miłość Jej, królowa nasza? Jak król stary? Nic złego mi, spodziewam się, nie przynosicie?

— Sądzę, że nie ma ani złego, ani zbyt nowego nic — odparł Dudycz — ale królowa jejmość rada by zawsze wiedzieć o tych, których liczy do przyjaciół swoich.

Spojrzał, Kmita skłonił głowę. Z wolna rozwarł list i poszedł z nim do okna.

Petrek śledził go oczyma, usiłując odgadnąć, co pismo zawierało, ale twarz Kmity to tylko zawsze okazywała, co chciała, i dowiedzieć się z niej tajemnicy trudno było. Czytał list zmarszczywszy brwi, powoli, parę razy z ukosa popatrzył na Dudycz, powrócił do pisma, zatopił się w nim znowu, zamyślił. Nie ruszył się od okna, choć widocznym było, że list skończył czytać dawno.

Zadumany potem przeszedł się po komnacie, jakby nie wiedział jeszcze, co poczynić. Nie było mu pisanie to zbyt miłym, tego zdawał się móc dorozumiewać Dudycz.

Zbliżył się wreszcie ku stojącemu u drzwi.

— Maż~waszmość kogo znajomego na moim dworze? — spytał Kmita.

— Kilku, między innymi i Biały mi z dawna z Krakowa znany.

— To dobrze — przerwał, nie dając dokończyć, Kmita. — Niechże on waść tu przyjmuje i ugaszcza, bo ja mam na głowie spraw wiele, ważnych, pilnych, a to, co królowa życzy sobie, bym jej doniósł, trzeba wprzódzy zbadać. Potrzebuję czasu na to. Czekać musisz!

Dudyczowi się chłodno zrobiło.

— A, gdyby Miłość Wasza raczył mnie nie wstrzymywać! — zawołał. — Bardzo mi pilno z powrotem!

Bystro spojrzał mu w oczy Kmita i zmarszczył się.

— Aleś waszeć sługą królowej i nie o was tu idzie, ale o jej sprawę! — zawołał. — Czy wam pilno, czy nie, to mi wszystko, zaprawdę, jedno. Gdy mówię, że się zatrzymać potrzeba, nie ma odpowiedzi.

Dudycz zamilkł.

— Prosiłbym Miłość Waszą — odezwał się po chwili milczenia — przynajmniej o tę łaskę, abym wiedzieć mógł, jak długo to czekanie potrwać może.

Kmita się zżymnął.

— Ciekawym jesteś do zbytku — odrzekł dumnie i kwaśno. — Ja sam nie wiem, jak długo to trwać może. Nie jesteście tu z woli własnej i nie rozporządzacie sobą.

Zbladł Dudycz, z człowiekiem tym nawet się rozmówić było

trudno. Zląkł się nieco, obawiał go więcej zniechęcić. Czekał już tylko odprawy.

Kmita, przeszedłszy się po izbie, klasnął w dłonie. Weszło pacholę.

— Zawołać mi Białego — odezwał się marszałek.

Nie mówił nic do Dudycza, a nawet nie patrzył na niego. Po małym przestanku wtoczył się na swych krzywych nogach Biały.

Kmita wskazał mu Dudycza.

— Jest to posłaniec królowej jejmości, który tu ma oczekiwać na odpowiedź moją, a ta nierychło być może daną. Znasz go, jak powiada, weźże w opiekę. Proszę, aby mu na niczym nie zbywało, rozumiesz?

— Masz z sobą ludzi? — zapytał.

• — Pięciu — rzekł z dumą Dudycz.

Kmita ramionami ruszył.

— Ludziom i jemu nie ma zbywać na niczym — mówił do Białego Kmita — ale bez mojej wiadomości nie ma się stąd oddalać. Widzę — dodał — że mu się bardzo czekać nie chce...

— Ale, gdy Wasza Miłość rozkazuje... — przerwał Dudycz. Kmita dał znak jakiś Białemu.

— Umieście go, karm i pój, i niech czeka... niech czeka!

To mówiąc, rozśmiał się marszałek dziwnie, przypatrując się szyderczo Petrkowi, który jak zawsze w swym stroju jaskrawym włoskim dosyć pocieszenie wyglądał.

Skłonił się Dudycz pokornie.

Wyszli razem z Białym, nic nie mówiąc, aż w podwórze. Po namyśle krótkim opiekun poprowadził posła do dworku o kilkanaście kroków odległego.

— Nasz pan w liście coś musiał niedobrego wyczytać — rzekł Biały.

— Najgorsze to, że ja tu siedzieć muszę — zawołał Dudycz — bo mnie pilno do Krakowa! Mówilem o tym panu.

— Toś niedobrze zrobił — przerwał Biały — bo on na przekorę czynić lubi. Będzie was naumyślnie trzymał.

Załamiał ręce Dudycz.

— Ale za to — rzekł, śmiejąc się, Biały i klepiąc po ramieniu gościa — mogę wam zaręczyć, że głodu ni pragnienia nie doznacie.

Nie wiem, czy was do stołu wzywać będą, rozumie się do marszałka dworu, bo Kmita pospolitego czasu sam jada lub tylko z równymi sobie... no, ale ja w tym, że nie poskarżycie się na nas.

— A wy tu długo siedzieć myślicie? — zapytał Dudycz, któremu nowe mieszkanie wskazywał Biały.

— Było się spytać Kmitę — śmiał się krzywonogi — byłby ci tak odpowiedział, jak na pierwsze pytanie. Z nim nigdy nikt nie wie, co on jutro postanowi. Możemy tu siedzieć pół roku albo wyruszyć nagle wieczorem.

Nie było już co pytać więcej. Dudycz rzucił się na ławę i rzezy swoje znosić kazał do izby. Zdało mu się, że go w niewolę wzięto.

Do stołu dworzan Kmitę dnia tego nie powołano go, ale obelano wszystkim, czego mógł potrzebować, w obfitości.

Zjadłszy, Dudycz z rozpaczą spać się położył, a że wczorajszą noc spędził w gorączce i bezsenności, teraz mu się sen tak udał, że noc była, gdy się przebudził na wieczerzę.

Nikt tu do niego nie zajrzał, nawet Biały. Na zapytanie, co się działo we dworze, ludzie mu odpowiedzieć nie mogli. Wysłano jakiś oddział zbrojny, Kmita siedział zamknięty.

Z biesiadowania nocnego, jakby ono marzeniem jakimś było, nie pozostało teraz nic — ani wspomnienia, ni śladu. Nikt się nie ważył mówić o nim. Pomiędzy dworem, strażą, ludźmi panował znowu rygor i porządek największy.

Dla Dudycza, który nie miał się do kogo przyczepić, a prawdę rzekłszy, nie śmiał — pobyt dłuższy zapowiadał się bardzo ciężkim. Nie wiedział, co robić z sobą.

Wyjść się lękał, aby nie pomyślano, że podpatrywał i szpiegował, co by pana Kmitę rozgniewać mogło.

Biały nie zjawił się, aż nazajutrz rano.

Znalazł Dudycza milczącym i przybitym.

— Wypałeś się? — zapytał.

— Cóżem miał robić?

— Najedz się teraz — śmiał się Biały — a gdy nie stanie zęcia, pij. Co wolisz? Miód jest dobry, piwo niczego, wino nie pochwale się.

Dudycz wzdychał. Biały, już zapewne wtajemniczony przez Kmitę, uśmiechał się. Zawadiaka, do wybitej⁹³ doskonały, bo się

nikogo i niczego nie uląkł nigdy, tajemnicy żadnej ukrywać nie umiał.

Popatrzył na zbiedzonego, milczącego Dudycza.

— Powiedz mi — odezwał się nagle — co ty królowej prze-
winieś, że cię tu za karę wysłała do nas.

— Jak to za karę? — obruszył się Dudycz. — Ale ja u mi-
łościwej pani mam wielką łaskę.

Biały począł się śmiać, spoglądając z politowaniem na towa-
rzysza.

— Tak ci się, nieboraku, zdaje — odezwał się. — Kto tę
Włoszkę zrozumie i spenetruje. To diabeł jest, nie kobieta. Uśmie-
cha ci się, a (tu się w piersi ogromną pięścią uderzył) ja powiadam,
tyś coś przeszkrobał.

Dudycz aż się z ławy pochwycił.

— Skądże tobie to przyszło?! — krzyknął.

— Tego nie pytaj — rzekł Biały — tylko powiadam ci, po-
rachuj się dobrze z sumieniem.

Zamyślił się Dudycz głęboko.

— Nie może to być — odparł. — Gdybym nawet chciał, czym-
że ja, mały człeczyna, mogłem tej miłościwej pani, która u nas
wszystkim trzęsie, zawadzić albo się narazić. Na ostatek ja jej
łaski potrzebuję, służę jej... nie... to być nie może!

Biały walczył z wielką chętką wygadania się.

— Nie zdradzisz mnie? — szepnął.

Petrek palce na palce założył i krzyż z nich zrobiony pocało-
wał.

— No, to ci powiem — szepnął Biały — że w liście do mar-
szałka stoi nic więcej nad to, aby ciebie starał się jak najdłużej
zatrzymać przy sobie, nie dając ci odpowiedzi.

Zbladł, słuchając, biedny Dudycz, bo rozkaz ten nie mógł mu
się w ciasnej głowie pomieścić. Nie pojmował, co mogło tę banicję
spowodować.

Siadł zrozpaczony na ławie.

— Żle ci u nas nie będzie — dodał Biały. — Kmita swoim
czasem poskąpi obroku, ale obcym nigdy, bo chce wielkim panem
być w oczach ludzi. Tylko się tu zamęczysz... no, i kto wiedzieć
może, nuż przyjdzie do jakiej rozprawy, i guza gotówes oberwać.

Nie odpowiadał Dudycz, tak był w sobie zatopiony. Biały, który przez okno zobaczył w podwórzu jakiś nieład, nie żegnając go, wybiegł. Został tedy z ciężkimi myślami sam na sam.

Niepodobna mu się było dorożumieć, co znaczyło postępowanie królowej, bo że ono było w związku z Dżemmą, tego się wcale nie domyślał.

Pozostać tu długo było dla niego męczarnią niewysłowioną, właśnie z powodu Włoszki, której obłączenie podarkami rozpoczął.

Narozmyślawszy się długo, postanowił w końcu do kogoś list napisać do Krakowa, prosząc o ratunek, ale nie umiał wymyśleć, komu by się mógł powierzyć.

Nierychło dopiero przyszedł na pamięć pan kasztelan biecki⁴⁴, Boner, bo wyrozumował, że kiedy królowa chciała go mieć daleko, to może właśnie dla króla dobrze by było, gdyby się znajdował blisko.

Napisanie listu myślą było szczęśliwą, bo jeden z pięciu ludzi, co mu towarzyszyli, mógł go zawieźć cichaczem do Krakowa; szło tylko o to, jak list napisać.

Dudycz nie odebrał żadnego prawie wychowania. Wprawdzie przypominał sobie, że chodził do szkoły w Wieliczce przy kościele, nauczył się tu czytać drukowane, a co do pisania, do tego nie mając zdolności, później dopiero, gdy rachunki trzymać musiał, nauczył się sam gryzmolić, naśladując litery drukowane. List więc jego, sam on to czuł, wiele musiał zostawiać do życzenia, a posłużyć się na tym dworze kimkolwiek bądź nie było bezpiecznie. Westchnął na to, że nie przewidział, jak się pisanina w życiu na wiele przydać mogła.

Następnych dni nie było co robić. Biały, chociaż nie zapomniał o gościu, nadto był zajęty, ażeby przy nim godzinami siedział. Najadłszy się, napiwszy, wypawszy, dowiedziawszy o konie, pogawędziwszy ze starszym sługą, Dudycz zostawał sam i nie miał co innego do czynienia, oprócz że na ławie w oknie siadłszy, w podwórzu patrzył.

Ta zaś część jego, którą miał przed oczyma, zbyt urozmaiconego nie dawała widoku. Przeprowadzano tedy konie do wodopoju, przenoszono siano i obroki do stajen, szli parobcy, przeciągali żolnierze, a pod wieczór wiatr zamiętał rozsypane siano i śmiecie lub resztki suchego śniegu, który już prószyć zaczynał.

Biały, niewymowny prawie, co dzień jedno powtarzał przyszedłszy:

— Najadłeś się?

— A jakże.

— Napiliśmy?

— Dziękuję.

— Połóżże się spać, bo więcej do roboty nie masz nic.

Nierychło bardzo Dudycz wpadł dopiero na myśl, że może miłość jego dla pięknej Włoszki wygnania tego mogła być przyczyną.

— Ochmistrzyni mnie zdradziła! — mówił sobie.

We dwa tygodnie dopiero ruszył się Kmita nazad do Wiśnicza, a z jego dworem i ów niewolnik, o którego odprawieniu do Krakowa mowy nawet nie było.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Zbliżała się wiosna i umówiona pora przybycia młodej królowej do Krakowa. Po dosyć ciężkiej do przebycia zimie, król Zygmunt Stary, jakby odżywiony nadzieją ożenienia, którego tak bardzo pragnął dla syna, czuł się i powiadał silniejszym. Doktorowie znajdowali, iż w istocie zdrowie się jego poprawiło.

Biskup Samuel, który codziennie starego swego pana widywał, przypisywał to zarówno zbliżającemu się weselu, którego król wielce sobie życzył, jak zmianie zaszłej w obojętności z mężem starej królowej. Niczyjej ona baczości nie uszła, ale ją sobie tłumaczono różnie.

W czasie, gdy między Wiedniem, Pragą a Krakowem toczyły się ostateczne układy o owo małżeństwo z młodziuchną Elżbietą, Bona wszelkimi sposobami przeszkodzić mu się starała. W jej miejsce pochlebiała sobie, że potrafi wyjednać dla syna francuską księżniczkę, córkę Franciszka I. Nienawiść jej dla cesarza i dla ojca Elżbiety, przyszłej synowej, podsycana tym, że jej trudności robiono w sprawach posiadłości neapolitańskich¹, a w Węgrzech i Siedmiogrodzie ukochanej córce Izabeli stawiono zawady w popieraniu interesów małoletniego syna — nienawiść bezsilna, podbudzała do bezrozumnego szału. Obawiała się wystąpić jawnie przeciwko cesarzowi dla Baru², przeciwko ojcu Elżbiety dla Izabeli, tym więc zjadalej męża starała się zmusić do zerwania z nimi.

Stary król znosić musiał codziennie wyrzuty, sceny ze łzami i krzykami, wybuchy takie, że Bonę często wynosiły kobiety na rękach, a król po przebyciu takiej kryzys kładł się do łóżka.

Gdy, pomimo wszelkich przestróg lekarzy, powtarzały się ciągle te utrapione waśni, a Zygmunt po raz może pierwszy złamać się nie dał, bo mu szło o cześć, o słowo dane i o piastowaną dawno mrzonkę ożenienia syna z wnuczką brata, choroba i osłabienie króla znacznie się wzmogły, stały niemal groźnymi.

Później nieco, kiedy nieodwołalnie termin ślubu i wesela został naznaczony, listy wymienione, warunki wszystkie postanowione, Bona nagle prawie złagodniała, zamilkła, poddała się nieuchronnemu następstwu zobowiązań i — zaprzestała zupełnie napaści i wymówek.

Pokój ten niespodziewany wydał się rzeczą tak nienaturalną dla tych, co znali upór Włoszki, iż co chwila spodziewano się powrotu wojny. Tymczasem królowa pozostała całkiem spokojną. Przychodziła codziennie do męża ze sprawami różnymi, troszczyła się wielce o jego zdrowie, sprawy małżeństwa nie poruszyła nigdy, a jeśli wypadkiem potracono o coś będącego z nią w związku, zaciągała usta, zmuszała się do milczenia.

W prostocie ducha król Zygmunt niezmiennie uradowany tą poprawą, przypisywał ją jedynie okazanej stałości charakteru. Wdzięchen był niewymownie żonie, że wojny zaprzestała, i doznany zawód starał się jej wynagrodzić, ulegając we wszystkich innych sprawach, czyniąc jej ustępstwa chętnie, a nawet przeciwko Maciejowskiemu często skłaniając się na jej stronę.

W istocie Bona teraz chodziła tak spokojna, zrezygnowana, jak gdyby z myślą tego związku zupełnie się przejednała. Jedni z królem razem cieszyli się z tego, drudzy, jak Maciejowski i Boner, nie dowierzali pokojowi. Pan kasztelan biecki powtarzał księdzu Samuelowi:

— Mówcie, co chcecie, to podstęp... Ja się go boję. Najstraszniejszy mi nieprzyjaciel, kiedy się przyczai... a znając naturę Włoszki, można się spodziewać, że nie darmo wymogła na sobie tę pokorę. Mota ona coś i czeka.

— Ale cóż? — odpowiadał ksiądz Samuel. — Gdy się raz pobiorą, co ona zrobić im może?

— Nie wiem — mówił Boner — ale o tym przekonany jestem, że królowa nie dała za wygraną. Trzeba się więc, nie zaniebując, mieć na baczności i nie otrąbywać zawczasu zwycięstwa.

Podskarbi miał pewne oznaki, z których wnosił niepłonne, że to, co się nazywało spokojem i zgodą, było tylko treugą³, rozejmem, służącym do zebrania sił i przygotowania oręża.

Z obowiązku swojego co dzień bywając w zamku, ocierając się o ludzi, których sprawy pieniężne czyniły zależnymi od niego, Boner miał sposobność więcej się dowiadywać niż inni. Bystrzejszym też był może w rozpoznawaniu czynności, które drudzy obojętnymi sądzili.

Wiedział dobrze, iż królowa, zwykle tylko pobłażająca miłostkom syna, gdy one nie wychodziły za obręb jej fraucymeru, ale zachowująca pewne *decorum*⁴ i nie mieszająca się do nich czyn-

nie na pozór, teraz prawie jawnie opiekowała się Dżemmą i posilkowała synowi do zawiązania z nią w przededniu ślubu jak najściślejszych stosunków. Do tych nie tylko że przeszkód najmniejszych nie było, ale matka je widocznie osłaniała jak najtroskliwiej, a miłość jej dla pięknej Włoszki rosła tak, że w całym dworze zazdrość obudzała.

Chociaż miłostki były niby okryte tajemnicą, wiedział o nich cały dwór, a Dżemma, dumna przywiązaniem Augusta, nie wstydziła się wcale okazywać, jakie miejsce w sercu jego zajmowała. Uderzało i to, że skąpa zwykle królowa dla Włoszki nic nie żałowała, obsypywała ją darami, stroiła, okrywała klejnotami, a synowi dostarczała pieniędzy dla zaspokojenia najdziwaczniejszych fantazji ukochanej.

Wszystko to w pierwszych miesiącach 1543 roku stało się tak bijącym w oczy, iż Boner, zebrawszy dużo wiadomości na poparcie swego twierdzenia, jednego dnia, widząc króla zdrowym i silniejszym, odważył mu się o tym napomknąć.

Z twarzy Zygmunta, która się bardziej jeszcze niż zwykle zasępiała, mógł się przekonać, że dotknął przedmiotu wielce niemiłego. Król wysłuchał, chociaż dawał oznaki niecierpliwości, a gdy Boner dokończył, rzekł, że wszystko to za wielce przesadzone uważa.

— Wszyscy wy nie dowierzacie królowej — mówił dalej — a ja powiadam wam, iż nic złego na myśli nie ma. Słaba dla syna, bo go kocha, ale małżeństwu przeszkadzać nie będzie, bo się przekonała, iż wszystko to byłoby napróżnym.

Boner, spełniwszy obowiązek, nie nalegał, ale król, choć oświadczył mu, że nie wierzył doniesieniom, wziął rzecz do serca, gryzł się jakiś czas; na ostatek, trzeciego dnia rano, gdy Bona przyszła go pozdrowić, wystąpił z tym, ażeby swoje dziewczęta miała na oku i trzymała surowo, gdyż plotki chodzą, że młody król miłostki tam zawiązuje, a gdyby o tym wieści doszły do królowej Anny w chwili, gdy tu córkę wysyłać miała, mogłaby się niepokoić.

Bona, która długi czas była spokojną, wybuchnęła nadzwyczaj gwałtownie, obwiniając swych nieprzyjaciół o potwarz, męża o łatwowierność i wybiegła płacząc i trzaskając drzwiami.

Zarządziła natychmiast poszukiwania, kto w tych dniach u króla bywał i mógł mu donieść o Dżemmie. Podejrzenie padło na

Bonera. Zapisanym mu to zostało zapewne w jego rachunek, lecz dalszych następstw zaraz nie miało. Król milczał, Bona gniew stłumiła w sobie, a w postępowaniu młodego króla z Włoszką na włos się nic nie zmieniło.

Zygmunt nie wznowił niemiłego przedmiotu. Co dzień za to sam dawał coraz nowe rozporządzenia dotyczące się przyszłego wesela, które chciał, aby było wspaniałym i świetnym.

Pamiętał nawet o woźnikach⁵ do kolebek, o kolebkach samych. Życzył sobie może, aby stara królowa sławną swoją całą srebrną kolebkę szkarłatnym aksamitem wybitą dała do wjazdu dla młodej królowej, lecz się okazało, że była połamana, w naprawie, a ci co koło niej pracowali, tak rychło jej wystroić nie obiecywali. Nie nalegało więc i trzeba się było obejść innymi.

Ucichło potem.

W mieście i na zamku wiedziano o tym, że stojący przy królu starym, w myśl jego, wcześniej starali się na uroczysty wjazd młodej królowej przygotować poczty jak najświetniejsze. Ksiądz Maciejowski, hetman Tarnowski, pan Andrzej z Górki, pan kasztelan biecki, nie licząc innych, teraz już zakupywali barwy, szyć kazali, aby wystroić swe dwory z nie widzianą okazałością. Zbroje, rynsztunki sprowadzano z zagranicy.

Na przekorę temu przepychowi, w początku królowa, jak odmówiła swej srebrnej kolebki, tak chciała, aby jej przyjaciele jak najskromniej i wcale się nie wysilając, tylko z konieczności wzięli udział w tym wjeździe, który chciano uczynić tak świetnym.

Ale tu Gamrat stanął na przeszkodzie. Nowy człowiek⁶, który zarazem trzymał dwie najbogatsze stolice biskupie z ich dochodami, nie mógł na to pozwolić, aby go inni zaćmili, iżby on przy nich stanął ubogo i skromnie.

— Nie może to być! — zawołał, przybywszy do królowej. — Wojna wojną, a tam gdzie tysiące oczów patrzeć na nas będzie, nie możemy się wystawić na pośmiewisko! Niech inni czynią, co chcą, ja oświadczam wbrew Miłości Waszej, że nie tylko jak największy poczet postawię, ale go wystroję jak najkosztowniej, choćby mi moje srebra zastawić przyszło. Nie dam arcybiskupa-prymasa na urągowisko... Kmita sobie postąpi wedle myśli swej, chociaż sądzę, że i on się tu zatrzcć nie dopuści..., ja nie mogę! Zowią mnie tu wszyscy plebejuszem, co bez butów przybył z Podgórza, choć

Gamratowie starą są szlachtą, nie gorszą od innych. Otóż im pokazę, że potrafię, i nie pożałuję wystąpić.

Taka była powaga Gamrata i wiara królowej w słowo jego, że Bona się nie sprzeciwiała. Ona sama postanowiła się nie wysilać wcale, ale nie chciała bronić drugim postąpić, jak sami życzyli.

Ksiądz arcybiskup nie tylko, że chciał wystąpić, ale postanowił zagasić najmożniejszych, i gdy inni po kilkudziesięciu, po stu lub mało co więcej ludzi przygotowywali do wjazdu, Gamrat zapowiadał, że zbierze ich do trzechset.

Nigdy może w Polsce, jakeśmy już mówili o tym, stroje nie były bardziej urozmaicone, jak w końcu XVI wieku i począwszy od tej epoki. Właśnie ten wjazd dla cudzoziemców miał być powodem podziwienia razem i szyderstwa, bo niemal każdego pana poczet inaczej strojono. Gamrat swój miał ubrać po polsku.

Inni silili się na najniezwyczajniejsze ubiory od stradiotek⁷ począwszy, do długich opończy moskiewskich i kołpaków, do tatarskich, tureckich, hiszpańskich, niemieckich, węgierskich przybrań.

Barwa czarna była w wielkiej modzie, lecz na uroczystość tę jak najjaskrawiej się stroić miano, a szkarłat nade wszystko miał górować. Oprócz sukni i zbroi, które musiały być szmelcowane i złoczone, a tych trzeba było szukać za granicą, bo ich mało w kraju robiono, same konie i sprzęże poszóstne a poczwórne, które dobierać musiano, stanowiły i trudność wielką, i wydatek niemały. A że koń każdy musiał iść pod bogatą szytą deką, zawczasu więc dniem i nocą haftowano je złotem i perłami, tak że niektóre z nich niemal równie bogato, jak ornaty kościelne, wyglądały.

Tylko Bona jedna najmniejszych przygotowań niezwykłych nie czyniła. Chłubić się nawet nie chciała z tą swą sławną kolebką srebrną, o której wyżej, i nie myślała jej światu okazać.

Tłumaczyła się tym, że ona i król, na synową oczekując w zamku, całe się o wjazd troszczyć i uczestniczyć w nim nie potrzebowali.

Co się tyczy młodego króla, szczodra dla niego w innych rzeczach, matka ścisnęła dłoń.

— Ci, co cię żenią gwałtem, niech do wesela pomogą — rzekła. — Ja go nie życzyłam, nie chcę i nie myślę się na to ekspensować.

Gdy podskarbi Boner doniósł o tym królowi, Zygmunt mu po-

lecił, aby nie skąpiąc, dostarczył Augustowi wszystkiego, czego mógł potrzebować, aby wystąpił godnie siebie i jak najwspanialej. Miano na ten cel i klejnotów ze skarbca pożyczyć, i zakupić, co było potrzeba.

Podskarbi poszedł sam się w tym przedmiocie poradzić z młodym panem, ale znalazł go tak nieśmiałym, niepewnym, wahającym się i widocznie z obawą oglądającym na matkę, iż sam musiał większą część niezbędnych przygotowań obmyśleć. August nie sprzeciwiał się, ale stawiał z obojętnością uderzającą i nieustannie odwoływał się do matki. Był widocznie jeszcze pod silniejszym wpływem jej niż zwykle.

Boner, dobrze to zrozumiałwszy, nie wahał się wziąć na siebie wiele. Jak zwykle, Bona wiedziała o wszystkim, co mówiono i postanowiono u męża, co przygotowywano, kto był najczynniejszy, ale nie stawiała przeszkód. Osłoniła się najdziwniejszą obojętnością pozorą, jakby ją to wszystko nic a nic nie obchodziło.

Ci, co z twarzy młodego króla chcieli czytać wróżbę jakąś przyszłości, niewiele mogli w niej znaleźć. Zawsze wobec obcych panem siebie będąc, milczący i dosyć zamknięty, król młody okazywał się ostyglým, zimnym jak matka.

Powoływany często do ojca, który starał się go ożywić i natchnąć tą miłością dla Elżbiety, jaką on sam miał dla niej — August słuchał go z poszanowaniem, oświadczał się z gotowością spełnienia rozkazów, ale nie zmieniał w niczym.

Wszystkie wieczory do późna spędzał zwykle albo sam na sam z Dżemną, lub u matki. Naówczas Włoszka wystrojona powoływana była na pokoje, i gdy Bona rozmawiała z Gamratem, ze swymi przyjaciółmi i protegowanymi, młody król mógł swobodnie w drugiej komnacie siedzieć z Dżemną, której parę panien towarzyszyło, ale miały rozkaz stać na uboczu.

Czasami wieczorem sprowadzano włoskiego lutnistę, śpiewaka jakiego lub jedna z panien popisywała się, nucąc włoskie pieśni. Czas więc upływał tu mile i bardzo szybko, a dla Bony może za prędko, bo potrzebowała się przygotować do wojny. A choć pożądała jej i uważała ją za nieuniknioną, wiedziała, że będzie upartą. Gromadziła więc sprzymierzeńców, gdzie i jak tylko mogła.

Plan postępowania zawczasu był osnuty: Bona postanowiła sy-

na trzymać jak najdalej od żony, nie pozwolić mu ani się z nią poznać lepiej, ani pokochać. Miłość dla Dżemmy służyć miała dla odparcia tej, której się obawiała.

Znała bardzo dobrze syna, iż łatwym był do zajęcia się kobietami, że nowość dla niego stanowiła ponętę; obawiała się więc Elżbiety, o której wiedziała, że była młodziuchną, najpiękniejszą z córek królowej Anny, bardzo starannie wychowaną i pełną uroku.

Unosił się nad tym jej wdziękiem wielki znawca niewieściej piękności, Dantyszek, świadczyły przywożone portrety, które Bona rzucała precz z gniewem.

Jeden z nich przeznaczony dla syna, nie mogąc mu go odebrać, Bona zakryła tak, aby nie miał na oczach.

Wybór Dżemmy spomiędzy mnogich dziewcząt Włoszek i Polek fraucymieŕu królowej dowodził bardzo trafnej znajomości serca ludzkiego. Włoszka była rozmarzoną, rozkochaną w istocie w królu i miętnie mu oddaną.

Kochała go nie jako przyszłego mocarza i pana, ale jako młodego, pięknego chłopca; a nic tak nie przywiązuje jak miłość. Ani piękność, ani talenta, ani żaden urok w świecie nie ma tej potęgi, jaką władza uczucie. Ono wywołuje wzajemność.

Dżemma od lat wielu, dorastając, patrzyła na królewicza jak na ideał, rozmiłowaną w nim była daleko wprzód, nim on to postrzegł, gdy jeszcze bawił się z Bianką i innymi dziewczętami, które wprędce rzucał dla coraz nowych. Dżemma nie miała ambicji, nie rachowała na żadną przyszłość, potrzebowała być kochaną.

— A potem? — pytała ją szydersko Bianka.

— *E poi? Morir!* (A potem? Umrzeć!) — odpowiadała Dżemma, mężnie jej patrząc w oczy.

Miłość tę swą pierwszą wzięła Włoszka z pieśni, z poetów, z powieści, z własnego wreszcie serca i temperamentu. Nie była nigdy ani płochą, ani zalotną. Lubiła wszystko, co piękne, co wielkie, szlachetne — lubiła wytworny strój i starała się być czarującą, ale tylko dlatego, aby godną była wyboru Augusta.

Teraz, gdy ją nareszcie spotkało to szczęście niewysłowione, że on ją kochał, reszta świata, wszystko znikło z jej oczów. Wiedziała tylko jego jednego i siebie... Nic ją nie obchodziło. Gotową była cierpieć, być prześladowaną, byle on jeden nie zmienił się dla niej.

Bona może w tę namiętność nie wierzyła, bo wcale się jej nie lękała, a można było nastraszyć się zstąpiwszy w to serce, które patrzyło w przyszłość, w śmierć, w męczarnie, nie ustraszone niczym.

Zygmunt August za wcześnie zużyty miłostkami, które dla niego spowszedniały, w tym nowym przywiązaniu odżył i odmłodził.

Nie był to stosunek do żadnego z poprzedzających podobny, tak jak Dżemma do żadnych z dziewcząt zapomnianych podobną nie była. Pomiędzy nimi, z tym diademem miłości heroicznej na czole, występowała jak królowa. Nie kryła się, nie wstydziła, nie rachowała z niczym.

August też, choć wystygły, chwilami przy niej czuł powracającą młodość i miłość jego rosła razem z doznany szczęściem niespodzianym.

W początkach kwietnia nadzwyczajny ruch tych przygotowań całe miasto zaprzętał; nie mówiono o czym innym, nie widać było nic innego nad tę gorączkę popisu, z jaką Kraków chciał wystąpić. Wiedzano dobrze, iż na dworze cesarskim o przyjęciu królowej będą zawiadomieni z najmniejszymi szczegółami, szło o to, aby stolica Polski i monarcha, który tak wysoko stał w szacunku powszechnym, nie zostali upośledzeni.

Nie mógł naówczas gród podwawelski iść w porównanie z Wiedniem, a nawet z Pragą, ale mieszczaństwo tutejsze uboższym od innych nie było i barbarzyńskim okazać się nie chciało. Tak samo magnaci i duchowni, prawie wszyscy bez wyjątku, wychowani i obeznani z obyczajem zagranicznym, z Włochami, Niemcami, Francją, mniej cywilizowanym nad inne narodem w obyczaju być nie chcieli. Może aż nadto też starano się o nadanie wjazdowi barwy obcej, a najmniej chciano go polskim uczynić. Z pocztów pańskich kilku zaledwie charakter ten miejscowy zachowało.

Na ratuszu rozprawiano i rozglądano się w podarkach dla młodej królowej; gdyż miasto nie mogło obejść się bez nich, a ubogo się okazać wstyd było. Klejnotów ofiarować nie mogło, zgodzono się na kosztowne wyzłacane naczynia i misy, których robota więcej od kruszców wartą była. Podskarbi sam je wybierał.

Całe to tak żywe zajęcie rozbijało się — jak fale morskie

o skałę — o wyrachowaną oziębłość Bony. Nie chciała widzieć nic, choć o wszystkim była zawiadomioną, udawała obojętną, głuchą i ślepą.

Ilekoć przyszła do króla i trafiła tu na rozmowę o przygotowaniach, bo stary Zygmunt tak się nimi zajmował, że nawet suknię syna, jaką miał włożyć dla powitania żony, sam chciał oglądać i rozkazał, aby była niemieckim krojem, choć August żył sobie włoskiej — ilekoć trafiła na taką rozmowę, Bona rozpoczynała o czym innym, a pytana o zdanie, zbywała, potrząsając głową, milczeniem.

Zygmunt August też, aby matce się przypodobać, która mu teraz szczególną miłość okazywała, a może zajęty mocno Dżemmą, zachowywał się zimno i obojętnie.

W tym usposobieniu utrzymywał go przy boku będący Opaliński, który służył interesom Bony. Ten, ilekoć sam na sam był z królem, rozpoczynał użalać się nad losem jego; nad narzuconym mu małżeństwem z chorowitą i dziecinną królowną, z którą pożyście szczęśliwym być nie mogło. August słuchał najczęściej nie odpowiadając, lecz powtarzane tu ubolewania powoli czyniły na nim wrażenie.

Im bardziej zbliżał się czas naznaczony na przybycie królowej, tym Bona niepostrzeżenie miłość ku Dżemmie podsycać się starała i uczynić namiętną.

Nie występowała czynnie, używała ku temu najrozmaitszych sprzymierzeńców, najczęściej takich, którzy sami może nie wiedzieli, iż narzędziem jej byli. Mieszkanie Włoszki stało się dla pańien dworu, dla ochmistrzyń obu prawie niedostępnym; August w każdej porze mógł tu przyjść, nie obawiając się spotkać z nikim. Dżemma wymykała się często wieczorami do pokoiów młodego pana. Opaliński pilnował, aby się tu z nikim nie spotykała.

Cóż dziwnego, że w młodej parze miłość ta, dla Dżemmy pierwsza w życiu, dla króla najgorętsza z tych, jakie prześnił, dosięgła do błogiego jakiegoś szału i zapomnienia. Z takim uczuciem w sercu któż myśli o przyszłości! Kto pamięta na jutro!

Gdy August smutniejszy czasem przychodził do matki, Bona tłumaczyła natychmiast smutek ten ożenieniem i pocieszała go zapewnieniami, że tę natrętną małżonkę potrafi z dala od niego trzymać.

— Panowie polscy dla swoich jakichś rachub mogli ci nie-miłą narzucić małżonkę. Niechaj się nią nazywa, ale żyć z nią nie masz obowiązku; a przywiązać się do chorej, do ciągle zagrożonej, ciągle potrzebującej leków, niepodobna. Szczęście możesz znaleźć gdzie indziej...

Miedzy Krakowem a Wiedniem ciągle trwała prawie tycząca się ożenienia korespondencja, z obu stron pełna najuroczystszych zapewnień przyjaźni, szczerą ze strony starego Zygmunta, który w istocie Elżbietę, wnuczkę po bracie, kochał sercem ojcowskim. W Wiedniu jednak przez tych, którzy do Krakowa jawnie i potajemnie dojeżdżali, przez Herbersteina⁸ i innych wysłańców doskonale wiedziano, jak na dworze polskim rzeczy stoją. Cesarz i król ojciec nie wyobrażali sobie tylko, ażeby Zygmunt mógł względem żony być tak słabym, i rachowali zbyt na jego opiekę. Oprócz tego ojciec Elżbiety dla Izabeli w Węgrzech mógł wiele, musiała go Bona oszczędzać, a cesarza — dla neapolitańskich posiadłości.

Obu jednak przebiegła pani spodziewała się pozorami uwieść a na swoim postawić. Dlatego usuwała się od wszystkiego, na pozor nie czyniła nic, a posługiwała się narzędziami, aby tego, co zajdzie, wyprzeć się mogła.

Gdy się to działo w Krakowie, nieszczęśliwy Dudycz, o którym zupełnie zapomniano, siedział na pokucie w Wiśniczu i byłby może tam pozostał nie wiedzieć jak długo, gdyby w końcu nie odważył się drukowanymi głoskami najdziwaczniejszego listu wystylizować do Bonera, o litość go prosząc.

Podskarbi wpółżartem szepnął o tym staremu królowi i prosił go, aby on Bony o dworzanina swego spytał, a o powrót się dopomniął. Boner dodał, śmiejąc się, że zesłano Dudycza dlatego, aby miłostkom Augusta nie był na przeszkodzie.

Zygmunt, choć powierzchowność Dudycza nie zdawała mu się dla nikogo niebezpieczną, przy pierwszym spotkaniu królowę zagadnął o dworzanina i dodał:

— Jest mi potrzebny...

Bona teraz go sobie dopiero przypomniała, a że wcale już się teraz natręstwa z jego strony nie obawiała, posłała do Kmity, aby jej gońca na powrót z listem odprawił.

Groziło już Petrkowi na tym wygnaniu, że się na piwie mar-

szalkowskim mógł rozpic, bo nie mając nic do czynienia, zimnego i grzanego nadużywał, gdy szczęściem Biały przyszedł do niego z wesołą nowiną, że list dziś otrzyma i do Krakowa powracać może.

W godzinę niespełna Dudycz był gotowym i w podróżnych sukniach poszedł do Kmity z pożegnaniem i podziękowaniem za gościnne przyjęcie. Niebawem też, ścisnąwszy rękę Białemu, który choć z niego drwił, ale się nim opiekował, był już Petrek na koniu i w drodze. Komu innemu może by to przetrzymanie w Wiśniczu i długie oddalenie od ulubionej z głowy ją i z serca wyrugowało, bo się domyślał, że go od niej chcą odsunąć. Dudycz miał naturę upartą, a jego miłość cała w głowie mieszkała. Włoszka mu była potrzebną dla popisu przed światem, a że, zdaniem jego, żadna inna jej pod tym względem zastąpić nie mogła, trwał więc uparcie w zamiarze wzięcia jej w spadku po młodym królu.

Być bardzo może, iż w głowie ciasnej Dudycza wspomnienie Kościeleckiego, ożenionego ze Ślązaczką, kochanką Zygmunta Starego, pobudzało go do naśladowania dawnego pana.

Nie miał on nikogo, co by, jak Kościeleckiego bracia, mógł go prześladować za to. Roił zapewne, że Zygmunt August nim i żoną jego opiekował się będzie, a może nawet zrobić go żupnikiem. Wszystko to upór jego wznagało i najmocniejsze postanowienie zabiegania, aby mu kto Włoszki nie pochwycił.

Jak teraz miał postępować, kogo się trzymać: czy Bonera i króla, czy królowej starej — tego nie umiał rozwiązać jeszcze.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, gdzie się czuł tak szczęśliwym, jakby się na nowo na świat narodził, pobiegł naprzód szukać którego z dworzan dla rozpytania się, co się tu działo.

Nikt prawie mówić z nim nie chciał, tak wszyscy byli zajęci i roznamietnieni tym wjazdem, w którym brać udział mieli.

Stawił się więc do Bony z listem. Stara królowa nie przepuściła go do swego oblicza nawet, list kazała oddać na ręce swojego kanclerza, Dudycza odprawiła z niczym.

Od niej pośpieszył do Zameckiej, która na widok jego ręce załamała.

— Wróciłeś więc żyw! — zawołała.

— Dzięki Bogu — rzekł Dudycz.

— Patrzajże, daj pokój Włoszce, aby cię za drugim razem dalej nie zesłano.

Petrek chudego wasa pokręcił.

— Wybili ci ją z głowy? — zapytała Zamechska.

— Nie — stanowczo odparł Dudycz.

Ochmistrzyni się przeżegnała.

— Trwasz przy swoim?! — zawołała zdziwiona.

Kiwnął głową Petrek.

— Cóż myślisz?

— To się okaże — rzekł po namyśle stary, przybierając oblicze zagadkowe — o jedno proszę Miłość Waszą, raczcie mi zachować łaskę swą.

— Ja więcej w tę twoją niedorzeczną sprawę rąk nie umoczę — odezwała się Zamechska. — Nie dokażesz tu nic, a ja się mojej pani narażać nie myślę.

Przystąpiła bliżej do Petrka i szepnęła:

— Król młody na zabój rozkochany w niej, ona w nim... Gdzież tu dla ciebie jaka nadzieja?

— Żeni się — rzekł Dudycz.

Ochmistrzyni ramionami ruszyła.

— To co? — zapytała.

Niewymowny Petrek nie chciał się szerzej tłumaczyć, pocałował ją w rękę i poszedł.

Tegoż dnia dano mu w zamku zajęcie, bo teraz wielu potrzebowali ludzi i nawet taki Dudycz mógł się zdać na coś. Rozumie się, że go do żadnego orszaku nie zaciągnięto, ale na pokojach powierzono pacholęta i wyrostków posługujących pod komendą, część kredensów i sreber do dozoru.

O, te dni wiosenne, te dni młodości, jak to do siebie podobne! Najpiękniejsza pogoda z rana, słońce obmyte rosami u wschodu błyszczy złotem, ani jednej chmurki na niebie lazurowym. Nagle, jak plamka nie dostrzeżona, zjawia się obłoczek, rośnie i rozciąga się, czernieje, pół niebios objął, zasłonił i zaciągnął całe, burza wre ponad ziemią przeleciała, pioruny biją, wichur obala bory... a zza rąbka chmury widać już szafir pogody — wszystko przeleciało i przesumiało, słońce śmieje się znowu.

Nie tak-li w młodości zakochanych, pogoda z uraganem się mieniają, łączy z uśmiechem krzyżują ciągle?

Dżemma, choć wychowana pod niebem północy, miała w sobie krew włoską, gorącą, nie mogącą spocząć i ostygnąć. Miłość jej była jak ona niespokojną, do szału szczęśliwą, do rozpacz w chwilę potem roznamiętnioną.

Najmniejsza rzecz starczyła, aby śmiech jej w krzyk się przemienił, szczęście obróciło w zwątpienie. Gdy wieczorem słowy słodkimi ukołysał ją August, a pozostała potem samą, przychodziło marzenie nie dając usnąć i, w miejscu szczęścia obrazów, przynosiło z sobą groźby i postrachy. Wyobrażała sobie opuszczenie, zapomnienie, zobojętnienie, pogardę. Wszystko to tak żywo stawało jej przed oczyma, że się zrywała z pościeli płacząc, jak gdyby dokonało się już to, czego lękała.

Nazajutrz rano król znajdował ją z oczyma zapłakanymi, z głową na piersi zwisłą jak zwiędły kwiatek... półżywą. Potrzeba było nowych orzeźwiających pocałunków, przysięg i długiego rozpraszania ciemności, które noc w jej sercu nagromadziła. Wracała pogoda, przychodziły uśmiechy, odzyskiwała wiarę, rzucała mu się na szyję, była szczęśliwą — na jak długo?

Czasem szczebiotanie ptaszka, niekiedy paplanie Bianki, przypomnienie słowa jakiegoś nagle brwi jej ściągało, sprowadzało niepokój i burzę. Wszystko to August znosił z uśmiechem cierpliwym, bo w tym widział dowody przywiązania, które niekiedy bywało jarzmem, ale słodkim.

W miarę jak kwiecień upływał, Dżemma stawiała się coraz niespokojniejszą i słoneczne dni rzadszymi. Bianka, która tu często

przychodziła, znajdowała ją jakby skamieniałą jakimiś myślami i starała się odpędzić chmury dowodząc, że jej nie były do twarzy. Czasem udawało się tak dobrze rozbawić Dżemmę, że swawoliły jak dzieci, i August je znajdował szalejące po komnatach, co mu się bardzo podobało, bo potrzebował, aby jego smutek coś rozpędziło.

Jednego wieczora Dżemma była przy starej królowej, gdy August wszedł do jej mieszkania, a spodziewając się rychłego powrotu, zasiadł na zwykłym swym miejscu i zapatrzył się w okna na siną dal pól i lasów. Wtem uchylono zasłonę i zamiast Dżemmy stanęła we drzwiach Bianka, wspomnienie młodości swawolnej, dziś już obojętne. Bianka zawahała się, czy wniknąć miała; wiedziała, że Dżemma była straszliwie zazdrośną, ale mogłaż ją posądzać?

Od tych lat, gdy trzpiotowała czarnooka Włoszka dawała się ścisnąć i całować ledwie dorastającemu Augustowi, upłynęło czasu wiele. Teraz było to dziewczę bardzo dojrzałe, śmiało aż do cynizmu, lekceważące sobie przyszłość, niewiele ceniące ludzi, ale na dnie serca noszące wiele zawiedzionych nadziei i trochę miłości dla istot wybranych.

Taką dla Bianki była Dżemma, nad którą miała politowanie, bo przewidywała los dla niej taki, jaki samą spotkał — okrutniejszy może, bo w inny ufała i wierzyła. Ostrzegała często biedną, ale ona słuchać nie chciała.

August, zobaczywszy ją, gdy się spodziewał kogo innego, nie bardzo rad był może, lecz śmiała Bianka weszła.

— Dżemma jest przy królowej — rzekła — a gdym Waszą Miłość tu zastała — odezwała się podchodząc — bardzom rada, bo dawno noszę na ustach słowo, prośbę, której nie mogłam wypowiedzieć.

August podniósł oczy, był pewny, że chodzi o jakiś podarek, który śmiało dziewczę w imię dawnych wspomnień chce wydłuzić.

— Cóż chcesz, moja Bianco? — zapytał.

— Nie dla mnie — odparła, zatrzymując się w pewnym odaleniu — coś dla Dżemmy bym wyjednać chciała.

— Dla niej? Cóż by to mogło być, czego ona nie chce zażądać sama?

— A, ona tego nie może ani żądać, ani się domyślać — dodała poważniej Bianka. I spojrzała królowi w oczy smutnym a surowym wejrzeniem.

— Miłość Wasza gotujecie Dżemmie los straszliwy — poczęła powoli. — Ona wierzy w miłość wieczną i ani się domyśla, jak prędko się te pajęczce nici rozerwą. Ze mną było co innego, jam nigdy bardzo nie ufała nikomu, nawet Waszej Miłości, gdyś mi poprzysiągł kochanie, które w trzy miesiące rozwiało się i znikło... ale Dżemma rozkochana, rozmarzona Dżemma... ją straszny los czeka. Ona sobie może odebrać życie, oszaleć... ja nie wiem. Jeżeli ją kochacie, przygotowujcie ją lepiej zawczasu do tego, co nieuchronne, Biedne dziecko!

Westchnęła Bianka. Młody król słuchał zmieszany nieco; przestroga z ust dziewczyny była tak dziwna, że odpowiedzieć na nią nie umiał.

— Ja wierzę — dodała Bianka — że wy ją szczerze kochacie dziś, że miłujecie gorąco, że nie chcecie przewidywać, jak się to skończy... Ale może się to inaczej skończyć, jak — opuszczeniem?! Wam przywiozą żonę młodą, powoli zyska ona wasze serce. Dżemma znudzi ciągłymi skargami i samą swą natarczywą miłością. Ze mną było wam łatwo, odwróciliście się ode mnie do Marii, a ja śmiałam się wkrótce do kogo innego, bo mam taką naturę... Ale Dżemma kocha inaczej! Ona nie da wam spokoju, bo go sama nie odzyszcze więcej... ona może umrzeć. Jej bogato wydać za mąż nie potraficie, bo ona niczyją być po was nie zechce. Nie rozżarzajcież tego pożaru, w którym ona spłonąć może. Nie będzie wam żal tej istoty tak stworzonej do szczęścia i do uszczęśliwiania?

— Ja ją kocham — odparł król zaszępiiony. — Wierz mi Bianco, że wcale się z nią rozstawać nie myślę.

— Ale Miłość Wasza wiesz dobrze, że to trwać nie może — rzekła pośpiesznie Bianka. — Kochaliście, nie mówię, mnie, ja byłam może dla was zabawką..., a Marietta, a Giulietta, a Rosa...

Podniosła rączki trochę duże, ale kształtne, do góry.

— Królu mój, któż zdobycze wasze policzy! — zawołała. — Przypomnijcie Mariettę! Nie kochaliście jej jak Dżemmę, a przecież...

Nie dokończyła. August oczy spuścił.

— Nie rozumiem, czego chcesz ode mnie — rzekł sucho.

— A mnie się trudno wytłumaczyć jaśniej — szepnęła Bianka. — Biedna Dżemma, ona tak wierzy! Tak ufa! Tak jest pewną...

Mówiła jeszcze Włoszka, gdy król dał jej znak, posłyszał, a raczej przeczuł, nadbiegającą Dżemmę, która posłyszawszy z dała rozmowę, przyspieszała kroku, leciała zadyszana, zarumieniona, rzuciła się wprost na Biankę, która krzyknąwszy uciekła, a potem podbiegła do króla.

Erwi się jej strasznie ściągnęły.

— A, ta podła Bianka! — krzyknęła. — Korzysta z tego, że mnie nie było, aby się zalecać.

Rozśmiał się August, wstając i podchodząc do zagniewanej, którą objął, chociaż odpychać go chciała.

— Bianka, przysięgam ci, mówiła tylko o tobie! — rzekł łagodząc.

— O mnie? To zapewne, aby mnie, tak jak ona umie, uczynić śmieszną, aby serce ostudzić?! — zawołała.

— Mylisz się, nie masz lepszej nad nią przyjaciółki, brała twoją stronę!

— Przeciwno komu?! — krzyknęła Dżemma.

— Przeciw własnym przywidzeniom — dodał król. — Zdało się jej, że ja cię nie tak kocham, jak powinienem.

— Żartujesz ze mnie — rzekła nadąsana Włoszka łagodniejąc.

— Mówię prawdę — potwierdził król. — Wierz mi, Bianka jest płochą, ale dobrego serca dziewczyną.

— A ja? — wtrąciła żywo Dżemma. — Ja zapewne nie płochą, ale złą za to!

August się śmiać zaczął.

— Dziwaczysz! — rzekł.

Wolnym krokiem odstąpiła od niego piękna Włoszka i poszła usiąść na swym krześle. Twarzyczka się jej nie rozjaśniała, milczeli dosyć długo, spoglądając ku sobie.

— A — poczęła wreszcie, nie mogąc się dłużej utrzymać, Dżemma — co ja cierpię! Zazdrość mnie spali!

— O kogoż jesteś zazdrośną?

— O tę, która przybywa — mówiła Włoszka. — Wy mnie nie chcieliście pokazać jej wizerunku, chociaż wiem, że go macie. Alem widziała u królowej. Młoda bardzo, piękna.

— Nie tak jak ty!

— Ale ja... żoną nie jestem! — westchnęła Włoszka. — Ona mieć będzie wszystkie twoje godziny, ja — kradzione. Przez ten czas, gdy ani widzieć, ani słyszeć was nie będę, zazdrość mnie zadławi. Umrę...

Porwała się z siedzenia.

— Nie, nie, tak pozostać nie może — dodała. — Mam do was prośbę; myślę się, mam żądanie, które spełnić musicie. Noszę się z nim.

Spojrzała mu w oczy.

— Spełnisz je? — zapytała.

— Jeżeli jest w mojej mocy — rzekł August.

— Nie, choćby nie było w mocy waszej, musicie wszelkimi sposoby postarać u matki, aby się tak stało, jak ja chcę.

August czekał, aby się jaśniej wytłumaczyła.

— Naznaczone będą panny do dworu młodej królowej — rzekła. — Ja muszę być w ich liczbie, być przy niej i stać na straży...

August ramionami poruszył.

— Abyś siebie i mnie swoją niecierpliwością zdradziła! — zawołał. — Co za myśl dziwna! Stałabyś się niewolnicą.

— Wolę to, niż stać z daleka, nic nie widzieć i zagryzać się domysłami — rzekła Dżemma.

— Ja o to królowej prosić nie mogę — odezwał się August. — Wątpię, ażebyś ty potrafiła, a matka moja nigdy na tę myśl nie wpadnie.

— Nie wiem, kto, i nie wiem, jak się to ma zrobić — odezwała się Dżemma — ale wiem, że ja tego chcę, pragnę, że wszystkom uczynić gotowa, aby się to stało i stać się musi!

Nogami uderzyła w podłogę, śliczne oczy jej spojrzały ogniście.

— Ja się zamęcę domysłami, ja roić będę... i łzami się zalewać — mówiła znowu. — Będąc przy niej, będę patrzyła, będę się poiła trucizną, ale ona nigdy tak gorzką być nie może, jak moje marzenia. Któż wie, przy boku królowej potrafię może odstręczyć was od niej.

— Ja jej nie kocham, Dżemmo — rzekł August spokojnie. — Wiesz o tym.

— Ale ona o twą miłość starać się musi i będzie, temu ja chcę przeszkadzać.

— Dziecko — odezwał się młody król pomilczawszy — z twoim temperamentem, niecierpliwością, narażać się na to, aby twoją i moją tajemnicę natychmiast odkryto...

Dżemma ruszyła ramionami.

— Jaką tajemnicę? — odparła. — Ja nie mam żadnej, i wazsza, jeżeliście z waszej miłości dla mnie czynić ją chcieli, dla nikogo nie jest zakrytą. Wszyscy wiedzą, że ja was kocham. Chcę, aby to na cztery strony świata otrąbiono na krakowskim Rynku. Co mi tam! Tak, jestem niczym więcej, jak kochanką młodego króla, ale mam jego serce, a tamta będzie żoną i nie dostanie nic... oprócz pierścionka i zimnej dłoni.

Gdy to mówiła, król wsparty na ręku milczał, słuchał i przestrogi Bianki może mu na myśl przychodziły. Dżemnę trudno pohamować było, a on, łagodny dla niej, słaby, bo rozkochany, mniej mógł to niż ktokolwiek inny.

Nie otrzymując odpowiedzi, Dżemma zbliżyła się do siedzącego, położyła mu obie ręce na ramionach, zbliżyła usta do czoła, starała się dobyć słowo, wyjednać obietnicę.

August milczał.

— Mów, dopomożesz do tego? — szeptała. — Królowa teraz dla ciebie zrobi wszystko... a ona może, co zechce.

— Wiesz, iż ona jak najmniej mięszać się zamierza do tego, co się tyczy młodej pani. Chce pozostać z daleka i obcą — mówił August po cichu. — Na przekór jej sprowadzono moją narzeczoną; miała zamiary inne...

— Tak, ale nawet nie będąc czynną, królowa może wszystko — mówiła uparta Włoszka. — Stary król, aby ją zaspokoić, na wiele się zgodzi, a wielkaż to rzecz jedną dziewczynę we fraucymerze pomieścić?

— Z ręki mojej matki? Obawiać się jej będą — rzekł król — tym bardziej, gdy jak sama powiadasz, wszyscy wiedzą, że ja kocham ciebie. W ostatku, królowa Elżbieta prowadzi z sobą Niemki swoje, ochmistrzynię własną, cały dwór.

— I wy ją, otoczoną tymi obcymi, zostawicie, aby one spiskowały?! — zawołała Dżemma.

Przerwała nagle, odstaąpiła kroków kilka.

— Powiedziałam wam, co mam na sercu; jeżeli mnie kochasz; uczynisz, postarasz się zrobić, co Dżemma pragnie... lub twoja Dżemma powoli wyschnie i umrze z zazdrości i gniewu, gdy nie widzieć, niczemu zapobiec nie będzie mogła.

— Gorzej jeszcze męczyłabyś się — odparł król — patrząc, widząc i nie mogąc nic...

— Ja lepiej wiem, czego i dlaczego żądam — odezwała się Włoszka — a od tego nie odstąpię! Nie!

— Ale to jest niepodobieństwem!

Zatknęła sobie uszy Dżemma i odbiegła kilka kroków.

August się zasępił — rozmowa przerwała.

Postrzegła wręście Włoszka, iż zły humor, który dziwaczne jej żądanie wywołało, potrzeba było rozpędzić... Siadła na podnóżku przy królu, położyła główkę na jego kolanach i oczyma szukała jego wejrzenia.

Zaczęli szeptać po cichu.

Zapukano do drzwi z lekka. Zerwała się Włoszka gniewna. Od komnat wewnętrznych przychodziła Bianka, niosąc na srebrnej misie łakocie, wodę i wino. Podawano je zwykle w tej godzinie.

Bianka zmierzyła wzrokiem oboje, uśmiechnęła się do Dżemy i szepnęła jej na pociechę, że sama królowa przysłała owoce i cukry.

Lecz dzień to był, w którym się krzyżowało wszystko i Bianka jeszcze nie wyszła z pokoju, gdy do drugich drzwi zapukano, a z samego uderzenia w nie domyślił się August, że ktoś przychodził do niego. Wyjrzał przez drzwi. Stał za nimi Opaliński.

— Stary król was wezwać kazał — odezwał się z cicha.

Godzina niezwykajna była, ale teraz tyle drobnych spraw nieustannie się nastęczało, że niczemu się dziwić nie było można. W istocie Zygmunt korzystał z tego, iż mu doniesiono, że Bona była z Gamratem na radzie, chciał z synem rozmówić się sam na sam.

Pomiędzy synem a ojcem stosunek nie był nigdy zbyt poufale. Zygmunt, pamiętny własnej młodości, znajdował obowiązkiem być dosyć surowym dla jedyne go, którego kochał, nad którym czuwał, ale okazywać mu zbytnej czułości się obawiał. Powaga ojcowska, którą utrzymywać się starał, cierpiałaby na tym zdaniem je-

go. Gdy przed nim zbyt wychwalano Augusta, najczęściej powtarzał to, co mu później w usta kładną: „Zostawcie też co naganić”.

Im bardziej pieściła Bona, tym król był zimniejszym, lękał się zbytniego rozmiękczenia tam, gdzie męska siła i wola były niezbędne.

Gdy Zygmunt raz rozkazał i objawił, czego żądał, nie było żadnych wymówek. August posłusznym być musiał.

Domagano się teraz dla dwudziestokilkuletniego pana więcej swobody, jakiegoś w rządach udziału, ojciec się na to nie zgadzał. Obchodził się zawsze z synem, jak z wyrostkiem.

W sercu Augusta poszanowanie dla ojca było wielkie, miłość obudzić się nie mogła, zwłaszcza gdy Bona tłumić się ją starała w zarodku, zawsze we własnym interesie stając po stronie dziecka przeciw ojcu.

Idąc do ojca, przewidywał August, iż rozmowa tyczyć się będzie tego, około czego teraz obracały się wszystkie rozmowy — małżeństwa; lecz najdrobniejszy szczegół ubioru, koni, powozu mógł być powodem do wezwania. Nie przywiązywał do niego zbyt-niej wagi.

Godzina była wieczorna, stary Zygmunt spoczywał już na łożu swym i jeden dworzanin stał u drzwi, który na znak dany przez niego natychmiast zniknął.

August ucałował rękę ojca, który mu się przypatrywał długo, bacznie, nim mówić począł.

— Listy dziś z Wiednia nadeszły — rzekł powoli, rzucając słowo po słowie. — Elżbieta wkrótce wyrusza w podróż. Jest to chwila w życiu twym ważna, o przyszłości stanowiąca. Bóg świadek, że dla przyszłego szczęścia twojego uczynił, co było w mej mocy. Żonę mieć będziesz wychowaną pod okiem dostojnej matki, dziecię miłe, łagodne, posłuszne... Kochać je i z miłością przyjąć potrzeba.

Stary król westchnął.

— Matka ma uprzedzenia, nie lubi jej, nie życzyła sobie — ciągnął dalej. — Wiem o tym i spodziewam się, że się to odmieni. Nie dajże w siebie przelać tych uprzedzeń i niechęci!

August stał, słuchając, niemy.

— Z tego dziecięcia — mówił stary — bo to jeszcze jest nie-

mał dziecię, wszystko uczynisz, co zechcesz. Bierzemy je i za szczęście jego jesteśmy odpowiedzialni. Rozumiesz?

Syn skłonił głowę.

— Nie daj się zniechęcić zawczasu — dodał ojciec.

Nie było odpowiedzi. Zygmunt Stary dużo mówić nie lubił, zamilkł, patrząc na syna, który ze spuszczonej oczyma stał milczący.

— Miłostkom, które się młodości przebaczały — dodał ojciec — trzeba dać spokój, o nich zapomnieć. Nie przystałyby dzisiaj, a zatrwały pierwsze stadła waszego początki.

I znowu chwila milczenia przykrego rozdzieliła mowę Zygmunta, który się namyślał, w syna wlepiając oczy.

— Matka się dąsa, babskie to są kaprysy — rzekł. — Wszystko to przejdzie, minie, zmieni się, gdy ty rozum mieć będziesz. Na tobie teraz wiele zależy. Nie mogła ci się Elżbieta nie podobać z wizerunku, ja kocham ją już jak własną córkę. Nakłoń ku niej serce swoje.

— Nie znamy się jeszcze — szepnął August.

— Pisywaliście do siebie — odparł stary. — Piękna jest, młoda i jak najlepiej wychowana. Niemka, to prawda, ale my z niej zrobimy, co zechcemy... To od ciebie zależy... Taką była nieboszczka matka nasza,⁹ a daj Boże, aby wszystkie, jak ona, żonami były i matkami przykładnymi... Nie kochał jej ojciec, gdy się żenił, ale przywiązał potem najczulej, i szczęście znalazł w małżeństwie.

Zygmunt westchnął głęboko, przypomniał sobie, że on go nie miał, tylko przez ten krótki przeciąg czasu, gdy żył z Barbarą. Drżącą ręką nieznacznie otarł łzę z oka.

— Żądają ode mnie Litwini, życzą sobie i panowie koronni, abym się z tobą władzą podzielił i dał ci zakosztować panowania — mówił dalej powoli. — Chcą, abym patrzył i kierował. Zaczniemy od tego, byś u siebie w domu z żoną rządzić się umiał i znalazł po temu wolę własną.

August mógł zrozumieć aluzję do matki, ale podnosić jej nie mógł.

— Spodziewam się po tobie, że mi nie zatrujesz tych dni, które starość czyni ciężkimi do noszenia.

Milczenie przerwało znowu tę naukę ojcowską, która z piersi starego powoli i z trudnością się dobywała.

— Rozpuszczają fałszywe wieści — rzekł ciszej — że Elżbieta jest słabowitą i cierpi na jakąś tam chorobę zmyśloną. Wszystko to są bajki tych, którzy by radzi serce twe od niej odciągnąć. Słyszałeś o tym? — zapytał.

Nie mógł August zaprzeczyć.

— Matka mi o tym wspominała — rzekł krótko.

— Nie lubi jej, więc przyjmuje wszelkie baśnie, które ją usprawiedliwić mogą — ciągnął dalej Zygmunt. — Ja mam lepsze wiadomości... fałsze to są. Delikatna, wątła, pokrzepić się powinna, gdy się uczuje u nas miłością otoczona. Ja będę jej najczulszym ojcem... a ty?

Dał czas do odpowiedzi. Syn skłonił się.

— Zastosuję się do woli waszej — przebaknął zimno.

— To nie dosyć, nie dosyć! — żywo przerwał Zygmunt. — Musisz ją pokochać z własnej woli, bo na to zasługuje.

Po ostatnich słowach milczenie nastąpiło tak długie, iż August, sądząc rozmowę skończoną, już się chciał oddalić, gdy król rzekł jeszcze:

— Nie daj się powodować babskim intrygom. Staraj się matkę nawrócić, tego oczekuję i wymagam po tobie.

Wyciągniętą rękę ucałowawszy, syn powoli odszedł ku drzwiom i zaledwie je przestąpiwszy, znalazł w drugiej komnacie, jakby oczekującego na siebie, biskupa Samuela.

Maciejowski przystąpił do młodego króla z wyrazem wielkiej uprzejmości i poszanowania i zatrzymał go, gdy chciał iść dalej.

— Król jegomość — rzekł — uprzedził mnie o rozmowie, jakiej sobie życzył z Miłością Waszą; zlecił mi też poufnie, abym w tym przedmiocie mówił z wami.

Spojrzeli sobie w oczy. August stał, jakoś biernie się zachowując i raczej gotów do słuchania, niż do mówienia. Jagielloński to był obyczaj, bo wszyscy, z małym wyjątkiem, skąpi bywali na słowa. Jeden Jan Olbracht i kardynał różnili się od braci.

— Król stary się tym niepokoi — począł Maciejowski — iż was zawczasu starają się do młodej pani zniechęcić. Dla serca ojcowskiego byłby to cios bardzo bolesny, gdybyście jego miłości dla narzeczonej swej nie dzielali. Król ją kocha jak dziecko własne.

— Wiem o tym — rzekł August — ale ode mnie, który jej nie znam wcale, niepodobna wymagać wczesnego afektu.

— Tak, byleby wczesny i nieusprawiedliwiony wstręt go nie uprzedził — rzekł Maciejowski. — Na dworze, a dzieje się to na wszystkich dworach, intryg krzyżuje się mnóstwo, nie dajcie się w nie uwikłać.

— Ja nawet ich nie widzę dotąd — odparł August.

— To może tym gorzej — rzekł biskup z uśmiechem — bo my, co je dostrzegamy, lękamy się ich dla was.

August poruszył nieznacznie ramionami.

— Królowa jejmość ma żal do nas wszystkich — mówił ksiądz Samuel — żeśmy związek z wnuczką króla Władysława popierali, lecz myśmy to czynili, stosując się do woli pana naszego. Spełniliśmy, czego najgoręcej żądał. Małżeństwo ze wszech miar rokuje się szczęśliwym.

August z oczyma spuszczoneymi słuchał.

— Nie godzi mi się — dodał biskup — syna przeciwko matce jątrzyć, i niech Bóg mnie od tego uchwowa, lecz królowa czuje się obrażoną, iż jej nie usłuchano... to wszystkiego przyczyną.

— Ale Miłość Wasza — przerwał August — zaprzeczyć nie możesz, że matka, równie jak ojciec, pragnęła dla mnie szczęścia; któż dziś może rozsądzić, czy się omylił ojciec czy ona?

— Szczęście to, Miłościwy Panie — żywo odpowiedział ksiądz Samuel — zależy zupełnie od was. Wszystko, co je dać może, znajduje się w osobie przyszłej królowej... nie trzeba tylko odtrącać.

— Alem nie zasłużył, aby mnie o to posądzano — odparł August. — Nie jestemże posłusznym?

Biskup skłonił głowę.

Kilka słów zamienili jeszcze, i gdy młody pan poruszył się, jak gdyby chciał odejść, ksiądz Samuel go nie wstrzymywał. Pożegnali się grzecznie, lecz zimno.

Królowa Bona już wiedziała o synu; na drodze zastąpił mu dworzanin wzywający go do niej. Nie była samą, wieczorni goście właśnie do *collazione*¹⁰ na sposób włoski zasiadać mieli. Komnata jadalna królowej była oświetlona, stół zastawiony i goście już byli przy nim.

Bona była więcej niż rządzoną, znano jej skąpstwo: nie było w podaniu zbytku ani dla oka, ani dla podniebienia. Tylko ulubieniec Gamrat, o którym pamiętano, dostawał wino, jakie lubił, łakocie, które jadał, i przysmaki dla niego przeznaczone. Królowa

nie lubowała się zbyt w jedzeniu, a wówczas już poczyniała być cierpiącą. Siedziała za stołem, mając u krzesła swego dwie pan-ny, a jedną z nich była Dżemma, która po chodzie poznawszy Augusta, odwróciła się ku wchodzącemu i pierwsza powitała go wzrokiem śmiało zmierzonym ku niemu.

Obok Gamrata siedziało dwu starszych urzędników. Biskup, od niejakiego czasu ponury i smutny, teraz też rozchmurzyć się jeszcze nie mógł i siedział posępny.

Bona przypisywała to Sobockiej, chociaż nikt właściwie przyczyny tej zmiany humoru odgadnąć nie mógł. Kto dawniej znał wielomównego, wesołego, ożywionego, aż nadto wesołości i zaufania w sobie okazującego Gamrata, teraz go ledwie mógł poznać w surowym i milczącym, nagle starzejącym i jakby strwożonym czymś człowieku. Wzrok jego zdawał się widm jakichś szukać dookoła. Poblążający dawniej dla duchowieństwa, stał się teraz nad miarę surowym i ścisłym w postrzeganiu karność. Słowem Gamrat to był inny. Przywiązanie jego tylko do królowej i wierna stałość w jej usługach pozostały, jak były. Trzymał stronę Bony we wszystkim.

Widząc wchodzącego młodego króla, podniósł się Gamrat — miejsce obok matki oczekiwało na niego. Bona oczyma już w twarzy syna czytać się starała, co z sobą przynosił.

Zaledwie usiadł, Dżemma pośpieszyła podać mu wodę i ręcz-
cznik, ale młody pan jeść nie chciał i podziękował jej za nie.

Matka schyliła się ku niemu.

— Byłeś u ojca?

Tu się posypały zapytania, a biskup, nachylony, słuchał razem z królową odpowiedzi. Ale August zbył krótko mówiąc, że ojciec zwykle mu powtórzył nauki i przestrogi.

Z zaciśniętymi ustami i szyderskim twarzą wyrazem słuchała Bona, zdając się mówić: „Na próżno walczyć myślicie ze mną!”

Dla Gamrata, a razem dla syna, którego smutek od dni kilku coraz się powiększał, Bona oprócz wieczerzy przygotowała rozryw-
kę.

Włoch Monti, sławny muzyk i śpiewak, miał przyjść z lutnią i kilka canzon odśpiewać. Monti od niedawna przybył do Polski, umyślnie na dwór królewski, spodziewając się czasu wesela dobrego żniwa dla siebie.

Było wówczas w obyczaju, że nie tylko ci, co śpiewaka w swym domu mieć chcieli, opłacali go, ale goście dostojni, którym się podobał, obsypywali go podarkami. A że próżność niejednego skłaniała do popisu z hojną ofiarą, śpiewak w ten sposób mógł się dobrze obłowić.

Kilka, kilkanaście dni weselnych, turniejów, a po nich uczt zwykłych starczyły, aby długą podróż opłacić i do domu wrócić z zapasem. Dawano pieniądze, pierścienie, łańcuchy, kubki i inne kosztowności.

Monti, Włoch najczystszej krwi, o którego pochodzeniu mówiono różnie, bo go nawet do bardzo świetnych koligacyj z lewej ręki liczono,¹² odebrał był wychowanie staranne i miał wszystko, co go zalecać mogło, w dodatku do pięknego głosu.

Przedem wszystkim śmiałość i brawurę w występowaniu, wiarę w siebie, a przy tym zamięłowanie w stroju i elegancji. Był to mężczyzna lat około trzydziestu mający, urody pięknej, brunet z czarnymi ognistymi oczyma, z włosami kruczymi w puklach spadającymi na barki. Każdy ruch jego, krok, sposób, w jaki wdzięcznie powyginanymi palcami lutni dotykał, ukłon, uśmiech, wszystko było obrachowane załotnie. Stroił się kosztownie, a obcisłe suknie uwydatniały budowę ciała posagową. Czy też wszystkich, nade wszystko dziewcząt, zwróciły się na czarodzieja, który lutnię niosąc w rękę, krokami tancmistrza zbliżał się do królowej.

Czarny ubiór czynił go smuklejszym jeszcze, niż był w istocie, i płeć białą podnosił. Na szyi miał łańcuch, dar cesarza, kosztowny, a na stradiotce krótkiej rzucony lekki płaszczyk. Na palcach błyszczały piękne pierścienie.

Królowej Bonie podobał się nie tylko z głosu i postawy, ale z pochlebstw, którymi ją obsypywał. Zawczasu mu się uśmiechała.

Cisza nastała w salce, gdy Monti się zbliżył, a gdy na rozkaz królowej podano mu taboret, którego zając odmówił, najmniejszy szelest ustał, tak że pryskanie palących się świec woskowych usłyszeć było można.

Monti, chociaż na taborecie byłby może równie malowniczo wyglądał, wolał przecie stać, bo tym sposobem piękna jego figura jeszcze się zręczniejszą wydawała i ruchy, którymi towarzyszył pieśni, miał swobodniejsze. Można było powiedzieć, że nie śpiewał, ale odgrywał swe pieśni, tyle było mimiki w wejrzeniach, podno-

szeniu i spuszczeniu głowy, w wyrazie ust, w gestach rąk, które lutnią to szarpały namiętnie, to dotykały jej zaledwie.

Namiętny śpiew i gra, nie dziw, że na słuchaczach ogromne czyniły wrażenie. Gdy pierwsza pieśń przebrzmiała, pochwałam nie było końca, a artysta, wodząc oczyma po przytomnych, odbierał nieskończone dzięki w spojrzeniach ognistych kobiet.

On — on, choć nie gardził i najskromniejszą sympatią, zdawał się głównie dbać o to, aby się królowej starej i stojącej za nią Dżemie podobał. Ścigał ją, oblegał swym ognistym wzrokiem, a piękna Włoszka, choć jej to pochlebiało wielce, w końcu czuła się obrażoną i surową ukazała twarz, odwracając od niego oczy.

Po pierwszej canzonie poszła druga i trzecia, po smętnej wesołe, po tych figlarne, a w żadnej z nich, jak przewidzieć łatwo, nie zbywało na motywie miłosnym.

Monti był szczęśliwie usposobiony. Gamrat podał mu kubek wina, który on, przyklękawszy, spełnił na zdrowie królowej.

I August nieco się rozweselił, słuchając ślicznych śpiewów, które go w jakiś lepszy, jaśniejszy świat przeniosły.

Kwiecień upływał, gdy w Krakowie sposobiono się na przyjęcie królowej, matka i ojciec jej z trwogą oczekiwali dnia rozstania, gdy młodziuchną, słabą, wylekłą istotę mieli oddać w ręce obce.

Spodziewano się wiele po starym królu Zygmuncie, lecz wiadzano też zawczasu, jak była usposobioną i co tu znaczyła Bona. Król ojciec tym siebie i matkę pocieszał, że losy córki Bony, Izabeli, i jej syna miał w swych rękach, że cesarz, brat jego, mógł neapolitańskie księstwa podległe mu jeśli nie odebrać królowej, to zagrozić jej prawom do nich.

Spodziewano się więc tutaj, że młoda pani, mając opiekę ojca i stryja, musi na dworze polskim być dobrze przyjętą.

Matka, która najczulej do tego dziecka przywiązaną była, obmyśliła też środki, aby młodziuchne dziewczę, nagle się przenosząc w ten świat nieznany, miało u boku troskliwą piastunkę i służbę własną, do której była przywykłą.

Elżbieta w istocie potrzebowała tej opieki i czuwania; był to kwiatek zaledwie się rozwijający, ale wątły, blady i trwożliwy. Pieszczoszka i ulubienica matki, ciągle przy niej, nawykła do objawów miłości wielkiej rodziców, potrzebowała jej jak powietrza do życia. Nie zbywało jej na piękności, a nade wszystko na niewinnym, dziewczęcym wdzięku, któremu nieśmiałość dodawała wyrazu... Chód jej, wejrzenie, każde słowo zdradzały duszę łagodną, potrzebującą, aby ludzie w obejściu się z nią poszanować ją umieli. Pragnęła się wszystkim podobać, a nikogo nie chciała zaćmić — tak była pokorną i skromną.

Matka na próżno chciała jej wmówić, aby więcej nabrała odwagi, a mniej się korzyła przed ludźmi — odpowiadała jej uśmiechem i naiwnym słowem: „Kiedy nie umiem być inną”.

I podnosiła oczy ku matce, która jej rozczulonym odpowiadała uściskiem.

Elżbietka taką była od dzieciństwa. Więcej energii życzyli jej rodzice, wiedząc o losie, jaki ją czekał, ale z wiekiem nie zmieniła się łagodność, nie ustąpiła bojaźliwość. Miała jakby przeczucie przyszłych swych losów. W Polsce czekały na nią: złota korona Jad-

wigi, cierniowy wieniec i męczeńska aureola... Wszystkiego byłaby się chętnie wyrzekła, lecz los ją czynił ofiarą; musiała iść jako zakładnik pokoju, przymierza, jako węzeł dwu panujących rodzin.

Z Polski i Herberstein, i inni przywozili zatrważające wieści. Ale tu im wierzyć nie chciano, sądzono je przesadzonymi.

Młoda królowa miała oprócz króla najdostojniejszych mężów w Polsce za sobą. Matkę zastępować jej miała ochmistrzyni, kobieta, na którą najwięcej liczono, energiczna, rozumna, mężna Kätchen Hölzelinowna. Ochmistrzyni ta, na której rękach wychowała się Elżbieta, pochodziła z rodziny, której kilka pokoleń już służyło na dworze, a przywiązanie jej do wychowanki było macierzyńskie. Niezameżna, sama na świecie Hölzelinowna nie miała na nim nikogo oprócz Elżbietki swej i dla niej gotową była poświęcić życie.

Silnie zbudowana, zahartowana latami, czynna, pracowita Kätchen miała ten spokój siły i ten takt zimny, który w boju szczególnie jest niezbędny. Wiedziała ona dobrze, co ją w Krakowie czekało, i zawczasu się zbroidła. Poprzysięgła wcześniej królowej matce, że w żadnym razie, postrachem ani intrygą, nie da się odciągnąć od Elżbiety i na krok jej nie odstąpi. Wszystkie zresztą sługi mające towarzyszyć młodej pani do Polski z równym były dobrane staraniem. Matka na ich wierność i poświęcenie mogła rachować.

Cesarz Karol V powtarzał z dumą trwożącej się bratowej, że przecież synowicy jego nic się złego stać nie może.

A jednak w chwili rozstania, wyjazdu, gdy potrzeba było ruszyć w tę podróż — przeznaczenia, polały się łzy bolesne. Król ojciec, oprócz tych, co otaczali córkę, należąc do jej orszaku, potajemnie wysyłał ludzi, aby zasięgnąć wieści, jak tam ją przyjmować się przygotowywano. Wszystko brzmiało jak najpomyślniej.

Ze strony króla Zygmunta nie zaniedbano nic, aby młodej pani na pierwszym kroku dać jak najlepsze wyobrażenie o kraju, który miał być dla niej nową ojczyzną. Wybór nawet pory roku zdawał się mieć na celu, by w majowej zieleni, w wiosennych szatach, młodej królowej Polska wydała się uroczą.

Zajęcie przybyciem Elżbiety, z przykrością dla Bony, tak powszechnie opanowało umysły, tak się stało gorączkowym, tyle współzawodnictw wywołało — iż ona, która chciała je ignorować,

pozostać zimną, bierną, wśród tego poruszenia, znalazła się odosobnioną i czuła, jakby straciła na znaczeniu i powadze.

Kmita, Gamrat, Opaliński, inni jawni i potajemni sprzymierzeńcy królowej w tej chwili razem z jej nieprzyjaciółmi pracowali tylko, aby przy wjeździe uroczystym nie dać się zaćmić.

Co dzień przybiegali niemal posłańcy oznajmujący o podróży Elżbiety, o zbliżaniu się jej ku granicom.

Na przyjęcie tu, oprócz wysokich dygnitarzy, król Zygmunt Stary uprosił dwie najdostojniejsze niewiasty, które do ulubionych Bonie nie należały. Jechała z dworem liczny żona hetmana Tarnowskiego, Szydłowiecka z domu i siostra jej, księżna na Oleśnicy.

O tym wszystkim mówiono co dzień wszędzie i w otoczeniu Bony, która słuchała zimno i dosadnie starała się okazywać, że ją to bynajmniej nie obchodziło. Kosztowało ją to wiele, bo zbliżała się walka, do której z namietnością tym większą, iż gwałtem tąjoną, przysposabiała się Włoszka.

Dwór przyszedł królowej młodej i króla, do którego wyboru Bona się mieszać nie chciała, przez samego króla został wyznaczony.

Dzemma, która postanowiła się wcisnąć do orszaku młodej pani, z zaciętością starała się przyprowadzić do skutku myśl dziwną, ale spotykała nieprzełamane do tego zawody.

August nie mógł się wstawić za nią, Opaliński się nie ważył. Ochmistrzynie obie lękały się o tym napomknąć Bonie, rozdrażnionej i nadąsanej, nie lubiącej najmniejszej wzmianki o Elżbiecie i o tym, co się jej tyczyło.

Dzemma rzucała się próżno na wszystkie strony i w końcu musiała, padłszy do nóg Bonie, sama się ważyć na to, aby ją prosić o zlecenie młodej królowej do jej orszaku.

Cniewem naprzód wybuchnęła pani i nierychło się uspokoiła, dając przebłagać. Dzemma mogła jej być pomocną, lecz razem niebezpieczną. Nie chcąc mówić nawet o tym dłużej, odprawiła ją rozplakaną z niczym.

Ostatnia wiadomość zapowiadała przybycie Elżbiety, po rozstaniu się z matką w Kornenburgu, do Olomuńca. Tu na nią posłowie polscy czekali. Panie orszak przygotowany spotkać miał w Oświęcimiu. Seweryn Boner w pięknym swym dworze w Balicach

gotował się pierwszy pokłonić młodej pani, której sprawą gorliwie się zajmował.

W Balicach, czwartego maja, była już tak jak w Krakowie i tu zatrzymano się tylko, aby ów wjazd, co tyle pracy i zabiegów kosztował, urządzić i zgotować na dzień następny.

Z wyjątkiem pokojów Bony, na których pusto było i cicho, na całym zamku wieczorem, przez noc całą ruch nie ustawał. Młody król tymi przygotowaniami tak był zajęty ciągle, iż do matki nawet zbiec nie mógł, a Dżemma zapłakana próżno czekała na niego do późnej nocy. Na każdy szelest w korytarzu zrywając się i biegnąc ku drzwiom na próżno, wracając potem, zawiedziona Włoszka na przemiany płakała i przeklinała.

Było już blisko północy, gdy weszła do niej litościwa Bianka. Ta już była rozebraną jak do łóżka i narzuciła tylko lekki płaszcz łąziebny na siebie, a czarne długie włosy, których związać nie miała czasu, spływały jej na białe ramiona. Dżemma sukni nawet dołąd nie zdjęła.

Zobaczywszy ją z chustką na oczach, w sznurówce, w pasie i całym stroju, Bianka rozgniewana, podszedłszy ku niej, uderzyła w ręce.

— Dżemmo moja! — zawołała z macierzyńską troskliwością. — Co się z tobą dzieje? Dziecko nieszczęśliwe, oczy wypłakujesz nadaremnie, gdy ci właśnie najpiękniejszą być potrzeba! Ale porzuć te łyzy Ariadny¹³, bo nie jesteś opuszczoną! Królowej starej będziesz teraz najpotrzebniejszą, na rękach cię nosić każe.

— Przez cały dzień nie był u mnie! — wykrzyknęła Dżemma, ręce łamiąc. — Ostatniego dnia, gdy mogliśmy jeszcze być sami!

Bianka słuchała z uśmiechem.

— Bądź pewna, że go za to zobaczysz jutro, bo zatęskni za tobą... ale dziś on sobą nie władał. Zrzuć te suknie, połóż się, spocznij, abyś była piękną; my dwie musimy gdzieś sobie wyszukać miejsca, z którego byśmy wszystko, wszystkich jak najdoskonalej widzieć mogły. Nieprawdaż? Stara królowa z zamku się nie ruszy krokiem, a my otrzymamy pozwolenie łatwo.

— Ja nic widzieć nie chcę! — zawołała Dżemma. — Nic, nic!

— Jak to? Nawet twojego króla, gdy będzie śliczny taki paradował na koniu?

— Przy jej kolebce! — zawołała Włoszka.

— A tak! I jej powinnaś być ciekawą, jak blada i strwożona jechać będzie na te królewskie gody, które dla niej staną się męczarnią królewską!

Dżemma podniosła się.

— Ostygnij i pomyśl — dodała Bianka. — Co ci pomoże siedzieć tu w kącie, gdy możesz pokazać oblicze i tryumfować, bo nie ma wątpliwości, że jesteś od niej piękniejszą. Tomek, dworzanin króla, właśnie z Balic powraca, widział ją, jak wysiadała do dworu drżącą, iż pod boki musiano trzymać, bo się słaniała biedna. A była blada jak ściana i wydawała się chorą, strwożoną, zmęczoną. To dziecko, a ty...

Słuchała Dżemma z zajęciem.

— Wiesz — mówiła Bianka, z wolna poczynając ją rozbiierać — musimy się wyprosić na miasto. Znajdziemy dworzan, co nas wyprowadzą zawczasu i znajdą w kamienicy pomieszczenie, z której by widać było dobrze orszak cały. Monti, piękny śpiewak, który się w tobie kocha...

Dżemma ręką białą zamknęła jej usta. Śmiała się Bianka.

— Nie rozumiem ciebie — rzekła. — Nie chcesz nawet pozwolić na to, aby się w tobie kochano! Lecz cóż ci to szkodzi? Płacić za to nie potrzebujesz. Ja zaś zawsze rada jestem, gdy ich jak najwięcej około mnie biega i oczyma się modli. To obudza zazdrość i miłość jedyną wzmacnia.

Dżemma rozbierała się machinalnie, zadumana i smutna.

— Jedziemy jutro patrzeć na wjazd czy nie? — zapytała Bianka. — Mów, bo ja nie wytrzymam! Ja wszystko widzieć muszę. Na zamku zmięszają się pocztę, nie zobaczyć nie będzie można. Królowa nam pozwoli. Mówiłam z ochmistrzą. My tu jutro nie będziemy potrzebne.

Bianka na próżno czekała odpowiedzi, zatopiona w myślach Dżemma nie słyszała może jej szczebiotania. Nagle zwróciła się, drgnąwszy, ku niej.

— Masz słuszność! — rzekła żywo. — Potrzeba nie tylko widzieć jutro, ale się pokazać. Niech August widzi mnie wesołą, aby mu zabolęło serce! Przez cały długi dzień na jedną chwilę nie wpadł do mnie!

— Rano więc na miasto? Nieprawdaż? — odparła Bianka ura-

dowana. — Ja wszystko przysposobię, przygotuję, urządzę i będziemy miały okno najlepsze.

Zaczęły szeptać. Dżemma z gniewem i namietnością gotowała się do zemsty.

— Uśmiechnę się szydersko, gdy spojrzy na mnie — szeptała, ciągle zajęta miłością swoją — bo że spojrzy, choćby nie chciał, tego ja jestem pewną. Ja czuję z daleka wzrok i myśl jego, on mój gniew i wejrzenie musi przeczuć.

Ruszyła ramionami Bianka. Musiała wziąć w opiekę towarzyszkę, nad którą się litowała. Zaryglowała drzwi od korytarza, na którym ruch ciągle słychać było, zgasła światło, przeprowadziła Dżemkę do łóżka, położyła ją, okryła, pocałowała w czoło i wesoło pobiegła sama odpocząć.

Ale tej nocy mało kto zasnął na zamku. Bianka musiała wstać rano, ażeby sobie i Dżemce zapewnić pomieszczenie w jakiej kamienicy w Rynku, dla widzenia orszaku. Nie wątpiła, iż stara królowa, na prośbę swojej terażniejszej faworyty, pozwoli na to. Lecz trzeba było użyć kogoś, co by stosunkami lub pieniędzmi okienko od ulicy wyjednał i to takie, którego by się panny królowej wstydzić nie potrzebowały.

Bianka szukała w głowie, kogo by użyć do tej spóźnionej negocjacji, gdy jej na myśl przyszedł pocieszny Dudycz, o którego pasji dla Dżemmy wiedzieli wszyscy.

Nie miała nikogo pod ręką, komu by z większą pewnością skutku powierzyć to mogła. Petrek miał nadzór części kredensów i służby, ale co to obchodziło zuchwałą Włoszkę! Powinien był usłużyć bądź co bądź.

Dniało zaledwie, gdy przyodziawszy się, pobiegła tam, gdzie się Dudycza znaleźć spodziewała. Spał on jeszcze na garści słomy w komórce, w której część srebra była złożona, ale ponieważ go w nocy nawet budzono, na pół ubrany odpoczywał.

— Wstawaj, śpiochu! — krzyknęła, drzwi uchylając Bianka. — Przychodzę z rozkazem. Nie od króla ani od królowej, ani od marszałka, ale od signory Dżemmy. Jej Piękność i moja Brzydłość chcemy doskonale się przypatrzeć wjazdowi, a wasza Usłużność powinienes w Rynku dla nas wyprosić lub kupić okno, z którego byśmy i patrzeć mogły, i być widziane. A masz wiedzieć, że

w łada jakim towarzystwie i z małego okienka pannom królowej pokazać się nie godzi. Nogi za pas, panie Dudycz, w drogę i za godzinę masz się stawić z odpowiedzią, że okno w wieńce ustrojono, a ławki dla nas kobiercami obleczone.

Petrek, zaledwie przebudzony, słuchał oszołomiony, niewiele rozumiejąc w początku — na ostatek wiedząc, o co chodziło, wstał się ubierać, aby zdawszy na towarzysza srebra i ludzi, natychmiast biec na miasto. Rzecz na pozór łatwa do wykonania, z powodu opóźnienia mogła się stać bardzo trudną, lecz Dudycz gotów był zapłacić, byle ubóstwianej rozkaz został spełniony.

Jakoż w godzinę potem powrócił spotniały i przez Zamechską oznajmił Biance, że w kamienicy naprzeciwko Świętego Wojciecha, na rōgu, na dole osobną izdebkę dostał dla panien.

Nie przyszło mu to łatwo, lecz o tym nie mówił. Najwięcej dolegało biednemu, że on sam z powodu służby pannom towarzyszyć nie mógł. Na to jednak chciał poradzić, potajemnie kogoś zostawując na miejscu swoim. Dla Dżemmy ofiara żadna nie była za wielką.

Rankiem więc, gdy na zamku wyciągano pozłociste aksamitem purpurowym i suknem szkarłatnym wybijane kolebki, gdy ubierano konie, ściągano ludzi, gdy orszaki księcia Albrechta i księcia cieszyńskiego ściągały z miasta dla towarzyszenia młodemu królowi, który naprzeciwko narzeczonej miał wyjechać, Dudycz, okupiwszy swobodę, w komórce się z pomocą chłopca przystrajał najdziwniej. Wiemy, że stroić się lubił, ale dnia tego, gdy wszyscy się zmagali na najwspanialsze ubiory, niełatwo było Petrkowi tak się wyelegantować, aby na siebie oczy mógł ściągnąć.

Skutkiem nadzwyczajnego wysiłku na najosobliwszy strój włowski uczynił się jeszcze śmieszniejszym niż kiedy. Nie patrzył bowiem na to, jak się pojedyncze stroju części zgadzać będą z sobą, ale dobywał, co miał najwytworniejszego. Zawiesił aż dwa łańcuchy na szyi, do beretu przypiął pióro najkosztowniejsze, a suknię i płaszczyk, choć się kłóciły ze sobą, wziął najdroższe. Pstro wyglądał, jak papuga starej królowej, a twarz znużona jeszcze się dnia tego wydawała starszą niż zwykle.

Dżemna tymczasem ubrała się naumyślnie cała czarno, i w tej żałobie cudnie jej było.

Ponieważ z zamku na Rynek wkrótce, dla natłoku i nieustannie przybywających i odpływających wozów i ludzi, przecisnąć się mogło być trudno, dwie panny musiały zawczasu dostać się do miasta. Dudycz w całej paradyzie czekał na nie w korytarzu, spodziewając się przy tej zręczności choć wejrzenie otrzymać jako zapłatę.

Bianka, jakby dla kontrastu, ubieliwszy się i uróżowawszy, jasne i młodsze, niż jej przystało, wdziawszy sukienki, zawczasu była gotową. Dżemmę niełatwo wyciągnąć jej przyszło.

Spodziewała się raz jeszcze tu na zamku, choć przechodzącego, zobaczyć Augusta i ledwie jej oczekiwanie Bianka mogła wybić z głowy.

Zapuşciła czarny kwef na twarz tak, aby twarzy jej nikt rozpoznać nie mógł, i na ostatek wyciągnąć się dała.

Dudycz, stojący na straży, poszedł na przywitanie, lecz ani słowa, ni wejrzenia nie zyskał, a co gorzej, w tejże chwili, nie wiedząc skąd dowiedziawszy się o tej wyprawie rannej Monti (może Bianka się z nią wygadała) o kilka kroków przyłączył się do idących.

Piękny śpiewak w nader smakownym ubraniu zupełnie zaćmił nieszczęśliwego Petrika, którego zaledwie raczył poprosić o pozwolenie towarzyszenia panienom.

Dudycz, gniewny, chciał za pośrednictwem Bianki wytłumaczyć mu, że miejsca dla niego brakło, ale Monti nie słuchał i nie słyszał.

Dżemma nie milszą była dla tego drugiego adoratora, jak dla pierwszego, jednakże przynajmniej się obejrzała ku niemu. Chciał rozpocząć rozmowę, zbyła go milczeniem.

Bianka mówiła za dwie.

W podworcu cudowny widok się już oczom ich stawił, bo właśnie orszak młodego króla gromadził się tu i wypełniał. Nie był on zbyt liczny, może, lecz świetnością, przepychem, rozmaitością barw zachwycał. Składali go nie zwykli dworzanie, lecz młodzież najpierwszych, najmożniejszych rodzin w kraju; a że każdy chciał i z bogactwem się popisać, i ze smakiem, a nie było prawidła i granicy żadnej w doborze sukni i zbroi, jeden więc drugiego starał się zaćmić, a wszyscy razem składali obraz osobliwej piękności, który w świetle pogodnego majowego poranku wywoływał zdumienie i okrzyki.

Nie było może stroju i narodowości, która by tu reprezentowaną nie stała w najwyższym blasku i przepychu. Przeróżne węgierskie, tureckie, włoskie, hiszpańskie, polskie, niemieckie suknie, nakrycia głowy, zbroje, tarcze, rzędy, okrycia na konie, pancerne skrzydła, szyszaki z piórami i godłami grupowały się przesłicznie, a ci, co przywdziali ubiory wspaniałe, nie mniej się odznaczali urodą, postawą, młodością kwitnącą lub powagą.

Wesołe uśmiechy i wykrzyki przelatywały nad tymi gromadkami, którym właśnie w tej chwili z otwartego okna na dole stary pan się przypatrywał z radością na licu i dumą.

Augusta jeszcze tu nie było, giermek jego tylko przywiódł królowi na okaz ślicznego gniadego konia, przeznaczonego dla młodego króla, okrytego białą deką szytą złotem i perłami, które jak krople rosy zdawały się spływać we wzory misterne.

Bona, której mąż chciał pokazać przygotowania te, odmówiła przyjęcia i oglądać ich nie chciała.

— Powiedzcie królowi — odparła nadąsana marszałkowi — że ja się dziś dosyć namęczę do wieczora, niech mi teraz da spocząć. Nie ciekawam.

Król zmilczał.

Oprócz towarzyszków młodego, orszaku księcia pruskiego i cieszyńskiego, podwórze pełne było służby różnej, wozów i koni, tak że Dudycz i Monti z trudnością drogę kobietom utorowali ku bramie.

Ruch był niezmierny i na przekorę Bonie wesoły, ochoczy, a dzień, chociaż gorący, zwiastował się słoneczny i piękny.

Cała przestrzeń pomiędzy zamkiem a Rynkiem tak samo mrowiała się ludem poubieranym świątecznie, wesołym, ożywionym, pomiędzy którym krążyli przekupnie z koszykami przekąsek i napojów.

Ulice miasta przystrojone były świątecznie. Z okien powywieszano kobierce, makaty, drogie tkaniny wzorzyste, wieńce zielone i wiązanki kwiatów. A choć do wjazdu było jeszcze długo czekać potrzeba, teraz już ulice, okna, drzwi, wrota ciekawych pełne były.

Kiedy niekiedy przez te tłumy przedzierał się spóźniony jeździec strojny ze skrzydłem na barkach, lud sykał, a wskazywał go, ustępując mu z drogi.

Straże miejskie, wiertelnicy¹⁴ i dozorczy z trudnością porzą-

dek wśród ciżby utrzymać mogli. Ponad tym górą wesoło grały dzwony kościołów, a w niektórych z nich odzywały się organy i śpiewy.

Miasto widocznie gotowało się do obchodu jednego z tych dni pamiętnych, o których pokolenia potem opowiadają, jako o uroczystościach, co się w ich pamięci wyryły więcej uczuciem, jakie wzbudziły, niż wielką świetnością swoją.

Młoda królowa dla wielu, jeśli nie dla wszystkich, była zwiastunem lepszej przyszłości, wybawicielką tą, która spod despotyzmu Włoszki chciwej, przewrotnej oswobodzić miała.

Zygmunt Stary obudzał poszanowanie i miłość, lecz ona, towarzysza jego, co go obezwładniła i w sromotnej trzymała niewoli, oprócz garści swoich służalców nikogo za sobą nie miała.

Elżbieta mogła przynieść wyswobodzenie — i radość wszystkich zausznicy Bony przyjmowali chmurno i niespokojnie. Ona sama patrzeć na nią nie chciała czując, że przeciwko niej wymierzona była.

Na całej drodze do kamienicy narożnej, naprzeciwko Świętego Wojciecha, ciągle się przedzierać było trzeba nie bez trudności. Dudycz i Monti szli przodem, bo Dżemma żadnemu z nich ręki podać nie chciała.

W końcu stanęli u wrót i Petrek z kluczem pobiegł przodem drzwi komnatki najętej otworzyć. Staraniem jego była ona wykadzona, ukwiecona i jedynie jej spore okno opatrzone siedzeniem wygodnym z podnóżkami, tak że kobiety mogły się stąd doskonale przypatrywać ulicy, a pod oknem zbity tłum stał niżej i widoku nie zasłaniał.

Dudycz, który wpuścił rad nierad Włocha, nie życzył już tu sobie więcej nikogo i gotów był drzwi zamknąć za wchodzącymi, gdy w progu ukazał się mężczyzna nieznajomy mu, ale natrętny do niepozbycia.

Średnich lat, słuszny, suchy, bardzo ciemnej płci i rysów twarzy wcale niepięknych, ale ożywionych i wyrazistych, ubrany przyzwoicie, lecz niejaskrawo i jak wiekowi poważniejszemu przystało, chwycił za rękę Petrka i żywo począł po łacinie, potem po włosku coś mówić, czego on nie bardzo chciał słuchać i rozumieć.

Nieznajomy był upartym, nie puszczał go, a oblicze jego wy-

rażało zniecierpliwienie. Szeptał mu coś na ucho. Dudycz, który się opierał wpuszczeniu do izby, po chwili, mruczając, zrobił mu miejsce.

Natręt z gibkością na swój wiek szczególną, wyłamując się i wyginając jak wąż wsunął do środka i w progu jeszcze długo coś Petrkowi szeptał do ucha, ukazując karteczkę, na którą gdy Dudycz rzucił okiem, schował ją zaraz do kieszeni.

Monti, który z dala się temu przypatrywał, chwilę stał jakby niepewny i zdumiony. Zwrócił wzrok natarczywy na obcego tego, ale spotkały się ich wejrzenia i nieznajomy oczy natychmiast odwrócił.

Kto i jakiego stanu to mógł być człowiek, trudno było odgadnąć. Typ twarzy wskazywał Włocha, a suknie kogoś co zarówno mógł należeć do dworu, i do bogatego mieszczaństwa. Twarz niepiękna nadzwyczaj była rozumną, wejrzenie bystre, wyraz oblicza pełen przebiegłości i energii, która się w zręczność umiała przełożyć.

Monti tak patrzył na przybysza, jak gdyby szukał w nim kogoś dawniej znanego lub przynajmniej widzianego, co zdawało się nie podobać natrętowi, odwracającemu oczy w inną stronę.

Ponieważ Dzemma z nikim, oprócz Bianki, mówić nie chciała, Monti mógł swobodnie odstać nieco i zbliżyć się do przybysza. Dudycz korzystał z tego, chcąc Biankę przynajmniej wciągnąć w rozmowę, a przez nią się przypomnieć Dzemmie.

Monti tymczasem z wolna się przysunął do nieznajomego.

— Signore — rzekł — zdaje mi się, że się nie mylę.

Czarnymi oczyma zmierzył go z wyrazem surowym obcy.

— Jeśli się nie mylisz pan — odparł śmiało — to powinienś pamiętać, że gdy kto chce i ma powody nie dać się poznać, uszanować to potrzeba. Mógłbyś, panie, źle się zalecić tam, gdzie pewnie chcesz być dobrze zapisanym.

Ostatnie słowa dodał z naciskiem.

— Rozumiecie mnie? — powtórzył ciszej.

— Doskonale — odparł śpiewak — i możecie być pewni, że jesteście dla mnie nieznajomym, którego widzę raz pierwszy, ale to nie przeszkadza dwóm Włochom, spotykającym się w kraju obcym, mówić z sobą.

— Tak — rzekł nieznajomy — lecz jeżeli zdradzicie mnie, pa-

miętajcie, że ten, na którego dworzeście widzieli... kogoś podobnego do mnie, będzie wiedział i nie przebaczy.

— A, bądźże signor spokojny — dodał śpiewak — lecz przebacz, kim chcecie tu być?

— Jestem kupcem z Wenecji — rzekł żywo przybysz — a może wysłańcem rzeczypospolitej¹⁵... To mi obojętne!

Dudyczowi rozmowa z Bianką nie powiodła się bardzo. Tymczasem dwaj Włosi przeszli ku dalszemu kątkowi izby, Petrkowi straż nad kobietami pozostawiwszy.

Nieznajomy, który chciał uchodzić za kupca, teraz sam pierwszy poczał żywo, natrętnie, natarczywie badać Montiego, który posłusznie i z pewną odpowiadał mu uniżonością.

— Widzieliście starą królowę?

— Codziennie śpiewam u niej — rzekł Monti. — Nie szczędzi mi okłasków, ale podarków nie szczodra! Winien temu zapewne zły humor, jaki ją uciska.

Kupiec błysnął oczyma.

— Przegrała sprawę — szepnął uśmiechając się.

— Wątpię, by ją miała za straconą. Ona tu pani — mówił Monti.

— Kto są te dwie signoriny? — zapytał nieznajomy wskazując na Dżemnę, która odsłoniwszy czarny kwef, w całym blasku piękności swej się ukazała.

Monti pochylił mu się do ucha.

— *Bellissima* jest kochanką młodego króla teraźniejszą, a druga przeszłą.

Mówiąc to, uśmiechał się.

Kupiec marszczył czoło, a oczy ciekawe zdały mu się z powiek wyskakiwać, tak Dżemnę nimi pożerał.

— Ta więc jest — szepnął.

Ponieważ miejsc było niewiele, a dwie panny królowej twarzyczkami wabiły przechodzących, do drzwi się zaczęto dobijać. Natychmiast Monti porzucił kupca, a Dudycz poszedł bronić najętej izby... Ale to się okazało nader trudnym i Petrek musiał wyjść do sieni, aby tam walkę stoczyć broniąc progu i przystępu do Dżemmy.

Panowie bywający na dworze, cudzoziemcy, którzy mieli pro-

tekcję Bonera, Decjusza i innych Dudycza znajomych, cisnęli się gwałtem. Petrek nie wiedział, jak się opierać. Jakkolwiek go to wiele kosztowało, kilku starszych ichmościów wpuścić musiał.

Piękna Włoszka na żadnego z wchodzących nawet oczu nie zwróciła. Bianka za to wesola, trzpiotowata, rada, gdy ją kto wyzywał, śmiała się i odpierała zaczepki po włosku i po polsku z odwagą wielką. Kilka razy zamknęła usta Montiemu, który zamilkł nadąsany, bo śpiewał lepiej i prezentował się pokażniej, niż dowcipował, a upokorzonym być nie lubił.

Wśród tego gwaru upłynęło dosyć czasu i w ulicach nagle ruch się zwiększył, tłum stojący w porządku począł się ścisnąć pod domy.

— Jada! Jada! — wołano ze wszech stron.

Był to ów orszak młodego króla, którego część kobiety widziały na zamku, wyciągający właśnie naprzeciw Elźbiecie.

Dżemma wstała, poszła do okna, wychyliła się, wsparła na nim i oczy wylepiła w ulicę. Ale nierychło ukazał się ten, którego szukała, którego wzrok, jak się jej zdawało, powinien ją być tu prze-czuć i znaleźć.

Na ostatek, w towarzystwie księcia pruskiego i cieszyńskiego, Zygmunt August ukazał się w sukni białej, srebrzystej, niemieckim krojem, na gniadym rumaku w perłowej dece.

Jechał piękny, zadumany, poważny, szlachetnym obliczem królewskim tak się odróżniając od wszystkich, co go otaczali, iż twarze wyraziste, dumne, ale pospolitszych rysów, dwóch książąt jadących u jego boku wydawały się dziwnie barbarzyńskie... Postawa, wejrzenie, wszystko w nim króla znamionowało.

Dżemma zbladła, a Bianka mogła dostrzec drżenie, którym każdy muskuł jej twarzyczki się poruszał.

Oczy nadjeżdżającego Augusta, który dotąd patrzył chłodno przed siebie, nic nie zdając się widzieć, jakby pociągnięte jakąś siłą tajemniczą, nagle zwróciły się ku narożnej kamienicy i tak jak przeczuła Dżemma, padły na nią.

Spotkały się te dwa wzroki i na chwilę utonęły w sobie; gniady wierzchowiec króla, jakby drżenia ręki usłuchał, zatrzymał się chwilę i żywiej poskoczył. Dżemma natychmiast opadła na swe siedzenie. Więcej już nic widzieć nie chciała.

Bianka, Monti i inni widzowie wskazywali w orszaku przejeżdżających, mianując ich po nazwisku. Dudycz o niektórych miał ciekawe rzeczy do powiedzenia. Włoszka nic nie słyszała.

W ulicy też, po przejeździe króla, znowu się wszystko rozsypało, rozlało, rozluźniło, bo wiadano, że zaledwie za godzin kilka powracać będzie August towarzysząc narzeczonej, z którą miał się w rozbitych namiotach spotkać za miastem.

Dudycz, ponieważ wiele czasu zostało jeszcze na oczekiwanie, przygotował się na przyjęcie swych gości. Chciał wystąpić przed Włoszką, ale nie potrzebował nieznajomych i natrętów ugaszczać. Wysunął się więc i sam osobiście przyniósł na tacy wina i słodycze. Dżemma ręką białą odepchnęła tacę, Bianka zagarnęła wszystko.

Ożywiona rozmowa zawiązała się pomiędzy dziwnie tu zgromadzonymi osobami, mało lub wcale nieznajomymi. Monti mówił dużo, choć nie miał wiele do powiedzenia, kupiec wenecki tak samo słuchał pilnie i gorliwie. Zdawało się, że lękał się stracić słowo i uszami był wszędzie. Pochylał się, wciskał, łapał latające wyrazy, rzucał pytania, a sam tak się umiał obwarować, aby mu ich nawzajem nie zadawano.

Monti, który śledził za nim oczyma, mógł się przekonać, że nie było nikogo z przytomnych tu, oprócz Dżemmy, którego by nie wybadał kupiec wenecki i coś z niego nie wyciągnął. Ciekawość ta była tak niewinna i naiwna, że nikogo razić nie mogła.

Cudzoziemcy, po raz pierwszy w kraju obcym, często się tak o wszystko dopytywać muszą, nie mogąc z nim oswoić. W kupcu tylko to uderzało, że twarz jego niepospolitą znamionowała pojętność. Śpiewak, który z początku go tak napastliwie zaczępił, teraz zdawał się już z umysłu unikać i nie zwracać uwagi na niego. Drudzy też nie mieli powodu zważać na przybysza, który wśród bardzo licznych naówczas w Polsce Włochów, co dzień prawie przybywających, nie był żadnym osobliwym zjawiskiem.

Oczekując na widowisko spodziewane, obie Włoszki pozostały na swych miejscach. Bianka ciągle niezmiernie ożywiona, zachępiająca mężczyzn wzrokiem i słowem, zalotna, wesoła — Dzemma w sobie zatopiona i milcząca.

Ci, co ją znali, łatwo sobie tłumaczyli smutek, z którym się nie kryła. Żartobliwe, nieustające szczebiotanie towarzyszki niekiedy widocznie przykrym było Dzemmie, krzywiła się, odwracała, ale miejsca swego opuścić nie chciała.

Monti, parę razy spróbowałwszy z nią zawiązać rozmowę nadaremnie, nie odebrawszy odpowiedzi, został na miejscu milczący, pozerając ją oczyma.

Była tego dnia cudnie piękną w swoim czarnym stroju, z tym smutkiem tragicznym na twarzy, który wśród ogólnego wesela odbijał tym wyraziściej.

Dość długi czas upłynął, a przed oknem się nic nie odmieniło; lud przepływał gwarząc, niektórzy stawali, aby się Włoszkom przypatrzeć — znajomi podchodzili, pozdrawiając je. Od czasu do czasu w Rynku, na drodze do zamku, zjawiał się jezdny głośno opowiadając, co słyszał, gdzie był młody król, gdzie orszak prowadzący narzeczoną; a że w ścisku i tłumach nie obchodziło się bez wypadków, ukazywały się to prowadzone na powrót do zamku skaleczone konie, to ludzie, którzy szwankowali i musieli się wycofać z pocztów.

Już dobrze z południa, znajomy Dzemmie i Biance, ulubiony sługa młodego Augusta, dworzanin Merło, który do orszaku jego się nie liczył, ale był do posyłek na zamek przeznaczony, ukazał się, czwałem pędząc ku Wawelowi.

Przystrojony był, jak wszyscy dnia tego, z wielką elegancją, ale bez ciężkiej zbroi, bo się musiał ciągle kręcić. Był to chłopak żywy, śmiały, wesoły i ulubiony młodemu panu, bo dla niego na wszystko gotów.

Dla Merły, gdy szło o usłużenie królowi, nie było niepodobieństw i trudności. Nieraz już też dla niego naraził się i krew przełał, królowi staremu stał niemiłym, ale wszystko to przetrwał i służył mu wiernie, jak nawykł od dzieciństwa.

Zobaczywszy Merłę, Bianka śmiała wychyliła się, chustką mu dając znaki, domyślała się bowiem, że musiał mieć wiadomość o spotkaniu. Może by jej nie wysłuchał, na zamek spiesząc do starej królowej, ale zobaczył Dżemmę i konia zawrócić pod okno.

Zaledwie tu stanął, kupą ścisnęli się około niego ciekawi.

— Mów! — krzyczała Bianka. — Widziałeś młodą panią?

Merło z konia się pochylił ku oknu.

— Wracam stamtąd — odparł — jadę od namiotów. Królowa już przybyła, ale to biedactwo wątłe i blade, że nie wiem, jak ten dzisiejszy dzień wytrzymać potrafi. Gdy ją od powozu do namiotów prowadzili margrabia Jerzy z księciem lignickim, zdało się, że co chwila nogi jej się zachwieją i padnie. Ubrana cała w złotogłów, okryta klejnotami, ugiwała się pod ich ciężarem. Nie królową się wydawała, ale nieszczęśliwą ofiarą, aż litość brała.

Dżemma rzuciła na Merłę okiem gniewnym, a ten ciągnął dalej:

— Spotkał narzeczoną August, nasz pan, na pół drogi i tu się sobie pokłonili ująwszy za ręce. Dopieroż mowy się rozpoczęły i nie wiem, kiedy temu koniec będzie, bo z obu stron oratorów dosyć, a kto się do mowy przygotował, ten jej nie podaruje!

— A król młody? Król? — zapytała Bianka.

— No i ten jak skazany stoi — rzekł Merło — blady i umęczony. Złota narieczona a srebrny pan! — dodał śmiejąc się. — Gdyby u nas wiadano, że panią całą w złoto oprawia, my byśmy też może naszego pana choć w szkarłat wystroili, a tak się on ubogo im wydał.

— A prędkoż się wjazd pocnie? — zapytała Bianka.

— Widzicie, jak się tam ściągają na zachodzie chmury? — rzekł. — Otóż nie potrzeba na to proroka, aby zgadł, że nim oni powoli ciągnąc, od namiotów do miasta nadążą, niezawodnie deszcz zacznie kropić i naszym paradnym ufcom atłasy i aksamity pomoczy!

Merło śmiał się wesoło.

— Jeżeli oracje się skończyły — dodał, koniowi cugli popuszczając — musieli już ruszyć z miejsca, ale choćby deszcz wiślał nad nimi, nie pośpieszą, bo takiej uroczystej kawalkacie nie przysłało inaczej jak stępią.

To mówiąc, przyłożył rękę do beretu, pozdrowił kobiety i krzyknawszy na tłum, aby mu się rozstąpili, puścił się dalej ku zamkowi.

Znowu tedy dobry kawał czasu upłynął, nim od Floriańskiej Bramy przez ściśnięte tłumy doszedł szmer oznajmujący, że uroczysty pochód się przybliżał. I jak przepowiedział Merło zawczasu, w istocie chmura wiosenna nadciągnęła powoli, niebo się oblekło szaro, deszczyk powoli kropić zaczął, a że się to działo ku wieczorowi, starzy ludzie wróżyli, iż się zasłoci.

W ulicy lud się rozstąpił na ostatek i pierwsze ufce pokazywać zaczęły. A było patrzeć na co! Każdy z panów pierwszym chciał być; pocztę więc nie tylko wspaniałością, ale i liczbą mieć pokazać — zatem po dwu jechali ludzie, najwięcej po trzech, aby każdy oddział wydawał się liczniejszym i dłuższym. Przyjaciele i nieprzyjaciele, radzi nieradzi, wpośród wszystkich tych dworów pańskich, które królowę młodą otaczały, musieli przyznać pierwszeństwo arcybiskupowi prymasowi, Gamratowi. Człowiek ten nowy, wyprzedził okazałością i przepychem, a nawet mnogością ludzi i Tarnowskich, i Kmitów. Szło mu o to. Zadawano mu nieustannie plebejuszostwo, tu on się większym panem okazać chciał od najmożniejszych panów. Lud jego dobrany był z nadzwyczajnym staraniem, chłop w chłopą, urodziwi, silni, postawy pięknej. Większa część po polsku była ubrana w szkarłatne żupany i kontusze z tkaniny złocistej barwy, ale czoło składali pancerni arcybiskupi — srebrne zbroje, czerwone czamary, a u bark skrzydła z białych piór strusich w srebrnej oprawie.

Co to wszystko kosztować mogło Gamrata! Z przekąsem mówili nieprzyjaźni mu, że się pewnie srebrom kościelnym dostać musiało, a drudzy szeptali, iż u kupców się zadłużył srodze.

Obok tego pocztu arcybiskupiego, który na oko licząc mógł do trzechset głów wynosić, jeden tylko, ale liczbą mniejszy, hetmana Tarnowskiego wytwornością mógł stanąć na równi. Lecz stary pan z panów nie potrzebował się wysilać, nie myślał popisywać, gromadka jego była nie tak wielka i odziana na sposób hiszpański; przystroiłby ją pewnie po polsku także, lecz dowiedziawszy się o Gamracie, nie życzył sobie iść z nim o lepszą. Tu też najpiękniejsze konie były, a ludzie nie tak młodzi, ale za to wielkiego animuszu, prawi rycerze, którzy niejeden bój zwycięski przebyli.

Kasztelan poznański, Andrzej z Górki, z włoska sam się ubrał i ludzi poubierał. Książęta Radziwiłłowie rotę wiedli polskie, którym dla osobliwości Tatarów litewskich w żółtych atłasach przydali, a do prowadzenia koni czterech Murzynów strojnych paradnie. I tu przepych był wielki, książęcy, z jakim ród ten lubił występować zawsze.

Chodkiewicz, podczaszy litewski, nierad im i innym Litwinom ustąpić, urozmaicił swoje poczty, postroiwszy je różnie. Sam jechał przodem w zbroi całej złożonej przedziwnego kunsztu i szyszaku podobnym, z tarczą misternie rzeźbioną. Za nim naprzód czterech w szkarłatnym adamaszku, dwa małe poczty po pięciu ludzi w jedwabnych sukniach białych, dalej ośm w srebrnych zbrojach ze srebrnymi przybiciami, na których herbowe siedziały gryfy¹⁸.

Lecz kto to policzy i opisze?!

Kościeleccy, Rozdrażewski, nawet pan Seweryn Boner, który gorszym od innych być nie chciał, odznaczali się wśród tego nieobrachowanego, długiego orszaku, ciągnącego z wolna ku zamkowi i poprzedzającego królową młodą.

Patrzący, którzy w początkach cisnęli się, wydając okrzyki podziwienia, znużyli się w końcu, gdy się królowej doczekać nie mogli. Szedł poczet jeden za drugim, mieniały się barwy, coraz nowe stroje następowały po sobie, ale powozów nie było i nie było. Deszcz, zacząwszy kropić zrazu, padał już teraz spokojnie, ale tak, jakby nie myślał ustać rychło.

Dopiero po przeciągnięciu tych hufców, szmer i okrzyki zwiastowały powóz królowej. Dżemma głowę podniosła. Obok niej musiał jechać August.

Tak było w istocie.

Młoda pani, blada, zmęczona, siedziała w kolebce złocistej, wybitej szkarłatnym aksamitem, którą ciągnęło ośm siwych koni cudnie dobranych, a przy niej szło piętnastu paziów po włosku strojnych i sześciu pacholców w aksamitach czerwonych.

Przy drzwiach otwartej kolebki widać było jadącego Augusta, któremu książę pruski i książę Jerzy towarzyszyli. Młody pan w białym srebrzystym stroju wyglądał pięknie i pańsko, ale twarz jego nie promieniała wcale radością wesela, a oczy się nie zwracały ku narzeczonej, ale wlepione były w tłumy, przed siebie.

Dżemma podniosła się, zbliżyła się ku oknu, zebrząc i wyzywając wzroku — lecz z gniewem opadła na siedzenie. Przejechał i pominął kamienicę August, nie obróciwszy wejrzenia, zapomniawszy, że ją tam widział przed chwilą.

Włoszka nie mogła utaić gniewu swojego. Chciała natychmiast, zerwawszy się, na zamek powracać, ale było zupełnym niepodobieństwem przez ulice się przecisnąć. Orszakowi królowej nie było końca, a ciżba wszędzie tak wielka, że ani Dudycz z Montim, ani kilku służby, gdyby ich w pomoc wzięto, nie zdołaliby utorować drogi.

Kobiety więc czekać musiały, aż tłumy się cokolwiek rozrzedzą. Tymczasem powozy szły jedne za drugimi, bo teraz kolej na nie przysła.

Za królową naprzód, w takiejże pozłocistej kolebce z aksamitem czerwonym, sześć koni pod dekami aksamitnymi, jechały Krystyna z Szydłowieckich księżna Oleśnicka i siostra jej, żona hetmana, które na spotkanie młodej pani wysłane były.

Dwie siostry, nie chcąc z sobą się ubiegać o wspaniałość, wozy i woźniki miały zupełnie podobne. Za kolebkami ich, w kolebkach mało co skromniejszych, siedziały panie i panny fraucymery młodej pani, Niemki po większej części, dwór niewieści hetmanowej i księżnej.

Co dalej szło, to już do orszaku uroczystego nie należało i na to ciekawy tłum, który się począł rozpyływać, nie zwracał uwagi.

Wszyscy teraz pragnęli się dostać na zamek, aby tam być świadkami przyjęcia młodej pani, ale podworce były przepelnione, kościół, do którego naprzód wstąpić miała przybyła pani, nie mógł zmieścić, tylko wybranych; próżno więc gawieź miejska, zatoczywszy się jakby falą, u wrót zamkowych strzymana, postawszy, nazad ku miastu powrócić musiała.

Włoszka niecierpliwiła się dawno, usiłując wyrwać; chciał i Dudycz powrócić do swych obowiązków, lecz nierychło można było próbować nawet dostać się na Wawel. Szczęściem Merło, który to przewidywał, a szło mu o Dżemę, ulubienicę pańską, znalazł woźnicę i krytą kolebkę dworską nie zajętą i kazał jej jechać do kamienicy zabrać panny królowej. Monti i Dudycz wybierali się już na piechotę z nimi, gdy zbawcza kolebka nadsięgnęła.

Woźnica, nie mający polecenia zabrania nikogo prócz kobiet, gdy te siadły, ruszył, nie czekając na nikogo więcej.

Porzuciwszy Montiego Petrek, który konia sobie szukać dla pospiechu nie mógł, puścił się pieszo na zamek.

Wszyscy, zgromadzeni wypadkiem na dole w kamienicy na-przeciw Świętego Wojciecha, rozstali się nie żegnając; Włoch tyłko ów gibki i żwawy, który dał odprawę Montiemu, do Dudycza dobrowolnie przystał i wybrawszy go sobie jakimś szczególnym afektem, ofiarował się go ku zamkowi przeprowadzić. Ujął nawet dla bezpieczeństwa pod rękę i poczawszy wesołą rozmowę, okazywał wielką chęć bliższego z nim poznamienia się.

Dowodziło to niepospolitej trafności oka w nieznanym kupcu weneckim, bo pocziwy, ale niedaleko widzący Dudycz, do którego ludzie nie zwykli byli lgnąć, przez wdzięczność dla tych, którzy mu okazywali jakąś sympatię, łatwo do nich przystawał. Raz zaś z kim zawiąawszy stosunek, dobroduszny człek dawał z siebie ciągnąć, co kto chciał, i był dla takiego ciekawego cudzoziemca nieocenionym skarbem. Powiadano o nim żartobliwie, że niekiedy od niego o tym się było można dowiedzieć, czego on sam nie wiedział.

Gadatliwy, żwawy, wesoły Włoch, naprzód się wypowiadał Dudyczowi, iż dla handelku tu przybył czasu wesela, a handel wymagał stosunków i znajomości. Życzył więc na dworze się roz-słuchać. Nawzajem ofiarował nowemu przyjacielowi usługi, choć czym być miały i jakie, trudno było wyrozumieć.

Dudycz nie odepchnął Włocha. Powiedział mu, gdzie mieszka, kiedy i jak się z nim spotkać można. Tak razem doszli aż do zamku, a z czasu tego doskonale skorzystać umiał ów nieznanomy, iż Dudycz ust prawie nie zamykał, na coraz nowe odpowiadając pytania. Wszystkie one tyczyły się naturalnie osób do dworu nale-żących, gdyż kupiec zapewne z towarem najwięcej rachował na nie.

Gdy pożegnawszy Włocha u wrót, Dudycz wcisnął się na za-mek, już pierwsze spotkanie i powitanie w kościele na Wawelu, błogosławieństwo duchowieństwa i modlitwy były skończone.

Stary król, który się niepomniernie o to troszczył, aby młoda pani nadto zmęczoną nie była, cały dzień zmuszona w stroju nie-wygodnym jechać, stać, klaniać się, słuchać — uprosił duchow-nych, aby ceremonia kościelna niedługo się przeciągnęła.

Dudycz dowiedział się w podworcu, iż królowa Bona, która z początku słabą się uczynić chciała, aby nie wyjść na spotkanie do kościoła, w końcu zmuszoną została razem z mężem się tu stawić i trzema córkami swymi.

Na wszystkich młoda przybyła pani uczyniła jedno wrażenie: obudzała politowanie i sympatię. Wydawała się biedną a łagodną i dobrą. Staremu Zygmuntowi uśmiechała się z naiwnością dziecięcą, czując w nim ojca i opiekuna. Za to królowa Bona ani słowem, ani twarzą nie okazała dla niej najmniejszego uczucia, nic, oprócz zimnej i dumnej obojętności.

Ci, którzy mieli zręczność mówić tego wieczora z hetmanową Tarnowską i księżną na Oleśnicy, roznosili, iż dwie panie młodej przyszłej królowej odchwalić się nie mogły, wynosząc jej dobroć, uprzejmość, grzeczność, cierpliwość, a prorokując Augustowi z tym aniołem najszcześniejsze pożycie.

Dwór, którego oczów nic nie uszło, szeptał, że król August też bardzo zimno się zachowywał względem przyszłej małżonki, oprócz tego, co ceremoniał dnia mu nakazywał, nie dając najmniejszego dowodu rodzącej się życzliwości.

W ciągu powolnej jazdy od namiotów na zamek oczy młodej pani szukały ciągle narzeczonego, zwracając się ku niemu z ciekawą a serdeczną sympatią — ale król nie odpowiadał na te wejrzenia. Nie przemówił do niej nawet, gdy do powozu prowadząc, miał czas i sposobność do tego.

— Wszystko się rychło odmieni — mówili jedni. — Pani piękna i dziwnie dobrą być musi, król przywiąże się do niej.

Drudzy przewidywali inaczej i potrząsali głowami.

Na zamku, po powrocie z kościoła, wprędce zasiedli goście dostojniejsi do stołów. Posadzono przyszłą parę obok siebie, lecz naprzeciw siedzący stary Zygmunt więcej się synowej przypatrywał, częściej do niej przemawiał, czulej o nią troszczył niż August, który prawie oczów podnieść nie śmiał na nią.

Królowa Bona siedziała też dumnie milcząca, z zakąszonymi wargami, nie ukrywając gniewu swego, a ile razy wejrzała na przyszłą synową, oczy jej złowrogię nabierały blasku.

Tylko ojciec weselem i humorem i kółko jego przyjaciół, dwie panie towarzyszki, Tarnowska i Oleśnicka, ożywiały towarzystwo.

Znużenie podróżą, po której nazajutrz ślub i koronacja nastąpić miały, zmusiły, przez wzgląd na wątłe siły Elżbiety, do rychłego odpuszczenia jej na spoczynek. Biedna ofiara, upadająca pod ciężarem sukni i znużona dnia tego, uśmiechała się do końca, usiłowała mężnie wytrwać, bladła i rumieniła się, ale nie okazała po sobie, że sił ostatek dobywała.

Gdy się to działo w komnatach wielkich, oświetlonych i strojnych, w całym blasku i przepychu królewskim, mieszkanie tymczasowo przeznaczone dla Elżbiety fraucymer jej spiesźnie przygotowywał tak, aby w nim spocząć mogła.

Niespokojna, blada, ale mężna ochmistrzyni, przyjaciółka, zastępująca matkę Kätchen Hölzelinowna, w mgnieniu oka usłała łożę, dobiła suknie i bieliznę i chodziła, modląc się, niespokojna w oczekiwaniu na swą biedną panią.

Znała ona ją i jej siły lepiej niż ktokolwiek w świecie, bo była przy niej od dzieciństwa, bo ją jak matka kochała. Dlatego taki niepokój ogarniał Kätchen teraz, gdy rozważała, czy dziecku starczy mocy na podolewanie wszystkim wrażeniom i ciężkim trudom, jakie ją tu czekały.

Kätchen nie chciała nic jeść, nie usiadła, nie mogła się uspokoić, ażeby swej pani się doczekała. Co chwila podbiegała ku drzwiom, przysłuchiwała się szmerom dochodzącym tu od pokojów i łamała ręce, gdy coraz później się robiło, a pani jej nie przybywała.

Czas wydawał się jej nieprzebytym. Na ostatek kroki ciche dały się słyszeć w korytarzach, Hölzelinowna porwała świecę i wybiegła. Odprowadzano jej nieszczęśliwą ofiarę, która szła blada z uśmiechem na ustach, ale jedno wejrzenie starczyło piastunce, by się przekonać, że ostatkiem sił już wlokła się do niej znużona.

Szczęściem, nie nalegano u drzwi, gdy Kätchen wprowadziła do sypialni, na dłuższe dworowanie młodej pani, i ochmistrzyni mogła natychmiast drzwi zaryglować. Elżbieta padła na krzesło blada, bez tchu, w oczach jej łzy się kręciły, ale uśmiechała się jeszcze.

Z pośpiechem wielkim poczęła ją sama rozbierać piastunka, odpinać suknię, zdejmować łańcuchy, uwalniać od pasa, zrzucać obuwie. Dwoje dziewcząt pomagało, nikt nie odzywał się słowa. Skinęła nareście Kätchen na nie, aby odeszły, i narzuciwszy nocny płaszczyk na Elżbietę, chciała ją zaraz położyć w łóżko, gdy biedna

ofiara podniosła ręce, zawiesiła je na szyi piastunki, wybuchnęła płaczem stłumionym; twarz jej okryła bladość śmiertelna, oczy się zamknęły — omdlała.

Byłóż to omdlenie? Hölzelinowna знаła pewnie ten stan wątego swego dziecięcia, gdyż pomimo przestachu, jaki doznała na widok jego, pozostała nieruchoma, nie tchnęła jej palcem, nie usiłowała obudzić gwałtownie.

Białe ręce młodej pani stężały tak, całe ciało się wyprężyło boleśnie, oddech zdał ustawać w piersi, a na zbladłych wargach ukazała się biała pianka, którą cierpienie dobyło z piersi.

Kätchen stała nieruchoma, ale nie tracąc przytomności. Złożyła chorą z wolna na kraju łóżka i dała jej woń jakąś do od-dychania¹⁷, zaczęła lekko ocierać skronie. Nie odzywała się do niej, nie śpieszyła z przywróceniem przytomności, jakby wiedzia-ła z doświadczenia, że ten stan pewien czas trwać musi i że go gwałtownym niczym przerywać się nie godzi.

Marmurowo bladą była twarz Elżbiety, ale wyraz jej łagodny niewiele zmieniło cierpienie. Przykrzejsze nad nią wrażenie czyniły wyprężone, zeszywniałe ręce i ciało.

Hölzelinowna, stojąc nad nią, modliła się ze złożonymi rękami, łzy ciekły jej po policzkach, a wzrok ze strachem biegał ku drzwiom, bo lękała się, aby ktoś obcy nie wparł się nagle i nie zobaczył chorej w tym stanie, który dla wszystkich musiał być tajemnicą.

Królowa leżała długo nieruchoma, z wyprężonymi rączętami, jakby umarła... a piastunka stała tak nad nią niema i drżąca, gdy nareście z ust jej dobyło się lekkie tchnienie, odrętwiałe członki poczęły się uginać i bezsilnie opadać, powieki podniosły się nieco. Kätchen z lekka ocierała skronie i przygotowany już napój ostrożnie do ustek przybliżyła. Nie dostrzeżony prawie rumieniec ożywił lica zbladłe, życie powracało.

Elżbieta poruszyła się, powieki otwarły całe; zobaczyła nad sobą stojącą Kätchen, wyciągnęła ku niej ręce i zarzuciła na szyję. Uśmiech łagodny, dziwny, jak gdyby ze zwykłego snu przebudzo-nej, przebiegł po jej ustach. Nie zdawała się rozumieć ani pamię-tać, co się z nią działo. Wracała do tej chwili, w której siły ją opuściły. Słabszą tylko i straszliwie czuła się zmęczoną, ale napój podany ją orzeźwił.

— Kätchen — szeptała — bardzo, bardzo to wszystko trwało długo! Nieprawdaż? Widziałas go? Mojego króla narzeczonego? Nieprawdaż, że bardzo piękny jest? Takim ja wyobrażałam go sobie z obrazka przysłanego matce. Co za szlâchetne rysy, jaka postawa pańska! I strój dla mnie wdział niemiecki. O, ja to zrozumiałam dobrze! Nie śmiał spojrzeć na mnie, abym ja bardziej się jeszcze nie zmieszala. Nogi się uginały pode mną, émiło mi się w oczach! Z jaką wspaniałością oni mnie przyjmowali, z jaką serdecznością. Stary król ścisnął mnie jak własne dziecię. Widziałam i czułam lzy jego. A, będę go kochać jak ojca!

Hölzelin słuchała nie odpowiadając, trzymała szklankę w ręku, przykładając jej napój do ust. Smutny wyraz twarzy malował duszną trwogę.

Elżbieta półgłosem mówiła ciągle:

— Prawda, że on bardzo piękny? O, ja go kocham od dawna i on też kochać mnie musi! Nieśmiały jest. Spoglądałam często na niego, gdy jechał przy mnie, ale rzadko zwrócił oczy w tę stronę... obawiał się! Tyle tysięcy ludzi na nas patrzyło. Z tych tysięcy, prawda Kätchen, on najpiękniejszy, on najpierwszy? O, jak ja kochać go będę!

Hölzelin milczała, niekiedy ruchem głowy nieznacznym to potwierdzając, to dając czuć, że słuchała bacznie.

— A starą królowę — szepnęła — widziałas ją?

Elżbieta uśmiechnęła się jak wprzód.

— Patrzałam na nią ciągle — rzekła. — Mówiono mi, że zazdrosną jest o serce syna, którego kocha bardzo, ale się przekona, że ja, ja pomagać mu będę do kochania jej... musi być łaskawą na mnie. Oblicze ma surowe, groźne, ale się dla mnie rozjaśni ono, gdy pozna, jak dobrą będę córką dla niej.

Zamilkła nieco i myśl wróciła znowu do narzeczonego.

— Kätchen, uważałaś ty, jak mu na tym koniu, przy moim powozie, było pięknie? Ani księżę pruski, ani ten drugi z nim się mierzyć nie mogli. Wyglądali jak pachołkowie.

Rozśmiała się.

Hölzelin pochyliła się nad nią.

— Jutro — poczęła cicho, starając się ją w łóżku wygodnie położyć — jutro dzień jest ciężki dla ciebie, moje dziecko, królowo, zmęczona jesteś bardzo, bardzo. Spocznij już.

— A, tak — westchnęła młoda pani — ale w głowie tyle obrazów, wspomnień, myśli się płaczą. Nie wiem, czy zasnę. I raduję się, i lękam, Kätchen, i śmiać bym się chciała, i płakać.

Wyciągnęła ku niej rączkę białą.

— Siedź nade mną, moja ty piastunko droga — poczęła — tak jak niegdyś u mojej kolebki; gdy czuję cię przy sobie, spokojniej mi, bezpieczniejszą jestem.

Powoli oczy się jej przemykać zaczęły, ale nagle powieki podniosła.

— Kätchen — rzekła — prawda? On mnie kochać będzie? Ja go tak już kocham teraz, a stanę się dla niego łagodną, posłuszną, tak miłą. On wygląda smutnie, ale będzie musiał być szczęśliwym i wesołym.

— Śpijże i nie marz! — rzekła, otulając ją, Kätchen. — Zbudzą cię z rana i męczyć będą znowu dzień cały.

Nie dokończywszy, westchnęła. Posłuszna Elżbieta przymrużyła powieki, ciągle uśmiechem zwodząc piastunkę, chociaż czuła się straszliwie znękaną, Hölzelinowna nie odstępowała od łóżka, aż ją zobaczyła naprawdę uspioną — otarła łzy i siedząc, modlić się poczęła.

Gdy się to działo w sypialni młodej królowej, dalej w głębi, na korytarzach pustych i ciemnych, żywej nie widać było duszy. Dwór jeszcze ucztował na dole. Królestwo tylko i dostojniejsi goście rozjechali się i rozeszli.

Królowa Bona w sypialni swej zrzucała z siebie szaty i klejnoty, nie kryjąc gniewu i zniecierpliwienia. Panny służebne, stojące i klęczące około niej, drżały od jej wzroku i ruchów gwałtownych, którymi je potraçała. Łańcuchy z brzękiem opadały na ziemię, zasłony zrywała szarpiąc, pilno jej było z tego stroju, jak z kajdan, się oswobodzić.

Żadna ze sług słowem się odezwać nie śmiała. Zaledwie rozebrana padła na krzesło Bona, gdy August jeszcze w sukni paradnej dnia tego ukazał się w progu. Matka wyciągnęła ku niemu ramiona, a gdy się zbliżył, uściśnęła go namiętnie.

Przytomność sług odezwać się jej nie dozwalała, lecz na widok młodego króla natychmiast wszystkie pierzchnęły.

August siedział ze spuszczonej oczyma, z pomieszonym i smutnym wyrazem twarzy.

— Ojciec twój — poczęła Bona — zmusza mnie, abym ją przyjmowała jak synowę... ja ją nienawidzę! Ona mi chce wydrzeć serce twoje, ona jest nieprzyjaciółką. Bądź mężczyzną, oprzej się uczynionemu nam gwałtowi! Niech weźmie koronę, ale serca twego, miłości twojej mieć nie będzie. To dziecko jest, a jak wątpliwe! Choroby wzięła po rodzicach... miłość jej, życie z nią może być trucizną. Ja nie chcę, abyście żyli z sobą, ja muszę cię bronić!

Mówiąc tak przerywanym głosem, Bona chwytła syna za ręce, natarczywie ścigała jego wejrzenie, starała się myśli odgadnąć. August siedział zimny i nieodgadniony.

Niezmierne jakieś znużenie tylko poznać w nim było można.

— Idź już — odezwała się w końcu Bona — idź, nie chcę, by cię widziano u mnie. Doniosą Staremu, że ja cię buntuję i podmamiam.

August się schylił do pocałowania ręki matki, która ucałowała go w czoło i powtórzyła:

— Idź!

W małej komnatce swej Dżemma w wieczornym stroju zaniedbanym, z rozpuszczonymi włosami złotymi, które ją jakby płaszczem okrywały, siedziała na ziemi z twarzą w dłoniach i płakała.

Była samą. Zwykle blada, miała teraz policzki gorączką spalone, oczy zmęczone, usta zaschłe.

Najmniejszy szmer w kurytarzu ją poruszał, jakby ku drzwiom biec chciała.

Usłyszała zbliżające się z wolna kroki i podniosła się. Rękę przyłożyła do serca, dech wstrzymując czekała.

Chód powolny zdawał się zwracać ku progowi jej mieszkania, zatrzymał, ucho pochwyciło szelest u klamki — drzwi uchyliły się z wolna. Przed nią stał August.

Obie ręce wyciągnąwszy ku niemu, Włoszka chciała się porwać z ziemi, lecz nim się poruszyła, on siedział już przy niej, objął ją wpół i całował.

Wśród uścisku odepchnęła go nagle od siebie.

— Nie, ty jej kochać nie będziesz! — zakrzyknęła. — Powiedz! Ty mnie dla niej nie zdradzisz? Ja jej nie zazdroszczę korony... będzie królową, ja pozostanę kochanką.

August odpowiedział uściskiem.

— Uspokój się, Dżemma — dodał, głaszcząc ją po twarzy — powinnaś mi wierzyć i być cierpliwą. Muszę spełnić wolę ojca.

— Ale ona za kotarę waszego łóża, w tajemnice życia, sięgać nie może! — zawołała namiętnie Dżemma. — Okaż jej zawczasu, że na serce i miłość narzuconą rachować nie powinna. A, zgniotłabym ją i zdusiła to pisklę niemieckie, gdyby ręce moje jej dosięgły! Nienawidzę jej! Z jakim słodkim uśmieszkiem patrzyła na ciebie bezwstydną!

Dżemma zakryła sobie oczy.

Po chwili milczenia odsłoniła je, twarz pałała.

— A, mamy królową matkę za sobą! — rzekła. — Ta nie dopuści, aby ona tu panowała, ta rozdzieli was, bo ją nienawidzi! Królowa jest tu wszechwładną... król musi ulec w końcu. Byleby przeszły te uroczystości weselne, byle się to raz skończyło, byleśmy zostali sami!

August wstał. Godzina była spóźniona. Dżemma próżno, zawisłszy mu na szyi, wstrzymywała go, służba z Opalińskim czekała na niego, a wkrótce o przygotowaniach do ślubu i koronacji myśleć było potrzeba.

Dla królowej Bony były to dni do przebycia najcięższe, najstraszniejsze, za które dobrze się pomścić obiecywała. Niezdolna do poskramiania się i udawania czuła, że na jej twarzy obcy i swoi czytają, iż została zwyciężoną, że musiała być posłuszną. ona, która tu chciała i była w istocie panią.

Król Zygmunt, nie dopuszczając do sporów, dawał rozkazy — potrzeba się było stosować do nich; lecz królowa na każdym kroku, w każdym ruchu dawała czuć publicznie, iż uległa tylko chwilowo konieczności. Twarz jej wyrażała oziębłość, pogardę, zaledwie stłumiony gniew i dumę.

Następny dzień był przeznaczony na ślub i koronację młodej pani, i od wczoraj już w katedrze przysposabiano trony, zawieszano makiety i szpalery, wyścielano kobierce. Korona Jadwigi ze skarbca koronnego dobytą na aksamitnym wezgłowi, pokryta kosztowną zasłoną, czekała na wielkim ołtarzu na tę wątłą główkę, która pod jej ciężarem ugiąć się miała.

Stary król od razu naglił z gorączkowym pośpiechem, aby się obrzęd rozpoczął wcześniej, troskliwym będąc o synowę, której bladeść i lice delikatne obudzało w nim niepokój.

O świcie posłał się dowiedzieć, jak spała, a gdy nadeszła godzina, gdy do kościoła udać się było potrzeba, chciał, aby go co prędzej wyniesiono na spotkanie z Elżbietą. W wielkiej sali, do której go na krzesła na ramionach wnieśli paziowie, Elżbiety nie było jeszcze. Zamiast niej stała Bona z córkami, z twarzą rozpłomienioną i przystąpiła natychmiast, nie zważając na przytomny dwór i urzędników.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła zburzonym głosem z ironicznym poszanowaniem. — Słyszę tu, że młoda wasza synowa ma mnie poprzedzać w pochodzie i miejsce zająć przede mną... To nie może być!

Zygmunt zwrócił się do marszałków.

— Takie jest prawo i obyczaj — rzekł jeden z nich.

— Prawo i obyczaj mnie starszą, mnie matkę oddzielić by chciało od boku męża i zepchnąć gdzieś...

— Uspokój się — szepnął król cicho po włosku. — Zmienić tego nie możesz, a dasz ludziom na urągowisko... *Tace* ¹⁸!

Królowej oczy zaświeciły blaskiem krwawym, cofnęła się dumna.

W chwilę potem wszystko się ustawiło w takim porządku, jaki ceremoniał dworski wyznaczał.

Młoda królowa blada, z oczyma zmęczonymi, ale uśmiechem na ustach weszła, a Zygmunt Stary naprzód ją powołał ku sobie.

Na czele orszaku postępował król młody, u którego boku siedł książę pruski; za nim niesiono na krzesle, bo pieszo iść nie mógł, Starego Zygmunta.

Tuż za nim szła młoda królowa Elżbieta z rozpuszczonymi na ramiona włosami, z wyrazem dziewiczym, smutnym, czystym, jak Włosi się wyrażali: „Madonna starego mistrza z Fiesoli” ¹⁹. W istocie przypominała je wdziękiem, słodyczą, czymś anielsko-dziecięco-panieńskim. Za nią dopiero miejsce wyznaczone zajęła Bona, której pierś podnosiła się oddechem gwałtownym, a usta ścięły spazmatycznie. Trzy córki i cały szereg pań i panien fraucymeru ciągnął się za Boną. Na przedzie, umyślnie za panią Salm, ochmistrzynią, postawiono Dzemmę, pięknoscią swą uderzającą, świetną, chwytającą za oczy, przeznaczoną na to, aby biedną osłabioną Elżbietę zgasiła i uczyniła godną tylko politowania chyba.

W przepelnionym kościele, w którym od tłumu, od świec, mimo pootwieranych okien, panowało nieznośne gorąco, na tronie, w chórze ustawionym, zasiadł August w koronie na głowie. Narzeczona stanęła naprzód u boku jego. Ceremonie ślubem się rozpoczęły. Pruski i lignicki książęta wiedli Elżbietę do ołtarza.

Wszystkie oczy zwrócone były na nią; obawiano się, że może osłabnąć — ale lice jej teraz nabrało wyrazu energii i siły, który piastunkę z daleka śledzącą ruch każdy wprawiło w zdumienie. Elżbieta zdawała się zmienioną, wzrok jej podniósł się śmiało i ruchy stały żywsze. Prostowała się i rosnać zdawała u ołtarza.

Stary ojciec patrzył na nią ze łzami w oczach, a gdy korona ciężka spoczęła na jej główce, począł szeptać stojącemu przy nim Herbersteinowi:

— Gdy na tronie usiądziesz, pójdziesz powiedzieć jej ode mnie,

może zdjąć koronę. Wiem, że to ciężar nad jej siły. Położą ją na poduszce pod ręką.

W istocie, gdy Elżbieta po koronacji z tą koroną zapowiadającą męczeństwo, z jabłkiem w jednej, z berłem w drugiej dłoni siadła na majestacie przy mężu, Herberstein przecisnął się przez tłum i szepnął radę, a raczej rozkaz starego króla.

Elżbieta spojrzała na męża, nie chciała się okazać słabą w oczach jego i odpowiedziała:

— Nie, korona mi nie ciąży, wytrwam tak do końca!

Po trzykroć w czasie nabożeństwa wracał Herberstein z tym posłannictwem do Elżbiety nadaremnie. Na próżno z dala błagała ją oczyma piastunka, młoda królowa nie zgięła się pod tym brzemieniem.

Przebrzmiały wreszcie pieśni ostatnie, młody król wstał z tronu i szedł pierwszy ku zamkowi, za nim młoda królowa, król stary, Bona i córki strojne wspaniale na końcu.

Obrzęd i nabożeństwo przeciągnęły się tak długo, a Zygmunt Stary sam już był tak znużonym i wątłą swą synową chciał zaoszczędzić, iż oprócz uczty na zamku dla dostojniejszych gości, nic na ten dzień zapowiedzianym nie było.

U stołu, oprócz Zygmunta, który wesołość obudzić się starał i rozmowę ożywić był rad, dając znaki swoim, aby milczeniu ogarnąć się nie dopuszczali, na niczyjej twarzy nie widać było swobodnego wyrazu. Spoglądano na siebie badając, niespokojnie, Bona nie przemówiła słowa, August siedział martwy z oczyma spuszczoneymi przy żonie. Niekiedy głośniejsze odezwanie się księdza Samuela i uśmiech wymuszony hetmanowej Tarnowskiej przerywały milczenie uparte, które natychmiast ołowianym brzemieniem wracało. Na licu młodej królowej nie widać było smutku ani zafrosowania, choć może połykała łzy, usta zmuszała do uśmiechu, oczy zwracała na męża.

Powtarzała sobie w duszy: „O, on mnie kochać musi!”

Dla wszystkich, nie wyjmując Zygmunta, czas ten przebyty u stołu wydał się nieznośnie długim, a gdy w ostatku dano znak wstawania, ciężar wielki zdawał się spadać z piersi wszystkich. Skinieniem ręki młoda królową powołał ku sobie ojciec i odezwał się do niej po niemiecku:

— Kochane dziecię moje, tyś znużona, ja stary także... Dziś

potrzebujesz spoczynku, idź więc spocząć sama, swobodna, abys na dni następne, na turnieje, na uczty, na skoki sił nabrała.

Schyloną pocałował w głowę.

Posłuszna młoda pani skierowała się natychmiast ku wyjściu, na próżno próbując pożegnać królową matkę, która z dala głową zaledwie skinęła, na jej pokłon odpowiadając.

August stał w niepewności jakiejś, postąpił kroków parę, lecz już panie, które młodej królowej towarzyszyć miały, wzięły ją między siebie. Spojrzała tylko na męża, wzrokiem go żegnając, chociaż nie była pewną, czy się wejrzenia ich spotkały.

Natychmiast cały dwór się rozsypywać począł i komnaty o-próżniły.

Miano dość do czynienia, na jutro i dni się gotując następne.

Dudycz, który ze swym oddziałem dworzan i sług zajęty był od rana i ledwie z dala miał zręczność na swe bóstwo spojrzeć, gdy szła do kościoła i powracała z niego, nad wieczór nareszcie chwilę mając na spoczynek swobodną, wydostał się z murów zamkowych, powietrzem wiosennym odetchnąć. Maj dotąd dosyć łaskawy, nie był ani zbyt słotnym, ani tak zimnym jak w kilka dni później.

Myśląc ciągle o Dzemmie, bo mocniej niż kiedykolwiek trwał w postanowieniu dobijania się o nią, sam nie wiedział, jak znalazł się u wrót zamkowych. Machinalnie jakoś skierował się ku miastu. W chwili gdy już miał wniknąć w bramę, usłyszał pozdrowienie i z nader uprzejmym uśmiechem powitał go natarczywie wczorajszy kupiec wenecki.

— Jakże się to szczęśliwie stało — rzekł — że ja was spotykam! Znanych nie mam, błąkam się dzień cały, nie przemówiwszy słowa do nikogo. Nigdzie się docisnąć nie było można.

— A, jakże chcecie?! — odparł Dudycz. — Dziś był najcięższy dzień ze wszystkich; dzięki Bogu, że po stole²⁰ stary król dał nam i sobie spoczynek.

— A młodzi państwo? — zapytał kupiec ciekawie. — Poszli zapewne razem?

Uśmiechnął się Dudycz i potrząsnął głową.

— Młoda pani ma być bardzo zmęczona — rzekł — a królowi Augustowi podobno nie śpieszno do żony.

Włocha twarz wyraziła wielkie zdziwienie.

— Możeż to być? — zapytał. — Tak śliczna i miła pani, młodziuchna, wychowana...

— Widzieliście ją? — przerwał Dudycz, którego z kolei pochwała ta zdziwiła.

Włoch się zmięszał.

— Widziałem ją z daleka tylko — rzekł — ale wszyscy wszędzie to głoszą.

Szli, chwilę milcząc, ku wrotom. Kupiec ujął Dudycza pod rękę, jak gdyby go puścić nie chciał, a zależało mu wielce na przedłużeniu rozmowy.

— Od czasu, jak tu jestem w Krakowie — odezwał się po chwili — ciągle się spotykam z różnymi półsłówkami i aluzjami, których niedobrze rozumiem. I nie dziw, bo obcy jestem, a widzę, że u was na dworze niełatwo wszystko zrozumieć i kto chce się zbliżyć do ludzi, ostrożnie stąpać musi. Bodaj, czy nie dzieli się i dwór, i kraj na dwa obozy?

Dudycz, który obszernie się rozgadywać o tym nie lubił, głową tylko kiwnął potwierdzając.

Kupiec uśmiechnął się.

— A wy, czcigodny panie, do którego się obozu liczycie?

— Ja? ja? — odparł Petrek zamyślając się — prawdę rzekłszy, trudno mi to oznaczyć. Jestem dworzaninem króla jegomości starego, miałem zamiar wpisać się do dworzan młodego, a u królowej starej jestem też zapisany niezgorzej.

I po chwili namysłu dodał naiwnie:

— Ja trzymam przede wszystkim z sobą samym.

Zdawało mu się to dowcipnym i uśmiechnął się zadowolony z siebie, patrząc w oczy kupcowi, który dał mu aprobatę.

— Macie słuszość, to najbezpieczniej — rzekł.

— Jeśli się nie mylę — dodał Weneta²¹ po małym przestanku — przyznajcie się, ta wczorajsza piękna bardzo Włoszka, co tak dumnie siedząc, do nikogo się odzywać nie raczyła, nieprawdaz, wpadła wam w oko?

Dudycz się nie zapał, był z tego dumny.

— Ha, nieprawdaz? Na królowę wygląda? Taką panią w domu posadzić, byłoby się czym pochwalić.

— Alem słyszał — przerwał kupiec — jakoby młody król się też do niej zalecał...

Petrkowi nie czyniło najmniejszej przykrości przyznać się do tego. Rozśmiał się.

— No to co? — spytał. — Młody król żeni się z piękną i młodą królową, będzie więc musiał Włoszkę pożegnać. Na to czekam i rachuję.

Kupiec przyjął wyznanie z wyrazem współczucia.

— Można wam będzie powinszować — odparł. — Uważałem ją wczoraj, przypatrywałem się pilno: piękna, młoda, pełna uroku, a król przecie o niej i o jej mężu pewnie będzie pamiętał.

— To się rozumie — rzekł Dudycz — choć ja na to nie rachuję wiele. Stanie mnie na zaspokojenie wszystkich fantazji jej, byłem się ręką dobił.

— Sądziłeś, że wam to teraz przyjdzie bez trudności? — zapytał Włoch niepomiernie ciekawy.

Petrek dziwnie głową zaczął kręcić.

— Ale, ale! — rzekł z wolna. — Nie tak to łatwo, jak się zdaje... Włoszka wysoko patrzy, a co gorzej, starej królowej ona potrzebna, więc ją niełatwo puści.

— Potrzebna? Na co? — badał Weneta.

Szli tymczasem ku miastu. Dudycz był w takim usposobieniu, że z niego wszystko łatwo mógł pytający wydobyć.

— Między nami mówiąc — odezwał się Petrek z miną poważną, jakby zdradzał wielką tajemnicę stanu — królowa Bona, niewiasta nadzwyczaj przebiegła i zacięta, gdy co raz postanowi, nie cierpi młodej synowej, którą jej gwałtem narzucono. Zatrzyma więc kochankę, aby nie dopuścić syna do żony.

— A stary król czyż na to dozwoli? — mówił Włoch.

— Pewnie, że nie rad by, ale czy starowina podoła? — rzekł Dudycz. — On i jego pomocnicy idą prostą drogą, a królowa przez manowce i na przełaj; rychlej więc ona niż oni celu osiągną.

— Zatem wasza sprawa źle stoi! — westchnął Weneta.

Dudycz wtórował mu westchnieniem.

— Nie desperuję — odezwał się. — Nie desperuję.

— Cóż myślicie?

— Jeszcze nic nie postanowiłem — rzekł Dudycz. — Ja jestem sobie prosty człek, przebiegłością wielką się nie pochwalę. Mam za sobą dwie rzeczy tylko: upór i trochę pieniędzy.

— Obie nie do pogardzenia — odparł Włoch. — Można z nimi

zajść daleko. Lecz — dorzucił — oczywista rzecz, że gdy tak rzeczy stoją, musicie trzymać ze starym królem. On i jego przyjaciele pomóc wam mogą.

— Tak i ja sędzę — przerwał Petrek. — Jednakże ze starą królową, niech Bóg mnie broni, zrywać i jej się narazić! Takiego robaka, jak ja, zgniotłaby od razu.

Nadzwyczaj uprzejmy kupiec wenecki, w tej chwili doszedłszy do Rynku, obejrzał się po kamienicach.

— Ja tu mieszkam u Montelupich — rzekł — bo mnie gościnnie przyjęli. Nie zechcecie na chwilę zajść do mnie?

Dudycz się skłonił, a kupiec wprowadził go do mieszkania na dole, które zajmował. Tu w progu zaraz spotkała ich służba odziana po włosku skromnie, ale z pańska; i z gospody też poznać było można, iż Włoch, acz prosty kupiec, musiał być chyba zamożnym bardzo. Dziwna rzecz tylko, w jego mieszkaniu nic stanu, do którego się liczył, nie zdradzało. Na stole leżały książki, w kącie stała piękna broń, dokoła widać było dostatek. Lecz, że wielu naówczas handlujących zajmowało w społeczeństwie stanowiska wysokie, nie zdziwiło to Dudycz. Siedli, podano na skinienie wino doskonałe, łakocie wytworne, a i podróżny sprzęt wyglądał bardzo okazańie. Gdy słudzy się oddalili, kupiec rozmowę zerwaną zawiązał na nowo.

— Życzę wam powodzenia — rzekł — i bylebyście wziąć się umieli do rzeczy, sędzę, że zwycięsko wyjdziecie z tej imprezy.

Dudycz się uśmiechnął.

— Z osób wpływowych przy królu starym — rzekł — znam dobrze pana Seweryna Bonera, znany jestem panu Decjuszowi i innym. Jak skoro im kochanka króla pocznie ciężyc i przeszkadzać, sędzę, że mi pomogą do ożenienia.

— A ona? — spytał Włoch.

— Ona? Teraz — rozśmiał się Petrek — ani chce patrzeć na mnie, bo się jej zdaje, że zostanie przy królu młodym! Później rozum mieć musi... nikt się jej lepszy nade mnie nie trafi, to pewna.

Weneta słuchał ciągle z zajęciem.

— Hę — rzekł — wyście ludzie północy, u was tu wszystko idzie inaczej, powoli i nieśmiało. U nas, na południu, kto by, jak wy, chciał poślubić pannę, a kochał się gorąco, zamiast długo czekać, urządziłby sobie porwanie jej. Potem, gdy to królowi na ręk-

kę, wzięto by was w opiekę i wszystko skończyłoby się gładko i prędko.

Dudycz głową potrząsał.

— Jeszcze nie czas, owoc nie dojrzał — rzekł. — Królowi staremu nie dosyć dokuczyła kochanka, mało się o nią troszczy. Trzeba czekać, aż poczuje, że mu zawadza i młodej królowej serce męzą odbiera.

— Ale nie dawajcież się zrazić i odbić — przerwał Weneta — bo ją wam pochwyci kto inny!

— O to się nie ma co obawiać — rzekł Dudycz. — Mówiłem wam, upartym jestem. Tymczasem staram się sobie Włoszkę podarkami pozyskać.

— Przyjmuje ona je?

— Umiałem prawie gwałtem narzucić — uśmiechnął się Dudycz — ale toż takie były zaprawdę, żeby i królownie żal było je odrzucić, kosztowały też niemało.

— Nie żałujcie na to — dodał Włoch. — Opłaci się później. Po chwili kupiec znowu rozpoczął badanie.

— Cóż na jutro się zapowiada?

— Jutro młodej królowej składać będą podarki wszyscy — rzekł Dudycz — no... i nareście młode małżeństwo z sobą się połączy. Dano dziś słusznie spocząć królowej młodej, bo wczoraj strasznie się wydawała umęczoną.

— Ale nie chorowała? — zapytał Włoch, niespokojnie oczy wlepiając w Petrka.

— Nie słyszałem o tym — odparł Dudycz. — Wydaje się delikatną i słabowitą w istocie, a ma przed sobą jeszcze kilkanaście dni tych festynów, którymi dobrze się umęczyć musi. Na turnieje choć z galerii będzie patrzeć zmuszoną, a potem rozdawać nagrody. Wieczorem od tańca się nie uwolni.

— I myślicie, że to potrwa aż dni kilkanaście? — zapytał Włoch.

— Tak mówią — powiedział Dudycz.

Zaczęli potem ogólną rozmowę o osobach do dworu wchodzących, o które się Weneta pragnął poinformować. Zdziwił tym prostodusznego Petrka, że od niedawna dopiero przybywszy do Polski, zdawał się już tu większą część ludzi znać nie tylko z nawiska, ale ze stosunków i położenia.

Niemniej dopytywał troskliwie, a Dudycz dla niego dogodnym był, bo mu wiernie powtarzał ten *vox populi*, który, bądź co bądź, najczęściej trafnie, choć niewykwintnie, ocenia człowieka.

Sam on sądu nie miał o ludziach i charakterach, lecz słuchał i przejmował, co mówili drudzy.

Rozmowa przy kubku jednym i drugim wina przedłużyła się do późna i Dudycz siedział tu jeszcze, gdy właściciel domu, poważny, bogaty Montelupi, którego znał z daleka, wszedł gościa swojego odwiedzić.

Obejście się z Włochem tym możnego i w kupiectwie zajmującego stanowisko wysokie, Montelupiego, dało Petrkowi do myślenia. Był bowiem z Wenetą, jakby z osobą wyżej od siebie położoną i o której łaski mu chodziło, z wielkim poszanowaniem i względami.

Dudycz stąd ten wyciągnął wniosek, iż nowy jego przyjaciel, przynajmniej bogatym być bardzo musiał, ale z rozmowy całej niepodobna się było domyśleć, ani czym handlował, ani jakie tu miał interesa; wprost zaś o to się dopytywać nie śmiał Petrek i widząc, że noc nadchodziła, pożegnał go.

Wygadał się tak ze wszystkim, co miał na sercu i w pamięci, iż wyszedłszy z domu Montelupich, poczuł sam, że może nadto był otwartym i gadatliwym. Ale obcy zdradzić go nie mógł.

Powrócił na zamek dosyć zmęczony. Tu wszystko spoczywało na pozór. Po kurytarzach i galeriach było cicho, ale w oknach wszędzie światła migały i przysłuchując się, szmer wszędzie pochwycić było można.

Dudycz śpieszył już do swej izdebki przy kredensach, myśląc odpocząć, bo na jutro wiele miał do czynienia, gdy mijając jedne ze drzwi wiodących do mieszkań królowej Bony, zetknął się w nich z Zamechską.

Szła pośpiesznie i byłaby go pominęła, nie zdając się mieć ochoty do rozmowy, gdy Dudycz, który dawno jej nie widział, a chciwy był zbliżyć się, pozdrowił ją.

— Sto lat jakem do Miłości Waszej nie mógł przemówić słowa! — zagadnął.

— Bo też na swobodną gawędę nie pora — odparła ochmistrzyni kwaśno. — Daj mi pokój!

— Chwileczkę! — błagał Dudycz, ścigając ją do jej mieszkania.

— Czegoż chcesz?

— Czyż się pani moja nie domyślasz?! — zawołał rozmilowany. — Słodko jest choć pomówić o niej!

Weszli do komnaty ochmistrzyni, która szydersko się rozśmiała.

— Co ci w głowie? Wybijże to sobie! — rzekła. — Przekonać się mogłeś przecie, że ona ani na ciebie chce patrzeć!

— A ja czekam, aż się zmiłuje — dodał Dudycz — i właśnie myślę, że czas na trzeci podarek, który dwa poprzedzające zakasuje.

— I pō nim królowa cię znowu pośle do Kmity — rozśmiała się ochmistrzyni.

— Nie, teraz już nie — rzekł wesoło Dudycz. — Zmieniło się położenie.

Ochmistrzyni litościwie na niego spojrzała.

Zamechskiej, która zmęczona usiadła, w istocie żał być musiało biednego Dudycza.

— Szkoda mi cię — rzekła tonem protektorskim. — Jeżeli kiedy się może co zmieni, nie wiem, ale do tej pory ja nie widzę nic takiego, co by wam było korzystnym.

— Ależ król się ożenił! — odparł Dudycz. — Jasna rzecz!

Zamechska spojrzała w stronę ku pokojom Bony, i wskazując je ręką, szepnęła:

— Tak, ożenił się, ale na przystęp do żony i poznanie się z nią bliższe pozwolenia stamtąd nie ma. Nasza stara zła, zła i roznamiętniona przeciw staremu panu, przeciw młodej królowej, przeciwko wszystkim. Nigdy ją taką nie widziała. Długo się powstrzymała, teraz wybucha. Przy koronacji dano jej iść za młodą panią... Tego darować nie może. Jest upokorzona, poprzysięgła zemstę. Przy pierwszej zrzeczności stary pan będzie miał co słuchać. Szczęściem teraz pełno gości i sam na sam się z nim nie spotykają, ale nie minie go chłosta. A tymczsem na młodej będzie zemstę wywierać.

Zamechska pochyliła się ku niemu.

— Wiesz, gdzie jest teraz młody, świeżo ożeniony pan?

Petrek podniósł głowę ciekawie.

— A gdzież by być miał? U siebie!

Zamechska się śmiać zaczęła.

— Siedzi u kochanki, a matka pilnować każe, aby mu tam nie przeszkadzano — mówiła dalej ochmistrzyni.

Skrzywił się, słuchając, dworzanin.

— Jeżeli tak jest — rzekł — no, to stary król przecież dowie się o tym i tym prędzej zechce pozbyć Włoszki. To na moje koło woda!

— A, a! — przerwała Zamechska. — Starego króla, chorego, zmęczonego, nikt takimi doniesieniami trapić nie zechce, a gdyby nawet się dowiedział, myślisz, że on może Bonie pannę z jej fraucymeru odprawić i że ona na to zezwoli? Na przekórę ją przy sobie trzymać będzie.

— Miał słuszność Włoch — szepnął zadumany Dudycz.

— Jaki? Co? — spytała ochmistrzyni.

— Jaki? — odparł Petrek. — Nie umiem wam odpowiedzieć. Tak sobie, porządny Włoch, kupiec, z którym się poznałem przypadkiem. Radził mi wprost, ażebym Włoszkę porwał gwałtem... Król by mi za to podziękował.

Spojrzał na zdziwioną ochmistrzynię.

— A wy, miłościwa pani, wy, ja sobie myślę, powinniście mi dopomóc do tego.

Z załamanymi rękami Zamechska odskoczyła od niego.

— Tobie się w głowie pomieszało! — krzyknęła. — Albo drwisz sobie ze mnie!

Dudycz, wygadawszy się nie do rzeczy, spuścił głowę jak winowajca.

— Naprawdę by można myśleć, żeś ty z tej głupiej miłości oszalał — rzekła. — Nigdy nie przypuszczała nawet, ażebyś coś podobnego wymyślił.

— Ja tego nie skomponowałem — przerwał Dudycz. — Jejmość miałaś słuszność, ja bym takiej sprawy sam się nie domyślił, ale Włoch powiada, że u nich to rzecz pospolita.

Ochmistrzyni wpatrywała się w niego z podziwieniem.

— W twoim wieku, w twoim wieku — zamruczała — tak się zadurzyć w kobiecie, która na ciebie spojrzeć nie chce, niepojęta rzecz!

Dudycz był dumny tym.

— Mniej stary jestem, niż się wydaję — rzekł. — No — i zobaczymy, Miłość Wasza, że na swoim postawię.

— Teraz kiedy Włoszka starej królowej najpotrzebniejsza? — spytała Zamechska.

— A staremu królowi największą zawadą! — dodał Petrek.

— Ale cóż nasz dobry, stary król znaczy? — zaszeptała ochmistrzyni.

Dudycz głową potrząsał.

— Da się to widzieć — zamknął — da się to widzieć.

To mówiąc, wstał.

— Łasce i względem Waszej Miłości się polecam — rzekł z ukłonem.

— Abyś ci do wykradzenia dopomogła?! — szydersko zawołała Zamechska. — Nie takam głupia!

Dudycz już szedł ku drzwiom i zawrócił się jeszcze ku ochmistrzyni.

— Jutro młoda królowa podarki przyjmować będzie — rzekł cicho. — Ciekawym, co też Bona dla niej nagotowała. Wszak to nie musi być tajemnicą?

— Mylisz się i w tym — odparła ochmistrzyni. — Daję ci słowo, żeśmy wszyscy, równie jak wy ciekawi, dowiadywali się u podskarbiego królowej, a jeżeli kto, to Bruncaccio, który tu przybył z Chęcin, wiedziałby pewnie. Włoszysko mi się zaklinał, że dotąd na jutro żadnego rozkazu nie ma.

— Jak? Królowa by miała tak jawnie, wobec książąt i panów okazać swą niechęć, nie dając żadnego podarku?! To nie może być, nadto jest mądrą!

— Zobaczym jutro, powiadam ci — potwierdziła Zamechska. — Nie da nic.

— Wypowie wojnę.

— Dawno ona zapowiedziana! — zawołała ochmistrzyni.

— Król tego nie przebaczy! — odezwał się Dudycz.

— Potrafi się z nim rozprawić — dodała Zamechska. — Cze-kała nadto długo, chce wybuchnąć.

Petrek ręce podniósł do góry.

— Gdzie dwóch się kłóci — rzekł po cichu — tam trzeci korzysta. Dobranoc życzę Miłości Waszej.

Na zamku w wielkich salach była uczta zapowiedziana, lecz wprzód jeszcze urządzono z polecenia króla Zygmunta w izbie, złotej zwanej, owo uroczyste oddawanie darów młodej królowej, o którym była mowa.

Pierwsze naturalnie miejsce i tego dnia zajmowała młoda Elżbieta, której twarzyczka zmęczona, blada, oczy sińcami podbite odbijały dziwnie od uśmiechu, na który się siliła. Spoglądała na siedzącego obok męża i jakby z niego siły czerpać chciała, szukała wzroku jego, który unikać się jej zdawał.

I tego dnia Hölzelinowna, wzdychając, czując, jak pani ciężko będzie to dźwigać na sobie, musiała ją przybrać jak najkosztowniej, obwiesić klejnotami, aby przy wszystkich tych kosztownościach, jakimi ją obsypać miano, nie wydawała się zbyt uboga.

Bona z nie tajoną radością i ironią widoczną przypatrywała się zmęczonej, zżółkłej, biednej ofierze.

Stary król nie widział nic, był szczęśliwy. Zdawało mu się, że już odniósł zwycięstwo.

Naprzód tedy wniesiono dary męża, które stary król sam w jego imieniu z własnego skarbcza przygotować kazał. Były to trzy przepyszne naszyjniki: diamentowy jeden, z rubinów i szmaragdów drugi, trzeci z szafirów z perłami. U każdego z nich zawieszony był klejnot, rodzaj medalionu, który duże wiszące perły kształtu gruszczyk zakończyły.

Osiemdziesiąt par czarnych soboli i na okrycie ich złotogłów wschodni dopełniały ślubny podarek. Za nim wszedł dar ojca Zygmunta: znowu trzy naszyjniki, jeden w kształcie łańcucha do kołnierza, diamentowy cały, dwa z innych kamieni drogich z perłami, z wiszącym klejnotem i krzyżem.

Ostatni był jakby błogosławieństwem.

Cesarz Karol V przez margrabiego brandenburskiego słał swoje godło zwykłe, aby dawcę przypomniało. Był to wielki dwugłowy orzeł cesarski z diamentów i rubinów zawieszony na dziesięciu łańcuszkach diamentowych. Z drugiej strony jego stały dwie kolumny diamentowe, z godłem: *Plus ultra!* Karol V prześcigał Herkulesowe słupy.²²

Drogi klejnot do noszenia na szyi, z diamentów i rubinów, odznaczał się perłą ogromną, gruszczką na hiszpańskim łańcuszku.

Były to naprawdę piękne klejnoty, lecz drobne ich po większej części kamyki, wysokiej wartości nie miały. Wydawały się jednak wspaniałe.

Królowa Izabela węgierska złożyła u stóp synowicy cesarza cztery roztruchany²³ połączone roboty Niemców siedmiogrodzkich, łańcuch szmelcowany i kilka drobiazgów innych.

Od siebie Jerzy Brandenburski, mąż Jadwigi, córki starego króla, Ludwik Palatyn, Otto Henryk, książę Palatyn Neuburski i kilku innych książąt niemieckich, a na ostatek i Piotr wojewoda multauński²⁴, każdy przez posła osobnego składali w ofierze po większej części srebra kunsztowne trybowane²⁵ i złożone.

Z miast Królestwa celowały Kraków z trzema roztruchanymi złożonymi pięknej roboty, z których jeden z herbem miasta, i Gdańsk z misternym naczyniem podobnym, na którym Judyt²⁶ wyrażoną była. Elżbieta wcale do niej nie wydawała się podobną.

Żydzi także nieśli roztruchan złożony.

Mijamy wiele pomniejszych podarków.

Gdy po królu starym w początku zaraz kolej się zdawała przychodzić na Bonę, zatrzymał się na chwilę margrabia brandenburski z podarkiem cesarza. Zygmunt obejrzał się niespokojnie. Bona siedziała z zaciśniętymi wargami, z wyrazem ironii na twarzy, nie patrząc ani na synowę, ani na męża, zimna, obojętna.

W istocie od niej nie było podarku żadnego, nic.

Uderzyło to wszystkich, szczególnież może posłów cesarza i tych, co z Elżbietą przybyli.

Stary król spuścił oczy, drgnął, poruszył się, spoglądając na Maciejowskiego, potem z wyrzutem na Gamrata, który rozparty w arcybiskupim krześle swym w inną stronę spoglądał. Młoda królowa, dziękująca ciągle oczyma i ukłonami, nie zdawała się ani czuć, ani widzieć tego braku. W zgromadzeniu czynił on wrażenie wielkie, które się dawało rozpoznać po nieśmiałyach spojrzaniach, jakie przytomni rzucali ukradkiem na swych przyjaciół i na dwór Bony.

Chwilowy ten triumf odniosła Włoszka wprawdzie, bo w gniewie postanowiła okazać synowej swą niechęć, ale nadto była przebiegłą, ażeby wnet po fizjognomiach posłów cesarza i króla, po

twarży pani Solm i innych nie poznała, że się to w Wiedniu i Pradze odbije, a na Izabeli w Węgrzech i na jej posiadłościach neapolitańskich czuć dać może.

Widać było pewne pomieszanie na jej twarzy i jakby chęć zatarcia zbyt śmiałego kroku.

Trudno jednak było to, co się stało, odmienić.

Przy uczcie potem Bona, która siedziała obok męża, kilka razy go usiłowała wciągnąć w rozmowę. Zwracał się do niej chmurny, z twarzą pogardliwą i dumną, lecz nie odezwał się ani słowem.

Milczenie to wprowadzie u Zygmunta nie było dziwnym, ale w dniu tym miało znaczenie wielkie. Nie spoglądał na żonę nawet i zajęty był synową a gośćmi.

Zygmunt August, jak sądzić było można z jego fizjonomii, miał matce za złe wystąpienie publiczne, którego dobra polityka nie doradzała. Bona czytała potępienie w oczach wszystkich. Wprawiało ją to w gorączkę jakąś. Gniewać się na siebie nie umiała, zła była na wszystkich.

Dzień ten, zatruty od rana fałszywym krokiem Bony, ciągnął się długo niby na zabawach, a w istocie w męczących ceremoniach. Królowa stara usiłowała zapobiec, aby małżeństwo młode nie zbliżyło się i nie połączyło dnia tego, ale Zygmunta rozkazy, z góry oznaczony ceremoniał nieubлагany zmusił ją ulec — i królową Elżbietę wraz z mężem do ich sypialni odprowadzono.

Zaledwie się to dokonało, a król stary kazał się zanieść do swojego mieszkania, potrzebując wielce spoczynku, Gamrat z sali jadalnej pośpieszył za Boną do jej komnat.

Włoszka szła poruszona, zarumieniona gniewem i nie spostrzegła, gdy się zbliżył do niej. Dopiero gdy się zwróciła w mieszkaniu swym do towarzyszących jej panien, zobaczyła idącego za nią arcybiskupa.

Miał czoło zmarszczone i twarz zasępioną. Królowa rzuciła się na krzesło odpinając łańcuchy i ściągając klejnoty, które na stół ciskała z gniewem.

Arcybuskup stał przed nią.

— Miłościwa Pani — odezwał się — pozwólcie powiedzieć sobie, źle się stało! Zaprawdę źle!

— Cóż się stało?! — wykrzyknęła, podnosząc się, Bona.

— Jedna tylko matka nie dała nic synowej — rzekł Gamrat — a stało się to wobec posłów, którzy jutro, jeśli nie dziś, doniosą o tym cesarzowi i królowi ojcu! Pomszczą się oni, nie daj Boże, na Izabeli, na waszych księstwach.

Włoszka trzęsła się prawie konwulsyjnie z gniewu.

— Milcz! — krzyknęła groźnie, nie mogąc się pohamować. — Tak chciałam i tak uczyniłam... Źle czy dobrze, stało się. Gdy zechcę, wynagrodzę to.

— Nigdy — odparł Gamrat — żaden dar publicznie wyrządzonej krzywdy nie opłaci. Wasza Miłość, co gorzej, zdradziliście się.

— Nie czyni mi wyrzutów — przerwała królowa. — Stało się, stało się.

— A, lecz bardzo źle się stało!

Nogą uderzyła królowa o podnózek i syknęła. Gamrat skłonił głowę i zamilkł.

Bonie łzy bezsilnego gniewu zakręciły się w oczach.

Wtem szmer we drzwiach się dał słyszeć — marszałek wzywał pokornie najjaśniejszą panią, aby się do króla imości udać raczyła.

Znaczenie tego wezwania łatwo było odgadnąć. Bona się musiała przygotować na srogie, gorzkie wymówki. Przewidywała to z góry i gotową była raz długo odciągana wojnę rozpocząć.

Gamrat, szepcząc coś, starał się ją na próżno uspokajać — wstała, coraz się mocniej burząc i rzucając. Nie odpowiedziała mu nawet, szła szybkim krokiem wprost przez puste komnaty wewnętrzne do sypialni Zygmunta.

O tej porze król stary zwykle w łóżku już bywał; zastała go siedzącym w krześle jeszcze, a kapelan, który się do odmówienia z nim wieczornych modlitw odroczonego gotował, stał u drzwi drugich i pod pachę ująwszy książkę, zniknął.

Nim Bona przystąpiła bliżej, nie śpieszący się zwykle z mową król wybuchnął tak, jak od dawna już nigdy nie trafiało mu się gwałtownie.

— Przed całym światem potrzeba ci było okazać te rany, które nam zadajesz, tę truciznę, którą nas poisz, kobieto bezrozumna!

Dumną stanęła Bona, wyciągając rękę.

— Przyprowadziliście mnie do ostateczności! — poczęła wrzasliwie. — Chcieliście ze mnie lalkę jakąś zrobić, która tak skacze, jak jej każą. Taką ja nigdy nie byłam i nie będę. Syna mi odbierają.

Zygmunt po włosku, cicho, pojedynczymi wyrazy, przerywanymi po prostu już lajał królową.

— Nie krzyczże! — zawołał w końcu. — Potrzeba ci, aby na całym zamku wiedzieli wszyscy aż do pacholków, że u nas zgody nie ma, ani między małżeństwem, ani w rodzinie. Chciałaś uderzyć Elżbietę, a własną córkę, swoją najukochańszą Izabelę, raziłaś. Myślisz, że ci to cesarz przebaczy?

Bona, słuchając, rzucała się i płakała razem, a przeklinała.

— Miałam ja jej dawać podarki? Za co? Za to, że mi się tu wparła między mnie a syna, między mnie a ciebie... ta błada, wynędzniała, schorowana dziewczyna, która chorobę może przynieść jednemu synowi memu! Miałaś się dobijać o co! Nawet lichych trzydziestu tysięcy złotych, na które ze stu zeszło, nie mają czym za nią wiana zapłacić! Ja tu przecie coś przyniosłam i coś znaczyć powinnam! Wy mnie chcecie pognać, odsunąć, zaćmić dać tej niemieckiej...

Mówiła ciągle, a Zygmunt jedno powtarzał, równie gniewny, jak ona:

— Milcz, milcz!

— Nie będę milczała! Będę głosić całemu światu! — wołała. — Jestem matką, jestem królową, mam tu prawa, których wydrzeć nie dam! Potrafię się zemścić...

Sceny podobnych wyrzutów, kłótni, które dochodziły niekiedy do tego, że Bona się na podłogę rzucała, jak bezprzytomna, powtarzały się bardzo często. Zygmunt był do nich nawykły i wiedział też, że nigdy z nich nie wychodził zwycięsko. Złamany, osłabiony musiał ustępować w końcu.

Dnia tego jednak zbyt czuł mocno obelgę synowej uczynioną, by mógł uznać się winnym i zwyciężonym. Wejrzeniem groźnym mierzył Bonę, ręką uderzając o poręcz krzesła.

Włoszka lamentowała, jak zawsze, z tego samego wiekuistego tematu, który się ciągle przez długie powtarzał lata.

— To wasza wdzięczność za to, żeś tobie staremu i twojemu

barbarzyńskiemu krajowi poświęciła moją młodość, żem was moim złotem ratowała, żem tu prześladowana, nieszczęśliwa, zmarnowała się, otoczona wrogami!

Łzy i przekleństwa przerywały te wykrzyki, Włoszka ruchami rąk konwulsyjnymi to na sobie rwała odzienie, to na starego króla zdawała się godzić, który siedział nieruchomy, zasępiony, ale nieprześlagnany.

— Ty i twoi — wtrącił — nie daliście mi nigdy spoczynku. Czegom ja chciał, temuś się sprzeciwiała. Twoi zausznicy stawali mi na drodze. Przez ciebie u ludu mojego i u świata straciłem poszanowanie. Twoje spiski...

Bona poskoczyła, mówić mu nie dając.

— Gdyby nie ja — zawołała — gdyby nie pieniądze moje, nędzarzem byś był! Musiałam łożyć na dzieci, wspomagać ciebie, zasilać skarb!

— A te pieniądze nie z twoich neapolitańskich dzierżaw, ale z moich nadań i łaski ciągniesz! — rzekł Zygmunt. — Milczcie i upokórz się, niegodziwa!

Wyrzuty króla wcale do uspokojenia dopomóc nie mogły. Bona unosiła się coraz więcej, mocniej coraz i wkrótce niepodobna było zrozumieć, co mówiła, tak dzikim zawodziła głosem.

Walczyć z nią na słowa Zygmunt nie umiał nigdy. Kilkakroć powtórzywszy swe zwyczajne: „*Tace, fatua!*”²⁷ — zamilkł, podparł się na rękę i słuchał wołania, łajania, krzyków, jęków najobojętniej. Nie robiły one na nim żadnego wrażenia, czekał końca.

Bona wysiłona wreszcie zamiast na krzesło rzuciła się na ziemię i łkała, zanosząc się płaczem gniewliwym.

— Słuchaj — odezwał się Zygmunt poważnie — jeżeli ci twoje szaleństwo rozumne słowa da pojąć. Nie sądź, ażebym uległ tam, gdzie idzie o przyszłość jedyne go syna mojego i tej synowej, którą ukochałem jak własne dziecię! Ty chcesz przed Bogiem poprzysiężone małżeństwo rozdzielić... Ja tego nie dopuszczę. Okażę ci, że panem tu jestem i być potrafię.

Na chwilę ucichłszy, gdy mówił te słowa, Bona zerwała się z ziemi i rozśmiała szydersko.

Śmiech ten, niespodziany, straszny biednego Zygmunta przeszył jak najstraszniejsza groźba, pobladł, zatrzęsł się, zamilkł.

Nie mówiąc nic, Bona zmierzyła oczyma bezsilnego starca, dumnie wyprostowała, podnosząc głowę, skrzywiła usta i rzekła obojętnie:

— Masz mi co więcej powiedzieć jeszcze? Groźb twoich wcale się nie lękam. Kocham syna mego i póki żywa bronić go będę.

— Cóż mu to grozi?! — przebaknął król gniewnie. — Co?

— Pożycie z nienawistną, z narzuconą, ze wstrętliwą kobietą, która tu będzie szpiegiem i sługą cesarza i swojego ojca, nieprzyjaciół moich i Izabeli.

— Mogłaś ich pozyskać jako sprzymierzeńców, a robisz ich sama wrogami.

— Bo oni nigdy niczym innym być nie mogą i nie będą! — zawołała Bona. — Ciebie, dzieciinniałego starca, uwodzą, mnie nie potrafią.

Zygmunt nakazał znowu milczenie, a królowa odpowiedziała mu śmiechem.

Sprzeczką i waśń byłyby się przedłużyły pewnie, gdyby nie zaskrobano do drzwi.

Gniewnym wzrokiem rzuciła królowa na nie, nie pojmując, kto mógł tak zuchwale dobijać się tu, gdy ona była na rozmowie z królem. Łatwo się wszakże Zygmunt domyślił, iż kto inny być nie mógł nad lekarza.

Co dziwna, nie króla doktor zwykły, ale królowej, Nicolo Catignani ukazał bladą, długą twarz, otoczoną włosami czarnymi, w prostych kosmykach spadającymi na ramiona, i do królowej po włosku się odezwał, że Zygmuntowi potrzebnym był odpoczynek o tej godzinie.

Choć zwykle Catignaniego rady i rozkazów słuchała, Bona była nadto wzburzona tym razem, aby milcząc, przyjęła przestrożę.

— A po cóż mnie tu zawołano? — odezwała się na wpół do doktora, wpół do męża. — Nie myślałam mu wcale przerywać spokoju. Kazano mi przyjść jak dziecku, aby je skarcić.

Król syknął, nierad był tym zwierzeniom przed obcym, ale Bona dla niego tajemnic żadnych nie miała.

Catignani wszedł wcale nie zmieszany, pokłonił się Zygmuntowi, rękę kładąc na piersi, zbliżył do Bony z poszanowaniem,

ale nalegając, szeptać jej coś zaczął i opierając się, gniewną w ostatku swoją powagą potrafił do wyjścia nakłonić.

Trochę opodał ode drzwi czekali komornicy ze światłem, którzy Bonę, jeszcze całą poruszoną i ledwie oprzytomniałą do jej pokojów odprowadzać mieli.

Tak była zaślepioną gniewem, iż Catignani po kilkakroć wskazywać jej musiał kierunek, w jakim iść miała.

W pokojach czekał na nią Gamrat, który chciał wiedzieć, na czym się skończyła ze starym rozmowa. Pytać o to nie bardzo potrzebował. Dosyć było spojrzeć na wywróconą, zmienioną twarz Bony, istną głowę Meduzy²⁸.

Gamrat to wysłał Catignaniego, aby zbyt długi spór i dla obojga królestw niebezpieczne wybuchy poskromił.

Włoch, posadziwszy panią swą w krzesło, poszedł po lekarstwo na zburzoną krew i nerwy. Przyniósł kubek zgotowanego napoju, część jego naprzód wypił sam, gdyż w obawie trucizny Bona nigdy inaczej lekarstwa i pokarmów nie przyjmowała, i otarłszy ręcznikiem kubek, podał go pani.

Wzdrygała się wziąć go do ust.

— Lekarstwo? Co mi ono pomóc może? Jestem prześladowaną, upokorzoną, zagrożoną!

Gamrat przerwał uspokajająco.

— Miłościwa Pani — rzekł — więcej zagrożeni są nieprzyjaciele twoi. Potrzeba tylko, ażebyś zachowała tę zimną krew, którąśmy tak długo w tobie uwielbiali. Wrogom okazać, że ich pociski nas dosięgają, jest to im dawać zwycięstwo. Oni drżą teraz, a Wasza Miłość możesz się im urągać.

Z wolna mowa arcybiskupa razem z napojem lekarza poczęły działać na Bonę. Otarła łzy, zacięła usta, słuchała pochlebstw i dumiała.

Catignani, sprawiwszy, co było jego obowiązkiem, usunął się do drugiej izby i siadł tam na zawołanie przy pannach, które na służbę wyznaczone, jak on skinienia czekały.

Ze stosunkowo szybkiego uspokojenia Bony wnosić było można, iż wybuch gwałtowny u króla starego był może umyślnym i gniew wymuszonym dla postrachu, któremu Zygmunt często ulegał.

— Postawili na swym — szepnęła Bona Gamratowi. — Au-

gust musiał pójść tam..., lecz tym gorzej, tym gorzej. Wiem, że ze wstrętem z nią pozostał. Na oczach Elżbiety zobaczycie jutro ślady ież. Od jutra potrafię ich rozdzielić. Catignani i inni lekarze wszyscy zgodnie mówią, że jej choroba może się przenieść na małżonka. Któż wie? Elżbieta ma starą Niemkę przy sobie. Ostrzegłam, aby w łóżnicy nic nie pił... Mogą mu zadać filtr jakiś, mogą użyć czarów, aby go ku niej pociągnąć.

Nie odzywał się Gamrat długo.

— Miłość Wasza — rzekł w ostatku — trwożysz się zbytnio. Król młody jest panem rozumnym, ostrożnym, włada sobą i nie dopuści się ani upoić, ani oczarować. Młoda królowa, dziecko, do tego nie jest zdolną, stara ochmistrzyni nazbyt tu obcą i onieśmiewioną, aby się ważyła.

— Rozdzielić, rozerwać potrzeba koniecznie to małżeństwo wstrętliwe! — dodała Bona pośpiesznie. — Postaram się o to co najprędzej, aby Zygmunta wysłano.

— Dokąd? — zapytał Gamrat.

— Na Litwę — odparła Bona. — Król może by mu dał rychlej Mazowsze, bo o swą Litwę zazdrośny, ale ja nie chcę, aby zawładnął Mazowszem. Mam inne zamiary.

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Na Litwę — rzekł — gdy wyprawicie go, a posiedzi dłużej, doniosą o tym do Pragi, dopomni się groźno ojciec, aby żona jechała za nim. Oprzeć się temu będzie trudno. Straciecie ich z oczu oboje, a naówczas...

Bona rękami strzepnęła.

— Masz słuszność! — zawołała. — Ja ich od siebie puścić nie powinnam, ale oboje razem tu trzymając, zapobiec będzie trudno, aby się nie zbliżyli do siebie. Król stary jest uparty, August ma serce miękkie... może w nim litość obudzić. Trzeba ich rozłączyć, trzeba znaleźć środek jakiś...

Gamrat przerwał.

— Nie widzę żadnego innego oprócz wyprawienia na Litwę lub Mazowsze, ale pilno czuwać przyjdzie, aby mu tam stary król małżonki nie posłał.

— Może się zapobiec, ściągnąć — szepnęła królowa. — Będę pracować, czuwać, przeszkadzać.

To mówiąc, rękę białą położyła na ramieniu arcybiskupa.

— Jesteś przyjacielem moim, ty jeden — odezwiała się. — Wiesz jak ja niebezpieczeństwo i pomożesz mi do zapobieżenia złemu. Dopóki stary król żyje, jam tu panią. Jeśli Augusta serce stracę i władzę nad nim, po śmierci męża zostać mi przyjdzie służebnicą! Nigdy, nigdy! Nie stworzoną jestem do ulegania, nie potrafię kłamać. Augusta miłość, Augusta uległość muszę pozyskać teraz, a ta kobieta, to dziecko mi go odebrać może. Wolę wszystko nad to! Wolę, aby umarła! — dodała zniżając głos.

Gamrat nie odpowiedział nic, lecz nie dał znaku przyzwolenia. Słuchał zimny i znużony.

Bona mówić nie przestawała.

— Cesarz — ciągnęła dalej — ma zbyt wiele do czynienia w cesarstwie, aby się zbyt pilno dowiadywał, co się u nas dzieje. Listów tajemnych od niej nie dopuścimy. Gorzej będzie z ojcem, jest bliżej, a od niego zależy los Izabeli! A, trzeba mi było tego, ażeby sprawa jednego dziecka z drugiego losem była w przeciwieństwie! Izabelę i jej dziecię ratując, musiałabym Augusta stracić. Nie, nie!

— Mamy Turcję za sobą — rzekł Gamrat — zyszczy może króla francuskiego. Bądź co bądź poganin jest z nami. Kolą nam tym oczy, że z nim się tajemnie znosimy.

Oburzyła się królowa tym zarzutem.

— Głupi tylko ludzie mogą mi to mieć za złe! — wykrzyknęła. — W polityce nie ma pogan ani chrześcijan, są tylko sprzymierzeńcy i wrogowie!

Gamrat zdawał się być tegoż samego zdania, bo nie zaprzeczał.

— W tych dniach Greka się spodziewam, którego mi wysłać obiecano — dodała królowa. — Przekupię go, aby stanęli po stronie Izabeli i Węgrów sobie wydrzeć nie dali. Francuz wyjechał czy nie z listami mymi do Paryża?

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Niepodobna go było odprawić — rzekł po cichu. Treść listów trzeba dobrze rozważyć.

— Ale właśnie teraz — dodała królowa — wśród tego przekłętego zamętu weselnego niepostrzeżenie najłatwiej było wysłać je. Pomyślcie o tym.

— Turnieje i zabawy potrważą jeszcze dni kilka — odezwiał się Gamrat. — Czas mamy. Stary król zdaje się bawić nimi.

— On — rozśmiała się Bona — zmęczony jest straszliwie, ale to czyni dla nienawistnej Niemki. Sądzi, że jej tą świetnością oczy zakryje, aby nie dostrzegła, jak ją tu nienawidzą wszyscy.

— Nareście kiedyś się to skończyć musi — przerwał Gamrat. — Książęta pruski i lignicki długo siedzieć nie będą. Porozjeżdża się to powoli, zostaniemy sami.

Zadumała się królowa. Gamrat dał jej tak ukoić się trochę i widząc uśmierzoną, rzekł powolnie:

— Powrócić wam trzeba, Miłościwa Pani, do dawnego trybu, do obojętności pozornej, do chłodu. Wiele rzeczy nie widzieć, nie słyszeć i nie rozumieć.

— Tak, uniosłam się — odparła królowa. — Przyznaję to, ałem wytrzymać już nie mogła, tak długo w sobie zmuszona ukrywać to wrzenie, które przybycie Elżbiety do wybuchu doprowadziło!

— Starego króla ukołyszcie! — dodał Gamrat. — Wnoszę z tego, coś Miłość Wasza tu z sobą przyniosła, że burza musiała być niemała, a rozstanie bez pojednania.

Bona wstrząsała ramionami.

— Gdy zechcę — odezwała się — jednym skinieniem go uspokoję. Potrzebuje stary wypoczynku, ulegnie.

— I z tym będzie lepiej — dokończył, powstając, arcybiskup. — Wstępny bojem my tu nic nie poradzimy, ale podstępny tylko.

Uśmiechnął się, królowa rękę mu podała.

— Nie opuszczajcież mnie! — dorzuciła szybko. — Ty, Kmi-ta, Opaliński, na was rachuję. Opaliński teraz wiele może. Stanie na straży młodej królowej, krokiem od niej nie powinien odstąpić... ani Augusta, ani jej nie spuszczać z oka.

— Na Opalińskiego Miłość Wasza rachować możesz — odezwał się Gamrat — a on dobrze rozumie położenie.

— Powtórzcie mu, że na wdzięczność moją liczyć może. Jutro rano chcę się z nim widzieć. Ta noc, ta noc — szepnęła Bona wstając — a Augusta wyrwać stamtąd nie mogę.

Zaledwie drzwi się za Gamratem zamknęły, gdy w drugich ukazała się trupia, straszna twarzyczka mniszki Maryny, tej sługi królowej, która jak cień stała wszędzie i zawsze przy niej, za nią,

gdy nikogo nie było, gdy wszystko stało zaparte, a żadne ludzkie oko ni ucho nie mogło się wcisnąć.

Gdy cała służba odchodziła, gdy zamki wszystkie zapadły, gdy Bona pozostawała samą, Maryna musiała stać przy niej. Szła tak, że słyhać jej nie było, a jednak królowa wiedziała, że ma ją za sobą. Skinęła ku szafie, nie mówiąc słowa, Maryna poszła ku niej powolnym krokiem, dobyła szkatułkę, przyniosła ją i postawiła na stole przed Boną. Z brwiami zmarszczonymi z wolna królowa kluczyki wzięła z woreczka u pasa, otworzyła zamek i wzrokiem niespokojnym poczęła się przypatrywać leżącym w niej klejnotom. Z głębi świeciły, błyszczwały, promieniały różnobarwne drogie kamienie, rubiny krwawe, szmaragdy i szafiry, opasane brylantami; drżącą ręką chwyciła Bona dwa czy trzy kanaki²⁹, które z kolei rzuciła naład, na ostatek dobyła naszyjnik podobny do jednego z tych, które z rana ofiarowano Elżbiecie. Pochodził on zapewne z klejnotów wyprawnych królowej, gdyż z jednej strony herb Sforzów stał wyemaliowany, wąż ów pożerający dziecko, ale złotnik omyłką, zamiast dziecka, w paszczę smokowi rzucił gorejące płomień.

Bona obejrzała klejnot bacznie, jakby chciała wartość jego ocenić, i wzięwszy w ręce, zamknęła szkatułkę, którą Maryna na miejsce odniosła.

Podeszła kroków kilka, a służka, co jej każdą myśl tak doskonale odgadywać umiała, nie potrzebowała wskazówki, by wiedzieć, co ma czynić. Wzięła w rękę świecę i szła poprzedzając panią.

W kurytarzach panowała cisza i z dołu tylko od służby i dworu, który jeszcze się nie udał na spoczynek, dochodziły stłumione głosy. Bona szła długo za Maryną, a gdy ta stanęła u drzwi i uchyliła je, znalazła się w mieszkaniu Dżemmy.

Słabe światło stojącej w kątku lampki komnatkę w półmroku zostawiało. Nikogo widać nie było, tylko jęk jakiś stłumiony doszedł uszu Bony.

Dżemna z włosami rozrzuconymi leżała na podłodze z twarzą na kobiercu..., nie widziała nic, nie słyszała wchodzącej. Królowa stanęła nad nią, długo się przypatrując, nim otwarłszy oczy, Włoszka ją zobaczyła i poznała.

Z wolna podniosła się, ale ból, który ją rzucił obezwładnioną i bezprzytomną na podłogę, odebrał siły, wstać nie mogła.

A cóż dla niej znaczyła w tej chwili królowa i wszystkie w świecie królestwa, gdy ten jedyny, co dla niej był światem, porzucił ją, stał się jej niewiernym!

Zazdrość odbierała jej przytomność — wpatrzyła się w Bonę, nie mówiąc słowa, jakby pytała wzrokiem, czego ona od niej chce może.

— Dżemmo, co tobie? — cicho poczęła królowa, łagodząc głos, w którym brzmiał gniew ranny i zburzenie. — Co tobie *poverina*? Podnieś się! Przyszłam cię pocieszyć, dziecko moje. Ja tak samo, jak ty, cierpię... i mnie go odebrano, ale to nie potrwa długo, my go mieć będziemy i nie dopuścim, aby wydarto.

Jęknęła Dżemma podnosząc się.

Wstydyła się użalać i boleć przed królową, ale czyż cała jej postać, łzy, twarz, niemota nawet nie mówiły za nią?

Bona była dziwnie czułą i litościwą, pochwyciła ją za głowę, ścisnęła, zaszeptala coś i dobywszy klejnot zza sukni, włożyła go w rękę Dżemmie.

— Widzisz — rzekła — wszyscy jej dziś przynosili podarki, ja nie dałam nic, umyślnie, a tobie, dziecko moje, którą serce syna mego wybrało, zawieszam na piersi ten stary mój paniński klejnot, który August zna dobrze. Możesz się w niego przystroić. Ale męstwa, Dżemmo, męstwa! Łzy nie pomogą, bo nikt się nie ulituje nad nami. Trzeba walczyć zuchwale! W Auguście znajdziemy sprzymierzeńca. Ja cię nie opuszczę.

Dżemma całowała, płacząc, ręce królowej.

— Oczu sobie nie wyplakuj, serca nie psuj..., to chorowite dziecko oddamy doktorom; nie ma obawy, aby się w niej August rozkochał.

Poszeptawszy jeszcze na ucho Dżemmie, Bona pogłaskała ją po twarzy, po głowie, obejrzała się dokoła i wyszła, a mniszka Maryna w milczeniu, cicho stąpając, odprowadziła ją do sypialni.

Dniało, ale wiosenne niebo całe powleczone było gęstymi chmury szarymi, które leniwo, powoli zdawały się z boku na bok obracać. Na wschodzie, tam gdzie słońce ukazać się miało, zza oparów różowy, słaby blask przyświecał czasami i sine chmury przysłaniały go natychmiast.

Nad rankiem dopiero w mieście i na zamku sen zmorzył nawet najzawziętszych opojów i kosterów⁸⁰, którzy korzystali z wesoła, aby się upoić i oszaleć. Wśród ciszy tej ledwie szmer jakiś z lekkim, jak westchnienie, wiatrem przebiegał powietrze.

W sypialni młodych królestwa otwarły się z cicha drzwi i kroki ostrożnymi wyszedł ktoś z niej. Lampka dopalała się z dala, za zasłoną łoża drganie jej zdradzało życie.

Łoże stało na pół opróżnione, a z drugiej strony jego siedziała, z rękami na piersiach złożonymi, z włosami rozpuszczonymi, młoda królowa zadumana.

Była sama. Uśmiechniętego owego dziewczęcia, które tak wdzięcznie przyjmowało dary i powinszowania, trudno było poznać w tej twarzyczce smutnej i głęboko zadumanej, jakby nagle czarodziejskiej różdżki dotknięciem dojrzałej. Oczy jej patrzyły przed się nieruchomie w mrok komnaty, ale nic nie widziały, nie dostrzegły nawet na palcach, po cichu, ostrożnie zbliżającej się Hölzelinownej, która uchyliwszy kotary, szukała dziecka swego macierzyńskimi niespokojnymi oczyma.

Piastunka nie śmiała się zbliżyć długo — z postawy chciała odgadnąć coś. Elżbieta postrzegła ją wreszcie i obie ręce chciwie ku niej wyciągnęła.

Zbliżyła się Kätchen, a królowa wedle dawnego zwyczaju objęła ją białymi rączkami za szyję, głowę złożyła na ramieniu i pozostała tak milcząca, przymknawszy oczy, jakby spoczynku potrzebowała.

Westchnienie się z jej ust wyrwało.

— A, Kätchen — szepnęła. — Kätchen... Co za noc okropna, jaka ona była długa! Kätchen, jak ja ją inaczej wyobrażałam sobie... On, on, ten, którego ja tak kocham od dzieciństwa, mój pan, mój król, miał raz pierwszy zbliżyć się do mnie, mieliśmy być sa-

mi. Przygotowałam się tak serdecznie paść w jego ramiona, i płacząc powiedzieć mu wszystko. Jak go kochałam, jak tęskniłam za nim, jak teraz jestem szczęśliwa. Kätchen... był tak zimny jakiś, zastygły, milczący, obojętny... nie wiem, może nieśmiały, może jak ja bojaźliwy, że usta mi zamknął. Kätchen... nie śmiał się nawet przybliżyć do mnie, jakże ja miałam zdobyć się na odwagę?!

Westchnęła młoda królowa.

— Ale, nieprawdaż, to tak zawsze z młodymi małżeństwami być musi?

Hölzelinowna nie odpowiedziała nic, a królowa poczęła po małym przestanku:

— Może on mnie nie kocha? Może on się mnie lęka? Może on wie, że ja czasem nagle zapadam w ten sen, jakbym już była umarłą, i lękał się, abym ze wzruszenia nie omdlała?

Kätchen przerwała nagle:

— Ani on, ani nikt z tych, co tu są, nie wie o tym, nikt wie-dzieć nie powinien; powinnaś zapomnieć o tym, nie myśleć, aby się to nie powtarzało. To nie jest chorobą żadną, ale wprost zmę-czeniem. Sił ci przybędzie, sny te ustaną.

Elżbieta zamyśliła się.

— A, żebyś wiedziała — rzekła — jak się ja obawiałam cią-głe, aby mnie to nie napadło przy nim, teraz! Drżałam i modliłam się. Gdy wszyscy wyszli, zwrócił się ku mnie, zaledwie siłę mając powiedzieć mi, że muszę być bardzo zmęczoną i potrzebuję odpoczy-nku. Patrzałam na niego wzywając, aby się zbliżył... Nie miał odwagi, stanął z daleka. Wzrok miał roztargniony. Siadł na krześle przy łóżku, głowę pochylił na dłonie... ale na próżno udawał, że nie patrzy na mnie, spotykałam wzrok jego. Mnie pierwszej ode-zwać się, Kätchen, wszak prawda, nie wypadało? Alem się nie kła-dła, siedziałam na łóżku zwrócona ku niemu.

Na starej, osmuconej twarzy Hölzelinownej malował się nie-pokój i trwoga, a łzy stawały na powiekach.

— A, on dobry jest, łagodny — poczęła Elżbieta — a tak szlachetną ma postawę, a tak miłe, słodkie wejrzenie, ale nie-śmiały bardzo! Wiem pewnie, że, tak jak ja, musiał szukać słów, chcieć i nie móc się odezwać, że czekał może, abym ja poczęła, a mnie biednej brakło tego czarodziejskiego słowa, co by jemu i mnie usta i serce otworzyło. Ale jutro, jutro, a, przyjdzie już

łatwiej... jutro będziemy starzy znajomi, ja spodziewam się być śmielszą, nie tak bić mi będzie serce!

W miarę jak królowa mówiła, lice Hölzelinownej smutniało coraz, rozplakana poczęła drobne, białe, zastygłe rączki dziecka swojego całować, położyła je na poduszki, okryła.

— Zaśnijże teraz! — zawołała. — Spocznij, potem cię znowu zbudzą na festyny męczeńskie, a ty i tak już wszystką wyczerpałaś siłę!

Kätchen chwilę pomyślała.

— Król młody — rzekła — postąpił sobie bardzo rozumnie. Kazał odpoczywać, nie rozpoczynał nawet rozmowy, aby cię nie męczyć, siedział na straży. Trzeba go słuchać.

— On mnie kocha? Nieprawdaż?! — zawołała królowa. — On mnie kocha tak, jak ja jego?

— Kocha, kocha, dziecko moje — potwierdziła piastunka — ale miłość się musi ośmielać i objawiać powoli, to prawo rycerskie! Daje ci czas, abyś się z nim oswoiła, przywykła, spoufaliła.

Elżbieta słuchała. Znała tak dobrze starą swą ochmistrzynię, że ją zaczęła posądzać o trochę przesady, o chęć pocieszenia tylko.

— I miłość zawsze z początku jest tak zimna? — zapytała królowa.

— Śpij, moja królowo, śpij, nabierz sił, abyś jutro miała rumieńce — przerwała Kätchen. — Nie trwoż się, nie myśl o niczym, wszystko będzie pomyślnym, pójdzie szczęśliwie, bo nie ma człowieka na ziemi, co by na tobie, skarbie mój drogi, nie poznał się, nie ocenił cię, nie pokochał.

Pochyliła się nad nią, znowu ręce jej całować zaczęła, znowu otuliła pościelą, ale zaledwie przymrużywszy oczy, Elżbieta porwała się niespokojna.

— Kätchen, ja bo spać nie mogę! Ja bym tyle, tyle ci miała do powiedzenia, ale ty... ty...

— Czyż na to nie będziemy mieli czasu jutro, później? — nalegała Kätchen. — Tyś powinna zasnąć, aby mieć rumieniec na jutro! Stary król będzie się trwożył bladością twoją, a młody niepokoił.

— A barwiczka? — odparła Elżbieta. — Od czegoż ona?

— Ona nie zastąpi ci rumieńca — rzekła Kätchen. — Patrz na pożyczany rumieniec starej królowej. Któż w niego uwierzy?!

Posłuszna młoda pani przyłożyła głowę do poduszki, ale oczy się jej zamknąć nie mogły, patrzała na piastunkę siedzącą u łóża na straży. Usta się mimowolnie poruszać zaczęły.

— Miałam wczoraj cały gotowy w głowie obrazek tego pierwszego spotkania — rzekła. — Jak to nigdy, nigdy nic odgadnąć niepodobna! Chciałam całe moje życie, całe dzieciństwo mu opisać, opowiedzieć, miałam mówić o matce, o tobie, o ojcu, o siostrach, o naszych zabawach, o tym, jak cesarz mnie na kolana posadził, jak bawiliśmy się w ogrodzie, jak jego obrazek pierwszy i drugi chowałam i przypatrywałam mu się, jakem go tu zaraz poznała, tylko mi się wydał piękniejszym nierównie od malowanego! Ja proszę cię, Kätchen, ani słowa nie mogłam powiedzieć... nic, nic. Patrzyliśmy się na siebie z daleka, milczeli, aż do rana.

Hölzelinowna zagryzła usta.

— Królowo moja, usnij proszę — nalegała.

Elżbieta, uśmiechając się, zamknęła oczy. Ćwierć godziny może trwało milczenie, zdawała się usypiać. Kätchen już na palcach oddalić się chciała, gdy przymrużone powieki nagle otwały się szeroko i jedna ręka królowej za suknię chwyciła piastunkę.

— Kätchen, powiedz mi, czy on mnie kocha! Dlaczego by on nie miał kochać, kiedy ja tak w nim jestem rozmiłowana? Dlaczego on był tak strasznie zimny, tak okrutnie milczący, tak nielitościwie nieczuły?

— A, królowo moja, zamiast usnąć, ty się dręczysz! — schylając się nad nią, zawołała Hölzelinowna.

Elżbieta porwała się i usiadła.

— Gdyby mnie nie kochał — rzekła — naówczas... naówczas co ja pocznę?

Uściskiem zamknęła jej usta Hölzelinowna i siadła przy łóżku.

— Gdyby cię nie kochał, byłby ślepym i bezrozumnym! — zawołała. — Ale miłość, dziecko moje, nie przychodzi nigdy gwałtownie. Jeżeli on jest zimny, ty masz prawo przymileć mu się i poruszyć jego serce. Jeżeli on jest nieśmiały, ty bądź odważną.

Podumała chwilę piastunka, czy jej od razu wszystko odkryć mogła.

— Nie zrozumiesz tego — dodała cicho a poważnie — że matki bywają o synów zazdrośne. Zdaje mi się, że właśnie taką jest Bo-

na, której się może zdaje, iż miłość syna dla ciebie coś serca jego dla niej odbierze.

— Bona? Królowa matka? — szepnęła Elżbieta. — A, jak ja się jej lękam! Jaka straszna kobieta! Z daleka, gdy spotkam jej oczy, zdaje mi się, że pożreć by mnie chciała. Ona mi słówka jednego nie powiedziała, aby ośmielić i pociągnąć ku sobie. A ja ją będę musiała nazywać matką.

Załamano ręce Elżbieta.

— A, tak, tak! Tyś doskonale odgadła wszystko! — poczęła żywo. — Temu winna ta królowa straszna, o której jeszcze w Pradze słyszeliśmy, że ona tu rządzi wszystkim i królem samym. Zygmunt taki dobry dla mnie. Lecz czyż starej tej Włoszki niczym rozbroić, przebłagać nie można? Byłabym tak pokorną, tak posłuszną, byleby mi Augusta kochać i jemu mnie pozwoliła!

Kätchen uśmiechnęła się.

— Przymilać się starej królowej — odezwała się — byłoby na próżno. Zachowaj się poważnie i nie okazuj tylko bojaźni. Masz za sobą powagę ojca, opiekę cesarza, których ona potrzebuje obu, nie waży się nic począć przeciwko tobie. Nie trwoż się tylko i nie okazuj po sobie, gdybyś nawet cierpieć miała. Wszyscy tu oczy mają zwrócone na ciebie i wszystkie serca już pozyskałaś sobie. Stary Zygmunt łyży ma na powiekach, gdy patrzy na ciebie, Tarnowska i jej siostra z uwielbieniem mówią o tobie, cały dwór unosi się nad twą pięknnością i łagodnością. Bona nie dokaże przeciwko tobie nic i ludzie więcej tylko, niż dotąd, będą ją nienawidzili.

Zamyślona słuchała młoda pani.

— Bona — rzekła po cichu — wiesz ty o tym, gdy wszyscy podarki przynosili, ona jedna nie dała mi nic, nic... Gdy przyszła kolej na nią, czekano..., widziałam na twarzy starego króla podziwienie i gniew, ale nie okazałam nawet, że to zrozumiała. A, Boże mój — dodała — czyż ja potrzebuję tych darów, tych bogactw! Bylebym miała jego serce, oddałabym Bonie, co mam. Niech tylko kochać się nam nie przeszkadza!

Dzień już był biały. Na zamku ruch w początku słaby, stawał się żywszym z każdą chwilą. Na podworcach zamkowych, pomimo przejmującego chłodu, gotowano plac do turniejów, wysypując go piaskiem, bijąc koły, okrążając go łańcuchami i sznurami.

Do starego króla poczęli się zjeżdżać senatorowie dla odprawienia, co pilniejszym było, nimby się rozpoczęły zabawy, igrzyska i przyjmowanie cudzoziemskich gości.

Król Zygmunt po stoczonym wczoraj boju z żoną, spoczawszy mało co, wstał znużony, spodziewając się przy pierwszej zrzętności nowego wybuchu. Nic go tak nie dręczyło, jak te starcia krzykliwe, gwałtowne, które godności jego uwłaczały. Postanowił też unikać spotkania z Boną.

Zwykle dowiadywała się ona o zdrowie męża, gdy wstawał. Dnia tego nie spodziewał się jej Zygmunt, gdy drzwi się otworzyły, Bona weszła z twarzą pofałdowaną, zmęczona, dumna, ale na oko spokojna. Za nią kroczył tuż Catignani, co zapobiegało kłótni. Król odetchnął swobodniej.

— Daj mi siły, jeśli możesz — rzekł do Włocha. — Widzisz, że ich potrzebuję. Człowiek zarówno, niestety, potrzebuje ich do zniesienia bólesci, i do podolania szczęściu. Mnie już i zabawa ciąży.

Catignani wybuchnął narzekaniem na chłód majowy, naówczas, gdy we Florencji od skwaru już wytrzymać nie było można w mieście. Narzekał na kraj tak nieszczęśliwy, w którym przez ośm miesięcy najmniej marznąć było potrzeba.

Król odezwał się półgłosem:

— Signor Nicolo, błogosławić trzeba może chłód ten, jeżeli on nie dopuści szerzyć się morowemu powietrzu, o którym już słyshać, a upały je zwiększają.

Catignani zbłądł i przeżegnał się.

— Bóg nas od niego uchwata — szepnął.

Królowa stała milcząca, zagryzała usta, rzuciła kilka pytań i razem z doktorem wkrótce zabrała się do wyjścia.

Król odetchnął swobodniej; na resztę dnia mógł być spokojnym i zapewnionym, że burza nie nadejdzie. Jak poprzedzające, dzień ten cały upłynął na zabawach, które w owych czasach zwykły były zawsze towarzyszyć każdej większej uroczystości. W podworcu zamkowym urządzono turnieje, chociaż przeraźliwy chłód, który zimę przypominał, postrojonym rycerzom i giermkom, paniom przypatrującym się z galerii, dokuczał mocno.

Królowa Bona pokazywała się mało; chciano wyczytać z jej twarzy, co czuła i zamierzała, lecz po gwałtownym wybuchu trzymała się na wodzy. Gamrat i inni zaklinali ją, aby przy obcych nie

objawiała tak jawnie niechęci dla synowej, o której natychmiast donieść miano do Wiednia i Pragi. Zdaje się, usłuchała tej rady.

Nie była wprawdzie uprzejmiejszą dla Elżbiety, ale w ciągu turniejów i następującej po nich uczty, rozdawania nagród i tańców, nie okazała po sobie, co miała w duszy, i obracała się do otaczających, rozpoczynając rozmowę.

Stary król przyglądał się żonie i dosyć rad był zmianie. Po-chlebiał sobie, że na tym wojna się skończyć miała, a synowa swą dobrocią przebłagała Włoszkę.

Wieczorem Bona, nie mieszając się do niego na pozór, potrafiła tak ułożyć wszystko, iż August nie zajął nawet do małżonki, powiedziawszy jej sucho i zimno przy odprowadzaniu do sypialni, że powinna spocząć i snem się pokrzepić.

Sam on, z pewną ostentacją od żony powrócił do matki i u niej pozostał tak długo, do tak późnej godziny, iż go nie widziano, gdy wyszedł.

Mało kto wiedział o tym, że przez pokoje królowej matki przejście było nie postrzeżone aż do mieszkania Dżemmy, do której August mógł się przesłiznąć pod opieką Bony, nie zwracając na to oczów. Pomiedzy kobietami tajemnica ta ukryć się nie mogła.

Dżemma z wesołą, zwycięską twarzą, z ustami uśmiechniętymi przesuwiała się znowu pomiędzy towarzyszkami, które jej okazywały uszanowanie.

Król Zygmunt, przed którym utaić nie było można, że młody król zaniedbał swą żonę, zmarszczył się, podumał, nazajutrz czulszym jeszcze okazał się dla synowej, ale ani Bonie, ani Augustowi nie powiedział nic.

Tylko w miarę jak Elżbiecie starano się zatruć pierwsze chwile pożycia z mężem, on coraz o nią był troskliwszym.

W parę dni potem stosunki trwały jeszcze nie zmienione.

A Elżbieta? Skąd słaba ta istota, której siły powinny się być wyczerpać po takiej próbie strasznej, brała je na dalszą walkę? Jak ona mogła z wesołym prawie obliczem występować publicznie, uśmiechać się, tańcować, udawać, że nie słyszy i nie widzi, co by ją obrażać mogło? Jak to dziecię potrafiło, na chwilę nie okazując słabości, wahania się, podołać ciężkim obowiązkom tych uroczystości, to wytłumaczyć trudno.

Być może, iż sama duma i uczucie ucisku dawało jej tę moc

duszy, być może, iż rozumna Hölzelinowna dawała jej wskazówki, że na ostatek miłość dla Augusta natchnęła ją do wytrwania z twarzą pogodną.

Bona, która w początku była pewna, iż tę biedną istotę osamotnioną tu, osieroconą, bez porady, łatwo znęka i zwycięży, nie mogła się wydziwić — burzyła się mocniej jeszcze na widok uśmiechów i pogodnych wejrzeń swej ofiary. Przechodziło to jej pojęcie.

Zygmunt August też może innego skutku się spodziewał swej oziębłości dla żony. Elżbieta wcale mu nie okazywała gniewu, witała go z rana uśmiechem i grzecznym słowem, wesoło, bez urazy żegnała go wieczorem. W ciągu dnia nie dostrzegał najłżejszej chmurki na jej twarzy.

Dwór podzielony na dwa obozy, ciekawy, mniej więcej wtajemniczony w rozpoczętą walkę, patrzył na to widowisko z najwyższym, można powiedzieć, z gorączkowym zajęciem.

Co było szlachetniejszego, stało naturalnie po stronie ofiary, obudzającej współczucie, politowanie, a umiejącej z taką godnością znosić cierpliwie prześladowanie niegodne.

Najmniejsza oznaka nie uchodziła oczu ludzi; patrzano na Bonę i Elżbietę, jak na dwóch zapaśników w arenie, staczających bój z sobą.

Dotąd stronnictwo królowej starej wcale się nie miało czym cieszyć, zadawało razy dotkliwe, ale nieprzyjaciela zbroja nawet nie poniosła szwanku. Gamrat, Kmita, Opaliński, Bona wręście zżyłali się, burzyli, nie dokazawszy w istocie nic.

Co gorzej, pochwały Elżbiety będące w ustach wszystkich tak ze wszech miar były usprawiedliwione, iż nawet nieprzyjaciele potakiwać im musieli.

W zamku wieści o tym, co się na nim działo, przechodziły na miasto, w którym tak dobrze, jak na Wawelu, miał swoich Zygmunt, miała i Bona.

Oprócz tego dalej od pola walki tłum stał neutralny, sądzący bez uprzedzenia. Tu w ogóle też wszyscy brali w obronę króla, Elżbietę, a sarkali głośno na Bonę, na Włochów i Gamrata. Wyras ten publicznego sądu, dochodząc do Bony, raził ją. Obóz więc królowej nie mógł pokryć tego, że się mu nie po myśli działo.

Arcybiskup Gamrat przypisywał niepowodzenie temu, iż kró-

lowa stara zbyt jawnie okazała swą niechęć i wypowiedziała wojnę, gdy do niej słusznych przyczyn nie miała, żadnej wymówki. Pomiedzy królową a jej doradcą powstały spory — w obozie Bony wszyscy czynili sobie i drugim wyrzuty.

Włoszka, w końcu wyłajawszy Opalińskiego, spojrzawszy groźnie na Gamrata, krótko, nie tłumacząc się, zapowiedziała, że to wszystko naprawi sama, że niczyjego rozumu nie potrzebuje. Oczekiwano więc ciekawie tej naprawy.

Z królem nie wznowiły się kłótnie. Parę razy tylko Bona z przekazem się wyraziła o posagu synowej, którego ani grosza nie spłacono, trzecią część jego dopiero obiecywano na przyszłe Boże Narodzenie.

Zygmunt w parę dni potem zdziwił się mocno, gdy Bona mu z rana zapowiedziała, że chce gości, synową z synem i jego przyjąc u siebie wieczorem i gotuje im *collazione*.

Staremu się twarz rozjaśniła, a że chciwym był spokoju, upatrzył w tym oznakę jego i nawrócenia Bony. Przez cały dzień się tym radował, a ktokolwiek do niego przystąpił, pytał go, czy jest zaproszony przez królowę, lub oznajmował, że wieczorem młodzi królestwo u niej będą wraz z gośćmi.

W kołach Bony wiadomość ta sprawiła podziwienie. Zdania były podzielone. Gamrat wielce ten krok pochwalił, nazywając go dobrą polityką, inni naganiali, bo dawał na pozór zwycięstwo nieprzyjaciółom.

Bona wcale się o te sądy nie troszczyła. Wydała rozkazy na wieczorne przyjęcie, które nie różniło się od zwykłych podobnych, na jakie czasem zapraszała.

Dumna a skąpa, chcąc się okazać możną, a nierada do ofiar, Bona umiała połączyć u siebie pewien rodzaj przepychu z oszczędnością. Tak samo gotowano ową *collazione* na sposób włoski, przy której miały wystąpić srebra, naczynia, tuwalnie, szkła i przybory bardzo piękne, ale jadła i napoje bywały zawsze i teraz być miały oszczędnie, skąpo i nieobficie roznoszone.

Króla starego w krześle przeniesiono na pokoje żony, gdzie i młode małżeństwo się znajdowało. Wszyscy się nie mogli odchwalić postawy godnej, spokojnej, szlachetnej Elżbiety, która nie okazywała po sobie ani zbytniego upokorzenia, ani przesadzonej dumy, ani nade wszystko, żeby się czuła dotkniętą czymkolwiek

bać. Była tak spokojną i naiwną, jakby się tu znajdowała najszczęśliwszą.

Zygmunt August, który z ciekawością śledził każdy ruch i wyraz żony, musiał też być zdumionym, choć nie dawał tego znać po sobie. Pewien rodzaj niepokoju chwilami dawał się postrzegać na jego twarzy.

Bona dotąd tak prawie jak nie mówiła i nie zbliżała się do synowej. W gościnie u siebie przyjęła ją tak samo zimno, a na pokorny pokłon odpowiedziała zaledwie skinieniem.

Jakież było miłe zdumienie króla Zygmunta, gdy przed półściem do stołu, choć może w sposób niezbyt czuły i grzeczny, Bona zbliżyła się do Elżbiety, niosąc w ręku alsbant³¹ (naszyjnik) z przepysznych kamieni, z klejnotem zawieszonym przy nim i kilka niezrozumiałych słów rzuciwszy jej do ucha, włożyła go na szyję Elżbiecie.

Stary król czule spojrzał na żonę — Bona triumfowała.

Wprawdzie spóźniła się z podarkiem, ale ten nie tylko wyrównywał innym, lecz może stosunkową wartość i pięknnością je przechodził. Posłowie cesarscy i króla nie mogli zarzucić Bonie okazania niechęci.

Dopełniwszy tego, Bona była zmuszoną udawać wesołą — mówiła wiele, uprzejmą okazywała się dla gości. Sama niektórym przynosiła kubki słodkiego wina.

Hetmanowa Tarnowska, która należała do liczby zaproszonych gości, dostała też jakiś napój z rąk Bony i szepnęła siostrze w ucho:

— Miałaby Włoszka wszystkich nas tu struć przez zemstę?

Półżartem to powiedziała, ale nie jej jednej na myśl przyszła trucizna, tak naówczas już sądzono Bonę.

Przy wieczerzy, która składała się z owoców, z słodocy, ciastek i win, wystąpił Monti ze śpiewem, dwóch cytarzystów z muzyką — ale niewielką to wesołość obudziło.

Zmagano się na nią, nie mogąc przyjść do istotnego rozweselenia. Oczy wszystkich zwracała umyślnie poza młodą królową postawioną przez Bonę, strojna przepysznie, jaśniejąca pięknnością nadzwyczajną Dżemma.

Nie było tajemnicą, że król młody się w niej kochał. Mimo wolnie porównywano tę Juno wspaniałą³² ze śliczną, ale słabiut-

ką, delikatną królową, której lice blade jakieś wewnętrzne zdradzało cierpienie. Stary król jeden może ani jej nie spostrzegł, ani wiedział, dlaczego ją tu postawiono.

Dżemma była strojna, tak że wśród fraucymeru, dosyć jednostajnie ubranego, nawet suknią i klejnotami ściągająca na siebie oczy.

Na szyi jej błyszczący alsbant, jakby naumyślnie włożony, miał takie podobieństwo do tego, który Bona dała Elżbiecie, iż w ich zbliżeniu myśli jakiejs dorozumieć się było można.

Zygmunt August postrzegł to najpierwszy może, drgnął, zarumienił się i oczy spuścił, jakby go to niemile dotknęło.

Elżbieta, nie widząc stojącej za sobą, nie domyślała się niczego.

Gdy nadeszła godzina, w której goście się rozejść mieli, oznaczona tym, iż stary król kazał się odnieść do swej sypialni, goście królowej byli pozornie wszyscy rozgrzani, rozochoceni, uśmiechający, ale każdy z nich wyniósł jakieś przykre uczucie z tego wieczoru, który się wydał długim, a zostawił po sobie uczucie niepokoju.

Jak innych dni poprzedzających, August powrócił do matki i pozostał tu do późna. Nikt nie wiedział, co się z nim stało.

W sypialni królowa młoda siedziała sama ze swą powiernicą i piastunką, Kätchen Hölzelin, i obie po cichu szeptały.

Lampka paliła się przez noc całą, można się było każdej chwili młodego spodziewać, lecz jak poprzedzających dni, tak tego, August się nie pokazał u żony.

Zrozpaczona ochmistrzyni potrzebowała całej mocy wypróbowanego charakteru, aby sama nie upadła i powierzonej sobie młodej pani nie dała rozplynać się we łzach. Bezsenne noce upływały na naukach, na pocieszaniu, na rozmowach.

Hölzelinowna, przewidując i obawiając się najgorszych następstw tej walki niegodziwej, nie mogła już nic tać przed Elżbietą, musiała ją uzbroić tak, aby na wypadek wszelki sama sobie poradzić mogła. Nie czas było łudzić się, uwodzić i pocieszać kłamstwami.

Mając do czynienia z dzieckiem prawie, nie przygotowanym do pojęcia wszystkich życia obrzydliwości i niegodziwości, Hölzelinowna była w najtrudniejszym w świecie położeniu. Potrzeba

było nagle przed istotą nieświadomą, niewinną odsłonić nie widziane dotąd przepaście, natchnąć ją męstwem.

Samo wychowanie bogobojne, ciche, domowe, czyniło przeszłość tak z terażniejszością niezgodną, jak gdyby nowy świat oczom królowej się odkrywał. W dzieciństwie jej wszystko wydawało się miłością, szlachetnością, wszystko czystym i jasnym; tu, na dworze męża, w matce jego trzeba było ukazać potwora, w ojcu bezsilną ofiarę, w mężu słabą istotę powodującą się³³ despotyzmowi czy czarom matki.

Czary, w owym wieku tłumaczące wszystko, co było niezrozumiałym, służyły jako postrach — posługiwano się nimi wszędzie. Przypisywano więc otwarcie tę władzę, jaką Bona miała nad synem, czarom; mówiono o tym powszechnie. Starą Włoszkę równie skłonni byli wszyscy uznawać czarownicą, jak trucicielką.

A cały czar, jakim Bona nad synem uzyskała przewagę, było jej uleganie wszystkim zachciankom młodzika, fantazjom dorastającego.

Król trzymał syna surowo dosyć, nie folgował mu. Karciał często, nie chciał go widzieć rozrzutnym, pamiętając na marnotrawstwo Aleksandra, Olbrachta i dziada Jagiełły.

Bona, jakkolwiek skąpa, gdy szło o pozyskanie syna, nie żałowała nic, zasilala go pieniędzmi obficie, obsypywała podarunkami, a na ostatek, widząc do miłostek skłonny, ułatwiała mu je z rodzajem lekceważenia, które nie było w polskim obyczaju.

Cały fraucymer Bony był jakby haremem młodego pana. Zapobiegano skandalom przez ożenienia, zamykano usta podarkami, wysyłano do Włoch, wydawano za mąż w oddalone strony.

Dżemma nie była pierwszą, chociaż przywiązanie do niej przechodziło wszystkie dawne miłostki. Inne dziewczęta były płochymi — ta kochała nie króla, ale Augusta i przywiązała się do niego namiętnie. Lecz Bona nie wierzyła w to, ażeby miłość ta mogła później stanąć na zawadzie, stać się ciężarem — rachowała na płochość niewieścią.

W końcu maja, gdy się to wszystko działo, goście obcy powoli się rozjeżdżać zaczęli, zamek powracał do trybu życia zwykłego, ale królowa młoda, jak była, tak pozostała — sama. Nic się nie zmieniało, stosunki tylko naprężały, a każdy czuł, iż pozostać nie mogą takimi, jak się ułożyły ostatecznie.

Niepodobieństwem było, aby August ożeniony nie żył z żoną, aby jawnie powrócił do kochanki, aby królowa odosobniona, coraz nieprzyjaźniejszymi otoczona i obcymi sługami, skazaną była na rodzaj niewoli. Jadała nawet zwykle sama z Hölzelinówną, która, przez poszanowanie usiąść nie śmiejąc, posługiwała swej pani. Król młody pokazywał się u niej bardzo rzadko. Z królową Boną spotykały się też nie co dzień i na krótko, a staremu królowi nawet umiano przeszkadzać i przystęp do synowej utrudniać.

Cudowną siłę okazywała Elżbieta wśród tego powolnego męczeństwa, chodząc z pogodną twarzą, spokojna, jak gdyby nigdy, na chwilę, nie zwątpiła o swej przyszłości. Małżonkowi nie okazywała najmniejszego żalu, uśmiechała mu się, witała go przyjaźnie.

Hölzelinówna obawiała się wielce, aby wzruszenia, jakich doznawała Elżbieta, nie wywoływały powtórzenia tych napadów choroby, którą starano się ukrywać przed wszystkimi.

Dziwną sprawą natury, zmuszona do walki Elżbieta zdobywała się na taką siłę, iż nawet chorobie, której podlegała zwykle, opierać się mogła.

O tych napadach omdleń długich Bona była zawiadomioną, rachowała na nie, aby one syna zraziły od żony, tymczasem nawet najsilniej podrażniona Elżbieta znosiła wszystko. Tajemnicą siły tej była miłość dla męża.

Pocziwa Kätchen, choć sama może nie wierzyła w to, wmaśniała swej wychowance, iż cierpliwością spokojną zmoże nieprzyjaciół, a męża ku sobie nawróci i pozyszcze.

Powtarzała jej to codziennie.

— Nie zrażaj się, on ma serce dobre, wszyscy mu to przyznają; matka go psuje, ale prędzej czy później uczuje błąd, pokocha cię i będzie się starał naprawić.

Elżbieta tę słodką nadzieję przyjęła — było to jedyną jej pociechą.

— Kätchen — mówiła do niej wieczorem — wiesz? On dziś trzy razy spojrział na mnie ukradkiem, gdy Bona tego widzieć nie mogła. Uśmiechnął się nieznacznie. Gdyśmy stali razem w loggii, upadł mi wachlarz... Zamiast go kazać podnieść paziowi, schylił się, wziął go i sam mi oddał. Stara rzuciła na nas okiem bazyliuszka³⁴, a ja wachlarz ten pocałowałam. Nie unika teraz tak ode mnie. Parę razy po cichu zamieniliśmy słów kilka. A, Kätchen, jaki on

ma głos miły, jak słodko w jego ustach brzmi mowa nasza! On i stary król wcale dobrze mówią po niemiecku, ale Bona języka tego nie rozumie i boi się go, więc przy niej odzywać się boją. Gotowa posadzić, że coś się przeciwko niej knuje, tak jak ona ciągle coś przeciw mnie snuje i wymyśla.

A w kilka dni potem, rzucając się na szyję piastunce, zwiastowała jej Elżbieta, że August, gdy byli sami, pytał się jej o rodzeństwo, że mogła mu rozpowiedzieć o matce, o siostrach; o swym życiu, o tym, co jej było upodobanym.

— Ale wtem Włoszka nadeszła — dodała — i rozmowa prze-rwać się musiała.

Na dwór swój, z wyjątkiem Opalińskiego, nie mogła się skarżyć młoda pani. Jeden on, sługa gorliwy Bony, pilno przestrzegał, aby była jak najbardziej odosobnioną.

Hözelinowna spostrzegła, że i jej listy, i te, które Elżbieta do rodziców pisywała, wszystkie przechodziły przez ręce Opalińskiego, a zatem pewnie przesuwają się przed oczyma Bony i mogły albo ginać, lub zdradzać.

Potrzeba więc było znaleźć jakąś drogę, którą by zwierzania się poufne, opis wierny tego, co się tu działo, mogły dojść do rodziców i cesarza. Hözelinowna we dworze nie wierzyła nikomu, ale pod pozorem pokupek dla siebie wykradła się na miasto, starając znaleźć kogoś z kupców, który by w Wiedniu i Pradze miał stosunki.

Nie potrzebowała szukać długo — domyślny bardzo, a oddany całej młodej pani, Seweryn Boner sam się jej nastęrczył. Wiedziała, że jemu zaufać mogła, bo wiernie stał przy starym królu.

Do niego się więc udała. Podskarbi przyrzekł listy przesyłać i zaręczył za ich całość, ale trzeba było jeszcze pośrednika niepo-dejrzanego, który by przenoszenie potajemne ułatwiał.

Boner wahał się długo, nie znalazł nikogo lepszego nad Dudycza, który miał w tym własny interes, aby pomóc młodej królowej.

Dudycz niepozorny, nie posadzany, powszechnie za prostaczka uważany, nadawał się do tego doskonale.

Na wezwanie Bonera odpowiedział gotowością do usługi.

— Jeżeli ty młodej pani wiernie pomożesz — rzekł Boner

— możesz się tego spodziewać, że my ci do twojej Włoszki pomożemy, która nam już kością siedzi w gardle.

Petrek uśmiechnął się i pokłonił. Położył rękę na pierśsiach.

— Wasza Miłość możesz na mnie polegać — rzekł — nikogo nigdy nie zdradziłem. Dobrowolnie się podejmuję, wiem, co czynię. Ale Miłościwy Panie, Miłościwy Panie, za posługę tę pamiętajcie o mnie! Ja Włoszkę zaślubić muszę!

Boner śmiał się.

— Nieszczęśliwy człecze — rzekł — ja ci pewnie nie przeszkodzę! Bierz ją, a wywieź jak najdalej, aby młody król za nią nie szalał!

Stanęła, tak ugoda i Dudycz został Hölzelinownie wskazany.

Drugi już miesiąc upłynął od przybycia królowej Elżbiety do Krakowa, czerwiec się miał ku końcowi. Ruch i życie, jakie tu panowały przez dni kilkanaście, ustały, wracał zwykły tryb i porządek, cisza, pod której płaszczem wikały się intrygi, toczyła walka gorączkowo, ale ostrożnie prowadzona przez królową Bonę.

Włoszka na chwilę w niej nie spoczywała, ale się jej zdawało, że potrafi omamić wszystkich, udając spokojną, na pozór niemal beczynną.

Tymczasem widoczne skutki jej zabiegów wskazywały, że nie próżnowała. Jawnie stała ona na stronie, lecz młoda królowa coraz bardziej odosobniona, opuszczona, ściśnięta, dozorowana, czasem tygodniami całymi nie widująca męża, cierpliwie znosząca przesładowanie, obudzała we wszystkich politowanie. Skarga nigdy się z jej ust nie wyrwała, a łzy przychodziły w nocy, gdy była sama z Hölzelinowną i nikt ich ani posłyszeć, ani widzieć nie mógł.

Kätchen dodawała pani swej siły i męstwa, ale i w samej królowej wyrobiła się energia, jakiej się po młodziuchnej i nie przygotowanej do takiego losu kobiecie spodziewać nie było można.

Raz postanowiwszy nie skarżyć się i znosić w milczeniu los, który się zmienić musiał, królowa, ile razy się ukazywać publicznie musiała, wychodziła z twarzą uśmiechniętą, której bladość tylko zdradzała wewnętrzne cierpienie.

Bona, która miała wiadomość o chorobie, jakiej podlegała Elżbieta, rachowała na ucisk, na rozdrażnienie mające wywołać niechybnie, wedle doktorów, których się radziła, napad może publicznie, wśród jakiej uroczystości. Rachuby te ją zawiodły.

Najboleśniejszym ciosem, jaki zadać mogła synowej, było odciąganie od niej męża trwające dotychczas. Zygmunt August dawał się Dżemmie trzymać przy sobie, a Bona miłostki te ułatwiała. Ale i to nie zdołało młodej królowej wycisnąć łez, zniechęcić i doprowadzić do rozpacz.

Piastunka jej powtarzała:

— Wytrwaj tylko cierpliwie, a zwyciężysz. August do ciebie powróci. Znajdą się nareszcie, co staremu królowi o intrydze doniosą i Włoszkę potrafi oddalić od dworu.

Z pomocą Dudycza pisała Hölzelinowna ciągle do ojca i matki, donosząc bez ogródki żadnej, co się tu działo, skarżąc się na Bonę, wyświecając jej czynności.

Zygmunt Stary nie o wszystkim mógł być zawiadomiony. Chory i osłabiony nie znosił wiadomości, które drażniły, musiano go oszczędzać. Maciejowski i inni przyjaciele znajdowali, że nawet interwencja gwałtowna starego króla przeciw Bony knowaniom niewiele by pomóc mogła, i oni więc woleli nalegać na ojca i na cesarza, aby użył jedynego środka, jaki być obiecywał skutecznym — zagrożenia Bonie pomstą na królowej Izabeli i na posiadłościach neapolitańskich.

Lecz wystąpienie stanowcze ze strony ojca musiało być na czymś oparte i trzeba było z umiarkowaniem poczynić, aby Elżbiety położenia nie pogorszyć.

W Wiedniu i Pradze mówiono sobie, iż król jest stary i niedługowieczny, a z jego panowaniem wszystko się odmienić musi. Zwlekano więc. Ośmielało to Bonę, chociaż nie zdobywała się dotąd na środki gwałtowne. Szła powoli i zawsze w ten sposób, aby się wycofać mogła.

Zygmunt August korzystał z tego, aby z rozkochaną Włoszką, jak ona niepomny jutra, spędzać dni na rozmowach i marzeniach. Oboje się upajali sobą. Dżemma nie zaglądała w przyszłość lub wystawiała ją sobie fałszywie w barwach najświetniejszych. August też unikał myślenia o następstwach.

Bacne oko, pomimo jego rozkochania się we Włoszce, która umiała miłość tę rozżarzać i utrzymywać, może by dojrzało czasem politowania nad Elżbietą, rodzącego się jakiegoś zajęcia jej losem.

Najobojętniejszy człowiek nawet nie mógłby się był oprzeć współczuciu, jakie ta ofiara, znosząca tak cierpliwie swe męczeństwo, wzbudzała. Zygmunt August serce miał dobre, lecz był namiętny, a namiętność czyni samolubnym i zaślepia.

Urzędowa miłość małżonki nie miała dla niego uroku tej zakazanej, kradzionej a poetycznym wdziękiem jakimś przyodzianej. Nic tak nie wywołuje namiętności jak przywiązanie, poświęcenie, miłość jednym słowem. Dżemma była szalenie rozkochaną. Powtarzała sto razy na dzień, że gdy ją August opuści, życie sobie odbierze.

Chociaż król młody nie okazywał najmniejszego dla małżonki uczucia, tak aby ono zazdrość Włoszki obudzić mogło, Dżemma była szalenie zazdrosną o każdą godzinę życia jego spędzoną bez niej, podejrzewała, obrzucała wymówkami, płakała. Sceny te przykre kończyły się zawsze roznamietnieniem z obu stron większym jeszcze.

Bona, Opaliński, wszystkie kobiety dworu starej pani stosunkom tym króla z Dżemłą starały się posilkować, zabezpieczać je i ukrywać.

Z młodą królową nawet ci, co z nią sympatyzowali, nie byli w bliższych stosunkach, obawiali się jawnie jej dopomagać, bo na wszystko Bona miała baczne oko.

Dudycz jeden bardzo gorliwie służył Hölzelinownie, ale nikt go nie podejrzывał, tak dalece, że się wysmiewać poczęto, posądzając go o matrymonialne zamiary, chociaż Kätchen, niepiękna, miała lat przeszło czterdzieści. Nosił listy, chodził z wiadomościami i skargami do Bonera, z radami od niego powracał.

Jednego dnia czerwcowego właśnie z pismem ukrytym za suknią kroczył najdziwaczniej ubrany pseudo-Włoch ku kamienicy Bonera, zboczywszy w Rynek dla jakiegoś sprawunku, gdy z kamienicy Montelupich, około której przechodził, usłyszał sykanie. Obejrzał się, bo nie było blisko nikogo, i domyślał się, że się ono do niego stosować mogło. W oknie domu stał ów niemal już zapomniany kupiec wenecki, którego poznał czasu wesela, dając mu znaki. Dudycz, przypomniawszy go sobie, zbliżył się. Włoch miał twarz nadto wyrazistą, aby ją zapomnieć lub omylić się można.

Pośpieszył do kamienicy i znajomego mieszkania, w którym odwiedzał był Wenetę. Stał on tu w progu, grzecznie i uprzejmie witając dawnego znajomego.

Petrek znalazł go jakoś innym. Coś w nim było zmienionego, nie tylko w postawie i twarzy, która miała wyraz poważniejszy i pewniejszy siebie, ale strój też, łańcuch na szyi, paradne ubranie czarne, mieczyk u boku podobniejszym go czyniły do dworaka jakiegoś, do urzędnika, niż do prostego, choćby majątnego, kupca.

Ta mała metamorfoza niezbyt jednak zdziwiła Dudycza — strój ten mogły wywołać okoliczności.

— Szczęściem to nazwać mogę — odezwał się kupiec, biorąc

za rękę Petrka i do krzesła go prowadząc — że mi się spotkać z wami nadarzyło. Potrzebowałem widzieć się z wami.

— Jestem na usługi wasze — odparł Dudycz.

— Tymczasem — mówił dalej Włoch — nic więcej od was nie potrzebuję nad to, ażebyście zapomnieli o tym, żeście mnie widzieli w Krakowie.

Dudycz się zdumiał nieco.

— Tak — dodał kupiec — potrzeba, żebyście mnie nie znali ani ja was. Tym razem przybywam tu do Krakowa nie jako kupiec, ale jako wysłany od cesarza i ojca królowej Elżbiety, spodziewając się, że mi tu przy młodym królu zostać pozwolą.

Dudycz milczał, niedobrze rozumiejąc, a kupiec uśmiechnął się i mówił dalej:

— Wiem, że wy służyliście Hölzelinownie, a zatem trzymacie z nami. Nasza młoda pani jest tu bez opieki, otoczona obcymi, potrzeba, aby kogoś przy małżonku miała przyjaznego sobie. Mam zalecające listy, mógłbym królowi Augustowi służyć za tłumacza, za sekretarza. Językami władam kilku.

Dudycz z wolna zaczynał się domyślać celu poselstwa.

— Rozumiem — rzekł — i życzę powodzenia. Bardzo byście się tu przydali, ale do kogóż macie listy polecające?

Włochowi oczy wesoło się uśmiechały.

— Do wszystkich — odparł — do króla starego, do młodego, do biskupa Samuela, do hetmana, do pana Bonera. Do wszystkich — powtórzył — oprócz do królowej Bony, bo do tej pisać było próżno.

Zamyślił się mocno Petrek.

— Życzę, aby się wam powiodło — odparł — ale nie wiem spełna, jak potrafiacie ciężkiego dokonać dzieła.

— Starać się będę — rzekł Włoch z pewnością jakąś. — Królowa stara Włoszką jest, ja też Włochem, jedną bronią walczyć z nią potrafię. /

Dudycz milczał.

— Macie więc wiedzieć — dodał kupiec — iż na teraz kupcem już wcale nie jestem, ale posłem króla ojca i zowie się, do usług waszych, Giovanni Marsupin³⁵.

To mówiąc, pokłonił się nisko.

— Przybyłem dzisiaj rano — mówił dalej po chwili — ma-

łom co miał czasu dotąd rozszłuchać się i rozpatrzeć. Cóż się u was dzieje?

Dudycz zagadnięty znalazł się w trudnym położeniu; na zapytania pojedyncze byłby łatwo znalazł odpowiedź, do takiego ogólnego odmalowania położenia nie czuł się na siłach. Wymownym nie był, a myśli błąkały mu się zwykle samopas po głowie.

Odparł poruszeniem ramion i miną skwaszoną.

— Młodą królowę Bona widocznie postanowiła zamęczyć — odezwał się Marsupin. — Co ona zrobiła z tego małżeństwa! Prawdaż to, że król August nie jada nawet z małżonką, nie widuje się z nią po dni kilka... nie odwiedza. Mówią mi, że jej zbywa niemal na wygodach do życia. Zrobiono z niej niewolnicę! Ale co oni sobie myślą, że król, pan mój i cesarz to zniosą, nie starając pomścić?!

Milcząc słuchał Petrek — miał jedno na myśli, że jego własna sprawa mogła w Marsupinie pozyskać walnego sprzymierzeńca.

— Król młody ma kochankę — rzekł. — Widzieliście ją! Przypomnijcie sobie... Wszystko na tym, aby ją od niego oddalić!

— Wiem — odezwał się, śmiejąc, signor Marsupin — i to nawet, że wy byście się chętnie podjęli uwolnienia nas od niej.

Dudycz uśmiechnął się także.

— Ale kochanka ta... fraszka! — dodał Włoch.

— Jak to fraszka? — przerwał Petrek.

— Tak jest — mówił Marsupin. — Weźmiemy mu tę, Bona potrafi drugą dostarczyć. Piękna dziewczyna jest narzędziem. Musimy złamać Bonę i nie dać jej znęcać się nad Elżbietą groźbą odwetu na ukochanej Izabeli.

— Ale Włoszka! — zawołał niespokojny o siebie Dudycz. — Wy ją lekceważycie, widzę.

— Bynajmniej! — rzekł Marsupin. — Piękna jest, rozkochana lub dobrze udaje rozmiłowaną, wszystko to prawda, ale poza nią stoi Bona. Na nią uderzyć potrzeba.

Po chwili milczenia Dudycz, choć nie krasomówca, jakając się wywód rozpoczął:

— Pewna rzecz, że na Bonę trzeba tak czy owak działać, ale, miły panie, choć wierzę w to, że będziecie mieć poparcie, choć sędzę, że wam nie zbędzie na zręczności, powiem jedno tylko. Król Zygmunt od lat wielu, dwudziestu kilku bodaj ożeniony, a je-

szczęśmy nie widzieli ani jednego przykładu, aby z Boną on czy ktokolwiek inny, walcząc, wyszedł zwycięsko.

Marsupin słuchał zmarszczony.

— Tak mi źle wróżyście? — szepnął. — No, ale ja męstwa nie tracę!

— A ja wam życzę powodzenia — dodał Dudycz — ale wiecie, co powiem? Ja przysięgnę, że gdy my tu rozmawiamy z sobą, a o was w mieście i na dworze nikt nie wie, ona już o przybyciu, o listach, o wszystkim jest zawiadomiona. Na dworze cesarza ma swoich, ma ich w Pradze, ma wszędzie... Sypie, gdy potrzeba, pieniędzmi, a ma ich więcej niż król i skarb koronny. Za te pieniądze, kogo chce, kupuje.

Marsupin położył mu rękę na ramieniu.

— Nie sądzę, ażeby na dworze polskiego króla wszyscy byli sprzedajni — rzekł — ani biskup Samuel, ani hetman, ani wielu innych kupić się nie dadzą jak Kmita, Gamrat i Opaliński. Bona dokuczyła już wam, jest znieprawiona, panowanie jej się kończy.

— Daj Boże! — westchnął Dudycz.

Marsupin żywo począł po izbie się przechadzać. Petrkwowi już na myśl wróciła jego nieszczęsna Włoszka.

— Szanowny panie — odezwał się — nie potrzebuję wam zaręczać, iż na usługi wasze jestem i będę. Że mi wierzy pan Boner i Hölzelinowna, najlepszym dowodem (tu dobył zza sukni list) oto to pismo, które niosę do podskarbiego. Rób pan, co uznasz dobrym, dla młodej królowej, ale nie zapominaj, że póki tu Włoszka jest, póty król młody od żony stronić będzie.

Marsupin śmiać się począł. Poklepał go po ramieniu.

— Rozumiem — odparł — chociaż zaprawdę dziwuję się, jakimi czarami ona was sobie pozyskać mogła, bo wielkiego z nią szczęścia spodziewać się wam trudno.

— To moja rzecz! — zawołał Dudycz. — Ja jestem człowiek uparty jak muł, a uporem się wiele robi. Byłem Włoszkę miał, dam sobie z nią radę! Wyplacze się, wyzłości, a w końcu zgodzi ze swym losem, który ja jej ozłocę.

Dudycz uderzył się po kalecie.

— Bylebym pomocy i opieki pewnym był, choćby wykraść ją gotów jestem.

— Jakże? I królowej Bony, którą mnie straszycie, nie boicie się?! — zawołał Marsupin.

— Nie tak bardzo, bo ona ma kilkanaście dziewcząt jeszcze na miejsce tej, którą wezmę.

— To prawda — potwierdził Włoch — ale gdyby tak było, niewiele nam pomoże usunięcie jednej.

Poruszył ramionami.

— Lecz co tu o tym rozprawać przedwcześnie! — dodał. — Naprzód potrzeba bliżej poznać młodego króla. Ja znam go tylko ze słuchu. Opowiadają, że ma zdolności wielkie, serce i charakter szlachetny, a słabość jego dla kobiet tłumaczy po części młodość, w części to, że matka nie tylko jej pobłażała, ale się starała w niej utrzymać, aby korzystać. Niepodobieństwem jest, aby młody król nie poznał się na tym skarbie, jaki mu daliśmy. Chwilowo jest upojony, lecz wytrzeźwić się musi.

Dudycz wstał, nie mając już co dodać, a chcąc pośpieszyć do Bonera.

— Tak więc — żegnając go, dorzucił Marsupin, który do drzwi odprowadzał — pamiętajcie, że się nie znamy, a razem, że macie we mnie chętnego pomocnika w tym wszystkim, co interesowi młodej królowej służyć może.

— Mam o was powiedzieć panu Bonerowi? — zapytał Dudycz.

— Wie on już o mnie — odparł Marsupin — a jutro z listami idę... do młodego króla naprzód.

Petrek, któremu zjawienie się tego posła zdawało się dobrą dla niego wróżbą, wesoło pośpieszył do podskarbiego; tu krótko zabawiwszy, ponieważ nowe odebrał zlecenie do Hölzelinownej, powrócił zaraz na zamek, wypatrzył chwilę dogodną i spełniając, co mu Boner rozkazał, oznajmił razem o przybyciu Marsupina.

Niemka wprawdzie tego lub innego posła spodziewała się, lecz wiadomość o przybyciu uradowała ją wielce. Pobiegła z nią do młodej królowej jako ze zwiastunką pomyślniejszego obrotu rzeczy.

Marsupin znanym był jej z więźności, jaką miał na dworze króla ojca, który się nim od dawna posługiwał w sprawach największej przebiegłości i wytrwania wymagających. Przebrany pod rozmaitymi postaciami, nieraz Włoch wędrował do Węgier, do Turcji, do Włoch, po rozmaitych dworach, to jako kupiec, to jako uczony, to jak cudzoziemiec ciekawy.

Gdy potrzeba było coś odkopać, wysledzić, wyszpiegować, Marsupin nie miał sobie równego. Nadzwyczaj zręcznie robił znajomości, wciskał się, podsłuchiwał, zyskiwał ludzi i nie było przykładu, aby go pochwycono.

Najczęściej dawano mu misje takie, które wcale na jaw nie wychodziły; terażniejsza tym się od poprzedzających różniła, że Marsupin musiał oko w oko stawić się przed królową starą, przeciw której miał walczyć, zarazem starając się wywiedzieć o wszystkim, co się młodej królowej tyczyło.

Zuchwałym było nieco ze strony ojca królowej Elżbiety polecenie Marsupina na sekretarza i tłumacza Augustowi, gdy łatwo było Bonie przewidzieć w nim nieprzyjaciela.

Czy w istocie rachowano na to, że się go tu umieścić uda — nie wiadomo. Marsupin może sam nie bardzo w to wierzył, ale bądź co bądź zaklinał się, że go stąd niełatwo wypędzić potrafią.

Wiadomym było, że Zygmunt August kochał się w ludziach wykształconych, znających świat, mogących utrzymać rozmowę o tym, co w danej chwili zajmowało umysły. Marsupin właśnie miał wszystkie przymioty takiego dworaka umiętego pana zabawić, zająć, rozerwać i dopomóc mu do obeznania się z tym, co świat na Zachodzie zaprzętało.

Znał signor Giovanni wszystkie dwory, wielu panujących, wielu uczonych, czytał nowości, mówił doskonale językami kilku, a oprócz tego był nieźrównanie giętki, zręczny i w potrzebie wymowny. Ani na energii, ani na chytrłości mu nie zbywało. Na ostattek przywiązanie jego do rodziny króla było wypróbowane.

Na dworze polskim wcale Marsupina nie znano, bo się tu nigdy nie pokazywał, ale Włosi Bonę otaczający wiedzieli o nim.

Gdy nazajutrz ubrany paradnie signor Giovanni oznajmił się Opalińskiemu, jako przybywający z listami do młodego króla Marsupin, ostrożny marszałek przyjął go nader grzecznie, lecz do pana przypuścić jakoś nie chciał i zażądał listów na swe ręce.

Marsupin z wielką uniżonością oświadczył, iż miał polecenie tylko do rąk własnych Augusta je oddać. Prosił o posłuchanie.

Marszałek, który podejrzewał coś Bonie niemiłego, pobiegł do niej. Królowa już była nie tylko zawiadomioną o przybyciu Włocha, ale wiedziała, kto on był.

— O, szpiega tu na mnie wysłali! — zawołała. — Ta niego-

dziwa Niemka (Hölzelin), nie wiem jakimi sposobami listy i doniesienia wysyła, opisała mnie w nich. Pomocnik dla niej przybywa. Moi ludzie go znają, najniebezpieczniejsza zmija. Okupić go nie można. Syna ja uprzedzę, posłuchanie odłóżcie do jutra, a bądź co bądź, trzeba mu życie uczynić tak gorzkim, aby się niegodziwiec wyniósł co prędzej. Ja go tu cierpieć nie będę. Za nic, za nic!

Nazajutrz więc dopiero Marsupin mógł listy oddać królowi Augustowi, który go przyjął, ostrzeżonym będąc, grzecznie, ale zimno.

Włoch rachował, że w dłuższej rozmowie przypodobać się, ując sobie potrafi króla — lecz Opaliński czuwał nad tym i nie dopuścił mu się rozgadywać, przypominając pilne zajęcia.

Przeciw wszystkim tym zawadom Marsupin musiał odegrywać obojętną pewność siebie, jakby się nie poznawał na tym, iż się go pozbywano.

Oznajmił Augustowi, iż miał listy do młodej pani, dodając również, iż mu zlecono je oddać do rąk jej własnych i przekonać się o tym, jak Najjaśniejsza Pani wyglądała i czy zdrowie jej na zmianę życia nie ucierpiało.

Zygmunt August odpowiedział nieoznaczoną jakąś obietnicą.

Opaliński odprawił Marsupina co żywiej, zapowiadając, że postara mu się widzenie z Elżbietą ułatwić, a o dniu i godzinie doniesie.

Przyjazd Marsupina Bonę nieco poruszył, bo w nim widziała skutek doniesień, których się obawiała. Widocznie Włocha wysłano jako szpiega, aby się przekonał w miejscu o tym, co dochodziło do Wiednia i Pragi.

Tegoż dnia rozpoczęły się narady, biegali posłańce, wszyscy doradcy i pomocnicy królowej zwołani zostali; a ponieważ wiele na Starym Zygmuncie zależało, Bona postanowiła jego naprzód przygotować tak, aby Marsupinowi pozostać tu nie dał, za uwłaczający sobie poczytując ten nadzór nad młodą królową, który dowodził braku zaufania.

Chwila do działania na króla była dosyć dobrze wybraną. Zmęczony walką Zygmunt Stary znajdował się w tym stanie i usposobieniu, które pragnąc spokoju, łącznie się pozorami jego ludzi dawały.

Maciejowski i inni u boku króla będący, choć wiedzieli, jak się obchodzono z młodą panią, ażeby nie martwić Zygmunta, nie wszystko przed nim mówili, ukrywali wiele.

Bona wstrzymała swe wybuchy i udawała obojętną. Stary więc spodziewał się, że z wolna wszystko się ułoży najlepiej, bez uciekania się do ostatecznych środków, bez kłótni i wrzawy.

Gotów był nawet do małych ustępstw żonie, byle go nie zmuszała do gniewu. Elżbietę widywał ciągle uśmiechniętą, z wypogodzoną twarzą, nie skarżącą się na nic... i łudził się, pochlebiał sobie, że syn przywiązać się do niej musi.

Przez parę tygodni Bona dawała królowi tak spoczywać, nie drażniąc go niczym — przychodziła dowiadywać się o zdrowie, mówić o swych osobistych interesach, nie napomykając wcale o synu i synowej. Zygmunt ulegał łagodnie.

Wieczorem dnia tego, gdy Marsupin miał posłuchanie u Augusta, postanowionym zostało, iż Bona króla o nim uprzedzić musi.

Trochę wcześniej, niż zwykle, ukazała się w sypialni, a z twarzy jej poznał małżonek, iż niosła coś z sobą, że nie przyszła z próżnymi rękami. Po kilku słowach obojętnych zasiadła naprzeciw męża.

— Zapewne ci już doniesiono — odezwała się — o przybyciu tego osobliwego posłańca od ojca Elżbiety?

— Nie wiem o żadnym — rzekł król.

— Przysłano z Pragi Włocha — mówiła, coraz się ożywiając, królowa. — Ma listy do Augusta, do was i, jeśli się nie mylę, do wielu innych. Chcą go tu nam posadzić jak dozorcę, jak szpiega. To rzecz dla ciebie obelżywa! Więc wiary w nas nie mają? Są więc ludzie, którzy im donoszą, że Elżbiecie się dzieje krzywda! Włoch chce się w jakikolwiek sposób wcisnąć tu i pozostać. Polecają go za tłumacza i sekretarza Augustowi, ale ani on, ani my nie potrzebujemy nikogo, mamy dosyć sług swoich.

— Włoch? Któż jest ten Włoch? — odezwał się król.

— Nie znają go tu, ale ma sławę przewrotnego, niebezpiecznego, zuchwałego człowieka.

Bona wstała z krzesła.

— Nie powinienes dopuścić, aby ci go narzucono! — zawołała.

Zygmunt milczał obojętny.

— Zobaczymy — rzekł — rozsluchamy się i rozpatrzymy.

— Włoch będzie pewnie jutro lub wkrótce dobijał się o posłuchanie — dodała Włoszka. — Jeśli przyjmiecie, bo ksiądz Samuel pewnie go przyprowadzi, nie róbcieź mu nadziei, żeby tu mógł pozostać.

Królowa z początku dosyć spokojna, w miarę jak mówiła, coraz się bardziej unosić zaczęła.

— Wiedziałam dobrze — rzekła — że biorąc tu wnuczkę waszą, kupimy sobie podległość i niewolę, że nam cesarz i król tchnąć nie dadzą bez swojego pozwolenia, dlatego się temu związkowi opierała. Oto masz skutki! Listy potajemne biegają ciągle, skargi, obwinienia i król ojciec waży się nam na nasz dwór wysyłać dozorcę, który nad nami rozciągnie straż.

Poruszyła ramionami.

— Godności króla to uwłacza! — dodała.

— Uspokój się — odparł król — pomówię o tym z moją radą, a ujmy sobie wyrządzić nie dam.

— Jeżeli przyjmiesz tego Marsupina — dołożyła Bona — zaklinam, abyś się na słodkie jego słowa wziąć nie dał ani pokorą nie pozwolił omamić. Szpieg jest... złoczyńca!

Podniosła do góry pięść ściśniętą.

Zygmunt, unikając burzy, postanowił nie odpowiadać, dał się Bonie wyburzyć, wygadać i odprawił ją, nic nie przyrzekłszy.

Lecz był już przygotowany.

Król nazajutrz spytał o posła — przybywającego z rana biskupa Maciejowskiego, który nie przywiązując umyślnie zbytnej wagi do zjawienia się go, odpowiedział królowi, iż w istocie Włocha przysłano, lecz ten szczególnie polecony był młodemu królowi, a królowej przywiózł listy, pozdrowienia i podarki od matki.

— Nie napierał się on dotąd o posłuchanie u Miłości Waszej — dodał Maciejowski — lecz pewnie o nie prosić będzie. Królowa jejmość zbytnią do tego posła przywiązuje wagę i nadaje mu znaczenie.

Uspokoił się chętnie król stary, bo mu nade wszystko pokój był pożądanym.

Marsupin bardzo zręcznie w istocie zamiast napraszać się do Zygmunta, naglił na Opalińskiego, aby młodej królowej został przedstawiony, bo miał do niej listy i posłanie.

Śługa najwierniejszy Bony, Opaliński, znalazł się w położeniu bardzo trudnym, bo nie chciał zdradzić, jak dalece tu wszystko od Bony zależało i było w jej rękach, nie życzył sobie, aby Włoch jasno widział stosunki. Tymczasem bez starej królowej wiedzy i pozwolenia nie mógł dopuścić Marsupina. Musiał się więc uciekać do tysiącznych wybiegów — królowa młoda była nieco znużoną, drugiego dnia nabożeństwo i posłuchanie zająć ją miały itp.

Marsupin kłaniał się, czekał, ale dokuczał, bo przychodził po kilka razy na dzień i nużył marszałka upartym staraniem, jakby nie rozumiał, że się go pozbywano.

Opaliński pobiegł do Bony.

— Za nic w świecie nie dam mu się z nią widzieć na osobności! — krzyknęła stara. — Trzeba go pilnować.

Po dość długiej i burzliwej naradzie postanowionym zostało, iż dwie królowe, stara z młodą, nazajutrz z rana spotkać się mają i... o cudo, przechadzać razem po wirydarzyku, który był przez Bonę około zamku założony na wzór włoskich ogrodów.

Zajmował on przestrzeń niewielką, ale w nim pełno było kwiatów i wonnych roślin; ścieżki i małe labirynty, kilka kamiennych naczyń dla ozdoby, nawet wodotrysk urządzone przez jakiegoś Włocha dla królowej. Widok stąd dosyć piękny zwabiał tu niekiedy młodą królowę.

Niemieło jej było spotkać się z Boną, która słowa się do niej nie odzywała zwykle, wybierano więc godziny takie, gdy stara pani zajęta była. Tego dnia Opaliński podjął się tak przechadzkę urządzić, zachęcić do niej, aby dwie królowe spotkały się, nim Marsupin na zamku się zjawi.

Opaliński rzeczy ułożonej za wcześniej miał nadać pozór przypadku i zaprowadzić posła a okazać mu, iż dwie królowe w najlepszej w świecie zgodzie obcowały z sobą, prawie się nie rozdzielając.

Jeżeli sądził, że Włocha tym oszuka, mylił się. Bonie tylko zdawać się mogło, iż tak niezręcznymi wybiegami uniewinnić się potrafi.

Ranek czerwcowy był prześliczny, chociaż po chłodach majowych gorąca nadeszły szybko i dnie już były skwarne. Na Wawel wiatr z dolin od rzeki przynosił powiew orzeźwiający.

Królowa Elżbieta wyszła zaledwie z Hölzelinowną swą do wiry-

darzyka, gdy w drugim końcu jego ukazała się Bona z dwoma karłami swymi. Młoda pani cofnąć się chciała, lecz Opaliński przytomny podszeptał, że byłoby to za złe wziętym.

Powolnym więc krokiem, nieśmiała młoda pani poczęła się przechadzać, nie odważając zbliżyć się do Bony, gdy ta sama do niej podeszła. Pozdrowienie było milczące. Zamiast odezwać się do synowej, którą tylko wzrokiem trzymała przy sobie, Bona poczęła rozmawiać z Opalińskim.

Elżbieta z tym uśmiechem obowiązkowym, który z ust jej nie schodził, z gałązką lawendy w rękę, stała milcząca. Nie strwożona dawała patrzeć na siebie i spoglądała spokojnie na Bonę, która tym żywszą wiodła rozmowę z marszałkiem, iż się co chwila Marsupina spodziewała.

Opaliński zawczasu tak ułożył wszystko, iż Włoch, przybywszy, miał tu być przez dworzanina przyprowadzonym.

Spełniło się wszystko, jak było obrachowane.

Z dała ukazał się Marsupin.

Bona doskonale udała, że o nim nie wiedziała wcale i okazała nawet radość z jego przybycia. Mogło to uwieść patrzących z boku, ale nie Marsupina, który wiedział, po jakim stapał gruncie.

Z niewymowną radością, której ukryć nie umiała, ujrzała go Elżbieta, przypomniawszy zaraz sobie.

Przynosił jej żywe wspomnienie rodziców, lat szczęśliwych, był dowodem, że tam o niej nie zapomniano.

Postawa przebiegłego Włocha, który bił czołem przed starą królową i z pokorą jej się do kolan kłaniał, Bonę więcej przestraszyła, niż uwiodła. Czuła w nim nieprzyjaciela.

Nie odstępiała ani na chwilę od synowej i nie bardzo się pośłańcowi dała z nią rozmówić, sama natychmiast zwracając się ku temu, że w interesie córki Izabeli rada była Marsupinowi dać zlecenia.

— Spełnię je — odparł Włoch — chociażby listownie, gdyż na teraz, stosując się do rozkazów pana mojego, czas jakiś tu zatrzymać się będę musiał.

Bona zagryzła usta.

Marsupin odprawy zrozumieć nie chciał. Zwrócił się do Elżbiety, dając jej wiadomości o rodzeństwie, ojcu i wręczając listy, jakie miał do niej.

Królowa młoda przyjęła je z radością, lecz nie rozpięczętowując za suknię włożyła.

Pytaniom nie było końca — lecz przytomność uparta Bony zmuszała Elżbietę i Włocha do ograniczenia się ogólnikami..., otwarcie się rozmówić nie było podobna. Marsupin tylko wejrzeniem, oczyma dawał do zrozumienia, iż więcej przynosi, niż w tej chwili oddać może.

Nie okazał ani niesmaku, ani zakłopotania — udawał wesołego tak dobrze jak Bona.

Po krótkiej rozmowie, gdy Marsupin przekonał się, iż sam na sam z Elżbietą tym razem pozostać nie będzie mógł, nie chcąc być natrętnym, zegnał obie królowe.

Nieco opodał stała, oczekując na swą panią, Hölzelinowna. Do tej starej znafomej zbliżyć się nikt nie mógł zabronić. Signor Giovanni bardzo zręcznie z tej sposobności skorzystał.

Doskonale komediant umiał z dala wcale co innego okazywać postawą, a co innego mówić ustami. Powitanie Kätchen mogło się Bonie wydawać niewinnym, a Marsupin pewien, że głosu jego nie dosłyszają, pośpieszył, kłaniając się, rzucić jej:

— Nie dano mi się nawet widzieć na osobności z królową. To najlepszy dowód, że na sumieniu się nie czują czyści. Na miły Bóg, musimy choć my, panno Katarzyno, spotkać się gdzieś, abym całą prawdę tę wiedział, której już kawałki pochwyciłem.

Hölzelinowna tak była przestraszona, iż nierychło mu odpowiedziała:

— Obmyśl sam środki, ja nic nie potrafię, siedzimy otoczone strażami jak w niewoli.

— Królowa się uśmiecha — dodał Marsupin, podwajając fałszywe ukłony — ale jakże jej z twarzy patrzy męczeństwo!

— Twarz nie kłamie! — westchnęła Hölzelinowna. — Na Boga — dodała — nie opuszczaj nas, zostań tu, jeśli można, bądź świadkiem tego, co się dzieje! Małżeństwo wcale z sobą nie żyje. Król młody ma kochankę czy kochanki. Ta nieszczęśliwa wzgardzoną jest.

Marsupin obawiał się mówić więcej, pokłonił jeszcze i za murem zniknął, nim dwie królowe, które już się zbliżały, nadeszły, bo stara chciała przeszkodzić podejrzaney rozmowie.

Pierwsze te kroki Włocha, wśród dworu dotąd mu prawie obcego, były ostrożne i baczne — pochlebiał sobie może, iż bez jawnego występowania przeciwko starej królowej potrafi się obejść.

Bona też w początku sądziła, że łatwo go stąd wygna.

Obie rachuby zawiodły. Marsupin, dowiadując się coraz lepiej o stanie rzeczy, o pożyciu małżeńskim, o zabiegach królowej matki, przekonał się, że wystąpienie otwarte będzie nieuniknionym. Większa część faktów biła w oczy, wszyscy o nich byli uwiadomieni. Wojna stała się nieuniknioną.

Po posłuchaniu w ogrodzie signor Giovanni naprzód zameldował się z poszanowaniem do starego króla. Boner lub Maciejowski mieli go tu wprowadzić.

Ale podskarbi przed posłuchaniem wziął do siebie Włocha.

— Przed królem starym nie występuj z zażaleniami — rzekł — nie wytaczaj sprawy. Na nic się to nie przyda. Zygmunt nasz zgryzie się, oburzy, a nie uczyni nic. Działać musisz w inny sposób. Nie taj się z tym, że król ojciec za córkę pomści się na królowej Izabeli. Jednym tym postrachem możesz Bonę zmiękczyć i zmusić do zmiany postępowania. Wy i my zresztą, wszyscy będziemy pracowali nad tym, ażeby młodego króla wraz z żoną albo na Mazowsze, lub do Litwy wyprowadzić. Z dala od Bony, od kochanki, jaką tu ma, pozna lepiej Elżbietę i przywiąże się do niej. Króla starego nie drażnij, a wojny nie wypowiadaj za wcześniej!

— Mnie się zdaje — rozśmiał się Marsupin — że Bona zbyt jest przebiegłą, aby już jej nie czuła w powietrzu, a mnie z oczu nie wyczytała, iż się oszukać nie dam!

— Jeżeli król stary was przyjmie — dodał Boner — pokłoniwszy mu się, choćbyście nie chcieli, musicie prosić o posłuchanie u królowej matki, aby jej nie obrazić.

Skłonił się Marsupin.

— Nie ulękne się tego — dodał. — Wiedziałem, wyjeżdżając z Pragi, co wzięłam na ramiona. Pobyt mój tutaj słodkim nie będzie.

Następnego dnia król Zygmunt przyjmował Marsupina, ale

było to posłuchanie czysto urzędowe, grzeczne, zimne, na którym nie mówiono o niczym. Dowiadywał się stary o zdrowie króla, o rodzinę, pytał o nowiny dworu cesarskiego, rozmawiał o rzeczach obojętnych.

Nie dotknięto nic drażliwego, a Włoch po sobie nie okazał nawet, jaką miał troskę na sercu.

Gdy tegoż dnia wieczorem Bona rozgorączkowana wpadła do męża, domagając się bez ogródki wypędzenia Włocha, zowiąc go szpiegiem i zdrajcą — król Zygmunt przyjął to niechętnie, kwaśno i rzucił jej w oczy, że się ludziom okłamywać dawała.

— Włoszysko jakieś pokorne, o złym nie myśli — rzekł — i co go masz zniechęcać, lepiej pozyskać się staraj dla Izabeli. Niech, powróciwszy, popiera jej sprawę u króla Ferdynanda.

Na próżno usiłowała Bona króla nawrócić na swe obawy — Zygmunt słuchać nie chciał.

Marsupin siedział uparcie i ani myślał się ruszać z Krakowa; wypędzić go nie było podobna, a pobyt ten do najwyższego stopnia gniewał i niecierpliwił królowę.

Mówiła tylko o nim, nie myślała, tylko o środkach pozbycia się.

— On tu wszystkie kłamstwa i potwarze pozbiera i będą nam nimi wykalać oczy.

Szpiegi nasadzone chodziły krok w krok za Włochem; donoszono, że przesiadywał to u Bonerów, to u Decjuszów, to u biskupa Samuela, to u Andrzeja z Górki.

Kilka razy spróbował przebojem do królowej Elżbiety się wcisnąć — Opaliński mu drzwi zamknął. Znajdował zawsze mniej więcej słuszną wymówkę, dla której teraz się z królową widzieć nie było można.

Marsupin dopytywał, kiedy mu to będzie dozwolonym.

Marszałek ubolewał, że czasu nie mógł oznaczyć. Z jednej strony opór, z drugiej naleganie nie ustawały z równą wytrzymałością.

— Mam czas — mówił, kłaniając się Marsupin — będę czekał, aż się z królową rozmówić mi będzie wolno. Nie wyjadę przecie inaczej.

Gdy się to działo, dnia jednego nadbiegł zatrważający goniec

z listami od królowej Izabeli. Błagała ona matkę, aby korzystając ze stosunków z królem Ferdynandem, starała się opiekę jego i pomoc uzyskać dla **wdowy i sieroty**.

Ze wszystkich dzieci swych Bona może najczulej kochała Izabelę, najgoręcej się losem jej zajmowała. Cała miłość macierzyńska, na jaką się zdobyć mogła, przelewać się zdawała na to jedno swe dziecko, bo syn pieszczony był tylko, dopóki go sobie podbić chciała i spodziewała się.

Odebrawszy listy, Bona pół dnia łamała ręce nie wiedząc, co czynić. Jedno z dwojga: potrzeba było albo zmienić postępowanie z Elżbietą, lub poświęcić Izabelę.

Ale oddać Zygmunta Augusta, którego słabość знаła, żonie, znaczyło abdykować zawczasu!

Miłość dla dziecka przeważał interes własny.

Królowa musiała chwilowo choć spróbować dwie nieprzejednane sprawy pogodzić z sobą.

Do późnej nocy trwały narady z Gamratem.

Arcybiskup, nie ten już, co był niegdyś (mówiła o nim Bona), smutny ciągle, ostygły, nie biorący nic do serca, skarżący się na zdrowie coraz gorsze — potakiwał, nie radził.

Był jednak za tym, aby starać się pozyskać Marsupina.

— Mówią, iż ma ucho i wiarę u króla swego — dodał — choć człek mały, lekceważył go nie można.

— Ale wiem, że się kupić nie da — wykrzyknęła królowa — a gdy to niemożliwe, to zdradził!

Właśnie, gdy się toczyły te narady, Włoch poszedł za skazówką Bonera i królowę Bonę o posłuchanie prosił.

Oświadczył mu marszałek, iż chętnie przyjęty zostanie.

Królowa pragnęła wystąpić dosyć wspaniale, kazała się przystroić służbie, karłom, fraucymerowi. Sama wdziała najpiękniejsze klejnoty, komnatę obrała najokazalej przyozdobioną. Synowi na ostatek poleciła, aby był przy niej czasu posłuchania.

Występowała z całą dumą królewską w majestacie.

Marsupin odziany czarno, z łańcuchem od cesarza, na którym był wizerunek złoty Karola V, przyszedł z tą pokorą i uniżonością przesadzoną, niezmierną, która Bonę gniewała, bo niemal w niej widzieć było można szyderstwo.

Zmierzyli się oczyma nieprzyjaciele. Bona nie dopuściła w roz-

mowie ani dotknąć nic drażliwego, żadnych żalów, żadnych wymagań. Natomiast rozpoczęła o córce i o królu, którego sobie dla niej zjednać chciała.

Włoch przyrzekał, ale razem usiłował przypomnieć królowę Elżbietę — lecz Bona ani słuchać nie chciała. Powtarzała jedno.

Zdawało się to jakby postawionym warunkiem targu i Marsupin w początku tak to zrozumiał. Chciał ze swej strony też położyć za warunek inne obejście się z młodą królową. Bona nie rozumiała.

— Możecie zapewnić króla, że my nad powierzoną nam córką jego czuwamy jak nad własnym dzieciąciem. Zdrowie jej niedobre, aleśmy temu nie winni, taką do nas przybyła.

I jak najprędzej, natychmiast zagała o królowej Izabeli, prosząc Marsupina, aby sprawę jej popierał.

Włoch w końcu, przyrzekając donieść, co mu polecono, dodał, że nie był upoważnionym do mieszania w sprawy, do których innych pośredników użyć by należało.

Całe to posłuchanie upłynęło na szermierce słów próżnej, bo ani Bona sobie mogła pochlebiać, że pozyska Marsupina, ani on, że ją rozbroi.

Zamiast zbliżenia, rozmowa pozostawiła po sobie gorzkie wspomnienia.

Gdy po wyjściu Włocha królowa się znalazła sama z arcybiskupem, zawołała gniewna:

— O, król Ferdynand umiał dobrze wybrać posła! Zaprawdę życzyłabym sobie mieć takiego sługę, ale pozbyć się go jako szpiega, jako najniebezpieczniejszego intryganta... konieczna! Nie będziemy mieli pokoju, dopóki on tu pozostanie. Precz z nim! Precz z nim! Co to za wejrzenie bazyliuszka! Co za uśmiech, jaka podła pokora i udanie, a szyderstwo drga mu na ustach.

Wieczorem u króla Bona ciągle mówiła tylko o Marsupinie — nie schodził jej z ust, aż Zygmunt musiał kazać milczeć.

— Dajże mi pokój z tym Włochem! Robisz z niego większego, niż on jest! U stracha wielkie oczy.

Po wszystkich tych audiencjach skończyło się na tym, iż Opałński zakazał Włocha puszczać na zamek.

Jeżeli Marsupinowi udało się oszukać strażę i wśliznąć się między dworzan królewskich, którzy mu tak sprzyjali, że go nie

tylko chętnie przyjmowali, ale gotowi mu byli pomagać, czujna Bona natychmiast zapobiegała przez kogoś ze swoich, aby dalej nad przedpokojem się nie dostał.

Widząc go tak zbiedzonym, biskup Samuel i hetman sądzili, że mu utrzymać się w Krakowie o własnym koszcie dłużej będzie trudno; chciał więc biskupłożyć nań, a inni się do tego przyczynić — ale signor Giovanni odmówił. Znajdował, że to dla pana jego uwłaczającym by było, gdyby sługa królewski cudzej potrzebował pomocy.

Ile biedny, zabiegliwy Włoch wycierpiał, co się nabiegał, jakich środków używać musiał, aby się rozwiedzieć o wszystkim i choć próbować móc docisnąć, gdzie go nie puszczano, opisać trudno! Niemordowanym był w tej pracy, do której go i rzeczywiście miłość dla młodej królowej zagrzewała.

Bona, wiedząc o wszystkim, powzięła ku niemu nienawiść nieubłaganą. Zaczęła od tego, iż staremu królowi co dzień tym głowę nabijała, iż żywił na dworze nieprzyjaciela, szpiega, potwarcę, donosiciela, i że dla godności swej pozbyć się był go obowiązany.

Z początku król zbywał to milczeniem, w końcu znudzony, słysząc ciągle powtarzające się żale, dał się im uwieść i sam na Marsupina przed księdzem Maciejowskim narzekać zaczął. Nie przyjmował już Włocha, a król młody, bojąc się matki, ani go też chciał widzieć.

Młoda królowa, choć najmocniej życzyła spotkać się z nim, tak ją trzymano, otaczano, zamykano, a Włocha odpędzano, że jej nawet z daleka nie widywał, chyba w kościele, gdy w łoży mszy świętej słuchała.

Wszystek jego stosunek ograniczał się do tego, że przez Dudycza posyłał listy i przez niego je odbierał. Był więc doskonale uwiadomiony, co się działo na dworze młodych państwa: że August zupełnie żonę zaniedbywał i że ją Bona jak niewolnicę strzegła, sługi jej mieniając, liczbę ich zmniejszając, w wielu rzeczach skąpiąc i odmawiając wygód nawet, do których była przywykłą.

Czas jakiś wytrwawszy na tym stanowisku poleconego Augustowi za tłumacza i sekretarza — Marsupin, widząc, że najmniej przyjęcia nie miał nadziei — zrzucił w końcu maskę i głośno mówił, że był posłem króla Ferdynanda, przeznaczonym do zostawiania przy osobie królowej Elżbiety.

Bona i o tym słyszeć nie chciała.

— Tłumaczów mamy dosyć, Elżbiety dwór pełen, nikogo ona nie potrzebuje, na donosicielach nie zbywa. Marsupin musi iść precz!

Tego znów Włoch zrozumieć nie chciał i nie mógł. Starano go się pozbyć, on ani się myślał ruszać. Mieszkał u Montelupich. Napadano na nich, aby mu wymówili gospodę, czego oni uczynić nie chcieli. Wiele osób z obawy prześladowania Bony unikało go, ale przystęp do tych, do których miał listy polecające, do Bonera, Maciejowskiego, Decjusza, Górki, hetmana został mu wolny. Tym nikt zabronić nie mógł go przyjmować — a Bony łask weale się nie starali pozyskać.

Dudycz, który wiele miał do stracenia i obawiał się, unikał z nim otwartych stosunków, ale po nocy chodził do niego i pomagał mu. Tak samo Boner się nim gorliwie zajmował.

Wszystko to na niewiele się przydać mu mogło, gdy do nikogo już przystępu nie miał. Opaliński szczególnie trzymał go na oku i przez swoich śledził kroki, a do zamku nie dopuszczał.

Marsupin począł tedy coraz się jawniej dobijać jako sługa i wysłaniec króla tego, czego mu odmawiano. Odzywał się bez ogródki z tym, iż na nowe listy czeka, a choćby rok tu miał siedzieć nadaremnie, odpędzić się nie da.

Donoszono Bonie, iż ciągle to powtarzał, że na Węgrzech królowej Izabeli oddadzą to, co tu Elżbieta cierpiała. Nie tał się i z tym, że do cesarza pisał nalegając, aby księstwa włoskie Bonie odebrał, a komu innemu je nadał.

Choć na pozór niby gardziła Bona tymi pogrozkami, jednakże niepokój one obudzały. Lecz ustąpić dla nich duma nie pozwalała.

Całą więc siecią intryg opasano Marsupina, próbując, czy nie ma słabostki jakiej, za którą by go pochwycić można. Na pieniądze, na wdzięki kobiet, na inne takie przynęty Włoch się okazał zupełnie obojętnym. Miłość własna i przywiązanie do rodziny panującej dawały mu siłę i wytrwanie.

Krzętał się nieustannie, mówił głośno i otwarcie, a że każde jego słowo szpiegowie na zamek odnosili, Bona wiedziała, iż szerzył pogłoski o jej prześladowaniu synowej i zniechęcał ku niej ludzi.

Nie pozostawało nic, tylko jakimkolwiek kosztem pozbyć się Marsupina! Bądź co bądź! Niełatwo jednak było to dokonać.

Włoch naigrawać się zdawał z pogróżek, coraz żarliwiej zabiegając i dając się czuć wszędzie. Na zamek już mu się nawet pokazywać nie godziło.

Nieustraszony we wszystkim, Włoch miał jedną słabą stronę: jak inni współcześni wierzył on w czary i obawiał się ich.

Był przekonany, że władza Bony nad starym małżonkiem, nad synem i nad wielu jej zaprzędanymi nie inne miała źródło, tylko: czary!

Wiedziano, że się często naradzała ze swym doktorem, astrologiem, Włochem, który ciągle w tyglach smażył, a królowa do niego nawet późno w nocy z mniszką chadzała. Czyniono ją więc czarownicą, która napojami, pierścieniami, podarkami ludzi w moc swą zaprzęgała.

Marsupin za żadne skarby świata nic by był od niej nie przyjął; ostrzegał innych, aby zetknięcia się z niebezpieczną czarownicą unikali.

Na mieście pospolity lud dość był skłonny w to uwierzyć. Widziano króla ulegającego jej z dziecinnym posłuszeństwem, syna, którego na sznurku, jako chciała, prowadziła — Gamrata posłusznego ślepo, Kmitę dotąd nawet dającego się jej powodować, Opalińskiego na ostatek, który jak ostatni ze sług czynił, co kazała.

Chociaż cały czar Bony stanowiła silna jej wola i środki bardzo proste, jakimi sobie zyskiwała ludzi, było w istocie coś zdumiewającego w tej kobiecie cudzoziemce, samej jednej tu, słabej na pozór, której wszystko ulegać musiało.

Marsupin lękał się o życie nawet, bo od czarów do trucizny krok był tylko, a włoskim obyczajem, wiedział, że i w ten sposób się pozbywano zawadzącego wroga. Trwoga ogarniała go jeszcze niemal większa o młodą królowę, dla której obawiał się także trucizny, jeśli nie w pokarmach i napojach, to bodaj w perfumowanych rękawiczkach, w tym, co naówczas noszono na sobie.

Uspokajało go to jedno, że Elżbieta dotąd z powodu choroby starego króla jadała sama, osobno — a choć mąż, który powinien był jej towarzyszyć, rzadko się pokazywał, ale podczaszowie i krajczy pokarmy próbowali podając.

Zalecał Hölzelinownie, aby na stół miała baczne oko, a podarków od starej królowej przyjmować nie dopuszczała.

Sama zresztą pocziwa piastunka, widząc się nieprzyjaciółmi otoczoną, czuwała dzień i noc nad swym dzieckiem ukochanym, nie mogąc wyjść z podziwienia nad tą siłą ducha, z jaką męczennica znosiła wszystko, nieprzyjaciółom nawet nie dając się ucieszyć wyrazem boleści... bo cudnie udawała wesołą i spokojną.

— Anioł jest — wołała stara Kätchen — a nie wiem, czy kiedy kobieta to zniosła, co ona, z takim bohaterstwem! Klękać przed panią moją!

.....
Wśród tej walki, którą Marsupin wiódł z zażartością swego włoskiego temperamentu, niespodziany zwrot nadać jej miały, na pozór żadnego z nią związku nie mające, wypadki.

W drewnianym starym domostwie na Okolu była od wieków już gospoda bednarska. Zamożnemu cechowi temu z dawna by było przystało wybrać sobie inną pokaźniejszą, bo budynek był na pół w ziemię zapadły, popodpierany z tyłu, a dach na nim wysoki i ciężki pogarbił się i powypaczał, lecz stary obyczaj trzymał tu towarzystwo. Nie chciało one przez jakąś obawę niemal przesadną, przez przywiązanie do pamiątek, opuszczać tych progów, które nogi pokoleń wielu powyżłabiały.

W ogromnej izbie na dole, niskiej i ciemnej, mieściły się tak zwany stół, skarb towarzyski⁸⁶ i trunek. Tu się zbierano na rady, na wybory, na przyjmowanie czeladzi, wyzwalanie jej. Tu wędrowni towarzysze stawili się, aby ich wedle obyczaju przyjęto.

A kto „obyczajnie” (to jest wedle zwyczajów i form) żądał, temu się „stawiał obyczaj”.

Obok izby radnej w komorze mieszkała wdowa po bednarzu, Raczkowa, która się zwała Matką i sprawiała obowiązki gospodyni.

Niemłoda już, przygarbiona sciatyką⁸⁷, chadzała o kiju, stukając nim i butami kutymi, ale się poruszała żywo, a odpowiedzi na języku nigdy jej nie zabrakło — i co do niej należało, trzymała pod kluczem, strzegąc pilnie.

W pierwszej izbie wielki stół zajmował miejsce główne, u przedniej ściany między oknami, nad nim krzyż Chrystusów i wielki obraz patrona cechu był zawieszony, ale dla starości na desce mało co, prócz złocen, rozpoznać było można.

Oprócz stołu, przy którym nie wszystkim zasiadać było wolno, w kącie ławy były osobne dla trybownych, daclów i chłopców. Stały przy ścianach i szafy proste, w których różny sprzęt i znamiona zachowywano, była i skrzynia zamczysta, kuta, na przywileje, księgi i pieniądze, a na półkach stało kilka pyłem okrytych, misternych, drobnych wyrobów — owych majsterskich sztuk, którymi cech mógł się pochlubić, choćby przed obcymi.

A było na nie warto popatrzeć, bo beczuleczki i baryłki drewniane, choć drewniane, tak były wypieszczone, jakby je kunsztmistrz robił z czystego złota, i obręczyki się na nich splatały jakby ze lnianych plecionek, nie z drewnianych gałązek.

W cechu bednarskim, jak podówczas w innych też rzemiosłach, wyrobił się już był obyczaj towarzyski, pewne formy, które już tradycją uświęcone musiał każdy znać, nauczyć się ich i przez nie przechodzić*.

Tu się towarzysz nowy, zarówno jak wędrowny, dowiadywał, kogo miał czcić i szanować: naprzód Pana Boga z wszystkimi świętymi, Najświętszą Pannę z aniołami bożymi, dalej pana ojca domu tego z panią matką, dziatkami i czeladką jego, także gości przychodzących i odchodzących. Tu się on uczył, że przychodzących witać należało pełnymi, a odchodzących słowy dobrymi, że w miejscach u stołu jeden drugiego podsiadać nie powinien (pod winą), ścian u pana ojca nie podpieierać (pod winą) — bo pan ojciec miał cieślę dobrego, co mu ściany dobrze pobudował³⁹; stołów sklenicami nie⁴⁰ fugować⁴⁰, krzyżów na podnózkach nie zakładać (pod winą), bo pan ojciec miał stolarza dobrego, co mu stoły dobrze pofugował — sklenic też tłuc nie było wolno, bez czapek za próg pierwszy wychodzić, w fartuszkach z orężem za stół siadać.

Uczono tu za stołem ani po łacinie, ani po węgiersku nie rozmawiać; obiecywano, że w cechu sprawiedliwość najlepsza, bo sprawa u wójta do tygodnia, u pana burmistrza do dwóch niedziel, a u towarzyszków do zachodu słońca. Przestrzegano, aby wracając do domu po wesołej wieczerzy, bram nie wysiekiwać (bo ręka w tym), przez mury ścieżek nie czynić (bo gardło w tym), po bruku szablą ani podkówkami nie krześć (bo wino w tym), wieńców, które wiszą nad winem i piwem nie obcinać (ręka w tym), beczkom, które stoją na mieście na miejską potrzebę, obręczy nie rzezać itp. Takich, co po nocy chadzali, znajdowali się anieli stróże, którzy im oręż odebrawszy, do ciemnego raju zachowywali itp.

Tu przypomniano na ostatek, jak poczynać było potrzeba z trybowaniem kątek, szpontowaniem, frazowaniem, berowaniem⁴¹, odbijaniem, z baryłkami, konwiami, konewkami, wanienkami, donicami, trunkami, garncami itp.

Wieczór nadchodził, izba radna dosyć była pełną, a gwar z niej aż na ulicę dolatywał. Starsi ojcowie kilku, towarzyszków kilkunastu młodszych i czeladź w kącie ciekawa zgromadzenie składała.

* Wszystkie szczegóły wedle rękopisów źródeł cechowych. (Przypis Autora).³⁸

W pośrodku przed stołem wędrownik świeżo przybyły właśnie odbywał urzędową próbę, która poprzedzała przyjęcie do cechu.

Postawa jego, twarz, cera, wśród rumianych, zażywnych, silnych a barczystych starszych, przy towarzyszach, na których policzkach kwitły zdrowe rumieńce, dziwnie smutno odbijała.

Słuszny, wyrosły bujnie, młody wędrownik, który z Wielkopolski powracał wyzwolony, niezmiernie blady, dysząc ciężko, za piersi się chwytając i za głowę, a mdłym, złamanym, chorym głosem odpowiadając na pytania. Bładości tej i zmęczenia nie można było przypisywać tej próbie, jaką teraz przebywał towarzysz. Widać było z wycieńczenia, że przyniósł z sobą chorobę, z którą walczył całą siłą woli i młodości.

Chociaż niektórym ze starszych ojców żal było może biednego towarzysza zmuszonego przechodzić uciążliwy obrzęd przyjęcia, uwolnić go od tego nie mogli.

Siły biednego wędrownika coraz bardziej zdawały się wyczerpywać, tak że zaledwie się już mógł utrzymać na nogach.

Znaczniejsza część pytań i odpowiedzi załatwioną została, ale pozostawały jeszcze niektóre.

Ojciec zadawał pytania, słuchali towarzysze i matka odpowiedzi głosem coraz słabszym dawanych, gdyż prawie w chwili, kiedy go miano „ująwszy za boże poszycie na wannę posadzić”, biednemu wędrownikowi naraz zupełnie tchu i siły zabrakło. Zachwiał się na nogach i zatoczył się jak pijany, choć wiedziano, że nie w ustach nie miał. Dwóch daclów podbiegło go za ręce pochwycić.

Przerwano próbę, bo nie było już odpowiadać komu. Blady ów wędrownik, gdy go chciano do ławy odprowadzić, padł ciężko na ziemię całym ciałem i jęczeć począł.

— Panowie ojcowie, księdza proszę, abym Bogu duszę polecił! Życie ze mnie uchodzi... Męki dalej nie strzymam. Szedłem, szedłem, dopóki sił stało, przebojem się wlokąc, abym nie umarł nigdzie, jeno tu, gdzie ojciec leży i matka i gdzie ja chcę spocząć, na swojej ziemi... na swojej! Tum kolebkę miał, tu grób mieć chcę... Uciekałem od moru, ale mnie niepocziwe dogoniło powietrze, bo taka snadź była wola boża, której nic oprzeć się nie może.

Mówił powoli, cicho jęcząc, a starszyzna z towarzyszami porwawszy się z ław, obstąpili go załamując ręce, bo nigdy, jak gospoda gospodą, podobny się tu nie trafił przypadek.

Lecz gdy posłyszano z ust wędrowca wychodzące złowrogie wyrazy: mór, powietrze, o których już z różnych stron dochodziły wieści, zaczęli się wszyscy bojaźliwie usuwać i zmięszali, a struchleli. Towarzysz Sylwek, chwyciwszy drugiego pod rękę, rzucił się zaraz po księdza do Franciszkanów, a ze starszyny jeden pomyślał o lekarzu, rachując, do którego bliżej było. Wszyscy zaś prawie mieścili się około zamku, bliżej Wawelu i przy Świętej Annie a akademii.

Choć wedle ustawy a obyczaju cechowego bez czapki nie było wolno za pierwszy próg wychodzić, nie zważał na to starszy Skalski, iż z włosami rozwianymi, łamiąc ręce, znalazł się w ulicy przeciw gospody.

Wtem właśnie, jakby go tu sam Pan Bóg zesłał, zjawił się ów sławny Struś doktor, powracający od chorego. A oka jego nigdy nic nie uchodziło.

Przypadł więc ze swą powagą i odwagą doktora, za ramię chwytając Skalskiego.

— Człeczce, co ci jest!?

Skalski, jako starszy cechowy, byłby może, choć w tak krytycznej chwili zaprotestował, że go po prostu tak człekiemi nazwano, ale poznał Strusia, a temu wiele było wolno.

— A, ojciec mój! — wykrzyknął. — Stało się u nas wielkie nieszczęście w gospodzie! Przyjmowaliśmy towarzysza wędrownika, który z Wielkopolski powracał. Krakowianin nasz jest, dziecko cechu. Wtem u przyjęcia zaniemógł, osłabł, padł i przyznał się, że od moru uciekał, więc mógł go przynieść ze sobą.

Struś, nic nie odpowiadając, jak stał, na bok odsunawszy Skalskiego, nie oglądał się już i biegł żywo ku drzwiom gospody, u których cała gromada czeladzi i daclów stała.

Rozepchnął ich i wbiegł śmiało do radnej izby.

Właśnie promień zachodzącego słońca, zza chmur się dobywszy, przez okno wpadł i oświecił leżącego na ziemi, wijącego się w boleściach, posiniałego wędrowca. Leżał w pośrodku sam, bo się nikt nie śmiał zbliżyć do niego.

Spojrzał Struś, podszedł tuż, przykląkł nad chorym i wpatrywać się w niego począł pilno.

Głosem dogorywającym umierający wołał:

— Wody!

Struś mu jej kubek podać kazał, bo miał tę pewność, że natura wie lepiej od lekarza, czego jej potrzeba.

Milczący, długo wlepiając oczy w tę twarz zsiniałą, na którą już nadchodząca śmierć kładła piętno swoje, na ostatek załamał dłonie.

Wstał i na najbliższej ławie przysiadł, jakby i jemu sił zabrakło.

Dokoła stało towarzystwo lamentując, szepcząc, stękając, ręce ku niebu podnosząc.

Struś po chwili ruszył się. Przypomniawszy sobie u Franciszkanów apteczkę i na kawałku papieru nakreśliwszy coś, biec kazał po lekarstwo. Ale z twarzy jego widać było, że nie bardzo ufał, aby ono na czas przyszło i pomoc miało.

Choremu jeszcze wyrazy urywane z ust się dobywały ciężko.

— Na swej ziemi umierać... na swojej ziemi leżeć.

Potem zaczął wzywać opieki świętych i Matki Bożej, a ręką bezsilną chciał się w piersi uderzyć.

Nim z apteki lekarstwo przyniesiono, czeladź księdza od Franciszkanów prowadziła. Szedł spiesźnie z wiatykiem, dzwonkiem poprzedzany, a wszyscy po drodze klękali i schylali głowy.

Do niego też doszło straszne to słowo: mór — a wiedział i pamiętał Kraków dobrze, co ono znaczyło, bo straszna ta klęska już go kilkakroć nawiedzała i opustoszała.

Lecz kapłanowi, tak jak lekarzowi, nie przystała obawa; bo jeden z nich rycerzem Chrystusa, a drugi żołnierzem miłosierdzia ludzkiego jest.

Przykląkł u boku umierającego kapłan i spojrzawszy na twarz ostatnimi drgnieniami życia dogorywającego, pośpieszył z rozgrzeszeniem i komunią.

Odżył nieco zapowietrzony, oczy mu się podniosły i wnet jakby powłoka mglista je zasnuła. Życie w tej chwili uszło w ostatnim tchnieniu, a głowa kamieniem na podłogę opadła.

Struś zbliżył się do trupa.

Oznaki moru zbyt były jawne, aby mógł powątpiewać o nim. Zwrócił się do starszych nakazując:

— Ojcowie starsi, siebie i miasto ratujcie! Niech zwłoki nie leżą długo, aby domu, ulicy a może i całej, uchowaj Bóg, stolicy nie zapowietrzyły. Co rychlej ślijcie po trumnę, po wóz i wywieźcie

go na najdalszy cmentarz, a pogrzebicie jak najgłębiej... odzież i rzeczy z nim.

Pod wrażeniem strachu, jaki mór sprowadzał, towarzystwo i czeladź poruszyły się żywo, spiesząc spełnić rozkaz doktora. Matka gospody w drżących rękach niosła już zapalone kadzidło, oczyszczając nim mieszkanie, otwierano drzwi i okna.

Wynosili się bojaźliwsi, ksiądz tylko modlił się jeszcze przy zwłokach, i Struś pozostał chwilę, smutnym, zadumanym wejrzeniem wpatrując się w umarłego. Zawrócił się potem ku miastu.

Tu wieść o wypadku w bednarskiej gospodzie błyskawicą obiegła już wszędzie, niosąc popłoch z sobą. Wieczorem przyniesiono ją na zamek do biskupa Samuela i na dworzec biskupi do Gamrata.

Nie pobiegł jednak z tym nikt ani do króla, ani do starej królowej. Po twarzach dworu, po cichych szeptach i trwożliwym gromadzeniu się dworzan, poznać było można, iż umysły zaniepokojone zostały, a ludzie radzić sobie nie umieli. Nazajutrz w bliskości gospody mówiono o chorych i umarłych.

Strwożeni mieszczanie spotykali się jedno mając na ustach: „Mór, mór! — Dokąd chronić się przed nim?”

KONIEC TOMU DRUGIEGO

Skwarne dnia lipcowego w jednej z izb kamienicy Seweryna Bonera, przy otwartym oknie stał pan podskarbi z młodym człowiekiem, po którego stroju poznać było można, iż zaledwie z kurzu się otrząsnął po długiej podróży.

Oba zdawali się oczekiwać na kogoś, bo Boner, często się przez okno wychylając, spoglądał na ulicę, a młody jego towarzysz także niespokojnie śledził przejeżdżających nią ku Floriańskiej Bramie.

Okno otwarte dla wielkiego gorąca niewiele powietrze ochładzało, a co gorzej, wpuszczało do komnat dym gorzki, który się z wielkiej kupy liści nagromadzonych u wrót podnosił. Kraków bowiem już zagrożony morem ratował się od złego powietrza, z przepisu lekarzy paląc po placach i ulicach liście dębowe i piołunowe.

— Cóż się Marsupinowi stało — odezwał się młodszy — iż dotąd nie przybywa?

— Nic zapewne złego — rzekł Boner — ale pocziwy Włoch lata i pracuje niezmordowanie, mógł go posłaniec w domu nie zastać. A ma co robić, zaprawdę, bo wypowiedział wojnę otwartą Bonie, która też w środkach nie przebierając, odpiera dzielnie jego zamachy. Gdyby nad tą sprawą, biorąc do serca los młodej królowej, krwawymi łzami płakać nie było potrzeba — dodał podskarbi — zaiste śmiać by się można widząc złość Bony i do jakiej wściekłości ją zuchwalstwo Marsupina doprowadziło; ale czekajmy, on to wam sam rozpowie.

— Sprawilże co Marsupin? — spytał młody podróżny.

— Dotąd nic, zaprawdę — rzekł Boner — ale się położenie wyjaśniło i ucisk jawny nie jest dla nikogo tajemnicą. Zawsze to zysk jest oczywisty.

— Niewielki — szepnął młody — a przyznam się wam, że i ja tu, na poparcie Marsupina przysłany umyślnie, wiele więcej zyskać się nie spodziewam. Niestety, panie mój! Smutna to rzecz, ale cała nadzieja nasza w tym, że król stary, że życie jego niedługie, zatem i panowanie Bony...

— Tak — odparł podskarbi smutnie — ale do dziś dnia tak dobrze panuje Bona młodemu, jak staremu, synowi, jak ojcu. Mar-

supin widzi w tym czary! W istocie trudno pojąć, jak młody pan tak wielkiego umysłu, tak szlachetnego serca, w tak ciężką i sro motną popaść mógł niewolę.

— U matki! — podchwycił podróżny.

— My mówimy: u matki, i przypisujemy to czarom zbrodnicy — rzekł Boner — lecz pono by właściwiej było rzec: popadł w niewolę namiętności, a czarem jest ta piękna maseczka kochanki!

Rozmawiając nie dosłyszeli, jak na wschodach szybkie kroki za-tętniały i drzwi otwarły się z trzaskiem nagle. Wszedł Marsupin

Lecz jakże go pobyt ten w Krakowie, nieustanne utrapienia, praca, troski, obawy o życie zmieniły! Wychudł, poczerniał, wy-sechł i podróżny, który go witać pośpieszył, dając mu rękę, wy-krzyknął: \$

— Nie chory jesteś, signor Giovanni?!

— Chory, zabity, zamęczony, półżywy jestem! Ledwie dyszę! — zawołał Włoch. — Że mnie ta żmija na śmierć nie zagryzła, Panu Bogu dziękuję! Zwijam się, jak ryba w ukrop rzucona! Dzięki Bogu, że wy mi na pomoc przybywacie!

— A, ja! — zawołał młody zakłopotany. — Wprawdzie jestem posłem króla i cesarza, ale cóż ja tu zdołam, gdy wy nie mogliście nic uczynić! Chyba powaga ojca mojego...

Przerwał nagle zadumany.

Był to syn Justa Decjusza Krakowianina, służący przy królu Ferdynandzie.

Marsupin padł znużony na ławę.

— Do wszystkich utrapień — rzekł — dodajcie to, żeśmy w Krakowie morem zagrożeni, że w każdej chwili śmierć może pochwycić za gardło.

— Więc i dwór stąd uchodzić powinien — rzekł Decjusz.

— Stanie się to zapewne — odparł Marsupin.

— Cóż natenczas z wami będzie? — spytał Boner Włocha.

— Ze mną? Ja pociągnę za dworem — szepnął, czoło z potu ocierając, Marsupin i westchnął ciężko.

Decjusz się przysiadł do niego.

— Mówcież mi, jak stoicie z Boną?

— Ha, po włosku! Na noże! — rozśmiał się Marsupin. — Robiłem, com tylko mógł, aby ją przebłagać i w dobry sposób przyjsć do jakiegoś porozumienia; na próżno!

Prosiłem o posłuchanie naprzód, a to jak najpokorniej. Jednego dnia stałem u drzwi na próżno, ochmistrz dworu przyszedł mi powiedzieć, że była zatrudnioną i przyjąć mnie nie może.

Sądziła zapewne, że nie będę śmiał naprzykrzać się więcej, ale wróciłem nazajutrz.

Ochmistrz mi przyszedł oznajmić znowu, że królowa lekarstwo bierze, odszedłem po raz drugi z niczym.

Trzeciego dnia, gdy naley i widzieli, że się mnie nie pozbędą,znaczono mi godzinę dziewiętnastą. Dobrze przed nią czekałem już w antykamerze. Sekretarz wyszedł, królowa mnie zobaczyła przez okno, i oznajmił, że godzina dziewiętnasta zajęta, abym szedł za nimi.

Lękając się, aby mnie to nie chybiło, pozostałem na zamku.

Sekretarz dotrzymał mi bardzo grzecznie towarzystwa, usiłując wybadać, z czym przychodziłem i co mam mówić królowej. Zbyłem go żartobliwie.

Skończył się obiad, widziałem, jak stara odprawiła młodego króla, jak kazano ustąpić wszystkiemu dworowi.

Dwie tylko starsze jejmoście ze dworu Bony pozostały przy niej. Ona z Elżbietą ukazały się na galerii i stara dała mi znak, abym szedł za nimi.

Gdyśmy na pokoje królowej przyszli, młoda pani usunęła się, zapewne z rozkazu Bony, w głąb, zostałem tak, jak sam na sam, ze starą.

Z największą pokorą, pomimo że twarz jej gniew i pogardę wyrażała, przykląknę przed nią.

— Mów, czego chcesz ode mnie! — poczęła głosem, w którym złość wrzała.

— Wiadomo Waszej Królewskiej Mości, iż przychodzę w sprawie młodej królowej, z polecenia rodziców!

— Cóż się to dzieje tej młodej królowej, że takiej opieki potrzebuje? — poczęła z ironią. — Widzisz ją przecie, zdrowa, wesoła, krzywdą się jej żadna nie dzieje!

— Królowa młoda — rzekłem — nadto jest bogobojnie, skromnie i miłościwie wychowaną, aby się uskarżała na to, co cierpi; znosi ona, ale cały świat wie, że pożycie młodych małżonków nie takie jest, jakim być powinno.

Bona jaszczurczym okiem rzuciła na mnie.

— Tak jest — dodałem — młody król wcale nie żyje z żoną, unika jej ani we dnie ją odwiedza, ani się nią zajmuje.

— A cóż to do mnie należy? — odparła Bona. — Ma swoją wolę.

— Wiadomo przecież — dodałem — że jest synem posłusznym. Dlaczegoż Wasza Królewska Mość, która masz nad nim władzę, nie nakazesz mu, aby nie zaniedbywał żony? Jeżeli od dawnych miłości od razu się uwolnić nie może, niechby przez to nie cierpiała żona. Taka wzgarda dla córki pana mojego, dla synowicy cesarskiej, jest dla obu obrażającą. Cesarz nie zniesie zniewagi takiej. Rzecz jest publiczności wiadoma, opowiadają o niej w Niemczech, Czechach, po całej Polsce, a tu w Krakowie piosenki o tym składają¹. Przżybyłem w tej sprawie; zamiast ułatwienia jej, Wasza Królewska Mość jawnie starała się mnie stąd wygnać. Gdybym nie miał wytrwałości w służbie, na, musiałbym dawno precz iść.

Gdym to mówił, twarz jej się mieniła, bladła, purpurową się stawała, gniew nią taki owładnął, że się utrzymać nie mogła. Jakimi wyrazami wpadła na mnie, powtórzyć nie mogę, bobym wiary nie zyskał. Wprost łajać mnie poczęła, trzęsąc się i pięści nastawiając.

— Zamknę ja ci usta, zuchwalcze... Pokażę ci, co to jest przeciwko mnie się porywać!

Pan Bóg łaskaw, iż z zupełną zimną krwią wytrzymawszy tę napaść, odpowiedziałem jej z największym uszanowaniem, ale przyznam się, złośliwie nader. Dałem jej uczuć, że wszystko mi jest wiadomym, że wyliczyć mogę, ile razy król młody odwiedzał żonę i że od niej po nocach chronił się do panien fraucymeru, za wiedzą jej.

— Jesteś podłym, nikczemnym szpiegiem! — krzyknęła.

— Tak — odparłem — niestety! Pan mój szpiegów potrzebował, bo nie tak Wasza Królewska Mość obchodzisz się z córką jego, jak na królowę matkę przystało.

Wszczęła się tedy walka między nami na słowa, w której ja tę miałem wyższość, żem krew zimną zachowywał ciągle, gdy ona ją coraz bardziej traciła, unosząc się i zamiast argumentów, obsypując mnie obelżywymi wyrazami.

W ciągu rozmowy byłem zmuszony nie tylko własne moje

przekonanie wygłosić, ale się podeprzeć tym, com słyszał z ust księdza biskupa Samuela i oto tu przytomnego Bonera.

Podskarbi, słysząc to, uśmiechnął się i skłonił.

— Wie ona z dawna, co trzymam o niej — rzekł zimno.

Marsupin ciągnął dalej opowiadanie.

— Przyszło do tego, że się Bona ze złości rozplakała.

— Byłam i jestem królową — zaczęła wołać — chcecie mnie tu sługą uczynić i niewolnicą!

Na to jednym słowem odpowiedziałem:

— Nie, tylko matką!

Na wyrzuty najrozmaitsze, sprawę mając dobrą, znalazłem zawsze odpowiedź słuszną, gotową, której odeprzeć nie mogła.

W ostatku mnie przyparła posagiem, że z wielkich obietnic grosza jednego dotąd nie widziano. I na to rzekłem, że przecie termin nie przeszedł, a w nim należytość spleciona będzie.

Wiedziałem o tym od księdza Samuela, że królowa, gdy nie może nic ze starym królem, ucieka się do łez i gniewu, to samo było ze mną. Znowu się jej łzy rzuciły, a złość ją dusiła, łkała i łajała.

Potem odwiódłszy mnie dalej, aby nas nie usłyszano, wpadła na mnie.

— Ty, sługo nikczemny — krzyknęła — jak ty, robactwo plu-gawe, śmiesz mnie, królowej, mówić takie rzeczy, czynić takie wyrzuty?!

— Najjaśniejsza Pani — rzekłem — to, com mówił, niczym jest jeszcze. Mam zlecenie pana mojego powiedzieć daleko więcej i to takich rzeczy, o których Wasza Królewska Mość sądzisz, że jednemu Panu Bogu są wiadome, a te ja będę obowiązany cesarzowi przedłożyć, wraz z tym, com tu widział, słyszał i wyrozumiał.

Usłyszawszy to, widziałem, jak pobladła, drżeć zaczęła i wielką siłą zdawała się upokajać pozornie. Głos zniżyła razem i złagodniała, zmieniła przedmiot tak, że osłupiałem.

Spojrzała mi w oczy dziko.

— Spodziewam się — rzekła — że wy cesarzowi polecicie córkę moją Izabelę, żądam tego po was. Zaświadczcie i o mnie, że nie jestem złą matką, że to są potwarze ludzi podłych, którzy chcą nas poróżnić.

Oślupiałem w początku nie pojmując nagłego zwrotu.

— Dosyć, dosyć — rzekła — niech się to wszystko skończy, niech o tym więcej mowy nie będzie, niech nastanie zgoda! Milcz, proszę.

Sądząc, że na tę obietnicę rachować mogę — mówił dalej Marsupin — zapewniłem ją, że co do mnie, obowiązkiem czuję pokój i miłość, o ile sił moich, popierać.

Tak się owo sławne moje posłuchanie u królowej skończyło, a raczej walna bitwa, w której, jak sobie pochlebiałem, odniosłem zwycięstwo. Lecz któż zna tę przewrotną i chytrą niewiastę?!

Nazajutrz po tej porażce dowiedziałem się od biskupa Samuela, że szła z płaczem do starego króla skarżyć się na mnie, iż bez należytego poszanowania, grubiańskie śmiałem jej czynić wyrzuty, na co Zygmunt miał odpowiedzieć połajaniem a groźbą, że ona sama temu winna i że postępowaniem swym, uchowaj Boże śmierci na niego, narobi sobie nieubłaganych nieprzyjaciół i zgotuje los ciężki.

Tegoż samego dnia, pomiarkowawszy się snadź, poszła do młodej królowej, udając wielką dla niej serdeczność. Rozmawiała z nią długo i Hölzelinowna zaraz mi o tym z największą wdzięcznością doniosła.

— Ano — przerwał młody Decjusz — toć lepiej poszły sprawy, niż mówicie, i pochłubić się tym możecie.

— Posłuchajcie do końca! — westchnął Marsupin. — Pokój ten i nadzieje pojednania nie trwały długo. Wprawdzie na rozejmie zyskała młoda pani nasza, która sił nowych nabrała. Musieliśmy na nią patrzeć z uwielbieniem, z podziwem nad mocą ducha, nad męstwem, jakie okazywała.

Ze strony Bony chwilowym strachem wywołane pomiarkowanie, udawana czułość nie potrwały długo. W sercu gadziny jad się zbierał. Nie śmiała występować jawnie, ale w drobnych rzeczach, gdzie tylko młodej pani dokuczyć mogła, nie omieszkała.

Jednego ranka przychodzi do mnie pocziwy Dudycz... (spojrzał Marsupin na Bonera, i uśmiechnęli się oba) i powiada, że kilka dni temu, nasza pani młoda posłała do szafarza starej królowej, prosząc o kawałek sera parmezanu. Szafarz go dał natychmiast, ale Włoszki, które młodej królowej nie lubią, bo im kochanka odebrać może, natychmiast o tym doniosły Bonie, mówiąc, że młoda pani sobie pozwala rozkazywać, nie pytając matki.

Rozgniewana królowa natychmiast wydała szafarzowi rozkaz, aby się nie ważył nic dawać młodej królowej.

Śmiech mnie wziął z tego i przyszedłszy tu do pana Bonera, powiedziałem mu o tym.

— I, rozumie się — rzekł Boner — żem natychmiast kazał trzydzieści funtów parmezanu posłać młodej królowej, prosząc, aby się do mnie z rozkazami udawała, a ja dostarczę, czego tylko potrzebować będzie.

— Ser już był u królowej — ciągnął dalej Marsupin. — Marszałek się o tym dowiedział, zaczęto mówić o nim, a jam też głośno się nie wahał odzywać, że królowa Bona niezbyt uprzejmie i teraz się obchodzi z synową, opowiadając na dowód historyjkę o serze.

Szpiegowie Bony, dworzanie młodego króla, cała gromada zauszników, okrutną zaraz tragedię zrobili z tego sera. Bona ją wzięła do serca.

Przysła do mnie sam pan marszałek Opaliński, domagając się, abym wyznał, kto mi o tym serze mówił.

Obróciłem to w żart, nie chcąc biednego Dudycza gubić, który truchlał, boby się na nim mszczono.

— To nie są żarty — odparł mi marszałek Opaliński — królowa domaga się koniecznie imienia tego, który ją o ser oskarżał.

— Imienia tego ani na mękach nie powiem — odpowiedziałem stanowczo — nie przystało mi nikogo zdradzać. Moim obowiązkiem tu wszystko słyszeć, wszystko widzieć, wszystkiego dochodzić — to służba moja, ale nikogo oskarżać i mianować nie mogę.

Nazajutrz przybiega komornik starej królowej, wzywając mnie do niej; byłem prawie pewien, że o ser chodzi. Jakoż się nie omyliłem.

Biegnę, grzecznie mi chwilkę czekać każą. Patrzą, ciągną jak na wielkie sądy panowie senatorowie, marszałek Opaliński, dalej ksiądz Samuel Maciejowski, który śmiech ma na ustach, za nim Gamrat... Dworzanie do sali wnoszą podnóżki, kobierce, opony, gotują siedzenia, stoły... Trybunał się układa.

Wpuszczono i mnie, obwinionego. Dworzanom i komornikom na ustęp iść kazano². Nadeszła Bona w całym majestacie, nakazując zająć miejsca Gamratowi, Maciejowskiemu, Zebrzydowskiemu, na ostatek mnie i panu Bonerowi.

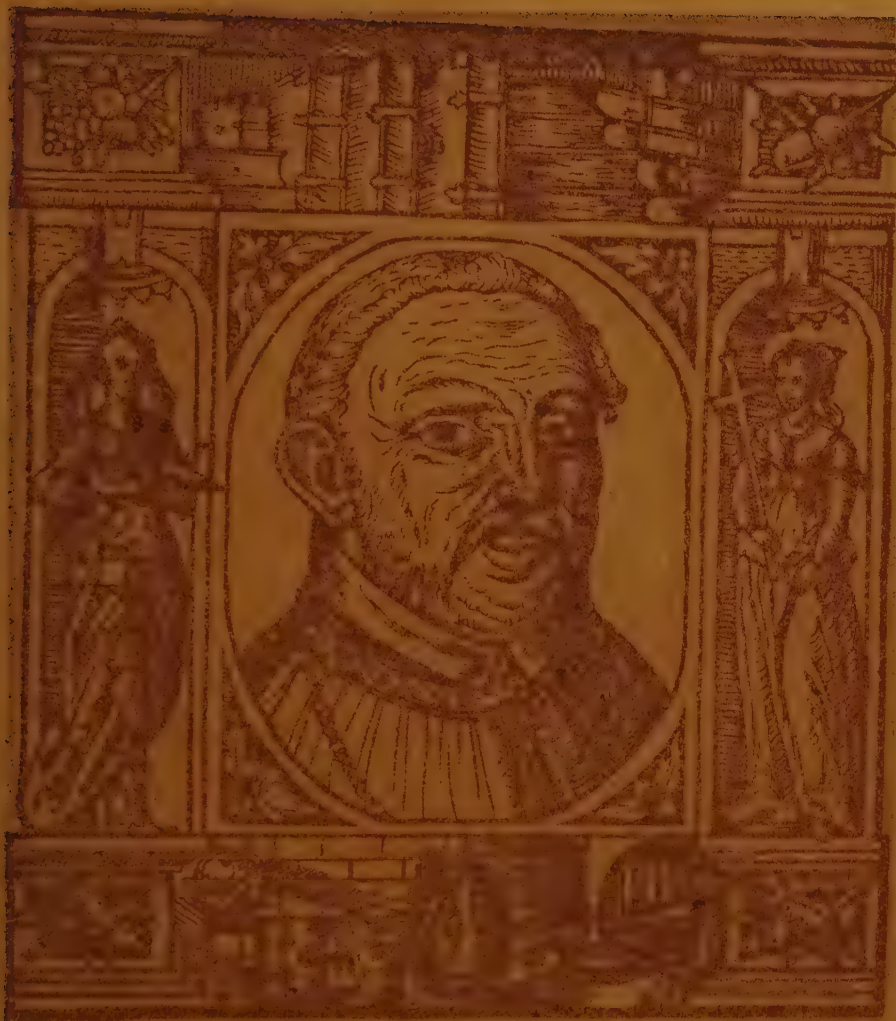


17. Seweryn Boner jako Dawid.

Medalion z kaplicy Zygmuntowskiej, rzeźba Jana Marii Padovano (1493—1574)



18. Gamrat powracający z uczyty na Zamku.
Drzeworyt Józefa Holewińskiego (1848—1917) wedle rysunku Jana Matejki



19. Piotr Gamrat — biskup krakowski.
Drzeworyt z VI wieku



20. Zabytkowe schody w kamienicy zwanej Bonerowską w Rynku krakowskim.

Drzeworyt według rysunku Jana Matejki



21. Rzemieślnicy przy pracy.

Karta iluminowanego kodeksu Baltazara Behema z ok. 1505 r.

Przykład rozkwitu renesansowej krakowskiej szkoły ministrorskiej



22. Portret Anny Szydłowieckiej.

Miniatura Stanisława Samostrzelnika (1485—1541) w Liber Geneseos Szydłowieckich



23. Portret Szydłowieckiego.

Miniatura w Liber Geneseos Szydłowieckich malowana przez Samostrzel-
nika



24. Katedra na Wawelu (fragment)
Litografia Leona Wyczółkowskiego (1852—1936)

Można było sądzić, widząc ten poważny areopag, że się tu miała rozpocząć narada o najważniejszej sprawie państwo obchodzącej, o pokoju z Turcją, o królestwo dla Izabeli na Węgrzech, o przy mierze lub wojnę!

W istocie o serze zapomniałem, dziwując się tylko, że i mnie do tak ważnej narady wezwać raczono, gdy królowa poczęła:

— Śmiać się panowie będziecie, że tak dostojnych dygnitarzy, radę króla jegomości, wezwać musiałam dla bardzo błahej sprawy, ale dla mnie ona niemałej wagi jest, tkwi w niej zaród wielkiego zła. Idzie tu o mnie, o potwarze, jakimi mnie obrzucają; chcę, abyście byli wszyscy świadkami niewinności mojej.

Wskazała na mnie palcem.

— Oto, ten, ten, co tu przysłany został dla zgody i pokoju, właśnie i swary między nami krzewi. Rzecz idzie o mizerny sera kawałek. Muszę wiedzieć, kto mnie przed Marsupinem oskarżył, kto mówił o tym serze. Proszę was, wymóście to na nim, aby zdrajcę mianował, ja muszę o nim wiedzieć. Nie zdołacie wy nic, udam się do królów obu, aby oni władzą swą zmusili go do zeznania, kto mu to doniósł.

Pierwszy tedy pośpieszył ze zwykłą swą żywością Gamrat, dowodząc, że potwarzom bezkarnym nie ma końca, że raz trzeba pomścić królowę i że Marsupin powinien imię winowajcy wyznać.

Zatem Opaliński, jakby na sejmie był, długą mowę zwrócił do mnie i nalegał usilnie.

Rozumie się, iż obłączony srodze nie zachwiałem się, bo o cześć moją chodziło; oparłem się całą siłą, biorąc winę na siebie, lecz na żaden sposób nie chcąc wydać człowieka, który mi zaufał. W końcu dodałem trochę szydersko, iż zaprawdę szkoda było takich dostojnych osób dla takiej fraszki.

Królowa wpadła w niezmierny gniew i krzyknęła do mnie:

— Co ty mi będziesz prawa przepisywać? Pleciesz od rzeczy! Mów, coś powinien, a nie powiesz, kto ci to podszeptał, oskarżę cię, żeś sam zmyślił.

— Najjaśniejsza Pani — odparłem — *quod dixi, dixi*³; więcj ode mnie się nikt nie dowie.

Królowa wstała z krzykiem i gniewem, wybiegła do przyległej komnaty, pana Bonera za sobą wołając — i zgromadzenie się rozeszło.

— Poleciała mi o tym donieść królowi — dodał, śmiejąc się, Boner.

— Myślicie, że na tym koniec? Nie jeszcze. Opaliński poszedł do królowej Elżbiety domagając się od niej, aby ona mi nakazała wydać tego człowieka s e r n e g o.

Ale i na żądanie młodej królowej, która mi je objawiła łagodnie, odparłem, że jestem sługą króla jegomości rzymskiego, nie czym innym, i tylko jego rozkazów słucham.

Oto macie próbkę tego, co się tu dzieje i co ja tu cierpię!

Marsupin zamilkł, głowę zwiesiwszy. Młody Decjusz stał zadumany.

— Nie widzę — rzekł po chwili — co ja bym tu mógł pomóc i na co się przydać potrafię, gdy signor Giovanni, który zna lepiej terazniejsze położenie niż ja, z dawna już bawiący na dworze Ferdynanda, ledwie się umie obronić napaściom i wyjednać dla królowej ulgę małą.

— Tyle możecie — odrzekł Marsupin, głowę podnosząc — iż się rozpatrzywszy w położeniu, zdacie z niego sprawę, aby środków szukano ratowania biednej królowej, której moje zabiegi mało co pomogły. Król młody, jak nie żył z nią, tak nie żyje, poszedłszy za męża, od razu wdową została.

— A teraz — dodał Boner — nowe się święcą rzeczy. Mór w Krakowie, choć jeszcze nie groźny, ale się z każdym dniem wzmaga. Zaprzeczyć temu nie można. Z przedmieścia wejdzie rychło na miasto, a stąd na zamek. Królestwo gdzieś bezpieczniejszego schronienia szukać muszą. Bodaj to nie było nowym pozorem do rozłączenia młodego małżeństwa pod pokrywką troskliwości o nie. Już słyszę, Bona młodą królowę chce przy sobie zatrzymać, a Augusta albo na Litwę, lub na Mazowsze odprawić.

— Wyjadą więc z Krakowa? — zapytał Marsupin.

— Rzecz to jeszcze nie postanowiona — odparł Boner — ale wkrótce się rozstrzygnąć musi.

— Młody król, młody król — przerwał Marsupin — żeby się zaś dał tak powodować matce, jakby jeszcze dzieckiem był, woli nie miał... niepojęta rzecz! Mówcie, co chcecie! Ona i jej astrologowie, czarnoksiężnicy, doktorowie poją go i rozum mu odejmują, a kto wie, jakich zażywają środków! Trzebaż jeszcze na domiar

wszystkiego, aby mór przyszedł, który nas może porozpędzać, dwór wygnać!

Włoch zamilkł, ręce we włosy swe gęste utopiwszy, jakby je sobie chciał powyrywać.

— Ja tu nie pomogę nic — dodał zamyślony Decjusz — odniosę tylko królowi, com widział i słyszał.

— Nie, nie dosyć na tym! — przerwał Marsupin. — Musicie prosić o posłuchanie u starego pana i powiedzieć mu, z czym przybyliście; poprzyjcie mnie! Królowa Bona obwinia, że na swoją rękę czynię bez rozkazu, co mi do głowy przyjdzie. Poświadczycie, iż mam polecenia i że internuncjuszem⁴ tu jestem.

Boner poruszył ramionami.

— Jak gdyby ona posłów szanowała! — rzekł. — Jednym strachem pomsty cesarza nad Izabelą i jej księstwami można ją pokonać, musicie w to bić.

— Wyróbcieź mi posłuchanie u Zygmunta — odparł Decjusz, zwracając się do Bonera.

— I u młodego musicie być, i u młodej królowej — dodał Marsupin — ale ani pan Boner, ani nawet ksiądz biskup Samuel nie potrafią nic, jeżeli stara żmija przeszkadzać zechce.

Stali tak wszyscy ze smutnymi twarzami, gdy Boner chód posłyszał, a że się tu nikogo ani spodziewał, ani życzył sobie, poszedł ku drzwiom. Ukazał się w nich z twarzą pomieszaną trwożliwie Dudycz, jak zwykle fantastycznie i śmiesznie ustrojony, co przy jego twarzy, postarzałej i brzydkiej, odbijało dziwnie i oczy Decjusza ciekawe ściągnęły.

Marsupin, który tego sernego człowieka wielkim strachem nabawił, ale go cenił, bo mu służył dobrze, poznawszy z miny, iż troskę jakąś niósł z sobą, postąpił ku niemu.

Boner skinieniem głowy go witał.

— Z zamku idziesz? — spytali.

— Tak jest! — zawołał głosem niespokojnym Dudycz. — Znowu podle zamku kilku ludzi zapowietrzonych zmarło. Strach wielki u nas. Ksiądz Samuel nalega, aby stary król jechał do Nowego Miasta albo na Mazowsze, gdziekolwiek bądź, byle w miejsce bezpieczne. Rozumie się, że królowa Bona go samego nie puści.

— A August? — zapytał Marsupin.

Dudycz ruszył ramionami.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje się, że jego prędkiej jeszcze wyprawia. Bona chwyciła się moru, aby małżeństwo rozdzielić. Mowa o tym jest, aby król młody jechał sam na Litwę, a królestwo z młodą królową do Korczyna.

Wszyscy milczeli chwilę, Marsupin się oburzył pierwszy.

— Znowu coś nowego! — zawołał. — Królowa Elżbieta na to pozwolić nie powinna i oświadczyć, że z mężem pojedzie. Nie jest niewolnicą, jest małżonką... ma obowiązki.

Nikt się nie odzywał przez długą chwilę. Marsupin się odwrócił do Bonera.

— Gdyby podróż nie po myśli się składać miała — rzekł — pan Boner ma moc jej przeszkodzić.

— A to jak? — spytał podskarbi.

— Łacno — rzekł Marsupin. — Młodemu królowi na Litwę pieniędzy będzie potrzeba, gdy ich mu nie dacie, nie poślą go.

— Albo pieniądze w mej woli? — odparł Boner. — Pod moim kluczem, prawda, ale nie ja rozporządzam. Zresztą, po co się to zdało! Królowa Bona ma więcej w Chęcinach, niż ja w królewskim skarbcu w Krakowie; uprze się, to da synowi pieniędzy.

— Skąpa jest — odparł Marsupin.

— Ale nie tam, gdzie jej idzie o panowanie — rzekł Boner. — Nie pożałuje na nie.

Dudycz, słuchając, przewracał oczyma, widocznym było, że mu coś po głowie chodziło, z czym się odkryć wahał. Wziął Marsupina w stronę.

— Wiecie — rzekł — mnie się zdaje, że pora przyszła, gdy ja przy jednym ogniu dwie pieczenie upiekę, swoją i waszą.

— Jakie? — zapytał Marsupin, który w rozum i przebiegłość Dudycza nie wierzył.

— Jeżeli król młody wyjedzie, a porzuci swą Włoszkę, pora będzie się swatać do niej i was od niej uwolnić.

Rozśmiał się Włoch.

— Słuchaj no — rzekł — albo ci ją Bona da, a wtenczas nam po niej nic; albo, jeśli się to na co przydać nam może, nie dopuści. Dudycz potrząsnął głową.

— Zobaczymy — rzekł — ale ja wam tylko to z góry zapowiadam, że kto mi do Włoszki pomoże, temu ja służyć będę.

— Choćby Bonie? — spytał Marsupin.

— Choćby staremu szatanowi! — zawołał zapalony Dudycz.

Wieczór nadszedł, wniesiono światło, w ulicy nie ustawał ruch. Wyglądano oknami otwartymi, dwa czy trzy wozy z trumnami przesunęły się pod oknami.

— Mrą ludzie okrutnie — odezwał się Boner. — Nie idzie zatem, aby to już powietrze być miało, lecz śmiertelność z upałów duża. Ja jeszcze w mór nie wierzę.

— Ba! — przerwał Marsupin. — Widziałem kilku doktorów; starsi, co już patrzyli na powietrze, twierdzą, iż na trupach znaki jego widzieli: sine plamy i wrzody. Nie szerzy się ono jeszcze zbyt gwałtownie, lecz że przyszło, to pewna.

— Różnie twierdzą — rzekł Boner — lecz jeżeli istotnie zaraza się wzięła, nic pilniejszego nad to, by dwór stąd wyprowadzić. Na królu naszym starym i życiu jego leży wiele.

Rozmowa o powietrzu rozpoczęła się nieśmiało, bo nikomu o nim mówić nie było miło; a i ci, co wierzyli, iż mór się szerzył, woleliby byli o tym wątpić. Lecz z każdą chwilą smutne wiadomości się potwierdzały.

Pomimo spóźnionej godziny, Boner postanowił na zamek jechać i konia, który zawsze pogotowiu stał, podać sobie kazał. Chciał i o przybyciu Decjusza oznajmić królowi, i dowiedzieć się, co myślano i zamierzano na zamku.

Gości więc pożegnawszy, bo młody Decjusz do ojca wracał, sam w bramie dosiadł spokojną szkapę i dwóm pacholkom rozkazawszy za sobą jechać, ruszał do zamku.

W ulicach pusto było już, ale w niektórych miejscach, tam gdziekolwiek przypadek śmierci się trafił, cisnęli się ludzie dowiadując.

Wprawnemu oku podskarbiego łatwo rozpoznać było stan miasta niezwykły, jakby w przededniu klęski. Wszędzie po ulicach, pod domostwami zamożniejszych, po placach dymiły palące się liście i zioła różne, a że powietrze było ciężkie, gorzkie dymy przepełniały je i oddychać było trudno. Tu i owdzie przesuwali się z latarką ksiądz z wiatykiem, o którym dzwonek chłopca oznajmywał. Gdzieniedzie z wrót buchała wrzawa niepokojna, a jak się to pod najcięższe czasy dzieje, gdy trwoga ludziom głowy odejmuje, gospody, browary, piwnice pełne były ludzi, co się oduńczyli i z trunku zaczerpnąć odwagi.

Na zamek z trudnością wpuszczano, ale Boner klucz miał od furty każdego czasu.

W izbie sypialnej króla postrzegł światło, równie jak w komnatach starej pani, około których na galeriach przemykały się kobiety i służba. Około króla starego już nikogo nie było z rady, kapelan tylko, starych dworzan kilku i doktor-Polak. Zygmunt zabierał się do spoczynku.

Boner, chcący się dowiedzieć coś, nikogo nie znalazł w pustych antykamerach nad drzemiącego na ławce, na kiju swym spartego Stańczyka, który gdy nie błaznował, do ascety i filozofa podobniejszym był niż do trefnisia.

Podskarbi zbliżył się do niego.

— Czołem! — rzekł.

— He? — odparł stary. — Jeżeli wy mnie czołem, a czymże ja wam się pokłonię?

Rozśmiał się Boner.

— Co słyszać u was? — spytał.

— Zawsze jedno — począł trefniś — od lat wielu nic innego nie słyszę, jeno narzekanie.

— Dziwicie się temu? — rzekł Boner.

— Dziwię się — zawołał Stańczyk — bo za głupca mam, kto gdy go słuchać nie chcą, jedno klekce zawsze i próżno gębę stuzdzi!

Boner popatrzał na zastygłego jakby, ze spuszczoną głową siedzącego starca.

— Człowiekowi lżej, gdy się wystęka, sercu spokojniej, gdy się wypłaczę — rzekł z cicha.

A po chwili dodał:

— Dwór, słyszę, od moru chce z Krakowa precz. Prawdali to? Cóż wy naówczas myślicie z sobą?

— Ja — rzekł trefniś — muszę iść za dworem — bo jeśli kiedy, to czasu utrapienia błazen potrzebny, aby choć odrobinę dobrej myśli wlał do tej goryczy.

— Słyszeliście co o podróży? — dodał Boner.

— Nie wiem nic — rzekł Stańczyk — a jam zawsze do wszelkiej gotów, choćby z tego świata na lepszy. Skrzyń i sepetów nie mam, czapkę i kij zabrawszy, wszystko moje niosę w jednym ręku. Reszta w głowie.

Ze Stańczyka nigdy się tak nic dopytać nie było można. Dał więc podskarbi pokój i postawszy chwilę, rzekł tylko:

— Jeżeli wam moru nie strach, a podróż dla was ciężka, wiecie, że u mnie wam gospoda otwarta zawsze!

Stańczyk podniósł bladą swą twarz pomarszczoną i uśmiechnął się.

— Chcielibyście u waszego skarbca takich stróżów mieć jak ja, którzy na złoto nie łasi, hę? Ale Stańczyk wie, że pilnując skarbów, najłatwiej dostać po grzbiecie. Bóg zapłać!

Nazajutrz jak świt, na korytarzach zamkowych roilo się dworzanami i posłańcami. Stary król do dnia posłał po swoich panów rady, a najpierw do podkanclerzego, królowa wyprawiła komornika po Gamrata, młody król siedział już u niej, a Opaliński tej nocy spać się wcale nie kładł.

Z miasta ten to ów prawdziwe i fałszywe przynosił wieści o ludziach nagle zmarłych. W istocie mór zdawał się nagle szerzyć i ci, co go w wątpliwości podawali z początku, przeczyć już nie mogli, że na mieście umierano. Ale jedni spodziewali się, że po upałach burza nadchodząca oczyści powietrze, drudzy, że zaraza sama przez się za łaską Bożą ustanie.

Po kościołach wystawiano relikwie i odprawiano modły procyście. Doktorowie wszyscy byli na nogach, a po aptekach gotowano napoje i kadzidla przez nich zalecane.

Królowa Bona ze wszystkich członków rodziny królewskiej największym była ogarnięta strachem.

W jej komnatach wszędzie paliły się trociczki wonne⁵, balsamy różne i powietrze przejęte było wyziewami silnymi środków, które doktorowie przynosili i jedne nad drugie zalecali. Nie zmniejszało to niepokoju jej o siebie, o męża i syna.

Lecz nawet w chwili tej grozy nie zapominała Włoszka o tym, co na sercu miała, o swej nienawiści dla młodej królowej, o obawie, aby ona ze swą łagodnością, cierpliwością, wdziękiem serca syna jej nie wydarła.

Morowe powietrze dawało zřęczność wysłania syna, pod pozorem bezpieczeństwa jego, na Litwę. Dniem wprzód mówiła o tym Zygmuntowi, który długo ani Litwy, ani Mazowsza puścić mu nie chciał, namawiając, aby Augusta dał do Wilna, bo go tam Litwini z upragnieniem oczekiwali.

Stary pan zgadzał się na wysłanie syna, lecz chciał, aby, jak przystało, żona z nim jechała.

Oparła się temu Bona.

— We dwojgu tam pojechawszy, dworu, ludzi, pieniędzy we dwójnásób potrzebować będą, na to skarb nie starczy. Niech jedzie sam.

Nie było zgody, przerwała się rozmowa bez żadnego skutku.

Bona miała tysiące argumentów na to, ażeby syna osobno odprawić, a Elżbietę mieli starzy królestwo zabrać z sobą.

Z rana, nim Bona z nowymi naleganiami przyszła, król o tym mówił z Maciejowskim. Biskup głosował naturalnie za tym, ażeby małżeństwa nie rozdzielać.

Bona wcześniej niż zwykle wcisnęła się do małżonka, który czuł się więcej cierpiącym niż zwykle. Pozostawiono ich samych z sobą.

Długo trwała sprzeczka, nalegania, spór, których do sąsiednich komnat pojedyncze tylko głosy i wyrazy dolatywały. Na przemiany to głos starego króla, to piskliwe krzyki Włoszki górowały.

Dworzanie, którzy w antykamerze stali, z doświadczenia wnioskowali zawczasu.

— Królowa długo siedzi, postawi na swoim. Znak to pewny. Chceli król się jej oprzeć, rychło pozbyć musi. Im dłużej trwa, tym pewniej wygra.

Stało się tak w istocie.

Bona wyszła z rozplomienionymi policzkami, z zapłakanymi oczyma, ale z uśmiechem zwycięstwa na ustach. Zygmunt zmęczony w końcu zgodził się na wszystko; kto by o tym nie wiedział, domyśliłby się z twarzy Włoszki.

Wprędce potem rozeszła się wieść (była to sobota), iż młody król na Litwę jedzie sam... i to nie później jak w poniedziałek.

Hölzelinowna, która z panią swą i bardzo szczupłym jej fraucymerem, zawsze wśród zamku i dworu odosobnione wiodła życie, czując się nieprzyjaciółmi otoczoną, nierychło by się może dowiedziała o tym, gdyby wiadomość dla pani jej złą i smutną nie była. Ze złem zawsze ktoś pośpieszy. W korytarzu przebiegająca Włoszka schyliła się jej do ucha.

— Postanowiono — rzekła szybko — młody król na Litwę jedzie sam. Wasza pani z nami kędyś w świat z Krakowa na lepsze powietrze.

Hölzelinowna nie uwierzyłaby była temu, lecz przechodzący Opaliński, którego spytała, potwierdził ten posłuch.

Ścisnęło się serce starej piastunce, gdy z tym weszła do swej

pani. Bolało ją nowym ciosem zranić biedną a dziwnie cierpliwą męczennicę.

Przez cały ten czas niemal trzech miesięcy, które się długimi jak lata wydawały, mężnie walczyła Elżbieta z tym, co ją tu spotykało. Wszyscy co, jak Marsupin, stawali w jej obronie, choć chwilowo, pozornie czasem wyjednali jakąś folgę — staraniami swymi drażnili Bonę, nienawiść jej powiększali, pragnienie zemsty rozbudzali.

Położenie Elżbiety wcale się nie polepszyło, lecz moc jej duszy urosła, męstwa przybyło młodziuchnej pani. Wiedziała, że nie jest przez rodziców opuszczoną, osamotnienie swe przypisywała tylko Bonie, najmniej obwiniała męża i była pewną, że wszystko się skończy szczęśliwie, triumfem, pojednaniem i słodkim pożyciem z tym, którego kochała. Hölzelinowna utrzymywała ją w tych przekonaniach, które stan obecny znośniejszym czyniły.

Pomimo codziennych ukąszeń tej matki męża, którą Marsupin żmija nazywał, Elżbieta nie płakała, nie skarżyła się, obliczem udawała szczęśliwą i często nawet, jak po historii sera parmezanu, śmiała się po cichu, gdy prześladowanie się nie powiodło.

Kätchen dziękowała Bogu, jak za osobliwą łaskę Jego, że ta słaba istota z taką niesłychaną mocą ducha i wytrwałością opierała się prześladowaniu.

W istocie na twarzączce królowej, która w początkach znacznie była pobladła i nosiła widome ślady cierpienia, odkwitął znowu rumieniec świeży. Patrzyła śmiało — jedna tylko Bona, na którą patrzeć nie mogła, wrażała w nią trwogę, której zwyciężyć nie umiała.

Nawet naówczas, gdy Włoszka się starała być dla niej uprzejmą, gdy przemawiała słodko (przy świadkach), Elżbieta nie czuła się ośmieloną. W głosie tym zawsze brzmiała nienawiść, warczała jakaś groźba.

Wiele czasu spędzając sam na sam z Hölzelinowną i kilku pannami dworu, królowa ożywiała się, czytać sobie kazała, modliła się, zajmowała robótkami. Przynoszono jej plotki, których słuchała, zbytniej do nich nie przywiązując wagi.

Raz w dni kilka czasami przychodził do niej mąż, który z obawy Bony, śledzącej każdy krok jego, nigdy nie bawił długo, zaledwie słów kilka obojętnych zamieniwszy, uciekał. W nim ten

strach matki był tak widoczny, iż Elżbieta mu nawet za złe wziąć nie mogła zimnego obejścia się z sobą.

„Któż wie — mówiła sama sobie, powtarzając to, co jej Hölzelinowna szeptała — gdyby okazał najmniejszą czułość, Bona mogłaby mnie kazać otuć!”

Obawa trucizny była powszechną, mówili o niej wszyscy i królowa Elżbieta rzeczy pochodzących od Bony tknąć nie śmiała. Rękawiczki, tkanina, klejnoty mogły być zatrute tak, że jedno dotknięcie do nich zabiłoby.

Potrawy i napoje ze stołu Bony próbowano albo je nie zużytkowane precz wyrzucano. Ostrożności te czyniły życie nieznośnym.

Starając się pani swej cierpień oszczędzić, Hölzelinowna sama dzień i noc zalewała się łzami, które ocierała tylko, gdy Elżbiecie chciała pokazać twarz jasną.

Wiele rzeczy tała przed nią, ale Marsupin wiedział najmniejszy szczegół, a choć pilno śledzono, kto stąd donosił Włochowi o każdym kroku młodej królowej, dotąd zdrajcy wykryć nie zdolano.

Dudycz był nadzwyczaj ostrożny, a przed królową starą kłaniał się tym niżej, im się czuł winniejszym. Wszystkie jego czynności jeden cel miały: dostać Włoszkę, którą wybrał sobie.

Hölzelinowna, wszedłszy ze złą wiadomością do swej pani, potrzebowała chwili, aby twarz ułożyć.

Elżbieta szyła w krośnach, a zobaczywszy ją w progu, uśmiechnęła się.

— Nie znalazłbym mojej Kätchen — rzekła — gdybym nie odgadła, że nie z próżnymi rękami przychodzi!

— Gdybyż te dłonie co dobrego wam przynieść mogły! — westchnęła Hölzelinowna.

— Alem ja i do złego przywykła — odparła zimno królowa, badając piastunkę oczyma.

— Złe też przynoszę — odezwała się Kätchen. — Król nasz młody jedzie, a jedzie sam pono na Litwę. My także jedziemy, od moru uciekając, ale razem ze starą królową, która nas ze swych szpon nie chce wypuścić, nie wiem dokąd.

— A! — powstając od krosien, odezwała się Elżbieta. — Mnie się zdaje, że to tylko początek podróży tak smutny. W Bogu nadzieja, że gdy król, pan mój, osiedzi się w Wilnie, zatęskni za mną

i przyjedzie po mnie... albo, albo ja się zbiorę na męstwo i pogonię za nim.

— A, a! — wykrzyknęła Kätchen. — Gdybyż synowica cesarza, przed którego potęgą drży świat, zebrała się na to postanowienie, na to męstwo!

Elżbieta zamyśliła się.

— Kätchen moja — zawołała — miałabym je przeciwko wszystkim! Jedna jest w świecie istota, która mnie strachem śmierci przejmuję. Jej głos dreszczem mnie przechodzi, jej chód odzywa się w sercu moim, jakby każdy krok stawiała na nim, jej dotknięcie ziębi mnie jak ostrza miecza, jej wzrok, jak oko bazyliuszka, zabija. Mam odwagę, gdy jej nie widzę, gdy się zbliży, siły mnie opuszczają, nie śmiem podnieść oczów, głos mi zasycha w gardle, życie ustaje.

Hölzelinowna milczała, nie chciała się przyznać do tego, że i na niej Bona niemal takie same czyniła wrażenie.

— Król, pan mój, jedzie? — zapytała Elżbieta zadumana nieco. — Mówisz, Kätchen, że to zła wiadomość. Ja nie wiem, mnie się zdaje, że chwila wyzwolenia naszego się zbliża.

Spojrzała na piastunkę.

— Jedzie sam — dodała ciszej — nie bierze mnie, ale też i przyjaciółek swych stąd zabierać z sobą nie może.

— Znajdzie inne, gdy zechce — szepnęła Kätchen.

— A, nie sądziż tak źle o nim! — przerwała Elżbieta. — To są pozostałości z dawnych czasów, on teraz będzie innym. Ze starych więzów rozkuć się trudno.

— Dałby to Bóg!

Królowa pomyślała chwilę, uściskała piastunkę i usiadła do krosien spokojnie.

W tej samej chwili Opaliński przychodził Zygmunta Augusta wzywać do matki.

Bona, w bok ująwszy się ręką jedną, czekała na syna z obliczem triumfującym. Usta się jej uśmiechały.

Chciano ją oderwać od syna! Ona wyjazd ten miała uczynić nowym węzłem łączącym go z nią, a rozłączającym z żoną.

Zaledwie ze swą twarzą, zawsze jakieś znużenie, ale razem powagę wyrażającą. August ukazał się na progu, gdy matka odezwiała się szydersko:

— Najjaśniejszy Panie, z woli ojca jedziesz do Wilna! Jedziesz sam, bo żony na podróż długą, niewygodną teraz narażać nie można.

Uśmiech dziwny, złośliwy towarzyszył tym wyrazom.

— Tak jest — dodała Bona — jedziesz sam do Wilna! Wiem — poczęła żywiej — żeś Wasza Królewska Mość życzył sobie, będąc już królem koronowanym i wielkim księciem, zacząć rządzić i okazać, że potrafisz miecz i berło podźwignąć. A więc winszuję.

Skloniła się przed synem.

— Co się tyczy królowej — rzekła — bądźcie spokojni! Pojedzie z nami, na niczym jej zbywać nie będzie. Wprawdzie i nasz, i jej dwór zmniejszyć musimy, ale pozostanie zawsze próżniaków dosyć!

Skrzywiła się królowa, patrząc na syna, w którego twarzy chciała dopatrzeć się wrażeń, jakie ta niespodziana wiadomość na nim uczyniła.

Oblicze Zygmunta Augusta, nawet w jego młodości wcześniej złudzeń pozbawionej, niełatwo w sobie czytać dawało. Zachowywał zawsze powagę i chłodną krew stanowi swemu właściwą. Ale matka odgadywała łatwo najłżejszy odcień twarzy synowskiej. Patrzała na nią pilno, spodziewając się poruszenia radości, a dostrzegła, a raczej domyśliła się pewnego pomieszania i zafrasowania raczej. Zdziwiło ją to.

— Jakże? — podchwyciła zawsze w tym tonie. — Wasza Królewska Mość nie cieszysz się tym? Król ojciec długo się temu opierał, masz nareście, czego sobie życzyłeś sam i drudzy dla was życzyli.

August stał jakby zadumany.

— Jestem królowi ojcu wdzięczny za zaufanie — rzekł — jadę na Litwę z ochotą, ale się lękam, czy na pierwszym kroku nie obudzę w Litwinach więcej politowania niż radości. Wy, miłościwa matko moja, lepiej to wiecie niż ktokolwiek bądź, jak szczupłe byłem i jestem wyposażony. Nie mam stosownego ani dworu, ani ludzi, ani zapasów i skarbu, który panującemu jest potrzebny. Mamże począć panowanie od tego, że będę rękę wyciągał do moich poddanych, aby oni mi dali zasiłek?

Bona zdawała się przygotowaną na to pytanie, uśmiech nie schodził z jej ust, a wyraz triumfu malował się coraz dobitniej na promieniejącej twarzy.

— Zapominasz, że masz kochającą matkę, zawsze dla ciebie do ofiar gotową, która dumną jest synem i upokorzyć go nie dozwoli. Byłam od razu pewną, że Boner, zwłaszcza gdy się dowie, że Elżbieta z wami nie jedzie, wyposażyć was na tę drogę nie zechce, jak należy. Ale od czegoż stara włoska księżniczka, która z sobą posag przyniosła w złocie i dla dzieci przyzbierać coś umiała!

August stał jakby zawstydzony, ze spuszczonej oczyma. Matka mu pieszczotliwie rękę położyła na ramieniu.

— Jedź — rzekła. — Brancaccio ma już rozkaz ode mnie. Daję ci na tę podróż piętnaście tysięcy czerwonych złotych, a że i występować musisz, a w Wilnie pewnie jednej misy srebrnej nie znajdziesz i nie masz ich wiele do zabrania stąd, a żona też nie ma ci co dać, kazałam półsetka pucharów srebrnych i mis wydać ze skarbca, odłożyłam łańcuchów, klejnotów, com mogła.

August pocałował ją pokornie w rękę, dziękował, ale ani ten dar, ani wiadomość nie czyniły go tak szczęśliwym, jak się Bona może spodziewała.

Zrozumiała ona opacznie chłód, jaki się objawiał w nim; na myśl jej przyszło, że rozstanie się z Dżemną mogło być powodem smutku. Dwuznacznie, zawsze z tym samym ironicznym uśmiechem, dodała:

— Co się tyczy towarzystwa, jakie z sobą zabierzesz w podróż, ja także o tym myślę... bądź spokojny. Rozumiem dobrze, iż ci się z wielą osobami, do których nawykłeś, rozstawać będzie boleśnie. Postaram się o to, aby ci w Wilnie nie zbywało na niczym i na nikim. Ale musimy być ostrożni. Ludzie mnie oczerniają za moją miłość dla dziecka, wymyślają potwarze... Znajdziemy środki, aby ci, co z tobą nie pojadą, za tobą wyruszyć mogli. Rozumiesz mnie... Trzeba tylko nadać temu pozór jakiś, ażeby w tym znowu przeciwko mnie i tobie przyjaciele Elżbiety nie znaleźli oręża. A kochany Marsupin ma dobre oczy... oczy kota i kocie pazury... niegodziwy, zuchwalec!

Samo wspomnienie o Marsupinie już ją wprowadzało w gniew. Czoło się zachmurzyło, usta zatrzęsły się. Przeszła się dla uspokojenia parę razy po komnacie. August stał, jakby jeszcze z nowym tym rozporządzeniem potrzebował się oswoić — zadumany.

Bona zbliżyła się z pieszczotami do niego.

— Zrobiłam, co tylko mogłam dla ciebie — rzekła. — Kosztowało mnie to niemało u ojca twego, bo stary im więcej sił traci, tym jest upartszy, a ksiądz Samuel więcej nad nim ma władzy. To, co by się mnie należało, po tylu latach pożycia, wydzierają mi z rąk zausznicy. Łzami się nieraz zalewać muszę... serce, zaufanie, wiarę tracę, gdy ich mi najwięcej potrzeba. Bądźże dobrej myśli, proszę; widzisz, że wszystko się składa, jeśli nie dla mnie, to dla ciebie, najlepiej! Wiem, że i teraz będą krzyczeli na mnie: że ja was z Elżbietą rozdzielałam... ale obojgu jechać było niepodobieństwem.

August, milczący zawsze, nic nie odpowiedział na to. Dziękował tylko matce, ale twarz miał ciągle posępną.

— Wyjazd twój na poniedziałek naznaczony — dodała Bona. — Mówiłam o tym Opalińskiemu; wydaj stosowne rozkazy, a jeżeli ci co jeszcze zabraknie, mów mnie, udaj się do mnie, nie do Bonera, nie do nich... tam... ja dostarczę ci, co potrzeba. Brancaccio jest na twe rozkazy.

Augustowi nie pozostawało nic nad nowe podziękki matce, która nie widząc w nim radości, szepnęła na ucho:

— Niepodobna Dżemmy natychmiast wysłać, ale wkrótce będzie w Wilnie i to tak, że nikt nie potrafi nam tym oczu wykałać. Bądź spokojny, obmyślę, zrobię wszystko, czego potrzeba do twojego szczęścia. Pamiętaj, że masz kochającą cię matkę, że nikt lepiej ci nie życzy i lepiej poradzić nie potrafi. Radź się mnie... Mam stare doświadczenie, znam ludzi, wiem, jak z nimi postępować trzeba, czym ich ująć.¹ Dla ciebie żyję.

I namiętnie, pochwywszy go za szyję, zaczęła ścisnąć.

Serce Augusta poruszyło się też tymi dowodami macierzyńskiej miłości, całował ją po rękach i dziękował.

Bona zaczęła szeptać poufnie, przygotowując go do postępowania wedle jej wskazówek, chcąc zapobiec, aby oddalenie się syna nie oderwało go od niej i nie wyzwoliło spod tego wpływu, jaki dotąd na najmniejsze jego czynności wywierała.

Długo dosyć trwała ta narada poufna z matką, po której Bona z uśmieżkiem wskazała synowi drogę zwykłą przez swoje pokoje do mieszkania Dżemmy.

— Idź ją pociesz — rzekła — musi być biedna w rozpacz, bo już we dworze o twoim wyjeździe wiedzą. *Poverina!*

Młody król w istocie, pożegnawszy matkę, wprost udał się do Dżemmy.

Teraz, jak w początku rozmowy z Boną, piękne jego lice nosiło na sobie to nieznaczne piętno, które przez życie całe skazanym był dźwigać, nieprzewyciężonej tęsknicy. Nigdy nikt nie widział Zygmunta Augusta prawdziwie wesołym i swobodnym, jak gdyby losów swoich miał przecucie i świadomość; ostatni z Jagiellonów na próżno usiłował życie swe czymś umaić, wszystko mu się z rąk wyslizgało — nie miał szczęścia.

Szedł pogrążony w myślach, gdy trzpiotowata Bianka, nim się zbliżył do drzwi mieszkania Dżemmy, zabiegła mu drogę z zachwałym swym na koralowych wargach uśmiechem.

Jak stara, dobrze z nim spoufalcona dworka, podbiegła wprost do króla.

— A — zawołała — śpiesz Wasza Królewska Mość pocieszyć tę biedną Dżemmę, bo się we łzy rozplynie, choć dobrze wie, że zapomnianą nie będzie... i że dziś czy jutro pojedzie przecie za wami! — A, a, — dodała — Dżemma, Dżemma! Ale wam, Miłościwy Królu, potrzeba by raczej takiej lotrzycy wesołej jak ja, jak stara Bianka, aby fałdy waszego czoła wygładzała. Weźcie bo mnie z sobą.

August się uśmiechnął do niej, a żwawe dziewczę, poprzedzając go, otworzyło mu drzwi sypialni Dżemmy. W głębi w drugiej komnacie widać ją było z rozpuszczonymi włosami, w rozpiętej sukni przechadzającą się po izbie. Posłyszawszy szelest, rzuciła się ku wchodzącemu królowi i wykrzyk płaczliwy z ust jej wyrwał.

Zimno jakoś, chociaż z politowaniem, August się zbliżył do niej; oko baczniejsze mogło dostrzec pewnej zmiany w obejściu się z nią Augusta i nie uszła ona pewnie wejrzenia Bianki, a może sama Dżemma przeczuwała już pewne ostygnięcie. W istocie trzy te miesiące nieznacznie, powoli oddziaływały na serce króla.

Miłość jego dla Włoszki od początku była więcej podsycana jej namiętnością ku Augustowi, niż uczuciem jego własnego serca. Było w niej więcej zmysłowego pociągu, uroku wielkiej piękności, młodości niż uczucia głębokiego.

Samą gwałtownością swą Dżemma stawiała się ciężarem, bu-

dziła obawę, nużyła króla, który potrzebował spokoju. Kochał ją jeszcze — lecz już nie tak jak w pierwszych chwilach, gdy się ten węzeł zadzierzgnął, gdy cały był tylko nią zajęty i nie widział nic oprócz niej.

Przyczyniła się do tego ostygnięcia królowa Elżbieta. August zaczął od tego, że ją przyjął z uprzedzeniem, ze wstrętem, podbudzany przez matkę, podmawiany do okazywania obojętności.

Niezmierna cierpliwość i poddanie się swemu losowi młodej pani zdumiały naprzód, potem wywołały ciekawość, na ostatek współczucie. Począł od tego młody król, iż się ulitował nad nią, iż bardzo nieznacznie, ostrożnie ostrzegał ją i podszeptywał, co czynić miała, aby nie drażnić Bony.

Łagodność królowej, jej posłuszeństwo, bo mu się ani narzucała, ani wymówek nie czyniła, pociągnęły go powoli ku niej. Byłby może August okazał jawniej to współczucie żonie, ale wiedząc, jak ją Bona nienawidziła, jak się jej obawiała, lękał się, aby najmniejsza oznaka przybliżenia się do Elżbiety nie wywołała zemsty i prześladowania.

W ciągu tych kilku miesięcy, ostygając dla Dżemmy, August nabierał poszanowania, współczucia, zajęcia serdecznego dla tej ofiary cichej, która z uśmiechem anielskim witała go, przyjmując wszystko wdzięcznie i nie uskarżając się nigdy.

Czy się tego królowa młoda domyślała, czy przeczuwała ten szczęśliwy zwrot, który jej Hölzelinowna przepowiadała, trudno było odgadnąć. Jeżeli nadzieja wstąpiła w jej serce, nawet tej piastunce, dla której nie miała żadnych tajemnic, nie powiedziała nic, nie przyznała się do niej.

Obawiała się zawodu, drżąc czekała, czy się to sprawdzi, czego zdawała się bliską, a lękała utracić. Oczy dwojga małżonków spotykały się czasem trwożliwie i natychmiast odwracały. Dostyć było takiego pochwyczonego jednego wejrzenia, które by w Bonie obudziło podejrzenie, iż małżeństwo się zbliżyło, porozumiało, a Elżbieta mogła zyskać łaskę w oczach męża, aby Bona do ostateczności doprowadzoną została.

Syn nawet nie łudził się, wiedział dobrze, iż była zdolną namiętności panowania poświęcić wszystko, chwycić się najokropniejszych środków. Ci, co ją otaczali, gotowi też byli na jedno skinięcie dopuścić się największej zbrodni.

W obawie tej o żonę, Zygmunt August, którego serce już ku niej ciągnęło, musiał się okazywać zupełnie zimnym i obojętnym. Dosyć było, aby na jej twarzy zajaśniał promyczek radości, a Bona mogła się mścić, dorozumiewając, co go wywołało.

Litością naprzód zyskała Elżbieta męża, potem łagodną cierpliwością swą i spokojem w męczeństwie. Teraźniejsza podróż na Litwę, chociaż go rozdzielała chwilowo z żoną, nie wydała mu się groźną. Zyskiwał na niej więcej niezawisłości, mógł potem odebrać żonę, musiał się o nią upomnieć. Sam król rzymski powinien był mu w tym dopomóc i młoda pani mogła rychlej być wyzwoloną, a ręka Bony, chociaż sięgała daleko, nie tak już silnie dawała się czuć na Litwie.

Wszystko to snuło się po głowie młodemu panu, gdy szedł zamysłony do Dżemmy.

Włoszka na widok jego wybuchnęła płaczem, rzucając mu się na szyję.

— Chcą nas rozdzielić — poczęła wołać — ja się zabiję, ja nie przeżyję rozłączenia!

Król począł ją uspokajać pieszczotami.

— Nie trwóż się — rzekł — idę od królowej matki, przyrzekła mi znaleźć sposób, abyś mogła połączyć się ze mną wkrótce.

— Na cóż tu szukać sposobów! — wybuchnęła Włoszka. — Cóż nas to obchodzi, że mnie palcami wytykać będą jako królewską kochankę? Ja o to nie dbam wcale, ja się tym pysznię. Siadę na wóz, kolebek będzie dosyć i pojedę.

— Tak — rzekł August zimno — tak, a matce i mnie to wyrzucać będą. Przyjaciele i szpiegi króla rzymskiego patrzą, wiedzą wszystko, królowę i tak czernią, zrzucą winę na nią, mścić się będą na królowej Izabeli.

Dżemma z niecierpliwością zaczęła włosy rozrzucać na głowie i suknię szarpać na sobie.

— Nie kochasz mnie już — zawołała — chcesz śmierci mojej! — mówiła płacząc. — Ja tego nie przeżyję!

— Musisz dla mnie i dla siebie przeboleć tę chwilę — odparł August. — Uspokój się. Ja i królowa matka postaramy się o to, ażeby rozłąka nie trwała długo.

Dżemma stanęła nagle przed królem z brwiami ściągniętymi.

— Więc cóż? Jak? Mam tu pozostać? Królestwo oboje jadą

także z młodą panią, nie wiem dokąd. Dwór będzie zmniejszony, przy królowej tylko kilka nas zostanie. Cóż ze mną?!

— Zdaje mi się, że nic jeszcze nie postanowiono — odezwał się August — ale mam przyrzeczenie królowej najuroczystsze, iż wkrótce pojedziesz za mną, a matka moja umie spełnić to, co zamierza.

Włoszka zadumała się rozpaczliwie.

— A — zawołała — królowie! Wy, królowie, jesteście niewolnikami tylko... Boicie się oczów ludzkich, nie śmiecie słuchać serca; kochać i nienawidzić musicie, jak wam każą wasze polityczne interesa... Wolałabym pachołka kochać niż króla, bo ten, gdybym serce jego miała, mógłby mi swoją miłość okazać, a wy...

Zakryła sobie oczy.

Milczał August nie odpowiadając.

Dżemma po cichu płakać zaczęła.

— Tak więc skończyło się owo krótkie marzenie szczęścia — zawołała, rzucając się na podłogę u nóg Augusta — nielitościwa ręka losu budzi do cierpienia...! Szczęście nie wróci...

— Dżemmo! — przerwał król czule.

— Nie pocieszajcie mnie — odparła. — Wy nie wiecie nic, jak ja, jesteśmy na łasce losu, a co on pocźnie z nami, któż zgadnie? Serce moje czuje, iż wszystko skończone... żyć mi się nie chce... Co było, nie wróci!

Płakała znowu.

— Dżemmo — szeptał August — nie wierzysz chyba we mnie ani w siebie. Prawdziwa miłość cierpliwa jest i więcej ufa własnej sile. Ja wierzę obietnicom matki, jadę i spodziewam się was wkrótce zobaczyć w Wilnie. Pozostawiam cię pod opieką najlepszą.

— Na co mi to wszystko — odparło dziewczę, spuszczając głowę smutnie. — Chcę umrzeć. Szczęście nie wróci... a, nie wróci!

W przededniu wyjazdu na Litwę sama królowa Bona kazała przywołać syna zajętego wyborem w podróż.

Przybycie Decjusza młodego od króla Ferdynanda, który dla niej był szpiegiem niebezpiecznym, zmusiło do pewnych dla Elżbiety względów. Obawiała się, aby ją nie oskarżano, że małżeństwo rozrywała, a że wszystkim chciała sama rozporządzać, że najmniej krok syna musiał być przez nią obrachowany, zapytała wchodzącego:

— Kiedy i jak myślisz się z żoną pożegnać?

August myślał o tym wprawdzie, ale się obawiał narazić matce i był pewnym, że ona wcześniej ułoży, jak się ma odbyć pożegnanie. Sądził nawet, iż zechce mu być przytomną.

Lękając się narazić żonę, zmilczał. Spojrzał pytająco na matkę.

— Nie wiem jeszcze — rzekł.

Bona podeszła ku niemu; obojętność ta udana podobała się jej.

— Później nie będzie czasu, idź dziś, nie baw długo, kilka grzecznych słów, to dosyć — rzekła. — Nie trzeba, abyś jej więcej okazywał, niż jest w istocie... niech się nie łudzi. Narzucona, nigdy nam miłą nie będzie.

Syn starał się szczególnie w tej chwili okazać posłusznym.

— Pójdę dzisiaj — rzekł chłodno.

Bona spytała o wozy, kolebki, konie, sługi, ich liczbę, bo o każdej rzeczy zawiadomioną być chciała — rozporządziła kto i jak miał jechać. Szło kilka krytych szkarłatem kolebek, szły nie okryte wozy, konie powodne, dwór był niezbyt liczny, lecz po królewsku i wytwornie dobrany.

Bona w wyborze służby nalegała na to, aby wiernych sobie dodała synowi. Chciała codziennie mieć listy od niego.

— Do żony pisać nie potrzebujesz — dodała. — To, co się znajdzie w listach moich dla niej, ja jej sama powiem. Zwierzać się jej nie możesz ze wszystkiego, bo przez nią nieprzyjaciele nas dowiedzą się o tym, czego nie powinni być świadomi. Ja potrzebuję mieć co dzień gońca, koniecznie.

August przyrzekł być posłusznym.

Wprost od matki poszedł do pokoiów żony. Tu on był, niestety, bardzo rzadkim gościem, chociaż wielce pożądanym.

Nawet przy Hölzelinownie, której wierności był pewnym, nie mógł okazać żonie najmniejszego współczucia. Radość, jaką by ono obudziło, mogła zdradzić.

Jak zawsze, tak i tym razem August wszedł żywym krokiem, a gdy mu piastunka drzwi otworzyła do pokoju, w którym siedziała Elżbieta, na widok jego żywo powstająca od krosien, zbliżył się ku stolowi, o który stanęła oparta.

Rumieniec oblał dziecinną twarzyczkę młodej królowej; król mógł dostrzec, gdy go pozdrawiała, drżenie i wzruszenie. Podniosła ku niemu oczy.

— Wasza Królewska Mość wyjeżdża? — spytała cicho.

August obejrzał się niespokojnie, chciał mówić i obawa wyrazi mu na ustach wstrzymywała... Milczał dość długo.

— Tak — odparł nareście z jakimś wahaniem, wzrokiem niespokojnym okazując, iż się lękał być zbyt otwartym — tak — powtórzył — muszę jechać na Litwę sam.

Zniżył głos bardzo i prawie niedosłyszonym szepnął:

— Miejcie cierpliwość... Bóg da, wszystko skończy się szczęśliwie.

Elżbiety twarz rozpromieniała — oczki, w których krążyły łzy, błysnęły wyrazem wdzięcznym.

Więcej jeszcze niż mógł usta, król powiedział także wejrzeniem.

— Mam najlepszą nadzieję — dodał — proszę, miejcie i wy ją, a ufność we mnie.

Podał nieśmiało rękę królowej, która ją pochwyciła, lecz wtem zdało się Augustowi, jakby u drzwi dosłyszał szelest jakiś i cofnął się natychmiast przelekły, dodając głośno po niemiecku:

— Bądźcie zdrowi.

Uklonił się i nie oglądając już na królową, która szła za nim ku drzwiom, pośpieszył wyjść. W progu tylko wejrzenie, które Elżbieta zrozumiała, nakazało jej tajemnicę.

Wszystko to razem zaledwie minut kilka potrwało, a król właśnie chciał tego, aby rozpowiadano, iż pożegnanie było zimne i krótkie.

Hölzelinowna oburzona tym wbiegła do pokoju królowej z załamanyimi rękami i zastała ją w progu spokojną, niemal wesołą. Nie mogła zrozumieć już swej wychowawicy, Elżbieta przyznać się jej nawet nie śmiała. Między nią a mężem była teraz tajemnica, której ona zdradzić nie chciała, która ją wbijała w dumę i czyniła szczęśliwą.

Cieężko jej było zaprawdę wobec piastunki, lecz czuła potrzebę, obowiązek. Rzuciła się jej na szyję, aby ukryć twarz, jak gdyby płakała, a Kätchen pocieszać ją zaczęła.

Serce biło żywo. Ta radość, którą musiała osłaniać łzami, przejmowała całą jej istotę. Tak błogo się jej stało na sercu, tak jasną i piękną ujrzała przed sobą przyszłość, iż blask ten zaćmił jej umysł i po błyskawicy szczęścia otoczyły ją mroki.

Na rękach piastunki skostniała i zastygła... Wypreżyły się ręce, podniosła głowę, otwarły usta. Kätchen przerażona poznała w tych symptomach napad choroby, którą ukrywała tak starannie i która, szczęściem, tak długo w najprzykrzejszych godzinach oszczędzała biedną ofiarę.

Teraz przychodziła ona we śnie szczęścia, ale Hölzelinowna nie wiedziała o nim i tłumaczyła ją sobie jako skutek wielkiej przenikającej boleści.

Z wolna, nie tykając prawie, zdołała ją na rękach przenieść na łóżko i złożywszy na nim, pośpieszyła drzwi zarygłować, aby żadne żywe oko królowej w tym stanie, na który czyhała Bona, zobaczyć nie mogło.

Hölzelinowna jedna wiedziała z doświadczenia, iż ani budzić, ni trzeźwić, jak w zwykłym omdleniu królowej nie było można, że potrzeba było spokojnie czekać, aż to odrętwienie straszne przejdzie samo i życie powróci.

Nazajutrz Elżbieta spokojnie przez okno przypatrywała się odjazdowi męża, którego kolebki, konie, dwór, służba, psy musiały przeciągać w podworcu przed oknami starego króla. Chciał je widzieć i przekonać się, że syn ani nadto wspaniale, ani zbyt ubogo nie wystąpi przed Litwinami, niecierpliwie na niego oczekującymi.

August, czy za wyraźnie objawioną wolą matki, czy aby jej nie drażnić, nie przyszedł już w ostatniej chwili pożegnać żony, Bona tylko wyprowadziła go aż na galerię z całym swoim dworem, ale oczy ciekawych na próżno w nim szukały Dżemmy.

Włoszka, niepohamowana w objawianiu swych uczuć, byłaby się zdradziła; nie pozwolono jej wyjść i Biankę posadzono na straż. Płacząc i łkając rzucała się po swej izdebce, odgrazając na wszystkich, a nawet na ukochanego, którego w dniach ostatnich znajdowała ostygłym i obojętniejszym dla siebie. Serce jej przeczuwało, że miłość ta, na której ona trwanie liczyła, doszedłszy do najgorętszego rozplamienia, stygła i słabła.

Augustowi nie mogła zarzucić nic, nie zaniedbywał on jej, nie chybił w niczym, ale też same dowody miłości, które dawniej starczyły, teraz jej zdawały się skąpymi. Królowa też matka, w początkach tak troskliwa i pieszcząca Dżemmę, teraz ją powoli zaniedbywała nieco. W chwili odjazdu zdawało się Włoszce, iż powinna była starać się ją pocieszyć i upewnić o tym, iż wkrótce ją wyprawi za synem do Wilna.

Tymczasem dzień cały upłynął, Dżemma rozplywała się w łzach na przemiany i wybuchała gniewem, a oprócz Bianki nikt nie przyszedł jej pocieszyć, nikt nawet dowiedzieć się do niej.

Na zamku wszyscy byli zajęci przygotowaniami do podróży. Mówiono o wyjeździe do Nowego Miasta Korczyna, królowa wyznaczyła już była kobiety, które jej towarzyszyć miały — Dżemma nie wiedziała jeszcze, jaki los ją spotka.

Sama się królowej przypominać nie chciała, miłość Augusta wbijała ją w dumę, sądziła się potrzebną i godną tego, aby Bona pierwsza krok uczyniła ku niej.

Tymczasem Bianka, która się nią najwięcej zajmowała, po kilkakroć wybiegając na zwiady, powracając i przynosząc różne wiadomości — o tym, co postanowiono o Dżemmie, albo się dowiedzieć nie mogła, lub jeśli wiedziała coś, powiedzieć jej nie chciała.

Opuszczenie to, zaniedbanie coraz mocniej, dolegliwiej dotykało biedną Dżemmę. Płakała, ale płacz jej przy temperamentie namiętym przeradzał się w gniew i pragnienie zemsty, tak że Bianka zaledwie ją wstrzymać potrafiła od krzyków i wybuchów.

Drugiego dnia jeszcze nie nadszedł nikt, a Dżemma do królowej iść pytać, zalić się, prosić nie chciała. Zawsze się jeszcze nadto czuła potrzebną, aby się do błagania za sobą poniżać miała.

— August mnie kocha, jestem mu dla życia konieczną, mówił mi to i poprzysięgał razy tyle... Nie obejdą się beze mnie.

Królowa Bona w istocie myślała o tym, jak miała synowi wy-

ślać kochankę, której była pewną, że ją zdradzić nie powinna, lecz daleko trudniejszym się to okazało w wykonaniu, niż sądziła.

Marsupin czuwał, młody Decjusz siedział w Krakowie, biskup Maciejowski był o wszystkim zawiadomiony i nie wahał się królowi staremu donosić o tym, co czci królewskiej i powadze szkodliwym sądził. Nie można było wprost, jawnie Włoszki wysłać, mówiono by o tym nadto, a Marsupin doniósłby nieochybnie ojcu królowej.

Cicha doradczyni Bony, mniszka Maryna, która przez jakąś niewytłumaczoną zawiść Dżemmy cierpieć nie mogła, pierwsza szepnęła jej, że ludzie mieli na kochankę zwrócone oczy i zawczasu królowę obwiniali, iż ją za synem wyprawi.

Królowa się wahała, chociaż mocne miała postanowienie przez Dżemmę zapobiec, aby kto inny nie opanował syna.

Tak stały rzeczy, gdy Dudycz, który widział, że ta chwila dla niego stanowczą być mogła, nadaremnie przez dni parę nastęrczając się oczom Bony, która na niego uwagi nie zwróciła, pobiegł do Zamechskiej.

— Królowo moja — zawołał od progu — ratuj mnie! Włoszka została na koszu, król odjechał, nikt o niej nie myśli... Przypomnijcie jej, królowej, komu chcecie, mnie, który się ofiaruję żenić.

Ochmistrzyni zdumiona popatrzyła na niego.

— Daj ty mi pokój — odparła — ja żadnego się pośrednictwa nie podejmuję. Gdybyś się powiesić chciał, a mnie o stryczek prosił, prędzej bym ci może go dała. Ja nad Włoszkami żadnej mocy nie mam, a z królową też niewiele poufałości. Idź sam, proś, to będzie nalepiej.

Na próżno ubłagać ją i ująć się starał Dudycz, tyle tylko wyśmóć potrafił, że mu czas i miejsce wskazała, kiedy i gdzie Bonę będzie mógł znaleźć mniej zajętą i otoczoną.

Dudyczowi tak było pilno, tak się obawiał, aby go kto nie uprzedził, iż o mało się na gniew Bony nie naraził. Schwycił ją przechodzącą ze skarbcza do komnat swych, rzucił się do nóg; na-przód łajac go poczęła królowa, precz kazawszy. Ale ją Petrek przebłagał pokorą, pozwoliła mu iść z sobą, gotowa prośby wysłuchać.

Musiła się nawet domyslać, o czym mówić będzie, gdyż nie

okazała się zdziwioną, gdy Dudycz oświadczył, że prosi o rękę Dżemmy.

Długie milczenie nastąpiło potem, Bona zacięła usta, popatrzyła na dziwaka tego, nie odpowiedziała nic, kazała mu przyjść nazajutrz rano.

Dudycz nabrał otuchy.

Wieczorem, gdy Włoszka chodziła coraz więcej zrozpaczona po swojej komnatce, w której każdy sprzęt jej króla przypominał, cicho, powolnym krokiem wsunęła się Bona.

Dżemma nadto była swym położeniem przejęta i poruszona, aby dostrzegła, jak teraz inną tu przychodziła królowa matka, dawniej pieszczotliwie i serdecznie się z nią obchodząca.

W istocie zimna, zamyślona, obojętna, dumna stanęła przed zboląłą Włoszką, która w pierwszej chwili nie wiedziała, jak ma ją witać. Rzucić się do nóg? Okazać rozpacz i zwątpienie? Prosić o litość?

Oko starej pani badało pilno Dżemkę i wszystko około niej, nim się do niej odezwała. Chciała wyrozumieć, w jakim stanie ją znalazła i do tego zastosować rozmowę.

Dżemma popłakiwała, ale zza łez spoglądała płomiennymi oczyma na Bonę.

— Daj pokój tym łzom — odezwała się Bona powoli zajmując miejsce w krześle — pomówmy rozumnie. Uspokójże się, słuchaj!

Włoszka usiłowała łkanie stłumić na próżno.

— Od dawna chciałam mówić z tobą — poczęła sucho i z wyrazem nieukontentowania królowa — ale ze łzami i lamentami rozmówić się trudno, a ja czasu nie mam słuchać próżnych słów. Cóż ty myślisz?

— Spodziewałam się, spodziewam, król mi przyrzekł, Miłościwa Pani, wy wiecie, jak ja go kocham! Ja muszę jechać za nim, do niego, gdy z nim jechać nie mogłam.

— Tak — przerwała Bona — tak! Gdyby to była rzecz tak łatwa do wykonania, jak do powiedzenia! Ale to wszystko na mnie spada! Wam z tym nic, jemu to nie szkodzi, ja pokutuję za niego... Na mnie rzuca kamieniem. Jutro, gdybyś wyruszyła po nocy nawet i nikt cię nie widział, jutro wszyscy na dworze i w mieście powie-

dzą, a raporta posła do Pragi i do Wiednia, że Bona cię wyprawiła dla syna, aby mu obmierzyć żonę!

Dżemma sobie oczy zakryła.

Królowa oddychała ciężko, bo gniew na wspomnienie młodej królowej, współzawodniczki, ją ogarniał.

— Ja muszę coś poświęcić dla syna — dodała — ale i ty z siebie powinnaś jakąś uczynić ofiarę.

Włoszka odjęła od oczów ręce i facolet⁶, którym je osuszała.

— A, Miłościwa Pani, jam na wszelkie ofiary gotowa! Cześć moją, młodość, wszystko oddałam.

Jak gdyby trudnym jej było wypowiedzieć, o co chodziło, królowa się zatrzymała nieco, spuściła oczy i machinalnie palcami po poręczy krzesła przebierać zaczęła.

Dżemma oczekiwała.

— Ja cię tak samą wysłać nie mogę — rzekła po bardzo długim przestanku. — Poszukaj sama w swojej głowce, jak by się to ułożyć dało, abys miała prawo opuścić dwór i nie narażając mnie, wyjechać, gdzie ci się podoba.

Rozwiązanie tego żądania, które Bona rzuciła z uśmiechem ironicznym, nie było łatwym dla Włoszki, która usłyszawszy je, stała zdumiona, zamyślona, nie pojmując, co ono znaczyć miało.

— Jak to? Więc ty rozumna i przebiegła sama na tę myśl wpaść nie możesz? — zapytała królowa. — A jednak rzecz to bardzo prosta.

Słuchała Dżemma.

— Możesz być swobodną, tylko wychodząc za mąż! — dodała królowa.

Włoszka wydała okrzyk boleśny.

— Ja za mąż?! — zawołała z odrazą. — Ja stać się jemu niewierną?! Ja?!

— A — odparła Bona obojętnie — jak gdyby nie mógł znaleźć się człowiek, który cię poślubi i nic za to od ciebie wymagać nie będzie, pozostawi cię wolną.

— Ale ja bym przysięgać musiała.

— Przysięgi tej natychmiast dotrzymywać nikt cię nie zmusi. Mąż się zgodzi być powolnym — szepnęła Bona.

Włoszka, której się to ni w głowie, ani w sercu pomieścić nie

mogło, rzucać się zaczęła dziwnie i nierozumiałymi wyrazy urywanymi protestować.

Bona powstała z siedzenia.

— Pomyśl o tym — rzekła. — To sposób jedyny, ja innego nie widzę. Dodam tylko, że takiego powolnego męża wynajdę może dla ciebie. Musisz się przygotować wszakże, iż powabnym nie będzie, ani młodym, ale za to posłusznym.

Nie tłumacząc się więcej, Bona powstała, popatrzyła na osłupioną Dżemmę i wyszła.

Zostawszy samą, biedna Włoszka długo się z miejsca nie poruszała. Myśli chodziły jej po głowie poplątane, dziwne, niezrozumiałe; dreszcz ją przejmował na samo przypuszczenie małżeństwa jakiegoś, związku, który by moc nad nią dawał nienawistnemu człowiekowi obcemu.

Jeszcze w myślach tak zatopioną stała, gdy w progu dały się słyszeć kroki nadbiegającej Bianki. Szła tak prędko, jakby była posłaną na pociechę biednej dziewczynie.

Dla tej pocziwej, ale ze wszystkimi przewrotnościami dworu oswojonej dziewczyny, która się nigdy nie dziwiła niczemu, myśl królowej nie wydała się bynajmniej zdrożną, ani wstrętliwą, raczej zręczną i zamykającą usta wszystkim.

Bianka wiedziała o niej. Polecono jej przyjaciółkę z nią o-swoić.

Wbiegła wesoło.

— Cóż ty się we łzach tak kąpiesz — zawołała — gdy właśnie wszystko się jak najlepiej składa!

— Co? jak?

— Wyjdiesz za mąż, będziesz panią swej woli! Pojedziesz za królem, usta zamkniesz ludziom!

Zbliżającą się ku sobie, Dżemma odepchnęła z lekka.

— To okropne! — zawołała.

— Mój Boże! Cóż w tym tak strasznego? — szczebiocząc i około Dżemmy biegnąc, poczęła Bianka. — Mąż ten przyszedł na wszystko się zgodzi! Rachuje na łaski króla, da ci swobodę zupełną. Alboż to raz się tak ludzkim plotkom zapobiegało? To rzecz nie nowa!

— Bianco — krzyknęła, odsłaniając twarz, Dżemma — dla mnie, dla mnie jest ona nową i niespodziewaną, nie przewidywa-

łam tego nigdy! Nie dosyć, że jemu narzucono żonę, mnie tak samo chcą narzucić męża!

Bianka śmiać się zaczęła.

— Ale ty go znać nie będziesz, tylko chyba, by mu jak słudze rozkazywać.

Włoszka, znużona, z wolna pozornie się uspokajać zaczęła. No-gi pod nią drżały, rzuciła się na siedzenie we framudze okna.

Myślała, kto by to mógł być ten mąż, który jej miał dać nazwisko, swobodę i sprzedać się za łaskę królewską. Wzgardę miała ku temu człowiekowi nie znając go.

— Kogoż królowa stręczy? — przebaknęła ze wstrętem.

— Królowa nie stręczy, ale on się sam naprasza — odparła Bianka. — Przypomnij sobie te tajemnicze podarki.

Lice Dzemmy okryło się rumieńcem. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tego, co ją tak po królewsku obdarował, i tego, co teraz tak podle sięgał po jej rękę.

Nie umiała pogodzić z sobą tych dwóch, tak w jej pojęciu różnych ludzi.

Podniosła głowę. Bianka, patrząc na nią, uśmiechała się cią-gle.

Na twarzyczce Włoszki miejsce oburzenia zajął podziw jakiś, zdumienie, ciekawość. Towarzyszcze zdawało się, że mogła począć odsłaniać tajemnicę.

— Mam ci powiedzieć, kto on jest, ten zakochany w tobie, którego miłość idzie tak daleko, że się gotów twojemu szczęściu poświęcić?

Milczała Dżemma, ale milczenie to znaczyło: „Mów!”

Zawahała się Bianka nieco.

— Człowiek jest — rzekła — bogaty bardzo, wcale niemłody, a niestety figurą i twarzą śmiech obudzający. Wielu mówi, że do-bry ma być, nikt nie powiada, że złym być może. Czegoż można więcej wymagać od takiego słomianego męża?

Myśli Dżemmy, w miarę jak mówiła Bianka, musiały biegać i szukać we dworze kogoś, co by wizerunkowi odpowiadał, ale go znaleźć nie mogły.

Poruszyła ramionami i jeden wyraz tylko z ust się jej wy-rwał:

— Bogaty?

Bianka śmiała się.

— A tak! Powiadają, że jest bardzo zamożnym — odezwała się — a najlepszym dowodem tego są podarki, za które nawet spojrzienia nie wymagał.

Włoszka jeszcze błędziła gdzieś myślami po łysinach starych dworaków, gdy towarzyszka jej, uderzając w ręce, zawołała:

— Piotr Dudycz, królewski dworzanin!

Nazwisko to, niemal zapomniane, nie znane prawie, nierychło Włoszce na myśl pocieszną postać przywiodło, do której się odnosiło. Skrzywiła usta z odrazą, drgnęła cała ze wstrętu i nie odpowiedziała nic.

— Nie będę się starała dowodzić, że się do jego maskary przyzwyczaić można — wtrąciła Bianka. — Możesz bowiem nie patrzeć na niego. Królowa powiada, że się na wszelkie warunki zgodzi, byle w oczach ludzi za męża twojego uchodził. Z drugiej strony, kochana Dżemmo, możesz być pewną, że inaczej, jak czyjaś żoną, królowa ci nie pozwoli jechać za synem. Nadto już mówiono o tym, że ona się opiekowała tobą na złość młodej królowej. Chce, żebyś jechała, ale boi się, aby na nią to nie spadło. Nie masz wyboru... biedna!

A gdy Dżemma ciągle jeszcze ani słowa nie odpowiadała, dodała prędko:

— Tak! Nie masz wyboru i wiesz co? Przyjmiesz go czy nie; zrobisz, co ci się podoba, pozwól mu się widzieć z sobą, rozmów.

— To znaczy, jak gdybym go już przyjęła — odparła Dżemma — a warunki tylko chciała układać, a ja jego i małżeństwa nie chcę! Nie chcę!

— Zostaniesz więc w Krakowie — odezwała się Bianka. — Szkoda mi cię bardzo. Wiem od naszej ochmistrzyni, że na regestrze tych, co królowej towarzyszyć mają, ty się nie znajdujesz. Zatem będziesz tu męczyć się na zamku, wśród powietrza, które już na mieście panuje, a jutro i tu, na Wawel, ten ogień wtargnąć może.

Dżemma załamała ręce i poczęła płakać po cichu. Bianka nawet, dawno ostygła i płocha, nie mogła na nią patrzeć bez litości i poczęła pieszczotami, słodkimi słowy starać się ją pocieszyć, a ból ten łagodzić.

Lecz czymże mogła osłodzić gorycz takiego położenia bez wyj-

ścia innego nad jedno — upokarzające i sromotne. Popłakały się obie i długim milczeniem zamknęła się rozmowa.

Biance jednak zdawało się, że po głębszym rozmyśle nieszczęśliwa ofiara zgodzić się była powinna na warunki, jakie jej podawano. Cała noc pozostała do rozmysłów.

Nazajutrz zaś potrzeba było stanowczo coś odpowiedzieć, bo królestwo wybierali się już w drogę i wyjechać mieli wkrótce. Jeden tylko arcybiskup Gamrat, dopóki on tu był, a on też wybierał się precz z Krakowa, wraz z tą, którą naówczas arcybiskupową nazywano, mógł ślub bez żadnych wymaganych formalności dać kazać albo sam pobłogosławić na żądanie Bony.

Wszystko to po cichu wyszeptala Bianka na ucho Dżemmie, gdy ją opuszczała późno już w noc, namówiwszy, aby szła spocząć.

Nazajutrz Dudycz, który stawiał się do Bony, jeszcze piękniej ubrany niż zwykle, otrzymał pozwolenie widzenia się z Dżemną.

— Idź sam swoją sprawę popierać — odezwała się Bona — ja przymuszać jej nie mogę. Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzisz. Pamiętaj tylko, że dumną jest i że, bądź co bądź, ona tobie, nie ty jej wyświadczasz łaskę.

Dudycz, pokłoniwszy się do ziemi, wyszedł, ale zaledwie za progiem postrzegł, że mu samemu iść nie wypadało i nie było dogodnym.

Zamechska, którą niemal na kolanach prosił o pomoc, wręcz mu odmówiła. Bianka, czatująca na niego, także z nim wchodzić nie chciała, ale dodała mu odwagi, doprowadziła do samych drzwi, wpuściła go i uciekła.

Dudycz, wszedłszy drżący do znanej komnatki, w której oknie Włoszka zwykła była siadać, nie znalazł jej tu. Dopiero po chwili wyjrzała z sypialni, zmarszczyła się, pochwyciła zasłonę we drzwiach wiszącą, zawahała chwilę, czy wnijdzie i gdy ją Dudycz zobaczył a pokłonem pozdrowił, powoli, krokiem majestatycznym wsunęła się do izby. Szła tak nie mówiąc nic, opinając na sobie suknię, z brwiami ściągniętymi, gniewna, ale panująca nad sobą.

Dudycz się zmięszał.

— Królowa jejmość — począł jąkając się cicho — królowa jejmość uczyniła mi nadzieję, że zechcecie mnie wysłuchać!

— Wiem, co mi powiedzieć macie — odparła sucho Dżemma

po krótkim namysle. — Ważycie się na sprawę trudną, a dla was... no i dla mnie, sromotną. Mnie zresztą niewiele obchodzi, co ludzie powiedzą. Wiem, co mi za to zapłaci, ale wam...?

Dudycz się zmięszał.

— Dawno już, dawno — odezwał się — serce moje wam oddałem. Na wszystkim gotów.

— Aby nic za to oprócz wzgardy nie otrzymać — przerwała mu Włoszka. — Nie rozumiem rachuby waszej. Rękę wam dać mogę być zmuszoną, ale więcej nic, nic... nawet litości.

Dudycz podniósł oczy ku niej. Nie pałała w nich namiętność — on sam przestraszonym się wydawał, ale bynajmniej rozkochanym.

Dżemma odstąpiła kilka kroków, poszła ku oknu, nie patrząc na niego. W ciągu długiej nocy porachowała wszystko, gotową była wyjść za tego nikczemnego w swym przekonaniu człowieka, lecz chciała zawczasu odjąć mu wszelką nadzieję, aby małżeństwo to kiedykolwiek czym innym być mogło nad udanie i kłamstwo.

Dudycz zaś postanowił na wszystko się zgodzić rachując, iż przyszłość zmieni warunki, a Włoszka będzie musiała się im poddać.

Milczeli oboje, gdy Dżemma się odwróciła, stanawszy z daleka przy oknie.

— Wiecie warunki — rzekła. — Rękę wam dam, więcej nic. Żadnej mocy nade mną. Po ślubie natychmiast wyjeżdżamy za młodym królem do Wilna.

— Wiecie, że ja się zgadzam na wszystko — rzekł krótko Dudycz.

— A wy powinniście wiedzieć — dodała Włoszka — że jeśli myślicie mnie oszukać, zawieść, siłą przemóc, zawiedziecie się na tym. Mam obrońcę w królu, w królowej, ale i w sobie samej, tak.

To mówiąc, zza sukni dobyła sztylecik w misternej oprawie, obnażyła jego ostrze i schowała na powrót.

Dudycz milczał.

— Przygotujcież się do ślubu razem i do podróży. Jedna z moich towarzyszek pojedzie z nami, ale i służby, i wozu, jaki przystał mi, potrzebuje.

— Kolebkę mam szkarłatem wybitą — odparł Dudycz. — Cztery woźniki jak najlepsze. Służbę znajdę i dwór okazały. Na niczym wam zbywać nie będzie.

— Oprócz klejnotów moich, sukien i sprzętów — dodała zimno Włoszka — nie mam nic. Pieniądzy, gdyby mi je dała królowa, nie podzielę z wami ani wam dam tknąć; muszę je mieć na wszelką przysgodę.

— Ja ich nie potrzebuję — odparł Dudycz, który widząc, że wszystko się nad spodziewanie jego lepiej i łatwiej składało, odzyskiwał męstwo i zaufanie w sobie.

Dżemma stała straszliwie blada i drżąca. Spełniła ofiarę, ale w głowie jej jeszcze nie mogła się pomieścić ta straszna myśl umowy z człowiekiem wstrętnym, który w niej obawę obudzał, równą i odrazę — i łzy rzuciły się jej z oczów.

Dudycz postąpił kroków parę, jakby rękę jej chciał ująć i pocałować — Włoszka z krzykiem się schroniła we framugę okna, odpychając go rękami.

— Nie zbliżaj! Nie zbliżaj się do mnie! Idź, przygotowuj, co potrzeba... Dziękuj królowej, mnie nie! Nigdy...

Zmieszany Petrek cofnął się do progu i zamruczał, że i dla ślubu, i dla wyjazdu naradzić się z nią, aby wedle myśli jej postąpić, będzie potrzebował.

— Możecie przyjść, jak teraz — odparła dumnie — lecz żadnej poufałości. Nie znoszę jej, pamiętajcie o tym.

Petrek posłuszny, z wolna doszedłszy do drzwi, wysunął się z komnaty, a znalazłszy się w kurytarzu, jak pijanym się uczuł, otarł czoło okryte potem, musiał stać chwilę, nim oprzytomniał.

Dżemma po swojej izdebce latała także jak oszalała, chwytając i rzucając, co jej pod rękę wpadło, stając zadumana i rwąc piękne swe włosy, a Dudycz zbierał myśli rozbite, doszedłszy nagle do celu, i nie wiedząc sam, czy dobrze, czy źle się stało. Wierzył w to, że Włoszkę ugłaskuje i pokona, ale teraz wydała mu się z bliska daleko dzikszą, niż ją wyobrażał sobie.

Przywykły do oszczędności Dudycz obrachował też w myśli, na jak wielkie ofiary narażą go wymagania kobiety, która wcale żałować go nie myślała.

Zamechska, do której poszedł z tak zwieszonym smutnie nosem, jak gdyby mu się nie powiodło, teraz mu już nie odmówiła pośrednictwa. Zawołano Biankę, Dudycz potrzebował wiedzieć, jak się miał do podróży przygotować, aby w samym początku nie być wystawionym na przykre z żoną zatargi.

Przyjaciółka podjęła się chętnie wybadać Dżemmę, ale nie tylko ją, trzeba było pytać królową o pozwolenie na służbę i wybór w drogę.

Dudycz musiał dobrych parę godzin siedzieć, nim mu przy niesiono wyrok na niego wydany. Potrzeba było dwie kolebki przystojne pod panią i jej dwór. Królowa chciała, aby jej towarzyszyła Bianka, która donosić miała o wszystkim. Oprócz tego dwoje dziewcząt służących i stara Włoszka, wyznaczona przez Bonę, miały towarzyszyć pani Dudyczowej.

Choć niemłody już, Petrek nie miał prawa siedzieć w kolebce z żoną, powinien był wraz z ludźmi jechać konno przy jejmościnej kolebce.

Nie koniec na tym; gdzie szły dwie kolebki, z których jedna musiała być aksamitem obitą i złożonymi, mosiężnymi balasami przyozdobioną, druga suknem szkarłatnym — co najmniej dwa wozy pod skórąmi trzeba było mieć dla przyborów podróżnych pod skrzynie i sepety jejmości, pod żywność dla ludzi i koni, pod zapaśną zbroję, pościelenie, wojsła, kobierce, wezglowia, poduszki, które każdy z sobą wozil, kto wygody potrzebował. Dalej jeszcze, przy czterech wozach i tylu woźnikach, ludzi też musialo być dla bezpieczenstwa i poslugi najmniej kilku i to nie lada jakich.

Gościńce leśne ku Litwie nie wszędzie były bezpieczne, często po kilka i więcej mil piaszczystą drogą wlec się było potrzeba, nie znajdując ani gospody, ani szopy. Na wszelki przypadek i namiocik jeden, drugi, i żłoby a sochy⁷ do nich dla koni wiezić z sobą było potrzeba, a do kuchni miedź i naczynie, a dla pragnienia baryłek parę. Wszystko to, ze śmiejącą się Bianką, która awanturniej podróży dosyć była rada, rozmówiwszy się i ponotowawszy, Dudycz za głowę się pochwycił, choć miał ochotę za mieszek ująć, bo rachował, co go to kosztować będzie.

Włoszka, widząc go zafrasowanym, krzyknęła mu:

— Zawczasu się rozmyślcie! Macie jeszcze czas się wycofać, jutro będzie za późno! Klamka zapadnie!

Ale Dudycz przez samą miłość własną cofać się nie myślał i odparł, że mu o pieniądze nie szło, ale o czas krótki na pościąganie wszystkiego, bo w Krakowie, choćby Dżemma się nawet nie tak niecierpliwiła, powietrze coraz groźniej występujące pozostać dłużej nie pozwalało.

Dudycz więc pobiegł co rychlej na miasto, gdzie za pieniądze zawsze wszystkiego dostać było można. A choć przyjaciół nie miał, pomocników płatnych stręczyło się podostatkiem.

Po drodze spotkawszy się z panem Bonerem, nie zaparł się przed nim, że Włoszkę miał zaślubić, ale więcej mu nie powiedział nic. Resztę dnia tego, nie spoczywając na chwilę, użył Petrek na zamawianie ludzi, kupno koni, uprząży, jednej kolebki, której mu brakło, wozów itp.

Późno w nocy w gospodzie jeszcze gwarno u niego było... i izba zarzucona uprzążą, bronią, naczyniem wyglądała jak spichrz nieporządkny, gdy wpadł do niej Marsupin.

Wiedział on już od podskarbiego o małżeństwie, ale mu niepełna dawał wiarę — przybiegł się czegoś dowiedzieć.

Wyszli razem do alkierza.

— Widzę z waszmości zajęcia, że chyba prawda, iż żenisz się i z żoną do majątku wraz jedziesz. Prawdali to?

— Prawda — odparł Dudycz — ale co mam kłamać, kiedy to rychło na wierzch wynijdzie. Jadę z żoną do Wilna.

Marsupin odskoczył od niego i spojrzał z pogardą.

— Że się z kochanką króla żenisz — zawołał — to jeszcze mniejsza; znalazłoby się wielu, co by ją wzięło, lecz żebyś ją potem królowi wiozł, toć nie do wiary!

— A któż mówi, że ja ją wiozę królowi? — odezwał się Dudycz. — Jedziemy, aby z jego łaski korzystać i pod opiekę się oddać. Na Litwie ziemi ma do rozdania dosyć.

Włoch ruszył ramionami.

— Ślepy jesteś jak kret — rzekł. — Królowa matka na to wesele dzwoni, za jej wiedzą jedziecie, jawna rzecz, o co chodzi, aby król do żony nie tęsknił i z nią nie żył. Cóż wasza za powinność będzie — rozśmiał się szydersko Marsupin — na straży stać, gdy się Jego Królewska Mość z waszą żoną zabawiać będzie.

Dudyczowi twarz pobladła i poczerwieniała zaraz, zabełkotał coś niewyraźnego.

— Pozwólcie — dokończył — to moja sprawa, niczyja!

— Pewnie — odparł Marsupin — jak sobie pościelesz, tak się wypiszesz, ale pamiętajcie, że gdyście dotąd niewiele mieli miru u ludzi, teraz go mniej jeszcze pozyskacie, choćbyście łaskę młodego króla mieli.

Włoch, któremu pono o to tylko szło, aby się przekonał, jak rzeczy stały, a nie o nawrócenie Dudycza, którego upór i głupotę znał dosyć, pożegnał go od niechcenia i precz szedł.

Wszystko potem wedle programu się dokonało z tym dodatkiem, iż, mimo skąpstwa swego, Bona, starając się ująć kochankę syna, około której ciągle teraz pilno się krzątała, wyprawę jej dała obfitą i kosztowną. Nie brakło ani tkanin na suknie, ani futer, łańcuszków i naczyń, ani pięknych drobnostek, tak że Dudyczowi Bionka dała znać, iż bodaj jednego wozu pod skrzynie będzie mało, a Dżemma nic nie chciała w Krakowie zostawić. Ślub potem odbył się z rana o świcie w katedralnym kościele, przy którym mało co świadków było, i wkrótce po nim, padłszy do nóg Bonie płacząc, Dżemma wraz z dworem swym wyruszyła ku Litwie.

Bionka i stara Włoszka dodane jej były nie tak dla niej samej, jak dla interesu Bony, która o syna chciała być zawiadomioną, a na rozkochaną Włoszkę nie mogła się zdać we wszystkim.

Chociaż ożenienie pośpieszne i zaraz po nim wyjazd z Krakowa Dżemmy trzymany był w tajemnicy, cały świat wiedział i mówił o nim. Bona tylko głośno się odzywała, że Dudycz z żoną do majątności swych wyjechali w Krakowskie, a nie, jak fałszywie utrzymywano, na Litwę. Marsupin głową potrząsał i głośniej jeszcze twierdził, że Bona trwała w niegodziwym zamiarze rozdzielenia młodego małżeństwa i że ona to małżeństwo skleiała, aby Dżemnę do Wilna wyprowadzić, nie narażając siebie.

Wyjazd królowych obu i starego pana, przybory do niego, popłoch, jaki powietrze w Krakowie obudzało, nie dozwalały w pierwszej chwili bardzo się szerzyć tym pogłoskom. Wysłano młodego króla, wyjeżdżała reszta dworu, uciekał Gamrat do dóbr arcybiskupich, panowie wszyscy opuszczali nieszczęśliwy Kraków, więc i bogatsze mieszczaństwo, i kupcy uciekali, gdzie kto mógł, w lasy, na wsie i folwarki, gdzie bezpieczniejszymi czuli się od zarazy.

Nieszczęśliwego Marsupina los był nie do pozazdroszczenia. Gdy pierwszych dni sierpnia na ostatek królestwo z młodą panią wyjeżdżali na Mazowsze, na próżno domagał się, prosił, napierał, zabiegał, aby go dopuszczono do Elżbiety. Bona czuwała tak i przez Opalińskiego ostawiła strażami synową, że Włoch się do niej dociśnąć nie mógł w żaden sposób.

Opaliński mu z zimną krwią dowodził, że poselstwo, jakie sprawiał do królowych, królów obu i innych osób, spełnił już, że nie miał tu nic więcej do czynienia, a uwłaczającego sobie szpiegowania czynności królestwo oboje dopuścić nie mogą. Nalegano na Włocha, aby precz jechał.

Lecz tu się w istocie sprawdziło przysłowie: „Trafiała kosa na kamień”. Nikt nigdy Bonie tak srodze i zuchwale nie dojadł i nie dokuczył, jak ziomek jej, Włoch, ów Marsupin. Oprócz gorącego temperamentu człowieka, przywiązania jego do króla rzymskiego, któremu służył, politowania nad losem królowej młodej, w grze była dla Marsupina jego miłość własna. Im bardziej starała się go poniżyć, odepchnąć Bona, tym zajadlej trwał na stanowisku, nie dając się ni ująć, ni ustraszyć.

Było w tym i coś zemsty za pomiatanie nim i grubiańskie obchodzenie się, i chęć gorąca postawienia na swoim. Odepchnięty od dworu, gdyż i król Zygmunt Stary dał sobie wmówić, iż szpiega cierpieć był nie powinien, Marsupin pozostał pomimo powietrza w Krakowie, wysławszy listy do króla, prosząc o nowe pełnomocnictwo, o pismo dla doręczenia Elżbiecie, o coś takiego, co by go upoważniało dobijać się do drzwi zamkniętych.

Mówiono, iż królestwo po kilkodniowym spoczynku w Nowym Mieście Korczynie udać się mieli na Mazowsze i tam w lasach przebyć ten czas, dopóki by mór w Krakowie nie ustał. Spodziewano się, że za parę miesięcy, gdy upały ustaną, jesień i zima się zbliżą, powietrze zniknie. Włoch gotów był, jak tylko listy otrzyma, ruszyć za dworem i do Korczyna, i na Mazowsze, chociaż pieniędzy mu już brakować zaczynało, zdrowie szwankowało, a pomocy od nikogo nie przyjmował, aby panu swemu ujmy przez to nie czynić.

Włoch krzyczał wniebogłosy przeciwko rozłączeniu młodej pary, dowodził, że siłą wstrzymano królową Elżbietę, która i chciała, i powinna była towarzyszyć mężowi do Wilna; bił w to, ażeby jej dozwolono natychmiast się z nim połączyć. Dopomagali mu w tym i potakiwali biskup Maciejowski i podskarbi Boner, ale oni nie występowali pierwsi, pozostawiając, aby intonował i trąbił o tej krzywdzie i ucisku.

Z pewną pociechą dla siebie, Marsupin, w pustym i coraz puszczalszym Krakowie pozostawszy sam prawie, dowiedział się trzeciego dnia po odjeździe obojga królestwa z Elżbietą, że król Zygmunt Stary, czy to skutkiem wzruszeń jakich doznawał, czy podróżą w porę skwarną, zaraz do Niepołomic ledwie dojechawszy, zachorował, a lekarze mu tu spoczywać kazali, dopóki by sił nie odzyskał. Głociaż zameczek w Niepołomicach i mieścina nie bardzo do długiego pobytu się nadawały, położenie wśród lasów odosobnione było rękojmnią, iż powietrze tu niełatwo przeniknie.

Wszelkie oprócz tego ostrożności przedsięwzięto, aby z Krakowem zapowietrzonym zerwać całkiem stosunki, nikogo tu nie dopuszczać i odosobnić dwór zupełnie.

Włoch wiedział o tym i przeczuwał, że mu do Niepołomic niełatwo się będzie dostać, ale upartym był i rachował na biskupa Maciejowskiego, który mu powinien był przystęp ułatwić.

Oczekiwane listy od króla Ferdynanda zaledwie nadeszły, gdy już nazajutrz Marsupin siadł na koń i ruszył ku Niepołomicom. Ledwie milę ujechawszy, spotkał dworzanina królowej starej, Morawę, którego często widywał i który go znał dobrze. Zdziwionym był bardzo dowiadując się, iż o jego zamiarze dostania się z listami do króla Bona już była zawiadomiona i kazała mu powiedzieć, żeby się nie ważył zbliżyć, bo dopuszczonym nie będzie.

— Muszę być dopuszczonym — odparł Włoch.

— Z Krakowa nikomu nie wolno do nas — odparł Morawa — królowi i wszystkim przez to grozi niebezpieczeństwo. Darmo jechać będziecie, strażę stoją i rozkaz mają.

Włoch się rozsierdził.

— Mam listy i przesyłkę od ojca królowej! — zawołał. — Z królem i młodą królową widzieć się muszę! Niczyich rozkazów nie słucham. Moru nie przywiozę, bom dzięki Bogu zdrow, a lada czym się zastraszyć nie dam.

Tak odprawivszy tego posła, Marsupin gniewny i rozjątrzony, sam, gdy się ten zawrócił, podążył za nim dalej ku Niepołomicom. Ustąpić nie mógł.

Już prawie pod samymi Niepołomicami, bo miasteczko w dali widać było, zabiegł mu drogę sekretarz biskupa Maciejowskiego, młody Drwęcki. Wysłanym on był umyślnie i z fraszobliwą miną zbliżył się do Włocha.

— Na Boga miłego — zawołał witając Włocha — ani myślcie się do nas dostać, królowa Bona przeciwko wam rozżalona, gniewna, gotowa na wszystko, a jej ludzie nie będą was szczerzyć! Książd biskup w największej o was trwodze! Życie możecie stawiać na kartę. Zaklinam was, nie jedźcie!

Marsupin się nie strwożył.

— Życie od dawna ważyłem — rzekł — cofnąć mi się niepodobna. Listy mam, które mi polecono oddać, rozkaz spełnić muszę i spełnię.

Drwęcki objął Włocha, odwiódł na stronę i łagodzić go począł.

— Wiecie dobrze, iż książd biskup płocki sprzyja młodej królowej, a waszą gotowość do jej usług wysoko ceni, posłuchajcie go. Nie narażajcie się nadaremnie. Do króla z listami czy bez listów nie dostaniecie się, bo chory jest; a gdy choruje, Bona go na krok nie odstępuje i ona przy jego łożu pani. Nikt i nic nie pomoże.

— Wrócić nie mogę — odparł Marsupin.

— Książd biskup radzi udać się tymczasem do Bochni i tam czekać — rzekł Drwęcki. — Tymczasem on wyrobi to przynajmniej, ażebyście listy odesłać mogli. Co się tyczy was, Bona się zakłęła, że was nie dopuści.

— A jam się zaklął, że przebojem dostanę się bodaj! — zawołał Marsupin. — Powiedzcie księdzu biskupowi, iż dla czci króla pana mojego, jako poseł jego ustąpić nie mogę. Mam listy, mam szkatułkę dla królowej Elżbiety, nie oddam inaczej, jak do rąk własnych.

Chciał Drwęcki jeszcze trwogę wrazić Marsupinowi, ale na próżno.

— Wiecie — rzekł — iż Bona ludzi ma, którzy gdy jawnie czego nie potrafią dokazać, nie zawahają się i zasadzkę uczynić, i potajemnie człowieka sprzątnąć. Królowej dokuczyliscie wielce, odgraża się przeciwko wam, bądźcie ostrożni.

Po długim sporze Włoch się dał przekonać o tyle tylko, że tymczasowo obiecał czekać w Bochni, ale prosił Drwęckiego, aby biskupowi oświadczył, że co odłożone, to nie porzucone, i że on poselstwo, bądź co bądź, spełnić musi.

Wskazał tedy Drwęcki drogę do Bochni Włochowi, kawałek go jeszcze przeprowadziwszy — i tak się rozstali. Marsupin ruszył do Bochni, jak przyrzekł, i tu w lichej bardzo gospodzie postanowił czekać.

Jak mu się tu działo, mówić nie trzeba. Wygód wszelkich brakło, lecz Marsupin na to był obojętnym. Kawałkiem chleba i zieleniną obchodzić się był gotów.

Cały tydzień upłynął na tych smutnych rekolekcjach bocheńskich Marsupinowi, który już i żupy opatrzył, i z ludźmi się poznał, i do proboszcza trafił, i czym tylko mógł, czas zabijał.

Zniecierpliwiony Włoch, dłużej już czekać bez wiadomości żadnej ze dworu nie mogąc, wystosował list błagający do króla staro, aby mu poselstwo sprawić dozwolono.

Ale list wyprawić nie dosyć było, musiał posłańca wyszukać takiego, który by się podjął to pismo oddać do króla naówczas, gdy przy nim się znajdował Maciejowski, na którego pomoc rachował.

Nastreczył się urzędnik od żupy, który pieniądze wioził, a którego Włoch sobie ujął datkiem, zakławszy go, aby nie inaczej, jak przy księdzu Samuelu list wręczył. Tak się też stało.

Ale oprócz biskupa nieodstępna Bona siedziała u łoża, bo ile razy król chorował, chodziła około niego z pieczołowitością wielką wiedząc, że życie małżonka stanowiło o jej panowaniu. Ufała miłości syna, lecz przewidywała, iż zawsze nad nim władzy, jaką miała, utrzymać nie potrafi.

Zaledwie ksiądz Samuel, list otworzywszy, czytać rozpoczął, gdy królowa się porwała z krzykiem:

— Za nic w świecie nie chcę tu mieć Marsupina! Za nic!

Król zwrócił się flegmatycznie z zapytaniem ku niej:

— Dlaczegoż by nie miał przybyć do nas?

Nim królowa zebrała się na odpowiedź, Maciejowski się odezwał:

— Wiem o tym na pewno, że Marsupinowi zabroniono przystępu na dwór w Krakowie i zakazano mu jechać za nami. Mu-

siał pozostać. Jest to obraza dla króla rzymskiego, gdy się jego posła poniewiera.

Bona krzykiem i płaczem mówić biskupowi nie dała, który zamilkł.

Krzyknęła Bona, coraz się bardziej unosząc:

— Nie chcę tu tego zuchwalca! Dosyć od niego cierpiałam! Nie dopuszczę go! Nie pozwolę!

— Pozwolisz Wasza Królewska Mość mnie przynajmniej — przerwał Maciejowski — iż ja słowo rzeknę za posłem, bo dla króla i dla nas igrać z cesarzem i królem rzymskim niebezpieczna. Mścić się będą, Włocha raczej trzeba ugłaskać niż jątrzyć.

— A ja? Ja tu już u was nic nie znaczę?! — poczęła wrzaskliwie królowa. — Wszystko dla młodej czynicie, dla mnie nic! Cóż wam ta młoda przyniosła? Co? Ja wam skarby wniosłam, a ona grosza nie ma.

Zygmunt się począł gniewać i zawołał:

— *Tace fatua!* (Milcz, głupia!) Tyś mi nic nie przyniosła! Nic!

— Jak to?! — przerwała z wściekłością Bona. — Nie przewiozłamże pięćdziesiąt tysięcy dukatów i skrzynkę drugie tyle wartąjąca?!

Maciejowski nie wtrącał się już, ale król aż drżał z oburzenia i powtórzył:

— Niceś mi nie przyniosła! Co przyniosłaś, to trzymasz dla siebie, ja twojego szeląga nigdy nie widziałem, a niemałom dał. Elżbieta jest tak jak córką moją, za córkę ją mam, krew to moja; nie da posagu ojciec, ja go jej dam, bo chcę, aby posag miała.

Zawrzało tedy okrutnie.

— Tak! — krzyknęła królowa. — Synowi swemu odbierzesz, a jej dasz!

— Synowi dosyć po mnie pozostanie — rzekł król uspokajając się — a ona jest córką moją. Jakem raz powiedział, tak będzie i słowa dotrzymam. Gdybym jutro umarł, to przede wszystkim ze skarbu mego przeznaczyłem dla niej pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota, a z tego, co zostanie, kto wie, może i grosza synowi nie dam, gdy mi się podoba.

Tu nastąpiła zwykła scena, na której zawsze się w takich razach kończyło. Gdy Bona nic słowami, prośbami, groźbami wymóc nie mogła, poczyniała krzyczeć, włosy rwać na głowie, na podłogę

padać i jak szalona się rzucać, nie zważając na przytomnych, na służbę, na nikogo.

Król, najczęściej zmożony nieznośnym wrzaskiem, ulegał i odpuszczał ją, godząc się na wszystko dla spokoju, lecz tym razem przytomność biskupa czy przywiązanie do Elżbiety nie dozwoliły mu ulec.

Bona, unosząc się, krzyknęła:

— Polacy są najgorsi ludzie w świecie!

Biskup obrażony wstał i odparł:

— Najjaśniejsza Pani, Polacy źli nie są, ale do zbytku cierpliwi.

Zygmunt natychmiast, ręką uderzywszy o krzesło silnie, nakazującą zawołał:

— Milczeć!

Bona z płaczem padła na krzesło.

Korzystając z tego, Maciejowski ciągnął dalej:

— Okazuje się z listów, że Marsupin oprócz nich ma dwie szkatułki do wręczenia królowej. Być by mogło, że się w nich część posagu znajduje.

Zygmunt, słysząc to, spojrzał na Bonę. Nastąpiła chwila milczenia.

— Więc niech przyjedzie! — zawołała królowa. — Niech przyjedzie, odda szkatułki, ale potem natychmiast precz! Ja tu szpiega tego cierpieć nie mogę, tego niegodziwego potwarcy.

Ksiądz Maciejowski wstał, czekając rozkazów króla.

— Pisz do niego, księżę biskupie, aby przybywał.

Nazajutrz Marsupin uszczęśliwiony odebrał list i chwili nie tracąc, siadł na koń do Niepołomic. Miał zezwolenie, ale znając u-sposobienie królowej dla siebie, wiedział dobrze, co go tu czekało.

Niechęć Bony miała go ścigać zawsze, bo Włoszka nie zapominała nic i nie przebaczała nigdy.

Przed miasteczkiem jeszcze na drodze od Bochni spotkał Marsupina sekretarz biskupa.

Niepołomice, strzeżone za wszech stron, wyglądały jak czasu wojny, a około zameczku pozapalane kupy liści dymiły i wyziewem gorzkim przepelniały powietrze.

Marsupin jechał z miną triumfującą.

— A co?! — zawołał wesoło, witając niskim ukłonem Drwę-

kiego. — Widzicie? Ja i moje szkatułki zdobyliśmy szturmem nieprzystępne Niepołomice. Cóż królowa?

Drwęcki miał poważną twarz i lice niewesołe.

— Tak — odparł — księdzu biskupowi i szkatułkom winniście, że was tu dopuszczono, ale nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wielkie i trwałe odnieśli zwycięstwo. Królowa musiała ustąpić, ale tym gorzej. Nigdy ona wam tego nie przebaczy. Wszyscy, co ją znają, wiedzą, że nienawiść i chęć zemsty ku wam wzmogła się przez to. Miejcie się na baczności.

Marsupin był w tak szczęśliwym usposobieniu czując, że na swym postawił, iż się śmiać począł.

— Oczarować mnie tak, jak czarami starego i młodego króla przykuła do siebie, nie będzie miała czasu — rzekł śmiało. — Otruć się nie dam, bo jeść u jej stołu nie będę, a zechce nasadzić zbirów na mnie, mam nadzieję w Bogu, że obroni.

— Zbytnio nie ufajcie tylko gwieździe waszej — dodał Drwęcki.

Od sekretarza dowiedział się Włoch, że miał wprowadzić pozwolenie oddania listów i szkatulek, ale razem zastrzeżono, że natychmiast potem oddalić się musi.

Nie dozwolono nikomu, pod żadnym pozorem, przybywającemu z Krakowa, pozostawać dłużej w Niepołomicach, zerwano ze stolicą wszelkie stosunki i nie bez przyczyny, gdyż w istocie powietrze coraz się więcej srożyło w mieście, a już w Niepołomicach i po drodze, mimo wszelkich ostrożności, kilku pachołków i służby poumieralo.

— Ksiądz biskup Maciejowski — dodał Drwęcki — kazał was ostrzec, że zaprawdę nie wie, jeżeli noc wam tu przepędzić przyjdzie, gdzie się pomieścicie. My na zamczku w Niepołomicach tak ciasno siedzimy, że ksiądz Samuel ma ledwie jedną izbę dla siebie, drugą dla nas, a służba i zarząd dworu całe w rękach królowej, więc pewnie wam kwatery nie znajdą. Na mieście wszędzie pełno, a gdzie ludzie gęsto, tam pod ten czas powietrza nie jest bezpiecznie.

Marsupin ręką zamachnął.

— Ale, ba! — zawołał. — O to się ja bynajmniej nie troszczę i gotówem pod gołym niebem koczować, bylebym spełnił polecenie mego pana, listy do rąk pooddawał, a z królową Elżbietą się widział. Nie będę nawet, wiedząc o tym, nikogo prosił o po-

mieszczenie, a gdzie konie moje w jakiej szopie staną, tam i poseł króla rzymskiego na słomie lub na ziemi spocznie.

Oczekiwano już w Niepołomicach na Marsupina, aby się go pozbyć co najprędzej. Zaledwie przed pierwszym podworcem z koni zsiadli, tuż przy owych kurzyskach z liści dębowych i piołunu, ledwie Włoch zdołał dobyć szkatułki owe sławne, w których nie było posągu, ale małe podarki matki, ojca i rodzeństwa dla królowej, wysłani dworzanie szeregiem postawieni ofiarowali się Marsupina prowadzić do Elżbiety.

Włoch, złośliwy a chytry, umyślnie — dopiawszy już celu — zwłóczył tak, aby z tą ceremonią oddawania listów i szkatulek przeciągnąć prawie do wieczora. Wiedział bardzo dobrze, iż w skrzynkach ozdobnych nie było pieniędzy, ani tak dalece nic kosztownego, ale nadał tej ceremonii taką cechę uroczystą, jakby skarby lub relikwie przywoził.

Urągał się tym królowej Bonie.

Sam strojny, przy szpadzie, z miną pełną powagi, służba napuszczona, jakby świętości dźwigała, skierowali się pochodem wolno wskazaną drogą do pokojów szczupłych, w których Elżbieta oczekiwała posła.

Marsupin pysznił się zwycięstwem, nasycił nim, przedłużał z namysłem przyjęcie tak, aby dnia tego nie spełnić całego poselstwa i mieć powód pozostania dłużej na przekór królowej.

Zobaczywszy Elżbietę, która go, bardzo uradowaną, wesołą twarzą i wzrokiem jasnym przyjęła, zdziwił się nieco, widząc ją daleko rzeźwiejszą, mniej cierpiącą, odżywioną więcej, niż się spodziewał. Obok Elżbiety tylko jej piastunka i pozostałe cztery paniny cały dwór składały.

Długą, rozwlekłą mową Włoch począł ją pozdrawiać, położył listy, oddał dwie szkatuły i w końcu oświadczył, że ponieważ dnia tego późno było, musiał rozmowę z królową do innego odłożyć, a oprócz tego i królowi Zygmuntowi, i królowej Bonie oddać dla nich przeznaczone pisma.

Królowa spytała o zdrowie rodziców, wymieniono słów kilka i Włoch, gdy już zmierzchać zaczynało, usunął się, wprost zmierzając do księdza biskupa Samuela.

Znalazł swojego protektora i pośrednika zakłopotanym wielce.

— Spełniliście poselstwo wasze? — zapytał go, wprowadzając do siebie, Maciejowski. — Chwalcież Boga za to i nie drażnijcie złęgo!

— Ale ja mojego poselstwa zaledwie częśćkę spełniłem — odparł, nisko się kłaniając, Marsupin. — Choćbym miał podrażnić, nie ustąpię, aż się z królową Elżbietą rozmówię i powiem jej, co mi nakazano, aż królowi wręczę list, no i królowej też Bonie.

— Lecz wiecie, jak dla was usposobiona jest? — odparł biskup.

— Wiem i mam do tego dowody — rzekł zimno Marsupin — ale to mnie od spełnienia obowiązku nie powstrzyma. Nie ruszę się stąd, aż mi Miłość Wasza wyjedna posłuchanie.

Biskup westchnął.

— Nie wiem — rzekł — czy to dobra polityka z waszej strony, że Bonę zagniewaną przywiodzicie do ostateczności.

— Ustąpić nie mogę — odparł Marsupin. — Com zamierzył, dokonać muszę. Mam za sobą króla rzymskiego i cesarza, a pogroźek się nie obawiam.

Biskup spojrzał nań błagająco.

— Żał mi was, są tysiączne sposoby pozbycia się dokuczliwego człowieka bez ściągnięcia za to odpowiedzialności. Miarkujcie...

— Ważyłem już — zimno odezwał się Marsupin — o jedno proszę, abyście mi waszej opieki nie odmawiali.

— O ile ona starczy! — westchnął Maciejowski.

Chwilka milczenia przerwała rozmowę.

— Frasuję się o nocleg wasz — odezwał się biskup. — Widzicie, jak ja tu się mieszcę, przyjąłbym was, ale nie mam gdzie, a na zamku w istocie jak śledzie w beczce się ściskamy. W miasteczku nie lepiej.

Marsupin się rozśmiał.

— Prosić o gościnność nie będę, aby nie mieli przyjemności mi odmówić jej. Konie gdzieś w szopie którejś musiały znaleźć pomieszczenie, przenocuję przy nich na lada barłogu.

Tak się w istocie stało i Włoch, gdy po dłuższej rozmowie rozstał się z Maciejowskim, naprzód musiał iść już po ciemku koni swych i ludzi szukać. Znalazły się one poza zameczkiem w nędznej, na pół rozwalonej szopie, w której oprócz nich gawiedź od wozów najbrudniejsza i najlichsze szkapy się mieściły. Ciasno by-

ło, a co gorzej, szopa w cieniu za murami i u ścieków leżąca, wpół zgniła, ziemię miała wilgotną. Słomy na posłanie za nic dostać nie mógł Marsupin. Królowa zakazała surowo, aby mu w czymkolwiek, choćby płacił, usłużono.

Kątek zdobywszy prawie przebojem, Włoch, na zgniłych liściach i śmieciu rozesławszy kobierczyk, musiał lec i całą noc nie śpiąc, nad ranem poczuł przejmujące go dreszcze.

Znał się na tym, wiedział, że dostał febry upartej, z którą mu długo walczyć przyjdzie. Lecz rycerski ów duch, który go utrzymywał w tej walce z królową, chorego nie puścił. Wstał jak złamany, ubrał się i powłókł do biskupa, którego nie zastał, bo już u króla był. Tu go Drwęcki przez litość polewką winną, ciepłą napoił i orzeźwił trochę.

Biskup nierychło wrócił od króla z oświadczeniem, że dla cierpień pedogrycznych w nogach, przyjąć posła nie będzie mógł Zygmunt, radząc Marsupinowi, aby się o posłuchanie nie upierał i jemu wręczył listy.

Włoch zgodził się na to, choć niechętnie.

— Przecież — rzekł — z królową starą i młodą widzieć się muszę.

Nie sprzeciwiał się Maciejowski, a po chwili odwrócił się do Marsupina, szepcząc cicho:

— Nienasycony człeczce, ciesze się tym, coś zdobył, nie żądaj nadto, abyś sprawy nie popsuł. W istocie wczoraj otrzymałeś wiktoryę wielką, bo gdy się król Zygmunt o owych uroczyscie niesionych i oddawanych szkatułkach dowiedział, które wam usłużyły tak dobrze, choć zamiast posagu zawierały pono wachlarze i kolce, począł się tak śmiać, iż mi potem sam rzekł, że od lat dziesięciu nigdy tak się nie uśmieł serdecznie, jak wczora.

Marsupin skrzywił się nieco.

— Daj mu, Boże, na zdrowie — dodał — bardzo się z tego cieszę. Dziś do królowej Elżbiety się wpraszam, bo z nią rozmówić się sam na sam muszę.

Z tym żądaniem posłany Drwęcki nierychło powrócił. Bona pragnęła co najrychlej nieznośnego Marsupina pozbyć się z Niepołomic, знаła upór jego, zgodziła się więc w końcu na to, aby go puszczono, sądząc, że po tej konferencji precz nazad do Krakowa go odprawi zaraz, gdyż tu go cierpieć nie mogła i nie chciała.

Marsupin, żegnając biskupa, zapowiedział mu po cichu, iż co najmniej godzin kilka pozostanie u młodej pani, a przynajmniej najdłużej, jak będzie mógł.

Dla Włocha wczorajsze krótkie widzenie się z Elżbietą było w istocie nie wystarczającym. Nie mógł jeszcze zrozumieć położenia, wytłumaczyć sobie twarzy pogodnej i rozweselonej przy tym ucisku, o jakim wiedział. Chciał rozmówić się otwarcie, obszernie, szczerze.

Elżbieta rozumiała to dobrze, ale zupełnie się zwierzyć Marsupinowi nie chciała. Ta nadzieja pozyskania serca męża, którą teraz żywiła wspomnieniem ostatnich słów wyrzeczonych przy pożegnaniu, była jej najdroższą tajemnicą, serdeczną, nikomu, nawet piastunce niedostępną. Wyznać jej Marsupinowi nie mogła.

Wchodząc znalazł ją samą Włoch, stojącą przy stoliku, świeżo ubraną i tak jak wczoraj uśmiechniętą, spokojną, bez troski na czole. Nie mogło to być skutkiem nieczułości, obojętności, bo choćby męża nie kochała, sama miłość własna obrażona musiała uciskać. Marsupin tej mocy ducha w młodziuchnej pani nie pojmował.

— Przynoszę Waszej Królewskiej Mości — odezwał się na wstępie — pozdrowienia najczulsze, ale razem wyrzuty i wymówki, których zataić nie mogę. Kazano mi nastać na to, aby Wasza Królewska Mość jako córka potężnego monarchy, synowica cesarza, rzuciła tę dziecinną nieśmiałość, to posłuszeństwo niewolnicze, które ją tu niewolnicą czyni.

Elżbieta, wzrokiem go błagać się zdawając, milczała.

Marupin mówił dalej, coraz się bardziej ożywiając.

— Królowa Bona korzysta z nieśmiałości waszej, rozkazuje dlatego, że słuchacie, ale nie będzie mogła nic uczynić, gdy objawicie otwarcie wolę waszą, a z pewnością król Zygmunt ją poprze. Dlaczegoż byś Wasza Królewska Mość nie jechała za mężem, jeśli sobie życzysz tego?

Zawahała się nieco Elżbieta i rzekła nieśmiało:

— Dlatego, że nie wiem, czy to jest życzeniem króla, pana mojego, a jemu się sprzeciwić nie chcę.

Marsupin odparł żywo:

— Król August z pewnością by tego nie miał za złe, i owszem. Co się tyczy starej królowej, ta się uzuchwala posłuszeń-

stwem. Wiem o tym, że nawet sługi wasze więcej Bony niż was słuchają.

Uśmiechnęła się królowa obojętnie.

— Cierpliwością i łagodnością wiele też dokazać można — rzekła cicho.

— Nie ze wszystkimi — przerwał Marsupin. — Nade wszystko nie z królową Boną! Idzie tu o godność waszą, o cześć rodziny; nie można się tak dać deptać, upokarzać i w Bonie jeszcze coraz zuchwalsze tą uległością obudzać zachcianki.

Elżbieta, jakby się lekała, by rozmowy nie podsłuchiowano, dawała mu znaki; Marsupin wcale na to nie zważał, jakby jej nie rozumiał. Owszem unosił się coraz mocniej, otwarcie mówiąc przeciw Bonie, co zdawało się mieszać i nieśmielać Elżbietę.

Rozmowa cała w ten sposób prowadzona, chociaż się Marsupin wysilał na to, aby natchnęła męstwem i przekonała młodą panią, że zmienić była powinna postępowanie, na młodej, bojaźliwej, słabej na pozór Elżbiecie, bardzo małe czyniła wrażenie.

— Zostawcież mi też coś własnej woli — rzekła. — Może to nie jest chwila, w której bym mogła wystąpić i powinna.

Marsupin czuł, iż nie chciała się przed nim otwarcie wynurzyć, usiłował wydobyć z niej wyznanie jakiegoś, zwierzenie się i zdziwił nadzwyczajnie, w istocie tej tak bojaźliwej i wątpliwej znajdując opór łagodny wprawdzie, ale niezwykły.

Im Elżbieta mocniej przy nim obstawała, tym Włoch upierał się silniej, chcąc ją nawrócić — nadaremnie.

Nadeszła wśród tych rozpraw Hölzelinowna, która potakiwała Marsupinowi i chciała mu przyjść w pomoc, lecz i ona nie potrafiła zmienić usposobienia wychowanicy.

Na ostatek Elżbieta odezwała się łagodnie:

— Idzie mi o zdobycie serca małżonka a pana mego, nie o chwilowe zwycięstwo nad królową jejmością. Dlatego pozwólcie, abym naprzód uniknęła wszystkiego, co może króla Augusta podrażnić. Wiecie, jak jest przywiązany do matki.

— To nie przywiązanie syna — wybuchnął Marsupin — to są niegodziwe czary i uroki, które ta kobieta rzuciła na starego i młodego! Ale trwać one nie mogą. Król młody wyzwolony otrząśnie się z tego zdrętwienia.

Zaczął ponownie nalegać Marsupin na to, aby królowa do

męża jechała. Elżbieta odpowiedziała, że musi czekać, aż August tego zażąda, a jest pewną, iż to nastąpi.

Czy Marsupin pochwycił tę pewnośc, z którą się wygadała Elżbieta, trudno było się domysleć, lecz Hölzelinowna posłyszała o tym zdumiona, a znając swą panią, nie wzięła tego za prózną przechwałkę.

Wedle postanowienia swego Marsupin wiedząc, iż długi jego pobyt u królowej Elżbiety do najwyższego stopnia zniecierpliwili Bonę, umyślnie się kilka godzin zasiedział, zwlekał, a gdy w końcu zmuszonym był ją opuścić, jeszcze na odchodnym nalegania ponowił.

Bystry i przenikający Włoch tym razem wobec pełnej prostoty młodej królowej znalazł się w tym niepojętym dla siebie i upokarzającym położeniu, że odchodząc, wyznać musiał, iż jej nie rozumiał.

Jak go witała, tak pożegnała uśmiechem jasnym, podając białą rączkę do pocałowania i upewniając go, że da Bóg, wszystko szczęśliwie się ułoży. Broniła Augusta, nie skarżyła się na nikogo.

Chociaż późno dnia tego było, Bona, chcąc się pozbyć Włocha, byłaby może dała mu posłuchanie wiedząc, iż miał listy, ale Marsupin, który dla szpiegowania i rozszluchania się rad był tu jak najdłużej pozostać, poszedł do biskupa i do dnia następującego odłożył audiencję. Resztę dnia przesiedział u księdza Samuela, przeszedł się po miasteczku, przegadał na ustroniu z różnymi ludźmi.

Czekał go nocleg taki sam, jak poprzedzający, którego skutkiem febra, we dnie zgubiona, powróciła gwałtowniejszą jeszcze. Pierwszą rzeczą nazajutrz było dreszcze okrutne przemóc gorącym napojem i lekarza się poradzić, ale doktorów królowej Bony Marsupin się obawiał, lekarstw od nich nawet biskup mu przyjąć nie radził, musiał więc poprzestać na jakichś babskich lekach.

Blady, zmęczony, ledwie się na nogach trzymając, bo gorączka wewnętrzna go trawiła, poszedł z listami do Bony.

Łatwo było przewidzieć, jak zostanie przyjęty. Królowa wcale nie myślała udawać nawet, iż nienawiści dlań nie ma.

Posłuchanie trwało bardzo krótko.

Włoch, listy oddając, dołożył do nich nie tylko gorące życzenia króla Ferdynanda, ale żądanie jego usilne, aby małżeństwo połączone zostało.

— A cóż to do mnie należy?! — ofuknęła królowa. — Król, syn mój, może żonę wezwać, przyjechać do niej, robić, co mu się podoba. Czynicie mnie odpowiedzialną za niego! To nie moja rzecz!

Odwróciła się pogardliwie, a Włoch dodał:

— Cały świat wie o tym, że tu się tylko to dzieje, co Wasza Królewska Mość rozkażesz. Dlatego też na nią oczy wszystkich są zwrócone.

Bona z oburzeniem poruszyła się.

— Pozdrów króla Ferdynanda ode mnie uprzejmie i powiedz mu, że syn mój ma własną wolę.

Na tym skończyło się posłuchanie. Bona wyszła.

Nazajutrz, gdy z rana przyszedł biskup do króla i zastał tam ją z rozplomienioną twarzą, odezwała się do niego:

— Oddał mi ten zuchwalec list króla Ferdynanda! Co ten łotr plecie i kłamie, a w oczy mi rzuca! W liście nie ma nic. Ja go każę kijmi obić!

Maciejowski, który nierad drażnił królowę, tym razem nie mógł się wstrzymać i stanął w obronie Marsupina.

— Wasza Królewska Mość przebacysz — rzekł — ale Włoch to powtarza, co wie cały świat i co na dworze królewskim i cesarskim jest we wszystkich ustach. Zarzucają Waszej Królewskiej Mości obchodzenie się z synową nietościwie, królowej Elżbiecie nie wolno jest mieć własnego lekarza w taki czas, jak dzisiejszy. Każde jej słowo, każdy ruch i czynność podlegają rozkazom, kroku stąpić samowolnie nie może. Dlaczego nie ma własnej służby, kuchni własnej? Z tego plotki i podejrzenia rosną, że Wasza Królewska Mość, jawnie jej nie lubiąc, czyhasz na jej życie.

— Myślą, że ja ją chcę otruć?! — podchwyciła Bona gwałtownie.

— Jeżeli głośno tego mówić nie śmieją, to niezawodnie potajemnie podejrzenie to jest we wszystkich — odezwał się Maciejowski. — Przykro mi to wyznać, ale spytany prawdę mówić muszę.

Działo się to w sypialni króla i Zygmunt słuchał rozmowy, co biskupa ośmielało.

Zwykły więc koniec nastąpić musiał — Bona z krzykiem, łkaniem, płaczem rzuciła się na podłogę.

Stary król patrzył obojętnie, z ukosa niekiedy rzucał oczyma ku biskupowi — oba milczeli.

Po chwili porwała się królowa z ziemi.

— Odtąd — krzyknęła — ja jej nic posyłać nie będę! Niech dla niej kupują i gotują osobno! Niech robi, co chce!

— Tak będzie lepiej — dodał biskup spokojnie.

Padła potem na krzesło Bona i siedziała, dysząc ciężko długą chwilę, aż się jej z ust wyrwało:

— A, gdybym nie miała dóbr, które są w mocy cesarza, dałabym ja naukę temu łotrowi, który mi się tu uragać śmie i siedzi na przekorę mnie, kiedy ja go mieć nie chcę!

Ksiądz Maciejowski, powróciwszy od króla, zastał u siebie Włocha, który się upierał pozostać jeszcze w Niepołomicach.

— Czyń, jak chcesz — rzekł ksiądz Samuel — ale i moją, i króla jest radą, abyś do ostateczności nie przywodził królowej. Wierzaj mi, iż ci grozi niebezpieczeństwo. Gdyby ona nie wydała rozkazów, ma sługi, które się domyślą, co jej miłym być może. Życie ratuj dla usług królowi. Jedź, proszę.

— Nie dalej jak do Krakowa — odparł Marsupin — i to do czasu. Chociaż mi tam powietrze grozi, choć sam chory stąd ruszam, nie opuszczę Polski, dopóki mnie tu nie będzie komu zastąpić lub odwołanym nie zostanę.

Po rozmowie z księdzem Maciejowskim widząc, że dłuższy pobyt w Niepołomicach stał się niemożliwym, szczególnie dla febrы, której się tu pozbyć nie mógł — Marsupin zmuszony został wracać do Krakowa.

Choroba, w tajni nabyta na noclegu, nie opuściła go rychło, lecz walcząc z nią, uparty Włoch nie zszedł ze stanowiska. Otoczony morem, narażony na niebezpieczeństwo, wycieńczony febrą złośliwą, trudno było wiedzieć, czy przez wierność panu swojemu, czy przez zjadłość przeciw Bonie, nie chciał z miejsca ruszyć.

Hetman Tarnowski słał, aby na wieś się schronił do niego, Marsupin odmówił, aby dworu i królowej z oczów nie tracił.

Wyprawa młodego króla na Litwę w oczach wszystkich uchodziła za ustępstwo rządów Wielkiego Księstwa na rzecz syna. Mówiono powszechnie: „Puścił Stary Wielkie Księstwo Augustowi”.

Wyposażenie przez Bonę zdawało się to potwierdzać. Wiedzano, że z dawna litewscy panowie się o to dopraszali.

Młody pan wyjechał do Wilna, ale o zdaniu mu rządów i władzy przez ojca mowy nie było tymczasem. Zdawało się, jakby pobyt ten miał go przygotować do rządzenia, ułatwić mu poznanie ludzi, obyczaju i kraju.

Tłumaczeniem, dlaczego nie zabrał z sobą żony, mogło być, że przed niewielu laty spalony dolny zamek wileński, w którym wielcy książęta mieszkali, potrzebował odnowienia i wyporządkowania.

Litwa cieszyła się samym odgłosem podróży, widząc w niej nieochybną zapowiedź nowych rządów, o które teraz tym natęczywiej się upominać miała, że nic im nie zdawało się stawać na zawadzie.

Blisko dwa wieki upływały od połączenia dwu narodów pod dynastią jedną^o. Polski obyczaj i prawa silnie oddziaływały na organizację kraju wychodzącego z barbarzyństwa wiekowego, ze stanu pierwotnego. Działanie to jednak nie zlało dwóch państw, choć je połączyło, a swobody, jakie Polska przynosiła Litwie, same się przyczyniały do wyrobienia pragnień autonomii i oddzielności pewnej.

Niebezpieczeństwo od Moskwy i Tatarów od czasów Aleksandra przekonało Litwę,^o iż sojusz ścisły z Polską był dla niej rękojmią ocalenia od zagłady — niemniej jednak chciano mieć wielkich książąt udzielnych i stanowić całość odrębną.

Mimo swobód zdobytych, raczej obyczajem niż prawem Litwa zawsze odmienną była od Polski, rządy w niej więcej władzy dawały panującemu, który tu był dziedzicznym, nie wybieralnym — szlachta mniej miała znaczenia, wielkie rodziny kniaziowskie przeważały w zarządzie i radzie.

Jagiellonowie czuli się tu aż do ostatniego swobodniejszymi panami niż w Polsce. Litwa też wyglądała, żyła, mówiła, obradowała inaczej. Ogląda europejska tylko w wielkich rodzinach

czuć się dawała. W szlachcicu widać było niedawno klejnotem ozdobionego bajorasa¹⁰.

Jak szaraczkowa barwa sukni odznaczała szlachtę litewską, tak i prostota obyczajów. Łączyły się małżeństwami dwa narody, wiązały rozlicznymi stosunkami, lecz odrębność ich była jeszcze bardzo wyrazistą. Bronili jej szczególnie magnaci, choć znaczenie swe i głos przeważny winni byli od Polski zapożyczanym prawom i obyczajowi.

Dla młodego króla chwila ta wyprawy na Litwę była w życiu jego stanowczą. Po raz pierwszy czuł się sam, wyzwolony spod czulej, troskliwej, ale ciężącej opieki macierzyńskiej.

Teraz mógł być sobą i próbować spełnić marzenia te, które dojrzała młodość zrodziła. Wychowaniec ludzi takich jak Lismannin i Włosi, którzy go otaczali, Zygmunt August stał umysłowo na wysokości wszystkich zadań wieku.

Widział w Polsce i Litwie wiele do zrobienia, do poprawienia, do dźwignięcia. Temperament i charakter zmiękczone wychowaniem niewieściem nie czyniły go zdolnym do walki, do zdobywania praw utraconych przez poprzedników, ale w granicach swej władzy miał pole szerokie do działania.

Pomimo przywiązania do matki, które zarazem było pewną obawą i znużeniem a nałogiem dla spokoju przyjętym, Zygmunt August wiedział jasno, jaki nieład, jakie zgorzenie, ile zła rodziło przekupstwo, faworyci, Gamrat i Kmita.

W Polsce i w Litwie obiecywał sobie, po tych latach rozstroju, świetne nowe odrodzenie.

Najszlachetniejsze młodzieńcze popędy były w sercu jego, marzył, iż uczyni dobrego wiele. Wprawdzie miękki był, leniwym nieco, rozpieszczonym, zawczasu zużytym młodością, na której rozwieżłość matka patrzyła przez szpary, ale jemu samemu znużenie wydawało się skutkiem tego, że do czynu nigdy powołanym nie był.

Opuszczając Kraków, Zygmunt August widział przed sobą najświetniejszą przyszłość, na którą już teraz mógł pracować.

Ojciec obchodził się z nim zawsze surowo czując, że go matka popsowała, a naprawić nie mając odwagi — wyzwolenie od niego dawało mu swobodę. Lecz zarówno musiał pragnąć oswobodzenia z więzów matki, na pozór nie tak ciężkich, a w istocie daleko

groźniejszych. Nie mógł nie widzieć tego, że dawała mu pieniądze, kochanki, aby sama w jego miejscu krajem i faworytami rządzić mogła.

O wartości takich ludzi jak wszechmocny Gamrat, jak dumny a chciwy Kmita, w porównaniu ich do Maciejowskiego i hetmana Tarnowskiego, Zygmunt August zdrowo sądził, choć nie mógł dać tego poznać po sobie. Matka stała po stronie, dla której szacunku nie miał nikt, nawet może ona sama.

Dwa obozy przeciwne matki i ojca wiodły z sobą walkę, do której on nie należał wcale, lecz w pierwszego z nich był mocy.

Małżeństwo z Elżbietą, dzieło ojca, który w niej krew swoją braterską ukochał, znalazło Augusta obojętnym. Matka, aby się zabezpieczyć, poddała mu Dżemnę, dla której miłość i namiętność przewidziała, obrachowała z góry.

Dziewczę było urocze, niewinne, rozmiłowane, a August znajdował w niej wdzięk nowy i miłość ta zdawała się na długo zabezpieczać od wszelkiej innej. Przez Dżemnę miała nim rządzić Bona.

Dotąd składało się wszystko po myśli starej królowej, która choremu Zygmuntowi wmawiała, co chciała. Marsupin łamał jej szyki. Dlatego pałała taką nienawiścią ku niemu, nie domyślając się, że w samym charakterze syna znajdzie wkrótce niebezpieczniejszego nieprzyjaciela.

Najmocniej roznamietniony król młody nawykł był do zmiany płoczej, żadna kobieta długo utrzymać go nie mogła. Dżemna gwałtownością przywiązania wkrótce zaczęła być mu ciężarem.

Na Elżbietę patrzył zrazu obojętnie, później z politowaniem. Ta biedna wygnanka prześladowana przez matkę, osamotniona, dla której on musiał chłód okazywać i niemal pogardę, obudziła w nim współczucie. Była młodą i piękną, a charakterem łagodnym tak się różniła od Dżemmy, że sam kontrast z nią czynił ją ponętną.

Zniewieściał August serce miał miękkie, nowość była zawsze dla niego urokiem. W przeciagu kilku miesięcy odpychany przez Bonę od żony, Zygmunt przywiązał się do niej potajemnie. Zresztą, chcąc się wyswobodzić z więzów matki, nie miał lepszego sposobu, mniej gwałtownego, skuteczniejszego nad to przywiązanie się do żony.

Lecz dopóki byli w Krakowie, musiał zmyślać obojętność, le-

kając się narazić żonę na prześladowanie, którego rozmiary i doniosłość znał dobrze. Wiedział, że matka nie cofnie się przed najostateczniejszymi środkami. O życie nawet Elżbiety obawiać się było można.

Udawał więc chłód i wstręty, choć w chwili wyjazdu myśl połączenia się z żoną już go zajmowała. Rachował na ojca, a potem na oddalenie, gdyż w Wilnie Bona, zmuszona czuwać nad chorym mężem, czynną być nie mogła.

Wyprawując w drogę matka, która chwilowo sobie go zjednała, nakazała do siebie pisywać codziennie, do żony listy były zakazane, Bona miała ją żywić swoimi.

Na rękę było młodemu królowi rozstawać się z Włoszką, do której zmysłami tylko i nałogiem był w ostatku przywiązany. Jej wymówki, wymagania, zazdrość nużyły go już wielce. Matka szepnęła mu na wyjezdny, iż znajdzie sposób wyprawienia za nim Włoszki, lecz rzecz ta nie zdawała się łatwą. Bona była wystawioną na potwarze, patrzono z bliska na to, co poczyniała, na Dżemnę zwrócone też były oczy — nie spodziewał się jej August rychno.

Chociaż podróż, w początkach na Mazowsze projektowana, w Litwie nie była oznajmioną — zaledwie się o niej wieść rozeszła, natychmiast Litwini znajdujący się w Krakowie znać o niej dali do Wilna.

Tam ona radość obudziła i nadzieje. Kto mógł tylko, śpieszył i wybierał się naprzeciw młodego króla, aby miejsce przy nim zdobyć, pozyskać łaski i zapewnić sobie stanowisko na przyszłość.

August jechał z wolna, gdyż musiał wymijać miejsca zapowietrzane; poprzedziły więc gońce na Litwie i panowie Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Wirszyłłowie, Kiskowie, Pruńscy, kto mógł, pobiegli ku granicy na powitanie młodego pana.

Wszystkim im wydawał się wielce poważnym, nad wiek swój rozumnym, umiarkowanym i pełnym majestatu. Znajdowano go tylko nieco zamkniętym w sobie i dumnym.

Przyjazd do Wilna, choć z licznym już gronem panów, którzy się po drodze przyłączyli, nie miał żadnego charakteru uroczystego. Nie był to wjazd na Wielkie Księstwo, bo Zygmunt August rządów objąć nie miał jeszcze prawa.

Zamek dolny, chociaż naprędce przez Wirszyłła w części na

przyjęcie króla przygotowany, po pożarze ostatnim smutną przedstawiał ruinę. Przez długie lata stał pustkami, otaczające go place, ogrody, budowy, wszystko było zaniedbane, a że się nigdy nie odznaczał wytwornością, po Krakowie, po włoskich budowach, jakie się tam wznosiły, robił wrażenie przykre.

Na pierwszy rzut oka Zygmunt August mimowolnie wykrzyknąć musiał, że zamek z gruntu trzeba było odnowić i przebudować, a po zdolnych robotników śłać do Krakowa. Miał od razu pilne i niewstrętliwe zajęcia.

Tymczasem w jednym skrzydle oczyszczonym naprędce król i dwór się pomieścili. Zygmunt August zamieszkać tu stale nie myślał, dopóki by zamek nie był gotów na pomieszczenie jego i żony, ale miał do poznania Litwę, kraj cały prawie sobie nie znany.

Stare zamczyska w Trokach, w Lidzie również były zaniedbane, jak w Wilnie; mieściły się tam szczupłe załogi, a najlepsze izby nie miały nic nad ławy i stoły, nie wszędzie nawet podłogi, częściej tokowiska.

Panowie otaczający króla zapraszali w gościnę — młody pan nie był od tego. Zaledwie się rozpatrzywszy, począł wycieczki dookoła.

Gdy powracał do Wilna, zastawał tu zawsze oczekujących panów wojewodów z ziem odległych, którzy już przyszłemu panu czołem bić śpieszyli.

Czynności nad to nie było innych oprócz codziennych doniesień matce. Myśl króla czasem biegła ku Krakowu i Niepołomicom. Matka w listach, które przejęte być mogły, o Dżemnie nic nie donosiła. Król dla niej tym więcej mógł ostygnąć i spodziewał się być oswobodzonym.

Tymczasem Dudycz, z żoną wyruszywszy w podróż, kosztował pierwszych osobliwego z nią pożycia przyjemności, ciężko je opłacając. Jejmość od ślubu ani słowa się nie odezwała do niego. Gdy potrzeba było wydawać rozkazy, posługiwała się Bianką.

Petrek w paradnym stroju podróżnym, na koniu wytwornie przybranym, z rzędem i siodłem świecącymi od srebra, pozłoty i kamieni, jechał u stopni kolebki na straży, od strony, po której siedziała Dżemma.

Włoszka niekiedy spoglądała na niego, przypatrywała mu się, krzywiła i w końcu wydała rozkaz, aby jej widoku nie zasłaniał,

a jechał po drugiej stronie kolebki. Dudycz musiał spełnić wolę małżonki.

Na popasach i noclegach wniknąć do izby zajmowanej przez kobiety nie było mu dozwolonym. Całą jego pociechę stanowiła litościwa, wesoła, trzpiotowata, choć już niezbyt młodziuchna Bianka, która wybiegała, niosąc rozkazy, a przy tym pocieszała go i bawiła rozmową.

Dżemma jechała milcząca, dumna, niecierpliwiąc się długością podróży, znajdując wszystko niedogodnym, a unikając nie tylko spotkania z mężem, ale nawet wspomnienia o nim.

Dudycz, gdyby był chciał, stanu rzeczy tego zmienić nie mógł, miał przeciwko sobie cały pułk kobiecy, a na jego czele oprócz Dżemmy starą, złośliwą, krzykliwą Włoszkę. Petrek niejedną raz ze dworem odbywał podróże, znał wszystkie ich w kraju niedogodności, ale mu one nigdy się, jak teraz, nie dały we znaki.

Podróż wszystkim równie wydawała się długą, a Dudyczowi musiała stać się nieznośną, gdyż tej nawet pociechy nie miał, aby swobodnie oblicze małżonki oglądać. Siedziała w głębi kolebki, najczęściej zasloną twarzyczkę tak mając obwiązaną, że jej mało co lub nie widać nie było.

Gdy stawali, wchodziła do izby, do której mężowi przystęp był wzbroniony. Skarżył się o to Biance, powiadając z prostą: „już ci bym nie zjadł oczyma”, Włoszka się śmiała i radziła cierpliwość.

W końcu podróży, gdy się już do stolicy zbliżali, Dudycz, przeszedłszy przez rozmaite rodzaje i stopnie męczarni, dobił się aż do gniewu i pragnienia zemsty. Przeklinał piękną swą panią, która z nim obchodziła się jak ze sługą i niewolnikiem. — „Czekaj no! — mówił w duchu. — Przyjdzie koza do woza, naówczas ja ci za te wszystkie męczarnie moje zapłacę”.

Nie wiedział tylko, kiedy do tego szczęśliwego terminu mógł się dobić.

Nie dojeżdżając do Wilna, wydała rozkaz Dżemma, iż nie gdzie indziej, tylko wprost do zamku zajechać mają. Nie rozumiała inaczej położenia, tylko że tu, gdzie nad Augusta nikogo wyższego nie było, gdzie on rozkazywał, ona musiała otwarcie zająć miejsce jego ulubienicy. Wstydić się tego nie myślała wcale; jak wprzódy, tak teraz, była swoim tytułem dumną.

Dudycz oparł się w początku zajeżdżaniu do zamku, chciał szukać gospody w mieście, Włoszka się pogniewała, poczęła go łać i stanęło na tym, czego żądała. Bianka wprawdzie czyniła jej uwagi, iż młody król może tu w obcym miejscu nierad będzie tak jawnemu ukazaniu się kochanki — Dżemma nie dała jej mówić nawet.

Cały więc tabor bramą od Trok wjechał, powoli ciągnąc, w mury miasta, a Dudycz po drodze już dowiedział się, że króla w Wilnie nie było, siedział pod czas w Olicie i nie wiadano, kiedy powróci.

Oznajmił o tym Biance, ona Dżemie, ale Włoszka nie zmieniła postanowienia, hardo odpowiedziałwszy, iż ją przecie zna dwór i urzędnicy młodego pana.

Z wolna przyciągnęli aż do bram zamkowych, skąd widać było dolną budowę całą ostawioną rusztowaniami, na których mnóstwo robotników pracowało. Na jednej części dolnego zamku dach kryto, drugą murowano jeszcze, niektóre ściany tynkowano.

Gdy stanęli u bramy, powychodzili dworzanie królewscy niektórzy i służba, a na ostatek podkomorzy starszy i Merło, ulubiony Augusta komornik. Dudycz oznajmił im o Dżemie, która sama się wychyliwszy z kolebki, upominała o gospodę na zamku.

Merło, znający ją dobrze, głową potrząsając przystąpił.

— Króla nie ma — rzekł — a co gorzej, izb nie ma. W zamku wszystko się przerabia, ani kąta, gdzie by spocząć można.

Szepnął ciszej zaraz, że król mu na wszelki wypadek dał zlecenie, aby Dżemma, przybywszy, gospodą stanęła w mieście. — Gdzie? — Merło nie dostał żadnego w tej mierze rozporządzenia.

Włoszka zapaliła się gniewem wielkim i rozplakała klnąc i narzekając razem, na wzór królowej Bony. Bianka musiała ją tulić, uspokajać, a Merło Dudyczowi wskazał w mieście dom dostatniego kupca, do którego się wprosić mogli, szepnąwszy mu na ucho, iż król się tą niewiaścą zajmował i miał ją w opiece. Kupiec zwał się Sopoćko.

Tak tedy zawróciwszy od zamku, nazad musieli, a Dżemma sobie oczy zakrywała ze wstydu. Przez zamkową bramę wrócili do miasta i tu dopiero przy Trockiej ulicy Sopoćkę odszukali.

Kupiec, pół Rusina, pół Litwina, trochę po polsku mówiący, skrobał się po głowie, bo miał rodzinę, a dla Dżemmy kilka izb

trzeba było opróżnić. Lecz dla króla i wielkiego księcia nie go-
dziło się odmawiać posługi.

Tu nim kobiety do wygod nawykle i Dzemma, co się niemal za królową miała, znośnie się rozłożyły, nim im dostarczono wszystkiego, co potrzebowały — parę dni upłynęło. Dudycz na dole, w małej komórcie razem z chomątami, uprzężą i siodłami, na podłodze legiwał, a o żonie tylko tyle wiedział, że mu dla niej Biana ciągle pieniądze z kalety wyciągała. Do zamku posyłano dwa razy na dzień, bo się Dzemma niecierpliwiła, ale król nie powracał, a Merło nie wiedział wcale, kiedy się go spodziewać było można.

Wielka i gorąca miłość Dzemmy zaczynała się w rozpacz zamieniać i gniewy. Nie pojmowała tego, że o niej tak zapomniano, tak zaniedbano ją i nie przewidziano przybycia. Na przemiany Biana to łyzy jej ocierać musiała, to zburzenie i odgrażania się uśmierzać.

Chciała gonić za ukochanym do Olity, ale Merło stanowczo się temu sprzeciwił opowiadając, że młody pan otoczny był li-tewskimi senatorami i musiał dawać baczną uwagę na siebie, więcby pewno niemile przyjął przybywającą. Wszystko to w główce roz-kochanej Dzemmy pomieścić się nie mogło. Dudycz się cieszył i czekał.

Tak upłynęło długich dni dziesięć, o królu wiadomości nie było żadnej; Merło kłamał czy prawdę mówił, zapewniał, że August już Olitę opuścił i gdzie indziej przebywał, zatem cierpliwie na niego czekać było potrzeba.

Biana pierwsza, jednego poranka wyszedłszy na ulicę do bli-skiego kościoła Świętego Ducha, dowiedziała się o powrocie króla i co prędzej dobrą tę wiadomość przyniosła przyjaciółce. Dzemma porwała się z łóżka, w którym większą część dnia spędzała, kaza-ła się stroić, czesać, chciała uczynić najpiękniejszą i była pewną, że jak tylko król się o niej od Merły dowie, natychmiast pośpie-szy. Chciała zaraz wszystko kazać pakować, zbierać rachując na to, że tego dnia jeszcze na zamku będzie panować.

Upłynął czas do południa, rosła niecierpliwość, nadszedł wie-czór, Dzemma płakać i narzekać zaczęła, noc ciemna w końcu okryła miasto — króla nie było, a nawet żadnego posła od niego.

Biana na zamek nie chciała się ważyć, stara Włoszka oba-wiała się, musiano posłać Dudyczą. Bardzo nierychło wrócił Pe-

trek donosząc, iż król był bardzo zajęty, miał z Kijowa i Smoleńska gości i na chwilę oddalić się nie mógł. Merło radził cierpliwość a zaprzysięgał się, iż panu natychmiast o Dżemmie oznajmił, na co otrzymał w odpowiedzi tylko głowy skinienie.

Dla dumnej a biednej dziewczyny upokorzenia tego i zawiedzionych nadziei było za wiele, wpadła więc w takie rozdrażnienie, iż dom cały poruszyła i ledwie ją około północy ukołysano.

Następny dzień cały zszedł znowu tak samo na próżnym oczekiwaniu i już noc nadchodziła, gdy sam, w towarzystwie tylko Merły, przebrany i z twarzą okrytą nadjechał król.

Dżemma wybiegła naprzeciw niemu z wyrzutami, z płaczem, zostawiono ich samych; słychać było szlochanie, krzyki, jęki, potem gwałtowny słów potok płynący z ust Włoszki, a wkrótce potem wyszedł król zimny, bladej, zniecierpliwiony wewnątrz, zasępiony — siadł na koń i odjechał.

Bianka, która biegła się dowiedzieć od przyjaciółki, jak się skończyła rozmowa, znalazła ją w stanie dziwnym, rozgorzałą gniewem tłumionym, milczącą, nie chcącą się przyznać do doznanego zawodu, lecz widocznie okrutnie cierpiącą. Z początku przed przyjaciółką nawet żalić się nie śmiała, bała się zarówno urągania i liłości, ale boleść ją zmoęła.

— A — zawoęła, zapłakane oczy tuląc do ramienia Bianki — wszyscy oni są jednacy, królowie i chłopie serca nie mają, kochać z nich stale nie umie żaden! Padamy ofiarami! August, August, który mi żonę poświęcił, poprzysięgł miłość wiekuiętą, przestał mnie kochać... Serce jego wystygło. Jestem nieszczęśliwa... najnie-szczęśliwsza!

Bianka usiłowala ją tym pocieszać, że król młody musiał tu wiele rzeczy poświęcać, aby się nie narazić Litwinom, nie dać powodu do plotek, które by doszły do Krakowa do króla starego, że potrzeba było mieć cierpliwość.

Dżemma wszystkiego tego nie rozumiała, chciała zająć miejsce na zamku, a król wprost jej oświadczył, że to ani dziś, ani później nie będzie możliwym, że musi pozostać w mieście. Obiecywał zresztą postarać się o osobny dwór, w którym by ją umieścić, ale i o ten łatwo nie było, bo zamek restaurowano i robotnika było mało, a dwory książęce na mieście stały prawie wszystkie opuszczone.

Oprócz tego, według Dżemmy, młody król tak się jej okazał zmienionym, tak okrutnie chłodnym, obojętnym, iż na wspomnienie jego Włoszka w rozpacz wpadała.

Do późnej nocy musiała przy jej łóżku siedzieć Bianka, starając się ją pocieszyć. Dżemma miała jeszcze nadzieję dawną miłość wskrzesić w sercu Augusta, lecz widać już było, że zawiedziona, okrutną jakąś zemstę mu gotowała.

— Dziecko ty moje — westchnęła nad nią Bianka. — To, co ciebie spotyka dzisiaj, przez tośmy przeszły wszystkie, nie w naszej mocy się pomścić, nie mamy na to siły! Jedno ci pozostało tylko, dawnej miłości wspomnienie, jeżeli ona nie powróci, wyzykskać. Zgodzić się ze swym losem i zostać bogatą panią Dudyczową.

O Dudyczu, z obrzydzeniem imię jego wymawiając, Dżemma ani słuchać nie chciała.

Biedny Petrek od stajni chodził do ciemnej komory, w której miał legowisko, wysuwał się czasem w ulicę na piwo lub miód i powracał czekając, co będzie dalej.

Chociaż mu się nie zwierzano, jak stały z królem stosunki, sam on doskonale je widział i oceniał. Cieszył go ten zwrot nad wszelkie nadzieje pomyślny. Żona musiała przeboleć, wypłakać się, a on, pojednany z nią, obiecywał sobie korzystać z łaski królewskiej, na którą rachował.

Po pierwszym widzeniu się z królem, Dżemma się go zaraz nazajutrz spodziewała, ale się nie pokazał i nie przysłał nawet niko-go. Czekala dwa dni na niego, zjawił się znowu wieczorem, potajemnie, skarżył się, że go oblegają panowie litewscy, że swobodnym nie jest itp.

Na próżno go Dżemma starała się ubłagać, ani wyrzuty, ani łzy nie pomagały. Następnego dnia długie listy do starej królowej ze skargami przygotowano, przypisując zmianę intrygom — któż wie, zabiegom może potajemnym młodej królowej. Listy potem za listami biegly do Niepołomic, opisując życie króla.

On sam pisywał też do Bony w początku codziennie, potem z wolna coraz rzadziej.

Królowa stara, która tej podróży na Litwę obawiała się wielce, z listów Dżemmy i z pism syna wyrozumiała, że w istocie dla niej położenie to było groźnym.

August się starał widocznie spod władzy matki wyłamać, pisał mniej, chłodniej, nie ze wszystkiego się zwierzał, nie słuchał jej, jak wprzód.

Samo podejrzenie o chęć wyzwolenia się, Bonę, która wielkie dla syna w swym przekonaniu uczyniła ofiary, wprawiło w gniew straszny.

Wielka miłość dla syna w jednej chwili mogła w jej sercu zmienić się w nienawiść ku niewdzięcznikowi. Lecz nie chciała wierzyć jeszcze ogarniającym ją obawom. Czekala.

Z Niepołomic wyprawiony potajemnie zaufany dworzanin przybył do Wilna podpatrywać młodego króla, rozszluchać się w tym, co się tu święciło.

Wprawdzie August pokornie zawsze matce zdawał sprawę ze wszystkiego, lecz w tonie listów, w sposobie postępowania czuć było odmianę, większą niezawisłość, różnicę przekonań, której nie tał tak bardzo.

Nie dała po sobie poznać Bona, co się w duszy jej działo, lecz wrzała wewnątrz gniewem po chybionych rachubach. Jeżeli syn ją miał zdradzić, przyszłość stawała się okropną. Ona, ona zepchnięta ze stanowiska, które zajmowała, Elżbieta królująca nad nią! Tego znieść nie mogła. Przyjaciele pomóc jej musieli, gotową była kraj zawichrzyć, wojnę ściągnąć wewnętrzną, ale nigdy się poddać...

W Niepołomicach król chory prawie miesiąc odpoczywać musiał. Bona, Elżbieta, dwór byli przy nim. Pomimo zerwania wszystkich związków z Krakowem, nie było prawie dnia, żeby ktoś ze służby nie zmarł nagle. Powietrze okazywało się w sąsiedztwie, w Krakowie, gdzie Marsupin leżał na febrę chory, mór się szerzył z gwałtownością coraz większą.

Do wszystkich utrapień królowej, strachu o króla i siebie, walki z Elżbietą, obaw o przyszłość — Marsupin nie pozbyty był dla niej jednym z najnieznośniejszych; nie tyle się go może obawiała, ile obrażoną była tym, że ją lekceważył.

Wiedziała Bona, iż się ciągle odgrażał bodaj ścigać dwór i młodą królowę, czyby mu dozwolono, czy nie. Maciejowski, o którego uszy się obijały gniewy królowej, przestrzegał Włocha na próżno, aby się nie narażał. Marsupinowi szło o postawienie na swoim.

Gdy już z Niepołomic się wybierać miano do Korczyna naprzód, potem do hetmana Tarnowskiego, do jego majątności, dokąd od moru wolnych — Włoch zaczął się także wybierać w ślad jechać za dworem.

Chory, bo febra go dotąd nie opuszczała, pomimo to konie i ludzi gotował do podróży, która była postanowioną. Ta tylko zaznała zmiana w przygotowaniach do niej, że niewielu swym sługom Marsupin kupił oręż lepszy, aby nie być bezbronnym w razie napaści. Sam on jednak w nią nie wierzył, choć biskup, Boner i posłaniec hetmana usiłowali go przekonać, iż Bona szczerzyć nie będzie życia jego.

Ażeby doniesienia Marsupina o Elżbiecie osłabić, Bona bardzo zrećcznie zwróciła się do znajomego sobie Herbersteina z listami, w których dowieść usiłowała, iż to, co szpiegi donosiły, fałszem było wierutnym.

Herberstein wiele miał względów dla możnej pani, ale odpowiedzi jego dały Bonie do zrozumienia, że w Wiedniu i Pradze miano bardzo dokładne wiadomości o losie, jaki spotkał młodą królowę. Radził więc zmianę, większą troskliwość, więcej względów dla młodej pani, a w grzecznych jego listach czuć było groźbę i niepewność przyszłości.

Wszystko to Bona przypisywała Marsupinowi. On tu ją oczer- nił, on donosił, on pierwszy obudził podejrzenie. Nienawiścią i pragnieniem zemsty pałała niewypowiedzianym. Odgrażała się przed Maciejowskim biskupem, iż obić każe Włocha, ale w kółku swoich powierników groziła mu śmiercią i wołała, że ten by się jej zasłużył, kto by ją od łotra, wroga nikczemnego wyswobodził.

Słuchali tego ludzie, do Krakowa nie było daleko.

Marsupin właśnie się miał wybierać naprzód do Bochni, po- tem w ślad za dworem, odprawivszy listy do króla Ferdynanda, w których gwałtowne środki doradzał, odebranie Bonie księstw włoskich itp., gdy jednego wieczora, leżąc już w łóżku, wychudły Włoch ujrzał wsuwającego się płaszczem otulonego, zgiętego czło- wieka, który ostrożnie oglądał się dokoła.

Spod płaszczyka cienki koniec mieczyka, jaki Włosi nosili, dał mu się w nieznajomym domyślać ziomka. Lecz, że Włosi pra- wie wszyscy tu do Bony obozu należeli, Marsupin ostrożny, zo- baczivwszy wsuwającego się bojaźliwie gościa, natychmiast z łóż- ka się zerwał i za pas sztylet wepchnął.

Lampka maleńka słabo izbę dużą oświecała, twarzy więc zbli- żającego się nie mógł łatwo rozpoznać. Dopiero gdy podszedłszy kroków kilka, gość kołnierz płaszcza odrzucił i stara pomarszczona jego twarz z głową łysą płomykiem lampki oświeconą została, Mar- supin poznał w nim jednego ze sług królowej Bony, starego Mon- caccio, z którym lepiej był niż z innymi. Moncaccio, Neapolitań- czyk, należał do tych, którzy z Boną tu pierwsi przybyli. Na dwor- ze pełnił funkcje różne.

Uchodził za zaprzedanego swej pani i gotowego na wszystko. Chociaż go nigdy nie schwytano na uczynku, przypisywano róż- ne tajemnicze a krwawe zamachy.

Człowiek był niebezpieczny, lecz dla Marsupina mniej mo- że niż innych. Włoch miał zręczność w początkach swego pobytu oddać mu wielką przysługę. Moncaccio miał córkę zbiegłą, do któ- rej był przywiązany bardzo, Włoch pomógł do jej odszukania. Po kilkakroć zaklinał się zbir stary, że tego nigdy Marsupinowi nie zapomni, a będzie, da Bóg, odwdziaczyć mu się starał.

Ta obietnica przyszła teraz na myśl Włochowi, gdy niespo- dziewanie ujrzał go przychodzącego po nocy, a wiedział o nim, iż z królową był w Niepołomicach.

Nie okazując po sobie najmniejszej trwogi, Marsupin powitał go zapytaniem: „Co tu robisz?”

Moncaccio nie odpowiedział, zamruczał coś, kapelusz rzucił na stół, obejrzał się dokoła pilno, pochylił ku gospodarzowi i spytał:

— Jesteśmy sami?

— Najzupełniej.

— Wy się, słyszę, jutro wybieracie w drogę? — rzekł Moncaccio.

— Tak jest.

— Jeżeli do Pragi, z Bogiem — mówił dalej przybyły. — Jeżeli za królową i królem, signor Giovanni, wam dobrze życzę, nie jedźcie.

— Dlaczego?

— Szkoda mi was — odparł Moncaccio.

Marsupin się rozśmiał.

— Strachem mnie nie wziąć — rzekł.

Zmilczał gość patrząc na stół.

— Wiem, że się nie boisz — rzekł po chwili — ale jechać nie życzę.

Zawahał się chwilę.

— Mam dla was obowiązek wdzięczności, ostrzegam — dodał.

— Królowej naraziliście się śmiertelnie. Ona wam nie przebaczy, życie wasze zapłacone, zabija was.

Marsupin podparty na rękę dumiał.

— Słuchaj — dodał Moncaccio — ja wiem o wszystkim. — Zrobiliście, co tylko było w mocy ludzkiej uczynić, więcej nie zdołacie nic. Życie więc dacie nadaremnie.

— Ależ, mój Moncaccio — odparł Marsupin — kto na moje nastawać będzie, ten swoje też narazić musi; nie wiadomo, kto kogo zabije.

— Ilu was będzie? — rzekł zimno Włoch.

Marsupin nie chciał kłamać, razem z nim mogło być najwyżej pięciu.

— Gdy przeciwko wam młodych, zręcznych, niespodziewanie, w obrachowanym miejscu i czasie stanie piętnastu — żadna siła was nie obroni. Zdradzam moją panią — dodał — ale wasza śmierć

nic jej nie da oprócz tego, że jej zemstę nasyci. Na drodze w trzech miejscach na was czekają zasadzki, nie ujdiesz ich. Czyń, co chcesz. Jam swoje spełnił, nie będę miał nic na sumieniu, i jeżeli się znajdzie naprzeciw was, tak dobędę miecza jak i drudzy.

Marsupin pogardliwą miną odpowiedział na to.

— Jeżeli życie masz za co ważyć — dodał przybyły, biorąc za kapelusz — czyń, co wola.

Chciał już powstać, gdy Marsupin rękę jego pochwycił i zatrzymał go.

— Nie są to próżne strachy, aby się mnie pozbyć? — zapytał.

— Na patrona mojego, świętego Januariusza, na krew jego żywą — odparł Moncaccio — przysięgam ci, że nie tylko nie powiększam niebezpieczeństwa, alem ci oszczędził tego, co już zbyt szkodliwe, a co je znacznie czyni straszniejszym. Czyń, co chcesz.

Marsupinowi znękanemu chorobą zabrakło sił, westchnął i zamknął się.

— Zostanę przynajmniej na stanowisku w Krakowie — odezwał się — aż mnie odwołają, a kogo innego wyślą.

— Tak uczyn — wtrącił żywo Moncaccio — bo życie dasz daremnie. Nie uczynisz nic. Naraziłeś się tak, że gdybyś teraz królowej Izabeli synowi przyniósł koronę, a Bonie inwestytury na księstwa, jeszcze by ci nie przebaczyła.

— A, nieszczęśliwa Elżbieta moja! — zawołał w uniesieniu Marsupin. — Dziecko niewinne w szponach takiej harpii!... Co ją czeka?

Moncaccio spuścił głowę, usta ścisnął, nie rzekł ani słowa pociechy.

— Nie znacie — odezwał się po długim przestanku — królowej naszej. Nigdy dotąd nic się jej oprzeć nie zdołało. Panowała, panuje, rządzi, kupuje ludzi lub strachem ich łamie; na starość nie dopuści, aby jej dyktowano prawa.

— Ale król stary chory jest i życie mu obiecują niedługie — rzekł Marsupin.

— Będzie władała młodym.

— Czary są, czary — szepnęła zabobonna Włoch. — Nic innego!

Moncaccio uśmiechnął się tylko.

— Gdyby niczym innym nie mogła, pewnie, że i czarów by się użyć nie zawahała — odezwał się. — Astrologowie patrzą dla niej w gwiazdy, aby chwilę pomyślną wyznaczyli, doktorowie przyprowadzają napoje, Brancaccio zbiera złoto, dla młodych i rozpustnych ma swe dziewczęta, starego króla zmoże zawsze łzami i krzykiem; sług jej takich jak Gamrat i Kmita nie zbywa.

Ruszył ramionami nie kończąc.

— Tak — rzucił chmurno Marsupin — wszystko to waży, ale niech Bona strzeże się zemsty króla rzymskiego i cesarza. W ich mocy jest za Elżbietą odplacić, jeśli włos z głowy jej spadnie.

Nie odpowiadając na to, Moncaccio powtórnie kapelusz ujął i ruszył się z siedzenia.

— Męstwo wasze uwielbiać muszę — rzekł. — Wolałbym z pięciu zbrojami naraz mieć do czynienia niż z powietrzem, wśród którego wy siedzicie. Wbiegłem tylko do Krakowa, aby was ostrzec, a to, com tu widział, strachem mnie przejęło. Na ostatek — dodał, mając się ku drzwiom — nie potrzebuję mówić, że idąc do was, gardło moje stawilem, dotrzymajcie mi tajemnicy!

Marsupin podał rękę smutny.

— Bądźcie spokojni — rzekł — wiecie, że przecie człowiek sernego¹² nie zdradził, choć mi królowa kijami groziła, a miałebym wydać tego, co życie moje ocalił?!

Znikł Moncaccio. Włoch chodził po izbie długo, nim się układał na spoczynek.

Nazajutrz listy wysłał do Pragi, prosząc o nowego posła, co by go zastąpił, gdyż on już wyczerpał wszelkie środki dopomoczenia młodej królowej.

Pobyt w Krakowie stawał się z dniem każdym mniej możliwym, tak ludzie marli strasznie, a ratunek przypadkowy, nieumiejętny, nie mógł szerzeniu się moru zapobiec. Jedynym środkiem skutecznym było rozbieganie się ludności, chronienie po lasach. Mór wprawdzie niekiedy się tym sposobem roznosił też, ale ustawał, gdy mu pastwy zabrakło.

Opustoszało znacznie miasto, wyludniło się z uczniów, pozamykano szkoły, na ratuszu, na zamku siedzieli tylko urzędnicy, a duchowieństwo zastępowało z cudowną rezygnacją, poświęceniem, gdziekolwiek brakło rodziny, opieki i pomocy.

Pobożność też wzrosła, jak zwykle, gdy ciężka ręka losu ludzi dotyka, którzy w nieszczęściu dopiero wracają do Boga.

W kilka dni potem chory jeszcze Marsupin, pożegnawszy De-cjuszów na Woli i swoich kilku znajomych w Krakowie, zniknął z miasta nie opowiadając się, co miał uczynić z sobą.

Niespokojna królowa Bona, która się nauczyła nie dowierzać mu i lękać się człowieka nie dającego się zastraszyć niczym, gdy jej doniesiono, że Marsupin wyjechał, a nikt nie wiedział dokąd, tym większą czujność nakazała, zawsze się obawiając, aby nie wtargnął znowu.

Nigdy może tak ściśle nie strzeżono młodej królowej, króla starego i biskupa Maciejowskiego, o którym Bona była przekonana, że Włochowi pomagał.

Nie jedna ta troska nie dawała jej spoczywać. Król stary, około którego zdrowia chodziła z nadzwyczajną troskliwością, bo jego życie stanowiło o jej panowaniu, pomimo starań lekarzy nie miał się dobrze. Zaledwie uspokojony cokolwiek sił odzyskał, najmniejsze znużenie, frasunek, zniecierpliwienie je wyczerpywało.

Królowa, otaczając go strażą pilną, zapobiegała, aby wiadomości żadne nie dochodziły do niego, tylko te, które przez nią były dopuszczone. Ale nadzoru tego nie mogła rozciągać nad Maciejowskim, z zimną krwią, bez obawy, z powagą duchownego spełniającym swe obowiązki, a króla nie odstępującym. Tego ani pozyskać, ani zastraszyć nie było można, a czytała w nim, że ją znał i że żaden krok jej nie uszedł baczności jego.

Drugą przyczyną niepokoju dla Bony był syn. Wychowywany od dzieciństwa tak, aby matkę miłować i słuchać jej tylko się nauczył, częstokroć na przekorę ojcu, August aż do tej pory zależał od niej i szedł niewolniczo za jej wskazówkami.

Nawet po ożenieniu triumfowała tym, iż go od żony młodej, pięknej, dobrej, mimo ojca, mimo ludzi, całego świata, potrafiła odciągnąć.

Wyjazd na Litwę obmyślany troskliwie czynił ją jednak niespokojną. Z początku listy syna były codzienne i poufne, z wolna dawała się w nich czuć pewna emancypacja spod władzy matki, pewne zachcianki własnej woli, nieco zobojętnienia.

Drażliwa, podejrzliwa, nieufna, czytała w listach, wniosko-wała z doniesień może więcej, niż na pozór dozwalały; miała prze-

czucie, że August wyswobodzić się zechce i że się ku żonie zwróci. Obawę tę potwierdziły listy rozpaczliwe Dżemmy i Bianki, ustne opowieści posłańców z Wilna.

Odephnięcie obojętne Włoszki, którą mu posłała królowa, obezszło ją jako symptom groźny. Przestraszyła się wpływu panów litewskich, nowych ludzi, któż wie, może zwrotu ku Elżbiecie! Listy Bony pośpieszyły, nie okazując obawy, przypomnieć Augustowi jego zobowiązania względem matki i wszystkie ofiary, jakie ona czyniła dla niego. Oczy Bony niespokojnie odtąd poczęły się zwracać na Wilno.

Na koniec, ostatnim niepokoju dla niej powodem była niepojęta, niezrozumiała dla niej Elżbieta. Tu wszelkie rachuby zwykle okazywały się chybnymi. Bona rachowała na łzy, na rozpacz, na skutek zmartwienia, który powinien był sprowadzić chorobę i któż wie, przyspieszyć rychły zgon, który jej astrologowie przepowiadali.

Tymczasem Elżbieta, jak to już Marsupin przy widzeniu się z nią uważał, nie tylko nie wyglądała gorzej, ale odzyskała rumieńce. Uśmiech jej był weselszy, spokój ducha nie zachwiany. Zdawała się zupełnie szczęśliwą, nie czyniła wymówek, nie uskarżała się, nie obwiniła Bony, a okazując jej poszanowanie wielkie, unikała wszelkiego pozoru rozdrażnienia.

Ale właśnie ten spokój, ta zimna krew, to wesele młodej pani najmocniej Bonę rozdrażniło. Chciała, aby płakała i cierpiała, a doczekać się tego nie mogła. Elżbieta znosiła wszystko. Odbierano jej sługi, ograniczała się pozostałymi, osamotniano ją, znajdowała zajęcie w samotności i żyła ze swoją Hölzelinową.

Bona byłaby rada i tę podejrzaną powiernicę usunąć, oddać pod pozorem jakimś, oskarżała ją o fałszywe doniesienia, lecz dowodów nie było, a matka Elżbiety zawczasu zastrzegła sobie, aby stara piastunka przy niej pozostała i nie mogła być odsuniętą.

Ją i Hölzelinową szpiegowano na każdym kroku; w liczbie czterech panien, które pozostawiono przy Elżbiecie, połowa była przekupioną przez Bonę i służyła jej raczej niż swej pani. Żadne słowo, czynność, nie uszły baczności Włoszki, ale zręczna Kätchen umiała się tak urządzić, iż starą królowę dochodziło to tylko, co ona chciała.

Od czasu wyjazdu młodego króla, stosunki jego z żoną były

zerwane. Nie pisał do niej. Bona tym głośniejsz, na złość synowej, podnosiła to, iż do niej listy przychodziły codziennie. Ale i to nie zdawało się wielkiego na Elżbiecie czynić wrażenia. Słuchała opowiadań królowej i zaspakajała się nimi.

Hölzelinowna, zniecierpliwiona, już w Niepołomicach nalegać zaczęła na swoją panią, ażeby ona pierwsza pisała do męża i przypominała mu się. Ze zwykłą swą chłodną krwią pozorną Elżbieta odpowiedziała jej, że powinna czekać, aż mąż pierwszy do niej sam napisze, że naówczas chętnie pośpieszy z odpowiedzią, ale jej się narzucać mu nie przystało.

Kätchen na próżno starała się jej dowieść, że to bynajmniej by jej godności nie uwłaczało, a dowiodło przywiązania — młoda królowa, w obawie, aby Bony tym nie zniechęciła, oparła się.

Każdego posłańca z Wilna dopytywano o listy od Augusta, żaden z nich nie przyniósł nic do żony. Ale i do matki posły się stały rzadszymi.

Jak skoro król cokolwiek się uczuł silniejszym, Bona, której sąsiedztwo Krakowa było niedogodnym, przyśpieszyła wyjazd do Korczyna. Tu nie zapowiadano, jak długo się miano zatrzymać, a o dalszych planach podróży głucho było.

Jednego dnia ruszyły się tabory królewskie, przodem niektóre, inne wraz z kolebkami, które wiozły Zygmunta, Bonę i Elżbietę.

Młoda pani jechała z Hölzelinowną, ze swoim bardzo szczupłym dworem i służbą, tuż za starym, który się pilno o tę — jak ją nazywał — córkę dowiadywał.

Podróż bardzo powolna, naprzód obmyślana tak, aby się nigdzie z powietrzem nie spotykać, a miejsca zarażone, jeżeli ominąć ich nie było podobna, przejeżdżać bez zatrzymywania się, szła nieznośnie długo, a nie zawsze wygodnie. Rzadko gdzie się rozłożyć było można i pomieścić bez ścisku. Elżbieta zносиła to z dziecienną niemal wesołością niedoświadczonej, którą wszystko bawiło — sam nawet czasem niedostatek czegoś i pozbawienie tego, do czego była nawykłą.

Piękniejsze dni jesienne, ostatnie kwiatki, blade słońca promyki, widoki osad, zamków, dworów, spotykanych ludzi, rycerstwa, duchownych budziły jej ciekawość i nie dawały uczuć znużenia.

Wszystko to nieznośnym było dla Bony, która jechała niespo-

kojna, gniewna, a widmo Marsupina, nagle znikłego, prześladowało ją wszędzie.

Obawiała się spotkać go na każdym noclegu, widziała w każdym spotkaniem przejeżdżającym, dopytywała swój dwór, zalecała baczność. Tajemnicze nagle usunięcie się Włocha, którego upór знаła, napępiało ją strachem.

W Nowym Korczynie pobyt nie był długi. Hetman Tarnowski zapraszał króla do jednej ze swych majątności, w której spokojnie i bezpiecznie mógł przebyć czas jakiś. Zygmunt rad był przyjąć ofiarę, ale Bona nie cierpiała, obawiała się hetmana. Był to wróg Kmita, nieprzyjaciel Gamrata, sprzymierzeniec Maciejowskiego, jawny królowej starej antagonistą, mąż wielkiego i niepodległego ducha, jeden z tych niewielu bardzo, których Włoszka ani złamać, ani oszukać, ani ugłaskać nie mogła.

Piastując najwyższą godność hetmańską, Tarnowski nie miał już nic do zdobycia, ogromne posiadłości na swój czas czyniły go jednym z najbogatszych magnatów nie tylko w Polsce, ale na cywilizowanym świecie. W XVI wieku pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych dochodu, przy buławie hetmańskiej i wielkim imieniu, stanowiły potęgę ogromną.

Bona rozporządzała wielkimi skarbami, jak on, ale daleko od niego zależniejszą była, a tylko przebiegłość jej, intrygi, nieprzebieganie w środkach czyniły ją niebezpieczną.

Kmita, którym się ona posługiwała przeciwko Tarnowskiemu, wróg jego ogłoszony, przy całym wysiłku do walki z hetmanem, nie dorósł do jego powagi i znaczenia.

Tarnowski obchodził się z nim niemal lekceważąco, nie wyzywając nigdy, ale tam, gdzie starcie było nieuchronne, utrzymując wyższość swoją. Oba oni w oczach kraju, który ich znał, powagą i zacnością mierzyć się nie mogli i nie stali na równi. Kmicie zarzucano gwałty, szaleństwa, wybryki, jego bandę złoczyńców, jakimi się posługiwał, gdy hetmanowi nigdy nikt nic nie mógł zadać, co by sławę jego zaćmić zdołało.

Zwycięzca w tylu bojach, był czystym i niepokalanym i cnotę swą nosił wysoko, nie lękając się nawet potwarzy, która do niego przystać nie mogła.

Nie było powodu odrzucenia zaprosin Tarnowskiego, które choć Bona były niemiłe, przyjęte zostały. Dwór przeniósł się do spo-

kojnej osady, przygotowanej naprędce na jego przyjęcie. Pobudowano tu szopy, wzniesiono nowe dwory, a hetman z gościnnością staropolską przyjmował pana, nie dając mu nic pożądać, bo życzenia były przewidziane.

Wiejskie to było schronienie, ale nic nie brakło i w porównaniu z Niepołomicami wygodniejsze od nich. Król je upodobał sobie. Dokoła nigdzie o strasznym morze słyhać nie było i z Krakowa tylko zawsze wieści przychodziły, tak że o powrocie do niego prędkim marzyć nawet nie było podobna.

Elżbieta znajdowała się tu, jak wszędzie, szczęśliwa ze wszystkiego i cierpliwa na to, co ją spotykało.

Bona, przeciwnie, coraz objawiała większy niepokój, z jednej strony o zdrowie i życie męża, z drugiej o syna. August pisywał rzadziej.

Nie wchodziło w plan Bony, aby synowi Litwę król oddał do rządów; chciała go mieć u boku swojego, pod bezpośrednim wpływem.

Tymczasem pobyt w Wilnie, zbliżenie się do panów tutejszych podbudziło nadzwyczaj dawne ich wymagania, aby Zygmunt im syna dał na Wielkie Księstwo.

Wszyscy posłańcy stamtąd przybywający przynosili listy z naleganiami, z pochwałami dla młodego pana, z prośbami o niego.

Wiedzano już w Polsce, że na przyszłym sejmie, którego się Litwa domagała dla spraw pilnych, jednomyślnie wszyscy będą o Augusta prosili.

Aby zapobiec temu, by Zygmunt skłonić się nie dał do zażądania prośbom, Bona zawczasu starała się mężowi dowiedzieć, że władzą się dzielić nie powinien. Chciała mieć syna przy nim, na oku, znajdowała go młodym i niedoświadczonym.

Król, który unikał sporów, milczał.

Im mocniej przekonywała się Bona z doniesień, które jej słano, że August niezupełnie szedł za jej wolą, tym więcej nalegała na męża, aby dopóki żyw, nie puszczał z rąk wodzów.

Ze wszystkich na dworze osób, znoszących cierpliwie tę wędrówkę po kraju dla zabezpieczenia się od moru, Bona najmniej umiała z nią się pogodzić i poddać konieczności. Wyrzekała i niecierpliwiła się, co nie pomagało wcale. Brakło jej kogoś i czegoś, co by ją zająć mogło żywiej.

Męczennica, ofiara, królowa Elżbieta, była nieczułą, milczącą — August, którego rada chciała na powrót sprowadzić, nie słuchał jej i znajdował się na Litwie swobodniejszym.

Z polecenia Bony, aby dokuczyć synowej, podszeptowano Hölzelinownie o tym, iż wydana za męża Dżemma, kochanka Augusta, pojechała do Wilna. Sądzone, że ona o tym oznajmi swej pani, ale piastunka milczała, a Elżbieta, gdyby jej o tym doniesiono nawet, zbyłaby uśmiechem obojętnym wiadomość.

Ona żyła ostatnimi słowy męża i tą błogą nadzieją, jaką one jej przyniosły. Kochała go i wierzyła mu. Całe jego postępowanie tłumaczyło się obawą matki tak dobrze, iż ją zupełnie uspokajało.

Na ostatek, po długim oczekiwaniu, jeden z posłańców przywiózł list od męża do młodej królowej.

Byłi on z rozkazu, za pozwoleniem, czy mimo wiedzy Bony pisany, nie umiała dociec Elżbieta, lecz miarkując z tego, jak Bona o nim wieść przyjęła, stanowczo musiał jej być niemiłym.

Królowa młoda rozpromieniona nosiła go na piersiach, nie rozstawała się z nim i natychmiast zaczęła myśleć o odpowiedzi.

Było to dla niej zadanie trudne. Jak w liście pogodzić czułość, którą chciała wyrazić w nim, a nie obudzić w Bonie podejrzeń (bo ta nieochybnie czytać go miała — szedł przez jej posłów do Wilna).

Hölzelinowna nalegała na wyrażenia jak najczulsze, na opis szczegółowy życia, jakie wiodła królowa, tęskniąca za mężem. Elżbieta potrzasała główką, milczała, a gdy list był gotowym i odczytała go piastunce, wydał się jej zimnym; Elżbieta nic w nim zmienić już nie chciała, nie mogła.

Szepnęła tylko Kätchen swej, że Bona czytać go będzie, że się przed nią ze zbytnią czułością zdradzać nie trzeba.

Kätchen była przeciwnego zdania zawsze. Ona, jak Marsupin, radziła śmielsze postępowanie, nie tyle uległości i pokory, a żadnej obawy.

— Król rzymski ma w ręku losy Izabeli, córki Bony, ona wie o tym dobrze! Macie w niej najlepszego zakładnika i nic się wam stać nie może.

Lecz nawet przed tą piastunką nie śmiała królowa wydać się z tym, że liczyła więcej na męża teraz niż na ojca, na miłość, którą zdawało się jej, że zdobyła, niż na łaskę jakąś.

Hölzelinowna próżno listu wyprawienie zwlec chciała, wyszedł on takim, jakim go obmyśliła Elżbieta i brzmiał jak następuje:

„Lubo powinna mieć nadzieję, że się wkrótce z sobą zjedziemy, ponieważ czas mi się dłuższym daleko wydaje, niżbym chciała, postanowiłam tym listem jeszcze gonić za Waszą Królewską Mością. Gdy nie mogę ręki podać, ani z Nim ustnie rozmawiać, niechże nieobecna choć listem się przypomnę.

Niech Wasza Królewska Mość to o swej wiernej małżonce i słudze wiedzieć raczy, iż niczego tak nie pragnę, jak żebyś mnie Wasza Królewska Mość w pamięci swej zachować raczył i szczerze z duszy kochającą, nawzajem miłował. Niech Pan Bóg zachowa Waszą Królewską Mość w dobrym zdrowiu i zsyla Nań pomyślność wszelką, a mnie jak najprędzej z Waszą Królewską Mością, królem, panem i małżonkiem moim najmiłszym połączy”.

List ten Hölzelinowna znajdowała za słabym, za krótkim, mówiącym za mało, nie bacząc na to, że miał być otwartym i czytany, że w nim szukać miano pozorów do nowego ucisku.

Elżbieta czuła, że więcej napisać się jej nie godziło, a że mąż zrozumie ją.

Naówczas już, gdy go do Wilna wysyłano, młoda królowa po pobycie na wsi u Tarnowskiego, potem w Piotrkowie, znajdowała się z Zygmuntem Starym w Warszawie. Była wiosna, długi czas upłynął od wyjazdu Augusta. Sejm dla Litwy zapowiadano w tym roku wkrótce, a August miał przybyć z panami litewskimi do Brześcia.

Wszystkiemu temu Bona, przy całej swej zapobiegliwości, zapobiec nie umiała. Zwlekała mając nadzieję, że coś zjazdu przeszkodzi, ale nadzieje wszelkie ją zawodziły.

Zygmunt Stary, listami króla Ferdynanda i naleganiami Maciejowskiego pokonany, mimo odradzań Bony, postanowił zawczasu, iż Elżbieta się z mężem połączy i pojedzie z nim do Wilna.

Otwarcie Bona się nawet sprzeciwiać temu nie mogła. List Herbersteina dawał jej do myślenia, trwożyła się zarówno o córkę, jak o zagrożone neapolitańskie dobra swoje.

Cała jej polityka polegała na odkładaniu, na zwłokach, na wynajdywaniu pozorów w stanie zdrowia króla, w pogłoskach

* Przeździecki: *Jagiellonki* (Przypis Autora).¹⁸

o powietrzu, które wszędzie groźniejszym się stawało, gdzie było wielkie zbiegowisko ludzi. W Brześciu właśnie sejm ten miał się zgromadzić ze wszech stron.

Lecz mór srogi na ostatek i w Krakowie ustawać począł, mniej o nim słyhać było, a Litwa nalegała mocno.

Postanowiono więc w czerwcu z Mazowsza się udać na granicę do Brześcia, gdzie już przygotowania czynić poczęto na pomieszczenie dworu.

August obiecywał przybyć nieochybnie.

Elżbieta wyglądała przyjazdu jego jak wybawienia z niewoli, ale nie mniej niespokojnie czekała na niego Bona.

Miał jej on powrócić tak poddanym i posłusznym, jak był, czy zmienionym i zbuntowanym? Ostatnie listy kazały się tego domyślać, a przynajmniej ciężkiego przejścia, nimby wyrywający się niewolnik znowu został w kajdany zakuty.

Ze wszystkiego miarkując, co jej donoszono, królowa nie rachowała już na Dżemę. Na dworze swym miała ją czym zastąpić.

Oprócz tego liczyła na znaną sobie rozrzutność syna a skąpstwo ojca, gdy szło o niego. Musiał potrzebować posiłków, które matka była dać gotową, nawzajem żądając za nie powrotu do dawnej uległości.

— Hölzelin, duszo moja! — wołała, dni licząc, młoda królowa — w czerwcu przybywa! Dwa księżyce nowe się zmienia, a my go zobaczymy!

Kätchen z jakąś nieufnością i niedowierzaniem całowała ją po rękach.

— Królowo moja — szeptała — bodaj lepszym wrócił, niż odjechał.

Dwuznaczny uśmieszek Elżbiety i milczenie jej dla piastunki były zagadką.

Łosy nieszczęśliwego Dudycza i pięknej jego małżonki nie mogą nam być obojętne. Dżemma spodziewała się zawsze powrotu króla do dawnej miłości, roiała, że zostanie na zamek wprowadzona, oczekiwała co dzień nagłej zmiany szczęśliwej. Ale nadzieje te okrutnie zawiedzione zostały.

Gdy znowu przez dni kilka nie ukazał się król na Trockiej ulicy, a Dżemma sobie wytłumaczyć nie mogła tego zaniedbania, choć Bianka usiłowała ją tym pocieszać, iż miał gości dostojnych i zajętym był bardzo — zniecierpliwiona już chciała biec na zamek i Bianka, obawiając się porywczosci jej, musiała sama ofiarować się w zastępstwie.

Na zamek dostać się było niełatwo. Jedna jego część nieprzystępną się stała, bo koło niej pracowano, w drugiej ciasno było od natłoku dworu i urzędników. Ale Włoszka była rozważną, zręczną i ostrożną. Potrafiła, niezbyt na siebie oczy ściągając, dostać się do Merły, ulubieńca Augusta.

— Mój miły panie — zawołała, zobaczywszy go nadchodzącego — radź coś na to, aby król jegomość tak okrutnym nie był dla biednej Dżemmy! Ona oszaleje z rozpacz.

— A cóż ja na to radzić mogę — odparł Merło. — Król nasz w Wilnie, to nie ten, co był w Krakowie. Tu się on musi na wsze strony oglądać, bo zewsząd na niego patrzą. Dobrze jest miłowanie, ale całego życia oddać mu nie można.

— Niechże o niej nie zapomina! Litość mieć powinien! — zawołała Bianka.

— A ona też nad nim — rzekł Merło. — Królowi ona zawsze miłą, ale teraz, gdy męża ma...

— Męża? — rozśmiała się Włoszka. — Aleć to stajenny, nie mąż! On na próg do niej wejść nie śmie!

— O to mniejsza — dodał dworzanin, który z przyjemnością z piękną jeszcze, choć przywiedłą, Bianką gawędził. — Król się wszakże opamiętał, że żonę wziął, i myśli o niej.

— Król? A w Krakowie ani znać jej nie chciał! — odparła Włoszka.

— Co innego było w Krakowie — począł poufnie Merło. —

To pewna, że teraz do niej nabrał serca. W Krakowie obawiał się matki, a tu my nikogo się nie lękamy.

— Zapomnieliście, że królową stara długie ręce ma — rzekła Biana.

— Na Litwę przecie nimi sięgnąć będzie trudno — odparł Merło — a jeżeli królowa matka syna kocha, to mu żony odbierać nie zechce, gdy się przekona, że się do niej przywiązał.

Śmiać się poczęła Włoszka.

— Przywiązał się? Teraz, nie widząc jej?! Co wyprawicie, jakbyście ze mnie żartowali!

— Mówię prawdę — począł Merło — i mam na to dowody. Powtarzam wam, że w Krakowie co innego było, a tu się inaczej święci. Najlepszy dowód, że król o niczym nie myśli, tylko o tym, aby na zamku jak najprędzej izby dla swej pani godne jej urządził. Śpieszą robotnicy, jak mogą, a on sam się niemal co dzień dowiaduje. Sprowadza kobierce, opony, malarzy i pilno się stara, aby gniazdo usłał piękne i miękkie. Chcecie widzieć — dodał Merło — poprowadzić was mogę. Komnaty już mają przeznaczenia. Chodźcie!

To mówiąc, zdziwioną i smutną Biankę wprowadził do wnętrza dolnego zamku, gdzie w istocie ludzi dużo się krzątało. Jedni zewnątrz wygładzali ściany, drudzy w środku układali podłogi, wstawiali okna, dopasowywali drzwi, malowali i przybijali.

Merło pokazał jej naprzód pokoje dla króla przeznaczone, potem wspólne, około sypialni przedzielającej je rozłożone, na ostatki dla fraucymeru, dworu, sług i dla pani. Ostatnie były ozdobniejsze, jasne i wesołe, jakby młodości królowej odpowiadać chciały świeżością swoją. Pod oknami sadzono drzewka i kwiaty.

Merło tłumaczył jej przeznaczenie każdej komnaty i przeprowadziwszy tak milczącą przez cały szereg sal i izb, które pośpiesznie kończono, a część ich już tak jak gotową była na przyjęcie — dodał po cichu:

— Mnie się widzi, żeśmy się wszyscy mylili, a biedna Dżemma najbardziej, gdy tak na królewską miłość rachowała. Wiedział on, co czynił! Teraz mu tu na Litwie nie przystało, żonę rzuciwszy, kochankami się chwalić, bo starzy panowie by mu to bardzo za złe mieli. Tu obyczaj surowszy. A król też sam dla żony wcale nie jest tak usposobiony, jak się nam zdawało. Bo-

daj obojętność dla niej udawał tylko, aby nie narażać na niebezpieczeństwo, na prześladowanie.

Bianka słuchała, uszom nie dowierzając.

Merło się jej do ucha nachylił.

— Król z żoną swą ma pewnie potajemne stosunki i jest w porozumieniu. Nie wiem ja nic, bo i przede mną się z tym tai, ale domyślam się na pewno. Mówię wam dlatego o tym, że mi Dżemmy żal. Niech się darmo nie uwodzi! Co niemożliwe, to niemożliwe. Król ci ją wyposaży i dopomoże im do gospodarstwa, ale dawna miłość nie powróci.

Włoszka tak zdumiona jeszcze była i przerażona tym, co jej Merło zwierzał, że się w początku słowa odezwać nie mogła.

— Co się z moją biedną przyjaciółką stanie — rzekła wręście — nie wiem zaprawdę. Ona kocha może dziś gwałtowniej niż kiedy, ale o jej los nikt się, oprócz mnie, nie zafrasuje. Taka nasza dola, bo my wam tylko służymy za igraszkę. Z Dżemmą król uczyni, co chce, ale cóż będzie z matką? Myślicie, że Bona zniesie połączenie się małżeństwa, którego nie chciała i poprzysięgła je rozłączyć? Nie zapominajcie, że dopóki król stary żyje, ona tu wszechmogąca. Kochała syna bardzo, prawda — dodała Bianka — ale, gdy się pogniewa i nienawidzieć zacznie, choćby dziecku własnemu zdrady nie przebaczy.

Merło wąsa pokręcał.

— Nie już my mieliśmy być wiecznie w niewoli u niej? — rzekł po cichu.

— Młody król — przerwała Włoszka — rachuje może nadto na miłość matki sądząc, że ona mu dla niej przebaczy wszystko, ale...

Bianka, nie kończąc, po włosku, ruchami rąk i twarzy starała się pokazać Merle, iż Bona raz rozjątrzona będzie nieublagana.

— Ale my od niej ucieczemy na Litwę — śmiejąc się rzekł dworzanin. — Co ona nam tu zrobi?

Ironicznie uśmiechnęła się Bianka.

— Zobaczycie — rzekła. — Co zrobi, ja nie przepowiem, lecz że nie przebaczy ani synowi, tego jestem pewna.

I zatrzymawszy się chwilę, szepnęła zamyślona:

— Ma więc z żoną potajemne stosunki?

— Ale, ja tego nie mówię — rzekł zmięszany nieco Mer-

10. — Domyślam się, nie wiem nic. Patrzę, że dla żony obmyśla wszystko, słucham, że o niej tylko co dzień mówi, widziałem, że wizerunek jej przywiózł z sobą i przygląda mu się co dzień... Jakże nie mam posądzać, że ją kocha?

Bianka, która do serca brała sprawę swej przyjaciółki, stanęła, słuchając z załamanymi rękami, i łzy się jej w oczach zakręciły.

W piersiach jej zawrzał gniew, może obudzony tym, że sobie własny los przypomniała.

— A zatem — odezwała się po chwili, wychodząc z zamku na podwórze ku miastu — nie mam ja tu co robić, a teraz myśleć tylko muszę, jak smutną prawdę powiedzieć Dżemmie, która się jej ani domyśla, ani przeczuwa. Bądźcie zdrowi — dodała, zegnając wymuszonym uśmiechem Merłę — muszę pośpieszać do tej biedaczki.

Przez całą drogę myślała w istocie posłana, z czym powróci do domu. Od razu wszelką odebrać nadzieję Dżemmie nie chciała.

Sklamiała więc, na pytania natarczywe odpowiadając, iż Merło był zajęty, że na zamku nieład wielki panował, bo pośpieszenie odnawiano mieszkalne komnaty, i z tego powodu nic się prawie dowiedzieć nie mogła.

Dżemma chciała już lecieć sama, ale ją towarzyszka powstrzymać zdołała. Nie przeciwiała się, gdy zrozpaczona i zniecierpliwiona znowu króla się spodziewać zaczęła i czekała na niego.

Lecz dzień ten i następny upłynął, a król nie dał znaku życia. Zniecierpliwienie i gniew rosły z każdą chwilą.

Trzeciego dnia już utaić nie było można, iż król znowu na czas dłuższy wyjechał do Olity, żadnych nie wydawszy rozkazów względem pobytu i pomieszczenia Włoszki.

Widząc ją podrażnioną i oszalałą, Bianka na ostatek postanowiła nie tać dłużej i nie dać się jej próżną uwodzić nadzieją. Wieczorem przysiadła się do jej łóżka i począwszy od narzekania na niestałe serca mężczyzn, w końcu wyjawiała, co mówił Merło.

Domysły jego w ustach Bianki przybrały barwę inną; Włoszka zaręczała, że była pewną stosunków potajemnych króla z żoną.

Wrażenie, jakie te smutne wieści sprawiły na Dżemmie, by-

to niezmiernie gwałtowne, krzyki jej i łkania całą kamienicę rozbudziły, ukoić nie było podobna przywiedziona do szaleństwa.

Nad ranem już Dżemma poprzysięgała zemstę królowi i szukała środków, jakimi by ją na nim i na żonie jego wywrzeć mogła.

Rachowała na Bonę, będąc pewną, że ona we własnym interesie sprawę jej poślubi.

Sama nie wiedząc, co czynić, to się zrywała jechać, goniąc Bonę do Piotrkowa lub Warszawy, to namysliwszy się potem goniać wyprawić do niej.

Ale kogo? List nie mógł wypowiedzieć wszystkiego. Dudycz, który jej przyszedł na myśl, nie był zdatny do sprawienia poselstwa, zaczęła prosić o to Bianki.

Włoszka sama jedna obawiała się podróżować.

Cały dzień następny strawiły na naradach, do których stara Włoszka też wezwaną została. Ale ani ona, ani Bianka nie chciały się puścić w tę podróż i narazić na pierwszy wybuch gniewu starej królowej. Stanęło więc na tym, iż Dudycz z listem miał jechać.

Bianka poszła mu oznajmić o tym, nie rozszerzając się nad treścią listów, które miał do rąk oddać królowej.

Rozkaz pani swej, posłuszny dotąd Petrek, przyjął zimno.

— Nie pojedę — rzekł krótko. — Dostyć już wam za darmo się wysługuję, żebym miał stare kości tłuc po drogach dla jej-mościnej fantazji. Niechaj śle kogo chce, ja się nie ruszę.

Niespodziany opór, którego Bianka przełamać nie mogła, zdziwił Dżemnę — pierwszy raz śmiał się jej niewolnik przeciw.

Lecz teraz, nawet jego oszczędzać było potrzeba, bo gdyby i on opuścił?

Po namyśle Włoszka go przywołać kazała. Ten dowód łaski jeszcze go dotąd nie spotkał. Dudycz poszedł się ustroić, wasy posmarował i poważnym krokiem wszedł do pokoju żony. Dżemma musiała udawać łagodną, ale nie mogła wesołej.

— Pierwszy raz mam prośbę do was — rzekła — a i tej zadłość uczynić odmawiacie.

— Bo mi już ciężko dźwigać to jarzmo — rzekł Dudycz. — Jam, oprócz rozkazów, dobrego słowa od was nie słyszał.

Dżemma spojrzała na niego i wzdrygnęła się. Wydał się jej

okropnym, pomyślała, że to był mąż, pan, i łyzy się jej z oczu puściły.

— To czego po was wymagam — odezwiała się — nie dla mnie samej potrzebne. Jest to pilny interes królowej matki, która wam wdzięczną będzie. Dlatego, skarbiąc dla was jej łaskę, chciałam, abyś waćpan sam pośpieszył.

Niewymowny Dudycz, z oczyma spuszczoneymi, strzepił machinalnie pióro od kapelusza, który trzymał w ręku.

— Pojedziecie? — zapytała Dżemma łagodnie.

— Ten raz, cóż robić! — odparł Petrek. — Choć przyznam się, że i dla królowej nawet, ochoty nie mam. Koń ciągnie — dodał — ale mu też obroku dać potrzeba, a jam go nie widział jeszcze.

Dwuznacznie się uśmiechnęła Włoszka.

— Zdaje mi się — rzekła — że obrok i za mnie, i za siebie da królowa. Jedźcie tylko śpieszno, sprawcie się dobrze, a będą was pytać, potwierdźcie to, co królowa w liście moim znajdzie.

Bianka podjęła się na wpół wtajemniczyć Dudycza, który się powoli udobruchał.

Tak w końcu, po naradach, pisaniu i wyborach, które się parę dni przeciągnęły, Dudycz wyruszył, zostawiwszy ludzi żonie, samowtór z jednym pacholikiem.

Jak przebywał Litwę do granicy, jak się potem rozpytywać musiał, gdzie królowej starej szukać, bo mu o niej coraz inaczej mówiono i jedni kazali do Piotrkowa, drudzy do Warszawy jechać, tego opowiadać nie potrzebujemy.

Miał czas Dudycz o sobie i swym położeniu rozmyślać, stękać i wzdychać na ciężką pańszczyznę, jaką dla pięknych oczu swej pani odbywał. Królestwo byli naówczas w mazowieckim grodzie nad Wisłą, skąd im do Brześcia na sejm litewski bliżej być miało. Gród ten nie znany Dudyczowi, opasany lasami dokoła, na małym wzgórzu nad samą Wisłą, ciasno murami opasany, po Krakowie mu się nie wydał zbyt okazałym, a i Wilno przy nim nie traciło. Zameczek stary, budowany i przebudowywany, składał się z murów polepionych razem i niewiele obiecujących. W mieście gospody niełatwo wyszukać było.

Petrkowi, który zły przyjechał i wszystko mu kwaśno smakowało, nawet wymowa mazurska śmieszną, a jak on powiadał, chłopską się wydała.



25. Zamek w Wiśniczu — odnowiony i obwarowany w połowie XVI wieku przez Piotra Kmitę.
Drzeworyt według rysunku Jana Matejki



26. Piotr Kmita.

Drzeworyt wedle rysunku Jana Matejki



27. Bona Sforza.

Rysunek Jana Matejki trawestujący renesansowy medal z popiersiem królowej w wykonaniu Jana Marii Padovano (1493—1547)



28. Młoda dziewczyna w stroju włoskim.
Drzeworyt z XVI wieku



29. Wprowadzenie muzyki wioskiej na dwór Zygmunta Starego.
Drzeworyt według rysunku Kazimierza Mireckiego (1836—1911)



10. Śpiewacy.
Drzeworyt z XVI wieku



31. Zygmunt August.
Wedle rysunku Jana Matejki



32. Arras z kolekcji Zygmunta Augusta z inicjałami króla SA
Bruksela, wiek XVI

Zmuszony nie bardzo się wydawać ze swoim przyjazdem i celem podróży, Dudycz strawił dzień niemal na rozpatrywaniu się, nim kogo zaufanego ze dworu Bony natrafił, któremu się opowiedział, iż z panią potajemnie widzieć się potrzebował, bo przywoził ważne wiadomości.

Zaledwie zmierzchno, gdy do gospody jego podle Panny Marii, nie opodal zamku, bo tam wszystko jeszcze było na kupie, przyszedł Włoch, aby go zaprowadzić do Bony.

Posadzono go naprzód w ciasnej antykamerze, gdzie skrzyń i sepetów podróżnych pełno było, listy mu odebrawszy. Upłynęło sporo czasu, nim je odczytano i samego Dudycza przyprowadzono do królowej, za której krzesłem stała tylko owa mniszka Maryna z jaszczurczymi oczyma, towarzysząca pani wówczas, gdy nikogo nie dopuszczono więcej ze dworu.

Na stole zobaczył Petrek poszarpane listy, które przywiózł, a Bona siedziała z twarzą jakby obrzękłą, pomarszczoną, obwisłą, tak straszna, jak jej sobie nie przypominał Dudycz.

Nim się zbliżył, zdawała się go piorunować oczyma i krzyknęła, ręką potrząsając listy:

— Coś mi to przywiózł?! Prawdali to! Nie może być, Dżem-ma oszalała! Cóż się tam w Wilnie dzieje?!

Petrek zimno, ale ze szczegółami opowiadać zaczął, jak się na próżno do króla dobijali, który tak dobrze jak znać ich nie chciał.

Potwierdził i to, że zamek dla młodej królowej pośpiesznie przygotowywano, a co się tyczy podejrzeń, iż August potajemnie znosił się z żoną, nie umiał powiedzieć nic.

Bonie wiadomość ta tak była nieprzyjemną, iż nie bardzo jej wierzyć chciała. Odzyskać straconą władzę nad chorym mężem było jej łatwo, ale nad synem, który się raz z rąk wyrwał, wiedziała, iż się stać może niepodobnym. Znała jego słabość, serce miękkie i przeczuwała, że tak samo żona go opanuje, jak wprzód ona nim władała.

Odstępstwo syna wprowadzało ją w rozpacz. Przypisywała je niezręczności Dżemmy, głupocie Bianki i na wszystkich wyrzekać zaczęła, łajac ich i grożąc.

Dudycz niewielu słowami uniewinniać się starał.

Po krótkiej rozmowie, gdyż królowa nadto była rozgniewaną, aby ją prowadzić długo, Dudycza odprawiono do jutra.

W przedsięni czatujące pochwyciły go panny dworskie Bony i zaprowadziły do siebie domagając się, aby im o żonie swej i Bian-ce opowiadał. Ale Dudycz ostrożnym był i mało co się od niego dowiedziały; z humoru tylko jego i królowej domyslać się mogły, iż zaszło coś niespodziewanego i niepożądanego.

Dudycz, nie mogąc na króla, narzekał na „boćwinę” litewską¹⁵, jak on ją zwał, na obyczaj dziki, na wszystko.

Drugiego dnia o zmroku zaprowadzono go do królowej, która już była nieco ostygła, ale rozczytawszy się w listach i rozmyśliwszy, doniesienie Dżemmy wzięła do serca. Nie wątpiła już o zdradzie syna, o podstępach Elżbiety, o tajemnych stosunkach.

Nienawiść jej ku synowej spotęgowała się jeszcze obrażoną miłością własną, iż ją śmiano i potrafiiono podejść i oszukać. Odgrzała się w duchu zemstą srogą.

Jedyną pociechą było, że astrolog jej ciągle w gwiazdy patrząc, stanowczo młodej pani nie obiecywał długiego życia.

Ale i krótki triumf, odniesiony nad nią, był nieznośnym.

Serce Augusta straciła, a czy je odzyskać mogła, było wątpliwym. Myślała już w miejsce Dżemmy wyprawić do Wilna inne dziewczę młodziuchne, urody wielkiej, na które niegdy król rzucił był okiem, lecz niedoświadczone dziecko samo jedno nic nie mogło sprawić.

Ostro nakazała Bona Dudyczowi, aby się z żoną z Wilna nie ruszał i starał dostać koniecznie do króla, a do Dżemmy napisać poleciła, aby jej donosiła o wszystkim i utracone względy (własną winą) starała odzyskać.

Poselstwo to w ogóle bardzo dla Bony pożądane, dla królowej Elżbiety groźne, Dudyczowi nie przyniosło nic a nic. Bona mu ani dała, ani obiecała od siebie nagrody za służbę, zbурczała i odprawiła nazad do Wilna.

Petrek, nie śmiejąc w Warszawie gościć długo i nie mając też co poczynąć, niebawem też wyruszył z powrotem, nie bardzo śpiesząc, bo nic się dobrego w Wilnie zastać nie spodziewał.

W czasie tej jego podróży, Włoszka, wysławszy zażalenie do królowej, nie zaniedbywała mimo to kołatać do króla, ujmować Merię przez Biankę, którą on mile widywał i czatować na Augusta, rzadko i na krótko pokazującego się w Wilnie dla rozpatrzenia w robotach zamkowych tak, że często, gdy Dżemma się dowiedzia-

ła, iż przybył, i słała do niego, on już do Trok lub do Lidy wyruszył.

O zobojętnieniu króla wątpić już nie było podobna, nie tylko ostygł zupełnie, ale nawet zapominał, że coś dla niej uczynić był powinien.

Merło się przysięgał, iż panu przypominał Dżemmę, ale za każdym razem król milczeniem i spojrzeniem znaczącym go zbywał.

Męczyła się namiętna Włoszka, płakała, chorowała, wymyślała rozmaite sposoby zbliżenia się, których wykonać nie mogła, na ostatek śmiertelnie nudzić się zaczęła.

Był wówczas na dworze Augusta między innymi Włochami jeden, który się zwał Testa, a dano mu od jego obowiązków przydomek *il Cavalcatore*, bo konie królewskie ujeżdżał. Mężczyzna był urody i postawy bardzo pięknej, młody jeszcze, wesół, a że łaski u pana miał, butny i śmiały.

Raz natrafiwszy na Biankę, gdy z Merłą rozmawiała, rad był, że Włoszkę znalazł, i nazajutrz po wyjeździe Dudycza do niej się stawiał.

Bianka, która go przyjąć nie miała gdzie, choć rada mu była, zaprowadziła do Dżemmy. Tę Włoch zobaczywszy, łatwo się domysleć, jaką dla niej miłością rozgorzał.

Dumna pani, choć jej to pochlebiało, w początkach go bardzo surowo przyjmowała, nie dając przystępu do siebie, lecz Włoch zręczny, pochlebny, znał kobiety i wcale się tym nie zraził.

Oprócz innych talentów Testa śpiewał, choć nie uczenie, ale przyjemnie, wesołe piosenki ludowe. Nieznacznie weszło w zwyczaj, że przychodził wieczorem, siadywał, bałamucąc obie Włoszki, niekiedy je do śmiechu pobudzając, a w końcu i pożądanym się stał, bo je bawił.

Dżemma zaczęła na niego patrzeć okiem łaskawszym. Miał łaski u króla, chciała go użyć za pośrednika, bo Merło się jej wydawał niezręcznym. Włoch przyrzekał więcej daleko, niż się spodziewał dotrzymać, bo w istocie nie miał tej poufałości i zaufania u Augusta, aby śmiał mu coś powiedzieć. Łudzona obietnicami Dżemma coraz Włocha więcej potrzebowała i dała mu wstęp do domu, w którym się on zasiadywał.

Tak się to dosyć długo ciągnęło, a Augusta w ciągłych prze-

jażdżkach schwycić nie mogła Włoszka, aż na ostatek za poradą Testy, wybrała się za miasto, gdy miał wieczorem z Trok powracać, i zuchwale mu zastąpiła drogę. Szczęściem król tak jak sam był, bo nie miał nikogo oprócz dworzan przy sobie. Zatrzymał się, zobaczywszy ją, bo litość może powziął nad nią i oddawszy konia dworzaninowi, pieszo dalej szedł z nią razem.

Dżemma wiedząc, że się jej może niełatwo uda drugi raz z nim spotkać, wybuchnęła wyrzutami i narzekaniem straszliwym. Przypominała mu dawne obietnice i przysięgi, opłakiwała swą niedolę, groziła, że życie sobie odbierze. Scen takich August nie lubił, a serce miał miękkie.

— Uspokój się, na Boga — rzekł — nie zapomniałem o tobie. ale się okoliczności zmieniły; król nie jest panem siebie, a rychlej by nas niewolnikami, niż królmi, zwać przystało. Nie wymagaj ode mnie, czego dać nie mogę.

— Ja nic nie chcę oprócz serca! — płacząc odparła Włoszka.

— Nie odebrałem ci go, masz je — rzekł król — lecz przed całym światem z tą miłością się okazywać nie mogę. Nie dość, żem ja żonaty, ty wyszłaś za mąż, nie spytawszy mnie, a to samo nas rozdziela.

— Jako?! — krzyknęła Dżemma. — Moje małżeństwo żadnym jest! Męża mego nie znam. Wzięłam go jedynie dlatego, abym mogła sobą władać i tu przybyć, a wy mnie, królu i panie, karzecie za to, co mnie najwięcej kosztowało i było ofiarą dla ciebie.

Zygmunt nie odpowiedział nic, zwolnił kroku.

— Słuchaj, Dżemmo! — rzekł stanowczo. — Uczynię dla was i dla ciebie, co tylko mogę, lecz na życie ze mną nie rachuj. Dziś ono niepodobieństwem. Samo przebywanie twoje tutaj niemiłym mi będzie; jedź, dokąd chcesz. Mężowi i tobie dam zapomogę, gdy tylko władzę odzierzę, a to nastąpi wkrótce.

Usłyszawszy wyrok ten, Dżemma zachwiała się i byłaby z krzykiem padła na ziemię, gdyby nie opodał stojąca Bianka nie pochwyciła jej w silne ramiona. Król natychmiast konia sobie po dać kazał i na zamek odjechał.

Gdy do siebie przyszła pani Dudyczowa, rozpacz jej zmieniła się w gniew i pragnienie zemsty okrutne. Straciła wszelką nadzieję, życie jej było zwichnięte.

Przez dni kilka Bianka musiała czuwać nad nią, chować sztylety i zapobiegać, aby nie dostała trucizny. W końcu jednak uspokoiła się tyle, iż z odgrózkami na ustach postanowiła powrócić do królowej.

Merło z rozkazu Augusta w parę dni potem przyniósł paręset czerwonych złotych i radę, aby się z Wilna oddaliły. Dżem-ma rzuciła pieniędzmi o ziemię, ale je Bianka skrzętnie pozbierała. Nie chciała nawet czekać na powrót męża, a że Testa wypraszał się do Krakowa i ofiarował jej towarzyszyć, Włoszki razem z nim puściły się w drogę ku Warszawie.

Los dziwny chciał, by z Dudyczem się gdzieś rozminęli niepostrzeżenie, tak iż ten, do Wilna przyjechawszy, znalazł izby puste i dług tylko nie zapłacony, który uiścić musiał. Gospodyni mu bez ogródki opowiedziała, że żona jego z Włochem kawalkatorem w świat ruszyła.

Co się tam z Dudyczem działo, gdy się dowiedział o swoim losie, nikt nie odgadł, bo zasępił się, głowę zwarł mocno, zębami zgrzytnął, ale słowa nie powiedział. Milcząc dług zapłacił, koniom odpoczął, sam się wyspał, a gdy nie było tu co robić, poszedł Merłę pożegnać i zabrał się żonę gonić.

Zobaczywszy go, dworzanin królewski zdziwił się, widząc tak na pozór obojętnym. O Włochu kawalkatorze mowy nie było. Dudycz wyjazd jejmości składał na nieporozumienie. Spytany o to, kędy bywał i co słyszał, powiedział, że nic nie wie nad to, iż stara królowa z młodą w Warszawie siedzą. Zamkniętym i milczącym znalazł go Merło aż do zbytku.

Nazajutrz rano Dudycz już był na koniu i ruszył, rozpytawszy o jak najbliższą drogę do Warszawy, pewien, że tam żonę zastanie. Ponieważ królowej nie była już potrzebną, myślał ją zabrać na wieś do siebie i tam zamknawszy, ugłaskać a zmusić do lepszego z sobą pożycia.

Lecz Petrek lepiej się znał na soli i na handlu nią niż na sercach kobiet i włoskim temperamentcie.

Próżne były wszelkie starania Bony, aby zjazd w Brześciu został odroczony. Wydano listy i stary król, choć niezbyt silny, na dni kilkanaście przed terminem wyprawił część dworu, za którym sam i dwie królowe z nim puściły się małymi dniami¹⁶, kierując ku Bugowi.

Bona jechała milcząca, blada, z oczyma zapłakanymi, nie mówiąc do synowej, mierzając ją wzrokiem zjadliwym, którego wyraz przejmował trwogą Elżbietę. Pokora, uległość, posłuszeństwo, wszystkie środki prześlągania tego tłumionego gniewu, który nie wybuchał, bo nie miał najmniejszego pozoru, co by mógł usprawiedliwić, napróżne były ze strony Elżbiety.

Co dzień prawie spotykały ją dotkliwe przykrości, które w milczeniu połykać musiała, taić, i twarz, na przekór im, okazywać wesołą. Bona za poradą swego astrologa i lekarzy przestrzeżona, iż młodej królowej drażnienie niebezpiecznym być mogło, właśnie zdawała się rachować na nie, aby chorobę, o której wiedziała, na której obawy czatowała, wywołać.

Lecz szczególnym zrządzeniem jakimś, Elżbieta, którą by może szczęście zmogło, ucisk wytrzymywała bohatersko, Hölzelinowna, czuwająca nad nią, każdego dnia dziękowała Bogu, gdy przeszedł bez wypadku. Lękała się, aby kiedy paroksyzm ów straszny nie pochwycił królowej w chwili, gdy na nią dwór i stary król patrzył.

Zygmunt dotąd, gdy o chorobie synowej Bona mu mówiła, kłam jej zadawał. W istocie kilka razy ze znużenia, po łzach, po wielkim zmartwieniu w nocy dostawała Elżbieta tego zdrętwienia, gdy oprócz piastunki nikt nie był jego świadkiem. Przechodziło to snem do rana, a choć nazajutrz bladą była i twarz świadczyła o znużeniu, Hölzelinowna zaprzeczała chorobie i sama Elżbieta zaręczała, że jest zdrową. W tym, jak w innych sprawach, nie powodziło się teraz Bonie, a przy jej charakterze gwałtownym, łatwo się domysleć, do jakiego stanu ją doprowadzało. Gotowa się była chwycić środków ostatecznych.

Codziennie potajemne narady z lekarzami nie samym stanem zdrowia króla były spowodowane.

Podróż do Brześcia, osłabioną wiosennym powietrzem królowę Elżbietę, nadzieja połączenia się nareście z mężem, wyzwolenia z więzów nieznosnych, dźwignęła cudownie. Twarzyczka jej zarumieniła się znowu, usta uśmiechały jeszcze milej, ścisnęła Kätchen i zaręczała jej, że nigdy, nigdy już chorować nie będzie.

Hölzelinowna jechała z wielką i nieustającą obawą. Wiedziała ona, iż wszelkie wstrząśnienie moralne, cierpienie duszne mogło nagle sprowadzić paroksyzm, a na tych nie zbywało dzięki Bonie.

Na ostatek po długiej, powolnej podróży nad rozlanym jeszcze szeroko Bugiem wiosennym ukazał się naprzód Błotków, a potem szary, po większej części z drewnianych domostw składający się, Brześć Litewski.

Wiosenną porą dobraną była na zjazd dlatego też, że w miasteczku Litwa zebrana na żaden sposób pomieścić się nie mogła. Leżała obozem dokoła.

Oprócz panów litewskich, prócz szlachty, Polaków też urzędników znaczniejszych i senatorów do boku króla przystawiło się niemało.

Gdy Zygmunt Stary i obie królowe przyjechały do Brześcia, Augusta tu jeszcze nie było, obiecywano go na jutro.

Jeżeli kto, to Bona czekała na syna z najwyższą niecierpliwością, czując, że spotkanie to o przyszłości wyrokować miało. Nie żeby się ona jej wyrzec chciała, znajdując Augusta zmienionym dla siebie, miała jeszcze siły do walczenia z nim, ale wolałaby była uniknąć gorszącego zajścia z dzieckiem własnym, które liczbę jej przeciwników zwiększyć musiało.

Serce matki, kobiety, ma przecucia i widzenia wczesne — i Bona, choć się jeszcze łudzić starała tym, iż Augusta potrafi znowu pozyskać, że mu się wyzwolić nie da, czuła, iż miał jej, po jedenastu miesiącach spędzonych na Litwie, innym, niż jechał, powrócić.

Wszyscy ci panowie litewscy, którzy go tu poprzedzili i króla wyjechali na moście między Błotkowem a Brześciem powitać, zgodnie wynosili Augusta, chwalili go i dziękowali zawczasu ojcę, że im takiego pana miał dać do rządów.

Król tych zbyt rychłych pochwał nie lubił i przyjął je w milczeniu. Bona oczami zdawała się nakazywać oratorom powściągnięcie się od nich. Elżbiecie serce rosło.

Nazajutrz wedle obietnicy przybył Zygmunt August, wiedząc już o ojcu, matce i żonie, i uroczyście w kościele się spotkał z nimi. Wszyscy, co go tak długo nie widzieli, żona pierwsza, wielce na korzyść znaleźli zmienionym. Wyjeżdżał z Krakowa, można było powiedzieć, młodzikiem, powracał z Wilna poważnym mężem.

Dojrzałość ta malowała się w wejrzeniu twarzy, w postawie i ruchu każdym. Pięknym był i krasa młodości niezwiędła kwitła na jego obliczu.

Przy powitaniu ojca i matki, oko jego padło na stojącą za nimi żonę, która od tego wzroku zadrżała, poczuła nawet ów tajemniczny powiew*, który zwykł był poprzedzać odrętwienie, lecz wielka siła woli zwyciężyła to niebezpieczeństwo.

Z żoną powitanie publiczne było stosunkowo chłodne, ale Bona wydało się obrachowanym na oszukanie ją kłamstwem.

August, znający dobrze matkę, która w tej chwili radość udawać usiłowała, widział, że była gniewną i zmagala się tylko na okazanie mu czułości. Burza nadchodząca była nieuniknioną... król młody na nią zrezygnowany.

Po odśpiewaniu hymnu dziękczynnego i błogosławieństwie królowie, stary i młody, obie królowe, towarzyszący im dwór świetny, wszyscy na zamek jechali.

Kilka godzin zajęła uczta, rozmowy, przyjęcia osób przybywających i Bona, cofnąwszy się pierwsza do swoich komnat, przez dworzanina oznajmiła synowi, że tam na niego tegoż dnia czekać będzie, a widzieć się i rozmówić nieodzownie potrzebuje.

Dawniejszym obyczajem byłby August pośpieszył zaraz do matki, tym razem jednak dosyć na siebie czekać kazał, tak że wysłany dopiero po niego Opaliński przyprowadził go Bonie.

Królowa siedziała oparta o stół i nie rzuciła mu się na szyję jak niegdyś, oczy jej pałały ogniem, usta drżały i ręce, pierś miotła się gwałtownie.

Syn wszedł z twarzą wesołą, ale chłodny.

Milczenie Bony było już groźne.

— Wasza Królewska Mość — odezwała się z przekąsem — bardzo mi spoważniałeś na Litwie i zapomniałeś o matce. Nie wiem czy ja na to zasłużyłam...

* *Aura epileptica* (Przypis Autora).

Oddech jej mowę zatamował.

Nie schyliwszy się do pocałowania ręki matki, August stanął.

— Zdaje mi się — odparł — że i ja na wymówki nie zasługuję. Czymże zawiniłem?

Bona poruszyła się na krześle.

— Nie kłam — zawołała unosząc się nagle — powracasz innym! Dałeś się ująć ludziom, którzy są wrogami moimi.

— Ja? — odparł August. — Ja? Do tego się wcale nie czuję...

— Wierz mi — przerwała gwałtownie Bona — iż każdy twój krok, niemal myśl jest mi wiadomą. Kochałam cię i kocham, pragnę twojego dobra. Jesteś niewdzięcznym.

— Ale, czymże zawiniłem? — chłodno zapytał Zygmunt August.

— O, uderz się Wasza Królewska Mość w piersi! — poczęła szybko królowa. — Łatwiej to uczuć mnie, matce, niż wypowiedzieć i wyliczyć. Od kilku miesięcy listy ustały prawie, ton się ich zmienił, w kilku znalazłam zdania zupełnie moim przeciwne. Na ostatek...

Zamilkła nagle, chustkę, którą miała w ręku, rzuciła na stół i dłonią otarła oczy, płakać poczynając.

Wtem we drzwiach, które się poza królową znajdowały, tak iż ona ich widzieć nie mogła, drgnęła zasłona ciężka, część jej uchylono i blada twarz Dżemmy, z oczami gniewnymi, wlepionymi w Augusta, ukazała się na tle ich ciemnym.

Młody król spojrzał groźnie i już mając odpowiedź na ustach, wstrzymał się z nią, Bona poruszyła się gwałtownie na siedzeniu — widmo Włoszki znikło.

Królowa tak była nawykłą zawsze do gniewu mięszyć łyzy i odegrywać sceny z mężem, którymi go nużyła, a w końcu pokonywała, iż mimo woli z synem teraz miała rozpocząć podobną sprzeczkę, gdy spojrzenie na niego zmieniło to usposobienie. Nie potrzebowała z nim używać tych wybiegów, miała prawo powagą macierzyńską go pokonać.

Podniosła głowę dumnie.

— Dałeś mi Wasza Królewska Mość uczuć — poczęła głośnie — iż nawet na dziecko własne liczyć nie można, że ja tu jestem otoczona zdrajcami i zdradą. Od kilku miesięcy zmieniłeś się wi-

docznie, królowa Elżbieta i jej przyjaciele pozyskali sobie afekt Waszej Królewskiej Mości.

— Nie miałem z nimi stosunków — rzekł August.

— Jawnych nie, ale potajemnie.

— Ja nic nie robię skrycie — odparł król.

— Maż to być wyrzutem, że ja sobie w ten sposób poczy-
nam?! — krzyknęła królowa.

August milczał.

— Staram się godność królewską rodziny waszej ocalić, opiekując się rozkazom króla rzymskiego, który wraz z cesarzem chciałby z nas niewolników swych uczynić. Szlą nam tu posłów z wymaganiami coraz cięższymi, grożą, zmuszają, a my mamy ulec i być posłuszni?! Na mnie spada cała ich złość dlatego, że ja was bronię z narażeniem moich dóbr w Neapolitańskim, siebie... Zamiast wdzięczności, król stary, jego rada przekupiona przez cesarza, który, wiem, że księdzu Samuelowi podarki przesyła, a naraście i wy bierzecie stronę Elżbiety przeciwko mnie...

August wysłuchał tej mowy cierpliwie, a Bona dodała jeszcze w końcu:

— Nawet tu, do Brześcia, jeszcze wysłali znowu posła z nowymi wymaganiami.

— Ale pozwól mi Wasza Królewska Mość powiedzieć — rzekł młody — iż domaganie się te są słuszne.

Zmarszczyła się Bona i uderzyła o stół ręką.

— Tak już teraz sądzicie, tak! — zawołała. — A ja broniąc was od pożycia z niewiastą chorą, która i was może zakazić swoją chorobą, nie miałam słuszności?!

— Królowa Elżbieta wcale nie jest chora.

— A skądże o tym wiesz Wasza Królewska Mość, coś jej jedenaście miesięcy nie widział, gdy ja na nią co dzień patrzę?! — pochwyciła Bona. — Wyznajesz więc sam, że miałeś potajemne doniesienia, mnie nie wierząc.

— Nie potajemnie, ale jawnie świadczą o królowej ci, co ją też widywali ciągle — rzekł August.

Bonie, widząc, że jej syn nie ustępuje, łzy stanęły w oczach.

— Myślisz więc — wykrzyknęła — zgiać się przed królem Ferdynandem i posłuszny rozkazom jego żonę zabrać?! Słyszałam, żeś dla niej na zamku przygotował już pomieszczenie?

— Tak jest — odparł król sucho. — Nie mam i nie mogę mieć żadnej wymówki, jestem jej mężem, powinienem z nią żyć. Sama Wasza Królewska Mość w liście do Herbersteina pisałaś mu, że ja mam własną wolę i mogę postępować, jak chcę. Czynię więc wedle rady Waszej Królewskiej Mości, korzystam z prawa mojego.

Bona się podniosła z krzesła.

— Któż Waszej Królewskiej Mości mówił o liście do Herbersteina?! — krzyknęła.

— Aleć on tajemnicą nie był — odpowiedział Zygmunt August.

Królowa już nie miała co rzec na to, płakała gniewna ocierając łzy i poruszając się na krześle, jak gdyby z trudnością na nim utrzymać się mogła.

— Tak więc — dodała zza łez — Wasza Królewska Mość także zrywasz ze mną, nie chcesz ani rady, ani dobrodziejstw moich, ani serca! Bardzo dobrze! Ale raczcie pamiętać, że ze mną rozbrat wziąć można, ale mnie przebłagać potem, nigdy! Raczcie pamiętać, że ja tu jeszcze w tym królestwie, dopóki pan mój i król żyw, coś znaczę, a gdyby nawet Bóg mi go wziął, mam przyjaciół i obrońców mieć będę.

— Boli mnie — zimno odezwał się August — że Wasza Królewska Mość mnie już dziś jakby nieprzyjacielem swym, a nie dzieckiem, liczysz, gdy nic nie uczynilem.

— Jak to nic? — przerwała Bona. — Przypomnij, jakeśmy się rozstawali, a jak się dziś spotykamy. Padałeś mi do nóg, gdym wyposażyła na drogę, bo nie miałbyś z czym pójść na Litwę, gdyby nie dobrodziestwa moje.

— Za które i dziś wdzięczen jestem — odparł August — ale nie wiem, jak mam okazać wdzięczność moją.

— Ja nie potrzebuję żadnych oznak wdzięczności... dla siebie nic — poczęła, podnosząc głos, Bona. — Ja pragnę waszego dobra. Nie powinniście się dać upokarzać królowi Ferdynandowi i pozwalając narzucać żonę.

Spojrzała na syna, którego twarz wyrażała stałe postanowienie.

— Nie dla króla Ferdynanda ani dla cesarza to czynię, iż żonę zabiorę — rzekł sucho — ale dla sumienia własnego. Jest to

obowiązek. Biedna królowa wycierpiała dość, czas jest, aby zajęła stanowisko, do jakiego ma prawo.

— Prawo?! — ironicznie powtórzyła Bona. — Prawo?! Jednego grosza posagu dotąd nie wniosła, żyje z naszej łaski.

To niezręczne wtrącenie przymówki o posag rumieńcem okryło twarz młodego króla, który dodał żywo:

— W liście swym król Ferdynand zapowiada wypłatę części znacznej posagowej sumy za kilka miesięcy.

— A, na obietnicach u nich nigdy nie zbywa — rozśmiała się Bona.

Rozmowa zdawała się wyczerpaną. Królowa wiedziała to, o czym się przekonać chciała, młody król też czuł, że stosunek dawny z matką może na zawsze zostać zerwany i zmieniony.

Wielką, namiętą miłość miała zastąpić nienawiść.

Nie zbliżając się nawet do matki, która w krześle swym siedziała rozparta, skłonił się nisko i zwrócił ku drzwiom. Bona, zapewne spodziewając się czegoś więcej, rzuciła się, jakby gonić za nim chciała, i pomiarkowawszy zaraz, głową skinęła, padła na poręcz siedzenia.

Zygmunt August, krótko się zatrzymawszy w przedsieni, gdzie na niego czekali komornicy, zwrócił się do mieszkania żony, którą widział tylko z daleka.

Zajmowane przez nią izby były tak szczupłe i niewygodne, że w głównej z nich zasłona wielka zawieszona w połowie oddzielała część jej od sypialni, w której Hölzelinowna siedziała.

Elżbieta zdawała się oczekiwać na męża, siedziała przy stole przebijając w otwartej szkatuleczce, zawierającej listy ojca, matki i rodzeństwa. Wyraz niemal dzieciennego wesela twarzyczkę jej nieco bładą ożywiał. Widać było, że w tej chwili nadzieja czyniła ją szczęśliwą.

Z dała posłyszawszy kroki, domyśliła się ukochanego, upragnionego męża, którego we drzwiach zapowiedziawszy, dworzanin sam ustąpił.

August wszedł z postawą swobodną i obliczem jasnym, obejrzał się po mieszkaniu, uśmiechnął.

Królowa powstała i nieśmiało, hamując się, kilka kroków naprzód postąpiła, niskim ukłonem go pozdrawiając.

— Przychodzę na chwilę tylko — rzekł August — śpiesząc oznajmić Waszej Królewskiej Mości, pani mej miłej, że stąd razem połączeni pojedziemy do Wilna. Chciejcie więc do tego czyścić przygotowania.

Elżbieta złożyła ręce i nie umiejąc słowem, odpowiedziała wdzięcznym spojrzeniem długim.

— Jak długo w Brześciu zostać musimy, nie wiem — dodał August. — Wierz Wasza Królewska Mość, iżbym rad jak najkrócej.

Mówiąc młody król, który zdawał się nie śmieć przystąpić bliżej i ręki jej nawet nie dotknął, badał ją pilno oczyma, a twarz jego świadczyła, iż skromna, łagodna, bojaźliwa pani młoda za serce go chwyciła.

— Mamy tu ludzi tylu do widzenia, tyle spraw do załatwienia — dodał August — iż mi się dziwić nie będziesz Wasza Królewska Mość, że wiele z nią czasu spędzać nie mogę. Nagrodzę to sobie w podróży i na miejscu w Wilnie.

Mówiąc to, skłonił się z galanterią rycerską, ręką pozdrowił królową, która schyliła się przed nim, i wyszedł szybko.

Hözelinowna tak się dla pani swej obawiała silnego wrażenia przy tym spotkaniu, iż przez cały czas u zasłony stała na straży, a zaledwie się drzwi zamknęły, przypadła do Elżbiety, która usiadła w krześle.

Z niepokojem, przykląkwszy przed nią, badała jej twarzyczkę, która na chwilę zbladła, lecz rumieniec życia powrócił na nią. Ręce królowej splotły się na szyi piastunki.

— Widziałas go? — szepnęła. — Jaki on śliczny, jak bosko piękny, jak poważny, jak głos ust jego słodki, jakie wejrzenie życiem karmiące, co za muzyka w tych słowach, co za wdzięk w ruchach! Widziałas, gdy mnie zegnał. A, ale ty, ty, moja Hözelin, nie czytasz, jak ja, w jego oczach, głosie i mowie, która dla mnie ma znaczenie inne. Ja czuję to, co on chce powiedzieć, a nie mówić, co myśli. Kätchen, my będziemy szczęśliwi.

I przytuliwszy się, jej do ucha szepnęła:

— A, Bona! Bona się będzie wściekała, ona, co mnie tak chciała widzieć pod nogami swymi błagającą litości!

Uspokojona piastunka wstała, starając się rozerwać panią swą, aby się nazbyt uczuciom silnym opanowywać nie dała, usiło-

wała ją zabawić, poprowadziła do okna ukazując pocztę, konie i oryginalne stroje ciągle na zamek przybywających panów.

Brześć był pełen, zjazd ogromny i nawet posłowie króla Ferdynanda się tu znaleźli, którzy, za radą Marsupina, pokoju nie dawali królowi staremu.

Zygmunt August zaledwie powrócił do kamienicy, którą zajmował w mieście, gdy mu oznajmiono podkanclerzego, księdza Samuela.

Biskup płocki pośpieszał tu, chcąc uprzedzić wpływy inne, i działać na korzyść młodej królowej, nie wiedział bowiem, jak młody król był usposobiony, a Bony się obawiał.

Wyszedł na spotkanie jego Zygmunt August z tą twarzą welską, którą przywiózł z Litwy.

Biskup powitał go uprzejmie. Siedli we dwu w pierwszej komnacie.

— Śpieszyłem powitać Waszą Królewską Mość — odezwał się ksiądz Samuel — a uprzedzić ją, iż król ojciec pragnie tego mocno, aby się raz nieporozumienia z królem Ferdynandem skończyły. Przybyły aż tu posły nalegając na to, aby królowa Elżbieta na Litwę z Waszą Królewską Mością jechała.

— Ale to jest rzecz postanowiona — rzekł młody król. — Przeszkody ku temu nie widzę żadnej. Zgodni jesteśmy wszyscy. Dotąd naprawdę nie było gdzie w Wilnie pomieścić królowej, zamek po pożarze nie był wyrestaurowany, a nim przyjedziemy, stanie gotów.

— Dzięki Bogu! — odparł ręce składając. — Stanie się więc zadość prawom boskim i ludzkim, słusznym żądaniom rodziny i starego króla.

— Tak jest — potwierdził August — ja się tym równie cieszę jak król ojciec mój, bom tego pragnął.

Znalazłszy tak niespodziewanie powolnym młodego pana, biskup już tylko mógł winszować i błogosławić. Niemniej nagła w nim zmiana budziła ciekawość, bo zgoda na przyjęcie żony albo zwiastowała zerwanie z matką, lub z jej strony podstęp jakiś.

Tego się biskup obawiał i pragnął lepiej objaśnić.

— Tak więc — odezwał się — Wasza Królewska Mość potrafiłeś szczęśliwiej niż my, cośmy nad tym nadaremnie pracow-

li, przekonać królową matkę, iż dłużej się zwlekać nie godziło. Spojrzał na młodego króla, który oczy trzymał wlepione w posadzkę.

— Królowa Jejmość ma uprzedzenia, które niełatwo zwyciężyć — rzekł. — Inaczej się na to zapatruje, nie zgadza się dotąd, lecz będę musiał wbrew jej życzeniom postąpić. Sama ona, odpowiadając Herbersteinowi, wyraziła w liście, iż mam własną wolę, której użyć jest w mej mocy. W ten sposób całą odpowiedzialność zrzuciła na mnie. Musiałem to Jej Królewskiej Mości przypomnieć i do tego się odwołać.

Podniósł oczy na biskupa, który radośnie przyklasnął.

— Bardzo szczęśliwie! Bardzo słusznie postąpiłeś Wasza Królewska Mość. Biorąc do słowa odpowiedź królowej, całą winę by na Waszą Miłość składano.

— Królowej Elżbiecie oznajmiłem, że stąd razem jedziemy do Wilna — dodał August.

Maciejowski odetchnął. Rozmowa o przyszłym sejmie przeciągnęła się jeszcze czas jakiś, po czym odjechał Maciejowski.

Na chwilę pozostawszy sam, król podkomorzego dworu swego przywołać kazał.

— Włochowi, kawalkatorowi Testa, zechciejcie oznajmić — rzekł — iż usług jego na przyszłość potrzebować nie będę. Wyplacić mu polecić jego lenung¹⁷ i niech wraca, skąd przybył.

Nie tłumacząc się więcej, król na tym zakończył. Obrażonym się czuł przez Dżemnę naprzód tym wyjściem za mąż, potem płochym przyjęciem za towarzysza podróży Włocha. W ten sposób dawna kochanka królewska czyniła panu ujmę, okazując się leką i pospolitą dworką.

Dżemna powróciła na dwór Bony, jak widzieliśmy, która może jeszcze na jej chęci pomśczenia się i na piękności, i na miłym sercu syna coś budowała.

Przed przybyciem króla zjawił się też ścigający żonę Dudycz, która znać go nie chciała.

Musiał prosić o posłuchanie królowej Bony, aby się skarżyć przed nią i prosić o wydanie małżonki, ale zagniewana królowa wyłajała go, że się z żoną obchodzić nie umiał, że na jej względy nie zasłużył, że wcale godzien nie był takiej połowicy i pozbyła się go, nic nie obiecując.

Dżemma została przy fraucymerze, a dla męża była niedostępna.

Dudycz, nie wiedząc, co począć, gdzie się zwrócić, czekał na przyjazd Augusta, poszedł z prośbą do Merły, aby mu posłuchanie wyjednał i postanowił prosić pomocy jego.

Niełatwo było przy takim natłoku ludzi i zajęć o chwilę wolną. Król młody nie miał też ochoty wdawać się w tę sprawę, ale dozwolił Merłowi z rana, gdy się ubierał, wpuścić biednego Dudycza, który do ziemi się skłoniwszy, skargi wywodzić zaczął.

Żalił się na Testę; wtem król mu usta zamknął tym, że już odprawę dał i sługą jego nie był.

— Wstaw się Wasza Królewska Mość do najmiłościwszej matki swej — dodał Petrek — aby mi żonę oddała.

Król ramionami poruszył.

— Mogę to uczynić — rzekł — lecz z góry przewiduję, iż mojej prośby nie posłucha.

Piszczał i bolał srodze Dudycz, rachując straty ogromne, jakie już poniósł na niewdzięczną. Kazano mu przyjść dnia następnego.

Sam na sam z matką rzadko się teraz znajdował August i unikał tego, aby na próżne wymówki się nie narażać; ale szło mu o to, aby Dżemnę oddalić. Wstydził się jej teraz.

Na chwilę po obiedzie zszedłszy w jadalnej izbie na stronę, August przebaknęła, iż mu się skarżył Dudycz i o żonę domagał.

— Gotowi i o to mnie ludzie obwiniać — zakrzyknęła Bona — iż ja jej daję przytułek! Ale to dawna moja wychowanka i sługa. Schroniła się pod opiekę do mnie, bo męża ma gbura nieokrzesanego, który się z nią obchodzić nie umie. Nie trzymam jej, może jechać, kędy chce, ale wypędzić nie mam serca.

Spojrzała jakby z wymówką na syna, że on serca nie miał.

August szepnął o tym, iż z Wilna uszła z Testą i okazała się płochą.

— Testa — odparła Bona — towarzyszył jej razem i Biancel! On też litość miał nad opuszczoną przez wszystkich, boś i Wasza Królewska Mość w Wilnie ją nieludzko przyjął, choć mu dawniej była bardzo droga.

— W Wilnie na mnie tysiące oczu patrzyło — odparł August. — Nie mogłem tego uczynić, co chciała, bo wprost na zamek dobijała.

— Kocha cię — rzekła Bona ciszej — winy jej nie widzę.
Król zamilkł.

— Zdaje mi się — dodał, odchodząc od Bony — że najlepiej by uczyniła dziś, do męża powracając.

— A, powracać nie może — rozśmiała się Bona — bo nigdy z nim nie była.

Na tym się skończyło pośrednictwo króla. Zagadnięta Dżemma dumnie odparła, że Dudycz, prostego parobka, znać nie chce i żyć z nim nie myśli. O Tescie nie było mowy, który jako kawalerator dawny młodego króla szukał sobie miejsca na dworze u jednego z możnych panów i łatwo je mógł pozyskać.

Gdy potem Dudycz stawiał się do młodego króla, Merło mu w jego imieniu powiedział, że u królowej i u Dżemmy nic nie zyskał.

— Cóż ja mam robić? — lamentował Dudycz.

— Ba, na waszym miejscu — odparł Merło śmiejąc się — dałbym takiej jejmości za wygraną i znać bym jej nie chciał.

— To nie może być — zawołał Dudycz — śmiać się ze mnie będą ludzie!

— Oni się już i tak śmieją — rzekł Merło.

— No, to trzeba przekonać, że ja, kiedym co postanowił, umiem na swym postawić.

— Jak? — zapytał Merło.

Petrek miał, jak się okazało, plan już cały w głowie.

Królowej panny chodziły się kąpać do Bugu, towarzyszyła im pani Dudyczowa. Miejsce, w którym pod wierzbami i łożą szukały chłodku i wypoczywały, było od miasta i obozów oddalone. Uparty Petrek chciał urządzić tu zasadzkę, porwać żonę i uwięzić ją do domu. Przyznał się do tego Merle, który śmiał się a potakiwał.

— Jak sądzicie — spytał Dudycz — każe mnie stara królowa ścigać, będzie prześladować?

— Nie myślę — rzekł Merło — ma ona tu dosyć do czynienia, a Dżemma jej teraz nie tak potrzebna, aby miała zbytnio się o nią troszczyć. Jeżeli wy to potraficie, aby na razie wam jej

nie odebrano, nikt pewnie za nią gonić nie będzie, chyba Testa, a ten siły nie ma i ludzi nie zbierze.

W kilka dni potem wieczorem wieść się rozeszła, iż z frau-cymeru królowej starej piękną Włoszkę porwano i wpadła jak w wodę, poszedłszy do kąpieli. Ochmistrzyni i panny, które z nią były, szczególnie Biana, opowiadały, że widziały, gdy ją ludzie jacyś zbrojni pochwycili, usta jej zawiązali i do wozu zanieśli, który natychmiast w cwał puścił się ku gościńcowi.

A że i Dudycz zniknął, a Merło do zachowywania tajemnicy nie był obowiązany, wiedziano wkrótce, iż on własną swą żonę odebrał, czego mu tak bardzo za złe nie miano.

Testa też, który u Chodkiewiczów znalazł miejsce, nie mógł ani myślał gonić za nią. Królowa Bona skarżyła się o gwałt ten synowi, który najmocniej ręczył, że nie wiedział o niczym.

— Wasza Królewska Mość wydaliście ją za tego człowieka — rzekł — o czym ja wcale nie wiedziałem, nie można się dziwić, że o własność swą się upomniał.

Królowa Elżbieta wiedziała dobrze o Dzemmie i zawsze się jej obawiała, wielki więc ciężar spadł z jej piersi, gdy Hölzelinowna przyszła oznajmić, iż Włoszkę mąż porwał i wywiózł, dokąd, nie wiadomo.

— Byle królowa Bona winy tego wypadku na nas nie złożyła — odezwała się Elżbieta — bo co się kolwiek stanie, zawsze to na mój rachunek składają!

Odgadła dobrze młoda pani, gdyż w istocie puszczone ze dworu starej pani wieść, że posłowie i ludzie króla rzymskiego, z naprawy królowej Elżbiety podmówili do wykradzenia i dopomagali do niego.

Chociaż Włoszka nie wydawała się już niebezpieczną, cieszyli się wszyscy, iż się jej pozbyto, a August na opowiadanie o tym Merły, nie odparł ani słowa. Miłość jego dla niej dawno wygasła.

Im więcej zbliżał się oznaczony dzień zamknięcia sejmu i wyjazdu młodych królestwa na Litwę, tym Bona gorączką większą miotana zabiegała na wszelki sposób, aby jeżeli nie wzbronić odjazdu, przynajmniej go odroczyć.

Przyszło do tego, iż okazywała politowanie nad Elżbietą, któ-

ra na Litwie lekarzy miała być pozbawioną, gdy w Krakowie do wyboru ich było, a stan zdrowia pilnej wymagał pieczy.

Ale August miał dwu doktorów — Polaka i Włocha, którzy, choć może Strusiowi i astrologom, doktorom Bony sławą nie równali, zdaniem jego starczyli.

Wiedząc, jak dalece każde zbliżenie się czulsze do żony matkę rozdrażnia, król młody w czasie pobytu w Brześciu mało, krótko i z dala ją tylko widywał, co ona rozumiała dobrze i nie żaliła się na to. Żyła cała w tej błogiej przyszłości, jaką sobie obiecywała.

Na próżno też potajemnie zabiegała Bona, aby puszczenie rządów Litwy Augustowi choćby odroczyć. Dotąd powolny Zygmunt, usilnym naleganiom nie tylko Litwy, ale senatorów polskich uległ, znajdując słusznym, aby ten, co po nim miał objąć rządy całego kraju, uczył się na części jego trudnej sztuki rządzenia ludźmi.

Rzecz została postanowiona, ogłoszona i Bona ze swym obozem, który w Litwie miał mało sprzymierzeńców, poniosła wielką klęskę. Było to jakby zapowiedzią strat większych jeszcze.

Nade wszystko bolało ją to, że syn w ciągu pobytu w Brześciu nie tylko się nie starał odzyskać łask, poddać na nowo, przejednać, ale widocznie unikał wszelkich zręczności widywania sam na sam i z wielkim poszanowaniem, ale z większym jeszcze chłodem się z nią obchodził.

Pląkała tymi łzami gorzkimi gniewu, które boleści ulgi nie przynoszą, ale zatruwają jeszcze. Wszyscy, co się do niej zbliżali, znajdowali ją dzikszą, przykrzejszą, niedostępniejszą niż kiedykolwiek. Pozostawał jej oręż jeden tylko, niezmierne skarby nagromadzone w Krakowie i Chęcinach, które i teraz jeszcze powiększać umiała. Król stary, choć osłabły, żyć jeszcze obiecywał, a dopóki on był na tronie, czuła się panią. Na syna już nie rachowała wcale, lecz nie myślała mu ustąpić. Dzień zgonu Zygmunta miał być rozpoczęciem walki.

Jakim sposobem zjazd zwołany do Brześcia, ściągnawszy tu królów obu, zatrzymał ich w tej nadgranicznej miejscinie, na niewygodnym obozowisku aż do października?

O rozwiązanie tego pytania potrzeba było może spytać starą królową, która na pozór nie mieszając się do niczego, umiała, nie sama, ale przez swoich zabiegać tak zrećźnie, iż zawsze coś wyjazd z Brześcia hamowało.

Im pilniej było młodemu małżeństwu połączyć się z sobą, a Augustowi objąć na ostatek rządy Litwy, tym Bona, rachując jeszcze na rozdzielenie syna z żoną, na utrzymanie się przy swej władzy, zwlekała mądrzej ostateczne rozwiązanie.

Chlubila się ona tym, że na Litwie miała wielu przyjaciół i sprzymierzeńców; tymczasem ci, co za panowania Starego Zygmunta istotnie przez nią i Gamrata stanowiska tam wyjednywali i płacili za nie, czując, że Bona traci władzę nad synem, zwrócili się wszyscy ku niemu. Pomoc, na którą rachowała, zawiodła ją.

Z Augustem zaś, zamiast przejednania, stosunki tak się stały nieprzyjazne, iż już w Brześciu dwór młodego króla, który mu był oddany, z dworem Bony i Gamrata stanął na jawnie nieprzyjacielskiej stopie.

Gdziekolwiek Augustowi zetknęli się z Bony sługami, przychodziło do przymówek, odgrózek, i starsi tylko zapobiegali, aby do bójki nie dopuścić.

Młody król z dobrej woli nie przychodził do matki, widywał ją tylko przy ojcu lub publicznie, nie zapraszał się do niej, a ona też, okazując mu gniew, nie przywoływała go do siebie.

Rozjątrzona i gniewna dawała to czuć Elżbiecie równie jak Augustowi, i obojgu starała się szkodzić u ojca.

Co do pierwszej, jak dawniej tak i teraz, nie wiodło się królowej, co do drugiego Zygmunt, trochę zazdrośny, iż synowi miłości wiele okazywano, łatwiej potwarzom i posądzeniom ucha nakłaniał. Nie okazywał mu i teraz twarzy łaskawszej, burczał, żalił się i zawsze coś miał mu do wyrzucenia. Przez cały ten czas Bona trzymała Elżbietę przy sobie i Zygmuncie, tak że przystęp do niej mężowi był prawie niemożliwy. August przychodził żonę

pozdrowić na krótko, podszeptywał jej, aby miała cierpliwość, ona mu się uśmiechała biedna, w wejrzeniu jego czerpiąc do wytrwania siłę, i tak miesiące całe upływały na wyczekiwaniu.

Tymczasem Zygmunt, jeśli nie chorzał, to słabł i siły tracił widocznie, a ze zdrowiem moc ducha dawniejsza uchodziła. Aby pozyskać swobodę, często sam nie wiedząc, czego Bona się domagała od niego, przystawał na wszystko. Włoszka umiała wyzyskiwać to położenie.

Na ostatek, gdy po tych wysiłkach nadaremnych podróż Augusta na Litwę niezmiennie trwała na programie, a jesień nadchodząca groźną być zaczynała dla dróg i powietrza, trzeba było oznaczyć dzień wyjazdu.

Z jaką radością usłyszała o nim młoda królowa, August i Litwini, którzy oczekiwali na swego przyszłego wielkiego księcia, aby go prowadzić na stolicę Witołdową — opisać trudno. Bona zaciniała usta, a oczy jej mówiły: „I tam was moja dłoń dosięże!”

Na ostatek nadszedł ten dzień pożegnań uroczysty, z nabożeństwem w kościele, z pokłonami, z uściskami, ze łzami, i cały orszak młodemu królowi towarzyszący puścił się ochoczo ku Tykocinowi, Grodnu do Wilna.

Okazały był ten poczet najmożniejszych panów, najznakomitszych rodzin potomków, który Augusta otaczał. Z dumą spoglądać nań mogła młoda pani.

Radziwiłłowie, Chodkiewiczze, Pruńscy, Wirszyłłowie, Gastoldowie w tych strojach, jakie onego czasu w używaniu były po całym bożym świecie, każdy z dobraną i strojną też garstką ludu, z kolebkami, końmi powodnymi, paziami, giermkami, otaczali kolebkę szkarłatną młodej swej pani.

Pomiędzy tymi młodymi i poważnymi magnatami, niektóre postacie odznaczały się takim smakiem i elegancją, iż oczy porywały.

Starzy z brodami spływającymi na zbroje, młodzież w piórach na hełmach i złocistych napiersnikach, z tarczami barwnymi u siodeł, z Tatarami, których barki przyozdabiały kołczany złotem szyte, barwy służby jaskrawe, przepyszne konie, na gościńcu ciągnęły się milę drogi. Z kolei to jedna, to druga garstka zbliżała się do kolebki i straż około niej obejmowała.

August też nie mógł razem z żoną odbywać podróży w ko-

lebce, ale siadł na koń w towarzystwie Radziwiłłów i Chodkiewicza, towarzysząc jej u stopni.

Elżbieta z Hölzelinową zajmowały powóz na poły otwarty, tak że swobodnie wzrokiem mogła ścigać ukochanego małżonka. Na ostatek po tak długim utęsknieniu byli razem, byli sami i nic, i nikt nie mógł im przeszkodzić miłować się a być z sobą, wiecznie, wiecznie...

Z bijącym sercem myślała o tym tylko królowa i zdawało się jej, że w oczach męża czytała myśl tę samą, obietnicę stałej miłości.

A, straszne, długie przebyli próby miesiące, przeboleli przystęp do tego raj, który ich czekał!

Gdy teraz na myśl jej przychodził surowy, naigrawający się wzrok Bony, drżała jeszcze. Zdawał się ją ścigać, zdawała się te oczy nachmurzoną okryte powieką widzieć przed sobą.

Naówczas zwracała wejrzenie na Augusta, który jechał wesół, uśmiechnięty a tak piękny...

Trącała Kätchen i szeptała jej na ucho:

— Patrz, patrz. Nie widaćże w nim króla i pana? Nie jestże to najpiękniejszy z rycerzy i najszlachetniejszy z ludzi?!

A w duchu powtarzała: „Teraz nic, nic nas rozdzielić już nie może, nic, chyba śmierć! Nawet śmierć nie rozłączy, bo nasze trumny na wieczny spoczynek staną obok siebie...”

Widząc ją tak wzruszoną, Kätchen z trwogą wielką starała się ją uspokajać. Obawiała się ona tego wstrząśnięcia całą istotą rozkochanej długo, a teraz nagle szczęściem swym aż do szalu uniesionej wychowanki.

Jesień choć późna, jak gdyby niebo sprzyjało długo prześladowanym, zdobyła się na dni pogodne i piękne. Na drzewach trzymały się liście pofarbowane żywo barwami jesieni, w powietrzu ulatywały srebrne nici czarodziejskiej przędzy, słońce łagodnie świeciło na błękitie turkusowym. W powietrzu była woń liści zwiedłych i kłosów, nad drogą ostatnie kwiatki bladymi główkami witały królowę, która wszystkim się bawiła jak dziecko.

A choć kraj po drodze nie był wcale piękny, choć często długo żółte piaski z czarnymi jodłami i czarniejszymi jeszcze krzakami jałowców się ciągnęły, królowa wszystko znajdowała pięknym, zachwycającym.

Noclegi i popasy z powodu znacznej liczby ludzi i koni mu-

siały być tak wyznaczone, aby dla młodej pary przynajmniej para izb się znalazło na spoczynek. Reszta obozowała po chatach, szopach i pod bogatymi a zawczasu rozbitymi namiotami, w których nieraz może wygodniej było niż pod dachem. W obozie panowała wesołość, uczucie jakiegoś wyswobodzenia, które się na wszystkich odbijało twarzach, odbrzmiwało w każdym słowie.

Na kogo spojrzała młoda pani, uśmiechał się jej każdy, biegł rad usłużyć i przydać się na coś. Zdawali się wszyscy, panowie i słudzy, równie w niej rozkochani. Nie słychać było nic, tylko przechwały piękności, wdzięku i wyrazu dobroci rozlanego na jej twarzy.

Słońce zaszło jaskrawo za ciemne lasy, gdy cały orszak ten stanął wreszcie u starego dworu, który stanowniczowie¹⁸ przygotowywali dla króla i królowej.

Ówczesnym obyczajem na takie przyjęcie dosyć było ścian czterech, ław i stołów, reszta na wozach jechała. Rozścielano kołnierze, rozpinano opony, okrywano podłogę, stoły, drzwi nawet i okna, przynoszono sprzęt podróżny i w mgnieniu oka pustka się czarodziejsko przeistaczała w coś do pałacu podobnego. Zupełnie tak samo na zamku krakowskim, gdy w jednej z sal pustych królestwo mieli zasiąść z gośćmi, służba je wyporządkowała.

Na kominie płonął już ogień z suchych drewek olchowych, które tak ślicznym różnobarwnym, spokojnym płomykiem się paliły.

Izb dosyć było dla wszystkich i sypialnia już z załanym łóżem czekała na małżeństwo; a naprzeciw na stołach okrytych misy i dzbany pełne przynoszono, aby na wieczerzę nie czekali.

Wszystko się czarodziejsko składało, a najpiękniej to, że wzroku Bony nie lękała się spotkać nigdzie Elżbieta, że mogła śmiało podnieść oczy, patrzeć i mówić do męża, a on się też nie obawiał jej okazać miłości swojej.

Nigdy też Hölzelinowna od lat dziecięcych nie widziała swej ukochanej pani tak szczęśliwą, tak wesołą i tak szczęściem tym piękną, promieniejącą. Nie mogła się jej napatrzyć.

Tylko ten blask jej oczu niezwykły, to poruszenie wielkie trochę ją niepokoiły.

„A, Boże mój — myślała sobie — jeżeli przetrwała boleści tyle bezkarnie, czyżby szczęścia znieść nie mogła! Ono uzdrawia i życie daje!”

Przy stole królestwo oboje siedzieli razem i piła Litwa zdrowie młodych państwa, długich lat życząc, a wierność i miłość im poprzysięgając.

Nawet zwykle poważna i trochę smętna twarz Augusta nabrała wyrazu weselszego — odmłodziła.

Hölzelinowna stała ciągle za krzesłem pani swej, sama jej słuchając, jakaś obawa nie dozwalała się na krok oddalić.

Niekiedy, czując ją poza sobą, Elżbieta zwracała się z uśmiechem, nalewała jej wino, podawała potrawy, ale starej ani się pić, ani jeść nie chciało.

Po wieczerzy król z Litwinami wyszedł przed dwór, bo noc była gwiaździsta i piękna, a dokoła ludek się weselił, aż miło słuchać go było!

W duszy Augusta, jak w sercu Elżbiety, dziwny spokój jakiś i uczucie wyswobodzenia zalegało. Pierwszy raz był panem woli swej i panem nad krajem, nad którym daleko większą miał władzę niż ojciec w Polsce. Ojcowie jego i praojce królowali tej ziemi, to była jego ojczyzna. Czuł się tu w domu i było mu błogo.

Było mu błogo, myśląc o tej biednej żonie, od której go okrutna dłoń matki dzieliła tak długo. Obiecował sobie tej ofierze nieszczęśliwej nagrodzić wszystko, co ona wycierpiała dla niego. On najlepiej wiedział, czym być mogło to prześladowanie na każdym kroku, ta nienawiść nieprzełagana.

W sypialni Hölzelinowna sama, nie dając nikomu zbliżyć się do królowej, zdejmowała z niej suknie podróżne, które dość jej ciążyły, bo w kolebce na oczach ludzi strojną być musiała. Sama rozpuściła jej włosy, aby je ująć na noc w siatkę jedwabną; sama włożyła suknię białą do łoża przeznaczoną, zapaliła lampkę, opatrzyła, czy czego nie brakło i cofnęła się, ucałowawszy jej rękę, nie dalej jak do drzwi, które wiodły do izby dla kobiet przeznaczonej.

Z bijącym sercem, modląc się, stanęła tu na czatach.

Szpara we drzwiach i uchylona umyślnie zasłona dozwalały jej widzieć wszystko, co się w sypialni działo. A nie zdrożna ciekawość przykutą ją trzymała u progu — lękała się o biedne dziecko swoje. W mroku ujrzała, jak się ukazał król, który tylko lekką, futrem okładaną, długą suknię miał na sobie.

Elżbieta, której głowa spoczywała na poduszkach, podniosła się.

Wolnym krokiem August zbliżył się do łoża i ujrzał dwie białe ręce wyciągnięte ku sobie.

— Królu mój, panie mój! — szepnęły usta.

— Elzo ty moja! — odezwał się, pochylając ku niej, August — tak długo na tę chwilę szczęścia czekać nam było potrzeba... tak długo...

— A, wszystko zapomniane — szepnęła królowa — tyś mój, jam służebniczka twoja...

I widziała Hölzelinowna, jak August pochylił się ku Elżbiecie, aby pocałunek złożyć na jej ustach, jak ręce go objęły białe i krzyk rozpaczliwy wyrwał się z ust króla.

Ręce te, które objąć go chciały, nagle ostygły, wyprężyły się, stężały, opadły, oczy powlokły się mgłą, głowa na poduszki się zsunęła; Augustowi zdało się, że trupa już tylko trzymał w drżących dłoniach.

Okrzyk ten zaledwie posłyszawszy, wpadła Hölzelinowna przeżona. To, czego się obawiała, o czego odwrócenie się modliła, przyszło jak piorun zatruć pierwszą szczęścia godzinę.

Król stał przełękły, gdy piastunka, dając mu znaki, wcisnęła się do łoża i z wolna królowę układając, uklękła przed nim. August stał niemy i jakby obłąkany.

— Omdlenie — odezwała się cicho Kätchen. — Miłościwy Panie, trzeba ją tak zostawić, nie tykać, nie czynić nic, to przejdzie samo... A, to nic, to nic!

Ale mówiła na próżno, August jakby nie słyszał. Przychodziło mu na myśl, co opowiadała matka; uczucie to, że trupa trzymał na rękach, dreszczem strachu zabobonnego i wstrętu jakiegoś go przejęło.

Tak więc wszystko, los sam spikał się przeciwko niemu i w momencie tym, gdy miał być szczęśliwym, rozpocząć żywot błogi z kochającą go istotą, ręka zimna przeznaczenia stawiała między nim a nią.

Z oczyma wlepionymi w błądź trupiej zastygłą twarz żony August stał ruszyć się nie mogąc; stał jak przykuty i oczy mu paliły łzy, które z nich wytrysnąć nie mogły.

Przekleństwo matki... fatalizm jakiś... nieprześlągane przeznaczenie... Szczęście, jak rozbite naczynie wątle, leżało u nóg jego. Pozostawała istota biedna, niewinna, którą litość kochać kazała, a od której strach odpychał.

Hölzelinowna nachylona nad królową śledziła znamiona, po których o trwaniu paroksyzmu nauczyła się wnioskować. Tym razem musiał on być długim i długim snem po nim pokrzepić się musiała królowa.

Ułożywszy ją na wezgiłowiach, okrywwszy, piastunka ciągle stojącego w osłupieniu Augusta z lekka pociągnęła za suknię i poprowadziła z sobą ku drzwiom.

Uklękła przed nim ze złożonymi rękami.

— Miłościwy Królu — poczęła głosem, który łkanie przeszywało — Miłościwy Królu, Panie! A, nie trwoż się! Zbytek szczęścia spowodził omdlenie.. królowa tak was kocha, a tak długo była nieszczęśliwą i wycierpiała tyle! A, niech jej to serca waszego nie odbiera...

I chwyciła kraj sukni króla, całując ją a oblewając łzami. Podniosła oczy. August stał posępny, blady, przybity.

— To nie było omdlenie — odezwał się, z ciężkością zdobywając na słowo — to nie było omdlenie! To była, to jest ta nieszczęsna choroba, którą mi grożono.

Załamał ręce. Hölzelinowna umilkła spuszczać głowę.

— Jutro — rzekła cicho — ona o niczym wiedzieć, nic pamiętać nie będzie! Przysięgam wam, Najjaśniejszy Panie, przez cały rok niemal nie było nigdy podobnego wypadku. Zbytek wzruszenia...

August powiodł ręką po oczach i czole.

— Taka jest dola moja i jej — odezwał się sam do siebie. — Gdziekolwiek sięgnie dłoń moja, wszystko się w proch rozsypie. Nie doniosę do ust nic, czego by mi los nie zatruł. Serce ojca odjęła mi matka, serce matki odjęła mi żona, a żonę wyrywa mi ręka Boża!

Załamał ręce.

— Czym zawiniłem?

I nie odpowiadając ani patrząc na Hölzelinownę, August jakby senny wszedł do izby swojej, dopadł zaledwie krzesła i rzucił się na nie, głowę kryjąc w dłoniach.

U łóża Elżbiety klęczała Kätchen i płakała, we łzach się rozpływając. Patrzała na martwą twarzyczkę, na skostniałe, wyprężone ręce, na trupią postać dziecięcia.

Nierychło poczał paroksyzm odchodzić, poruszyły się palce u rąk i usta zdały znowu składać do uśmiechu. Westchnienie się z nich wyrwało lekkie. Ale oczy się nie otwały. Opanował znużoną i osłabłą sen głęboki, kamienny, który Hölzelinowna знаła dobrze. Miał on trwać do rana, a po nim następowało osłabienie straszne i długie.

O świcie już w obozie ruch się czuć dawał, lecz starego dworu podkomorzy z rozkazu króla najgłębsze zalecił milczenie. August obojętnie zapowiedział, że sam się czuje trochę niezdrów i może spocząć tu będzie musiał.

Dowiedziawszy się o tym, niespokojny nadbiegł podczaszy Radziwiłł. Wszystka tu Litwa, co otaczała króla, ludzie byli jeszcze starego kroju i obyczaju. Żaden z nich nie rozumiał ani choroby, ani znużenia. Padali na gołą ziemię dla spoczynku po kilkudniowych trudach, a wstawali z niej rzeźwi i zdrowi.

Chorzy szli do łaźni i pili stary miód. Radziwiłł też królowi nic innego radzić nie umiał nad łaźnię.

— Nie potrzeba mi nic oprócz spoczynku trochę — rzekł mu król, gdy go do izby wprowadzono. — Sądzę też, iż królowa spocznie trochę rada, bo wątpiła jest i dosyć się umęczyła w Brześciu.

Niektóre poczty już przodem wyruszyły o świcie, potrzeba więc było ślać za nimi, aby się do tej zmiany zastosowały.

Dzień już był, ale przysłonięte okna nie wpuszczały go do sypialni, gdy królowa się obudziła i ujrzała przy łóżku swym siedzącą Hölzelinownę.

Z wejrzenia jej poznała piastunka, iż sobie przypomnieć nie mogła, ani gdzie była, ani co się z nią stało. Z przestрахem oglądała się dokoła.

— Kätchen moja — szepnęła cicho — gdzie my jesteśmy? Co się stało ze mną? Śniłam, nieprawdaż, śniłam? A, to było rozkoszne marzenie. On przyszedł do mnie, czułam go przy sobie, pochylił się ku mnie, wtem mroki nocy osłoniły mi wszystko... ciemność pożarła szczęście moje... zasnęłam kołysana jakby na morzu czarnym, cała w całunach. I spałam.

— Uspokójże się, królowo moja — odparła Hölzelinowna. — Byłaś bardzo, bardzo znużona podróżą. Cóż dziwnego! Sen przyszedł nagle.

— A on? — spytała niespokojnie królowa.

— On kazał, aby cicho było i żeby cię nie budzono — rzekła piastunka.

— Widział mnie?

— Śpiącą, z daleka. Ja pilnowałam u drzwi.

— A — odezwała się Elżbieta ręce łamiąc — ten sen nie-
#zczęsny! Zawsze ten sen, co jak kamień spada na mnie.

Łzy poczęły płynąć z jej oczów.

Szmer rozmowy posłyszeć musiał król z komnaty sąsiedniej, wszedł na palcach.

Uczuła go i trwożliwie osłoniła się okryciem. August zbliżał się powoli z widoczną na twarzy obawą, układając ją do uśmiechu.

Królowa się zarumieniła, spojrzała na Kätchen, która umyślnie nie ustępowała. Nie zważając na nią, August podszedł z wolna aż do łóżka i rzekł łagodnie:

— Potrzebujecie spoczynku, kazałem się tu zatrzymać. Używajcie, proszę, wczasu, bo podróż jeszcze długą i nużącą mamy przed sobą.

To mówiąc, schylił się ku niej i zawahawszy nieco, w czoło ją pocałował.

Elżbieta podniosła się zarumieniona i szczęśliwa.

— Królu mój — zawołała — a, jak mi wstyd, jakim ja śpiochem jestem niegodziwym! Powinieneś mnie ukarać.

Ta wesołość, która trochę zdumiała Augusta, zdawała się go uspokajać. Usiadł na stojącym przy łóżku krześle.

— Sądzę — odezwał się — iż najlepiej będzie, gdy cały dzień tu przestojemy, a wy, królowo moja, pozostaniecie w łóżku i wypoczniecie lepiej. Nikt wam nie zakłóci spokoju, a ja się nie oddalę.

Elżbieta schwyciła, milcząc, rękę króla i chciwie całować ją zaczęła, ale poczuł na niej łzy ciepłe i drgnął biedny król.

Zwrócił się do piastunki:

— Proszę was, czuwajcie nad królową — rzekł — a gdy dla was przyjdzie obiadu czas, każcie tu nakryć i mnie przywołać. Nie chcę, aby się królowa ubierała do ludzi, a do mnie nie potrzebuje.

Wyszedł.

— Hölzelinowno moja! — zawołała, ręce drobne składając, królowa. — Słyszałaś? Nie jestże to anioł dobroci? Nie jestże to ze wszystkich ludzi najlepszy człowiek, ze wszystkich mężów najlepszy małżonek, a ja najszczęśliwszą z istot na ziemi?

Hölzelinowna zbliżała się żywo, lecz nim zdołała ująć główkę królowej, padła na poduszki oblana bladością trupią, zamknęły się oczy, otwarły usta, wyteżyły ręce. Elżbieta leżała nieprzytomna, a piastunka u łóża wiała się, łamiąc ręce z rozpacz.

Długi, długi przeciąg czasu upłynął, młody król z żoną siedział na zamku w Wilnie. Ludzie, co na pożycie małżeństwa patrzyli z dala, cieszyli się szczęściem jego.

Gdy młodziuchna, dziewiczo wyglądająca, blada, wątła, ale piękna jak biały kwiatek wykwitły w cieniu, królowa ze spuszczonej oczyma, w towarzystwie swej ochmistrzyni przychodziła do zamkowego kościoła, do kaplicy grobu świętego Kazimierza, zwracały się ku niej wszystkich wejrzenia, odkrywały głowy i ciągnęły serca za sobą.

Nie pominęła żadnego ubogiego bez jałmużny, uśmiechnęła się najbiedniejszemu, dzieci biegły do niej ośmielone z wyciągniętymi rączkami.

Ci, co bliżej dworu stali, co ją częściej widywali, nie mogli się dosyć nachwalić łagodności i dobroci. Nazywali ją jedni lilią białą, drudzy aniołem i nie było człowieka, co by nie wielbił tej królowej.

Duchowni sławili pobożność jej, dwór łaskawość, młodzież unosiła się nad pięknością, poeci porównywali do Heleny greckiej i opiewali ją wierszem łacińskim.

Król zdawał się troskliwie czuwać około skarbu swego.

Ale ani na twarzy jego, ani na obliczu postarzałym piastunki nie widać było tego wesela i błogiego uczucia szczęścia, jakiego ludzie się tu domyślali.

August chodził poważny nad wiek, zadumany, smutny, jakby mu życie i rządy, z których się wszyscy cieszyli, ciążyły.

Czasami nagle, wśród tego spokojnego, jednostajnego trybu życia, zachmurzały się czoła, królowa się nie pokazywała. Nie widać jej było idącej do kościoła ani na przechadzce w ogrodzie, który pod zamkiem nad rzeką król założył i gdzie Elżbieta karmić była zwykła białe łabędzie swoje.

Naówczas, gdy się niespokojnie pytano Hölzelinownej o zdrowie pani, przeczyła, żeby była chorą, mówiła, że spoczywa znużona trochę.

I po jakimś czasie ukazywała się znowu na drożynie wiodącej do kościoła z tym samym uśmiechem dziewiczym i pogodą na twarzyczce bladej.

Do Krakowa kto przybywał z Litwy, a pytał go stary król, jak się tam syn rządzi, wszyscy mu odpowiadali, wynosząc go pod niebiosa, a Bona usta zakąsywała ironicznie. A stary, nasłuchawszy się pochwał, mruczał jak zwykle.

— Zastawcież też co do naganienia.

Gdy o młodej królowej mówiono, odwracała się Bona, słuchać nie chcąc, zburzona, a choć z Wilna o zdrowiu jej przychodziły wieści uspokajające, ona zawsze wiedziała o jakiejś chorobie i staremu mężowi nie przestawała wyrzucać, że synowi dał żonę, która mu życie zatruje i wstrętnym uczyni.

— Chorobę ma — powtarzała — z której ją nikt nie uleczy.

— Baśnie to są — zaprzeczał Zygmunt i milczeć nakazywał żonie.

Wtem naraz przyszły do Krakowa zatrważające wieści, potwierdzały je i listy Dantyszka, wielkiego wielbiciela Elżbiety¹⁹. Królowa ciężko, niebezpiecznie zapadła.

Skarżył się na to sam August, posłano po lekarzy do Krakowa.

To, co dotąd tajemnicą było, stało się przez nich jawnym — królowa miała straszną tę chorobę, którą wielką²⁰ zwano, a na nią doktorowie lekarstwa nie znali żadnego.

Przez czas jakiś zwątpiono o życiu. August chodził pogrążony w smutku wielkim. Gdy już wszelka prawie nadzieja stracona została, Elżbieta cudem podniosła się z łoża i powróciła do życia.

A gdy do niej przyszedł mąż potem, chwyciwszy rękę jego, patrząc mu w oczy z miłością wielką, szepnęła mu:

— Wyprosiłam u Boga, aby mi jeszcze z wami, królu mój, pozostać pozwolił.

Stańmy Augustowi w oczach łązy i wyszedłszy od żony, gdy spotkał Strusia, który z Krakowa był sprowadzony, wziął go do swej komnaty.

— Proszę was — rzekł — uczynicie, co jeno w ludzkiej mocy jest, abyśmy się żywotem i zdrowiem ukochanej małżonki cieszyć mogli. Nie ma ofiary, której byśmy dla tego nie byli uczynić gotowi.

— Miłościwy Panie — odparł lekarz, który pochlebiać ani kłamać nie umiał — co w ludzkiej mocy jest, nie na wiele się przyda. Myśmy z nauką naszą ślepi, a Bóg jeden wszechmocny.

Westchnął stary i zamilkł.

— Hipokrates, ojciec nasz ²¹ — począł po chwili — całą księgę o chorobie tej napisał a tyle z niej wiemy, żeśmy przeciw niej bezsilni.

— Mówią — odparł król — iż angielscy monarchowie moc mają od Boga przy namaszczeniu daną, leczenia chorób takich do-
tknięciem lub przesłaniem pierścienia, o który postarać się będziemy musieli.

Struś spuścił oczy.

— Wszystkiego próbować należy — rzekł chłodno — choćby i pierścienia. Moc tajemniczej rzeczy nie znamy, ale jeżeli choro-
ba dziedziczną jest, trudno ją zmóc.

August odparł:

— O chorobie w rodzinie nie słyszałem, a w Pradze się nie przyznają do tego. Astrologów by pytać potrzeba. Królowa dzięki staraniom waszym ma się znacznie lepiej, co dzień życie i siły wracają, mam otuchę, iż napady te nie powrócą.

— Miłościwy Panie — rzekł Struś — jako kwiatu delikatnego strzec potrzeba wątłej pani od wszelkiego powiewu gwałtowniejszego, czy on z południa, czy z północy przychodzi. Zarówno wielka radość, jak smutek wielki szkodliwe jej są, nad tym czu-
wać należy.

Zygmunt August wiedział o tym bardzo dobrze, czuwano nad królową, osłaniając ją zewsząd.

Lecz Bona też przez swoich lekarzy wiedziała to samo, a nie-
nawidziła kobietę, która jej serce syna wydarła.

Z piekielnym wyrachowaniem Włoszka dobijała swoją ofiarę. Trucizny, o którą ją pomawiano, dawać jej nie potrzebowała, do-
syć było, aby zręczna ręka podrzuciła paszkwil Elżbiecie, aby jej do uszu dopuszczono wieść, która nią wstrząsnąć mogła.

Ani król, ani Hölzelinowna zapobiec nie mogli, by w ogrodzie na ulicze, w zamku na ścianie, nawet w książce pobożnej kró-
lowej, na klamry złote zamkniętej, nie znalazł się świstek, po którego przeczytaniu Elżbieta bladła i padała jak nieżywa.

Po każdym takim paroksyzmie wstawiała słabsza, a sama oba-
wa nowej napaści życie jej czyniła nieznosnym.

Nieprzyjaciółkę oddaloną, nieubłaganą czuła i widziała nie-
ustannie, krok w krok idącą za sobą, stojącą w nocy u łoża, we
dnie za siedzeniem.

Jej siepacze skryci, niewyśledzeni, tak umieli się osłonić, tak kłamali wierność, iż ich pochwycić nie było podobna. Sprawę tylko rąk tych niegodziwych każdy niemal dzień przynosił.

Mnóstwo papierów niszczyła Hölzelinowna, król naznaczył znaczną nagrodę na wykrycie sprawców tego katowskiego prześladowania — nie pomagało nic. Śladu odkryć nikt nie umiał.

Ostatnia najcięższa słabość spowodowaną była paskwiluszem niemieckim, który Elżbieta w ławce swej zamczystej znalazła w kościele.

Podłe piśmidło urągało się jej i przepowiadało śmierć rychłą, obrachowane było, aby dobiło. Wyniesiono Elżbietę zdrętwiałą z kościoła, długi czas była na skraju grobu i cudem potem powstała jeszcze. Odżyła, jakby zapomniała, co wycierpiała.

Wtem nadeszła wieść z Krakowa radośna, że posłowie króla rzymskiego przybyć tam mieli, wioząc znaczną część posagu w złocie i srebrze. Wzywano Elżbietę i Augusta na odebranie i pokwitowanie. Zygmunt Stary zapraszał oboje do siebie, rad pragnął widzieć uzdrowioną synowę.

August przyszedł żonie odczytać listy. Zarumieniła się i pobladła. Stała zadumana i stroskana i długo musiał czekać na odpowiedź.

— A, królu mój, panie mój — rzekła głosem drżącym — jam służebniczka twoja, jam na rozkazy gotowa w ogień i wodę, ale czy ja tam potrzebna jestem w Krakowie? Ojciec mi rad może być, ale drudzy? Widok mój gniew rozżarzy, podrażni. Jedźcie sami. Zapłakała, otarła łzy i mówiła dalej:

— A, rozstać się z wami, królu mój, panie mój, tak mi ciężko będzie, jak z życiem. Wolałabym u twego boku dotrwać do końca, a taka trwoga mnie ogarnia, gdy z oczów stracę słońce moje. Powiedzcie: trzebaż, bym jechała do Krakowa?

— Poradźmy się lekarzy — odparł August. — Wolałbym was mieć z sobą, a wiem, ile to kosztować będzie. A, i mnie też, królowo moja. Ani ja, ani wy nie wyrokujcie, niech dekret wydadzą doktorowie.

Spytano ich dnia tegoż, ale wszyscy zgodni byli, aby królowa w Wilnie pozostała. Starcia z królową Boną w Krakowie były nieuchronne, a dla Elżbiety groźne.

Gdy ręce nieublaganej nieprzyjaciółki sięgały aż tu nad Wilię, jakże daleko silniej musiały się dać czuć tam, gdzie ona wszystkim władała!

Królowa musiała więc pozostać.

Lecz, gdy przyszła chwila pożegnania z mężem, rozplynęła się w łzy, straciła odwagę i Hölzelinowna ledwie potrafiła zapobiec nowemu napadowi choroby.

August na próżno ją upewniał, że wróci rychło, że chwili nie zabawi nad konieczny czas do odebrania pieniędzy i pokwitowania.

Stosunki z matką były z powodu tych prześladowań Elżbiety tak naprężone, iż król młody postanowił zawczasu nie stać nawet na zamku, zamówić kazał dla siebie kamienicę w Rynku, a cały dwór jego, urzędnicy, komornicy dali sobie słowo ani znać, ani widzieć, ani mówić, ani jeść i pić razem z ludźmi Bony i Gamrata.

Przy pożegnaniu słów zabrakło, łzy je zastąpiły.

Dopiero, gdy August na koń siadł, a królowa odjeżdżającego krzyżem z relikwiami żegnała, odezwała się do Hölzelinownej:

— Kätchen, coś mi mówi w serca głębi, jakby głos słyszę jakiś, ja go więcej nie zobaczę.

Nie dała jej mówić piastunka, używając tego środka co zwykle, gdy się obawiała bardzo, naówczas groźnie i surowo powstawała i Elżbietę zmuszała do milczenia.

Poczęła jej czynić wymówki, iż była Bogu niewdzięczna, który ją z choroby ciężkiej podźwignął do życia, że teraz miała się lepiej niż kiedykolwiek, a przywidzeniami sobie truła życie i zdrowie niszczyła.

Elżbieta zamilknąć musiała.

Z podróży listy od męża przychodziły często.

Jechał młody król niespokojny, wiedząc, co go w Krakowie czekało, bo otwartą wojnę z matką prowadzić musiał, a usposobienie Bony odbijało się w królu Zygmuncie, we wszystkich, co dwór składali, w całej niemal ludzkości tej, o którą się ocierać było potrzeba.

Nie było dla nikogo z dworzan Augusta tajemnicą położenie to i jego wymagania. Młody król umiał taką miłością ku sobie natchnąć tych, co go otaczali, iż nie było jednego, który by z zapalem nie gotował się do walki.

Owe paskwilusze podle przeciwko Augustowi, przeciw nie-

winnej królowej, rozpuszczone wieści, potwarcze plotki i zmyślane baśnie do szału doprowadzały dwór, w którym domyślano się zdrajców.

Chodziło im o cześć wiernych sług. August też jechał z mocnym postanowieniem dać uczuć matce, iż jej prześladowanie przypisywał i że jej brał do serca.

Jakby naumyślnie przygotowano się na przyjęcie uroczyste młodego króla w Krakowie. Dnie były ciepłe, stary król kazał się zanieść do kościoła, wyszła Bona z córkami, a choć Gamrat uciekł z Krakowa, znalazło się duchowieństwo na powitanie przyszłego pana.

Zygmunt August musiał się poddać temu ceremoniałowi i wobec świata okazać się jako syn uległy i miłujący rodziców.

Bona, w kościele nawet i wobec Boga, nie przybrała oblicza kłamanego — zaszępona, z zagryzionymi wargami, dumna przyjechała syna.

Dwa dwory stały naprzeciw tak groźnie, milcząco, jak gdyby wnet rzucić się miały na siebie.

Wedle rozporządzenia młodego pana miał on zająć mieszkanie w Rynku, dom dla niego stał gotowy, ale Zygmunt ojciec nie pozwolił na to. Bona chciała go mieć na zamku.

August ojcu poddać się musiał. Tym straszniejsze było to zbliżenie się w obawie starcia jawnie nieprzyjaźnych dwóch dworów.

Zaraz pierwszego dnia u wspólnego marszałkowskiego stołu, gdy przezdrowie ²² pić poczęto, wstawali jedni, drudzy wino wylewali.

Młody król jednak zaraz surowo zakazał, aby z jego otoczenia nikt pierwszy nie dał powodu do zajścia. Bona też i ludzie jej ostrożni byli. Obchodzono się wzajem milcząc, oczyma sobie urągając i wyzywając.

Sam na sam z matką August się nie zszedł ani razu, ona też nie wyzywała do tego. Król stary badał o synową pilno, mówił mu, że się ma lepiej i że do nóg jego kłaniała się i pozdrowiała.

Nie chciał długo tu pozostać August i natychmiast liczenie, ważenie, a pisanie poręczeń i kwitów się poczęło. Lecz znalazły się formalności, papierów brak było, jakby naumyślnie zwlekało się ukończenie i wyjazd z powrotem na Litwę.

Król od Elżbiety w początku listy niemal co dni parę odbie-

rał. Pisała ona, donosili urzędnicy o zdrowiu królowej i nie było żadnych zatrważających wieści.

Z szatańską zjadłością co dzień Bona, przy starym królu łagodząc głos, zapytywała syna:

— Jak się ma królowa jejmość? Mieliście wiadomości?

W głosie jej było szyderstwo i jakby zapowiedź nieszczęścia, oczekiwanie jego.

August w końcu znużony odpowiadał matce tylko mrużeniem niewyraźnym, a Zygmunt Stary podnosił oczy znużone ku Bonie, ale wymówek jej czynić nie śmiał, bo można było wyrzucać jej tę troskliwość o zdrowie synowej?

Pobyty Zygmunta Augusta już się zbliżał ku końcowi, mówiono o wyjeździe, gdy nagle listy i posły z Wilna przybywać przestały. Nie uderzało to w początku, nie obudzało niepokoju, lecz po kilku dniach milczenia, młody król trwożyć się począł.

Matka zawsze prześladowała go pytaniem tym szyderskim, na które teraz wiedziała dobrze, iż nie otrzyma odpowiedzi, bo ona również miała swe sługi na Litwie.

Zygmunt Stary niespokojnym się okazał i posyłać już chciał do Wilna.

Lecz około dwunastu dni naówczas potrzeba było, aby mieć odpowiedź, a listy co chwila były spodziewane.

Wśród dworu młodego króla niepokój coraz większy przerodził się w posądzania Bony, że ona przejmowała listy. Niektórzy wyrywali się jechać, aby przywieźć wiadomość.

August milczał, usiłując zapanować nad niepokojem, jaki go ogarniał.

Dnia jednego, gdy Bona, stojąc przy Zygmuncie, rzuciła znowu owo urągające pytanie synowi, August zamruczał zniecierpliwiony:

— Wasza Królewska Mość wiesz jak ja, że wiadomości z Litwy nie mamy.

— Nie było mi to wiadomym — odparła Bona zimno.

Późnym wieczorem August siedział w swych izbach w niewielkim kółku urzędników i starych znajomych, gdy w progu ukazał się, teraz unikający młodego pana, Opaliński i z miną tajemniczą oznajmił mu, iż matka do siebie go prosiła.

W tym zaproszeniu było coś tak nadzwyczajnego, groźnego,

niezrozumiałego, iż w pierwszej chwili August się zawahał, czy ma być posłusznym.

Ale Bona w oczach ludzi była zawsze jego matką, należało jej poszanowanie.

Nie mówiąc nic, wstał i udał się za Opalińskim, który dość długo idąc przy królu, nie odezwał się ni słowa, a August, czując w nim nieprzyjaciela, w rozmowę wdawać się nie chciał.

W progu komnat starej królowej znikł Opaliński.

Bona nie siedziała, jak zwykle, na swym krześle, na kształt tronu wysłanym i podwyższonym. Stała z podniesioną głową, a twarz jej i wejrzenie takim dziwnym jaśniały blaskiem, że Augusta dreszcz przeszedł.

Brwi namarszczone starały się na próżno oblicze to posepnym uczynić — usta ironiczny uśmiech wykrzywiały. Tak śmiać się mógł tylko kat, patrząc na ofiarę swą w pętach u nóg leżącą.

August zbliżył się. Bona, jakby dla przedłużenia chwili niepewności i trwogi, milczała; podobną była do zbira, który waży, jak najgłębiej sztylet zatopić w piersiach skazanego.

— Wasza Królewska Mość kazaliście mi się stawić — wyjąkał syn.

— Tak, chciałam osłodzić Waszej Królewskiej Mości bolesną wiadomość, która z ust matki nie wyda się może tak srogą, bo usta te zawczasu ją przepowiadały. Królowa Elżbieta, żona Waszej Królewskiej Mości, nie żyje.

August stał jak wryty, bladeść śmiertelna okryła twarz jego, wyrazów mu zabrakło w ustach.

Było to nowe okrucieństwo, osłonięte szyderstwem bezlitosnym.

Długiego czasu potrzebował młody król, nim potrafił odpowiedzieć:

— Srodze dotknęła mnie ręka Boża!

Bona zbliżyła się, chcąc, z chwili korzystając, zawiązać rozmowę i rachując na złamane serce syna, ale August nie chciał dopuścić, aby się napawała jego rozpaczą, a swoim zwycięstwem.

Sklonił głowę.

— Wasza Królewska Mość — rzekł — skróciłaś jej życie...

Poruszył się żywo i usłyszawszy tylko krzyk za sobą, nieprzytomny pobiegł do swoich.

Lecz już w kurytarzach otoczyli go dworzanie — goniec z Litwy nadjechał. Jeden z nich padł królowi do nóg płacząc i ściskając je zawołał:

— Królowa! Królowa nasza...

— Módlmy się za jej duszę — odparł mężnie Zygmunt August — albo raczej prosimy, aby się ona do Boga za nami wstawiła. Męczennicą umarła.

Właśnie w czasie, gdy Zygmunt August był w Krakowie, na ulicach miasta zaczęto widywać człowieka milczącego, w odartej i wyszarzałej opończy, który, do nikogo nie mówiąc, przesuwiał się powoli pod domostwy, zachodził do kościołów, stawał na Rynku, błąkał się, jakby nie wiedział, co ma począć z sobą.

Niektórzy, przypatrując mu się, znajome jakieś, dawniej widywane rysy sobie przypominali.

On nie znał i nie poznawał nikogo.

Raz jeden z dworzan królowej Bony, blisko się o niego otarłszy i zajrawszy w oczy, pochwycił za rękę i zawołał: „Dudycz!” — ale nieznajomy wyrwał mu się i mówić z nim nie chciał.

Drudzy potem, śledząc, poznawali w nim także zbiedzonego wielce i na pół obłąkanego Petrka. O nim i o żonie od dawna nikt nic nie słyszał.

Gdy dworzanie oznajmili o nim królowej, kazała go przyprowadzić na zamek do siebie.

— Co się z twoją żoną stało? — spytała Bona.

— Jam temu nic nie winien! — zamruczał Dudycz.

— Gdzież ona jest?

— Pewnie w piekle! — odparł Dudycz.

— Nie żyje?

— Nosiła zawsze sztylet u pasa, jam nic nie winien — rzekł Dudycz.

I więcej od niego trudno się dopytać było.

Sąsiedzi Petrka powiadali, że ją pochowano ze sztyletem w piersi i ręką na nim skostniałą. Życ nie chciała.

Drezno 1883—1884.

KONIEC

Powieść *Dwie królowe* powstała z końcem 1883 r., w najtragiczniejszym okresie życia Kraszewskiego. Obok dolegliwości wieku starczego, które wówczas były już „jednym pasmem cierpień fizycznych”, pisarz przeżył w berlińskim Moabicie trzy miesiące wyczerpującego śledztwa i goryczy z tym faktem związanej. Kraszewskiemu zarzucano przekazywanie rządowi francuskiemu wiadomości, stanowiących tajemnicę wojskową państwa pruskiego. Zwolniony za kaucją, wrócił w sierpniu 1883 roku do Drezna i tu, pełen udręki w obliczu zbliżającego się terminu procesu, gorączkowo porządkował swoje sprawy literackie i osobiste, wykańczał utwory objęte umowami wydawniczymi, spieniężał cenny zbiór sztychów i książek, gromadząc pieniądze na koszty obrony. W tym właśnie czasie powstały *Dwie królowe*, a oprócz nich *Infantka*, *Banita*, *Bajbuza* i autobiograficzne *Noce bezsenne*.

Na czasy panowania ostatnich Jagiellonów najczęściej zwracały się oczy historyków i pisarzy pierwszej połowy XIX w. Jednych i drugich pociągało wspomnienie świetnej przeszłości historycznej i ciekawe spłoty konfliktów.

Zacząło się jednak od utworów literackich. Zanim epoka została dokładnie przebadana przez historyków, ukazały się dwa dramaty (w 1817 Felińskiego, w 1822 Fr. Wężyka) osnute wokół faktu najbardziej dla pisarza wdzięcznego, a mianowicie małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłówną. Pisarzy najbardziej zainteresował tu, zgodnie z ówczesną modą literacką, konflikt między obowiązkami serca a obowiązkami stanu, które przeżywał Zygmunt, a Barbara wyrosła na heroinę wzniosłego romansu i ofiarę nienawiści starej królowej.

Materiały źródłowe o epoce: dokumenty, listy wygrzebane z archiwum zachynają się ukazywać drukiem dopiero po 1820 r. Zebrali je i wydali: J. U. Niemcewicz, znany autor popularnych *Śpiewów historycznych*, Ossoliński, fundator instytucji kulturalnej do dzisiaj istniejącej, i historycy o mniej znanych dla szerszego ogółu czytelników nazwiskach: Ambroży Grabowski, Michał Baliński, Wł. K. Wójcicki. Ale fundamentalny zbiór materiałów, tzw. *Tomiciana* (od nazwiska najwybitniejszego podkanclerzego epoki), ukazał się dopiero w 1852 r. staraniem i nakładem Tytusa Działyńskiego.

Kraszewski interesował się epoką zygmuntofską od wczesnego okresu swej twórczości. W 1840 powstał *Pan Twardowski*, w 1841 *Stańczykowa kronika*, w 1845 *Zacy krakowscy*, w 1846 *Zygmuntofskie czasy*. Jego spojrzenie na epokę było bardzo odmienne od tradycyjnego spojrzenia historyka i takiegoż ujęcia literackiego.

W tradycjach historycznych XIX stulecia epoka zygmuntofska przechowywała się jako prawdziwy „złoty wiek”. Chętniej pamiętano, że w układzie europejskich stosunków XVI wieku Polska odgrywała ważną rolę, że

wiek XVI był okresem ogromnego wzrostu bogactwa szlachty, wzrostu bogactwa i znaczenia miast, a mniej patrzono na dokumenty pokazujące, że podstawy polityczne Polski zaczęły się poważnie zarysowywać właśnie w tym „złotym wieku”, a zamożność kraju szła w parze z rosnącym uciskiem społecznym i gospodarczym chłopów. Bardziej krzepiący był obraz świetności dworu ostatnich Jagiellonów aniżeli rozprawy polityczne Frycza Modrzewskiego, sumienia tej epoki.

Kraszewski, jak zwykle, nie uległ ślepo tradycji. Epokę zygmunowską badał i studiował na własną rękę. Interesowała go ona głównie od strony przekazów anegdotycznych i ówczesnych własnych zainteresowań folklorystycznych. W *Stańczykowej kronice* wskrzesił postać legendarnego trefniśia i jego uczynił tytułowym bohaterem, w *Panu Twardowskim* „polskiego czarnoksiężnika, opierając się na podaniach gminnych”, w *Zygmuntowskich czasach* świat żaków, klechów, klanów żebraczych. W tej ostatniej powieści Zygmunt August pokazany został właśnie w okresie schyłku swego życia, a nie świetności rządów, gdy otoczony zgrają dworaków i kochanek, dogorywał w Knyszynie. *Zygmuntowskie czasy* już współcześnie były krytykowane za jednostronne, a przez to fałszywe, ukazanie postaci ostatniego Jagiellona. Mimo tych głosów wszyscy zdawali sobie ówczesnie sprawę, że wielkim osiągnięciem Kraszewskiego było wyjście z kręgu tematyki tradycyjnej, która ogniskowała się wyłącznie wokół sprawy Barbary Radziwiłłówny, i sięgnięcie do autentycznych materiałów epoki.

Po kilkudziesięciu latach Kraszewski znowu wrócił do tych spraw, kreśląc je już inaczej i bardzo ciekawie. I tym razem nie poszedł drogą tradycji literackiej w wyborze głównego konfliktu powieści. Zamiast pokazywać starcie między dwiema królowymi: Boną i Barbarą, wydobyl z zapomnienia uroczą i nieszczęśliwą Elżbietę Rakuską* i zrobił z niej, obok Bony, tytułową bohaterkę powieści. Inaczej też, aniżeli to było w okresie młodości, ujął Kraszewski materiał historyczny. Nie interesował go już więcej folklor i nie ograniczał rysów ciekawych postaci ostatnich Jagiellonów do skrótowych obrazków, ale wskrzesił życie dworu królewskiego w jego pełnej renesansowej bujności.

Historia małżeństwa Zygmunta z Elżbietą była jednym z głośniejszych w tym okresie skandali dworskich. Małżeństwo to, zawarte ze względów politycznych, było bardziej korzystne dla strony habsburskiej. Dlatego też jego zły początek, a prawdopodobnie nawet sytuacja *matrimonium non consumatum** była dla strony habsburskiej nie tylko zniewagą, ale i poważnym problemem politycznym. Dwór habsburski przystąpił do działania. Przybyli pełnomocnicy Habsburga, popłynęli do Wiednia raporty, a w ślad za tym ożywiono oficjalną korespondencję dyplomatyczną, w której nie brak szczegółów zupełnie intymnej natury.

Kraszewski nie był pierwszym, który do tych materiałów dotarł. Przepisane dla zbiorów książąt Jabłonowskich, były znane już przedtem. Wyko-

Rakuzy — dawna nazwa Austrii

Matrimonium non consumatum — małżeństwo nie dokonane

zrzątał je w obszernej, wielotomowej pracy o Jagiellonach Aleksander Przeździecki, ona stała się z kolei głównym zrębem powieści *Dwie królowe*.

Z porównania tekstów wynikają zresztą wnioski bardzo ciekawe. Rzadko która korespondencja tak obfituje w elementy anegdoty jak właśnie ta. W kreśleniu głównej fabuły Kraszewski idzie po prostu tropem listów i raportów. Wierne w szczegółach są nie tylko opisy dworskich uroczystości, ale całe historyczne otocze pobytu Elżbiety w Polsce. Historyczna jest postać Jana Marsupina i jego zażarta walka z Boną w obronie stanowiska młodej królowej. Zgodne z faktami są opisy kolejnych posłuchań, forteli i okazywanej mu wrogości. Rzeczywiście poseł wielkiego Habsburga spał w stajni na mokrej słomie, nabawił się febry, przebywał w zapowietrzonym Krakowie, trwał na posterunku aż do przyjazdu Decjusza. Kraszewski miał tyle autentycznego materiału, że nawet dialogi buduje z treści listów. Weźmy dla przykładu fragment rozmowy Marsupina z Boną.

Tak wygląda autentyczny list Marsupina:

„Zapytałem ją (Bonę) o następujące rzeczy:

Dlaczego młody król nigdy z małżonką nie jada? Dlaczego nigdy nie odwiedza jej we dnie ani daje jakiej oznaki miłości dla niej. Dlaczego Jej K. M. nie nakazuje mu tego, gdy wiadomo jest, że król to tylko robi, co mu ona rozkaże. Przypuśćmy nawet, że ma przyjacielskie stosunki z innymi kobietami, niechby przynajmniej małżonce powinność oddawał. Nie jest to uczciwe i przyzwoite obchodzenie się z córką króla rzymskiego a synowicą cesarską. Cesarz J. M. nie znieśie podobnej zniewagi. Takim sposobem szuka się kłótni w miejsce przyjaźni. Wielkie szkody wynikają z takiej niezgody dla samej królowej Jej M. z powodu podejrzeń, jakie wygłaszają publicznie po Niemczech, Czechach i Polsce, a wyśpiewują wierszami w tutejszym mieście (...) Jej K. M. napadła na mnie w najgwałtowniejszych i najobelżywszych wyrazach sądząc, że mnie przestraszy, że nie będę śmiał ani jednego słowa przemówić (...), a przeciwnie, odpowiedziałem z największym uszanowaniem; zniweczyłem wszystkie jej argumenta i gryzącyymi, a palącymi wyrazami uczciwie ukłękłem królową Jej M., która powiedziała mi nareszcie, że jestem szpiegiem, przysłanym tu przez króla rzymskiego dla wzniecenia rokoszów. Na to odpowiedziałem, że gdyby Jej K. M. sprawowała się tak, jak na dobrą królową przystoi, nie potrzebowałby król J. M., pan mój, przysłać mnie tu (...). Na koniec, po wielu słowach i długiej sprzeczce, Bona, widząc moją górę (...) rozplakała się biorąc Boga na świadka, że robią z niej niewolnicę i sługę tej pani (tzn. Elżbiety)... itd.”

A tak wygląda rozmowa w powieści:

„— A cóż to do mnie należy? — odparła Bona. — Ma swoją wolę.

— Wiadomo przecież — dodałem — że jest synem posłusznym. Dlaczegoż Wasza Królewska Mość, która masz nad nim władzę, nie nakazesz mu, aby nie zaniebdywał żony? Jeżeli od dawnych miłostek od razu się uwolnić nie może, niechby przez to nie cierpiała żona. Taka wzgarda dla córki pana mojego, dla synowicy cesarskiej, jest dla obu obrażającą. Cesarz nie znie-

sie zniewagi takiej. Rzecz jest publiczności wiadoma, opowiadają o niej w Niemczech, Czechach, po całej Polsce, a tu w Krakowie piosenki o tym składają. Przybyłem w tej sprawie; zamiast załatwienia jej, Wasza Królewska Mość jawnie starała się mnie stąd wygnać. Gdybym nie miał wytrwałości w służbie pana, musiałbym dawno precz iść.

Gdym to mówił, twarz jej się mieniła, bladła, purpurową się stawała, gniew nią taki owładnął, że się utrzymać nie mogła. Jakimi wyrazami wpadła na mnie, powtórzyć nie mogę, bobym wiary nie zyskał. Wprost lajać mnie poczęła, trzęsąc się i pięści nastawiając.

— Zamknę ja ci usta, zuchwalcze..., pokażę ci, co to jest przeciwko mnie się porywać.

Pan Bóg łaskaw, iż z zupełną zimną krwią wytrzymawszy tę napaść, odpowiedziałem jej z największym uszanowaniem, ale przyznam się, złośliwie nader. Dałem jej uczuć, że wszystko mi jest wiadomym, że wyliczyć mogę, ile razy król młody odwiedzał żonę, i że od niej po nocach chronił się do panien fraucymeru, za wiedzą jej.

— Jesteś podłym, nikczemnym szpiegiem! — krzyknęła.

— Tak — odparłem — niestety! Pan mój szpiegów potrzebował, bo nie tak Wasza Królewska Mość obchodzisz się z córką jego, jak na królową matkę przystało.

Wszczęła się tedy walka między nami na słowa, w której ja tę miałem wyższość, żem krew zimną zachowywał ciągle, gdy ona ją coraz bardziej traciła unosząc się i zamiast argumentów obsypując mnie obelżywymi wyrazami (...)

Przyszło do tego, że się Bona ze złości rozplakała.

— Byłam i jestem królową — zaczęła wołać — chcecie mnie tu sługą uczynić i niewolnicą!

Na to jednym słowem odpowiedziałem:

— Nie, tylko matką!”

Stąd też materiały, a za nimi i powieść, urywają się na śmierci Elżbiety i ona, mimo tytułu, jest w widzeniu autora główną bohaterką powieści.

Materiały Aleksandra Przeździeckiego, chociaż bardzo istotne dla genezy literackiego pomysłu, nie są jedynym źródłem powieści. Obraz dworu zygmuntownskiego powstał w wyniku bogatej wiedzy źródłowej. Kraszewski znał dobrze i wykorzystał kroniki współczesne: Kromera, Bielskiego, Orzechowskiego, Górnickiego, znał i korzystał z korespondencji prywatnej polskich dostojników (np. Górskiego, kanonika krakowskiego i Dantyszka, biskupa warmińskiego). Stąd czerpie wiele współczesnych anegdot i konfrontuje opinie posłów cesarskich ze zdaniem samych Polaków. Z łacińskiej poezji Anrzeja Krzyckiego pochodzą złośliwe żarty o Bonie. Zgromadzono materiały, jak widzimy, ogromny.

Dwie królowe nie należą do typu powieści historycznych, w których autor stawia sobie za zadanie ukazanie „historii kraju” w pewnym wycinku czasu. Wyrasta ona raczej wyraźniej z tego samego kręgu założeń histo-

rycznych i literackich, które Kraszewski sformułował we wstępie do wspólnie wydanych *Wizerunków książąt i królów polskich*.

„Historia staje się z każdym dniem bardziej bezosobową, zajmuje się przeważnie społeczeństwem, prawami, instytucjami, rozwojem narodu i idei, badaniem przyczyn, które ów rozwój spowodowały — pisał w nich Kraszewski. — Stare posagi które stały niegdyś w świątyni, jako uosobienie epoki i wypadków, wala się, bledną, nikną, rozpiływają się i z oczu nam schodzą. A przecież były to postaci, w których wieki rzeźbiły ideały swoje i, jeżeli niczym więcej, powinny być dla nas choćby drogimi pamiątkami przeszłości.

Staraliśmy się dobyć je z gruzów, oczyścić z pyłów i przywrócić im fizjognomie, jakie miały przed wiekami. Szczegóły, z których składają się te wizerunki, nie wszystkie są nowe, ale zestawienie ich, wydobywanie figur na światło, często im przywraca niespodziany charakter, uwypatnia ich rysy, podnosi zatartą piękność lub oryginalność”.

Ta przewaga studium „charakterystycznych” sylwetek nad „historią”, pojętą przez Kraszewskiego jako historia instytucji i idei, cechuje również *Dwie królowe*. Zbierane przez wiele lat materiały do sylwetek książąt i królów polskich stały się w twórczości Kraszewskiego pierwszym ich zarysem i tak w zasadzie przeszły do powieści. One więc i najciekawsze postaci z otoczenia dworu stają na pierwszym planie i zacierają nieco polityczną podstawę zjawisk, z którymi ich życie i działalność jest związana. Mówiąc o powieści, musimy raczej mówić o sposobie ukazania jej głównych bohaterów.

Na pierwszy plan wybija się oczywiście indywidualność Bony. Kraszewski pokazał „gniewliwą królową” (jak Bonę nazwał poseł Karol V) w całym bogactwie złożonej, namiętnej natury. Despotyczna, gwałtowna, ogarnięta żądzą panowania, inteligentna, ale małostkowa, chciwa bogactw wprowadziła na pocziwy dwór jagielloński zbyt swobodny tryb życia, nowy styl walki politycznej i cechy rodu Sforzów, zupełnie różne od cech psychicznych Jagiellonów.

Wychowana w dziedzicznym księstwie Bari, we włoskiej atmosferze przewrotnych i bezwzględnych metod rządzenia, której obraz zanotował współcześnie Machiavelli*, nie umiała zrozumieć ani przystosować się do polskiej atmosfery i była zawsze obcą, zawsze „cudzoziemką”, nienawidzoną przez współczesnych i nawzajem nienawidzącą swojej nowej ojczyzny. Kraszewski w powieści skupił się głównie na pokazaniu Bony od strony współczesnej anegdoty (despotyzm, małostkowość, pasja rządzenia) i od strony uczuciowej (zazdrość o serce syna); z wielką sugestywnością maluje wieczny niepokój na dworze Bony, niepokój typowy dla wielkich interesów. Przyjeżdżają tajni posłowie, dla Bony pracuje rozbudowana siatka szpiegowska, do jej kancelarii płynie obfita korespondencja, tajemnicza praca trwa dniami i noca-

Machiavelli (1469—1527) — historyk włoski i mąż stanu, którego nazwiskiem oznacza się bezwzględnych, przebiegłych i nieuczciwych polityków

mi, ale nie zawsze czytelnik może się domyślić, o co jeszcze chodziło Bonie oprócz zniszczenia zniechęconej Elżbiety. Obraz Bony jest właśnie taki, jaki pozostawili nam współcześni w korespondencji i utworach literackich:

„Wyjeżdżamy znowu do Litwy, byśmy tam z głodu nie pomarli. Między innymi dwie są podróży tej przyczyny. Pierwsza: nienasycona chciwość królowej Bony, która wiedząc, iż wiele tam jest wakujących urzędów, chce za rozdanie onych dobrze zedrzeć Litwinów. Druga przyczyna, iż nie śmie królowa spotkać się z Ferdynandem królem rzymskim, którego córkę Elżbietę, żonę młodego króla naszego, Bona z samego początku niegodziwie traktuje i przez czary i obmowę nienawistną synowi swojemu uczynić pragnie, od pożycia z nią odstręczyć i porzucić przymusza...”*
Albo epigramat złośliwego Krzyckiego (podany tu w polskim przekładzie), będący aluzją do herbu Sforzów:

Gdy pod Wawelem smok siedział, ginął od niego Kraków,
Gdy zasiadł na Wawelu, ginie od tego Ojczyzna.

Ale Kraszewski zbyt blado zarysował polityczne sprężyny szeregu sporów i złożoną rolę, jaką „przewrotna Włoszka” rzeczywiście odegrała we współczesnym życiu.

Bona była niewątpliwie najzdolniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek zasiadała na polskim tronie królewskich małżonek, jednakże jej działalność nie przyniosła trwałszych korzyści ani dynastii, ani krajowi. Jej dążenia do oparcia potęgi dynastii na finansowym uniezależnieniu się od sejmu były na pewno słuszne. Współcześni podziwiali jej genialny sposób administrowania swoimi majątkami, które otrzymała tytułem oprawy*, ale gorszyli się jej nieprawdopodobną zachłannością, obojętnością na sytuację materialną chłopów w jej majątkach i tolerowaniem rozrzutności na dworze młodego króla w okresie głodu:

„Ruszymy potem do Litwy, gdzie głód niezmierny już od lat czterech i wszelkie bydło wypadło — pisał Górski do Dantyszka. — U drobnej szlachty i kmieci nie znajdziesz żadnego zboża, lecz spichlerze królowej Bony i możnych panów pełne są, z tych oni, odpychając swoich, zamorskim ludziom za wysoką cenę sprzedają. Nieszczęsne ubóstwo, głodem przyciśnione, żywić się musi plewami, słomą, żołądźmi, a nieraz i wolność własną sprzedawać. Wielu się zatem rozchodzi do Polski, Prus, Inflant, a **nawet** i Moskwy.

Gdy chorąży żmudzki, przybywszy do Piotrkowa, doniósł królowej Bonie o tym głodzie okropnym i prosił, by spichrze swoje otworzyć kazała, wyśmiany i z niczym odprawiony był. Bóg lud swój ciężką plagą uderzył. Bez łąz pisać o tym nie mogę.

Stanisław Górski, kanonik krakowski, do Jana Dantisca, biskupa warmińskiego, dany w Piotrkowie 15 marca 1544 — *Zbiór pamiętników o dawnej Polsce* przez J. U. Niemcewicza, Lipsk 1838—1839 t. IV s. 29
oprawa — wyrażenie prawne, oznacza zabezpieczenie posagu żony na majątku męża

Tymczasem młody król z największą w Litwie żyje rozrzutnością, co tydzień wydaje 1000 florenów (10 000 dzisiejszych), co dzień na kuchnię biją wołu dużego, na dwór 18 krów, piwa beczek 30, miodu 30, ...owies, siano i inną żywność zwozić muszą wieśniacy o 30, 40 i 50 mil z wielką stratą ludzi i dobytków. Kiedykolwiek gniew boży pomści się za to”.

Gorszyły wszystkich nowe zwyczaje handlu godnościami, a wprost nienawidzono Bonę za łamanie polskich zwyczajów życia politycznego, zwłaszcza za przeprowadzenie koronacji 10-letniego Zygmunta.

Polityka Bony, historycznie bardzo słuszną, zgodną była z polityką Zygmunta, gdy chodziło o zwiększenie władzy królewskiej. Natomiast niezgodne były ich programy polityki zewnętrznej.

Bona, słusznie, widziała ogromne niebezpieczeństwo płynące ze zbyt ścisłego sojuszu politycznego z domem Habsburgów, które w zewnętrznej polityce Zygmunta dominowało od 1515 roku. Chciała się raczej oprzeć na postępowych stronnictwach węgierskich, wprowadzając równocześnie na tron swego wnuka Zapolię, syna wygnanej z tronu węgierskiego Izabeli. Politykę tę prowadziła wbrew mężowi i stronnictwu króla (Maciejowski, Boner) poprzez własne oddane stronnictwo dworskie (Gamrat, Kmita, Sobocki) i prowadziła z właściwą swemu charakterowi zajadłością i przewrotnością. Do tej własnej polityki wychowywała swego syna. Stąd płynął jej namiętny opór przeciwko małżeństwu syna z córką Habsburga, a potem żywiołowa nienawiść do synowej.

Ze splotu przyczyn Kraszewski najlepiej rozumiał „sprawę habsburską”, natomiast nie docenił politycznej roli Bony w próbach wzmocnienia władzy królewskiej. Stąd też powieść przynosi raczej opis zewnętrznej powłoki życia dworskiego, którą opinia publiczna, słusznie zresztą, przypisywała Bonie: zepsucie, zamęt i intrygi w sprawach państwowych, a nie jej trafne wyczucie rzeczywistych interesów dynastii (a przez to pośrednio i interesów państwa jako całości), tragicznie zaprzepaszczone przez cechy jej charakteru i włoskie metody postępowania politycznego.

Bujna indywidualność Bony wybiła się w obrazie powieściowym na pierwszy plan, mimo że jest to epoka nie tylko „dwu królowych”, ale i „dwóch królów”. — W powieści, tak zresztą jak w tych latach w historii, dwaj królowie żyją w cieniu „przewrotnej Włoszki”. Stary król, dożywający swych lat, schorowany i zmęczony gwałtownym charakterem małżonki, młody Zygmunt miękki, rozrzutny i nieśmiały wobec matki. Tu znowu służą informacjami raporty Marsupina:

...,mówić ze starym królem jest to samo, co nie mówić z nikim. Król J. M. nie ma własnej woli, tak jest na wędzidle trzymany. Wszystko ma w rękę królowa Bona. Bona jedna całym państwem rządzi, wszystkim rozkazy wydaje i tak już naprzykrzyła się wszystkim przedniejszym panom i szlachcie, że ledwie potrafią znieść ją do końca życia starego króla: dziś jednak rządzą się największą cierpliwością a bodaj bojaźnią. Młody król nic nie mówi, niczego słuchać nie chce i do żadnych spraw mieszać się

nie śmie, tak boi się królowej Bony, matki swojej. Wierzą, że jest pod wpływem czarów matki (...) Nie pozwalała synowi ani działać, ani mówić, tylko tak, jak ona sama rozkaże..." (Marsupin z 6 lipca 1543 roku — Przedziecki op. cit. 121).

Również niekorzystne dla młodego króla są informacje Polaków. Zygmunt August nigdy nie był lubiany przez współczesnych — obarczono go odpowiedzialnością za grzechy własne i cudze. Przeprowadzona przez matkę koronacja za życia króla-ojca zniechęciła do syna szerokie masy szlacheckie Królestwa Polskiego, a włoskie wychowanie oddzieliło, jak murem, od polskiego sposobu myślenia. „Król nasz młody — pisał w 1544 kanonik krakowski Górski do biskupa Dantyszka — wychowany od niewiast i Włochów, trwożliwy od kobiet, nie kocha się w obozach". Wstrzymywano go celowo nawet od udziału w łowach, „aby w nim nie rozbudzić skłonności do okrucieństwa i zatwardziałości serca". Dlatego też wszystkie dalsze błędy mało popularnego w Koronie króla Zygmunta Augusta oceniane były ostrzej, a współcześni kronikarze bardziej mu pamiętali małżeństwo z Barbarą i ostatnie skandaliczne lata życia, spędzone wśród przewrotnych dworaków i dawnych królewskich kochanek, aniżeli jego działalność polityczną, jako kodyfikatora, mecenasa kultury polskiej i twórcy unii lubelskiej. Kraszewski już raz uległ tym sugestiom współczesnych kronikarzy i pokazał ostatniego Jagiellona w powieści *Zygmuntowskie czasy* tylko od tej jednej skandalicznej strony lat przedśmiertnych. W latach późniejszych zdawał sobie sprawę z takiej niebezpiecznej jednostajności.

„Kronikarze, którzy na prywatne życie Zygmunta Augusta, zwłaszcza lat ostatnich, zwracają wyłącznie uwagę i sądzą go z niewielu rysów pojedynczych, za surowi są dla niego — pisał Kraszewski w cytowanych już *Wizerunkach książąt i królów polskich*. — Miał on słabości ludzkie spotęgowane przy końcu życia, gdy jak Kazimierza Wielkiego trapiła go myśl, że... na nim dynastia Jagiellońska... się skończy".

Dlatego też — w *Dwu królowych* wypracował pełniejszą i historycznie prawdziwszą sylwetkę Zygmunta. Obok znanych już z relacji i krytyki cech usposobienia, Kraszewski bardzo słusznie pokazał jego wielką kulturę umysłową, rozmiłowanie we włoskiej sztuce, zainteresowanie dla nowości filozoficznych i nie znany w rodzinie Jagiellonów wdzięk i wykwinność. Na przykładzie początków jego rządów na Litwie pokazywał Kraszewski słusznie, jakie możliwości kryły się w tym młodym i zdemoralizowanym przez złe wychowanie królu.

Powieść *Dwie królowe* jest jedną z najlepszych powieści historycznych Kraszewskiego. Świetna znajomość epoki idzie tu w parze z literackim poławem i wielką pomysłowością w splocie intrygi powieściowej. Kraszewskiemu udało się bowiem rzeczywiście wskrzesić przed oczyma czytelników bujność renesansowego życia dworu zygmuntownskiego, oddać jego bogactwo i wykwin. Osiągnął to Kraszewski dzięki pomysłowemu układowi konfliktów, który pozwolił na pokazanie dworskiego życia z kilku stron. Konflikt między Boną i Elżbietą i powiązany z tym konflikt między Bo-

na a posłem cesarskim Marsupinem odsłaniają jego polityczną stronę. Natomiast cichy, a także płodny w konsekwencje, antagonizm między piękną i śmiałą kochanką królewską a potulną małżonką wprowadza czytelnika w tajniki konwencjonalnych małżeństw królewskich, pokazuje życie erotyczne dworu, ukształtowane już na wzór obyczajowości włoskiej.

Powieść kończy się akcentem tragizmu. „Srodze dotknęła mnie ręka Boża” — mówi w powieści Zygmunt na wieść o śmierci żony. W wieku męskim płacił młody król za linię zagranicznej polityki ojca i niesnaski między rodzicami. Na życiu małżeńskim młodego króla ciężkim brzemieniem legły konsekwencje umowy z Habsburgami, w wyniku których do Polski przyjechała królowa z piętnem śmiertelnej choroby. Fałszywy pierwszy krok na drodze życia małżeńskiego pociągnął za sobą dalsze konsekwencje, które ostatecznie złamały Zygmunta i tragicznie odbiły się na dalszych losach Rzeczypospolitej.

Ewa Warzenica-Zalewska

Tekst powieści oparty został na pierwodruku z 1884 r. wydanym przez Gebethnera i Wolffa.

Modernizacja tekstu ograniczona została do obowiązujących dziś zasad interpunkcji i ortografii. Skreślony został nadmiar wykrzykników, pauz i wielokropków nie mających uzasadnienia w treści, poprawiony został zapis graficzny dialogów i ponumerowano rozdziały.

W pierwodruku powieści znajduje się bardzo wiele ewidentnych omyłek Kraszewskiego, które poprawiono w wydaniu z r. 1960. Zmiany te w całości odnotowano w tym wydaniu. Natomiast w wydaniu późniejszym z 1971 r. jak i w obecnym, zostały one zasygnalizowane tylko przykładowo w przypisach.

Poprawione zostały również nie budzące wątpliwości błędy zecera (a nie zauważone przez Kraszewskiego), np. omyłkowe podanie daty układu między Jagiellą a Koroną (omyłkowo o całe stulecie) lub nazwisk, np. Jan Lutalski zamiast Jan Latański.

Zachowano ortografię nazwisk zgodnie z ortografią źródeł historycznych, z których Kraszewski korzystał, np. ortografię nazwiska urzędnika dworu Jana Bonera, ponieważ tak występuje u Przeździeckiego w korespondencji dworskiej, mimo że w zbiorze pamiętników wydanych przez Niemcewicza i np. w listach biskupa Dantyszka notowany jest jako Bonar.

Zachowane zostały wszystkie właściwości języka Kraszewskiego: *pęzel*, *wnijść*, *rozwiązłe życie*, *pomyśliwszy*, *nieruchomie*, *odgróźki*, *nieochybnie*, a także forma biernika rzeczowników miękkotematowych rodzaju żeńskiego: „widzę familią” tam gdzie występuje ona w powieści (formy te nie były używane konsekwentnie, albo „poprawione” przez zecera pochodzącego z Krakowskiego). Zachowano formy składniowe i zwroty, np.: *życia zażywał pełną; dostał języka, zraziły od żony, wnika ode mnie* itp.

Powieść *Dwie królowe* wznawiana była wielokrotnie w wydaniach zbiorowych: dwukrotnie przez Glücksberga w l. 1889—1891 i w l. 1896—1898, trzykrotnie przez Arcta w l. 1900—1904, 1903—1906 i z przedmową Chlebowskiego w l. 1911—1913, również czterokrotnie przez Arcta w wydaniu skróconym przez Łozińską (w latach 1921/1922, 1924, 1925—1929, 1930—1934 i znowu przez Arcta w l. 1928—1930 i po wojnie w l. 1955, 1957, 1960 i 1971 przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą.

skróty: fr. — francuski; gr. — grecki; łac. — łaciński; niem. — niemiecki; st. pol. — staropolski; wł. — włoski.

TOM I

1. Drogim ceniom Aleksandra hrabiego Przeździeckiego, którego poszukiwania opowiadaniu dostarczyły treści — Aleksander Przeździecki (1814—1871), historyk, dramaturg, tłumacz, członek kilku towarzystw naukowych i wydawca (na własny koszt) wielu cennych źródeł historycznych. Jego obszerna 5-tomowa praca *Jagiellonki polskie w XVI w.*, zwłaszcza rozdział o Elżbiecie Rakuskiej, stał się podstawą historyczną dla powieści *Dwie królowe*. Por. posłowie do powieści.

2. Luini (albo Luvino) Bernardino — najznakomitszy malarz szkoły mediolańskiej, najwybitniejszy uczeń Leonarda da Vinci, najlepsze jego obrazy powstały w l. 1500—1530 (Ukrzyżowanie Chrystusa, Hołd trzech króli).

3. Bellini — rodzina bardzo wybitnych malarzy włoskich, tworzących w drugiej połowie XV wieku i początkach XVI. Bellini Giovanni (syn) był założycielem tzw. „starszej szkoły weneckiej” i wykształcił wielu znakomitych malarzy.

4. ...czyniły fizjognomię tę podobną do jakiejś żony cesarza ze starej rzymskiej monety — na rzymskich monetach uwiecznione zostały twarze nie tylko żon cesarów, ale i innych kobiet z rodziny panującej. Rzymski nosek — zarysowane na monetach profile Rzymianek są bardzo podobne do siebie, zwłaszcza z powodu nosów prostych, z małym zakłęśnięciem u nasady.

5. Zawicie — biała chustka zakrywająca u kobiet czoło, brodę i szyję.

6. ...wyrób weneckich lub genueńskich złotników — przez wiele stuleci wyroby złotnictwa włoskiego nie miały sobie równych.

7 ...mnogości ubrań włoskich, tureckich, francuskich, niemieckich, czeskich... — strój włoski (zapożyczony z Hiszpanii): noszono krótkie, bufiaste spodnie, kaftan pasowany do bioder, poniżej luźny, krótki, rozcięty, charakterystyczna wierzchnia szuba z bufiastymi rękawami; strój francuski oparty był w zasadzie na włoskim; różnice: szuba z rozciętymi długimi wąskimi rękawami, sztywna, biała kreza pod brodą. Na dworach używano strojów włoskich, strój niemiecki był noszony przez szlachtę i patrycjat. Składały się nań wampsy (kaftany pasowane, szyte z pasów sukna), workowate spodnie (tzw. pludry) i krótki, narzucony na ramiona, sztywny płaszczyk z rękawami; Czesi nie mieli jakichś osobnych strojów, ale nosili bądź to włoskie, bądź niemieckie. Stroje tureckie wpłynęły na ukształtowanie się najpierw stroju węgierskiego, a w II połowie XVI stulecia stroju polskiego. Strój turecki: długie szarawary, długa suknia wierzchnia, charakterystyczne czapki długie lub baniaste.

8. Kościelecki rozmiłował się w Szlązaczce — Jędrzej Kościelecki, kasztelan wojnicki, zakochał się w faworycie królewskiej Katarzynie Telniczance. Urodzony ze związku króla z Telniczanką Janusz został biskupem wileńskim i księciem litewskim. Współcześnie podejrzewano, że również Beata, urodzona już po zawarciu związku małżeńskiego Telniczanki z Kościeleckim, jest córką Zygmunta Starego. (Kraszewski wraca jeszcze do sprawy Kościeleckiego w t. II).

9. Maciejowski Samuel (1498—1550) — biskup krakowski (po śmierci Gamrata), kanclerz wielki koronny, znakomity polityk i jedna z najświetniejszych postaci epoki zygmuntońskiej. Cieszył się wielkim zaufaniem obu Zygmuntoń i miał wielki wpływ na bieg spraw państwowych. Kraszewski robi aluzję do naprężonej sytuacji na dworze królewskim, gdzie Bona z Gamratem stanowili jedną partię, a Zygmunt Stary z Maciejowskim drugą.

10. ...coś sokratycznego — Sokrates, największy filozof starożytny, żyjący w Atenach w IV w. przed n.e., uczył ludzi rozumowania, aby poprzez to doprowadzić ich do szlachetności. Oskarżony w 70 roku życia niesłusznie o szkodliwą działalność, skazany został na śmierć. Niesprawiedliwy wyrok przyjął z wielką godnością. W postaci aluzja do udawanej przez Sokratesa naiwności.

11. *Vanitas vanitatum* (łac.) — marność nad marnościami.

12. ...trzem królom, trzem braciom rzucał w oczy prawdę gorzką — chodzi o Fryderyka, Aleksandra Jagiellończyka, Zygmunta I (trzej bracia) i Zygmunta Augusta (trzeci król). Stańczyk był raczej satyrykiem i jowialistą, aniżeli błaznem dworskim.

13. Z Bukowiny za Olbrachta — chodzi o odwrót Olbrachta spod Suczawy w 1497. Straty poniesione w wyprawie były przez współczesnych przesadnie oceniane i przeszły do przysłowia „za Olbrachta wyginęła szlachta”.

14. ...wyrzekł się szczytu — rzekł się herbu szlacheckiego. Szczyt to stara nazwa tarczy rycerskiej, na której wykuty był herb.

15. ...bawił rzadko, chociaż boleśnie często — zdanie źle zbudowane i niejasne — znaczy: rzadko żartował i zabawiał, często robił bolesne aluzje.

16. Sajani (z wł.) — krótka suknia męska przewiązana w pasie.

17. Gamrat Piotr (1487—1545) — pochodzenia nieszlacheckiego, ulubieniec Ciołka, wyniesiony z łaski Bony na najwyższe stanowiska kościelne (od 1540 prymas), był gorliwym pomocnikiem w prowadzonych intrygach. Zarzucano mu nieznaną przynależność do praw kościelnych, nieuctwo i rozpustę. Królowa protegowała również i rodzinę Gamrata.

18. Sulimowie niechętnie dawniej przyznawali — ale Gamrat używał herbu Sulima, przyjęty do niego prawdopodobnie przez Ciołka.

19. ...pieszo o kijku do szkół krakowskich przywędrowali — Erazm Ciołek (zm. 1522 wskutek morowego powietrza) był synem

- mieszczanina krakowskiego (rzekomo matka przekupka) kształcił się w Akademii Krakowskiej na koszt króla Aleksandra, z jego łaski został proboszczem wileńskim, w 1502 wyjednał sobie szlachectwo i herb Sulima.
20. ...doszedł do najwyższych w kościele dostojenstw — Ciołek uzyskał dla siebie w Rzymie uchylenie bulli papieskiej o nie-dopuszczeniu ludzi pochodzenia nieszlacheckiego do wyższych stanowisk i po wyrobieniu szlachectwa został najpierw kanonikiem krakowskim, a potem biskupem płockim.
21. Tarnowski Jan (1488—1561) — hetman wielki koronny, znakomity wojownik, ceniony dla swych zalet dowódcy również na dworach obcych. Zreformował taktykę walki wojska polskiego i doprowadził do wzmocnienia władzy hetmańskiej. Do roku 1553 stał wiernie przy tronie obu Zyg-muntów, potem usunął się z życia publicznego.
22. ...w Padwie i Bononii — uniwersytety założone w XIII w. stały się kolebkami nauki, Padwa medycyny, Bolonia (Bononia jest nazwą łacińską) prawa i sztuk. W Padwie studiował np. Kochanowski, Zamojski, w Bolonii Kopérnik, Tomicki.
23. ...niż rycerzy spod Obertyna — hetman Jan Tarnowski odniósł w 1531 roku świetne zwycięstwo pod Obertynem nad liczniejszymi wojskami wojewody wołoskiego, Piotra.
24. *Quid sine viribus ira* (łac.) — czym jest bezsilny gniew?
25. *Utinam* (łac.) — oby (tak było).
26. ...ona Neronowa Agryppina... — chodzi o tzw. Agryppinę Młodszą, matkę Neroną, która zostawszy żoną cesarza Klaudiusza, stała się samowładną panią Rzymu i świata, miała nieograniczony wpływ na cesarza. Na jej żądanie cesarz pominął własnego syna i adoptował jej syna jako przyszłego władcę. Gdy wpływ Agryppiny na cesarza zaczął maleć, otruła ona Klaudiusza przy pomocy Lokusty (patrz obj. niżej); w pierwszych latach rządów Neroną Agryppina trzymała władzę w swych rękach, potem Neron usunął się od matki i kazał ją zamordować. Wizerunek Agryppiny był bity na monetach.
27. Podwika (st. pol.) — duża chusta biała na głowę; w przenośni: ko-bieta.
28. Półzegarze (st. pol.) — zegar o tarczy 12-godzinnej, por. przyp. t. I, nr 50.
29. Jan Dantyszek (1485—1548) — poeta i dyplomata, przebywał 12 lat na poselstwach zagranicznych, ulubiony urzędnik Zygmunta Starego. Po powrocie do kraju biskup chełmiński, a potem warmiński.
30. Jan Łatałski (1463—1540) — sekretarz Kazimierza Jagiellończyka, arcybiskup gnieźnieński, w czasie panowania Zygmunta Starego poseł królewski. Współcześnie był bardzo atakowany, ponieważ tytuł arcybiskupa kupił u Bony. (W pierwodruku omyłkowo nazwisko Łutalski).
31. Stanisław Bojanowski (1507—1555) — poeta, urzędnik Zygmunta Starego, potem sekretarz kancelarii Zygmunta Augusta.
32. Lupa Podłodowski — poseł ziemski słynny z wymowy i burz-

liwosci, występował później na sejmach przeciwko małżeństwu Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną.

33. *Encomium* (łac.) — pochwała.

34. Lokusta lepiej smażyć nie umiała nad nasze trucieli — Lokusta, trucieli mieszkała w Rzymie na początku naszej ery, skazana na śmierć (por. przypis 26).

35. Cudny — tu: cudowny.

36. Jest w Chęcinach na zamku z czego wszelki zbytek żywić — dochody Bony około 1546 r. wynosiły z majątków w Koronie 54 tys. zł, z Litwy 36 tys. zł, z księstw włoskich 20 tys. dukatów (por. posłowie).

37. Z naprawy — w języku dawniejszym znaczy: z namowy.

38. Oleśnicki Zbigniew (1389—1455) — kardynał i biskup, odegrał wielką rolę w życiu politycznym kraju za pierwszych Jagiellonów. Znany również z tego, że uratował Jagielle życie w czasie bitwy grunwaldzkiej.

39. Kardynał Jagiellończyk — por. przypis 43.

40. ...od złotych bramowań były barwy — liberia służby ozdobiona była złotymi naszywkami (galonami).

41. Głębokiej nauki Maciejowskich i Tomickich — Samuel Maciejowski studiował najpierw w Krakowie, a potem w Padwie, odznaczał się nie tylko szlachetnym charakterem, ale wielkimi zdolnościami. Piotr Tomicki (1464—1535), biskup krakowski i wybitny mąż stanu, podkanclerzy koronny, sekretarz Zygmunta I; studiował w kraju i za granicą i miał stopień doktora prawa.

42. ...od Pawła z Przemankowa, zgorszenia podobnego na stolicy krakowskiej nie widziano — Paweł z Przemankowa, od 1266 biskup krakowski, pozostawił po sobie smutną pamięć jako kapłan i dostojnik. Por. powieść Kraszewskiego: *Syn Jazdona*.

43. Rozwzięte życie wiódł kardynał Jagiellończyk — Fryderyk Jagiellończyk (1468 — 1502), arcybiskup gnieźnieński, prymas i biskup krakowski, nie miał skłonności do stanu duchownego i tak, jak w młodości, prowadził bardzo wesoły tryb życia po otrzymaniu święceń i godności, co w efekcie przyniosło mu śmiertelną chorobę. Był to człowiek rycerskiego ducha, odegrał ważną rolę w zapewnieniu korony Olbrachtowi i Aleksandrowi, w 1491 przeprowadził na synodzie uchwałę opłaty czwartej części dochodów na potrzeby państwa.

44. Opalińscy — ród szlachecki odgrywający wówczas dużą rolę w życiu kraju. Jan był kasztelanem santockim, Piotr — kasztelanem najpierw łędzkim, a potem gnieźnieńskim, politykiem i posłem wzywaniem do najtrudniejszych rozmów za granicą, nauczycielem młodego Zygmunta Augusta, a następnie (w okresie objętym powieścią) ochmistrem jego dworu.

54. Kmita Piotr (1477—1563), jeden z najbardziej znanych magnatów XVI w. Wykształcony, żywo interesował się współczesnymi problemami umy-

słowymi i literaturą (był gorącym wielbicielem Erazma z Rotterdamu). Związany najpierw z Boną, potem ze szlachtą, walczącą w sejmie o dalsze zwiększanie przywilejów, w końcu pogodzony z Zygmuntem Augustem, Kmita jest typem magnata-warchoła, żadnego znaczenia, który dla prywaty trząsł państwem i przeciwstawiał się próbom reform.

46. Bezbronność — tu: zakaz noszenia broni przy sobie.

47. Forytować (z niem.) — tu: popierać w staraniu się o urząd.

48. Balasy (z wł.) — okrągłe słupki.

49. Forboty (z niem.) — koronki u szyi sukni damskiej.

50. Cały zegar — tzn. taki, którego tarcza dzielona była na 24 godziny; w XVI i XVII w. zegar z tarczą 12-godzinną nazywał się półzegarem. Dawniej liczono na pełnym zegarze czas od zachodu słońca; stąd druga lub trzecia godzina oznaczają czas wieczorny.

51. Nalewki — specjalne naczynia na wodę służącą do polewania rąk przed i po jedzeniu.

52. ...świeć ✱ (...) po usarsku, po węgiersku poubierani — strój usarski: albo zbroja (cała lub częściowa) z narzuconym luźnym strojem wierzchnim (szuba, delia), lub sukienny kaftan (wamps, wamsz) obcisły do pasa, dołem luźny, rozcięty; spodnie obcisłe, na wierzch szuba lub delia; strój węgierski był bardziej wzorowany na modzie wschodniej; druga suknia (dolman) i nieco krótsza wierzchnia, podobna do delii. Czapki charakterystyczne na wzór wschodni; długie lub baniaste. Właściwy strój polski (żupan, kontusz) ustalił się dopiero w II poł. XVI w.

53. Tuwalnie (z wł.) — ręczniki podawane do stołu, w tym okresie bogato haftowane.

54. ...z tą rośliną podobieństwo — podobieństwo raczej tylko z korzeniem mandragory (dziwówstrętu). Porównanie człowieka z mandragorą jest charakterystyczne dla tych czasów, ponieważ przez całe średniowiecze korzenia mandragory używano do praktyk czarodziejskich i jako cennego talizmanu.

55. ...aby Chojeńskiemu ustąpić — Jan Chojeński (1497—1538), archidiakon krakowski, znakomity mówca, wykształcony (doktor praw), bardzo lubiany przez Zygmunta Starego; tu: aluzja do sporu o urząd kanclerski, który otrzymał w 1536 roku Chojeński.

56. ...ani filtrów zadawać — filtrami nazywano „napoje miłosne”.

57. Macerata — tu: aluzja do zawodu; macerować — w przerośni znaczy: umartwiać ciało.

58. *Padre* (wł.) — ojciec duchowny.

59. Inkwizycja — urząd kościelny przeznaczony do śledzenia, tępienia i karanía herezji.

60. ...dał spalić staruszkę Malcherową — Malcherowa, a raczej Melchiorowa z Zalaszkowskich Wajglowa, mieszcanka krakowska, spalona została na Rynku krakowskim w wieku 80 lat za wyznawanie antytrynitaryzmu (sektą odrzucająca dogmat Trójcy św.). Jednym ze świadków kaźni był Łukasz Górnicki, autor dzieła pt. *Dzieje w Koronie*.

61. Bibliopola (gr.-łac.) — księgarz.
62. ...co tylko drukiem pachnie — Lismanin (spowiednik królowej Bony) przybył do Polski w 1546 r. i był zarazem przełożonym klasztoru Franciszkanów. Fakty tu opisane odnoszą się do lat późniejszych.
63. ...ani żywości charakteru kardynała — chodzi o Fryderyka Jagiellończyka.
64. Pożyć — w języku staropolskim: pokonać.
65. Rów miała na Bar przerobić — nadać nazwę Bar na pamiątkę księstwa Bari.
66. Zwycięstwo pod Orszą — w 1514 odniesione przez Konstantego księcia Ostrogskiego jedno z nielicznych zwycięstw nad wojskiem moskiewskim w tym okresie.
67. *Senectus ipsa est morbus* (łac.) — już sama starość jest chorobą.
68. ...w pełni się ziściła — królewicz Zygmunt August wyprawiony został na Wołochy pod opieką hetmana Tarnowskiego i kasztelana poznańskiego Górki. Ale królewicz nie był zadowolony z nadmiernych obowiązków i wysiłku fizycznego; zanim dojechał do granic kraju, spowodował (przez Bonę) powrót swój do Krakowa. Ta niemiecka postawa zrobiła współcześnie jak najgorsze wrażenie, a stary rotmistrz królewski Raczkowski jest (wg Górnickiego *Dzieje w Koronie*) autorem cytowanej przepowiedni.
69. Gemma — kamea.
70. ...niemieckich reformatorów — tzn. zwolenników reformacji, potężnego prądu odnowienia religii, zapoczątkowanego w 1517 roku przez Marcina Lutra (1483—1546) słynnym sporem o sprzedawanie odpustów przez Kościół katolicki. Potem wystąpił Luter przeciw apostolskiemu pochodzeniu papieża i uznał *Pismo św.* za jedyne źródło wiary (stąd ewangelik); w 1520 zerwał oficjalnie z Rzymem (publiczne spalanie bulli papieskiej), za co papież rzucił na niego klątwę. Luter miał współcześnie wielu zwolenników.
71. Filip Melanchton († 1560) — znakomity humanista, był gorącym zwolennikiem reformacji, autor tzw. „augsburskiego wyznania wiary” i wielu dzieł filozoficznych.
72. Rotterdamus — Erazm Rotterdamszyk (1467—1536), najwybitniejszy humanista; chociaż sam nie był zwolennikiem Lutra, jego wystąpienia przeciw średniowiecznej filozofii scholastycznej i ciemnocie mnichów torowały drogę Reformacji (jego traktat *O wolności sumienia*); jest autorem wielu prac filozoficznych i przekładów z literatury starożytnej.
73. *Corteggian* (wł.) — tak nazywano księży polskich, którzy wbrew ustawom polskim wyjednali sobie godności kościelne (i co za tym idzie beneficja) u dworu papieskiego (stąd nazwa: corte — dwór). Takimi corteggianami byli Ciołek i Gamrat.
74. ...uczynienia popularną językiem — tzn. wprowadzenia języka polskiego na miejsce łaciny.
75. ...humanizmem doprowadzonych do niewiary — humanizm, budzący zapał dla literatury i filozofii wieków starożytnych, wal-

czył o wolność sumienia. Humaniści zarzucali Kościołowi, że krępuje swobodę myśli i powstrzymuje postęp nauk, krytykowali chciwość władz duchownych i ich zabiegi o podniesienie potęgi rodowej.

76. Teizm (z gr.) — doktryna religijno-filozoficzna przyjmująca istnienie Boga jako nadprzyrodzonej istoty rozumnej, która stworzyła świat i światem się opiekuje, podstawa dogmatyki Kościoła. Kraszewskiemu chodzi może o deizm, który zaprzeczał dogmatowi bożej opatrności, ale deizm był kierunkiem filozoficznym o wiele późniejszym.

77. Puryfikacja (z łac.) — oczyszczenie, tu: oczyszczenie spraw kościelnych ze szkodliwych naleciałości.

78. Decjusz Jodocus Jost Ludwik († 1567) — pochodzący z Alzacji, sekretarz Zygmunta Starego, otrzymał szlachectwo i sprawował rozmaite urzędy, m.in. posła królewskiego. Jest autorem trzech prac historycznych o ostatnich Jagiellonach.

79. ...sprawiali urzęda syndyków — syndyk przy kościele lub zgromadzeniu zakonnym jest reprezentantem interesów prawnych na zewnątrz, zwłaszcza spraw spornych przed sądami.

80. Predykan (z łac.) — tak nazywano w tych czasach duchownych protestanckich.

81. Koncyliabudy (z łac.) — wyraz zdrobniały od słowa *consilium* — zgromadzenie, i oznacza tajne zebranie starszych w Kościele zwołane nieprawnie; w pierwodruku omyłkowo: „koncyliabuda”.

82. Sforno — zgodnie.

83. Wywołaniec — człowiek ogłoszony za przestępcę i ścigany przez prawo.

84. Stanisław Orzechowski (1515—1556 lub 1557) — jeden z najciekawszych ludzi epoki Odrodzenia, mówca, pisarz, pod naciskiem rodziny wyświęcony na księdza. W 1547 r. napisał głośną rozprawę przeciwko obowiązkiowi celibatu wśród księży i sam się ożenił. Biskup ogłosił to małżeństwo za nieważne i rzucił klątwę na Orzechowskiego, Orzechowski odwołał się do papieża, król tymczasem potwierdził wyrok biskupa i nakazał Kmicie jego wykonanie (konfiskata majątku, odsądzenie od czci, wygnanie). Ale Orzechowski miał możnych i licznych obrońców wśród szlachty. Panowało ogólne przekonanie o konieczności ograniczenia władzy biskupiej; dlatego też na sejmie w Piotrkowie w 1552 szlachta doprowadziła do zdjęcia klątwy, przywrócenia mu praw duchownych, a sprawę potwierdzenia małżeństwa zostawiono do rozstrzygnięcia papieżowi. Aluzja z powieści do „ożenionego Orzechowskiego” wyprzedza fakty o kilka lat.

85. Marcin z Opoczna — bliższych danych brak, magister nauk wyzwozonych, kształcił młodzież oddaną Kmicie na wychowanie. Następnie był proboszczem. W 1550 więziony był przez biskupa przemyskiego Dziaduskiego za czytanie książek dysydenckich i odprawianie mszy według przepisów luteranckich. Uwolniony przez szlachtę przeniósł się do województwa krakowskiego i, otwarcie zrywając z katolicyzmem, wziął udział w pierwszym synodzie innowierców.

86. Marcin Krowicki (1500—1573) — publicysta, zwolennik reformacji, uczeń Melanchtona, duchowny. Za szerzenie haseł reformacji więziony przez biskupa, w 1550 wystąpił z szeregu duchownych i ożenił się, co pociągnęło za sobą klątwę biskupią i wyrok wygnania z kraju. Krowicki jest autorem głośniejszych i błyskotliwych wypowiedzi publicystycznych, pisanych świetną polszczyzną. Jedną z najgłośniejszych jego prac była odezwa do Zygmunta Augusta, aby przyjął protestantyzm (drukowana w Magdeburgu). Krowicki, wykształcony za pieniądze Kmity, pełnił przez wiele lat na jego dworze funkcję pisarza albo zarządcy dóbr.

87. Teatr owej wyprawy — miejsce, do którego wyprawił się Kmita.

88. ...granice pozarąbiano i kopcami obsypano — tu: ponacinano własne znaki na drzewach rosnących na granicy spornej ziemi, a tam, gdzie nie było drzew, usypano kopce graniczne.

89. Cioska — imiennik, wyraz pochodzenia ruskiego.

90. ...przechodziło jego pojęcie — charakterystyka drużyny Kmity i opis uczty przedstawione zostały zgodnie ze źródłami XVI-wiecznymi. Współcześni bardziej pamiętali Kmicie jego wady, aniżeli zalety, bardziej pamiętali jego bezprawia, aniżeli mecenasowanie szerokiemu zespołowi pisarzy.

91. Papinek — beniaminek, pieszczoch.

92. Sreniawa, Szreniawa albo Srzeniawa — herb: Na czerwonej tarczy biała rzeka na ukos płynąca z krzyżem u góry. U szczytu lew bez korony między dwiema trąbkami myśliwskimi, każda z nich ma cztery dzwonki.

93. Do wybitej (st. pol.) — do bijatyki.

94. Kasztelan biecki — Biecz, jedno z najstarszych miast, położony przy głównym trakcie na Węgry, posiadał zamek i mury obronne.

TOM II

1. ...trudności robiono w sprawach posiadłości neapolitańskich — w 1521 Karol V nadał księstwo mediolańskie tytułem lennym Franciszkowi Sforzy (stryjeicznemu bratu Bony), a po jego śmierci w 1535 r. swemu synowi, późniejszemu królowi hiszpańskiemu, Filipowi II; Bona jednak nigdy nie zrezygnowała ze swego księstwa i, skoro nie mogła go wyjednać dyplomatycznie, chciała je odkupić. Pod koniec życia pożyczyła Filipowi II 430 tys. dukatów, spodziewając się za to namiestnictwa w księstwie neapolitańskim. Są to tzw. sumy neapolitańskie, o których odzyskanie starał się bezskutecznie Zygmunt August.

2. ...dla Baru — chodzi o księstwo Bari.

3. *Treuga* (łac.) — pokój, rozejm, nazywało się to właściwie *Treuga Dei* — pokój boży; zwyczaj praktykowany w burzliwym średniowieczu; polegał on na zawieszeniu broni od środy (wieczór) do poniedziałku (rano) w każdym tygodniu.

4. *Decorum* (łac.) — pozór, przyzwoitość,

5. Woźniki (st. pol.) — konie pociągowe.
6. Nowy człowiek (łac. *homo novus*) — tak nazywano, na wzór rzymski, ludzi, których przodkowie nie sprawowali urzędów; tu: dorobkiewicz.
7. Stradiotki — krótki kaftan, nazwa i krój z greckiego ubioru wojskowego, przyjęty głównie we Włoszech.
8. Herberstein — baron Zygmunt Herberstein, wysoki urzędnik dworu, wielokrotnie poseł cesarski, reprezentował rodziców Elżbiety na ślubie.
9. Nieboszczka matka nasza — matką Zygmunta Starego była także Elżbieta Rakuszaneczka, czyli Austriaczka (Rakuzy — staropolska nazwa Austrii).
10. *Collazione* (włos.) — wieczerza (w obyczajach włoskich połączona z rozrywkami).
11. Postrzeganie (st. pol.) — tu: przestrzeganie.
12. ...do (...) świętnych koligacyj z lewej ręki liczono — posądzano go, że był nieślubnym dzieckiem człowieka wielkiego rodu.
13. Łzy Ariadny — w greckiej mitologii córka Minosa, króla Krety, pomogła ukochanemu Tezeuszowi dokonać bohaterskiego czynu, a następnie uciekła z nim. Tezeusz rychło Ariadnę porzucił.
14. Wiertelnik (z niem.) — członek miejskiej straży porządkowej.
15. Wysłaniec rzeczypospolitej... — tzn. rzeczypospolitej weneckiej.
16. Herbowe gryfy — Chodkiewicz pieczętował się herbem Kościusza (na biało-czerwonym polu strzała na pół rozdarta żelaznym hakiem, u góry biały krzyż). Hieronim Chodkiewicz otrzymał od cesarza Ferdynanda tytuł hrabiego Świętego Państwa Rzymskiego, co dało powód przydania do dawnego herbu białych gryfów; gryf (gr.-łac.) — bajeczny stwór, lew z dziobem i skrzydłami orła.
17. ...dała jej woń jakąś do oddychania — tu: chodzi o sole trzeźwiące. Elżbieta chorowała na epilepsję i do tego faktu odnoszą się wcześniejsze aluzje Bony.
18. *Tace!* (wł.) — milcz!
19. ...mistrz z Fiesoli — Fra Giovanni da Fiesole (1387—1454) jeden z najslawniejszych wkrzesicieli włoskiej sztuki malarskiej o tematyce religijnej.
20. Po stole — tu: po uczcie.
21. Wenećja — mieszkaniec Wenecji.
22. Godło „*Plus ultra!*” Karol V prześcigał Herkulesowe słupy — Herkulesowymi słupami nazywano w czasach starożytnych dwa przylądki Cieśniny Gibraltarskiej: Gibraltarski i Centry. Karol V na mocy stosunków rodzinnych posiadał prawa spadkowe do wielu krajów Europy: w 1516 wziął koronę hiszpańską, został cesarzem rzymskim po śmierci swego dziadka, w 1520 otrzymał od papieża tytuł cesarza rzymskiego; w 1535 Karol V wyprawił się przeciw samowładczemu władcy Tunisu, zdobył go i oddał prawowitemu władcy jako lenno hiszpańskie. Wła-

- śnie w czasie tej wyprawy przeszedł Cieśninę Gibraltarską, stąd aluzja do Herkulesowych słupów. Karol V Habsburg podłożył podwaliny pod potęgę swego rodu. W jego rozległym państwie, jak mówił, słońce nie zachodziło. Nie przebierał w środkach, był chciwy władzy i ziem. *Plus ultra* (łac.) — w dosłownym przekładzie niejasne; znaczy: ciągle zdobywać więcej.
23. Roztruchan — wielki ozdobny kielich używany dawniej przy uroczystych biesiadach.
24. Wojewoda multański — Multany, dawna nazwa Mołdawii; od 1521 Mołdawia zhołdowana była Turcji.
25. Trybowane — kute w taki sposób, aby powstały wypukłe wzory.
26. Judyt (albo Judyta) — legendarna bohaterka narodu żydowskiego, która oswobodziła miasto w pñ. Palestynie od oblegających wojsk króla Nabuchodonozora w ten sposób, że ujęła swymi wdziękami wodza Holofernesa, a następnie, gdy był pijany, zabiła. Śmierć wodza zmieniła zupełnie bieg wyprawy na korzyść Żydów.
27. *Tace, fatu!* (wł.) — milcz, głupia!
28. Istna głowa Meduzy — Meduza, postać mitologiczna, potwór-na kobieta z włosami zmienionymi w węże, na widok której patrzący kamieniał z przerażenia.
29. Kanak (z wł.) — był po koronie najbogatszym klejnotem; pierwotnie sznurę pereł lub drogich kamieni, wielokrotnie okręcane dookoła szyi.
30. Koster (st. pol.) — namiętny gracz w kostki.
31. Alsbant — a raczej prawidłowo po niemiecku: *Halsband*.
32. Juno wspaniała — imię mitologicznej bogini, żony Jowisza, bogini światła, królowej nieba, przedstawianej jako ideał piękności kobiecej.
33. Powodująca się — tu: poddająca się.
34. Oko bazyliuszka — bazyliuszek jest jaszczurką. Według podań miał to być straszliwy potwór z ogonem węża i skrzydłami nietoperza. Jego wzrok zabijał. Podania umieszczały go zwykle jako strażnika skarbów.
35. Marsupin Jan — bliższych danych brak, sekretarz króla Ferdynanda, autor głośnych raportów i listów o sytuacji Elżbiety rakuskiej na dworze Jagiellońskim (por. posłowie).
36. Skarb towarzyski — tu: majątek cechowy.
37. Sciatyka — pochodząca z greckiego, dawna nazwa ischiasu, zapalenia nerwu kulszowego.
38. Wszystkie szczegóły wedle rękopismów źródeł cechowych — *Zbiór Praw, przywilejów i statutów miasta Krakowa*, wydany przez Fr. Piekosińskiego, nie notuje tekstu, który dla Kraszewskiego był materiałem historycznym do opisu praw i zwyczajów cechowych.
39. Słowniki nie notują starych terminów rzemiosła i terminów cechowych. Tylko nieliczne powtarzają się w cytowanym wyżej zbiorze statutów cechowych, wydanym przez Piekosińskiego.
40. Fugować — tu: zarysować stół spodem szklanic.
41. Berować — borować.

1. ... a tu w Krakowie piosenki o tym składają — wiadomość o tym notuje Marsupin w listach do Ferdynanda.
2. Na u s t ę p i ś ć (st. pol.) — wyjść z komnaty.
3. *Quod dixi, dixi* (łac.) — co powiedziałem, to podtrzymuję nadal.
4. Internuncjusz (z łac.) — poseł dyplomatyczny, w zasadzie tego tytułu używali posłowie papiescy.
5. Trociczki wonne — stróżki z masy wonnej do kadzenia.
6. Facolet (z wł.) — chustka do nosa, na głowę lub szyję.
7. Socha — tu: drzewo rosochate będące podparciem dla żłobów.
8. Blisko dwa wieki upłynęły od połączenia dwu narodów pod dynastią jedną — tzn. od układów w Krewie w 1385 r. W pierwodruku omyłka: „Blisko trzy wieki upływały od połączenia...”
9. Niebezpieczeństwo od Moskwy i Tatarów od czasów Aleksandra przekonało Litwę — w 1506 r. książę Mikołaj Gliniński pobił Tatarów pod Kleckiem, ale chcąc utworzyć własne księstwo, wszedł w porozumienie z Wasilem w. ks. moskiewskim. Dopiero w 1503 r. Gliniński został pobity pod Orszą, a spiskowcy uwięzieni.
10. Bajoras lub bojar — wojownik, rycerz.
11. Harpia (z gr.) — w podaniach starożytnej Grecji potwór, w postaci drapieżnego ptaka, łaknący krwi.
12. Człowiek serny — przypomnienie historii o parmezanie.
13. Przeździecki Jagiellonki — Aleksander Przeździecki *Jagiellonki polskie w XVI w. Obraz rodziny i dworu Zygmunta I i Zygmunta Augusta* (5 tomów). Kraków 1868, t. I, s. 156.
14. ...sprawę jej poślubi — weźmie ją sobie do serca, poświęci się tej sprawie.
15. „Boćwina” litewska — boćwina: nać buraczana; przenośnie: przezwisko Litwina.
16. ...puściły się małymi dniami — tzn. jechały niewielką ilość godzin w ciągu dnia.
17. Lenung (z niem.) — żołąd, płaca.
18. Stanowniczowie — urzędnicy odpowiedzialni za izby gościnne i pomieszczenia dla dworu w czasie podróży.
19. ...listy Dantyszka, wielkiego wielbiciela Elżbiety — Jan Dantyszek rezydujący wówczas w Lidzbarku przesyłał do Wilna Elżbiecie oprócz serdecznych listów również dary (np. pomarańcze). Równie serdeczne są odpowiedzi Elżbiety.
20. Wielka choroba — epilepsja.
21. Hipokrates, ojciec nasz (V w. przed n.e.) — najslawniejszy lekarz starożytności, uważany za „ojca wiedzy medycznej”, autor wielu dzieł medycznych.
22. Przedzrowie — wypicie kielicha na czyje zdrowie, toast.

1. Wizerunek Bony Sforzy w późniejszym wieku rytowany przez Nicolo Nelli, który jako pierwowzoru graficznego użył prawdopodobnie miniaturowy Lucasa Cranacha młodszego, będącej obecnie w posiadaniu Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

2. Zygmunt Stary, praca nieznanego rytownika z XVI wieku. Ten typ umownego wizerunku władcy, popularny w dobie renesansu, występował w różnych cyklach graficznych ujętych w formie „Pocztów królewskich”. Rycina ze zbioru Muzeum Narodowego w Warszawie.

3. Krużganki wawelskie najważniejsze dzieło architekta Franciszka Florentczyka, dokończone przez Berrecciego w roku 1537. Reprodukacja *Katalogu zabytków w Polsce*. Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Szablowskiego, Warszawa 1965.

4. W latach 1519—1533 została wzniesiona wedle projektu Berrecciego kaplica Zygmuntowska przy katedrze na Wawelu, najpiękniejsza budowla w stylu włoskiego renesansu poza Italią. To renesansowe mauzoleum budziło zachwyt u współczesnych i stało się prototypem szeregu podobnych budowli rozsianych po całej Polsce. Reprodukacja z książki *Zbiory zamku królewskiego na Wawelu* w opracowaniu Jerzego Szablowskiego, Warszawa 1969.

5. Rzeźbiarski portret Zygmunta Augusta, powstały za jego życia, był później wzorem dla polskich nagrobków rycerskich. Monumentalny realizm rzeźby i dynamizm leżącej postaci na sarkofagu, łamiący późnogotyckie kanyony, zadowalał potrzeby nowego widzenia sztuki. Reprodukacja z książki Adama Bochnaka *Kaplica Zygmuntowska*, Kraków 1953.

6. W latach 1531 — 1535 zostały wykonane sto dziewięćdziesiąt cztery głowy rzeźbione w drewnie jako dekoracja stropu Sali Poselskiej zamku. Zachowało się ich 30, są to głowy postaci z kręgu dworskiego, w części alegoryczne. Twórca tego zespołu rzeźbiarskiego był prawdopodobnie Polakiem, ulegającym wpływom sztuki północnej. Reprodukacja z książki *Głowy wawelskie* Anny Misiąg-Bocheńskiej, Kraków 1953.

7. Niewiasty w strojach renesansowych. Drzeworyt z XVI wieku, będący w posiadaniu Muzeum Narodowego w Warszawie.

8. Stańczyk rozmyślający nad losem Polski — alegoryczny autoportret Jana Matejki. Drzeworyt zamieszczony w „Kłosach” w roku 1879.

9. Widok zewnętrzny kaplicy Zygmuntowskiej, reprodukcja z książki Adama Bochnaka *Kaplica Zygmuntowska*, Kraków 1953.

10. Miniatura pierwszej żony Zygmunta Augusta, Elżbiety, złączona z nie reprodukowaną w tej książce miniaturą Barbary Radziwiłłówny. Obie miniatury zostały namalowane na polecenie króla przez Lucasa Cranacha młodszego (1515—1586). Zbiory Czartoryskich w Krakowie.

11. Seria arrasów wawelskich należących do Zygmunta Augusta powstała w manufakturach w Brukseli według projektów Michela Coxcie w poło-

- wie XVI wieku. Reprodukacja z książki *Zbiory zamku królewskiego na Wawelu* w opracowaniu J. Szablowskiego, Warszawa 1969.
12. Portret Cecylii Galerani jest jedynym z dzieł Leonarda da Vinci, jakie posiada Polska; przechowywany w Zbiorach Czartoryskich w Krakowie. Reprodukacja z „*Biuletynu Historii Sztuki*” z 1952 roku.
13. Zygmunt August, miniatura Lucasa Cranacha młodszego. Zbiory Czartoryskich w Krakowie.
14. 16. Zygmunt Stary i Bona, miniatury Lucasa Cranacha mł., ze Zbiorów Czartoryskich w Krakowie.
15. Modlitewnik Bony, ozdobiony miniaturami Jana Piotra Birago, ok. 1490. Obecnie w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie. Reprodukacja z „*Biuletynu Historii Sztuki*” z roku 1954.
17. Seweryn Boner jako Dawid, medalion rzeźbiony przez Jana Marię Padovano, zamieszczony w kaplicy Zygmuntowskiej. Reprodukacja z książki Adama Bochnaka *Kaplica Zygmuntowska*, Kraków 1953.
18. Biskup Gałgat ze swoim orszakiem u podnóża zamku na Wawelu. Drzeworyt wedle rysunku Jana Matejki zamieszczony w „*Tygodniku Ilustrowanym*” z r. 1866.
19. Piotr Gałgat. Drzeworyt anonimowy z XVI wieku. Zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie.
20. Renesansowe schody mieszczańskiej kamienicy w Rynku krakowskim. Reprodukacja z dzieła *Dzieje Polski ilustrowane* Augusta Sokołowskiego, Warszawa 1899.
21. Miniatury słynnego Kodeksu Behema — zbioru krakowskich przywilejów cechowych, zebranych przez pisarza miejskiego Baltazara Behema. Przedstawione są tu rzemiosła krakowskie w scenach rodzajowych bogatych w realia ówczesnego Krakowa. Reprodukacja z książki *Kodeks Baltazara Behema* Zofii Ameisenowej, Warszawa 1961.
22. 23. Miniatury portretowe z „*Liber geneleos*” rodziny Szydłowieckich, 1532 r., reprezentują szczytowy etap rozwoju krakowskiej miniatury renesansowej. Wykonane przez Stanisława Samostrzelnika (1485—1541). Reprodukacja z *Historii malarstwa polskiego* Władysława Podlasy, Lwów 1914.
24. Katedra na Wawelu. Litografia Leona Wyczółkowskiego przechowywana w Zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie.
25. Zamek w Wiśniczu, siedziba Piotra Kmita. Drzeworyt według rysunku z natury Jana Matejki. Reprodukacja z dzieła *Dzieje Polski ilustrowane* Augusta Sokołowskiego, Warszawa 1899 r.
26. Piotr Kmita. Wycinek z „*Kłósów*” z roku 1862 w posiadaniu Muzeum Narodowego w Warszawie.
27. Bona Sforza. Rysunek Jana Matejki reprodukowany w „*Tygodniku Ilustrowanym*” z roku 1864.
28. Dziewczyna w stroju włoskim. Drzeworyt anonimowy z XVI wieku, będący w posiadaniu Muzeum Narodowego w Warszawie.

29. Scena rodzajowa z czasów Zygmunta Starego w dziewiętnastowiecznej interpretacji Kazimierza Mireckiego. Reprodukacja z dzieła A. Sokołowskiego *Dzieje Polski ilustrowane*, Warszawa 1899.
30. Śpiewacy *Epitalamion*, 1535 rok. Reprodukacja z książki Jana St. Bystromia *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, wyd. wznowione Warszawa 1960.
31. Zygmunt August. Rysunek Jana Matejki z „Pocztu królów polskich”. Reprodukacja ze Zbiorów Dokumentacji Muzeum Narodowego w Warszawie.
32. Arras z kolekcji Zygmunta Augusta z umieszczonymi centralnie inicjałami króla SA (Sigismundus Augustus). Reprodukacja z książki *Zbiory zamku królewskiego na Wawelu* w opr. J. Szablowskiego, Warszawa 1969.

Wszystkie zdjęcia i odbitki fotograficzne wykonał Stanisław Sobkowicz

Na cykl dotyczący dziejów Polski składają się następujące powieści historyczne J. I. Kraszewskiego.

STARA BASŃ / LUBONIE / BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY / MASŁAW / BOLESZCZYCE / KRÓLEWSCY SYNOWIE / HISTORIA PRAWDZIWA O PETRKU WŁASCIE / STACH Z KONAR / WALIGÓRA / SYN JAZDONA / POGROBEK / KRAKÓW ZA ŁOKTKA / JELITA / KRÓL CHŁOPÓW / BIAŁY KSIĄŻĘ / SEMKO / MATKA KRÓLÓW / STRZEMIENCZYK / JASZKA ORFANEM ZWANEGO ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK / DWIE KRÓLOWE / INFANTKA / BANITA / BAJBUZA / NA KRÓLEWSKIM DWORZE / BOŻY GNIEW / KRÓL PIAST / ADAMA POŁANOWSKIEGO, DWORZANINA KRÓLA IMCI JANA III, NOTATKI / ZA SASÓW / SASKIE OSTATKI

Spis treści

O królowej Bonie — Szymon Kobyliński	5
Tom pierwszy	11
Tom drugi	129
Tom trzeci	250
Posłowie	375
Nota wydawnicza	384
Przypisy	385
Tom pierwszy	385
Tom drugi	392
Tom trzeci	395
Spis ilustracji i uzupełnienie objaśnień	396

Cena zł 410,—

ISBN 83-205-3572-7